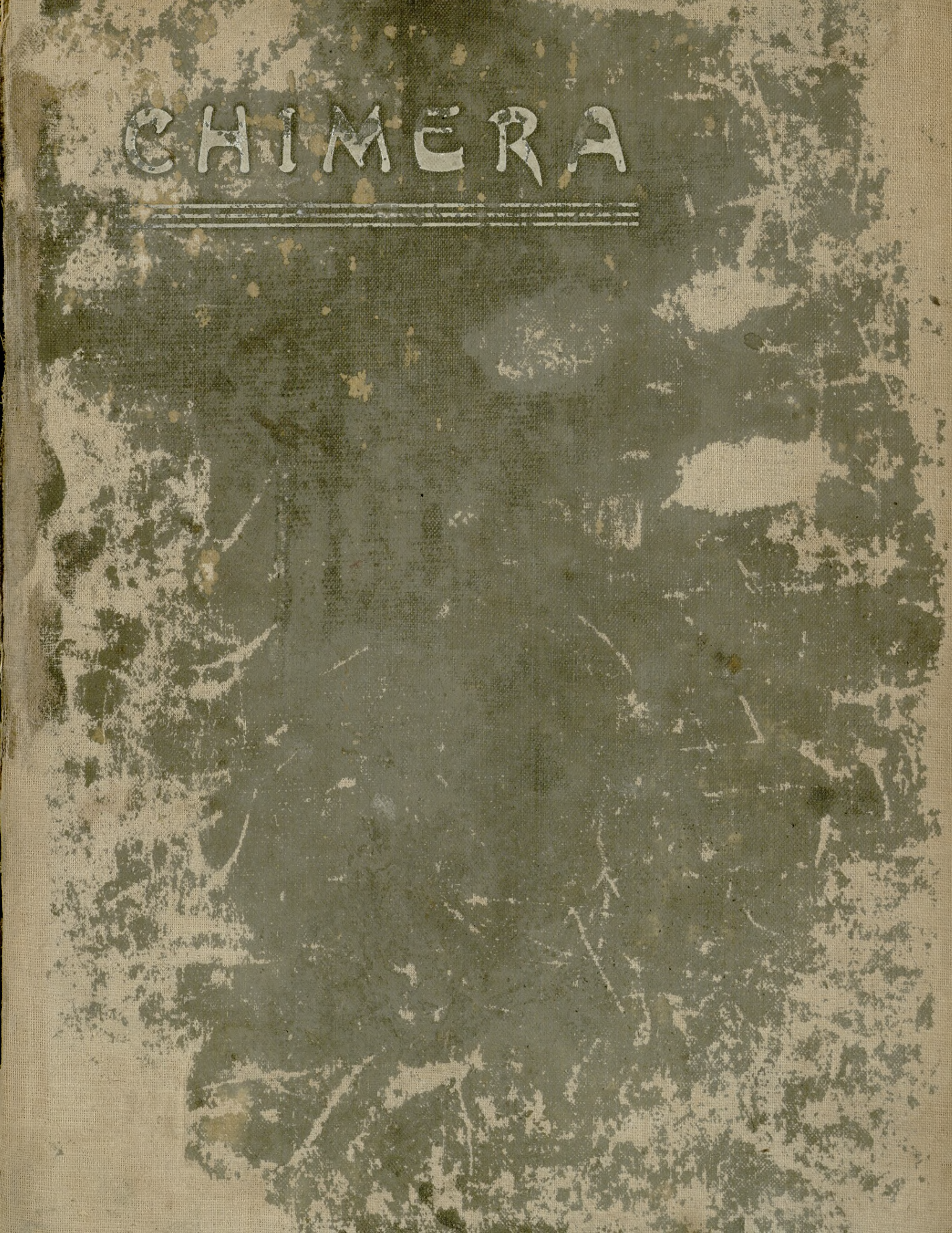

CHIMERA

CHIMERA.





TOM SZÓSTY. PAŹDZIERNIK — GRUDZIEŃ 1902.
WARSZAWA. — NOWY ŚWIAT, 22.


ról KOFETUA.

JULIUSZ ZEYER.

Przełożył MIRIAM. Przyozdobił EDWARD OKUŃ.

Wydanie Kommemoratywne w roku drugim od śmierci twórcy.





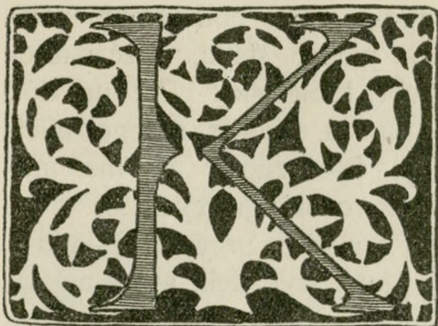
rzynoszę ci, przyjacielu, ten sen z Rawenny, jako pamiątkę z podróży. Śniłem go przy blaskach bizantyńskich mozaik w prastarych bazylikach tego miasta, zapadłego w letarg tak głęboki, że zaklęciem się zdaje, śniłem go u sarkofagu rzymskiej Galli Placydii i w chłodnej pustce mauzoleum Teodoryka gockiego, śniłem go podczas włóczęg swych przez Pinetę, ten las pełny nieprzeczuwanych wrażeń i nieznanego czaru, ten epicki — rzekłbym — gaj piniowy, po którym Dante ongi nieraz błądził, a który ciągnie się od Rawenny, co zrodziła Franczeskę, aż do Rimini, miasta, gdzie śmierć na nią czyhała, na tę niewymownej słodyczy Franczeskę, która z pamięci ludzkiej nigdy zniknąć nie może, ponieważ męczeństwo jej

tak nieskończenie głęboko, aż do tak patetycznie pięknego „lagrimar tristo e pio“ pieśniarza *Piekła* wzruszyło.



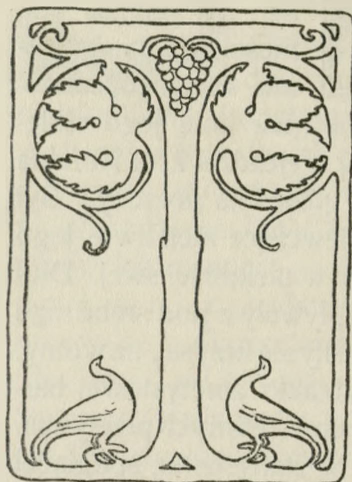
en mój wstał we mnie, gdym po śladach Shelley'a i Byrona przez ciche chodził ulice, między wielkiemi ogrodami, które sam niegdyś w wiosennej gloryi brzoskwiniowego i morelowego kwiecia widziałeś. Przyszedł niespodzianie, jak przychodzą wszystkie sny, gdy rozmyślanie o tych dwóch pieśniarzach północy, nie wiem już, przez jakie skojarzenie myśli, nagle mi czaru pełny obraz Burne Jones'a „Król Kofetua“ do wzruszonej przywołało pamięci. — Jest to tylko sen, nic więcej ani mniej, ta moja niewyraźna baśń o tęsknocie, którą ci przynoszę. Marzenie może być jałowem, ale powiedz sam, czyli nie bywają sny i marzenia nasze niekiedy tem czemś najlepszem, co mamy na ziemi? A bez marzenia, tego przedwstępnego tworzenia, czy wogóle mogłaby istnieć sztuka? — Może ten sen mój dzisiejszy jałowym jest również, ale znajdziesz w nim coś z Rawenny i coś, co w piersi mi łkało, — a potem, jest to pamiątka!




to to był król Kofetua?kiedy żył i gdzie? Nikt nam tego nie powie. Żaden latopis o nim nie wzmiankuje, ani żadna kronika — a jednak jest nieśmiertelny. Czemu? Bo łabędź awoński słów kilka o nim wyśpiewał i tak imię jego stuleciom przekazał. W moim śnie, wyjeżdżał król Kofetua ze swego grodu nad morzem, gdzieś na północy. Był młody, piękny i smutny. Dziewczęce nieledwie jego oblicze było blade i wzruszające w piękności swej. Długie fale jasno złotych włosów spływały z pod srebrnego hełmu, nad którym pióropusz biały się kołysał, na wolny, fałdzisty płaszcz z brokatu wyblakło ametystowej barwy, połyskującego leciuchno nićmi srebrnych przetykań.


ról Kofetua, w zamyśleniu, spoglądał za siebie, na zamek ojców swych. Czarny rumak jego grzebał nogą w piasku, a cały zastęp młodych rycerzy — wszyscy w srebrnych zbrojach, wszyscy na czarnych koniach, jak król, któremu towarzyszyć mieli w jego drodze w nieokreślność — czekał niecierpliwie znaku do pochodu. Spragnieni byli ujrzeć świat i te obce ziemie, o których tyle byli słyszeli, ale których, jako młodzieńcy bez wyjątku, dotąd nigdy nie widzieli. Król Kofetua oparł się ręką o wysoką kratę, kowaną z żela-

za, która zamykała przystań, gdzie pod samym zamkiem kołysały się dwa piękne statki, przeznaczone wyłącznie na potrzebę królewską. Aż na dół, do samej powierzchni morza, wiodły z tego miejsca marmurowe schody; fale rzucały na nie muszle, piany i perły swych rozbryzgujących się wód.



o miejsce przypomniało królowi wypadek, który mu się w pamięć wrył, acz był się zdarzył dawno, dawno, gdy miał lat ośm zaledwie. Królowa, matka jego, przyprowadziła go tu raz za rękę, gdy na korabiach przypławiono właśnie niezmierną zdobycz z okrain dalekich. Cały brzeg był zasypany skarbami, a słudzy i niewolnicy mrowili się, odnosząc całe to niewidziane bogactwo na górę do ciemnych komór groźnego grodu, z tą jedną jasną, otwartą salą bursztynową, gdzie stał srebrny tron, jako symbol władzy nad bezbrzeżnem tem, falującem w nieskończoność morzem. Królowa pyszna była jak zbuntowani aniołowie, pyszna ze swej piękności, pyszna ze swego rodu, pyszna ze swej potęgi, a najpyszniejsza ze swego syna Kofetuy.—„Wszystko to jest twoje,“ rzekła mu wówczas, „wszystko, co tutaj widzisz, i wszystko, co to niezmierne szafirowe morze jeszcze tu posłusznie na wielkim grzbiecie swym przyniesie. Wszystkie brzegi, które

wielka ta woda oblewa, są z prawa twoje, bo w żyłach naszych płynie krew rzymskich cezarów, samowładców bizantyjskich, i królów gockich. Niema życzenia, któreby ci się kiedybądź nie spełniło, niema i nie będzie nic, coby ci odmówionem być mogło. Bóg stworzył niektórych, aby panowali, a resztę, aby służyła.“



ofetua mało wówczas przyszłość tę rozumiał, ale bawiło go brać garstki pereł, rzucać je w piasek i swawolnie po nich deptać. Matka uśmiechała się, lecz nagle chmura okryła jej czoło. Spostrzegła starą kobietę, siedzącą na schodkach z założonemi na kolanach rękoma. Była to niewolnica, której królowa nienawidziła, bo czoło tej kobiety było pyszne. Z czystej swawoli wzięto ją kiedyś gdzieś za morzem w niewolę i przywleczono z inną zdobyczą do grodu. Nie płakała, nie łamała rąk i nie schyliła głowy, gdy ją przywiedziono przed króla i królowę. Król rzekł wówczas ze wzgardą: „Poco-ście tę przywiedli? By jej rychło grób kopać? Toć nad nim stoi!“



hciał ją puścić na wolność, lecz królowa ujęła go za rękę, nim się to stało. — „Czyliż nie widzisz chmurnego jej spojrzenia nienawiści?“ rzekła. „Niechaj nie wprzód wolność otrzyma, aż w pokorze o nią poprosi.“ — Branka milczała, wreszcie rzekła: „Czemużbym miała o prawo swe prosić? Nie, raczej gwałt wasz znosić będę. Grób czeka mię wkrótce. Cóż z tego, gdzie go

wykopią?“ — I nie ugięła karku. Została niewolnicą, i lata płynęły, a ona stale milczała i nigdy nie prosiła.


ienawiść pysznej królowej rosła przez to z dniem każdym, i teraz, gdy, stojąc z synem na brzegu śród całego tego bogactwa, ujrzała starą niewolnicę, zawołała tak na nią: „Czemu próżniaczo siedzisz tu sama jedna, gdy inni pracują?“ — „Pracujesz ty?“ odpowiedziała kobieta spokojnie, podnosząc wolno powieki ciężkie od łez nieprzelanych, nieruchoma zresztą w bolesnem i znękanem ciała pochyleniu. — Gniew zczerwienił lice królowej, ale tak była zdumiona nieoczekiwaną, niesłychaną tą odpowiedzią, że na chwilę oniemiała.—Staruszka, blada niezmiernie, położyła czoło na marmurze schodów.— „Boże,“ szeptała, „jak mi słabo! Czy to już śmierć?“ — Królowa tymczasem opamiętała się. — „Kofetuo,“ rzekła do syna, „postaw nogę na tym nareszcie ugiętym, tak długo pysznym karku!“ — I dziecię posłuchało.


taruszka zerwała się nagle i wzniosła ręce, jakby klątwę chcąc rzucić; gdy wszakże wzrok jej spotkał tę niewinną twarzyczkę dziecięcą, wstrzymała się wzruszona, zapatrzyła w marzące, dobre oczy pacholęcia, i dwie łzy wytrysły jej z oczu, spłynęły pomału po twarzy i spadły na jego głowę. Królowa była znowu nieskończenie zdumiona. — „Czemu płaczesz?“ spytała głosem miększym, niż była kiedykolwiek do staruszki mówiła. — „Bom w tej chwili, w okamgnieniu niepojętego mi

objawienia, czytała całą przyszłość tego dziecięcia.“ — „I to wycisnęło ci łzy?“ zawołała z niepokojem królowa. „Co wiesz o jego przyszłych losach? Co grozi mu?“ — „Pozna omyłkę twą. Rzekłaś mu, że nic odmówionem mu być nie może, że wszystko będzie w jego mocy. A jednak skona kiedyś z...“ — Staruszka padła bez sił na stopnie i posiniała cała. — „Domów!“ zawołała w trosce śmiertelnej królowa, „domów, czego ma się strzedz?“ — Ale staruszka, zamiast jej słuchać, konała. — „Domów!“ wykrzyknęła rozpacznie królowa, „domów! Ty umierasz?“ — „Z tęsknoty!“ zaszeptała niewolnica, wyciągnęła ręce w kierunku morza, i w rozmarzeniu gasnących jej źrenic widniała cała otchłań tęsknicy. Potem łkanie głębokie wstrząsnęło silnie jej piersią, padła na wznak i była martwa. — „Depczcie ją! Rzućcie ją w morze!“ wykrzyknęła królowa z nieludzką namiętnością. „Nie domówiła! Przez zemstę milczała! Uszła mi, uszła! Zwyciężyła!“ — I w największem uniesieniu odbiegła, otulając syna w płaszcz swój, ciężko złotem wyszywany. Niosła dziecię w szalonym, nieokreślonym strachu do wnętrza warownego zamczyska.



en to wypadek wspomniał teraz, po długich latach, młody król Kofetua, wyjeżdżając z grodu i udając się w drogę, mającą powieść go kędyś w nieokreślne dale. Osierociał prędko, ojciec i matka spali dawno pod porfirową tablicą, w mrocznym cieniu zamkowego kościoła, gdzie dniem i nocą złote lampy wonnie

dymiąc gorzały i obrazy świętych na przepysznych mozaikach po ścianach w mistyczne otulały obłoki.



ról Kofetua nie miał ani zdobywczej dumy swego ojca, ani bluźnierczej pychy swej matki. Rozkwitał cicho w tem groźnem zamczysku, jak roślina w skał chmurnych rozpadlinie, a dusza jego była czysta jako błękit niebieski i jako on głęboka i pełna światłości gwiezdnej. Ta płynęła mu z oczu zadumy pełnych, dziewiczy jakiś czar tchnął z całej jego osoby, jak woń tchnie z lilii kielicha, i zaiste, że w bieli swej cyzelowanej zbroicy, z tem czołem z kości słoniowej, z tą falą jasnych włosów, w efebicznej, smukłej swej piękności, podobien był owej lilii, którą kunsztmistrz w wielkich rozmiarach ze srebra był wykował i którą olbrzymi, jako wieża, posąg Matki Bożej, wznoszący się na skale wysoko nad zamkiem, w ręce trzymał, w stronę zórz porannych, aby białe gołębie, krążące ustawicznie nad blankowaniem chmurnych grodu murów, rosę z niej piły. Król Kofetua wyjeżdżał teraz w świat za widmem. Kto za niem nie ugania na drodze żywota? Zjawiło mu się, jak gwiazda wschodząca pod wieczór w marzącym półzmroku. Była to postać dziewczęcia. Ujrzał ją jednego razu z okna, w dole, śród tłumów u portu. Piękność tego zjawiska uderzyła go. Pośpie-

szył z zamku do przystani, ale znikła tymczasem. Tłum nie widział jej, tłum zawsze jest ślepy. Król Kofetua napróżno kazał jej szukać. Nie było po niej śladu. Wówczas opanowała go tęsknota, jak choroba. Szukać tej, która jako promień przenikła w mrok jego wnętrza, stało się dlań całą treścią żywota. Gdy wszystkie poszukiwania zostały bez skutku, postanowił jechać w świat daleki i nie wracać bez niej. Dla tego to żegnał się teraz z krajem rodzinnym, dla tego to dumał teraz na miejscu, gdzie ongi stara niewolnica zapłakała nad nim i gdzie prorokując i nie domówiwszy umarła.


ęsknota niezmierna, smutek niezmierny, bojaźń niezmierna opanowały go, i rzekł do piastuna swego, starego męża, który go odprowadzał do bramy zamkowej: — „Umarła z tęsknoty, tu, na tem miejscu, owa branka nieszczęsna! Czy zginę z tęsknoty i ja? Czy nie rzuciła staruszka owa klątwy na mnie i czy klątwa ta nie zaczyna się spełniać?“ — „Nie klątwom podlega człowiek, lecz swemu losowi,“ odpowiedział piastun. „Jako gwiazdy krążą drogami im wyznaczonemi, jak rzeki płyną łożyskami im wymierzonemi, tak idą tęsknoty głębiami dusz naszych. Kamień dopadnie, kędy ciężar gna go, osiągnie tedy spoczynek należny — tęsknota wszakże nie każda znajdzie ukojenie i kres. Biada sercu, które tęskni daremnie i któremu nie dano tęskność swą ukoić! Błogosławię ci, Kofetuo. Niechaj tęsknota twa nie będzie podobna promieniowi, który wyszedł z gwiazdy i pada wiecznie, wiecznie,

w przestrzeń nieskończoną, nie spotykając oka, któremuby światłem był!" — Położył mu rękę, błogosławiąc, na głowie, z której król hełm był zdjął, głęboko chyląc się przed starcem. Po chwili wyprostował się Kofetua, skinął piastunowi raz jeszcze ręką, uśmiechnął się smutnie — i już oto na czarnym rumaku uganiał w dal, a za nim huf cały rówieśnych mu druhów. Srebrnie dzwoniły ich zbroje, srebrnie połyskały. Jeźdźcy zanurzali się coraz bardziej we mgłach dalekiego widnokręgu, aż wreszcie oczom ciągle za nimi patrzącego i ciągle błogosławiącego starca zniknęli.



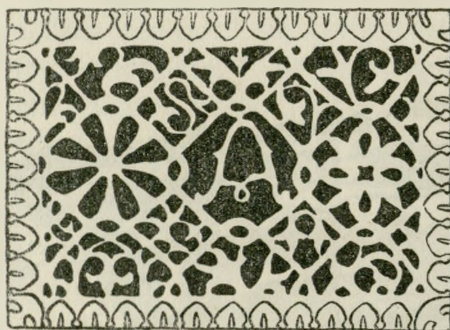
eździł długo król Kofetua po świecie dalekim, jeździł od miasta do miasta, od grodu do grodu, od wioski do wioski, zaglądał do samotni leśnych, wstępował na wysokie góry, żeglował do pustych ostrowów, lecz nigdzie nie znalazł tej, której szukał. Król Kofetua i jego rycerze bywali gośćmi w pałacach z kryształu ze złotemi bramami, w domach z marmuru z bronzowemi wroty, zasiadali w salach, których stropy wspierały się na kolumnach z jaspisu, za stołami z hebanu, wchodzili do ogrodów, kędy drzewa pod róż modrych brzemieniem ku wodom dyamentowego chyliły się blasku; król Kofetua i jego rycerze wstępowali do twierdz wznoszących się na urwistych skaliskach,

gdzie słychać było wciąż poszczęk oręża, nawiedzali zamki, śniące w gajach, gdzie słodkie śpiewy trubadurów szły w zawody z świegotem drozdów i słowików, szukali w domach kupców i mieszczan, w dworach białych, strzelających z morza dojrzałych, cicho, sennie szeleszczących kłosów, wchodzili do chat słomą poszytych, zaglądali w mroki więzień — ale nigdzie nie było



tej, której szukali! — Co kobiet i dziew tak widzieli, tu uginających się prawie pod ciężarem dyademów i klejnotów i wlokących brokaty po chalcedonowych podłogach, tam klęczących, jako lilie, w bieli dziewiczej w mrokach katedr prastarych, ówdzie pracujących pod skwarem słonecznym na polach i niwach, a gdzieindziej jeszcze marzących w pełnych woni ogrodach! Widzieli nawet one otulone w habity zakonne i wołające w ekstazie do Boga za gęstemi kratami klasztorów! Ale tej, której szukali, nie było między niemi wszystkiemi, i król Kofetua stawał się coraz bledszym. Znużenie opanowywało nie ciało jego, lecz ser-

ce, nadzieja jego gasła, i rzekł wreszcie w smutku: „Jej niemasz nigdzie, ona istnieje tylko w snach mej duszy! Ach, tęsknota moja jest tym promieniem, co wiecznie pada w mrok i nigdy niczyjemu oku światłem nie będzie!“ — I zwiesił głowę, i w beznadziejnym smętku jechał w dal pustą, a za nim chmurnie, milcząco ciągnął huf jego rycerzy.



ż jednej nocy przyszli do miasta na wysokiem wzgórzu, zbudowanego z modrawych, przejrzystych marmurów, księżycową przesiąkłych poświatą. Widzieli od podnóża góry, przez otwartą bramę, ulice; były puste i bezludne, tylko w samej głębi wielkiego placu, kędy pięć fontann szafirowe w niebo miotało wody, błyskało coś, jak światłość biała, która ludzką przybiera postać. Od bramy środkowej wiodły szerokie schody po stoku w dół ku śniącemu jezioru, modremu jako marmur budowli i wież, kolumn i portyków tego niewidzianego miasta. Po obu stronach schodów spływały cicho jasne wody, szukające spoczynku w łonie jeziora, a po samych schodach słaniała się wstęgą magiczna smuga poświaty miesięcznej. — I było cicho, cicho, tylko te wody śpiewały. Z niebios, w których głębi światło zlewało się z mrokiem, dżdżyły marzenia i gwiazdy spadające. Owa biała światłość, która zdawała się kroczyć przez plac, kędy fontanny tak tęsknie

wytryski swe ku zlatującym gwiazdom rzucały, stała teraz w bramie—i, o dziwo! była to młoda dziewczyna:



stępowała powoli po schodach, przez które spływał pas poświaty miesięcznej, i zdało się, że sama bogini księżycowa unosi się tak na falach swej własnej jasności: ale cała najbielsza światłość biła tylko z czoła z kości słoniowej tej niewypowiedzianie pięknej i świętej postaci kobiecej. Była wysoka. Włosy miała ciemne jak noc i pełne błękitnych odblasków. Oczy jej były modre, jako marmur przejrzysty, z którego owo miasto apokaliptycznej powierzchowności wyciosane było, a jako niebo, w którem mrok zlewał się ze światłem, roniła głąb' tych jaśniejących a wpółomdlałych źrenic gwiazdy i sny! Nigdy jeszcze podobne oczy na świat nie patrzyły: przez tajemniczą jakąś właściwość spoglądały one tylko w dal, zawsze w dal, i żaden przedmiot blizki w nich się nie odbił.



awało im to czar jakiś zagadkowy, nieziemski, nęcący i razem napełniający tęsknotą. Król Kofetua zeskoczył z konia, dech mu w piersiach się wstrzymał, złożył ręce jak do modlitwy: — „O duszo moja,“ zaszeptał, „raduj się! Znalazłem tę, która jest panią twą! Znalazłem tę, której po świecie tak długo i daremnie szukałem!“— Zbliżył się do niej, gdy właśnie zstępowała z ostatniego stopnia i nogą ziemi dotknęła. — „O zjawisko nadziemskie,“ zaszeptał król Kofetua, „czy wychodzisz

z miasta marzeń, aby przynieść spokój i mir duszy mej utęsknionej?“ — Milczała i patrzyła w dal nieskończoną. — „Powiedz,“ prosił król Kofetua, „czy widzisz mię przed sobą i czyli głos mój dochodzi do twojego ucha?“ — „Widzę postać twą w dali, tonie w jasności miesięcznej. Słyszę twój głos. Czego żądasz ode mnie?“ odpowiedziała nareszcie powoli.



ęsknota niezmierna ścisnęła mu serce. Ten głos, tak słodki, tak miękki, płynął jak gdyby z dali nieskończonej, i król Kofetua miał nagle smutne przeczucie, że czarowne zjawisko zostanie mu nazawsze dalekiem, choć tak blizko, tuż przy nim stało. I było mu nagle, jakby morze między nią a nim wzdęło się i szerzyło, jakby otchłań bezdenna tego nieba nocnego ich rozdzielała! — Serce bić mu przestało, wpatrywał się rozpacznie w marzące, zagadkowe, ku dalom obrócone oczy anielskiego widziadła i zawołał w niepokoju śmiertelnym: — „Zaklinam cię przez Boga żywego, byś mi rzekła, kto jesteś?“ — „Czyż nie widzisz?“ odrzekła.



skazała na swą suknię i podniosła jak we śnie proszącą o jałmużnę dłoń. Król Kofetua, ujrzał, że suknia była gruba, zgrzebna, podarta, że białe jej, niby z kości słoniowej, nogi — były bose i pokrwawione w nieskończonej, błędnej przez świat drodze. — „Tyś żebraczka?“ wykrzyknął zdumiony. — „Tak,“ rzekła swym jak ze snu płynącym głosem, utkwiła oczy w dali i jęła iść powoli

białym gościńcem, który wił się wkoło jeziora i wiódł ku ciemnym lasom, dumającym na jasnym widnokręgu.



tał chwilę cicho król Kofetua, jak w słup obrócony, potem opamiętał się, położył palec na ustach, dając rycerzom znak milczenia, i skinął, by za nim jechali. Od chwili tej trzymał się wciąż za dziewczęciem w przystojnem oddaleniu, a rycerstwo jego jechało za nim tak cicho, z takiem wzruszeniem i z takim zapałem, jak on sam. Rój białych planet wędruje tak przez nieskończoność niebios, bez gwaru, niemo, jaśniejąco, za dyamentowem słońcem, które im duszą jest. Dziewczę szło niezmordowanie, dzień w dzień od rana do wieczora, a oczy jej w marzącej tęsknocie patrzyły nieustannie w nieznaną i nigdy niedoścignioną dal, i zdawało się, jak gdyby ani przeczuwała, że za nią ten piękny młodzian w zbroi srebrnej z hufem świetnego rycerstwa wciąż jedzie. I przyszli tak do głębokich dolin alpejskich, przez które szybko zielone toczyły się rzeki, kroczyli przez góry, na których szczytach chmury się tworzyły i w lazur niebios wstępowały, jechali koło urwisk, z których skakały wodospady, koło stoków i pochyłości, gdzie ciemne sosny i świerki szumiąc dumały, a w cieniu ich krynice ku blademu, srebrem przetykanemu niebu modre oczy swe otwierały.

Przyszli do zawartych stromemi skałami przesmyków, przez które niegdyś tłumy barbarzyńców północy, jak spienione potoki, do ziemi słońca się waliły, wyszli w końcu na niwy, gdzie na drzewach złote owoce między ciemnemi, metalicznie połyskującemi liśćmi się kołysały, weszli do ziemi wyniosłych laurów i poburzonych świątyń marmurowych, kędy pozwalane z piedestałów posągi bogów w smętku i prochu leżały, kędy mistyczne katedry obok tych zwalisk w górę się piętrzyły, i nareszcie wkroczyli, gdy pewnego dnia słońce ku zachodowi się chyliło, do martwego miasta, niegdyś potężnego i wspaniałego, niedaleko morza i niedaleko ogromnego piniowego lasu.


grobowca, którego kopuła była wyciosana z jednego, olbrzymiego złomu granitowej skały, u grobowca, kędy spoczywał bezsilnie proch niegdyś wszechwładnego króla gockiego, przodka króla Kofetuy, zaszedł tenże po raz drugi drogę żebraczce i rzekł: — „Jestem królem także. U morza sinego stoi mój mocny, obronny, wyniosły gród. Ty żebrzesz po drogach, a nogi twe, białe jak kość słoniowa, bose są i krwawe od długich pielgrzymek. Posadzę cię na tronie. Koronę włożę ci na głowę. Będziesz żoną moją i królową państw moich niezmiernych. Zgadzasz się?“ — „Po cóż miałabym z tobą iść?“ spytała, utkwiwszy te zagadkowe źrenice swe w oddali. „Nieskończoność większa jest, niż twoje państwa, a jest państwem mojem.“—Król Kofetua zwiesił głowę i odpowiedział: — „Czyliż nie smutno ci wiecz-

nie tak wędrować? Spoczniesz na tronie mym, a na sercu mem dojdziesz do kresu błędnej swej drogi. Przestaniesz tęsknić, i oczy twe nie będą wiecznie spoglądały w oddal nieznaną.“ — „Myślisz?“ odpowiedziała, i oczy jej stały się bardziej marzące niż kiedybądź.


ról Kofetua rzucił się przed nią na kolana. — „Tyś moja tęsknota!“ zawołał, składając ręce, „o, nie daj mi umrzeć z boleści! Czyliż nienawidzisz mnie?“ — „Czemużbym cię nienawidziła?“ odrzekła. „Toć nic złego mi nie zrobiłeś.“ — „Bądź moją zatem,“ błagał król Kofetua. — Nie odpowiedziała, zachmurzyła się, wreszcie rzekła: „Nie kocham cię, królu. Miłość twoja bez wzajemności przeminie jak sen.“ — Łzy lały się pięknemu młodzianowi po zbladłej twarzy, stłumił wszakże łkanie, które mu piersi wznosiło, i szepnął: „Miłość moja, nawet bez wzajemności, nie przeminie. Miłość rodzi się z tego, żywi się tem, co daje, nie tem, co odbiera. Bądź moją, bądź moją!“ — Spuściła powoli głowę i rzekła smutnie: — „Weź mię więc, abyś dłużej nie cierpiał.“ — Bez słów, oszalały ze szczęścia, porwał ją na piersi.


zli potem przez martwe to miasto wielkich bazylik i pustych pałaców, kwitnących ogrodów i wiecznie pamiętnych grobowców, szli bezludnemi ulicami i weszli do świątyni, gdzie z migotliwego złota greckich mozaik białe procesye apostołów i proroków, niby postacie

apokaliptycznego poematu, wielkiemi źrenicami na nich spoglądały, a za nimi, z tegoż jaśniejącego tła, symboliczne zwierzęta, tu jelenie gaszące pragnienie u krynic, tam gołębie pijące z szerokiego naczynia, wynurzały się harmonijnie, zlewając poetyczny wdzięk swój z epiczną podniosłością ludzkich postaci na tych obrazach.



od baldachimem, okrytym przepysznemi haftami, na którego ciemno lazurowej głębi złote gałęzie, latorośle i kwiaty niewidzianych na ziemi roślin w pełnej wdzięku harmonii plotły się i przewijały, stał niedaleko wspaniałego sarkofagu tron ze słoniowej kości, mistrzowską rzeźbiony ręką, pełny wypukłych obrazów lwów i ptaków, winogradów i kłosów, świętych i aniołów. Na tronie siedział stary ksiądz, odziany w purpurę, z rękoma wyschłemi i pożółkłemi jakby z kości słoniowej, a połyskującemi całą skarbnicą prastarych pierścieni, iskrzących się szmaragdami i rubinami w mroku świątyni. — U nóg tego książęcia kościoła kląkł król Kofetua i ręką drżącą ze czci głębokiej, jak gdyby umarłego dotykał, pociągnął go za płaszcz purpurowy, prosząc, aby mu błogosławił i przed Bogiem z żebraczką go zaślubił. — Wstał pomału stuletni starzec i, jako ze snu zbudzony, zwolna otrząsał się z nieruchomości, opierając się o sarkofag z mar-

muru, bronzu i srebra, w którym widać było przez wązki otwór dotlewające, zczerniałe zwłoki rzymskiej augusty, siedzącej na nizkim stolcu z szyldkretu i konchy perłowej: próchno i popiół w świetności złotych klejnotów, pereł i drogich kamieni i w upokarzającej nicości i straszliwem osamotnieniu grobu!



siądz chwiejnym krokiem oddalił się od tego pomnika pychy i krótkochwilowości ludzkiej, uśmiechnął się w zamyśleniu do pięknych postaci króla Kofetuy i jego oblubienicy, postaci zdających się mówić tak dotykalnie o szczęściu, wiośnie i nadziei, zwrócił się ku ołtarzowi, zbudowanemu z przejrzystego alabastru egipskiego, przez którego rzeźbione, blado żółte jak księżyc ściany, gorejące wewnątrz srebrne lampy słodką, niby brza-



sków rannych światłość w półmrok kościelny rozlewały, i tam połączył ręce oblubieńców na związek wieczny.



ako w śnie, ujął król Kofetua, po świętym obrzędzie, żonę swoją w pół, posadził ją przed siebie na czarnego rumaka i w cwał popędził z miasta martwego, które za nim zapadało w mgły, ku zorzom nowego żywota. — Jechali długo niezmiernym lasem piniowym, z którego wonie biły ku niebu jak upajający dym z kadzielnic olbrzymich. Trawy wzdymały się i uginały, jak fale jeziora, a były pełne białych gwiazd, tak, iż zdało się, że droga mleczna rozsypała się w pyłki i jako śnieg w łono boru napadała. A ptaki śpiewały i wietrzyk szeleścił. Płaskie, szerokie korony pinij tworzyły coś, jakby ciemno zielone obłoki, kupiące się w długie, długie pasma, równolegle jedno nad drugiem, a w oddali słychać było szum morza, jak nabiega-



ło na nizki brzeg i znowu pierzchało w tył, w swe własne, nigdy nieukojone, nigdy miru nieznające łono...— Jechali długo piniowym lasem, aż wreszcie dojechali do dmących się fal tego morza, na którem korab' żeglarzy północnych właśnie w słonecznych kołysał się blaskach. Miał postać smoka złotego, a żagle jego były czerwone jak krew. I korab' ten zaniósł króla Kofetuę i żonę jego przez szumiące wód bezbrzeża na północ, gdzie zamczysko, groźne jak burza na wysokim chmurzyło się brzegu. Uroczysty był to wjazd, i nikt się nie dziwił, że król żebraczkę tę pojął za żonę, bo piękniejsza była nad wszystkie dziewy, jakie dotąd się były zrodziły.



zał radości bił aż w niebiosa, a dzwony nie przestawały wydzwaniać, i tylko jedna smutna była w zamku twarz— twarz króla Kofetuy. Nikt wszakże tego niemego smutku nie spostrzegał, prócz starego piastuna, i do tego rzekł król:—„Jak mogę szczęsnym być, gdy dusza jej gdzieś w nieznanych błądzi oddalach? Dała mi słodkie ciało swe, dała mi współczucie swe, ale miłości mi nie dała. Trzymam ją w objęciach — a jednak tęsknota ma do kresu swego nie doszła. Żona ma, acz na sercu mojem spoczywa, jest mi zawsze daleka!" — A piastun rzekł mu: — „Męczysz sam siebie, a nie masz przyczyny. Żona twa

miłuje cię, wierz.“ — Ale król wstrząsnął głową. — „Pójdź ze mną,“ rzekł, „a zobaczysz. Nigdy oczy jej nie utkwiły w moich, acz z utęsknieniem rozpacznem spojrzenia ich szukam. Pójdź, a zobaczysz.“



zwołał król Kofetua cały swój dwór, aby królowej oddawano hołd, i wiódł swą żonę do sali bursztynowej, i posadził ją na tronie ze srebra, nad którym brokatowy jaśniał baldachim, i kląkł u bosych nóg żebraczki, białych jak kość słoniowa a zakrwawionych niegdyś od nieskończonych przez świat pielgrzymek. U nóg tych złożył swą dyamentową koronę, i patrzał w górę ku żonie, i żebrał w niemym bólu o jedno spojrzenie. Ale jej oczy błądziły przez otwarte sali podwoje gdzieś w dali, gdzie między kolumnami z porfiru sine morze ku zamkowi prześwitywało, kąpiąc szumnemi wały marmurowe pałacu schody. — I bladł, bladł coraz bardziej król Kofetua, i zaciskał konwulsyjnie dłonie, i szeptał: „Miłość ma wzrasta przez to, że się stale oddaje. Wzrasta — ale trawi mnie, jak płomię trawi olej w lampie!“ — A tymczasem przynoszono królowej hołd czterech żywiołów. Naprzód matki naszej, wilgotnej ziemi. Dżdżyły róże i lilie, i wszystkie kwiaty niw, i młode kłosy pól na srebrny tron, a król Kofetua dodał do nich całą tkliwość swego zbolałego serca —

ale jej oczy, acz uśmiechała się słodko, patrzyły w dal.

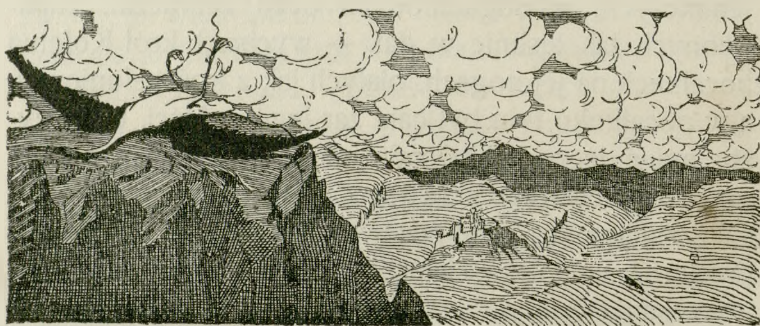


iesiono hołd żywiciela naszego, czystego powietrza. Słowiki i drozdy rozśpiewały się w bursztynowej sali, najczarowniejsze dźwięki skrzypiec i fletni przewiewały zamek jak chóry anielskie, a król Kofetua dodał jeszcze wszystkie lazurowe sny swojej duszy — ale oczy królowej, acz w uniesieniu złożyła ręce, patrzyły w dal. — Niesiono hołd koicielki wszech stworzeń, głębokiej wody. Polał się strumień cały jaśniejących pereł przed tronem, a król Kofetua dodał jeszcze wszystkie łzy swoje — ale ona, acz oczy jej wilgły, patrzyła w dal. —



apalono, jako hołd najpotężniejszego go druha ludzkości, świętego ognia, wszystkie wonności, przypławione z ziem obcych, dalekich do kraju, a gdy dymić jęły ze złotych i srebrnych kadzielnic i napełniły salę obłokami, przez które prześwitywała jeszcze tylko jasność morza i gwiezdna zorza tych dwu czarodziejskich, tajemniczych, nieodgadnionych oczu żebraczki, zapatrzonych tak tęsknie w dal, — wycisnął król Kofetua pocałunek na jej nogach, białych jak z kości słoniowej, a w pocałunku tym był cały żar jego miłości, cały czysty ogień jego duszy, cała młodzieńcza gorącość jego krwi i ostatnia iskra jego znicestwionego żywota. Jak złamana lilia leżał martwy na ziemi. — Rumieniec przeleciał, na dotknięcie ust jego, bladą jej twarz, i śród wyrzekania całego dworu lały się wdowie króla Kofe-

tuy gorzkie łzy z oczu; zajękła, siedząc na srebrnym tronie nieruchomie jak posąg, z dyamentową koroną na łonie, zajękła potrzykroć głęboko, ale oczy jej zamglone płaczem patrzyły jednak zawsze jeszcze w dal, w nieskończoność, w rozmarzoność, w zagadkowość, bo inaczej patrzeć na wieki nie było im dano...



Z „Rozmyślań.“



I.

Gdziekolwiek jesteś, chciałbyś odejść precz,
Aby gdzieindziej być tej samej chwili,
Rojąc, że w jutrznię los twój się przechyli
Na innem miejscu... To codzienna rzecz!

Gdziekolwiek jesteś, chciałbyś odejść w dal,
Bo wiesz, że nigdzie nie jest miejsce twoje —
I płyniesz, zawsze rozdarty na dwoje,
Bo płyniesz zawsze do nieswoich fal.

Gdziekolwiek jesteś, chciałbyś iść gdziebądź,
Gdzie ciebie niema, bo gdzie ciebie niema,

Niema twych smutków — i twa rozpacz niema
Już cię nie trwoży... Dalej, wiosło trąć!

Gdziekolwiek jesteś, wiecznie dążysz tam,
Gdzie cię już nigdy i nigdzie nie będzie,
Boś tam na miejscu — i zawsze — i wszędzie,
Boś tam u siebie — u wieczności bram.

II.

Potrącona życia falą
Dusza moja łka:
Łzy się palą — łzy kryształą —
Wokół szara mgła.
Błędne było życie moje —
Błędny jego kres:
Marzeń roje — niepokoje
I krynice łez.
Siebie-m winił — i nikogo:
Nieszczęśliwa gra!
Inną drogą płynąć błogo —
Moja ścieżka zła.
Wirem złote sny rozwiane
Otoczyły mnie:
Zapomniane, opłakane
Widzę bogi w śnie. —

III.

Żem niósł zbyt nieostrożnie swoje serce w świat,
Przeto-m dziś ukarany... Żem go nie krył, ślepy,
Lecz że je wystawiałem na ludzkie oszczepy:
Rozbiło mi je życie, jak pszenicę grad.

Jak obłąkaniec piłem każdy życia jad
I skarb mój roztrzaskałem wszystek na czerepy:
Rozwiałem je na chmury, wichry i wertepy —
I widzę, że sam sobie byłem zawsze — kat.

Gdzież serca mego żywy nie pozostał ślad?
Lub jego cień w osłonie całunowej krepy?
Jakież mię nie nęciły widma? jakie lepy?

Czy zdołam zebrać szczęty, by ujść nowych zdrad?
Ożywić zeschłe drzewo wiosennemi szczepy,
By w duszy mej się nowy zazielenił sad?

IV.

Wybudowałem most —
I dwa złączyłem brzegi rzeczne,
Iż mogłem wprost
Z tej strony iść w jutro bajeczne...
Zostały za mną kresy ciemne,
Pełne snów i pocałowań
I rozczarowań...
Ale, choć mi ich żal,
Muszę płynąć w dal —
W te krainy niepojemne...
Pragnąłbym iść z powrotem,
Lecz głos mi woła: Spal!
O, chciałbym iść z powrotem —
Za młodości słońcem złotem...
Lecz głos mi rzekł:
Zapomnij i idź w dal,
Idź wprost
Na tamten brzeg!..
...Przeszedłem na tamten brzeg —
I spaliłem most...

V.

Na wiekuiście zmiennem łonie fal
Ja żyję, wiekuiście zmienny twór —
— Proteusz, bóg wyklęty —
Wiję się, opętany, żądny wiecznie
Swojej formy ostatecznej,
Lecz która wieczną mi jest tajemnicą!
Otom jest żmiją, otom hipogryfem,
Oto białoskrzydłą mewą,
I naraz staję się syreną,
I harpią jestem, i gorgoną,
I eumenidą!
Znów hydrą, i likornem, i znów lewiatanem,
I sfinksem, i chimerą!
I duchem bezcielesnym, i materyą żywą,
I czasem, i wiecznością!
Akteon i Endymion,
I Meleager i Orest,
Tantal i Syzyf — to ja!

I znów się w bezforemne kruszę elementy,
Jestem wichrem i obłokiem —
I szklanem powietrzem, —
Rykiem, poświstem, melodyą,
Tęczą, złotem, światłem,
Czerwienią, zielenią, błękitem,
Smutkiem i rozradowaniem,
Tęsknotą i rozpaczą!
Na wiekuiście zmiennej toni fal
Ja — Proteusz — bóg wyklęty —
Przelewam się w elementy,
W kształty i twory,
W ognie, dźwięki i kolory,
W oddechy, trucizny, potęgi,
W zielonych niw widnokręgi,
W nereidy i w trytony!
...O, ten szereg przemian nieskończony!..
W nieskończoności się toczę
Przez niepochwytne uźrocze,
Coraz odmienny i nowy...
I nigdy nie zakończę tej wiecznej odnowy,
A każda zmiana — to wieczysty kłam,
Bo Proteusz bóg wyklęty —
Choć wiecznie inny — jest wiecznie ten sam!

VI.

Żem się sto razy rodził, umierał sto razy:
Przetom dziś umęczony życiem tylokrotnem
I śmiercią tylokrotną... A lodowe głazy
Rosły mi wciąż w tych przemian wirze kołowrotnym.

Przetoż za każdem nowem mojem zmartwychwstaniem
Nowy świat oglądałem i nowe plemiona —
I obce jakieś twarze — i obce otchłanie —
I wiecznie mię tęsknota gryzła nieskończona...

Przeto wszystko mi zda się coraz to odmienne —
I coraz bardziej obce — i bardziej znikome —
Więc wlokę utrudzone moje nogi senne
Między krainy coraz bardziej nieznajome...

I o jeden cud błagam Tajemnicze moce,
Bym się mógł raz urodzić na świat ostatecznie
I umrzeć ostatecznie... By zwalczyć te noce,
Co w ciemne kołowroty rzucają mnie wiecznie...

VII.

Śmierci, jam cię we wszystkie przyozdobił wdzięki,
We wszystkie kwiaty marzeń i wszystkie nadzieje...
Czy znajdę w twem królestwie czarowną Eeję,
Gdzie Cyrce niewidzialna leczy duchów jęki?

Czy znajdę zapomnienie to i ukojenie,
Którego tak potrzeba duchom umęczonym:
Może tam, za tym progiem istnienia zamglonym,
Niema nic? Może śmierć — to najwyższe złudzenie

I kłamstwo niepojęte... mrok i sen kamienny
I próżnia — i zaprzeczeń wieczysta bezlicość —
I zgnilizna bezduszna — i nicość — i nicość!..
Śmierci, a jam cię przybrał w złoty płaszcz bezcenny!

VIII.

Życie zagadką ci jest, lecz za dni żywota
Żaden ci duch tajemnicy owej nie rozmota,
Bo jakibądź jest ten świat, zbyt go oko w oko
Oglądasz, że zda ci się widmową powłoką.
Roisz więc oto, że śmierć zasłonę odchyli
I powie ci, co niepojęte było w danej chwili.

Lecz nowa cię — któż wie — tam zagadka pochwyci:
Czem jest śmierć? Tajemniczych pełne nici
Otacza cię nieustające w ruchu koło.
I gdy się w prochy już rozpadnie twoje czoło,
Zapomnisz pytać, czem jest życie, — i nanowo,
Czem jest śmierć? wołać będziesz — równie bezechowo.

IX.

W sercu mojem się toczy planeta umarła,
Co miała niegdyś wielkie zielone przestwory —
Gdzie kwitła biała Grecya i Roma żelazna,
Gdzie huczały wulkany i śpiewały pszczoły,
Złociły się uśmiechy i promienie zorzy.

I wszystko to zamarło — i wszystko zastygło,
I stałem się grobowcem, co ma w sobie trupa,
A choć to, co umiera, wyrocznią mogilną
Na śmierć jest przeznaczone — przecież owa głucha
Planeta skamieniała do łez mię porusza.

I chciałbym ją ożywić, by mogła zmartwychwstać,
I nieraz dnie i noce nad tą pracą trawię,
By obudzić tę zmarłą — i by ją zapytać,
Jakie tam przebiegała tajemnicze dale,
Bo umarli w nieznanej przebywają prawdzie.

I te umarłe prawdy mają życie wieczne
I rządzą naszą duszą i naszemi słowy —
I wszystkie nasze czyny od nich są zależne —
I to jest ów ukryty byt nasz nieświadomy,
Co huczy w nas czasami jak zaklęte dzwony.

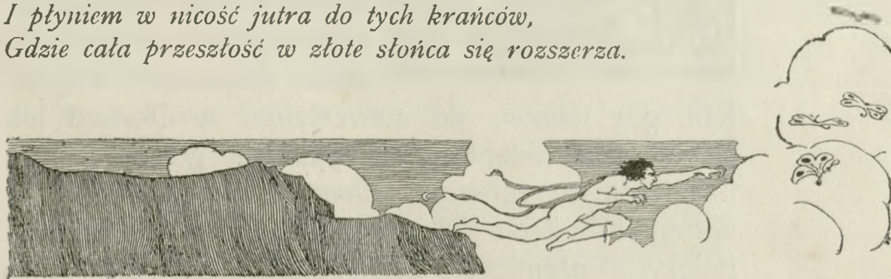
X.

W każdej chwili żywota jesteś w przededniu mogiły,
Jako wieczysty więzień, co kosy czeka śmiertelnej:
Czuwaj! Przygotowany bądź — i wszystkie siły
Zbieraj, byś wobec niej stanął nieskazitelny.

Jesteś jako skazaniec, co z ołowianych podziemi
Wchodzi na marmurowy Ponte dei Sospiri,
Gdzie cię kat zatrzymuje, byś spojrzeniami ostatniemi
Morze szerokie pożegnał — i marmury — i niebios szafiry.

I ogląda skazaniec — jakie to skarby zatraca —
I co mu niegdyś się zdało liche i obojętne,
Teraz ma tajemnicze kolory odświętne —
I marzeniem, wspomnieniem, tęsknotą się w oczach wyzłaca.

Tak my ciągle wchodzimy na jakiś most skazańców,
I opuszczamy cudowne jakieś weneckie pobrzeża,
I płyniem w nicość jutra do tych krańców,
Gdzie cała przeszłość w złote słońca się rozszerza.



A. Lange.

Tajemnica lorda Singelworth.

I.



zy rzeczywiście były jakie ziemie Singelworth, we ważności baronii nadane przodkowi w linii prostej męża, o którym to moje wspomnienie zapisuję? I czy przeto ceremoniał ekscelencyi lub lorda tytuł były komu ze Singelworthów na potomność przyznane? Czy zatem, gdy takowy do uniwersytetu w Oksford lub Edymburgu wstępował, przyjmował go był rektor i profesorowie, mówiąc: „*Domine Singelworth*"*?* czy następnie brał on był udział w parlamencie? zasługi położył — ożenił się z damą równie świetnego pochodzenia jak blask jej włosów blond, dzieci miał z nią

i umarł...? Czy też raczej Singelworthowie byli zacnymi właścicielami rękodzielni, wyrabiającej perkaliki albo rzeczy cynowe i stalne?... Wszystkie te i rozliczne inne, z onychże pochodzące zapytania ażeby zaspokoić, należałoby nie ulotną kreślić *nowelę*, za zadanie mającą wyjątkowe jakie spostrzeżenie psychologiczne utrwalić obrazem wiernym, lecz należałoby rzeczywiście być romansopisarzem w rzemiośle swem uzasadnionym i w sztuce biegłym. W tamtem pierwszem albowiem zadaniu starczy, gdy uręczymy, że we wszystkich wielkich hotelach Europy i Wschodu mówiło się powszechnie „lord Singelworth" i że tak brzmiało jeszcze przed samemże przybyciem osobistości podróżnego, którego uprzedzał zwykle *major-domo* i aeronauta z pomocnikami i z przyborem do puszczania balonu.

Nieinaczej też zaszło i w Wenecyi w hotelu pod *białym lwem,* gdzie od wielu już dni wylądował był i aeronauta z przyborami zatrudnieniu jego właściwemi i *major-domo* lorda. A skoro pierwszego i pierwsze odesłano na wyspę *Lido,* zkąd swobodnie dawa się puszczać balon, i skoro drugi objął przygotowany apartament, przypłynął nareszcie osobną gondolą lord Singelworth, wstał, wystąpił ze smukłego i czarnego statku na lizany słoną wodą kamień progu i obojętnie wszedł do siebie, nie jak się gdzie przybywa, lecz jak się wraca.

Aeronaucya kilkadziesiąt lat temu nie była upowszechnioną tak rzeczą, jaką się ona dziś komu wydawać może; wszelako i współcześnie, gdyby kto nieod-

stępnie ze sobą balon woził dla swej osobistej przyjemności i takowego codziennie o tej samej godzinie i nieledwie minucie używać nie omieszkiwał, istotnie, że dawałby pole do domniewywania ochotnego przyczyn takiej pilności. To też gdziekolwiekbądź Singelworth bawił i wertykalnych swoich a codziennych wycieczek dopełniał, wszędzie i zewsząd, stosownie do zgadobliwości miejscowego umysłu i pochopów humoru, opowiadano, głoszono, zaprzeczano i uręczano, iż te a nie inne są powody znanych lorda zachodów lub ćwiczeń. I czy to nad lekkiemi Kairu albo Konstantynopola minaretami balon jego wznosił się, czy nad złotemi i ciężkiemi kopułami Moskwy, czy nad Wiednia lub Paryża mrowiem, wszędzie i zawsze, z wyjątkiem dni zabawom publicznym poświęconych, doścignany bywał powietrzny podróżnik to głębokim domysłem, to bystrym dowcipem, to nareszcie trywialną anegdotą. Pociski te jednakże obijały się ostatecznie o drzwi twarde zamkniętej tajemnicy. *Plotek,* we właściwem tej nazwy poziomej znaczeniu, być mogło w Wenecyi więcej, aniżeli w innem jakiem mieście. Owoczesny despotyzm władzy austryackiej musiał mieć tę nieodłączną od siebie ostrożność, granic naturalnych nieznającą, która czyni, iż lada poszept, rosnąc szybko, nie spotyka także swych naturalnych granic, i że im bywa więcej uwstręconą wolność opinii jawnie i swobodnie wyrażanej, tem głębszej, donośniejszej i bardziej piorunnej siły nabierają przemilczenia, niedopowiedzenia, mgnienia powieki, chrząchnięcia i kichnięcia!... Felietonista któryś w Paryżu

napisał był, iż aeronautyczne lorda Singelworth wycieczki powodowane są jedynie staraniem około hygieny osobistej i że domysł ten potwierdzają *necessery*, jakie w podbalonowy kosz, uważano, gdy były pakowane. Nadto, sztathalter prowincyi wschodnio-pruskiej hofrat Schwantzmeyer, który równolegle i równocześnie do podniesienia się balonu lorda wysłał był utwierdzony na linach balon rządowy, ze sobą unoszący bystrego dyrektora policyi i przysięgłego adjunkta z obserwatoryum, uzbrojonego mocnemi lunetami, — zatwierdził był podobno w swoim raporcie do Berlina, iż we wycieczkach wiadomych niema nic zagrażającego stanowi rzeczy. Że z jakniebądź staranną delikatnością wnoszone do balonowego kosza puzdro nie zawiera przecież przez to samo prochu strzelniczego ani żadnej materyi palnej, lecz że obejmować się zdaje sprzęt cenny a łomliwy, jakby np. etruską okrągłą wazę albo porcelanową. I że wszystko, czego adjunkt obserwatoryum najstaranniej przez lunety dociekał, odnosić się zdawa do najosobistszych lubo oryginalnych lorda zwyczajów. A jakkolwiek niemiecki jeden profesor w Heidelbergu wniósł, iż lord Singelworth meteorologiczne zbiera postrzeżenia, dotyczące oddziałań, które zachodzić mogą pomiędzy miejscową masą atmosfery wyrabianej życiem i ruchem miast wielkich, a pomiędzy naturalnem kolumny atmosferycznej parciem, i że przeto właściwiej powinienby być postrzegacz zachęcanym niż szydzonym; jednakowoż owo pierwsze felietonisty francuskiego zeznanie, obostrzone raportem sztathaltera, tak szerokiego

i trwałego nabrało było rozgłosu, iż domysły wszystkie przy niem gasły. Rzecz dziwna! jak uznanie masy przenosić się może łatwiej na to, co z pozoru na wiarogodność żadną nie zasługuje... W Wenecyi twierdzenia te i tłómaczenia stały się powszechnemi tak dalece, iż do ostatecznych krańców popularności miejscowej wraz dobiegły. — Czyli, że improwizator publiczny *Sior Toni di Bona Grazia* *) — osoba historyczna, którą wielokrotnie słyszeć miałem przyjemność, policzył był historyę aeronaucyi lorda do przedmiotów swoich genialnych konferencyj, na zaludnionym pod wieczór placu Ś-go Marka zagajanych. Co zaś Toni di Bona Grazia zmierzył okiem, z cieniu galonowanego trikorna iskrzącem, co wyseplunił wargami arlekina (atoli Arlekina klasycznego z czasów etruskich), czemu nadał ton, potrząsając na swoich piersiach wielkiemi dekoryacami, z kłów wieprzowych, muszli i błyskotliwych blaszek udziałanemi, to, nie trzeba myśleć, ażeby, znikomem parsknięciem śmiechu będąc, przemijało jak klask i piana uderzonej wiosłem laguny. Zda-

---

*) *Toni di Bona Grazia*, znany i ulubiony wenecki improwizator, niezbyt dawno zakończył swój żywot. Ilustrowane czasopisma podały wizerunek jego w całej figurze i w odzieży, jaką zwykł był przywdziewać, który jest podobnym. Lecz co do tekstu przy onym rysunku, śmiemy utrzymywać, że kilka rysów w tej naszej noweli spotkanych i wierniej i właściwiej malują tę postać i jej talentu rodzaj.

Przyp. aut.

rzało się owszem, że i dygnitarze austryaccy nieopieszale raczyli się byli wsłuchiwać w te wulgarne mówienia, których sól, jakkolwiek dobrze licencyami gminnemi zaprawna, dawała się jednak niekiedy napotykać nawet i na eleganckim stole gubernatorowej Wenecyi, hrabiny P....

Improwizatora popularnego zadanie, w kraju podbitym i w stolicy nieledwie marsowem rządzonej prawem, zaiste, że nienajłatwiejszą rzeczą być mogło. Trudności w tym względzie spotykane ułatwiało mu jedynie to obszerne *buffo,* w które się, co chce, wmieścić dawa, ale które właśnie dla wielkiego swojego rozszerzenia musi być płaskie. Śród tak małej dziedziny politycznego i literackiego życia każda barwna nowinka stawała się uwagi godną treścią. Improwizator względem przybycia lorda Singelworth postawił się jako obrońca sławy osobistej podróżnika.

„Dopókąd-że", mówił Toni di Bona Grazia, „dotykać będą nierozważnie latającego na powietrzu, którego *dotknąć* niepodobna? I do myślenia dawać będą: jakoby ktoś nad najznakomitszemi na świecie miejscami dlatego tylko unosił się, ażeby tam warunków poziomych hygieny dopełniać... ażeby (mówię) *splunąć z góry!*... i do innej stolicy albo do innego historycznego miejsca po toż samo udawał się?! — Jestże podobieństwem, ażeby sam widok monumentów stolicy jakiej nie poruszał ducha i serca? Wieże wysokie świątyń, łuki tryumfalne, kolumny zwycięzkie nie mają-ż uroczystej siły zachwytu?... Wprawdzie..." *i tu monologista biegły odmieniał nagle głos jak*

gdyby ktoś z za sceny wdał się w rozmowę, „wprawdzie, ażeby starożytną lub ubiegłą zachwycać się swobodnie tryumfalnością, należałoby usilnie zapomnieć, iż z tych gotyckich wież, z tych tryumfalnych łuków i kolumn, tego rana, wczora i w różne onegdaje, zrzucali się rozpaczą gnani śmiertelnicy nieszczęśni i podobno że zrzucać się dziś jeszcze zamyślają lub będą jutro *). Atoli, i przez takowy deszcz krwi i łez patrząc na architekturę piękną, można nie być nieczułym estetycznie!..." Tu Toni di Bona Grazia kichał silnie i powoli wyciągał z kieszeni szerokiego fraka chustkę jaskrawej barwy, a po użyciu onej tak dalej rzecz prowadził:

„Starożytne gmachy, np. więzień naszych, *Piombi* lub *Most westchnień*, z góry widziane, podobno, iż wydają się oku jak pełzające płaskie robactwo: ale nie myślę, ażeby cztery konie Świętego Marka, kiedy zarżą płucami złotemi i zachwieją grzywami z koryncktiego bronzu w słońca blaskach, widokiem były obojętnym! Tego jednak z wysokości wielkiej nie baczy się — jest to znikający w masach ciemnych wyjątek!... Lecz nie należałożby właściwiej podzielić

---

*) W niektórych miastach Europy możnaby z rzeczywistością statystyczną wykazać, ile na rok zrozpaczonych samobójców zrzuca się z jakiego monumentu dla roztrzaskania sobie czaszki — tak, iż nie od razu przytomny widz zgadnąć może, z jakim rodzajem uczucia godzi się oglądać i podziwiać te wzniosłości.

Przyp. aut.

i uzasadnić mniemanie, iż powietrzny *latawiec* ma w sobie jedną z tych głębokich historycznych tajemnic, które się dopiero po wiekach wyjaśniają. Znam wszelako przyczynę, dla której o tem się nie myśli... Twierdzą ludzie wytworny *nos* mający, iż upadł na wyspę Murano papier z balonowego kosza upuszczony... ten papier, dla niepróżno *nos* mających, miał wytłómaczyć wszystko!... Papier niezapisany czy jednakże podobna, ażeby tyle wysłowił? — — — Jest to podobna! o! świetna publiczności... jakkolwiek bowiem Wy! lubo słusznie, odwracacie oczy wasze od śmietników, mnie zdarzało się w głębokiem zadumaniu nad niemi stawać i odczytywać dzieje godzin ubiegłych z tych okrytych kurzawą palimpsestów! — Tu atłasowy ongi trzewik, konwulsyjnie skręcony, opierający się na stłuczonej butelce — tam guzik munduru wojskowego przeświecający z pod szczątków miotły — ówdzie siódemka czerwienna, as treflowy i wizytowa karta, połamane... dalej fiołków bukiet, który oto błędna i niedowierzająca kotka wącha... w pobliżu kałamarz pusty i nadużyte pióro, nieudolnie silące się podrywać z powianiem wiatru!... Szczątki te śmietnicze opowiadały mi były nieraz długie i zawiłe przypowieści — kto wie, ażali Muza moja nie była kiedyś szyfonierką!?... I dlaczegożby więc ów mały papier, który upaść miał z pod balonu na plac w Murano, nie mógł zdradzić lorda tajemnicy??... — Nie ubliży się wcale policyi Państwa Apostolskiego, że bywają w niej *nosy* tak dorodne, jakie i pomiędzy Neapolitańczykami spotkać niełatwo!”

Tak gdy improwizator zamykał rapsody swoje, upadały pieniążki na rozesłaną przed stopami jego na bruku chustkę. Słuchacze się zwolna usuwali — damy wielkie, przechodząc mimo, posyłały służącego, ażeby dorzucił garstkę monet do kasy zwijającego się teatru — oficerowie austryaccy ze staranną grzecznością przystępowali do dam i uwiadamiali je o wojskowej muzyce grać na placu mającej — gołębie raz jeszcze przeleciały nad tem wszystkiem, a zapewne na ten dzień raz ostatni, i Wenecya, nazbyt będąc oryginalną, ażeby mogła być ostatecznie ujarzmioną, pozostawała tem samem dziwnem miastem: miastem, w posadach swoich mającem pierwowieczną lakustralną konstrukcyę na palach; potem targiem rybaków i uskoków schronieniem; potem jeszcze miastem kramarzących z fenicka przedsiębiorców, związanych nareszcie w Republikę bynajmniej nie Spartańską, ale owszem noszącą bisior szeroki, który leniwo wlókł się za złotym jej sandałem, nieco na azyacki lub wschodni sposób szpiczastym i w górę podkrzywionym; miastem, które zaiste że przeżyło *idyllę, dramę*, nadużyło *tragedyi* i *komedyi*, i które, jako znudzona już wszystkiem wielka dama, pozostało piękne i czarowne: pochylając się co noc ku lagunom, gdzie przepadają kręgami złotemi gwiazdy drżące jak dożów ślubne pierścienie. A dla wszystkiego tego jednakże podziwu się ma więcej, niż żywego spółczucia człowieczego!...

O, historyo!...

Niemniej przeto znać tam mogłeś niemało pra-

wdziwych potomków patrycyatu, którzy milczeniem, taktem i dumną cierpliwością przyjmowali obcy rząd w ojczyźnie.— Tacy żyli w Wenecyi, jak gdyby w niej się znaleźli wygnańcami, a że bywało, iż niektórzy część tylko pałaców własnych utrzymywać mieszkalnie potrafiali, reszta gmachów pozostawała rozwaliną, — i ruinę własnej historyi za swojego dobrego miewali sąsiada.

Do tych jeżeli uczęszczałeś, wietrzyły się przed oczyma twemi butwiejące karty kronik Rzeczypospolitej i dawnego życia obrazy przeświecały. Jakoż, że do każdego z pałaców zarówno można dojść przez labirynt ciasnych od tyłu uliczek, jak gondolą dopłynąć od głównego wnijścia i od kanału, — skoro się przeto ową pierwszą i bardziej poufną drogą przychodziło, musiałeś odczytać naprzód ginące w murze małe wnijście — dotykałeś gałki bronzowej — drzwi otwierały się i wchodziłeś na średniowieczny pusty dziedziniec, zewsząd kamieniem słany. Jeżeli przyjętym nie mogłeś być, spuszczał się bezosobiście kosz na linie—wkładałeś weń kartę swoją i wychodziłeś nie widząc nikogo, a wszystko w ciszy, coś inkwizycyjnego, staro-weneckiego w sobie mającej. Lecz gdy owszem przyjętym byłeś, dolatał cię naprzód wywrzask papugi, i wstępowałeś potem po mozaikowych schodach, przedstawiających herby rodowe, częstotliwie złotym Dożów płaszczem obrzucane dokoła i dukalną ich czapką z góry pokryte. Wprawdzie gondolierów dwóch śpiewających Tassa rapsody (w dyalekcie weneckim) poszukiwało się bardziej w tem czarownem mieście, niżeli się wzdy-

chało do świata, do którego byłoby właściwiej, gdybym powiedział, że się powracało tylko wieczorem. Zaś i to jeszcze nawet, jak się powraca i wylądowywa na *Piazetta*, gdzie odgadujesz zdala śród przechodniów mantylę znajomą albo wstążki pomieszane z wachlarzem, z niesfornym puklem włosów i ze srebrnemi włóknami promieni księżycowych...

Niemniej przeto odwiedziny twoje u weneckiego patrycyusza ofiarowały ci były zwykle wzajemne uprzejme i swobodnie stręczone zawdzięczenia. — Parę razy w tygodniu pod okna twe podpływali, bywało, czarni wioślarze od pałaców, ty zaś, do leżącego w gondoli gościa ze stosownym gestem gdy rzuciłeś staro-wenecki wyraz *„s-ciao" (schiavo)* — „twój niewolnik!" czyli *„uniżony sługa mojego pana!"* i takież samo *„ciao"* ze słonym powiewem lagun do okna gdy odebrałeś, — zbiegało się rączo, rzucało w gondolę i płynęło śród klasku wioseł z rytmem ich, jak kiedy poeta, lubo nie obmyślił ściśle ram i wszystkich efektów utworu swego, wie jednakże, iż ten się wykoleić mu nie podoła z twórczej jego energii. W dnie zaś wycieczek tak mało obmyślanych nie domniemywałeś już, gdzie śniadać lub obiadować będziesz. Zarówno albowiem zdarzyć się to mogło gdzieś na krańcach przedmieścia z rybakami przy brzęku prostych szklanek wina, lub też, po wczesnym powrocie na łono miasta, u stołu którego z hotelów wielkich, śród wykwintnych dam i cudzoziemców.

II.



o jest tak dalece trywialne," mówił dziś przy właśnie-że opuszczonym długim stole w hotelu *lwa białego* hrabia Antonio della Brenta, „to tak trywialnem jest, że zaledwo w brukowej improwizacyi naszego lubego di Bona Grazia ujść może..."

„Wielce przepraszam, że zaprzeczę!" odpowiedział kawaler di San Luca, wzięty wenecki doktór. — „Lord, chociażby nawet rzeczywiście miał jedynie na celu uregulowanie żołądka swojego przez heroiczną i peryodyczną zmianę atmosfery, nie zasługiwałby bynajmniej na pośmiech u pokornie i nieco głębiej zastanawiających się nad człowiekiem!.."

„— Ależ ów *papier — papier!* bez napisów i jedynie czytelny dla nosów cesarsko-austryackiej policyi...“ zawołał zbyt głośno D... (którego *wielkie weneckie nazwisko* przemilczamy, ażeby go w poziomą rzecz nie mieszać).

„Papier! i czyli istotnie piśmienny papier?“ szeptać zaczęto...

Dama u przeciwnego końca stołu, która jeszcze się była zatrzymała zarazem dla dziewczynki i dla deseru, wstała, wzięła dziecko za rączkę i wyszła zwolna, poszukując ręką drugą chustki do nosa. Dziecko się na pomarańczę oglądało. — — Rodzice częstotliwie nie chcą gorszyć dzieci rozmową pustą wtedy, kiedy one przedewszystkiem o pomarańczach myślą! I przerywając im ich marzenia słodkie i wonne dla uchrony od czegoś, względem czego zupełnie są one obojętnemi, unoszą dla siebie samych wzgląd i uszanowanie. Naśladować tak jałowego przykładu nie zamierzamy tu w opowiadaniu naszem, tem bardziej, że wydaje nam się krytycznym pewnikiem niezachwianym, iż takowy pisarz lub artysta, który musi odrzucać treść rubaszną, albo treść mogącą powalać białość papieru i sklepową jego zniweczyć świeżość i wonność, zaiste, że nie wiadomo od czego jest artystą? albo pisarzem? Dopiero umiejąc wszystko wypowiedzieć, jest się wolnym, a bez tejto wolności sztuka nie może mieć istotnego ruchu i życia, stawając się powtarzaniem tylko i stosowaniem zdobytych wpierw lokucyj. Że deserowego wina udział, czarna kawa i cygar dym podrażniły cokolwiek stronę nerwową sprzeczki o cel istot-

ny balonowych wycieczek lorda, to jest następstwem zbyt potocznem, ażeby zasługiwało na baczenie. —

„— Wyznać wszakże należy...“ mówił D..., „że są na globie miejsca tak bardzo niezdrowe z różnych powodów, iż ówdzie nie byłoby wcale dziwactwem uregulować co dnia siłę trawienia w warunkach swobodniejszych, powracając przeto i silniejszym, i przytomniejszym.“

Sposób ten widzenia spotkał potwierdzenie u kawalera di San Luca, wyrażone naprzód podniesieniem brwi a potem całego czoła poruszeniem, inne jednak osoby wnosić zaczęły, iż D... przechyla się na stronę tych, którzy za cel wycieczek lorda kładą interes osobistej jego hygieny, nie zaś meteorologiczne spostrzeżenia. A gdy, skutkiem tak wyraźnie i rozdzielnie postawionych opinij, coraz to uporniej zamieniano przeczenia, doszło do *zakładu*, i postanowiono nawet bardzo niezwykłą onego cenę. Ceną miał być złocony statek maskaradowy, który się na przybliżony właśnie dzień św. Marka przygotowywał i którego właściciel zamierzał sobie pierwszorzędny udział wziąć w regacie. Nie szło więc już o samo rozstrzygnięcie węzła wątpliwości, tyczącej obyczajów oryginalnego jednego anglika, ale szło o rzecz wenecką, i niecodzienną, czyli: pod czyjem nazwiskiem w dzień narodowej regaty św. Marka zajaśnieje na kanale wielkim świetna, złocista nawa?.. Moje zachowanie się podczas sporu, do tej szłego doniosłości, że być mogło zbyt obojętnem i wyłącznem, uważałem za właściwe przynajmniej kilkoma stosownemi wyrazy wziąć w nim udział. Wniosłem

przeto, iż rzecz sama przez się nie bardzo postąpiła, albowiem pozostawa pewne źródło posiąść, z któregoby zakładowe strony dowiedziały się, kto wygrywa?.. Spostrzeżenie zanadto proste, ażeby wygodnem było dla tego, który je zrobił, obróciło więc na mnie obowiązek praktycznej rady pod tym względem. A dolegany pytaniami, co i jak w tej mierze począć, wniosłem jeszcze, iż należy się poprostu odwołać do samegoż lorda, — że niemniej prostą rzeczą od nas a przystępną dla anglika jest użyć ku temu delegacyi od wszystkich opiniujących — tejże zaś, jako umocnienie, dać to, iż zawiązał się cenny zakład.

Rzecz, skoro się tak uwyraźniła jak wysokość mostu Rialto, i skoro przeto bytu jej przyczyn zaprzeczać nie można było, uważano za dobre mnie jako delegata naznaczyć, bo w zgromadzeniach radnych ten zazwyczaj, który wykazuje brak lub usterkę jaką obradowania, bywa koniecznie używanym do zaspokojenia słabej strony, którą wykazał. Gdym zaś zasłonił się nieco uwagą, iż delegacya nie może być na jednej osobie ograniczoną, lecz że winna mieć świadków i kontrolę swego postępowania, raczono mi dołączyć D..., hrabiego della Brenta i kawalera di San Luca.

Zebrałem przeto zaraz karty wszystkich deputacyi członków i do *major-domo* lorda posłałem z uwyraźnionem jasno i grzecznie zapytaniem, czyli i kiedy przyjąć nas lord Singelworth potrafi? A lubo ufający w następstwo przyzwoite, nie wiedziałem jednakże, co pozostałoby do zrobienia w razie odmowy i *jak przyszłoby to „wy-euripidować?..“* (Arystofanes

w Acharnach, przez usta Nikiasa). Niebawem wszelako z tej małej niepewności wywiódł nas *major-domo* lorda, który, kartę jego przyniósłszy, nas delegowanych uwiadomił zarazem o wyborze godziny przedśniadannej dnia następnego, i że ta może być na recepcyę deputacyi najwłaściwszą, będąc najmniej odległą.

Jak spędziło się resztkę dnia owego? Na to administracyjnie odpowiedzieć można bez trudności w każdem innem mieście, które swojej wyłącznej *misyi* nie ma; lecz Wenecya ma misyę świadczenia człowiekowi, że jest fantastyczna sfera życia, że stolica nie jest tylko samem zcentralizowaniem administracyjnem kilku biur, — że plac może być salonem, bo to zależy od przechodniów i onychże obyczajności, — że na kościele katolickim mogą igrać cztery brązowe konie rydwanu Apollinowego, nic nabożeństwu nie szkodząc... I że przeto śmiertelnik na tym świecie nie jest tylko rodzajem nadkompletnego urzędnika, pełniącego o swoich godzinach własne albo cudze interesa, ale że i godność żywego członka bytu we wszech-stworzeniu posiada, a przez to samo może się i zadumać, i za-rozmawiać, i zabawić!..

W dniu jednakże następnym, ściśle o godzinie naznaczonej, znaleźliśmy się wszyscy u progów lorda, przez które nas dosyć ceremonialnie wprowadził do salonu *major-domo* i tamże na bardzo maleńką chwilkę samych zostawił. Czas miałem spojrzeć dookoła, to unosząc wrażenie, że najmniejszego śladu ani użytkowania, ani życia w tym salonie wcale nie było. Żadnej

kartki muzyki, żadnej książki, albumu, ryciny... karty wizytowej, etc.... Posadzka, jedynie, mozaikowa, odźwierciadlała wszystkie meble, polerowane jak kryształ, zaś poutwierdzane w ścianach weneckie zwierciadła odzwierciadlały znowu wszystkość, a ta, razem, więcej jasną i świetną była, niż uroczą.

Gdy lord wszedł i gdy zamieniliśmy ukłon, *major-domo* ustawił po dwa fotele z obu stron siedzenia gospodarza, ja zaś począłem prezentować Delegacyę: — naprzód D.... z monumentalnem jego weneckiem nazwiskiem, potem Antonio della Brenta, doktora di San Luca i samego siebie. Lord dał uważyć, iż we wszystkich nas rozpoznaje spółbiesiadników u jednego stołu, poczem zajęło się miejsca, — i zacząłem:

„Milordzie! więcej niż zbytecznem mogłoby być, gdyby się sprawozdawało, iż balonowe wycieczki Waszej Ekscelencyi nie dziś dopiero i nie w tem jednem mieście zwróciły uwagę publiczności, i że o celu ich domysły, będąc przez dzienniki głoszone, nietylko policzają się już do objawów opinii, ale nawet formują jakoby dwa stronnictwa, dwie szkoły. — Jedna z onych chce mieć za cel wycieczek spostrzeżenia meteorologiczne; druga ogranicza te egzercycye do potrzeb najosobistszej hygieny, i to nieledwie żołądkowej... Jednych i wtórych opinie do niczego nie obowiązywałyby nas wcale, gdyby nie to, iż znakomity *zakład* urósł na tak rozdwojonem zdaniu. *Zakład* zaś, Milordzie, słusznie ważonym bywał zawsze w obyczajowem prawie powszechnem Wielkiej Brytanii (bo po-

dobno, że zakład jest nawet jedną ze starożytnych form pierwszego prawa Celtycko-Bretońskiego i Anglo-Saksońskiego...). Jeżeli więc w tem, lubo potocznem wydarzeniu uciec nam się wypądnie, Milordzie, do stanowczego rozsądzenia Waszego, *która wygrywa partya?* niechaj to przy błahej treści swojej nie wyda się być mało-uważnie przedstawionem."

— „Sprawiedliwie sobie przysądzić wygranej nie będzie mogło i nie może żadne z dwóch stronnictw do zakładu doszłych. Względy albowiem czy to meteorologicznych spostrzeżeń, czyli ćwiczeń hygieny wcale nie stanowią *celu* głównego. Co do pierwszych, należą one do aeronauty mojego i spółpracowników tej osoby, zaś co do drugich..." — i tu się lord obrócił do kawalera di San Luca — „mogę sobie oddać tę sprawiedliwość, iż dobrze przed mojemi balonowemi wycieczkami dbałem pilnie o uregulowanie sił trawienia. — Owszem! — wypadałoby powiedzieć, iż gdybym pierwej do takiej doskonałości nie dostąpił, wycieczki moje balonowe ani mogłyby być tak peryodycznemi, ani dawać tak pełnego zadowolenia. Cel wszelako onychże nie jest z tej sfery. — — Niestety! dla Europejczyków kontynentalnych muszą być tajemnice, mają oni albowiem to wspólnego z murzynami, *iż ze wszystkiego się śmieją, czego odrazu pojąć nie są w stanie.* Skoro więc niemożna dozwolić, ażeby wszystko się obracało w śmieszność, pozostawa *milczeć* i ztąd się nasuwa *tajemnica...* Lecz u tychże, tak łatwo śmiejących się jest w zamian piękne uczucie poważania z wielką łatwością donośnych

imion historycznych; będę więc umiał choć tem sobie posłużyć i pomódz na swojem miejscu, kiedy, w zupełny wykład celu mojej aeronaucyi zapuściwszy się, napotkam gdzie trudności, na uprzedzający śmiech zwykłe wykładającego rzecz nową narażać. — Przyczyną główną codziennego używania aeronaucyi jest moje *pojęcie o czystości,* — celem jest *czystość.* — Szlachetni panowie i cała spółczesność pojmujecie czystość jako *zaprzeczenie nieczystości.* Odpowiednia doza perfum staje w przeciwieństwie względem dozy odpowiedniej rozkładowego fetoru, jest to dla was czystym oddechem, bo taki już macie nerwów ustrój. Pewien rodzaj dualizmu powonienia i aspiracyi wyrobił się już wokoło was, i tak jest w ludziach, jak u niektórych pokoleń na Kaukazie rozdwojenie na zło i dobro pojęcia bóztwa! Tymczasem miasta wasze, siedziby i społeczności sklepią się, budują i rozwijają na kloakach... Te wykwintne kuchnie, które co dnia pod wieczór buchają aromatem wonnych przypraw i sosów, mają pod posadzkami swojemi trzęsawiska zgnilizny; — te ponętne błyskotem swym i elegancyą salony, gdzie równie lekki jak zefir trzewik tanecznicy walcuje z zefirem, są usklepione na podziemiach ciężkich i odrażających. Leniwe tam ramię rozkładającego się olbrzyma przeciąga się, ale nieustającą walkę co dnia i co chwila toczy — — — coś, jakby wciąż gnijący Laokoon, przewraca się w pieczarach stolic pod umiecionemi gładko ulicami!.. Prawda jest, że te i owe municypalności walczą mężnie, lecz, ażeby usunąć nieco falangę kału, muszą one całą falangę ludzi zdegradować, za-

mieniając ich w bryły bez powonienia i bez towarzyskiego wdzięku, i z którymi do stołu siąść nikt nie chce... Starożytni Celtowie, ażeby uskromić groźne wylewy rzek lub oceanu najścia, szli szeregami w bród, mieczów dobywszy, i heroicznie tonęli... Egipcyanin jednakże mniej patetycznie postępował sobie i postąpił był nareszcie z kałami Nilu, bo się zastanawiał, zgłębiał, ważył...

Pojęcia więc nasze o *czystości*, jakkolwiek być one mogą jedynie możliwemi na teraz, albo koniecznie niezmiennemi... cóż ztąd? jeżeli mnie one nie wystarczają! Czy nieudolności onych zarówno jasno i szczerze, jak filozoficznie i rzeczywiście nie określiłem? Dlatego to (rzekł powstawszy lord) — *ja protestuję!*"

Chcieliśmy coś odrzec, ale że dawaliśmy sobie wzajem pierwszeństwo głosu, nikt go nie podniósł; ja zaś, gdy na ustach miałem tę uwagę, iż wymaga się od protestującego, ażeby choć *zasadę* bardziej obowiązującą wskazał, lord nie czekał więcej i dalej mówił:

„— Niechże nie będzie teraz rzeczą na jowialny jedynie uśmiech zasługującą, skoro przystąpię i do technicznej formy mojej protestacyi. Imiona Sokratesa i Ksantypy są ze wszech miar poważne i historyczne. — — Gdyby się więc kto spytał: przez co, głównie, starożytna dama zawiniła, skoro na olimpijskie czoło mędrca wylała była z okna urnę pełną domowych nieczystości, ja odpowiedziałbym słowem jednem —" — tu na bardzo maleńką chwilę czasu przemilkł mówca, ale natychmiast, głosu i gestu własnego dogoniwszy, dalej prowadził: — „atoli, stosownie do

pojęcia o czystości, w praktyce powszechnej będącego, zawiniła Ksantypa przez to, iż z drugiego okna nie wylała była na toż czoło urny pełnej wonności, jaką się ofiarowało było bogom; — zaś, według mnie, winą jej jest, iż uczyniła to z bardzo *niskiego* stanowiska.— Nieczystość," rzekł lord półgłosem i jakoby pochylając się od ucha do ucha jednym i drugim, — „nieczystość jest to niskość!.. Jest to niskość!.." powtórzył głośniej. „Jakoż, gdyby taż sama starożytna dama z tąż samą i niemniej pełną urną znajdowała się ze mną na wysokości, do której zwykł mój dobiegać balon, mogłaby wypróżnić naczynie swoje bez obawy najmniejszej, bo tam *nieczystości* wcale nie ma!.. Tam ciągły *porządek* jest i pełni się, w ustawach sił i warunków atmosfery założonym będąc. — Trefniś jakiś, do mojej tajemnicy próżno kołacąc, rzucił był anegdotę, jakoby z wysokości balonu mojego upadł nieczysty papier... Musiałoby to być z okna Ksantypy, a nie z tych sfer, z których cokolwiek się odepchnie, musi się doharmonizować do porządku ogólnego wśród włókien, kryształów, kropli, ruchu, pary i pędu... Jednem słowem: za wysoko ja się podnoszę, ażeby dotyczyła mnie nieczystość..! Co ci się podoba, ztamtąd rzuć, a potem o szafirowej nocy letniej patrz na spadający aerolit... Jakże on jest pięknym!.. *Czystość* zależy na podniesieniu się stosownem, — *nieczystością* zaś jest poniżenie się... lub kogo... Czystość, która musiałaby degradować ludzi, ażeby siebie utrzymać, byłażby bezplamną? Ażeby przeto całego mojego o niej pojęcia dochować, wznoszę się; tudzież, ażeby protest mój

nie był tylko czczemi wyrazami, lecz ażeby nosił pieczęć dopełnienia czegośkolwiek w kierunku tej prawdy. Kto ma błogą wolę śmiać się z tego, niechaj to pełni teraz! teraz!.. bo poczuwam łzę w oku...“ Mówiąc zaś to, począł lord z nieprzyśpieszonym, ale nieco namiętnym ruchem przecierać różowe kąty oka lewego i, zlekka kładąc potem rękę na ramieniu doktora di San Luca, rzekł: — — „*Ludzie nie są jeszcze czyści... są dopiero perfumowani...*“

Nie przestankowe już, ale zamykające wyczerpniętą treść nastąpiło potem uciszenie, które wraz zapełniać rozpoczął zegar biciem godziny śniadannej. Staraliśmy się więc dopełnić ceremoniału pożegnalnego z rzetelnością tąż samą, z jaką dopełniliśmy delegacyi, lubo ta rozwiązała tylko zakład zagajony płocho. Do jakiego rodzaju obłąkania scyentyficznie się policza mania lorda Singelworth? Tego nie podnosił doktór di San Luca, zapewne przez takt i delikatność — dwie właściwości cenne, a wyznać trzeba, że nierzadkie pomiędzy uczonymi italskimi. Natomiast improwizator Toni di Bona Grazia z większym niż kiedy zapałem głosił, że ulatujący podróżnik jest mężem misyi, jest uprzedzicielem i zwiastunem wielkiej epoki nowej, która ma stać się dla ludzkości całej rodzajem puryfikacyi i czemś do *Revivalu* amerykańskiego podobnem... revivalu, o którym (mówiąc i szczerze, i na stronie) ani nasz stary, *ukształcony i niewolniczy* kontynent nie ma słusznego pojęcia, ani byłby na siłach, ażeby go u siebie spróbować i zaszczepić!.. Archeologia tu raczej lubo

wstecz, ale żywo i świetnie działa. Jakoż nadeszła niebawem uroczystość św. Marka z nieporównaną swą regatą. Wenecyanie *wszyscy* się znaleźli nagle u *Wielkiego kanału,* a tak *wszyscy,* że na placu św. Marka i w okolicach jego gołębie tylko same i niepłoszone przechadzały się po szerokim bruku. U mostu wysokiego — *u Rialto,* flagi wszystkich barw, chorągwie wszystkich wieków i ludów grały wstęgami na wietrze; — małe maskaradowe okręta, wyzłacane nawy z różnych epok, galery pstre herbami, czarne gondole i rozmaite statki spotykały się tak nieraz żebrami boków swoich, iż suchą nogą mogłeś przejść przez całą kanału szerokość, tam i napowrót. Wszystkich oczy w-igrane lub wlepione były w ten wir archeologicznego szału, który nie bez pobudek uwzględniała roztropna austryacka policya. Raz tylko kilka znacznych grup obróciło spojrzenie swoje ku górze, gdzie wziesionemi wiosły gondolierowie pokazywali maleńki i mdły punkcik, znikający w przestworzu... Był to balon lorda Singelworth.

Cypryan Norwid.

Z „Rajskiego Poematu.“



ROMANZA PANI TAJEMNICZEJ.

Kto w mej pamięci obudzi z uśpienia
dziwne wspomnienie, co mię niepokoi?
Sen jakiś, gędźba. (A może spojrzenia
czyje?) Oh, znaleźć ten pierwszy dźwięk w swojej
duszy, a Ona powstanie znów z cienia —
i sen prześniony, co wciąż mi się troi,
wróci — i nigdy nie zginą mi już.

Lecz za czem, za czem oglądam się z żalem?
jakaż to gędźba? jaki sen promienny?
jaka twarz za mgły kryje się woalem?
O, przypominam nagle... Dzień jesienny...
I słońce było ogromnym opalem
i niebo białe, bielsze niźli w senny
uśmiech księżyca — — przypominam już.

Pamiętam jeszcze. Jakieś dziwne tony
latały niby melodyjne pyły,
a ciche — zda się, z oddalonej strony.

W różach płaczących lekko szeleściły
słodkie powiewy nocy utajonej.
I słodkie tony melodyi tej były,
lecz jakie były, nie pamiętam już.

Przede mną widok ciągnął się szeroki,
spokojny. Pomnę, po wielkiej równinie,
wolno, do modrej świetlistej zatoki
rzeka z oddechy głębokiemi płynie.
Widzę ją jeszcze jakby przez obłoki:
to w słońcu błyska stalą, to znów ginie
w oparach białych i nie świeci już.

Widzę tę rzekę i leci myśl za nią,
i przypomina... Gdym spojrzał w tę stronę,
kędy jęczały wody nad otchłanią,
widziałem jakby przez rzadką zasłonę
tę nieznajomą tajemniczą Panią,
i dostrzegałem gęśliki złocone,
świecące w mroku. I nic więcej już.

I szła melodya — przez cisze, co strzegą
dnia, od którego życie już odlata —
słodka, zasłodka dla serca ludzkiego.
Niepamięć życia wzięła mię skrzydlata
i gdzieś do świata niosła dalekiego...
Ach czemu tego dalekiego świata,
o duszo moja, nie pamiętasz już?

(HORTUS LARVARUM.)

POSĄG.

Park wielki, kędy rączego jelenia
ongi ścigały grające ogary,
dziś milczy. Pustka. Sam, w pomroce szarej,
potok się śmieje lub łka bez wytchnienia.

Śmieje się, wzdycha do niemego cienia,
zkąd ongi pieśni słowiczej pił czary.
Lecz dziś tam stoi, obojętny, szary,
posąg, co swojej postawy nie zmienia.

Jest tu... (bo dusza zawsze się przegląda
w rzeczach...) ktoś jeszcze jest osamotniony,
i płacze, wzdycha do niemego cienia.

Ale jest nad tym, co zapomnieć żąda
i o wytchnienie błaga zrozpaczony,
ktoś inny, co swej postawy nie zmienia.

(HORTUS LARVARUM.)

SEN.

Bez szmeru idę przez niemą aleję,
którędy sen mię powoli popycha.
A jest godzina świetlista i cicha.
Niebo welonem perłowym jaśnieje.

Ciemne cyprysy ku niebu się wzbiły,
stoją bez płaczu, żaden nie szeleści,
ale są pełne smutku i boleści,
smutniejsze niźli cyprysy mogiły.

A dookoła rozciąga się blada,
nieznana, pusta, dziwna okolica,
kędy przedwieczna chadza tajemnica —
i, za nią lecąc, myśl moja przepada.

Bez szmeru idę. Podobny-m do cienia;
już i mój smutek zda się tylko cieniem;
całe me życie jest już tylko cieniem,
niepewnym, szarym, nikłym, bez imienia.

(HORTULUS ANIMAE.)

POECI.

Sen dalekiej przeszłości, nieznanego plemienia,
gędźb dawnych, — opromienia
blaskiem czoła poetów. Oczom poetów — ciemności
sen zakrywają przyszłości.
Jak wisząca w przestworzach grzywa komety płomienista,
olbrzymia łuna płomienista,
tak w życiu naszem rozbłyska
Duch i światłami wytryska,
rośnie i wstecz się ciska.

Gościła nas (kochanko moja, czyż nie pamiętna
chwila? biły twe tętna
Rytmem) gościła nas w królestwie swem wielkiem Sława.
Od powicia w nas wstawa
pamięć kwiatów świecących przez alabastrowe amfory
niby schwytane meteory,
pamięć tajemnic widzianych,
pamięć rozkoszy doznanych,
pamięć woni wdychanych.

W jakiż wieczór szkarłatny powieki my zamknęli?
Na śmiertelnej pościeli
jakiego czcili my boga? W jaką chwilę wspaniałą
życie z nas ulatywało?
Czy po walce herojów, na polu bitwy? czy też może
na złotogłowiu i bisiorze?
A wzięła w straż nasze zwłoki
Chimera dumna, gdy mroki
szły na krwawe obłoki.

I w chwilę przebudzenia — a sen trwał lat tysiące —
ujrzeliśmy jaśniejące
inne nieba, słyszeliśmy inne głosy i pienia,
i chwytaliśmy westchnienia
i płacz, ten cały ludzki płacz, co się do łona tej ziemi
tuli skrzydłami obwisłemi,
słyszeliśmy wszystkie szlochania
daremne, jęki, konania,
przekleństwa i szemrania.

Milcząc, słyszeliśmy ciągle krzyk i gwar skłócony.
Ale w duszy skupionej
przedwiekowy, daleki sen, jeszcze mgłami owity,
zabłysnął nowemi świty.
I żyliśmy, a może kłamaliśmy życie, wpatrzeni
w zgon swój daleki, pośród pieni
o tajemnicach widzianych,
o rozkoszach doznanych
i o woniach wdychanych.

Teraz cisza znów idzie, wielka cisza. Ciemności
zasnuły sen przyszłości.
Nowy zgon czeka na nas. Lecz kiedy, w jakie zaranie,
o Losie, duch zmartwychwstanie?

Kiedy światu na strunach złocistych zagrają poeci,
kiedy nad ziemią hymn przeleci:
Wy, których życie uciska,
Ludzie, na szczytach, już zbliska
święta Zorza połyska.

(EPILOGO.)



MŁODOŚCI...

Młodości, biada, już twoja korona
na czole mojem powoli okwita.
Życie — kłos wczoraj, a dzisiaj snop żyta —
cięży mej głowie, aż zwisa znużona.

Lecz jak dojrzałe winorośli grona
wyszlachetniała dusza. W sercach czyta,
przebaczać umie. Cierpieniem przeszyta
bólom się podda, a trudy pokona.

Nikną ostatnie twoje zorze skore,
młodości moja! umilkły burzliwe
wiry, brzeg ucichł, ustało fal granie.

Dźwięk inny słychać, inny płomień gore:
widzę płonące w bratnich oczach żywe
łzy, i serc bratnich słyszę kołatanie.

(EPILOGO.)

PRZEŁ. Anna Bronisławska. Gabryel d'Annunzio.


QVIA MVLT
AMAVIT
EB

Rysunek EDWARDA BURNE JONES'A.



Poeta.

Tak opowiadał mi poeta w swej obrazowej mowie. Wszelako przyroda, stwarzając nowe osobniki, zmierza do szczytniejszego celu niż zachowanie gatunku, a mianowicie do uszlachetnienia go, czyli do przejścia duszy w wyższą formę rozwojową. W moich młodych latach znałem rzeźbiarza, którego dziełem jest posąg młodzieńca, stojący w naszym parku. Pamiętam jeszcze, że nie umiał on wyrazić w słowach, co go czyniło szczęśliwym lub nieszczęśliwym, i udawało mu się to dopiero z pomocą szczególniejszych określeń. Pewnego dnia wstał swoim zwyczajem przede dniem i widział świt, wielki jak wieczność, która go poczęła; odtąd całemi dniami mozolił się, aby wyrazić ten wielki spokój, i — o, dziwo! — jego dłuto wykuło z marmuru postać cudownie pięknego młodzieńca, Phosphorusa, o którym opowiadają, że ludzie nań patrzący pogrążają się w milczącej zadumie. Podobnie pogrąża

się poeta całkowicie w swym nastroju, a myśl, która w nim nurtowała, wypowiada się, lecz jako *alter idem*, jako zupełnie coś nowego. To wypowiedzenie się jest organiczne, jest poprostu nowym typem, w którym ujawniają się rzeczy, gdy są wyzwolone. Podobnie jak przedmioty, wystawione na światło słoneczne, wywołują swój obraz na siatkówce oka, tak samo one, zespolone z wszechświatem wspólnością aspiracyj, objawiają dążność do wytwarzania o wiele subtelniejszej kopii istoty swej w duchu poety. Ich przemiana na melodye nie różni się niczem od metamorfozy, której ulegają rzeczy, przekształcające się w wyższe formy organiczne. Nad każdą rzeczą unosi się duch jej, czy demon, i jak kształty przedmiotu zarysowują się w oku, tak duch jego odźwierciedla się w melodyi. Morze, łańcuch górski, Niagara i każda grzęda kwietna, mają poprzednie lub wyższe istnienie w melodyach pierwotnych, które falują w powietrzu jak wonie, a człowiek o subtelniejszym słuchu, któremu się zdarzy do nich przybliżyć, słyszy je i próbuje spisywać te dźwięki bez zmian i usterek. I w tem też znajduje swe uprawnienie krytyka: w przeświadczeniu, że utwory poezyi są tylko popsutą transkrypcyą jakiegoś tematu w przyrodzie, z którym powinny się zgadzać. Rym sonetu powinien być nie mniej wdzięczny jak regularnie po sobie następujące skręty muszli, lub zgodność w zmiennej rozmaitości pęku kwiatów. Parzenie się ptaków jest sielanką, ale nie tak nudną, jak nasze sielanki; burza — dziką odą bez fałszywego patosu i napuszoności; lato wraz z siewami i żniwami — poematem epicznym o wielu pieśniach, przedziwnie wykończonych. Dlaczegóżby symetrya i prawda, które modelują tamte rzeczy, nie miały się przelewać w naszą duszę, dlaczego nie mielibyśmy uczestniczyć w wynalazczości przyrody?

Ta intuicya, ujawniająca się przez tak zwaną wyo-

braźnię, jest bardzo wysokim rodzajem patrzenia, którego nie można się nauczyć; do niej zdolny jest tylko duch wszechobecny i wszechwiedzący, który uczestniczy w rozwoju i obiegu rzeczy poprzez różne formy i w ten sposób rozjaśnia je innym. Atoli obieg rzeczy odbywa się w tajemniczem milczeniu. Czyż ścierpią one obok siebie kogoś, ktoby mógł je podsłuchać i wypowiedzieć? — Szpiega nie ścierpią, ale zniosą kochanka, poetę, który jest uzupełnieniem ich własnej natury. Prawdziwość wyrazu osięga poeta pod warunkiem, że zawierzy boskiemu tchnieniu, przenikającemu wszystkie kształty, i będzie mu posłuszny.

Jest to tajemnica, którą każdy człowiek, wyposażony inteligencyą, odgaduje prędzej czy później: że, poza energią posiadanej przezeń umysłowości świadomej, ma on jeszcze inną władzę (podobną do siły zdwojonego intelektu), o ile się całkowicie podda naturze rzeczy; że, poza siłą ukrytą w nim jako w osobniku, jest jeszcze wielka siła powszechna, którą pozyskać może napewno, jeżeli, bez względu na niebezpieczeństwa, otworzy bramy swej istoty i pozwoli prądom niebiańskim przepływać swobodnie przez swą duchowość. Wówczas porwany zostanie w życie wszechświata, mowa jego stanie się gromem, myśl jego— prawem, a słowa jego będą wszędzie równie zrozumiałe jak rośliny i zwierzęta. Poeta wie, że mówi stosownie tylko wtedy, gdy się wyraża nieco dziko, albo też samem „kwieciem ducha;“ gdy działa w nim nie umysł w charakterze służebnego narzędzia, lecz umysł wyzwolony z pod wszelkiej władzy i mogący odpowiednią do swego niebiańskiego pochodzenia obrać drogę, albo, jak mawiali zazwyczaj starożytni, gdy wiedzie go nie umysł sam, lecz umysł upojony nektarem. Jak podróżnik, który się zbłąkał, puszcza wodze na szyję konia i powierza odnalezienie drogi jego instynktowi, tak musimy i my postępować z tworem bożym, który przez to życie doczesne nas prowadzi.

Albowiem, gdy nam się uda ten instynkt w jakikolwiek sposób pobudzić, otwierają się przed nami nowe drogi w głąb' przyrody, duch przenika nawskroś najtrudniejsze i najwyższe rzeczy i metamorfoza staje się możliwą.

Oto powód, dlaczego poeci lubią wino, miód, narkotyki wszelkiego rodzaju, kawę, herbatę, opium, dym drzewa sandałowego i tytoniu, oraz wszystko, co wywołuje fizyczne podniecenie. Wszyscy ludzie używają nastręczających się im środków, aby do swych sił zwyczajnych dołączyć ową siłę nadzwyczajną, i dlatego cenią rozmowę, muzykę, obrazy, rzeźby, tańce, teatr, wojnę, zbiegowiska uliczne, pożary, grę, politykę, miłość, wiedzę i odurzenie fizyczne; wszystko to jest jeno mniej lub więcej wyrafinowanym, quasi-mechanicznym surogatem prawdziwego nektaru, jakim jest zachwycenie ducha, wywołane wniknięciem w istotę rzeczy. A owe środki potęgują jeno odśrodkową dążność duszy ludzkiej, która wiecznie szuka oddali i swobody, pomagają jej do wydobycia się z pęt cielesnych, które ją krępują, do wyzwolenia się z więziennej cieśni stosunków osobistych, która ją otacza. I ztąd to pochodzi, że zawodowi przedstawiciele piękna, jak malarze, poeci, muzycy i aktorowie, — z wyjątkiem nielicznych, obdarzonych prawdziwym nektarem, — zazwyczaj głębiej niż inni grzęzną w użyciu i rozwiozłości, a ponieważ ten sposób zdobywania wolności jest błędny, ponieważ owo wyzwolenie nie wiedzie do nieba i jest jeno swobodą podrzędniejszego gatunku, przeto uzyskane w ten sposób korzyści przepłacają znieprawieniem i zepsuciem. Albowiem od przyrody nigdy jej darów nie można wyłudzić podstępem. Duch świata, wielka spokojna obecność Stwórcy nie daje się wyczarować magicznemi sztuczkami opium lub wina. Szczytne wizye jawią się jeno czystym i prostym duszom w czystych i szlachetnych ciałach. To, czem nas darzą narkotyki, nie jest natchnieniem, lecz sztucznym

porywem i szałem. Milton powiada, że poeta liryczny może pić wino i prowadzić życie rozwiozłe, ale poeta epicki, który ma opiewać bogów i ich wędrówki wpośród mrowia ludzkiego, winien pić wodę z drewnianego naczynia. Bo poezya nie jest „winem dyabelskiem," lecz winem boskiem. Dzieje się tu podobnie jak z zabawkami. Przepełniamy dłonie i pokoje naszych dzieci najrozmaitszemi lalkami, bębnami i końmi i odwracamy przez to ich spojrzenia od jasnego oblicza przyrody i o wiele właściwszych przedmiotów: słońca, księżyca, zwierząt, wody i kamieni, które powinny być ich zabawkami. Tak samo tryb życia poety powinien być tak skromny, aby go zachwycały najzwyklejsze wrażenia. Jego pogoda winna być darem światłości słonecznej, niechaj czerpie natchnienie z powietrza, niech upaja go woda.

Duch, który wystarcza cichym sercom, który przemawia do nich z każdej kępy zeschłej trawy, z każdego pnia sosny, z każdego nawpół zagrzebanego kamienia, widniejącego w bladem słońcu marcowem, — ten duch objawia się bezdomnym i głodnym i prostoty pełnym. Lecz gdy przesycisz swój mózg wrzawą, modami i pożądliwościami Bostonu, czy New-Yorku, gdy podniecisz swe znużone zmysły winem i czarną kawą, wtedy, zaiste, nie dojrzysz promieniowania mądrości w pustynnej samotni jodłowych borów.

Wyobraźnia, upajająca poetę, nie jest też nieczynną u innych ludzi. Metamorfoza napawa widzów radosnem wzruszeniem. Użycie symbolów wywiera na wszystkich ludzi pewien wpływ wyzwalający i rozweselający. Zda się, jak gdyby nas dotknęła różdżka czarodziejska, która zniewala nas jak dzieci do tańców i pląsów. Jesteśmy jak ludzie, którzy z jakiejś jaskini, czy piwnicy, wyszli na wolne powietrze. Taki wpływ mają na nas przenośnie, baśnie, przypowieści, oraz wszelakie formy poetyckie. Poeci

są przeto bogami-wyzwolicielami. Ludzie pozyskali istotnie nowy zmysł i odkryli na swym świecie świat inny, a nawet całe gniazdo światów; albowiem wraz z objawieniem metamorfozy budzi się w nas przeczucie, że ona się nie zatrzyma. Nie chcę się teraz wdawać w wyjaśnienia, jak bardzo potęguje to urok algebry, oraz wszystkich nauk matematycznych, które również posiadają swe przenośnie; lecz wyczuwamy ten czar z każdej definicyi: np. gdy Arystoteles określa przestrzeń jako nieruchome naczynie, w którem się mieszczą wszystkie rzeczy, gdy dla Platona linia jest punktem w ruchu, a kształt ograniczeniem ciała stałego, i tak dalej. Jakież przedziwne uczucie swobody owłada nami, gdy czytamy w Witruwiuszu, iż, według odwiecznego poglądu artystów, architekt, który się nie zna choć trochę na anatomii, nie potrafi dobrze zbudować domu; gdy Sokrates powiada nam w swym *Charmidesie,* że duszę można wyleczyć z jej chorób za pomocą pewnych formuł czarodziejskich i że owe formuły są świetnemi rozumowaniami, które przywodzą duszę do opamiętania; gdy Plato nazywa świat żywą istotą, a Timaeus zapewnia, że rośliny są także żywymi tworami, lub twierdzi, że człowiek jest drzewem niebiańskiem, które rośnie wzwyż swemi korzeniami, to jest głową, zwróconą ku górze, — co George Chapman wypowiada za nim w następujących słowach:

„So in our tree of man, whose nervie root
Springs in his top;" —

gdy Orfeusz mówi o siwiźnie, jako o owym „białym kwiecie, który sędziwe lata oznacza;" gdy Proklus nazywa wszechświat posągiem intelektu; gdy Chaucer w swej pieśni pochwalnej na cześć „Gentilessy" porównywa człeka szlachetnej krwi, zajmującego podrzędne stanowisko, do ognia, który — chociażby go przeniesiono do najciemniej-

szego domu, jaki istnieje między naszą ziemią, a górami Kaukazu, — przecież pójdzie za swym wrodzonym popędem i będzie świecił tak jasno, jak gdyby nań patrzyło dwadzieścia tysięcy ludzi; gdy św. Jan widzi w swej Apokalipsie zagładę świata przez grzech, oraz gwiazdy spadające z nieba, podobnie jak drzewo figowe otrząsa ze siebie nieźrzałe owoce; gdy Ezop ukazuje nam mnóstwo epizodów z codziennego życia jako zamaskowany korowód ptaków i zwierząt; — wtedy świta w nas radosne przeświadczenie o nieśmiertelności naszej istoty w jej tysiącznych przemianach i falowaniach i czujemy, że do nas stosuje się to, co cyganie o sobie powiadają: „Nie warto ich wieszać, bo oni i tak umrzeć nie mogą.“

Tak więc poeci są istotnie bogami-wyzwolicielami. Tytuł dawnych bardów brytańskich brzmiał: „wolni na całym świecie.“ Są wolni i darzą wolnością. Dzieło bujnej wyobraźni oddaje nam o wiele większe usługi w pierwszej chwili, kiedy zachwyca nas swemi przenośniami, niż później, gdy już dokładnie wnikniemy w tok myśli jego twórcy. Istotną wartość książki stanowi dla mnie jeno jej transcendentalność i nadzwyczajność. Gdy człowieka tak dalece rozpłomienią i uniosą jego myśli, że zapomina o autorach i publiczności, że marzy jeno swe sny, które go opętały jak obłęd, wtedy dajcie mi jego pisma do czytania, a wzamian zatrzymajcie sobie wszystkie rozumowania, całą historyę i krytykę. Cała wartość Pitagorasa, Paracelsusa, Corneliusa Agryppy, Cardanusa, Keplera, Swedenborga, Schellinga, Okena, oraz wszystkich innych, którzy do swej kosmogonii wprowadzili tak wątpliwe zjawiska, jak aniołów, dyabłów, astrologię, chiromancyę, mesmeryzm i tym podobne rzeczy, przejawia się w tem, iż są oni nowem, oczywistem świadectwem zerwania z rutyną. Jest to zarazem najświetniejszym przymiotem w rozmowie, ową magią swobody, która, niby piłkę, oddaje

w nasze ręce cały świat. A przecież, jakże marną wydaje się nam swoboda i jak płonnemi wszelkie porywy, gdy duch pod wpływem szczytnego wzlotu uczuje taką moc, że może ruszyć i dźwignąć z posad przyrodę! Co za niezmierzone widnokręgi! Ludy, epoki, systemy pojawiają się i nikną, jak nici w różnokolorowym, wzorzystym kobiercu; zapadamy z jednego snu w drugi, i dopóki upojenie trwa, gotowi jesteśmy gwoli temu bogactwu wyzbyć się własnego łóżka, własnej filozofii i religii.

A mamy powodów aż nadto, aby to wyzwolenie cenić. Los biednego pastucha, który, zbłąkany i oślepiony zawieją śnieżną, ginie wśród zasp o kilka kroków od swej chaty, jest obrazem położenia, w jakiem się człowiek znajduje. Konamy marnie na brzegach zdrojów żywota i prawdy. Jest to poprostu zdumiewające, jak niedostępna jest każda myśl, prócz tej, która nas właśnie zajmuje. Daremnie się do niej zbliżać; w jej bezpośredniem pobliżu jesteśmy od niej równie daleko, jak w największej oddali. Każda myśl jest także więzieniem, i więzieniem jest każde niebo. I dlatego miłujemy poetę, owego wynalazcę, który w tej, lub owej formie pieśni, czynu, spojrzenia, czy zachowania darzy nas nową myślą. Rozluźnia nasze pęta i ukazuje nam nową widownię.

To wyzwolenie jest nieocenione dla wszystkich ludzi, a moc udzielania go innym, jako poczęta z większej głębi i potęgi myślowej, jest miarą geniuszu. Dlatego wiekuiście żyją książki, będące tworami wyobraźni, które dosięgają takiej wyżyny prawdy, iż ich twórca wzbija się ponad przyrodę i posługuje się nią poniekąd jako wykładnikiem własnego ducha. Każdy wiersz i każde zdanie, przeniknięte tą mocą, samo dba o swoją nieśmiertelność. Religie świata to tchnienie modlitw nielicznych ludzi o bogatej wyobraźni.

Lecz wyobraźnia jest z natury swej płynną, nie zaś

stężałą. Poeta nie poprzestał na barwach i kształtach, lecz odgadł także ich znaczenie, które go również nie zadowolniło, póki nie zastosował tych rzeczy do wyrażenia swej nowej myśli. W tem przejawia się różnica, zachodząca między poetą a mistykiem; mistyk przygważdża symbol do jakiegoś pojęcia, które w swoim czasie ma racyę bytu, lecz już dla najbliższej przyszłości okazuje się przestarzałem i błędnem. Albowiem wszystkie symbole są zmienne; każdy język wciąż się przekształca i przetwarza i nadaje się raczej, podobnie jak promy i konie, do transportu, niż, jak fermy i domy, do stałego pobytu. Mistycyzm polega na pomieszaniu symbolów przypadkowych i indywidualnych z symbolem powszechnym. Jakób Böhme upodobał sobie jutrzenkę, więc uznał ją za równoznaczną z prawdą i wiarą, i chciałby, aby każdy z jego czytelników przypisywał jej również takie znaczenie. Lecz naturalnym porządkiem rzeczy zaraz pierwszy z rzędu będzie wolał jako symbol matkę z dzieckiem, a inny ogrodnika z cebulami, lub jubilera szlifującego drogocenny kamień. Każdy z tych symbolów i całe miriady innych są równie dobre dla człowieka, przywiązującego do nich dotyczące znaczenie. Jeno powinny być jasne, proste i łatwe do przełożenia na synonimy, będące w powszechnem użyciu. A mistykowi trzeba rzec dobitnie: wszystko, co powiadasz, jest równie prawdziwe z twemi nużącemi symbolami, jak i bez nich. Daj nam raczej trochę algebry zamiast tej jałowej retoryki — ogólnie zrozumiałe symbole zamiast utartych w jednej wioszczynie — a łacniej się porozumiemy. Historya hierarchii świadczy niezbicie, iż głównym błędem wszelkich prądów religijnych było stopniowe drętwienie i przerost symbolu, który wreszcie stawał się szczątkowym zabytkiem mowy.

Wśród ludzi nowszych czasów nikt tak znakomicie nie przekładał przyrody na myśli, jak Swedenborg. Nie

znam człowieka w historyi, dla któregoby rzeczy były tak bardzo równoznaczne z pojęciami. Metamorfoza rozgrywa się przed nim nieustannie. Wszystko, na czem spoczną jego oczy, podlega duchowym popędom. Figi, które spożywa, stają się winogronami. Gdy jeden z jego aniołów daje świadectwo prawdzie, różdżka laurowa w jego ręku okrywa się kwieciem. Szmer, który zdaleka wydawał mu się skrzypieniem i łoskotem, okazuje się zblizka głosem sprzeczających się ludzi. W jednej z jego wizyj ludzie, widziani w oświetleniu jakiejś jasności nieziemskiej, wydają mu się smokami, pogrążonemi w głębokiej ciemności, które, gdy blask niebiański wpada do ich chaty, skarżą się, że im ciemno, i muszą zamykać okna, aby mogli widzieć.

Posiadał on ową zdolność poznawania, która wieszcza, czy jasnowidza czyni przedmiotem grozy i przerażenia, a która sprawia, że ten sam człowiek, lub ta sama gromada ludzi inaczej wygląda w oczach własnych, czy w oczach swych towarzyszy, a wręcz odmiennie przedstawia się duchom wyższym, które na nich patrzą. Opisuje jakichś duchownych, zajętych głęboko uczoną rozmową, którzy dzieciom, stojącym opodal, wydają się padłemi końmi i tym podobnemi złudnemi zjawami. I zaraz nasuwa się pytanie, czy ryby w rzece pod mostem, czy woły na pastwisku i psy na podwórzu są istotnie i nieodmiennie rybami, wołami i psami, czy też tylko tak mi się wydają; czy w swych własnych oczach nie uchodzą za prosto trzymających się ludzi; czy ja sam wyglądam dla innych jak człowiek? Bramini i Pitagoras stawiali to samo pytanie, a poeta, któremu się zdarzyło ujrzeć transformacyę tego rodzaju, przyświadczy napewno jej zgodność z wieloma innemi faktami, opartemi na doświadczeniu. Wszak wszyscy widzieliśmy niemniejsze przemiany na ziarnie pszenicznem i na gąsienicy. Oto poeta, który zniewala nas sobie mi-

łością i grozą, który przez zmienną szatę widzi wiekuiście niezmienną przyrodę i potrafi ją oddać w słowach.

Nadaremnie rozglądam się za poetą, którego tu opisuję. Nie przystępujemy do życia z dostateczną jasnością i głębią, nie odważamy się opiewać naszych czasów i naszych społecznych stosunków. Gdybyśmy wypełniali dni nasze chwałą dzielności i heroizmu, nie wahalibyśmy się ich sławić. Czas i przyroda obdarzyły nas niejedną cenną rzeczą, ale nie dały nam człowieka naszej epoki, który wszystko przejedna i na którego wszystko czeka. Źródłem sławy Dantego jest odwaga, z jaką wypisał dzieje własnego żywota olbrzymiemi głoskami na tle wszechświata. My nie mieliśmy dotychczas w Ameryce geniusza, któryby światowładczem okiem poznał się na wartości naszego niezrównanego materyału, któryby w barbarzyństwie i materyalizmie naszej epoki dostrzegł jeno odmienny karnawał bogów, tak bardzo podziwianych u Homera, karnawał przejawiający się następnie w wiekach średnich i kalwinizmie. Banki, taryfy, zgromadzenie wyborcze, metodyzm i unitaryanizm wydają się jeno powierzchownym umysłom jałową powszedniością, albowiem powstały na tem samem przedziwnem podłożu, na którem niegdyś wznosiło się miasto Troja, lub świątynia w Delfach, — i równie szybko przemijają jak tamte. Nikt jeszcze nie opiewał naszych szalbierstw politycznych, naszej taktyki wyborczej, naszego rybołówstwa, naszych murzynów i indyan, naszych statków, rozpasania szubrawców i tchórzowstwa poczciwców, handlu Północy, plantacyj Południa i karczunków Zachodu, nikt jeszcze nie sławił Oregonu, ni Teksasu. A przecież Ameryka jest w naszych oczach poematem; kolosalność jej stosunków geograficznych poprostu olśniewa i zapewne w niedługim czasie znajdzie swego piewcę. Lecz tego wspaniałego skojarzenia darów nie tylko pośród moich ziomków szukałem napróżno; prze-

glądając Chalmersa „Antologię poetów angielskich z ostatnich pięciu stuleci," również nie znalazłem urzeczywistnienia mojego ideału poety. Są to raczej utalentowani ludzie, niż poeci, aczkolwiek zdarzali się między nimi i poeci prawdziwi. Lecz nawet Homer i Milton zgotują nam pewne trudności, jeżeli nie odstąpimy od naszego ideału poety. Milton jest zbyt literacki, a Homer za dosłowny i za historyczny.

Lecz czuję, że nie sprostam zadaniu szczegółowej krytyki, przeto powrócę raz jeszcze do wyczerpującego określenia pojęć ogólnych, aby dokonać posłannictwa, które z rozkazu Muzy mam zwiastować poecie o jego sztuce.

Sztuka jest drogą twórcy do jego dzieła. Ta droga, czy metoda, jest idealna i wieczna, aczkolwiek jeno nieliczni ją znają, aczkolwiek nieraz przez długie lata, a nawet przez całe życie nie zna jej sam artysta, dopóki nie wypełni wszystkich potrzebnych warunków. Malarz, rzeźbiarz, kompozytor, rapsod epicki, mówca: oni wszyscy pragną wypowiedzieć się symetrycznie i całkowicie, a nie słabo i połowicznie. Przypadkowo lub umyślnie poddają się wpływowi pewnych warunków, jak malarze i rzeźbiarze na widok interesującej postaci ludzkiej, jak mówcy, gdy stają przed zgromadzeniem ludowem, lub inni artyści, gdy szukają okoliczności, mogących stać się bodźcem dla ich ducha; a każdy z nich doznaje wówczas nowego pragnienia. Słyszy jakieś głosy, powoduje się czyjemś skinieniem. I czuje ze zdumieniem, że go okrążają całe zastępy demonów. Coś mu nie daje spokoju, więc powiada, jak ów dawny malarz: Przebóg, to jest we mnie i musi wyjść ze mnie. Ściga piękność, napoły dojrzaną, a przed nim uchodzącą. Poeta, gdy jest sam, snowa sobie wiersze. Mnóstwo z tego, co wypowie, tchnie bezsprzecznie powszedniością, lecz niekiedy zdarzają mu się powiedzenia piękne i niezwykłe. To go zachwyca, więc chciałby jeno

takie rzeczy mówić. W mowie zwykłej powiadamy: „to twoje, a to moje,“ lecz poeta wie dobrze, że to nie on mówi, że jego słowa są dlań równie obce i piękne, jak dla innych; on sam chętnieby słuchał dalej takiej wymowy. Zakosztowawszy raz tego nieśmiertelnego ichoru, wciąż go pragnie, a ponieważ w takich rozbłyskach poznania tają się czarodziejskie moce twórcze, przeto jest rzeczą niesłychanie ważną, aby zawarły się w słowach. Jakżeż mało wypowiedziano z tego, co wiemy! Ileż to kropli zaczerpnęliśmy z oceanu naszej wiedzy! Jakże przypadkowo wychodzą te rzeczy na jaw i ileż to nieznanych tajemnic drzemie jeszcze w łonie natury! Ztąd ta nieodparta potrzeba mowy i śpiewu, ztąd drżenie i bicie serca u mówcy, gdy staje przed drzwiami sali, aby objawić myśl jako Λόγος, czyli SŁOWO.

Nie wątp, poeto, i wytrwaj! Powiadaj: „To jest we mnie i musi wyjść ze mnie!“ Wytrwaj, rozczarowany i oniemiały, zmieszany i jąkający się, wyszydzony i wyśmiany, wytrwaj i walcz, aż z twojej ekstazy pocznie się owa *potęga marzenia,* która każdą noc podda twojemu władaniu, która wdziera się w głąb' rzeczy niezmiernie tajnych i niezmiernie skrytych, która z człowieka czyni przewodnik wszech prądów elektrycznych. Wszystko, co chodzi i pełza, co staje się i istnieje, musi kolejno przed tobą przejść, tobie się ukazać, jako wykładnik twego ducha. Geniusz człowieka, który tę moc posiędzie, jest niewyczerpany. Wszystkie twory zstępują parami i rodami w głąb' jego duszy jak do arki Noego, aby potem z niej wyjść jako mieszkańcy nowego świata. Ową moc czerpie poeta z wszechistnienia, podobnie jak zapas powietrza, niezbędnego do naszego oddychania, czy do podtrzymania żaru na naszych ogniskach, nie ogranicza się do pewnej ilości gallonów, lecz w razie potrzeby może objąć całą atmosferę. I dlatego geniusz takich wielkich poetów, jak

Homer, Chaucer i Szekspir, nie zna żadnych kresów, prócz kresu ich żywota, dlatego podobni są oni zwierciadłu, niesionemu ulicą, w którem błyskawicznie odbijają się obrazy wszech rzeczy.

O, poeto! nowe szlachectwo rozdziela się teraz pośród łanów i borów, a nie, jako niegdyś, na zamczyskach, gdy opasywano mieczem. Warunki są uciążliwe, lecz słuszne. Musisz się wyrzec świata i znać jeno swą Muzę. Musisz odtąd zerwać z epoką, obyczajami, względami, polityką i opiniami ludzkiemi, a wszystko zawdzięczać Muzie. Albowiem trwanie miast obwieszczają światu głosy żałobnych dzwonów; ale przyroda liczy godziny wszechświata według kolejnego następstwa pokoleń roślinnych i zwierzęcych, według wesela, z którego się inne wesele poczyna. Z woli Bożej musisz zaprzestać życia wszechstronnego, życia dwoistego, i musisz pogodzić się z myślą, że inni będą za ciebie mówili. Inni będą dla ciebie światowcami, inni posłużą ci za wzór elegancyi i salonowej wytworności; a jeszcze inni będą za ciebie dokonywali wielkich, rozgłośnych czynów. Ty sam winieneś przebywać w najgłębszych zaciszach przyrody, ty nie możesz żyć równocześnie dla Giełdy i na Kapitolu. Świat jest pełen poświęceń i wyrzeczeń i właśnie one są twoim działem; przez długi czas musisz uchodzić za szaleńca i za dziwacznego odludka. To jest ową osłonką i pąkowiem, w którem kryje Pan swoje najmilsze kwiecie, i jeno najbliżsi poznają się na tobie i ukoją cię cichym czarem miłości. A jednak nawet imion przyjaciół nie będziesz mógł wymienić w swej pieśni, bo cię od tego powstrzyma dawna groza przed twym przenajświętszym ideałem. A nagroda twoja jest taka: że ideał stanie się dla ciebie rzeczywistością, a wrażenia świata działającego będą się zlewały na twą nietykalną istotę szczodrze, lecz łagodnie, jako dżdże letnie. Całe krainy staną się twym ogrójcem i własnością, po wszystkich mo-

rzach będą żeglowały twe okręty, wolne od ceł i zawiści; posiędziesz lasy i strumienie, będziesz tam królem i panem, gdzie inni są jeno dzierżawcami i najmitami. Ty rzeczywisty władco lądów, mórz i powietrza! Gdzie jeno śnieg pada, woda płynie i ptactwo śpiewa, gdzie jeno dzień i noc spotykają się na rubieży zmierzchu, gdzie jeno błękit niebios zaciąga się chmurami, lub skrzy się od gwiazd, gdzie jeno jawią się postacie o przejrzystych zarysach i otwierają się bramy, wiodące ku niebiosom, gdzie jeno istnieje niebezpieczeństwo i groza i miłość, — tam wszędzie roztacza się dla ciebie KRASA, żyzna jako dżdże, i choćbyś zeszedł cały świat, nigdy i nigdzie nie znajdziesz nic niepotrzebnego i nic pospolitego!



PRZEŁOŻYŁ
Stanisł. Wyrzykowski.

Ralph Waldo Emerson.

Sadzawka.



„A Anioł Pański zstępował czasu pewnego w sadzawkę: i wzruszała się woda. (*Ew. św. Jana V. 4*)

Wierzby zgarbione pod zmierzchu ciężarem
Na złotem nieba czernią się sklepieniu —

Za obumarłej sadzawki moczarem...

O, Cieniu święty, zapomniany Cieniu!

Trzebaż się było zjawić w taką porę,
Gdy się rozpadły najdroższe mogiły,
A dusza, zimna taka i bez siły,
Po osypiskach włóczy skrzydła chore!

Trzebaż się było zjawić, Cieniu święty,
Nad zdruzgotaną dzieciństwa kołyską!
A wczoraj jeszcze było Ci tak blizko
Przez łan pamięci kwitnącej niezżęty...

Wicher był, gradem zraził siew twój plenny,
Dostałym kłosom zdeptał dumne głowy,
A już zapóźno czekać siejby nowej,
Więc łan mój będzie jałowy i senny.

Zdarzenia łaski nie czekam najświętszej,
W puste pól zwiędłych wpatrzony kolisko...
I cień napływa z nieba coraz gęstszy...
A wczoraj jeszcze było Ci tak blizko!

Trzebaż się było zjawić w wieczór smutku!
Zamarła woda nie daje odbicia.
Szept cichych kroków chodzi po ogródku,
Jak niegdyś, dawno przed laty: za życia. —

W otwarte okno wonne pól oddechy
Bóg mojej piersi przysyła strudzonej.
Jak pachną młode, złotokłośne plony!
Jak dusza boskiej woła znów pociechy!

Łozy nad czarne obwisły bagnisko,
Martwotą trapiąc błyski mózgu chore:
Trzebaż się było zjawić w taką porę!
A wczoraj jeszcze było Ci tak blizko...

Nad smutnej wody stęgłe rozlewisko
Wiatr zwraca kroki chwiejne i nieskore:
Trzebaż się było zjawić w taką porę!
A wczoraj jeszcze było Ci tak blizko!..

To przejdzie, przejdzie... Niedługie czekanie!
A tylko nie wiem, co ja teraz pocznę
Bez tego widma — co się ze mną stanie,
Gdy w bezkres stopy obróci niezwłoczne.

Pójdzie podnosić w polach bujne kłosy,
Za dnia wydane wichrom na igrzysko —
Wygładzać ręką grzbiet pól złotowłosy —
I, jak nad moją, smucić się, kołyską.

Obcy jej miękkim rękom, co na czoło
Nieraz mi w sennej pokładła modlitwie,
Kojąc ból wszelki i myśl niewesołą,
Zbudzonej duszy kwilenia rybitwie —

Jak dzieciak, płacząc, schodzę w smutne wody,
Dróg zapomnianych ramieniem tulone...
W szumiące gaje, pola i ogrody —
Wszystko mi jedno, w którą pójdę stronę!

Wszystko mi jedno, w jakie uroczysko:
Wszędy noc ciężką zamknie mi rozworę!
Trzebaż się było wybrać w taką porę!
A wczoraj jeszcze było mi tak blizko...

Michał C. Bielecki.



Maj.

☆ ☆ ☆

W tajniach ogrodu zdaleka
Kukułka wabi w fale
Zielone —
Chodź, śpiewa, życie ucieka —
W majowym szale
Śmierć jak kochanka cię czeka
Z wieńcem na głowie.
Chodź do mnie, w cichej dąbrowie,
W rozwianem, pachnącem świetle
Zielonych liści
Sen ci się ziści
Przedziwny —
Cze-ka! cze-ka! cze-ka!

(*POKUSA WIATRU WIOSENNEGO.*)

Daj się nieść
Jak pajęczyna wichrom południowym
I jak pył,
Co nie wie, jak się wzbije i gdzie padnie.
Przymknij oczy —
Niech z pod powiek patrzą w dal ruchomą —
Mądrość znajdziesz
Nie w początku drogi — lecz na końcu.

Dalej w świat —
Tutaj więcej nic nie czeka.
Nie trwóż się,
Że cię ograbią i omamią —
Jeśliś jest
Myśliwym życia — na co reszta?
Niech ci wezmą
Wszystko — wtedy wszystko będzie twojem.

Złodziej w trzosie
Prawdę, zbiegłszy, ci zostawi,

Zdrajca nożem
Pierś otworzy zbyt ścieśnioną —
Tobie nikt
Wyrządzić krzywdy nie jest w stanie
Każdy ból
Nowem niebem cię obdarzy.

Wszelka droga,
Którą pójdziesz nieulękle,
Wiedzie w jasność,
W źródło wiedzy i potęgi.
Dalej w światy —
Twarda zbroja twa, bezpieczna,
I lśni gwiazda
Przeznaczenia nad twą głową!

☆ ✲ ☆

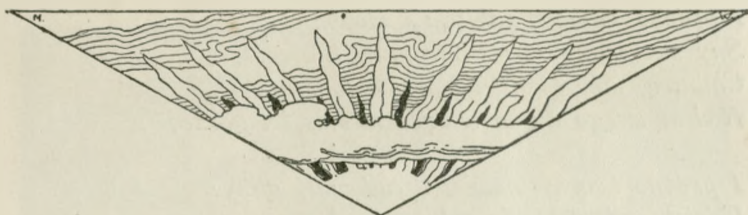
Odbiję łódkę od brzegu —
Popłynę
Między toń i niebo sine
W głębinę
Widnokręgów — —
Chwycę się promieni w biegu
Słonecznych —
Szlakiem dróg w szafirze mlecznych
Popłynę —
Oderwę stopy od ziemi —
Polecę
Łukami nieba jasnemi,
Co świecą
Tęczami,
W ślad za gwiazdami złotemi,
Ze łzami
Zachwytu, szczęścia i żalu,
Polecę.

☆ ☆ ☆

O zielono-płowa grzywo
Trawy
Nad wodą —
O kwieciste, białe sady
Pełne pszczół —
O zapachu słodki, dziki
Ziół
Majowych —
O błękitno-złota, świeża
Pogodo!
Pełza myśl moja, wspominająca,
Między źdźbłami,
Pełza po źdźbłach trawy szafirowych
Myśl jak robak —
Jak majowy żuk, wylęgły świeżo,
Jak zmoczony rosą motyl
Biały.
O jak dziwnie przez źdźbła traw wygląda
Twoje wielkie, rozzłocone niebo
Panie — — —

Marya Komornicka.

Płomień ofiarny.



I któż ty jesteś, wielki samotniku?
Ty, co ojczyznę zgubiłeś wśród gwiazd,
A teraz błądzisz po otchłaniach bytu
— Cały w płonącym skamieniały krzyku —
Jak komeciana żagiew, precz od słońca
W dal wytrącona bez celu i końca?

I któż ty jesteś, święty pomazańcze,
Coś stworzył boga w sobie, choć sam proch?
Anioły jakieś jasne, zmartwychwstańcze
Stają w twych pieśniach — a gdy łkasz,
Krwią twoją idzie wielki wieków szloch.

Nie spocząć tobie, pątniku bezsenny.
— W mgłach gdzieś ucieka twoja Jeruzalem,
Chociaż w swej piersi jak skarb drogocenny
Nosisz jej obraz przeczuty i śnisz,
Że kiedyś własnym wykarmioną żalem
Ujrzysz w koronie roztopionych słońc.

I próżno szukasz zaklęcia i złotem
Sny swe malujesz na ogromnej chmurze;
Chmurą, jak skrzydeł bijących łopotem,
Rwiesz swego ducha wskroś niebios ku górze;

I próżno tworzysz świat z cudownej gliny:
Gdzieś nad otchłanią cyklopowy bój —
Oto żądz morze kołysze się, wzrasta,
Oto w popłochu pożarnej godziny
Sercami dzwonów dygocące miasta.

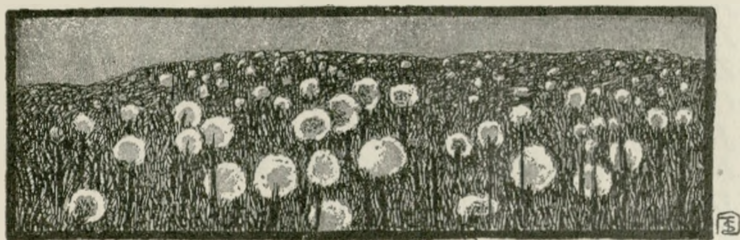
A tam — kraj czarów dźwignięty na tęczy
Po nad chaosem opalowych mgieł.
Chaos ten dyszy, jak muzyka dźwięczy,
Ton każdy kształtem pod niebo wypryska,
Melodya — dziecka sen — gwiazdami błyska.

Lecz twoje serce gdzie? i z czem zbratane?
Wiecznie samotne ma wciąż bić, jak ptak,
Co ma na piersiach otworzoną ranę
I w trzepocących skrzydłach moc tęsknoty,
Gdy swoje dawne przypomina wzloty.

Włodarzem jesteś na nieswojej roli,
Nie wzejdzie tobie utęskniony plon.
Nim duch zwycięży w sobie formę starą,
Zanim swą świętość w płomieniach wyzwoli,
Duchowi swemu żywą bądź ofiarą.

Edward Leszczyński.

Ocknienie.



Z wielkich, głębokich oczu w świat ten tajemniczy
Wygląda dziecka dusza dziwnie zatrwożona:
Blask, co niedawno jeszcze u Wieczności zniczy
Płonął, teraz powoli w słońca blaskach kona.
We mgły się zasnuwają obrazy promienne,
Ogrody rozkwiecone, łąki w rosach senne,
Pełne jakichś przesłodkich stubarwnych miraży,
Jasne wizye anielskich uśmiechnionych twarzy...
Blask, co niedawno jeszcze u Wieczności zniczy
Płonął, teraz powoli w słońca blaskach kona:
Z wielkich głębokich oczu w świat ten tajemniczy
Wygląda dziecka dusza dziwnie zatrwożona.

Jeszcze śni ona wielką niezmąconą ciszę,
Co wszechświat w ruch rytmiczny, jak morze kołysze,
Jeszcze śni nad gwiazdami rozperlone dale —
Nieskończoności Bogiem rozśpiewane fale;
Jeszcze tchnieniem zaświatów upojona dyszy,

Jeszcze gędźbę słów twórczych nad chaosem słyszy:
Zda się jeszcze rozumieć treść ich prostą, wielką,
Zda się jeszcze pojmować tajemnicę wszelką,
Co tutaj serca męką — tam uśmiechem Boga,
Jeszcze jej prostą zda się kręta bytu droga —
I wskroś niewolne życia tęskne nowe dreszcze
Dawnej swej królewskości dreszcz odczuwa jeszcze
I patrzy...

A dokoła wszystko tak odmienne!
Jakieś we mgłach obrazy majaczeją senne,
Dziwne — niby do tamtych prześnionych podobne,
A takie przecież inne, nikłe i żałobne,
Jakby wieczny po tamtych żal nosiły w sercu!
Te same niby kwiaty na łąki kobiercu —
Lecz czemuż takie blade, jak gdyby dumały
O tamtych braciach swoich jasnej pełnych chwały,
Co Bogu tylko kwitną, Jego tchem owiane?
A kędyż one twarze promienne, świetlane?
— Czyż to znowu z nich jedna jawi się w tej chwili?..
To się matki stroskana twarz nad dzieckiem chyli
I patrzy...

Z wielkich głębokich oczu w świat ten tajemniczy
Wygląda dziecka dusza dziwnie zatrwożona:
Blask, co niedawno jeszcze u Wieczności zniczy
Płonął, teraz powoli w słońca blaskach kona...
A serce matki czuje, że w takiej godzinie
Dusza dziecka na ŻYCIE roztwiera swe oczy
I że z jej niezmąconych dotychczas przezroczy
Pytanie pierwsze — pierwsza na świat skarga płynie:
Że już zatraca jasne onych chwil wspomnienia,
Gdy jeszcze myślą bożą była w czasów łonie,
I już, już zapomina twórczych słów znaczenia,

By pytać wciąż, aż znajdzie odpowiedź — we zgonie...
Blask, co niedawno jeszcze u Wieczności zniczy
Płonął, teraz powoli w słońca blaskach kona:
— Z wielkich głębokich oczu w świat ten tajemniczy
Wygląda dziecka dusza dziwnie zatrwożona.

Adam Łada.

Wcielenie.



Duch jeden dobry zawsze jest nade mną,
Gdy chcę w kształt wcielić jasne wizye moje,
I jakąś radę szepce mi tajemną,
Przed którą drżąca i niepewna stoję.

A kiedy wreszcie oblecze się w ciało
To, co mi było najdroższem pragnieniem, —
On się uśmiecha swoją ciszą białą
I w mroczną przestrzeń rozpływa się cieniem.

A ja zostaję i widzę to dzieło,
Takie niebieskie wspomnieniem i święte,
Co się w głębinach mej duszy poczęło
A teraz dźwięczy w wyrazach zaklęte, —

I słyszę tylko słowa szmerne w głuszy,
Jako fontanna, płacząca w marmurze,

I chcę napróżno znaleźć głos mej duszy
W ich monotonnym, rozpłakanym chórze...

Zniknął duch dobry ze swą radą jasną,
A tu dźwięk każdy jego ciszy przeczy:
Wyłkane z piersi sny jak iskry gasną
Przed wiecznym smutkiem — dokonanych rzeczy.

Bronisława Ostrowska.



Nokturn.

Ktoś gra, ktoś gra na harfie szklanej,
Ktoś gra bez przerwy i bez końca...
Rytm monotonny, nieustanny,
Jak ciecz się w serce wlewa żrąca.

Ktoś gra, ktoś gra — i pieśń się żali,
Że nie zna wiosny, nie zna słońca,
Że jej wśród mgieł jesiennych fali
Każą tak łkać i łkać bez końca...

Ktoś gra, ktoś gra na harfie szklanej
I moich nocy sny zamąca...
Rytm monotonny, nieustanny
W gorzką apatyę duszę wtrąca...

Ktoś gra, ktoś gra w posępnej dali,
Jakaś dłoń senna, czy mdlejąca —
I pieśń się żali, serce żali
Na chmurne noce — dni bez słońca...

Leon Rygier.

Zygfryd.



Język Zygfryda dotknął krwi potworu,
I dziw!
Bo oto pojął Zygfryd głosy niw
I szum tajemny dziewiczego boru.

I dusza jego wnet stała się bliska
Wszelkiej roślinie, wszelkiemu stworzeniu:
Czuła, co czują dęby uroczyska,
Gdy szumią hymny w zgodnem rozmodleniu.

Czuła, co czują ci śpiewacy leśni,
Kiedy, trzepocąc o różanym świcie
Rośnemi skrzydły, serdeczne swe pieśni
Śpiewają, wielbiąc Naturę-Wszechżycie.

Pojęła duszę-woń kwiatów wśród gaju,
I ryk gromowych chmur,
I jęki mórz, odgłosy gór,
I szum srebrzysty leśnego ruczaju...

A właśnie wielkie, promieniste Słońce
Słało w przestrzenie święte swoje groty,
I toń powietrzna, jak ocean złoty,
Oblała ziemię po wszystkie jej końce.

I drzewa stały ciche i milczące,
A z łąk się unosiły kwiatów aromaty;
W milczeniu świętem modliły się światy,
A złotą lawę lało wciąż bóg-Słońce.

Dusza Zygfryda dumna i wyniosła
Wielką się szczęścia napełniła siłą,
Bo oto z życiem, z Wiecznością się zrosła,
Z tem, co bratniego we wszechświecie było.

Konrad Robakowski.



Róże mistyczne.



Mistyczne róże spadają w mrok,
W bezgwiezdne, ciemne przestworze;
Ich blask posępny wodzi mój wzrok
W dali, po pustym ugorze.

I widzę ciebie, za tobą żwir
Pod światło srebrzy się mgliściej;
Widzę, jak lecisz porwana w wir
I w tuman ćmiących się liści.

Twych piersi uwiądł dziewiczy pąk,
Zastygło ciało twe śliczne;
Bezwładnie lecą z twych martwych rąk
Na ciemność róże mistyczne.

Na wiatr się włosy rozwiały twe,
Zawieje mroźne je pieszczą,

A ty mych oczu, jak gdyby w śnie,
Źrenicą szukasz złowieszczą.

Wirujesz, lecisz, gniesz się jak wąż
W uwiędłych liści wichurze,
A twoje oczy szukają wciąż,
A z rąk twych sypią się róże.

Stanisław Wyrzykowski.

Dom „pod tonącą gwiazdą.“


sparł się na mem ramieniu i, prowadząc mnie, jął iść dość pewnym krokiem, bez nazbyt wielkiego wysiłku. Zapukał w drzwi „klatki obłąkanych.“ Jedna ze staruszek otworzyła natychmiast.

— Przychodzimy z doktorem, pani Celestyno, — rzekł jej Rojko, — jest to młody mój przyjaciel. Jak się miewa dzisiaj panna de Sorel?

Pani Celestyna podała mi rękę z uśmiechem i z jakąś pełną prostoty, cichą godnością. Ręka ta była twarda i spracowana; pani Celestyna pochodziła z ludu, ale w jej zachowaniu się uderzała wrodzona szlachetność, a z oczu wyzierał jakiś tłumiony rezygnacyą patos. Była z ludzi, którzy od pierwszego spotkania pozyskują naszą sympatyę.

— Panna de Sorel, — odpowiedziała Rojkowi, — jest bardzo chora. — A prowadząc nas do pokoju, szepnęła mi cichutko: — Panna de Sorel jest nieco dziwna. Zdziecinniała przez wiek.

— Mówił mi już o tem sąsiad pań, — odpowiedziałem, i to ją uspokoiło poniekąd. Bała się widocznie, aby panna de Sorel nie wydała mi się śmieszną. Zrozumiałem jej zamiar, i ta delikatność uczuć wzruszyła mię bardzo. Poprowadziła mię teraz do łóżka i rozsunęła owe wypłowiałe zasłony jedwabne z długiemi rozdarciami, niejednokrotnie zeszywanemi, ale ciągle tworzącemi się z powrotem, bo zetlała materya nie mogła już utrzymać ściegów. Chora leżała z zamkniętemi oczyma. Głowę miała zajmującą, acz w rysach nic nie mówiło, aby kiedyś była piękna. Były tylko bardzo wyraziste. Twarz przypominała maskę z pożółkłego wosku. Białe, gęste, rozrzucone włosy tworzyły, na czystej poduszce, jakby poduszkę drugą z surowego jedwabiu. Długie ręce, zupełnie prawie bez ciała, były również wyżółkłe, nieledwie przezroczyste i skończenie — jak się mówi — arystokratycznych kształtów. Trzymała je złożone na piersiach, robiąc wrażenie leżącej już w trumnie osoby. Oddech był słaby.

— Czy pani śpi, panno Honorato? — spytała cicho pani Celestyna. — Panno de Sorel, doktór! — zawołała po chwili głośniej, zaniepokojona brakiem odpowiedzi. — Boże mój, margrabianko! — wykrzyknęła wreszcie, zatrwożona już nie na żarty.

Panna de Sorel wybuchnęła śmiechem i otworzyła oczy. Byłem zdumiony ich jasnością, żywością, młodzieńczością nieledwie, podobnie jak figlarnym, beztroskość małej pensyonareczki przypominającym śmiechem.

— Przestraszyłam was? — spytała o wiele słabszym już od śmiechu, ale dotąd przyjemnym głosem. — Zabawiłam się w nieboszczkę!

Pani Celestyna pogroziła jej palcem, jak dziecku, które karcimy. — Lekarz przyszedł, — rzekła, — trzeba być poważną. Jesteś pani chora, czy pani nie rozumiesz? Chora.

— Ależ jestem, jestem, i to już od tak dawna, — odrzekła panna de Sorel, twarz powlokły jej chmury, i zrobiła się nagle tak starą, jak w bajce, nie do uwierzenia starą. — Poczekajcie, od iluż ja lat już choruję? — I zaczęła pocichu rachować na palcach. — Ktoby to zliczył!.. — dodała po chwili i tępo, bezmyślnie jakoś przyległa znowu na swej poduszce. Zapomniała widocznie na chwilę, o czem mówiła, ręce opadły jej na kołdrę ze zrudziałego jedwabiu, na której zczerniałem teraz już srebrem wyhaftowany był herb z koroną.

— Chorowała całe życie, — rzekła pani Celestyna,— i wielkie znosiła cierpienia. A jakby tego niedość było, i pod innemi względami wcale nie na różach miała usłane. Ale nikt nie słyszał z jej ust jednego słowa skargi. Umie chorować. To nie każdy potrafi.

Zacząłem teraz wypytywać o symptomata jej choroby. Nie było w danej chwili nic prócz zwykłych następstw wieku.

— Mogę tylko zalecić spokój, — rzekłem wreszcie, odpowiadając na niespokojne spojrzenia pani Celestyny. Ale chora wpadła nagle w jakąś niewytłómaczoną wesołość, śmiała się z czegoś, czego nie mogliśmy odgadnąć, tak, że zanosiła się i rzucała na łóżku. Pani Celestyna starała się przybrać surowy wyraz twarzy.

— Ani mi się pani rusz, proszę leżeć spokojnie! — zawołała ze złością, zbyt widocznie udaną, w którą wszakże chora uwierzyła natychmiast. Uspokoiła się w tejże chwili.

— Proszę spać! — rozkazała pani Celestyna.

Biedna margrabianka przymknęła posłusznie oczy.

— Nie mogę sobie czasem dać rady, — usprawiedliwiała się szeptem pani Celestyna, — muszę niekiedy wpaść

na nią w ten sposób, inaczej nicby nie pomogło. Niech Bóg mi to wybaczy!

Spojrzałem znowu na chorą. Na twarzy jej tkliwy teraz pojawił się znowu uśmiech. Długie, suche, przezroczyste jej palce chwyciły się rogu kołdry i jęły składać go tak, jak dzieci robią lalki z gałganków. Przycisnęła potem ten zwitek cicho do piersi, zaczęła go kołysać — i wydawała się uszczęśliwioną.

— Teraz uśnie prędko, — rzekła pani Celestyna z poczciwym uśmiechem, — ma już swe niemowlątko i zdaje jej się, że je usypia.

— Czy zazwyczaj tak robi? — spytałem ze zdziwieniem.

— Tak, i to jedyna jej uciecha. Nie wyszła za mąż, nie znała miłości, i sądzę, że wogóle nigdy o niej nie pomyślała nawet, pośród tych wiecznych chorób i gorzkiej nędzy. Dziwna, że pomimo to wszystko, że choć właściwie nie żyje już prawie, coś w rodzaju tkliwości macierzyńskiej, której w rzeczywistości nie zaznała przecież, przetrwało w niej wszystkie inne uczucia, i do pewnego stopnia ją samą nawet. Ale nie wydaje się to panu śmiesznem, że tuli i kołysze róg swojej kołdry, prawda, panie?

Pani Celestyna utkwiła we mnie swe ciche, zrezygnowane spojrzenie. Nie odpowiedziałem nic, ale oczy mi zwilgły, i pani Celestyna zrozumiała to nieme przyświadczenie. Wzruszył mię do głębi ten ślad zapadłych w nicość, mimowiednych pragnień macierzyństwa.

— Biedaczka! — rzekła pani Celestyna, zaciągając troskliwie i z ostrożnością jedwabne, rozpadające się zasłony łóżka. Obraz bladej, zwiędłej, nad grobem chylącej się istoty znikł za niemi powoli, podobnie jak przed nią zwolna zasunął się w przeszłość cały jej ród, tak sławny niegdyś i bogaty. Głęboką ciszę komnaty zmącił nagle w tem okamgnieniu dziki, rozdzierający krzyk.

— Moja młodość! Wróćcie mi moją młodość! — wołał z udręczeniem śmiertelnem chrapliwy jakiś głos. Brzmiało w nim coś tak rozpaczliwego, tak szalenie bolesnego, że dreszcz zimny przebiegł mnie aż do kości. Obejrzałem się przerażony. Spostrzegłem, że okrzyk ten wydała trzecia mieszkanka „klatki obłąkanych.“ Wstrętnie brzydka kobieta owa była w tej chwili niezwykle zajmująca. Oczy jej płonęły, więcej, jarzyły się, mimo łez gradem z nich padających, a wyraz twarzy jej był tak tragiczny, że wstrząsnął mną do głębi. Lustro, w które podobno stale całemi dniami się wpatrywała, padło na fotel, z którego sama gwałtownie się zerwała, załamując kurczowo ręce nad głową.

— Moja młodość! Oddajcie mi moją młodość! — krzyczała znowu. — Ukradziono, wyłudzono mi ją! Twarz moja to teraz jedna wielka zmarszczka, serce — jedna wielka rana! Nie żyłam, nie żyłam, i życie me przepadło — przeminęło! Wróćcie mi moją młodość! Moją młodość!

Płacz histeryczny zgłuszył resztę słów, i załamując ręce padła znowu na fotel. Przez mgnienie oka staliśmy jak skamieniali, tylko z za jedwabnej zasłony ozwał się cichy śmiech idyotki i wtórzył rozdzierającym szlochom obłąkanej. Mróz przebiegał mi ciało. Pani Celestyna opamiętała się pierwsza, podbiegła do płaczącej i poczęła tulić ją i uspokajać cichemi słowy.

— Ucisz się, miejże rozum, opamiętaj się, Antonio! — szeptała. — Jest ktoś, co liczy nasze łzy i zna poczet westchnień naszych. Młodość twoja będzie ci wrócona tam, tam, kędy niemasz trosk ani smutku, gdzie Pan utuli i pocieszy nas wszystkich, którzyśmy cierpieli i znosili, zdawszy się na wolę Jego!

— Moja młodość! Moja młodość! — powtarzała coraz ciszej, coraz ciszej Antonia. Z głuchnącem łkaniem

padła, jakby złamana w pół ciała, piersią na własne kolana, skrzyżowanemi ramionami przysłoniła twarz, a kościste palce zatopiła w siwych włosach na tyle głowy. Bez słów, drgała teraz całem ciałem: wewnętrzny, i zapewne łez pozbawiony, płacz wstrząsał i miotał wszystkiemi jej członkami. W tym niemym bólu było coś jeszcze straszliwszego, niż przedtem w jej krzyku. Serce mi się ściskało. Pani Celestyna klęczała teraz u jej stóp i podtrzymywała ją, szepcąc tylko od czasu do czasu ciche „Antonio, droga Antonio!“ Po chwili skinęła nam głową, jak gdyby prosząc, abyśmy odeszli.

Zwróciliśmy się na palcach ku drzwiom.

— Mam u siebie w pokoju krople uspokajające, — rzekł Rojko, — może je pani przynieść?

— Nie, — odpowiedziała pani Celestyna, — nie podziałałyby w tej chwili; przydadzą się dopiero później, gdy sama z siebie nieco się uspokoi. Niezadługo przyjdę po nie do pana, a jednocześnie zobaczę, czy nie mogłabym panu być w czem użyteczna. — Odwróciła się od nas, zajęta zupełnie Antonią.

— Cóż za kobieta, ta pani Celestyna, — rzekłem do Rojka, gdyśmy siedli w jego pokoju. — Prawdziwa siostra miłosierdzia!

— Jest to prawdziwy typ kobiety z ludu, — odpowiedział, — a na szczęście dla rodzaju ludzkiego, jest takich więcej, niżby się kto mógł spodziewać. Sama przecierpiała wiele, znosiła i ubóstwo i żal. Jest wdową po rybaku, który zginął gdzieś tam w Pikardyi, zkąd i ona pochodzi.

Wkrótce pani Celestyna zapukała do drzwi; przyszła po te przyobiecane krople.

— Trafiłeś pan u nas na dzień nieszczęśliwy — zwróciła się do mnie. — Ta biedna Antonia nie zawsze bywa tak hałaśliwa. Po długim czasie znowu jej się to zdarzyło.

Była taka nieszczęśliwa przez całe życie! Rodzice wydali ją, w bardzo młodym wieku, za człowieka niekochanego. Zwykła historya: on był bogaty, myśleli więc, że w ten sposób zabezpieczą trwałe szczęście na całe życie, jej — i sobie. Zdaje mi się, że o siebie dbali najbardziej. Ale poświęcenie jej okazało się nadaremnem. Mąż przehulał wkrótce swój majątek i rodzice jej pomarli w nędzy, niedoczekawszy się najmniejszej pomocy od twardego zięcia, który nawet Antonię zaczął później dręczyć i nienawidzieć, gdy ospa i inne choroby uczyniły ją wstrętnie brzydką poprostu. Spędziła całe życie w ciemnym sklepiku, przy brudnej uliczce, pozbawionej słońca i powietrza, gdzieś w pobliżu kościoła Notre-Dame. Mąż nie troszczył się o nic, musiała utrzymywać jego i siebie. Na nieszczęście, Bóg nie dał jej dziecka. Gdyby nie to, miałaby dla kogo żyć, miałaby pociechę i nadzieję i nie byłaby może żywiła w głębi serca nierozsądnej myśli, która z czasem stała się jakąś *idée fixe*, skałą podwodną, o którą biedny jej rozum rozbił się wreszcie, niby łódź rybacka.

— Jakaż to była *idée fixe?* — spytałem z zaciekawieniem.

— Rzecz szczególna, — odpowiedziała poważnie pani Celestyna, — rzecz szczególna, ale Antonia nie zauważyła nigdy swej późniejszej brzydoty. Gdy była młodziuchnem dziewczęciem, znała pewnego malarza, również wówczas bardzo młodego, który się do niej zalecał. Czy kochał ją istotnie kiedykolwiek, trudno to wiedzieć; jej się zdawało że tak, zwłaszcza gdy odmalował ją w tej biało-różowej muślinowej sukience, w której ujrzał ją po raz pierwszy, w tym słomkowym, florenckim kapelusiku z różowemi piórami, w atłasowych pantofelkach, na krzyż przez ażurowe pończoszki różowemi związanych wstążkami, z koszyczkiem do robótek na ręku. Obraz ten bardzo się podobno spodobał i tak dobrze został sprzedany, że malarz ów za

wzięte zań pieniądze wyjechał dokądś w podróż. Nie wracał długo i żadnej o sobie nie dawał wieści; nim powrócił, Antonia wyszła za mąż. Ów strój zachowała jako drogą relikwię i pamiątkę o chwilach największego swego szczęścia. Słyszała później nieraz o tym malarzu, zaczynał być głośnym i mówiono o nim wszędzie! Antonia pocieszała się, w największej nędzy, w ostatniem poniżeniu, próżnem marzeniem, że człowiek ten jeszcze o niej nie zapomniał, że z taką samą wspomina o niej tkliwowością i tęsknotą, jak ona o nim. Będzie jeszcze kiedyś szczęśliwa, szczęśliwa, szczęśliwa! Powtarzała to sobie nieustannie, a gdy mąż zmarł wreszcie, wydało jej się, że chwila tego szczęścia, tak gorąco upragnionego, tak zasłużonego przez te długie cierpienia, nadeszła nakoniec! Biedna Antonia! Napisała do malarza list, oznajmiając mu swe odwiedziny. Choć żadnej nie dostała odpowiedzi, wybrała się jednak w kilka dni potem do jego pracowni. Wydobyła ze starej walizki swe drogie relikwie, ubrała się w pożółkłą już teraz, niegdyś białą, muślinową sukienkę, włożyła ten — mimo całą troskliwość — pomięty i zakurzony kapelusik florencki na głowę, związała różowe wstążki pantofelków na krzyż przez ażurowe pończoszki i wzięła koszyczek z ową robótką, na której od owej chwili nie dorobiła już ani ściegu, na rękę. Tak zjawiła się w jego pracowni, w tym młodzieńczym a podstarzałym, przez czas — że tak powiem — obszarpanym stroju na zużytem, sponiewieranem przez wiek i nędzę ciele, cała w zmarszkach, wstrętnie brzydka, śmieszna dla każdego, tylko nie dla Boga, który w owem okamgnieniu patrzał z pewnością na to zrozpaczone a bezgranicznie ufne jej serce i widział, jakiem było. Bóg widział, że udręczona życiem chwytała się, nawpół oszalała, brzegu, którego chwycić się nie było podobna. Biedna Antonia! Ów malarz nie był Bogiem — i widział tylko jej śmieszność, jej

waryacyę! Straszliwy wybuch śmiechu, od którego nie mógł się powstrzymać, zbudził ją z mamiących marzeń o szczęściu! Oglądała się, jakby tracąc zmysły do koła siebie, ujrzała się w zwierciedle, spostrzegła po raz pierwszy, jaką była, — i naraz stanęło przed nią całe życie stracone, w otchłań zapadłe, cała młodość miniona niepowrotnie... I to popsuło jej coś w głowie, pozbawiło ją rozumu... Błąd jej był, że szukała szczęścia, że tak go pragnęła, że tak nieskończenie, tak szalenie, całą istotą ku niemu się sprężała.

— A pani, czyliż nigdy go nie pragnęłaś? — zapytałem.

— Każdy o niem marzy, — odpowiedziała pani Celestyna, — i jestem Bogu wdzięczna, że dał mi zaznać, przez krótkie chwile, prawdziwego szczęścia. Póżniej wszakże dało mi życie tę wielką naukę, że szczęścia niepodobna osiągnąć, póki się za niem uganiamy. Zdać się na wolę Bożą, przyjmować, miłować swe cierpienia, oto jedyny środek, który ukaja nasze żale, goi nasze rany i na dobrą wiedzie nas drogę.

— Widzę, — rzekłem niedelikatnie poniekąd, — że sama cierpiałaś pani wiele?

— Któż nie cierpiał? — odpowiedziała cicho, z piękną rezygnacyą w tych patetycznych swych oczach.

— Jesteś pani wdową, sąsiad pań powiedział mi to przed chwilą; czy utraciłaś pani męża jeszcze zamłodu?

— Tak, — rzekła, i w oczach jej zalśniło jakieś rozmarzenie, coś jakby odblask szczęśliwych wspomnień o dobie słonecznej jutrzenki żywota.

— Zginął podobno w sposób straszny? — wypytywałem natarczywie; nie mogłem się pohamować, musiałem to usłyszeć z jej ust, było to jakieś okrucieństwo i ciekawość zarazem, coś w rodzaju zainteresowania zbudzonego przez dramat. — Utonął? Mówił mi o tem przyjaciel mój. Ach, jakiż potworny żywioł — to morze!

— Jest to żywioł potężny, — rzekła cicho, — i była to wielka boleść. Ale nie ja jedna jej doznałam; ileż wdów i sierot woda tam u nas nie narobiła! Ale my nie możemy się go wyrzec, tego morza, — my, którzyśmy się tam u jego brzegów narodzili. Pochłania nam mężów, synów, braci, ale tęsknimy za niem, jeśli w dali od niego żyć nam wypadnie. Tak już jakoś pan Bóg nas stworzył. Należymy do niej, do tej wielkiej wody, ona grzebie nas i żywi, ale ona naszą jest również i lgniemy do niej całem sercem.

— A jak się zdarzyło to nieszczęście z mężem pani? — spytałem. Pani Celestyna rozgadała się i miała do mnie jakieś zaufanie; czułem, że jestem jej sympatyczny. Siadła na krzesełku pod oknem.

— Jak się to zdarzyło? — rzekła pomału. — Tak, jak się zdarza zazwyczaj. Żyliśmy z mężem szczęśliwie i spokojnie w Cayeux. Zna pan Cayeux, prawda? Cayeux-sur-mer — w Pikardyi? Małe miasteczko na piaskach, ale miłe, miluchne. Mieliśmy ładny domek, kawałek pola na kartofle i ogródek. Piotr tak lubił kwiaty. Tak miał na imię mój nieboszczyk. Był rybakiem. Pewnego razu najął go pan Belfort. Łódź miał dobrą, piękną — i pojechali na dłuższą wyprawę. Poczyściłam tymczasem wszystko w domu i doprowadziłam ogródek do porządku. Wszystko u nas świeciło się jak nowe w ów wieczór, gdy czekałam nieboszczyka z powrotem. Zapaliłam lampę, zgotowałam wieczerzę. Czekam i czekam, mąż nie przychodzi. Powieczerzałam tedy sama i siadłam prząść. Na dworze był mocny wiatr, ale nie czułam żadnej obawy, morze wcale mi się złem nie wydawało. Widziałam wprawdzie przez otwarte okno kobiety śpieszące do kaplicy, kędy się modlimy, ilekroć łodzie z naszymi drogimi znajdują się podczas burzy lub wichru, na morzu, daleko od przystani. Musiałeś pan takie kaplice widywać u nas lub w Bretanii,

gdzie przed ołtarzem wisi zawsze mała łódeczka? Widziałam tedy kobiety, idące w czarnych płaszczach koło naszego domu, ale najmniejszego nie czułam niepokoju. Przędłam, czekając ciągle. W końcu wszakże wzięłam również swój czarny płaszcz — wszystkie go tam u nas nosimy — i chciałam także pomodlić się z innemi. Gdym doszła do końca ulicy, stało tam w gromadce kilkoro dzieci i jeden z chłopców mówił do któregoś z towarzyszy: „Wiesz, że Belfort zginął?“ Gdym usłyszała nazwisko patrona łodzi, na której mąż mój odpłynął, zlękłam się wprawdzie ogromnie, ale myślałam: Czego te dzieci nie opowiadają! Poszłam tedy dalej, ale już nie do kaplicy; zboczyłam ku domkowi zamężnej siostry. Podeszłam cicho i cicho otworzyłam drzwi; jakoś mi już było dziwnie na duszy. Siostra, mąż jej i syn siedzieli u stołu i płakali gorzko. Nawet mnie nie spostrzegli. Nie mogłam zrobić kroku, nie pytałam się już, czemu płaczą. Powiedziałam sobie tylko, tak jakoś wewnętrznie, sama dziś nie wiem jak: Już masz swoją ranę! Miałam, miałam tę ranę w sercu, to była prawda: zostałam wdową. Tak zaczęła się ma żałoba. Na drugi dzień przyszli ludzie i przynieśli pewność; ściskali mi ze współczuciem ręce i rzekli: „Widzieliśmy, jak łódź zginęła. Nie szukaj, biedna, i nie czekaj.“ Nie szukałam już i nie czekałam, ale były jednak chwile, gdy sama do siebie mówiłam jak we śnie: To nie może być, on wróci. I pielęgnowałam ogródek, zaświecałam co wieczór lampę i stawiałam ją tam, gdzie siadywał czytając gazety. Po trzech miesiącach znaleziono trzy trupy w Tréport. Poszłam tam. Z odzieży poznałam, że żaden z nich nie jest moim mężem. Nie znaleziono go nigdy. Gdym już straciła nadzieję, by go można było pochować w ziemi święconej, dałam odprawić w kościele nabożeństwo żałobne, a w domu potem, jak to u nas we zwyczaju, postawiliśmy krucyfiks w głowach łóżka, zapalili świece, na-

kryli łóżko białym całunem z czarnemi łzami, jakby umarły tam leżał, potem przyszedł ksiądz i sąsiadki i krewni, i każdy się pomodlił jak przy trumnie, a odchodząc kropił święconą wodą powietrze w kierunku łóżka. Tak tedy pochowaliśmy go jednak po chrześciańsku, choć nam go ta woda nie wydała. Ale i ją stworzył pan Bóg, i ona tedy jest Pańska jako ziemia, czyż to nie jest pociechą? A łódź została także gdzieś tam pod wodą; po latach, latach zaczepiła się podobno rybakowi zapuszczona sieć o jej szczątki. Ale ja już wtedy nie byłam w Cayeux; gdy na dodatek dziecko moje, po jego śmierci urodzone, zmarło, wyniosłam się — i ktoś tylko pisał mi o tem. Nocami tu w Paryżu miewałam o tem sny, i nie dawno jeszcze śniło mi się, jak ta łódź tam w dole zgruchotana leży między skałami pod tą głęboką wodą. I szum tych fal słyszałam we śnie często, a gdy się budziłam, serce tak jakoś tłukło mi się w piersiach jakby z żalu i tęsknoty! Czy uwierzysz pan? Miałam niekiedy wrażenie, że młode lata za mną się oglądają. Nie pojadę tam zapewne już nigdy z powrotem. Cóż robić — idziemy drogami, które Bóg nam wyznaczył.

Pani Celestyna wstała spokojnie. Coś tam poprawiła przy czepku na głowie, potem wzięła flaszeczkę z kroplami ze stołu, podziękowała uprzejmie, pozdrowiła nas obu z uśmiechem i wyszła z pokoju. Popatrzyliśmy z Rojkiem na siebie — i milczeliśmy przez chwilę. Wyczytaliśmy sobie nawzajem wzruszenie z oczu. Nim zdołaliśmy przemówić, wróciła pani Celestyna.

— Wybacz pan, — rzekła do Rojka, jestem już zupełnie do niczego! Miałam zapytać, czy panu czego nie potrzeba, a tu gadam, gadam i, zgubiwszy się we wspomnieniach swej bolesnej przeszłości, zapominam o dzisiejszych pańskich przykrościach!

— Nie potrzeba mi nic, dobra pani. — rzekł Rojko.

Pani Celestyna wszakże jęła krzątać się po pokoju, uporządkowała rozrzucone rzeczy, starła tu i ówdzie kurze ściereczką i dopiero po ponownem zapewnieniu Rojka, że nic nie potrzebuje, wyszła na dobre.

Rojko siedział na łóżku, na oba policzki wybiły mu się blado różowe plamy, oczy świeciły gorączkowo — i niespodzianie zaczął mówić:

— Serce ludzkie, — rzekł z cichym jakimś zapałem, — jest niepojęcie głębokie i tak bogate w uczucia piękne i wzniosłe, że uboga mowa nasza słów na nie dość w sobie nie ma! Ale, w stadyum dzisiejszego naszego rozwoju, nawpół nawet tego serca ludzkiego znać nie możemy, bo nie osiągnęło dotąd całej możliwej potęgi swojej. Ludzkość, jak ją dziś widzimy, nie jest jeszcze właściwą ludzkością, jest tylko cieniem, zarysem, przeczuciem tego, czem kiedyś się stanie! Ludzkość dzisiejsza istnieje tylko na to, aby pójść na ofiarę, do najwyższego swego wzniesie się ideału, gdy sama siebie rozbije na jakimś krzyżu i zstąpi do grobu, aby zeń później powstać na prawdziwy tryumf i chwałę! Ród ludzki, taki, jakim jest dzisiaj, nie zasługuje na nic prócz cierpień i boleści, i być może, iż tu na ziemi, gdzie wszystko, co dziś jest człowieczeństwem, musiało uprzednio przejść stan roślinny i zwierzęcy, — tego przyszłego stadyum ludzkiego, lub, lepiej mówiąc, tego ideału nadludzkiego nie osiągnie wogóle! Może duch ludzki, który jest duszą naszej planety, przejdzie z czasem na planetę inną, aby tam gloryfikacyę swą urzeczywistnić, podczas gdy bezduszny trup matki ziemi, wyrwany z orbity swej, zapadnie w czarną mgłę wygasłego słońca jakiegoś, niby w grób predestynowany!

Umilkł znużony. Słuchałem z podziwieniem. Zkąd rozgadał się tak nagle o ludzkości i sercu ludzkiem? Byłże to skutek wrażenia, wywołanego opowieścią tego prostego serca, pani Celestyny? Ująłem go za rękę.

rzeczach, jego wpływowi. Skutkiem tego, zacząłem bywać znowu, naprzód, bardzo częstym, a potem codziennym gościem w domu „pod tonącą gwiazdą,“ i cały dom mnie znał, i pomału przyjęli mię ci z jego mieszkańców, z którymi bliżej się stykałem, jakby za swego.

Traf chciał, że niezadługo poznałem się bliżej i z ową biedną kobietą, która tak płakała, gdy ją gbur wojskowy twardo od siebie odtrącił.

Siedziałem u Rojka, bardziej niż kiedykolwiek posępnego, smutnego i milczącego, gdy nagle drzwi otworzyły się gwałtownie i w progu stanęła pani Celestyna. Była blada jak trup.

— Na Boga! pomocy! pomocy! — wołała zdyszanym głosem. — Prędko, prędko, panie, inaczej może się stać morderstwo!

Odbiegła równie szybko, jak wpadła, a ja pośpieszyłem za nią po schodach na półpięterko pod „klatką obłąkanych.“

Tam ujrzeliśmy owego jasnowłosego pięknisia wojskowego, którego znałem już z widzenia; wypadł tylko co z pokoju owej kobiety, był wściekły, rozszalały, a ręce, które sobie ocierał chustką od nosa, miał we krwi zbroczone.

— Biada! — krzyknęła pani Celestyna i zachwiała się, — biada! Zabił ją, zabił z pewnością tę biedną Wirginię! Słyszałam rozpaczliwy jej krzyk! A teraz ta martwa cisza!

Wbiegliśmy do pokoju: tymczasem ze wszystkich stron słychać już było otwieranie drzwi i pośpieszne kroki zaniepokojonych mieszkańców; cały dom się zbiegał. Owa kobieta, którą pani Celestyna nazwała Wirginią, leżała na ziemi, w odzieży potarganej, z włosami w nieładzie, ze śladami krwi na twarzy, szyi i piersiach. Była w omdleniu. Podniosłem ją i złożyłem na stojącej w po-

bliżu kanapce. Pani Celestyna skrapiała jej skronie wodą. Wirginia otworzyła oczy i spostrzegła rozciekawione twarze tłoczących się we drzwiach mieszkańców domu.

— Niech pani ich wypędzi, pani Celestyno, — były pierwsze jej słowa. — Pani Celestyno, niech pani zamknie drzwi. Zrobiło mi się niedobrze... Upadłam... Skaleczyłam się do krwi...

Pani Celestyna powtarzała te słowa, prosząc zebranych, by się rozeszli i Wirginii nie rozdrażniali. Tymczasem Wirginia wpatrzyła mi się w oczy badawczo, chmurnie, ponuro.

— Umrę? — spytała cicho.

— Nie sądzę, — odpowiedziałem. — Nie! Rany nie są tak głębokie — —

— Szkoda, — odparła. Krótkie to słowo kryło w sobie w tej chwili całą otchłań żalu.

— Chciał panią zamordować? — spytała pani Celestyna.

— Kto taki? Tu nikogo nie było. Upadłam tylko — wyjąkała spiesznie i z pomieszaniem Wirginia.

— Słyszałam, jak-eś pani wołała o pomoc, — rzekła pani Celestyna, — potem widzieliśmy go, jak wypadł z pokoju — —

— Leona? — spytała z najwyższym niepokojem Wirginia. — Pan go nie wyda, — zawołała, chwytając mnie gwałtownie za rękę, — pan go nie wyda! Nawet gdybym umarła! Ja nie chcę! Błagam pana! Co komu do tego, gdyby mnie nawet zabił? to moja rzecz, a... a... a ja... chciałabym umrzeć.

Przymknęła oczy i dwie strugi łez potoczyły się z pod posiniałych powiek.

Chwilę staliśmy z panią Celestyną w milczeniu, wzruszeni i smutni. W pokoju była cisza aż głucha. Nagle zaczął śpiewać ptak, słodko, przeciągle, marząco. Spojrza-

łem w kierunku, zkąd śpiew dochodził: ptak siedział w klatce u okna, zarośniętego od góry do dołu soczystem listowiem jakiegoś czerwono kwitnącego pnącza. Było to tamto okno, które, zanim się dostałem do domu „pod tonącą gwiazdą,“ budziło we mnie romantyczne widzenie: że za niem kryje się „wcielona poezya,“ wcielona w młode, piękne dziewczę, czystą lilię, wyrosłą jakimś cudem z gruzów i szczątków tej starożytnej dzielnicy paryzkiej, jako w baśni z ruin walącego się zamczyska! A oto leżała przede mną ta nieszczęsna kobieta, niemłoda, nędzarka, pokalana, zgubiona, krwią zalana i roniąca łzy! Litość przejęła mnie niezmierna. Ale opamiętałem się prędko i od rozmyślań przeszedłem do czynu. Z pomocą pani Celestyny obmyłem i przewiązałem rany Wirginii, które nie były ani głębokie, ani śmiertelne. Potem poprosiłem panią Celestynę, aby została u tej kobiety, póki nie wrócę. Pojechałem do najbliższej apteki, nakupiłem, czego było trzeba do lepszego, dokładniejszego opatrzenia pacyentki, i powróciłem do niej wkrótce. Usnęła była tymczasem, nie chcieliśmy więc budzić jej z tego słodkiego boleści wszystkich zapomnienia. Poszedłem z powrotem do Rojka, a pani Celestyna chodziła po całym domu, uspokajając zatrwożonych mieszkańców, objaśniając, że chodziło nie o żadne morderstwo, lecz o zbyt brutalne obejście, i prosząc, aby ciekawością próżną nie niepokoili chorej, która za dzień lub dwa najdalej zupełnie przyjdzie do siebie. Idąc od Rojka wstąpiłem znowu do Wirginii. Leżała na łóżku, ale nie spała już; była blada, ale dość spokojna. Zapłakane jej oczy patrzyły na mnie błagalnie. Wydało mi się, że chce ze mną o czemś pomówić. Siadłem tedy obok jej łóżka, ująłem ją za rękę i, dobywszy zegarek, jąłem liczyć bicie jej pulsu, zostawiając jej w ten sposób dość czasu do przygotowania w sobie tego, co powiedzieć mi chciała.

— Panie, — zaczęła nieśmiało, — pan widział zatem Leona, jak uciekał z mego mieszkania? Otóż, niech pan mi przyobieca, że nikomu o niczem pan nie powie. Byłoby zaraz śledztwo — i Leona spotkaćby mogła jaka kara.

— Obiecuję ci, że będę milczał, jeżeli tak sobie życzysz; ale nędznik ten zasługiwałby właściwie na karę. Dla czego cię bił?

— Chciał pieniędzy. Dałam mu wszystko, co miałam, ale było mu tego za mało. Bił mnie — że mało zarabiam. Czyż to moja wina, żem już brzydka i że się starzeję — —

Umilkła i spuściła oczy.

— A dla czego dajesz mu pieniądze? — spytałem ze zdziwieniem i ciekawością.

— Kocham go, — rzekła z prostotą.

Spojrzałem na nią ze zdumieniem już nietajonem. Zaczerwieniła się lekko.

— Jestem kobieta sprzedajna i godna pogardy, — rzekła, — ale kocham go. Jam stara i brzydka, on młody i piękny — kocham go. Ludzie śmieją się ze mnie. Cóż-em ja winna, że, choć postarzałam się, kocham jeszcze — i to po raz pierwszy w życiu! Tak, po raz pierwszy. On mnie nie kocha, mój Boże, jakżeby mógł? On taki piękny, tyle młodych dziewczyn za nim szaleje! Ale chce pieniędzy, które mu daję; pieniędzy nigdy mu niedość. Daję mu wszystko, wszystko, choćbym głód miała znosić. Poniżam się, sprzedaję się zapóźnionym w nocy pijakom, którzy również mnie biją; ale cóż mi to wszystko, jeśli on, biorąc te pieniądze, choć czasem uśmiechnie się do mnie.

— Ależ to szaleństwo! — zawołałem. — Walcz z tą słabością, bo to słabość aż nikczemna!

— Niech sobie taką będzie, — odpowiedziała, — to jedno trzyma mnie nad wodą! Gdybym choć raz jeden

w życiu nie kochała tak, zupełnie bezinteresownie, czyliż zdołałabym znieść świadomość swego upadku? Co pan nazywasz słabością, nikczemnością, to będzie snadź jedynem usprawiedliwieniem mem kiedyś przed Bogiem. Wszystkim sprzedawałam się, jemu się oddaję. Od wszystkich brałam pieniądze, ale on bierze ode mnie.

Powiedziała to z taką prostotą, z takiem przekonaniem, iż zawstydziłem się, żem jej ten zarzut zrobił. Była mi równie mało śmieszna ta podstarzała kobieta, mówiąca z uniesieniem o swej miłości, jak ta biedna, o piętro wyżej margrabianka, w której przygasającym duchu błędny ognik nigdy w rzeczywistości niezaznanych uczuć macierzyńskich dotąd połyskał. W milczeniu uścisnąłem rękę Wirginii. Spojrzała na mnie z wdzięcznością, żem ją zrozumiał. Wyjąłem trochę pieniędzy i położyłem je na stole koło jej łóżka. — Zostawiam ci tu, — rzekłem, — na konieczne potrzeby. Jutro obejrzę znowu twoje rany.

Zatrzymała mię za rękaw. Miała łzy w oczach.

— Panie — szeptała, — dzięki za pańską dobroć... Ale, posłuchaj pan, nie bierz mi pan za złe... Gdyby przyszedł Leon, ze skruchą, że mnie dręczył, że mnie zbił... gdyby chciał znowu pieniędzy... wiedz pan, nie powstrzymałabym się i oddałabym mu wszystko... Niech pan je tedy weźmie raczej z powrotem... te swoje pieniądze... Panby nie chciał, wiem, abym je dała — jemu.

— Są twoje, — odpowiedziałem, — możesz z niemi postąpić, jak ci się spodoba. Nie będę się pytał, co-ś z niemi zrobiła.

Chwyciła mnie jeszcze mocniej za rękę, zanosząc się od płaczu.

— Niech Bóg panu to odpłaci, — rzekła wreszcie. — Jam kobieta zgubiona i współczucia niegodna, ale nie byłam nią zawsze. Ach, może nie byłabym tem, czem jestem, gdyby mój brat nie był umarł... Mój biedny Teo-

dor! Nie miał jeszcze lat ośmnastu, gdy umarł w seminaryum, tam daleko, w Bretanii, gdzieśmy oboje się porodzili. Ach, panie, panie, to był anioł czystości, mój Teodor! Był o dziesięć lat młodszy ode mnie, a taki prosty, taki dobry! Był jeszcze u rodziców, gdy odeszłam na służbę do Paryża. Kochał mnie aż namiętnie, i tak tęsknił, tak tęsknił za mną! Nie miał przeczucia, czem jest grzech, w który wkrótce upadłam. Opuściłam służbę i wiodłam życie rozwiązłe. Nie było to z potrzeby, z nędzy, żem się rozpuście oddała, było to ze swawoli. A potem — chciałam być bogatą. Marzyłam o tem, aby powrócić do Bretanii, kupić sobie domek z ogrodem i mieć klejnoty, i srebra, i stroje! Tyle w służbie się nie zarobi. Ach, Bóg mnie ukarał, widzi pan, umieram w nędzy... A niech pan sobie wyobrazi takie ostrzeżenie: kiedyś, podczas jakiejś hulanki w wesołem towarzystwie, opowiada nagle jakiś komiwojażer, że był w Pont-Aven, mojej miejscowości rodzinnej, i że tam chłopiec jakiś, którego spotkał w lesie, pytał go, czy mieszka w Paryżu, a gdy mu odrzekł, że tak, zawołał podobno radośnie: „Ale w takim razie musisz pan znać Wirginię, moją siostrę, która służy u pana Delatre przy ulicy de Rennes! Jakże mógłbyś pan jej nie znać!“ Wszczął się ogromny śmiech z naiwności owego małego bretończyka, ale ja płakałam, bom poznała, że chłopcem, który w lesie przechodniów o mnie wypytywał, był Teodor, ja to bowiem u owego pana przy ulicy de Rennes pierwszą swą objęłam służbę, a Teodor, nie przeczuwając, co się ze mną dzieje, myślał, że dotąd tam służę! Panie, panie, nie był-że to palec Boży, że mi ktoś w tem rozpustnem towarzystwie musiał bezwiednie mego anielskiego przypomnieć brata? A wszyscy wówczas tak się śmieli. Ja jedna płakałam — ale na dobrą drogę nie wróciłam jednak! —

Zamilkła, a twarz powlókł jej śmiertelny jakiś smu-

tek. Pocieszałem ją, jak mogłem. Uspokoiła się poniekąd. Zabierałem się do odejścia.

— Niech mi pan poda, — poprosiła mnie jeszcze, — tę fotografię, tam, na oknie. To Leon. Przed rokiem byliśmy razem na dorocznym jarmarku pierników na placu Narodu. W jednym z szałasów był tam fotograf — i zrobił mi ten portrecik Leona tak zadziwiająco tanio! A potem Leon kupił mi świnkę z piernika z wypisanem na niej żółtym lukrem mojem imieniem. Zjedliśmy ją na pół. Miała nam ta świnka przynieść szczęście.

Podałem jej wyblakłą, nędzną fotografię tego nikczemnika. Zapatrzyła się w nią przy blasku ciemnej świeczki z takiem uniesieniem, że nawet nie zauważyła, gdym mówił jej dobranoc.

Miałem iść do domu, ale przypomniałem sobie, że poproszę panią Celestynę, tego ducha miłosierdzia i współczucia w mrocznym domu „pod tonącą gwiazdą,“ aby w nocy od czasu do czasu zajrzała do Wirginii, czy jej czego nie potrzeba. Potem, gdym załatwił tę sprawę, przyszło mi na myśl, że się nie pożegnałem z Rojkiem. Poszedłem tedy do niego. Leżał na łóżku po ciemku. Zapaliwszy małą lampkę i rzuciwszy nań okiem, przeląkłem się wyrazu jego twarzy. Nie było to już rozdrażnienie czy gorączka, był to wyraz twarzy szaleńca.

— Zabił ją? zabił? — pytał i śmiał się strasznym, dzikim, chrapliwym śmiechem.

— Czyż pan ją nienawidzisz, że okazujesz na tę myśl taką radość? — odpowiedziałem gniewnie, zapominając, że Rojko nie panuje widocznie nad swemi zmysłami.

— Oh, cóż ona mnie obchodzi, — zawołał, — ale on, on, jakże mu zazdroszczę!

— Czego mu pan zazdrościsz?

— Uczucia po dokonanej zbrodni, tego pierwszego okamgnienia tragiki!

— Odchodzisz pan od zmysłów, — wykrzyknąłem zdumiony.

— Wiem dobrze, co mówię! Nie popełniłeś pan nigdy morderstwa, albo innej ciężkiej zbrodni, jednem słowem, grzechu, za którym idą przekleństwa ludzkie i kurczowe szarpanie się tego, co nazywamy sumieniem?

— Bogu dzięki, nie! — zawołałem.

— W takim razie, nie zdołasz pan pojąć tego uczucia. W takim razie nie wiesz pan, co to jest stać nagle jak gdyby na wysokim piedestale, wznosić się wysoko, ponad całem powszedniem, zdawkowem otoczeniem! Widzieć rozpadlinę, bezdenną jak morze, która nagle oddziela nas od świata całego! Po zbrodni człowiek ukazuje się sobie nagle w zupełnie innem niż przed tem oświetleniu, i nietylko on sam, ale i świat wydaje mu się naraz czemś różnem od tego, za co go brał dotąd! Nareszcie, zna sam siebie! Nareszcie jest wielkim filozofem! Nero wiedział dobrze, iż wielki złoczyńca jest zarazem poniekąd wielkim artystą. Krwawą drogą uganiał się za pierzchającą muzą swoją. A jakąż osłupiałą miał dokoła siebie publiczność! Zbrodnia ma coś wspólnego z dziełem sztuki, w artyście podobnie jak w zbrodniarzu jest coś, co go pcha do tego, co ma uczynić, pcha ślepo — — tajemnica, której nikt zbadać nie zdołał! Tylko wielki artysta zdoła czuć równie intensywnie jak wielki zbrodniarz, albo też naodwrót, jeśli pan chcesz!

— Albo mówisz pan rzeczy potworne, albo nie wiesz, co mówisz! — wykrzyknąłem. Mróz przebiegał mi ciało. Ale coś mnie pchało, gwałtownie pchało ku temu dziwnemu człowiekowi, musiałem, czułem to, że musiałem przedostać się aż do jego wnętrza. Ująłem go za rękę i zaszeptałem, sam nie wiedząc jak i dla czego: — Mówisz pan z własnego doświadczenia?

Zaśmiał się głośno.

— Może czytałem gdzieś to, co panu teraz deklamuję! — zawołał. — Człowiek tyle czyta, że niekiedy nie odróżnia już własnych myśli od tych, które się w nim tylko jako echo odzywają.

Próbował wyrwać rękę z ręki mojej, ale trzymałem go mocno. Naraz przyszło mi na myśl, że wówczas w szpitalu, gdy mi po raz pierwszy opowiadał o swych losach, wyrwał mu się mimowoli ten śmiertelnie smutny szept: „Wina, moja wina!“ Jakaż to wina była?

— Pan mówisz z własnego doświadczenia! — wykrzyknąłem. — Przyznaj się pan, przyznaj! — Byłem teraz sam jak w gorączce. Szaleństwo jego doprowadziło i mnie do szału jakiegoś. Rojko był teraz blady śmiertelnie, a w wytrzeszczonych oczach znać było nagłe przerażenie. Ale, porwany szałem, żadnej nie miałem dlań litości.

— Mów, mów, mów! — wołałem rozkazująco.

— Dobrze więc, — odpowiedział szeptem, jak gdyby ujarzmiony moją energią. — Gdyby nie ta groza, — dodał szeptem jeszcze cichszym, — która idzie z rzeczy nieżyjących! Po raz pierwszy przerażenie na mnie padło z wielkiego złomu skalnego, gdym pierzchał z zamku, w którym umarła. Skalisko to widziałem sto razy, ale nigdy nie zwróciłem na nie uwagi. Ale wtenczas, po jej śmierci, zmieniło się zupełnie. Nabrało naraz okropnej tej właściwości, że spoglądało, że patrzało, chociaż nie miało oczu! Nie miało żadnych oczu, nawet farbą naznaczonych, czy w kamieniu wyrytych, nic w niem najlżejszego do oczu nie miało podobieństwa, złom skalny bezkształtny, głaz prosty, zwykły — a patrzał! To była ta groza nieopisana! Owe źrenice, których wcale nie było, przejmowały mrozem do kości i jeżyły lasem włosy na głowie!

Przy tych słowach, wydało mi się, że wszystkie ściany, wszystkie przedmioty w pokoju pełne były niewidzialnych, nieokreślonych oczu, i dziwne, nigdy przedtem nieu-

czuwane przerażenie chwyciło mnie w swe szpony. Usta drżały mi, gdym szeptał do siebie: „Ten człowiek doprowadzi mnie do waryacyi!“ Puściłem jego rękę, oddaliłem się o krok i zacząłem ocierać zimny pot z czoła. Nagle zrozumiałem, co to jest groza wychodząca z rzeczy.

Rojko powstał z wysiłkiem z łóżka i chwycił mię za rękę.

— Chciałeś wiedzieć, — rzekł prawie uroczyście, — zatem wiedz! Tak, popełniłem zbrodnię. Przez zdradę zburzyłem szczęście dwojga ludzi. Nietylko szczęście: zatraciłem też dwa życia ludzkie...

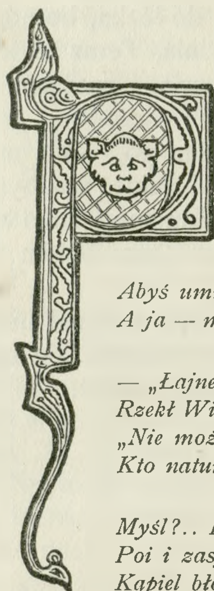
Poprowadziłem go z powrotem do łóżka, bo nogi pod nim się trzęsły, i bałem się, że upadnie. Teraz litość przeważyła we mnie wszystkie inne uczucia, i zacząłem uspokajać Rojka.

— Opamiętaj się pan, — prosiłem go, — nic mi pan nie wyznawaj, nie dziś przynajmniej! Jakież miałbym prawo żądać od pana takiego zaufania? Zapomnij pan o wszystkiem, co-m powiedział nierozsądnego, sam byłem w gorączce i nie wiedziałem, co mówię!

Ale Rojko, jak gdyby nie słysząc, trzymał mnie coraz mocniej za rękę i z widocznym wysiłkiem, ale szeptem wyraźnym, przeszywającym tak zaczął mówić:

(Ciąg dalszy.) Juliusz Zeyer.

Colloquium.
(FRASZKA.)



Poecie Wieprz przymówił
Szczecino-włochaty:
— „Kto nie umie żyć życiem,
Pisze poematy.“

Rzekł Poeta cierpliwie:
— „Tyś na to ustworzon,
Abyś umiał żyć łajnem,
A ja — myślą bożą.“

— „Łajnem albo nie łajnem“ —
Rzekł Wieprz dobroducha, —
„Nie może żyć inaczej,
Kto natury słucha.

Myśl?.. Rym?.. — pfuj!.. Oto co mnie
Poi i zasyca:
Kąpiel błotna, żer swój, chlew
I swoja samica.“

Odpowiedział cierpliwie
Poeta: — „W naturze
Jest bezwzględność, duch — we mnie,
Brud — w świni, mój knurze.“

— „A moja filozofia“ —
Rzekł Wieprz — „ma się inak:
Ruch, wicher makaronów,
Gwałt, krzyk, czarny szpinak.

Poezya — to zwichnięte,
Puste apetyty:
Nie piórkiem lubi dłubać,
Kto zdrów, kocha, syty.

I chociażby ci słowa
Te były niemiłe,
Powiem: na życiu zna się,
Wiesz, ten, kto ma siiiłę.“

Rzekł Poeta cierpliwy:
— „Panie brudny morus,
Żryj, pij, chlap, żyj, lecz nie sądź:
Do tegoś nie dorósł.

O sile — milcz, bądź niemy
I nie mów, bo we łbie,
Zamiast myśli i rymów,
Masz węgry i kiełbie.“

Po replikach, Wieprzowi
Gdy było markotno,
Załkał i rzekł: — „Tyś umarł,
O, jakże mi smutno!

Ty nie żyjesz... ci powiem,
Lub mnie lub nie lub:
Życie — tylko na ziemi,
Pod nią, nad nią — grób.“

Rzekł Poeta cierpliwie
Mową prozaiczną:
— „Umityguj się, Wieprzu,
Zmiarkuj i nie kwicz-no.

Ty bierzesz to „co wlezie“
Z życiowych małostek,
Przeto wszędy twe „życie,“
Wszędy wkręcasz chwostek.

Ja nie „żyję,“ bo NIE CHCĘ
„Żyć,“ i powiem więcej:
Żyłbym, lecz życiem PIĘKNEM:
Plwam na byt prosięcy.“

To mówiąc, gdy Wieprz jeszcze
Do rozmowy płonie,
Zabił go i rad spożył
W zimnym salcesonie.

Jan Lemański.



Kronika miesięczna.

GLOSSY.

„Własność narodowa“ i stan rzeczy. Po śmierci pisarza realnego, naprzykład, pisarza: prowentu, gminy, biura, społeczeństwa,*) o ile się taki pisarz realny w tem życiu dobrze „spisał,“ czyli zostawił dobra, z dóbr tych, jako z prawem przynależnego dziedzictwa, albo zapisu, korzystają zstępni nieboszczyka, po nich — zstępni zstępnych, i tak dalej, bez lat ograniczenia. Po śmierci pisarza idealnego, czyli poety, dzieła jego, po latach już pięćdziesięciu, stan rzeczy uważa za własność całego narodu, całego z wyjątkiem... kogo? — no, oczywiście, tych zstępnych poety oraz ich potomków, którychby licho później odnalazło i przyniosło. Mija pół wieku i oto mamy taki obrazek. Jest święto uczczenia półwiecznej nieobecności poety wśród żywych. Z dzieł jego całą gębą korzysta „naród,“ który go wydał, czyli naród wydawców, a zstępni, którzy się właśnie odnaleźli i, jako ubodzy krewni poety, przyszli na bankiet, patrzą zdaleka, wygłodzeni, wypalają się jeden za drugim i gasną jak szabasówki, czyli świece, przy których odbywa się sabat. Społeczeństwo cieszy się i pęka z dumy, że posiada własność narodową, a z własności tej korzysta jedynie wybrany naród wydawców, księgarzy i drukarzy. Jest to zrozumiały stan rzeczy i tak starozakonny, że przestalibyśmy się już dawno temu dziwić, gdyby kiedykolwiek zdziwienie to w nas było, i bez dalszych rozmyślań nad tem zjawiskiem, bez poruszania mrzonkowych projektów, że możeby słuszniej było, uszczupliwszy własność „narodową,“ przekazać spadek po artyście na rzecz jakich stowarzyszeń artystów, — przechodzimy do innej części krajobrazu.

---

*) Pisarzem społeczeństwa jest dziennikarz.

Stanem rzeczy u nas i gdzieindziej utrwalony jest obyczaj dawania, a co najmniej obiecywania, premiów do tych pism, z których dochodzi się do premiówek. Na premia i tym podobne dodatki bezpłatne i przysypki zużywa się dzieła Mickiewicza, Krasińskiego i Słowackiego, tych typowych przedstawicieli „naszej“ własności „narodowej“ tudzież sławy narodu. Za każdym razem, gdy pojęcie „własność narodowa“ urzeczywistnia się, staje ciałem, wydawca pism codziennych lub tygodniowych, czyli pism o krótkim i prędkim oddechu, czyli pism dychawicznych, bo nawet i sprzedawanych częstokroć za „dychę,“ wydawca taki robi potrójny interes: nie płacąc honoraryów, robi honor własności narodowej, że ją raczy wydawać, to jedno; leczy dychawiczność swego organu, to drugie; zyskuje miano szanownego obywatela, gdyż, niewątpliwie, przymnaża narodowi sławnych dzieł w licznych edycyach i egzemplarzach, to trzecie.

Że wydawca, który chwyci za skrzele, dajmy na to, Krasińskiego, wydrze go z saka własności narodowej i kładzie na swój obrus, niczem nie różni się od wydry, chyba tem tylko, że wydra nie kupuje premiówek; że temuż wydawcy chodzi o podtrzymanie ducha narodowego tyleż, co fabrykantowi musztardy o rozwój mięsożerności: to już jest oddawna przyjęty stan rzeczy i o tem mówić nie będziemy. Nie będziemy zastanawiali się i nad tem, że panowie wydawcy, upiększając swe organy premiami, tem samem ubocznie wskazują na tychże organów nikczemność i autodafeizm, czyli samokrytyczne orzeczenie o nich, że są „fe“ i że warte spalenia; mało nas obchodzi również i to, że niejeden prenumerator, zamiast zupełnego wydania dzieł Mickiewicza, wolałby zupełnie co innego, naprzykład: zegarek, byka, dom lub samochód;*) pominiemy i to, że ową sławę narodową puszcza się w świat prenumeratorów, a więc ludzi zamożnych i przyzwoitych, puszcza się w sukience bibulastej, ladajakiej... co, zresztą i słuszna, bo zaż duchowi przystoi odzież insza prócz sławy?.. przemilczymy, nakoniec, i o tem, że ci panowie wybrani, którzy porobili premiówki na własności narodowej, spasieni i rozpasani ci panowie, autorów jeszcze żywych, jeszcze palących się przy tym sabacie, powtykali w swoją łaskawość jak szabasówki, a co znaczyć ma po prostu: świeć mi bakę, gdyż inaczej ani ciebie nigdzie nie wetknę, ani tobie nic nie wetknę... Nie, o tem mówić nie będziemy, bo zamiast o tem mówić, trzeba walić, burzyć, zmieniać. Rzucimy tylko okiem jeszcze na jedną część tego krajobrazo-

---

*) Takie, realnie wartościowe premia, dzienniki paryskie, chodząc po ulicach, wyjmują z kieszeni i rozdają en plein Paris.

wego, albo lepiej — krajobrażającego stanu rzeczy, którąby można zatytułować:

Pośmiertne wędrówki Słowackiego. W czasie przeprawy okrętu, wiozącego skazanych na Sachalin, więźniom wydzielany bywa cukier, którego kawałków ciż więźniowie używają zamiast pieniędzy i przechowują je po kieszeniach oraz innych mniej lub więcej zanieczyszczonych miejscowościach; szczęśliwiec, któremu się uda wstrzymać obieg tych słodkich liczmanów, roztapia je nakoniec we wrzątku herbacianym, wraz z odpowiednim osadem kurzu i nasiękiem żółtego potu. Liczmanami takiemi u nas są właśnie dzieła Słowackiego, rozdarowywane jako bezpłatne premia więźniom... nie, prenumeratorom, skazanym na Sachalin... nie—na dychawiczność ducha warszawskich krótkoterminowych organów. Jeden wydawca bierze kilkaset pudów bibuły, pud za grosz, macza to w poezyach Słowackiego i po wyschnięciu dołącza do szpalt swego codziennego organu. Drugiemu dobrodziejowi społeczeństwa nie dość na tem zwykłem i przez stan rzeczy już utartem zakłócaniu pośmiertnego otium poety. Chcąc zaćmić współubiegających się z nim eksploatatorów własności narodowej, ogłasza, iż daje te same dzieła ale ilustrowane! O, gdyby, przed zaczęciem tych „robót,“ szanowny wydawca przyłożył ucho do ziemi i posłuchał, jak drży treść największego polskiego kolorysty słowa przed oczekującemi ją sztychami, chlapnięciami, pociągnięciami i smarowaniami naszych największych rysowników z Krakowskiego Przedmieścia i tym podobnych pierwszorzędnych ulic w gubernialnem mieście Warszawie!..

Otóż, pewnego dnia, rozsądny zkądinąd przenumerator jednego z takich organów o pot-pourri'owej melodyi, czyli o melodyi pękniętej donicy, odbiera paczkę, bardzo szczelnie zabitą deszczkami. Jest to premium: w środku zabity „Król Duch,“ a z wierzchu i z boków cedułki: Baczność! Sława narodowa! Nieroztrząsać! Kruche! — „Ahm“ — mruczy odbiorca — „znowu coś historycznego. Trzeba to uszanować... Jakóbie, wynieś no to na strych szafy... Ostrożnie, gudłaju, ślepyś? — nie widzisz, że napisano: Kruche!..“ I tak treść Słowackiego, szanowaną z nazwiska, rzeczywisty stan rzeczy, niezaglądający darowanemu koniowi w zęby, opyla zapomnieniem. Czasami, „Ojciec zadżumionych“ (od którego też powinno się trzymać zdaleka, jak od zarazy, a dbać o niego jak o narodową sławę, niedotykalną, bo kruchą), biedny ten ojciec wędruje, już jako upominek, nie premium, do „sąsiada“ i również na strych, bo i tam jest oceniany tylko z okładek, czyli ze studyów jakiego hygienisty, vulgo hodowcy społecznego estetyzmu, albo — z brudu tychże okładek,

czyli z monografii skarpetkowych jakiego praktycznego sportowca.*) Zdarza się i tak, że niektóry synalek, swawolny choć zdolny, wyszpera paczkę, odbije i, zarwawszy coś na pamięć, popisze się deklamacyą imieninową „kawałka“ „Snu srebrnego Salomei.“ — „Ki dyabeł!“ — krzyknie ojciec „zazdrowionych“ — „z *Kolców*, czy co?.. Śmieszne a śmiać się nie można...“ — „Tatuńciu, przecie to Słowacki,“ — hardo odpowiada synalek. — „Psiakrew, dyabli nadali! Myślałem, że na redakcyi porządnego, panie, tygodnika, o którym „Kuryer“ dobrze wzmiankuje, można polegać... Jeżeli to nie humorystyka, tylko seryo, no toć to, panie, czysta dekadentystyczność!“ — I nieproszone premium wędruje dalej: albo do pokoiku nauczycielki, albo znów jedzie na poddasze. Chyba, że wda się w stan rzeczy „sama pani“; wtedy „Król - Duch“ - tułacz dostaje ładną oprawę i służy do ozdabiania szafy bibliotecznej, gdyż „bądź co bądź — to,“ „zawszeć to,“ „przecie to“ Słowacki. Te „bądź co bądź,“ „zawszećto,“ „przecie to“ dowodzą — bądź co bądź — niewątpliwego szacunku dla sławy narodowej, szacunku, któryby wyrazić się dał w formule: niech sobie jak chce po świńsku to wygląda, zawszeć to nasza sława i wdzięczni być powinniśmy wydawcy, że o tej sławie „pamięta“ i prawie za darmo, bo za cenę pisma, ją rozdaje.

Ach, panie dychawiczny prenumeratorze, gdybyś dbał o sławę narodową sam i dbał rzeczywiście, to standecenie i wszystkie standecenia jej pomysły powinienbyś uważać co najmniej za — plugastwo.

Tredecim.

POWIEŚĆ.

Wł. St. Reymont. *Przed świtem.* Warszawa. Gebethner i Wolff. — St. Przybyszewski. *Poezye prozą.* Warszawa. Fiszer. — Jerzy Żuławski. *Opowiadania prozą.* Warszawa. Paprocki i S-ka. — Juliusz Zeyer. *Jego świat i jej.* Warszawa. Bibl. dz. wyb. — Alfred hr. de Vigny. *Cinq-Mars.* Przekład W. Łaszczyńskiego.

Przed świtem, przez Wł. St. Reymonta. — Trzy utwory nierównej wartości. — Talent — nawet wielki — o ile go nie opanuje całkowicie wola najwyższych jedynie uzewnętrznień, ulega niechybnie miernościowej suggestyi otoczenia, dogadzającej instynktowi najmniejszego wysiłku, i popada w błyskotliwe wirtuozowstwo. — Autor „W jesienną noc“, dzięki swej naturalnej łatwości pisarskiej, więcej

*) Tylko anegdotyczny „Mazepa,“ zawdzięczając Leszczyńskiemu i szalonemu ogierowi, którego mają zjeść wilcy, wyrwał się z „rymów“ Słowackiego i przypadł nam do gustu.

niż ktokolwiek inny narażonym być musi na podobne pokusy — i — niestety — nie zawsze je zwalcza, co przedstawia widok jeszcze przykrzejszy, gdy uległość poszeptom nizinnym ogarnie go po wysiłkach wielkich i owocnych. — Taki niepokojący charakter wytchnienia na mieliznach noszą dwie pierwsze nowele zbiorku. — „Przed świtem“, najgorsza, ma piękne szczegóły nastrojowe, lecz jako całość jest chybiona w swej zbyt widocznej intencyi mistycznego dreszczu, przetkliwiona, i pozostawia życzenie większej szczerości i głębi. — „Pewnego dnia“, historya ostatniego protestu człowieczeństwa w „dopełniaczu maszyn“ fabrycznych, ma również duże zalety ruchu i plastyki, bledniące jednak wobec potęgi życia, jaką swym stalowym bohaterom dał choćby Zola; proces zaś przesilenia duchowego został raczej łaskawie dopuszczony przed obliczność autora, zzewnątrz opisany, nie z piersi wydarty, wnętrznie odczuty, i przeto zbywa mu na sile suggestywnej. — Względna mierność tych dwu utworów występuje tem jaskrawiej, że ją dosadnie podkreśla sąsiedztwo trzeciego, pisanego (niestety) dawniej, — p. t. „Sprawiedliwie“. — Jestto najgłębiej poczęte, najspójniej zbudowane, najwspanialsze z dłuższych dzieł autora. — Śmiertelna walka jednostki z tłumem, duszy z instynktowym automatyzmem bestyi zbiorowej, rozgrywa się tu z wielką i świeżą potęgą, pod postaciami katorżnika i gromady wiejskiej, obwijając swe momenty zasadnicze w tło lokalne, traktowane z epickim rozmachem, atletyczną plastyką i czarem nastrojowym typowego krajobrazu. Oddzielne starcia dwu przeciwstawnych żywiołów charakteryzują rozwojowe etapy tego odwiecznego procesu i dążą dośrodkowo do centru fatalnej, ostatecznej katastrofy. — Zemsta indywidualności zgwałconej i urastającej w demona buntu i pożaru, zemsta gromady, wymierzającej doraźną sprawiedliwość na burzycielu jej spokoju, następują po sobie z gwałtowną szybkością i nieuchronnością piorunów, walących w matkę galernika, spiżowy odlew wiejskiej Niobe, zmiażdżonej „sprawiedliwością“ konsekwencyi nieubłaganej, która przypomina Ananke tragedyi greckiej. — Utwór ten, wspaniały kompozycyjnie, wyłania z siebie ten wstrząsający czar rozdzierającego miłosierdzia, które posiadają jedynie dzieła stworzone na dymiących górach ducha.

Poezye prozą, przez St. Przybyszewskiego. — W nieszczęśliwej zaiste chwili przyszedł autorowi czy wydawcy pomysł (równie oklepany jak tytuł) niniejszego pot-pourri, — nieprawdopodobnej sałaty „najpiękniejszych kawałków,“ wydartych całościom, poćwiartowanych, pomieszanych jak bilety loteryjne, zwodzących nowemi tytułami, robiących wrażenie kupieckich próbek lub wzorów frazeolo-

gicznych na użytek bandy grafomanów i snobów. — Dostały się tu również, pod nową okładkę, nieudane autora twory, rzeczy krzykliwe, kwieciste i bez treści, przykre teatralnym patosem i rytmem librettowym, „wydęte ciepłym dymem balony rzekomego natchnienia“ (np. Pamięci Słowackiego). — Dojmujące wprost wrażenie robi podobne, w rzetelnym dotychczas artyście i wrogu banalności niepojęte ustępstwo bezsmakowi handlu, podobnie samowolne, gdyż z punktu Sztuki niczem nieusprawiedliwione kaleczenie własnego dzieła, podobna frymarka własnem słowem i zstępowanie na targ tandety.

Opowiadania prozą, przez Jerzego Żuławskiego. — Jakiś leniwy spleen znużenia (zapewne przejściowego) cechuje te „drobiazgi“, zaniedbane w formie i niedociągnięte w treści, smutne sieroctwem dzieci niekochanych, robiące wrażenie rzeczy stworzonych nie przez wewnętrzną konieczność, lecz przez chłodny zamiar woli,— i swą apatyą zarażające zawiedzionego czytelnika. — Wyraża się to bezsilnością w rozśpiewaniu motywów nierzadko pięknych (np. „Skarga grobów“, „S-ty Mikołaj“), — przerywaniem ciekawych i daleko prowadzących procesów myśli (np. „Z domu ojców“),— słabością plastyki i kolorytu, które zostają rozwiewne i szare. — Wszystkie, nawet najlepsze (np. „Modlitwa“, „Po uczcie“), spowija tłumiąca mgła raczej fizycznej melancholii i bierność, zezwalająca na odruchy pisarskie, na banalną aż niekiedy echowość (np. „Biały szczur“). — Nie wątpimy, że są to tylko „hours of idleness“ artysty zkądinąd prawdziwego.

Jego i jej świat, przez Juliusza Zeyera. — Wybór tej powieści, jednej z pomniejszych wśród przepychu dzieł autora, jest typowy dla naszej literatury przekładowej, która, zdobywszy się wreszcie na ofiarę przyjęcia w swe progi prawdziwego mistrza, zaspokaja swe instynkty tandetowe wpuszczaniem go pod możliwie najlichszą postacią. — I, zaiste, nie jest winą tłómacza, jeżeli powieść ta, mimo skromne swoje miejsce na niebotycznej drabinie twórczej czeskiego mistrza, mimo brak późniejszego ostatecznego pogłębienia i wadliwość kompozycyi, przebłyska jednak co chwila wielką, tajemniczo oślepiającą błyskawicą geniuszu twórcy „Jana Maryi Plojhara.“

Cinq-Mars, przez Alfreda hr. de Vigny. — Co do wyboru powyższej powieści jako przedmiotu tłómaczenia, wypadnie nam tylko powtórzyć słowa tyczące się powieści Zeyera, — o instynkcie mierności, pobudzającym warszawskich wydawców i tłómaczów do transponowania na język polski rzeczy drugorzędnych, nawet w obrębie twórczości genialnych, które traf jedynie wprowadza do piśmiennictwa naszego. — I tym razem jednak, jak to miało miejsce w powieści

Zeyera, potęga talentu zwycięża w szczegółach wady całości i nawet bezbrzeżną nędzę przekładu dosłownego, wytwarzającego niejednokrotne absurdy językowe.

Własт.

PODRÓŻOPISARSTWO.

W. Doroszewicz. *Sachalin.* Bibl. dz. wyb. Warszawa. — Jan Grzegorzewski. *Z pod nieba wschodniego.* Tow. wyd. Lwów. — Al. Janowski. *Wycieczki po kraju.* Nakł. autora. Warszawa. — Rudyard Kipling. *Od morza do morza.* Bibl. dz. wyb. Warszawa. — Ks. Antoni Macoszek. *Przewodnik po Śląsku Cieszyńskim.* Tow. wydawn. Lwów. — M. Serao. *W Ziemi Świętej.* Wyd. Kur. Codz. Warszawa. — Henryk Sienkiewicz. *Listy z Afryki.* Wyd. Tygodn. Illustr. Warszawa. — Slatin-basza. *Przez Sudan ogniem i mieczem.* Bibl. dz, wyb. Warszawa.

Podróże bywają realne i fantastyczne. Pierwsze za główny warunek mają: chodak do chodzenia i fotograficzny „kodak“ do patrzenia. W drugich używa się do latania skrzydeł wyobraźni, a patrzy się przez szkiełka przywidzeń, upodobań i sentymentów zasadniczych oraz ich odcieni i połączeń. Pierwsze trzymają się przestrzeni, czasu i potrzeb odżywiania cielesnej maszyny podróżniczej. Dla drugich te warunki zbyteczne, bo wszystko dzieje się w myśli, dla której

Les plus riches cités, les plus grands paysages,
Jamais ne contenaient l'attrait mystérieux
De ceux que le hasard fait avec les nuages. *)

Literatura podróżnicza realna, jak również i fantastyczna, ma wyrobionych kilka typów, a mianowicie: podróż *naukowa* (ściśle i popularno-), podróż *dla wrażeń* (przygodnych i artystycznych), podróż *humorystyczna* (satyryczna i zabawna) i podróż *pedagogiczna* (moralno-tendencyjna).

Realni autorowie są tak liczni, iż ich spis równałby się spisowi ludności wielkiego miasta i trudno go tu przytaczać. *Fantastyczność,* czyli dziedzina bajek zmyślonych, poezyi, wogóle rzeczy niebywałych, ma przedstawicieli mniej i dlatego możemy ich wymienić. W dziale podróży naukowej: Arystoteles, Laplace, Kopernik, Kant, Flammarion; w dziale podróży dla wrażeń: Homer, Wirgiliusz, Dante, Byron, Goethe, Poe, Słowacki, Krasiński, Balzac, Baudelaire; w dziale podróży humorystycznej: Cervantes, Swift, Lesage, Rabelais,

---

*) Baudelaire. „Les fleurs du mal.“

Voltaire, Sterne, Dickens, Norwid, Lam; w dziale pedagogicznym: Sw. Augustyn, Da Foe, Amicis, Krasicki.

Osobny dział podróży realnych stanowią t. z. *przewodniki*. Są to geograficzno - historyczno - gospodarsko - informacyjne książki, zabezpieczające spokojnego turystę od wszelkich niespodzianek wrażeniowych i broniące go we własnych oczach od zarzutu ignorancyi. — „Z tego tu lochu wymknął się Benvenuto Cellini" — mówi przewodnik. Turysta usiłuje wstrzymać oddech, wywołać w sobie poty, towarzyszące silnemu wrażeniu, i przypomnieć sobie podane w przewodniku szczegóły o mitycznym Benvenucie. Potem, spokojny już, idzie dalej. Gdy tak przepodróżował kilka grubych Baedeker'ów, Guide Joanne'ów, lub cieńszych Wörl'ów, jest pewny swego światowego ogładzenia. A jeśli kto potem zawiąże w salonie rozmowę o „Casa del Fauno" i turysta nasz wypowie głosem obojętnym: — „A, znam to, tam byłem..." to przez salon przemknie coś jak westchnienie idące od „Casa del Fauno," że i on, turysta, wycierał tam również swoją banalność...

Wreszcie, *hors concours,* należy wspomnieć o jednym rodzaju opisów podróżniczych, który polega na tem, że dane topograficzne bierze się z przewodnika, estetyczne lub naukowe — z encyklopedyi, a wyrazy uwielbienia, zachwytu, ironii lub rzewności (gdzie którego z tych uczuć zażywać, naucza przewodnik) przepisuje się z odpowiedniego, dostatecznie znanego, poety. Jako przykład tego ostatniego rodzaju, można przytoczyć dzieła podróżnicze Bełzy, cieszące się u nas taką wziętością, jaka jest udziałem Baedecker'a, któremu Bełza oczywiście znaczną część „wzięcia" winien.

Przechodząc do bliższego określenia poszczególnych grup podróżniczych, musimy tu nadmienić, że grup tych w dziale *fantastycznym* charakteryzować nie sposób: zjawiska są tam tak dowolnie pogmatwane, tyle tam form indywidualnych, „niestłumionych," że trzebaby o każdej mówić osobno i układać z nich niemożliwie długą litanię. Dlatego przechodzimy wprost do omawiania podróży realnych.

Podróż naukowa. Są to dyaryusze najazdów na kraje, niezaludnione jeszcze przez kręte, czarne linijki, przez kropki, kółeczka i przez grubsze oraz cieńsze napisy; dalej — wyprawy do różnych biegunów zimnych, gorących i letnich, gdzie główna uwaga zwrócona jest na wysokość lub nizkość, na dodatniość lub ujemność temperatury i inne zjawiska atmosferyczne, już ujarzmione, albo takie, którym się jeszcze do czasu pozwala brykać; tu, wreszcie, trzeba odnieść opisy podróży ziemio-, ludo-, zwierzo- i roślino-znawczych. Poddział tej grupy stanowi *podróż sportowa,* w której podróżnika ob-

chodzi tylko, ile razy pękła guma w pneumatyku, jak często deszcz padał, co porabiają wiatry i czemby tu i gdzie przekąsić? Każdy klub sportowy ma w śmietnikach swoich archiwów tysiące takich aporteryj; bardzo często przedostają się one i do ciemnic szpalt gazeciarskich.

Podróż dla wrażeń. Utwory tej grupy odznaczają się mniejszą lub większą barwnością i żywością zmian zewnętrznych, zależnie od tego, czy autor leniwie czeka na zdarzenia, czy też je wyszukuje sam i to w jak najciekawszym gatunku. Najważniejszym więc tu jest osobisty stosunek autora do opisywanych rzeczy, bo wtedy tylko widzimy te rzeczy w działaniu, a nie w martwocie, jak we wszystkich guide'ach. „Osobistość“ stylu polega na tem, żeby światłem własnego ducha oświetlać rzeczy od wewnątrz, a nie siadać na nie i zasłaniać je swoją osobą. Co innego jest, jeżeli Goethe, wobec mozaiki, przedstawiającej bitwę Aleksandra z Daryuszem, powiada: „współcześni i potomność nie starczą, aby to cudo należycie objaśnić; zmuszeni jesteśmy, po objaśnieniach, spostrzeżeniach i badaniach, zawsze nakoniec *do prostego wrócić uwielbienia,*“ — a co innego, jeżeli ktoś wobec tej mozaiki powie, że mu się czknęło, albo że mu właśnie odpadł guzik od surduta. To też godziwiej jest czytać podróżnika, co radzi, aby „nie wierząc pierwszemu wrażeniu, starać się wniknąć w zakryte bóstwo,“ *) niźli takiego, który, przy temże bóstwie, powiada, że mu przypomina ono porcelanę swojską, i idzie dalej. Godziwszy jest ten, co nie uważa faktycznych danych wiedzy i sztuki za cel ostateczny, ale za środek tylko, i, podobnie jak Stendhal (Rome, Naples et Florence), stara się przeniknąć, ożywić i objąć duszę Italii, smętnie pochyloną nad koronami zdetronizowanych filarów, mchem oblekanych przez rzeczywistość i obrzucanych zielskiem. **)

Podróż humorystyczna. Podróżnik, pisujący do tej grupy, albo wszystko sam widzi w kolorach zabawnych, i niekiedy snadnie z nim możemy się uśmiać, albo też wymaga śmiesznego zachowania

---

*) Słowa J. I. Kraszewskiego o herkulańskiej Minerwie. Por. „Kartki z podróży.“

**) Tych podróżników realnych, którzy ścigają nierealne widma, wyłaniające się z wszechrzeczy, trzeba zaliczać również do wędrowców fantastycznych. Do takich, prócz Kraszewskiego, możemy odnieść jeszcze: Seweryna Goszczyńskiego (Dziennik z podróży do Tatrów), Ignacego Hołowińskiego (Pielgrzymka do Ziemi Świętej), który kochał dzieje bajeczne i pod Nazaretem doszukiwał się duchów poległych rycerzy Saraceńskich, Józefa Kremera, któremu się *anima rerum* częstokrotnie wymyka, Kazimierza Chłędowskiego (Szkice z Włoch, Alpy), który odrzucając drobiazgi, zwłaszcza bieżące, zawsze czujny jest na poezyę, na podania, na wspomnienia i tym podobne *nierealności*, Antoniego Ed. Odyńca (Listy z podróży), który niewidzialnemi siećmi chwyta promieniującą duszę Mickiewicza, też jednego z fantastycznych latawców po obłokach.

się od bezdusznej rzeczy, a wtedy jest niedorzeczny, bo wykręca, niedość podług niego zabawną rzecz tak, że ta zaczyna wreszcie płakać, a conajmniej, nudzić.*)

Podróż *pedagogiczna* (czyli tendencyjna). Do tej grupy w dziale *realnym*, należą książki ze wszystkich innych grup (i fantastycznych), odpowiednio zoperowane ad usum infantium, czyli dla szkół średnich, dla pensyonarek, dla grzecznej młodzieży na podarunki gwiazdkowe, i, wogóle, w celu hodowania sztucznej niewinności dla użytku obywatelskiego.

To też, gdy niewinność sama zostanie obywatelem i chce popełnić jaki opis podróży, daje nam rzecz zacną ale bezdarną. Oto, naprzykład, *Slatin - basza*, gubernator Darfuru, opisał pobyt swój w Abissynii w latach 1878 - 1895. Do opisu tego wybrał sobie basza styl autentyczny, wiarogodny i bezosobisty, styl, który polega na bezładnem nagromadzaniu szczegółów rozmaitej wartości i miary, na dorywczem zatrącaniu o wypadki dlatego tylko, że one *były*, że są *rzeczywiste* i że, gdziekolwiek, jakkolwiek i kiedykolwiek ich użyć, zawsze by powinny mieć znaczenie, — styl, wreszcie, nacechowany zupełną nieobecnością obrazowania i układu. Z szarości powiedzeń ogólnych i z sumarycznego zaznaczania wyników, naraz wyskakuje drobiazg bardzo szczegółowy, odosobniony, ale najzupełniej obojętny. Bywa to na krajobrazie fotograficznym, gdzie tło panoramy górskiej szpecą, naprzykład, dwie *prawdziwe* litery ogłoszenia o nowym koniaku. W takim przewlekłym, znagła drobnostkowym toku opowiadania grzebie się czytelnik nieszczęsny, grzebie się, jak mucha w porządnem, solidnie na pożytek rozczynionem cieście. Książka tak napisana może mieć wagę jako sprawozdanie pół-urzędowej gazety dla ludzi *realnych*, porządnych, nielubiących „bajek"; ale, jeśli się nie jest łowcą „realności," jeno marnotrawnym próżniakiem, to „Przez Sudan" przechodzi się nie „ogniem i mieczem," wbrew tytułowi, ale ziewaniem i ułaskawianiem licznych kartek od cięcia.

U *Sienkiewicza*, autora podobnegoż tytułu i wędrowca po tejże afrykańskiej krainie, znajdujemy opis przygód, uboższy w treść, ale, natomiast, nieskończenie wyższy formą bardzo osobistą, wyższy umiejętnem sharmonizowaniem tonów i bogactwem porównań, które kładą nam rzecz przed oczy, mówiąc — patrzcie. Jakoż patrzymy, uradowani, że bez opłacenia biletu rzecz tę możemy oglądać lepiej niż sam autor,

*) U nas, równie wyspecyalizowanych podróżników humorystycznych niema, prócz może Juliana Horaina, którego humor zatrąca amerykanizmem. Dużo humoru miał włóczęga Pasek, dużo go ma Sienkiewicz w swoich szkicach podróżnych z Ameryki.

bo on widzi ją w świetle zmiennem, a my tylko w tem jednem, wybranem przez niego olśnieniu. Uradowanie nasze rośnie, gdy znajdujemy tu i witamy, jak dobrych znajomych z pod Zbaraża, „ogromnie“ smutne „wielkie westchnienia,“ gdy czytamy warszawski dowcip na temat robienia z „miss“—„misseczki“ (co możebne tylko w mieście tak sławnem z niewinności jak Warszawa); a gdy natrafiamy na wyrażenie „o rety!“, sami, jak echo, z przejęciem, powtarzamy po swojsku „o rety!“ Wogóle, wdzięczni jesteśmy autorowi, że ciągle nam tę swojskość stawia przed oczy. Gdy zagapimy się na „liany tworzące pozór kotar nad dziurami w świątyni leśnej,“ autor w porę przypomni, że i „nam“ też gdzieś tam rośnie „choinka,“ taka poczciwa i taka „zakopiańska;“ choć w Zanzibarze, w okolicach Wami, może być sobie góra M'Pongwe, ale ona przypomina „naszą“ poczciwą Gubałówkę „zakopiańską;“ gdy jesteśmy zapatrzeni w morze, autor napomknie nam, że nietylko ludzie chorzy na skutki morskiej choroby mogą mówić „raz kozie śmierć,“ ale to samo potrafi i „mój Bartek z pod Gravelotte;“ gdy przejeżdżamy koło latarń na morzu Czerwonem, zmuszeni jesteśmy przez autora przypomnieć sobie, że i „my“ mamy swego, „naszego Latarnika,“ urodzonego z tegoż autora; wogóle, mogą sobie tam w Afryce żyć „dzieciska,“ jak „pchełki“ murzyńskie bez żadnego dogmatu, prócz wiary w kokosowe mleko, ale i my mamy swoje polskie, a nawet jeszcze bliższe, bo warszawskie „Bez dogmatu,“ które jest dla nas dogmatem, bo go nawet na dalekich lądach nie możemy zapomnieć. — Dzięki takiemu to stylowi, doczytujemy książkę gorączkowo. Ale przychodzi nagły koniec, niby świt egzotyczny, i wrażenie nasze pierzcha, podobne nocy podzwrotnikowej, którą, według pięknego wyrażenia autora, wiatr, co przyszedł, jednem zwiewa tchnieniem. I choć słodka jest podróż, bo „przyjechawszy, naprzykład do Adenu, znajduje się na poczciwej „poste-restante“ listy czekające z Zakopanego,“ to jednak surowy obowiązek każe nam — że znów użyjemy słowa autora — „pyrgać“ dalej. Z żalem musimy opuścić i to morze Czerwone, które „tem się odznacza, że jest zielone;“ — i ten parowiec, którego „okrągłe okna świecą, jakby z pod równika wiózł tuzin słońc na sprzedaż do zimnych krajów;“ — i ten szlak piany morskiej, „ciągnący się za okrętem, jak za duszą ludzką nić (krucha!) pamięci.“

„Pyrgamy“ aż na „Sachalin“ *W. Doroszewicza.* Dla pociechy, pragnęlibyśmy rozejrzeć się w tej ciekawej miejscowości z przylądkami Cierpienia i zatokami Rozpaczy, ale cóż, kiedy wszystko nam zasłania bezosobista osóbka autora, zanadto nas bawiąca, abyśmy mogli na cokolwiek innego patrzeć. P. Doroszewicz, łyknąwszy coś-

nie - coś z różnych autorów, jak: Dostojewskij i Łombrozo, Wictor Jugo i Aleksandr Diuma fis, Ponson diu Terraj i Dant, postanowił „politeraturniczat'." Jakoż, stylem średnio zarabiającego reportera, namalował szereg obrazków w rodzaju takim.

Opis włóczęgi: „...Zowią go Iwanem. — Ojca, matki nie pamięta. — Pieniędzy przy duszy — jedna kopiejka. — Na Sachalinie czeka go chłosta — 30 uderzeń. — Ecce homo. — Oto homo sapiens. — Kopiejka jedna i 30 uderzeń!" (Co za fatalność liczbowa!)

Krajobraz: „...Dzień. — Mglisty, szary. — Szaro, szaro. — Coś boli w sercu. — Co? — Brzęk kajdan. — Straszno. — Noc. — Zrobiło się cieplej. — Ciężko." (Po zjedzeniu odpowiedniej porcyi kotletów i wypiciu stosownej ilości porteru.)

Dola więźnia: „...Ot, biedny! — Kochał. — Zabił. — Sąd. — Kara. — Coś w sercu boli. — Co?"

Matkobójczyni: „...Damie dziecko sprzykrzyło się. — Udusiła je. — Cukierek!"

Oczytany autor, w różnych Choroszkach, płaczących po upadłych Paraszkach, koniecznie chce widzieć Armandów Duval'ów i Małgorzaty Gauthier. Przy sposobności wspomina, że widział w tej roli (Małgorzaty) Duze i że grała — no! Porównanie o piekle Dantejskiem znajdujemy też parę razy, to porównanie, które stało się już przechodnią bramą dla reporterów. O całym tym stylu można powiedzieć, że ot — pióro się powinęło i samo zrobiło jakiś taki zygzak, niezależny od piszącego, który autorstwo swe zawdzięcza tej okoliczności, iż czytał kilku autorów i obznajmiony jest ze środkami i celami reporteryi współczesnej. Sam p. Doroszewicz może być sobie najpoczciwszym zresztą obywatelem i urzędnikiem. Książkę „zdobią" *prawdziwe* klisze z *prawdziwych* fotografij, zdjętych z *prawdziwych* zbrodniarzy.

Do grupy wrażeniowców osobowych *realnych* należy też *R. Kipling*. Posiada on jednak zbyt dużo anglizowanego heinizmu, abyśmy go nie mogli zaliczyć w części do humorystów. Dowcipy jego są jak gdyby już gdzieś słyszane (np. „Na zreformowanie świata potrzeba więcej niż rok." „Opatrzność opiekuje się tymi, którzy sami sobą zaopiekować się nie potrafią.") Prócz tego, p. Rudyard razi swojem natręctwem cywilizatorskich apetytów z jednej strony, a z drugiej powiedzeniem takiej rzeczy nieangielskiej i niekulturalnej: „Dzienniki wmawiają w czytelników językiem, zastosowanym do ich pojęć, że rozpinanie drutów telegraficznych, budowanie domów i robienie majątków, jest postępem." A my, w Warszawie, którzyśmy tak na Kiplinga „polecieli," aniśmy wie -

dzieli, że on może takie bluźnierstwa głosić! Pal sześć! Wybaczamy mu to, jak również i to, że sercem świata nazywa Londyn, (biedny! — nie był w Warszawie!) i wędrujemy tam, gdzie birmańskie dziewczęta z bursztynu i migdałów śmieją się do słońca; gdzie są miasta zamieszkałe przez dzieci, spacerujące po jasnych ulicach gromadkami, spowitemi w jedno niewinne grono nagusków długą szarfą jedwabną (Nagasaki); gdzie palą się fajeczki na dwa pociągnięcia; gdzie świętuje się kwitnienie brzoskwiń, złocieni i wiśni; pojedziemy i tam, gdzie są mosty, któreby runęły, gdyby ich nie powstrzymywały lękliwe spojrzenia podróżnych, i gdzie pokłady łupku, w spiętrzonych skałach, wiszą, milczące i nieruchome, jakby się obawiały ześlizgnąć; zobaczymy i filistra wzdychającego nad marnotrawstwem gorącej wody gejzerowej w Yellowstone-Parku, i nakoniec, ujrzymy apoteozę: zarzynania świń i wychodzenia za mąż mądrych panien amerykańskich, które podobno umieją rozmawiać i nawet myśleć.

Dlaczego niektórzy podróżnicy, jak p. *Grzegorzewski*, koniecznie chcą w tytule książki wzmiankować o niebie („Z pod nieba wschodniego"), skoro mówią o rzeczach bardzo ziemskich, jak naprzykład o obdzieraniu wilka żywcem ze skóry przez Mongołów, co nawet raczej przypomina piekło? Poza tem, p. Grzegorzewskiemu, prócz niejakiej ciężkości stylu, objuczonego nieraz nadmierną ilością dopełnień, dopowiedzeń i określeń, zarzucić można zbytni pedagogiczny autochtonizm. Tyle w jego nowelach wyrazów, zwrotów i całych zdań w języku tubylczym, jakby autorowi chodziło, żebyśmy się tych nowel nauczyli na pamięć, jak wokabułów. Ta pogoń za folklorem w noweli zdradza obawę autora, iż bez fotograficznej szaty zewnętrznej, ludzi jego nie byłoby widać. Dosypmy jeszcze drugie tyle różnych „bidan'ów," „hazret'ów," „chanekah'ów," a „Babkę Tamerlana" będzie można zaliczyć do literatury bucharskiej. Tembardziej to razi, że w tymże zbiorku znajdujemy inne nowele, które na nieobecności tubylczego języka nie tracą.

Do zupełnie pedagogicznego rodzaju należy odnieść sposób pisania *M. Serao*, która swój, na szczęście bardzo cienki, opis podróży do Ziemi Świętej przepełniła ciągłemi pobudzaniami siebie i czytelnika do pobożności. Atoli cóż wskóra duch mocny, kiedy mdłe ciało p. Serao, co rusz, coś z pobożnego nastroju wypłasza: to „swąd" i „trywialność" kolei oraz jej „bezwzględny, brutalny pośpiech," to żydzi spoceni i „niepachnący," to konieczność zjedzenia obiadu i wypicia herbaty, „jak w Monte Carlo". Rozumie się, że, wobec tego, „o, jakże więdną kwiaty poezyi!" Autorka żali się na to na

kilku stronicach. A tu jeszcze na pokuszenie duszy p. Matyldy, zesłał szatan beduinów, tak „ślicznych,“ że znowu trzeba im kilka stron poświęcić. Autorka, mówiąc o nich, porusza całą klawiaturę dostępnych jej ogólników: beduin ma i wdzięk, i czar, i urok, i powab. Kiedy ten śliczny i prześliczny, cudny i przecudny, piękny i przepiękny „sais“, wdrapawszy się za szylinga na piramidę i zlazłszy z niej, w ciągu niespełna minut dziesięciu, wychyla z pod przepięknego burnusa „prześliczną“ rękę, p. Matylda, przezachwycona, daje mu pieniądz i pyta z płomiennym wzrokiem, czegoby jeszcze żądał. Dumny beduin — hélas! — niczego już od p. Matyldy nie żądał, prócz, żeby go zawsze nazywała „dzielnym Mohamedem“. Krajobrazy pobożnej p. Matyldzie też przeszkadzają, a gorzej jeszcze czytelnikowi, bo są albo „urocze,“ albo „przepyszne,“ naprzemian: jeżeli jeden miał „uroki,“ to następny będzie miał już tylko „pyszności;“ są to jedyne urozmaicenia stylowe p. Matyldy. Tłumaczka, p. A. Morzkowska, zamiast dobrze przekładać lichotę rozreklamowanej przez gazety modnej autorki, lepiejby zrobiła, przepisawszy i wydawszy kawałek „Pielgrzymki do Ziemi Świętej“ Ignacego Hołowińskiego, któremu kolej nie psuła jeszcze nastroju. Zaiste, lepiej wyglądała Ziemia Święta za niego lub za Chateaubriand'a i Lamartine'a, niż wygląda za Serao.

Przewodnik p. *Al. Janowskiego* stanowi rzecz, po części oryginalną, po części uzupełnioną wstawkami i cytatami z autorów, znanych ze swych prac krajoznawczych (O. Kolberg, W. Nałkowski, M. Wawrzeniecki i inni). Zamiast przedmowy do 2-go wydania, znajdujemy tu obrazek S. Żeromskiego przedstawiający „szkołę“ z jakiejś wioski szwajcarskiej, gdy na statku, mijając piękną i wielką Grütli, śpiewają: „Vom ferne sei herzlich gegrüsset...“ Książka obejmuje geograficzno-historyczne dane o Kieleckiem i Radomskiem, oraz praktyczne wskazówki do wycieczek po tych ziemiach. Zewnętrzna forma wydania (format, druk, układ) bardzo brzydka; zresztą i wewnętrznej szkodzi kompilacyjność i brak takich, zdaje się, ważnych rzeczy, jak planiki, choćby odręczne, Kielc i Radomia, jeżeli „Wycieczki“ mają być przewodnikiem, zachęcającym do zwiedzania tych grodów, i jeżeli z wycieczkowiczem niema stać się to, co z owym anglikiem, o którym autor opowiada, że słysząc, jakoby Chęciny były miastem z marmuru, przyjechał, spojrzał — i w tej chwili odjechał z powrotem, zatkawszy nozdrza.

Od broszurki p. Al. Janowskiego rażąco odbija *Ks. Antoniego Macoszka* „Przewodnik po Śląsku Cieszyńskim“. Wyróżniają go zupełne opanowanie i jednolite oświetlenie materyału, ładne odbitki widoków śląskich, typów, wyrobów ludowych, planów i map, nader

starannnych, uwzględnienie działu adresowego, zwartość druku i zręczność formatu.

J. L.

VARIA.

Heliograwiurowa reprodukcya Burne-Jones'a *(„Król Kofetua i dziewczę żebracze")*, którą do zeszytu niniejszego dołączamy, została wykonaną podług wielkiej heliograwiury (67 × 29½) *„Berlińskiego Towarzystwa Fotograficznego."* Towarzystwo to, uzyskawszy wyłączne prawo reprodukcyi obrazów Burne-Jones'a, wywiązuje się ze swego zadania doskonale, bo w świetnych bez zarzutu heliograwiurach reprodukuje prawie całą wybitniejszą spuściznę po mistrzu. Na wspaniałe albumowe dzieło o Burne-Jones'ie, jakie wyszło nakładem tejże firmy składa się 90 fotograwiur wielkiego formatu (67 × 51) oraz znany portret Burne-Jones'a pędzla *Watts'a.* — Bezinteresownej uprzejmości „Berl. Tow. Fot." zawdzięczamy możność wykonania naszej reprodukcyi.

Poemat Zeyera *(„Król Kofetua")* **i obraz Burne-Jones'a** *(„Król Kofetua i dziewczę żebracze")* stanowią dwa tak wybornie harmonizujące i tak się wzajemnie dopełniające akordy, że nie mogliśmy się oprzeć pokusie, aby ich nie skojarzyć, w jedną melodyę nie powiązać i nie dać czytelnikowi tem doskonalszej możności ukołysania się tą błękitną baśnią o Królu Kofetui, tym nigdy niewyśnionym snem tęsknoty. — Przedrukowując „Króla Kofetuę" z polskiego „Wyboru pism Zeyera" czynimy to — raz dla upamiętnienia pierwszej rocznicy jego śmierci, a powtóre — dlatego, iż utwór ten uważamy za jedną z najlepszych rzeczy Zeyera. Tekst przyozdobił specyalnemi rysunkami i inicyałami Edward Okuń.

Ralph Waldo Emerson Amerykanin z pochodzenia, pastor unitaryański z zawodu, wielki mistrz *essay*'u, pokrewny duchem seigneur'owi de Montaigne, który był mu nauczycielem i wzorem. Lubuje się w wysłowieniu codziennem, w okresach pełnych, potoczystych i jasnych, których niepodobna „rozciąć, bo spłyną krwią, tyle w nich żywotności i naczyń krwionośnych..." Osią i rdzeniem jego poglądów filozoficznych jest sceptycyzm, stanowiący dlań ogniwo, pośrednie między idealizmem a materyalizmem. „Już mnie znużyli — powiada o sobie — dogmatu obrońcy, lecz i wszyscy frazesowicze, którzy temu dogmatowi przeczą. Nie twierdzę ani nie przeczę. Jestem po to, aby zbadać dany wypadek. Chcę

badać, σκέπτειν, badać, jak jest.“ Wpada miejscami w ton kaznodziejski, bywa rozwlekły, ciasny i oziębły, lecz nie zna kompromisów, nigdy nie schodzi na bagna pospolitości, nie schlebia tłumom i nie korzy się przed „półświatkiem ducha.“ „Reprezentantami ludzkości“ są dlań natury heroiczne, szczytne i samodzielnego pokroju: „filozofa Platona,“ „mistyka Swedenborga,“ „sceptyka Montaigne'a,“ „poety Szekspira,“ „człowieka uniwersalnego Napoleona“ i „pisarza Goethego.“ Dla ciżby, co wiecznie przewala się w pogoni za zyskiem i użyciem, ma „przebaczenia anielską pogardę“ i miłość, która nie zstępuje do maluczkich, lecz stara się ich dźwignąć i podnieść ku sobie. Ta duchowa szczytność mści się na nim boleśnie. Musi zerwać z współwyznawcami, usuwa się na wieś przed napaściami swych przeciwników, przez całe życie jest ciemną zagadką dla rodziny i najbliższych przyjaciół. Z czasem treść jego myśli wchłaniają w siebie wszystkie kultury wyższe. Zwłaszcza na kraje anglo-saskie wywiera wpływ ogromny. Z prac angielskich i amerykańskich o Emersonie możnaby już utworzyć wcale pokaźną bibliotekę. Z pomiędzy francuzów, Maeterlinck w niejednem zapożycza się u niego. Z Nietzschem zgadza się niekiedy wprost zdumiewająco w dążeniach i poglądach, lecz naogół nie dorównywa mu w jasnowidzeniu psychologicznem, oraz czarodziejstwie artyzmu, jest o wiele oschlejszy i płytszy. *Ne te quaesiveris extra.* W tych słowach, umieszczonych na czele doskonałego jego *essay*'u o „Samodzielności“ tają się, jak w zawiązku, najistotniejsze znamiona całej jego twórczości. Rzeczywiście, nigdy nie szukał siebie poza sobą.

Pomnik Baudelaire'a. W październiku został odsłonięty w Paryżu, na cmentarzu Montparnasse, pomnik ku uczczeniu pamięci Karola Baudelaire'a. Pomnik, wykonany przez młodego rzeźbiarza, M. José de Charmoy, wyobraża poetę leżącego na głazie mogilnym; nad nim się wznosi, w głowach, alegoryczna postać *Myśli* z granitu. Niedużo lat upłynęło od zgonu twórcy *(magnus parens)* nowej poezyi, a już pomnik! Francuzi wcześniej obdarzają pomnikami swoich wielkich ludzi, nie potrzeba im na to wieków i dodatkowych okoliczności społecznych. Snadź łatwiej im ocenić poezyę („qui n'as pas d'autre but qu'elle-même“), jako bliższym zachodu, czyli dekadencyi słońca. Tam też widać tylko mogli się znaleźć rodzice tak zepsuci, że *sami chcieli* syna wykierować i wykierowali na poetę, i to na poetę, który jadł haszysz, palił opium i stworzył „Kwiaty zła,“ wzgardziwszy (o dekadencyo!) kwiatami dóbr filistyńskich („Je hais l'or comme vous haïssez Dieu!“)

CHIMERA.

Nieporozumienie, bajka.

Zaprawdę, opłakany,
los bajkopisarza!
Gdy mu zwierz jaki milszy —
człowiek się obraża:

zaś kiedy synów ludzkich
stawia za wzór zwierzom, —
czworonogi nań kwiczą
i szczecinę jeżą.

Był bajkopis, co bydło
kpał i kopał trutnie,
i co z tego wynikło,
tu opowiem smutnie.

Świnia, Osieł i Pies — trzy
społecznie sklepane
ogniwa dobrobytu —
przyszły dać naganę

onemu bajkotwórcy
za to, że pokpiwa
sobie z nich, tudzież z obór,
powagi i chléwa.

Przyszły do bajkopisa
niesforne, nie w rzędzie
stanąwszy, i zaczęła
tak Świnia orędzie:

— Dość tego dydaktyzmu,
wspartego na błędzie,
że świnia jest czemś gorszem!
Tak dłużej nie będzie!

Rzekł już dziś pewien doktór,
zły na ludzki nierząd:
„dzieci winny się uczyć
zwyczajów u zwierząt!

nie trzeba młodych *chować*
w dekadenckiej wierze,
bo ten jest zwyrodniały,
kto przestał być zwierzem,

kto zwierzęce do kąta
rzuca abecadło,
którem jest: walka o byt,
chlew, koryto, sadło!“...

Mówią na świnię „świnia.“
Kto? — panowie tłuści.
Żeśmy nieobyczajne...
Oui, oui, oui — *a juści!*

Ja — co kwartał, najwyżej
dwa — raz miewam ruję,
a człowiek? — zawsze, codzień,
gdy operetkuje.

Rzecz prosta, jeśli w grzbiecie
ma dostatnio mlecza,
lub gdy go wiek, brat, albo
mąż nie okalecza!

Robić ruję wciąż — z własną,
z cudzą — byle żoną, —
gdzież to, jak nie u ludzi
to wynaleziono!

Na to wcale nie trzeba
dekadencyo-mistrza:
ot — zwykły mydłek cudze
żony „ofilistrza.“

Choć ja nic nie czytuję
(ktoby tam tem głupstwem
psuł oczy), lecz tryb życia
taki zwę — porubstwem.

A parobstwem zwąc twoje
na trzodę napaści
w bajkach, pozwól, że'ć gryznę
po łydkach... ot — naści! —

Za Świnią zaraz Osieł —
postać szara, krępa,
wykroczyła do rzeczy
i tak rzekła stępa:

— Szanowny bajkopisie,
bardzo się pan myli,
żebyśmy my, osłowie,
gorsi od was byli.

Moralność, ład, porządek
i — choć słuchać przykro'ć —
zdrowie, zdrowie i zdrowie —
powtarzam potrzykroć: —

oto są cechy zwierząt.
Zwierz zaczął być chory,
odkąd się uspołecznił
i poznał doktory.

Ci wnet rozkładowego
szukają czynnika
w zwierzu, co, zamiast orać,
bawi się w słowika.

„Instynkt do dekadencyi“
jest niemiły osłom —
prawda, lecz i doktorom:
trzebić — ich rzemiosło.

Więc żeś na mnie ujadnął
i stworzył ramotkę,
poznaj moje kopyta...
Ot masz... masz... co? słodkie?—

Tu Pies się wysforował
z sfory (lub wysmyczył
z smyczy) i rzekł: — Ja z tobą
tak się będę liczył.

Prawdą jest, że pies nosem
czuję duszę nagą
i gryźć rad (chyba dusza
naga chodzi z lagą);

ale kto się wciąż raczy
starem sztuka-mięchem,
temu wszędzie ścierw zgniłych
stoi woń przed węchem.

Prawa patrzą w naturę
wszechrzeczy, a ta — w nie:
chcesz-li, bym postępował
względem praw nieprawnie?..

Nadto jam — toć wiadomo —
od panów zawisły:
każą — „pesymistyczne“
w duszy *znajdę „zmysły“!*

Tu inni, proszę panka,
byli tutaj czynni:
kowale zawinili,
a na mnie naganka.

Do psów na psy wieszania
byłbyś nie tak chwacki,
gdybyś czytał codzienny
„przegląd literacki“.

Adaś, Władzio, Walery,
Henryk, Piotr, Teodor —
ci trapią dekadentyzm,
wszędzie czuć ich odór:

„nowe dreszcze“, „nastroje“,
„histerya“, „kapliczki“,
„satyriasis“, „porubstwo“, —
entliczki, pentliczki!..

Wobec takich dogryzań,
cóż szczekanie pieskie,
psine, psiane czy psowe...
(nie uczył mnie Jeske

zasad pisania liter
ni praw gramatyki)...
Otóż, za twe niesłuszne
na mnie filipiki,

choć ridendo castigat,
lecz za twój „jęzores“
wybacz, żeć „skastiguję“
coś-nie-coś... Znaj mores! —

— Oui, oui! — *chrząknęła Świnia.*
— *Tak! — ryknął* asinus: —
kto broni dekadencyi,
ten ma w brzuchu minus.

— Hau, hau! — *Pies szczeknął,*
co mową ojczystą,
psią, znaczy „bij“ (Pies z młodu
służył hakatystom).

Zaś autor postanowił
wyjechać do Azyi,
albo nie pisać bajek...
do pierwszej okazyi.

Jan Lemański.

„Szczery, poważny dekadentyzm“ i „fujarka z wierzbiny.“ Opłakane, zaiste, tryumfy święci w ciemnogrodzie warszawskim majestatyczna poezya Kasprowicza. Ze strony sławetnego cechu zoilów kurjerkowych rozpisał się o niej *unverwüstlich mittelmässig* p. Walery Gostomski. Jako znawca poezyi „zachowawczy i arcychrześciański,“ wykrył oczywiście w tych „nastrojach duchowych, pełnych zwątpień i pessymizmu, wstrząsanych szalonemi wybuchami zmysłowości,“ nader podejrzany podkład „dekadentyzmu.“ Atoli po dokładniejszem zbadaniu przekonał się, że ten „dekadentyzm“ jest „szczery i poważny,“ więc nakleił na nim etykietę z ostrzeżeniem: *venenum!* i, potrząsłszy melancholijnie głową, zalecił go w niewielkich dawkach do użytku wyjałowionych doszczętnie dusz gawiedzi kurjerkowej. O wiele „modernistyczniej,“ to znaczy pretensyonalniej i krzykliwiej rozprawił się z poetą redaktor spowitego w zieleń *Ateneum,* p. Cezary Jellenta. P. Gostomski jeszcze hołduje staroświeckiemu narowowi czytania książek, o których pisze, miewa nawet chwilami niejasne przeczucie królewskiej krasy przelewającej się szczodrze z dytyrambów Kasprowicza. P. Jellenta te zmurszałe tradycye lekce sobie waży:

utworów, nawiedzanych przez swe samozwańcze widzimisię pseudokrytyczne, wcale snadź nie czyta, a jeśli czyta, to zgoła nie stara się odczuć lub zrozumieć. Bynajmniej nie zamyślamy wdawać się w obszerniejszy rozbiór barokowej gmatwaniny wywodów, zmierzających rzekomo do wykazania, iż hymny Kasprowicza są „monotonne i nienatchnione,“ że poeta „wygrał tragedyę Ginącego Świata fujarką z wierzbiny“ (po polsku: *na fujarce!)*. Dla przykładu wytkniemy jeno parę szczegółów jaskrawszych. Zaraz na wstępie, o Duszy wygnanej z raju, zmagającej się nadludzko z Lucyferem na Wzgórzu Śmierci, utrzymuje p. Jellenta, iż w „jego (t. j. Lucyfera) miłości spodziewa się ona *znaleźć* bytu świadomość,“ gdy tymczasem w samym poemacie (szósty wiersz od końca) powiedziano wyraźnie, iż tę świadomość pragnie *utracić*. Nieco dalej p. Jellenta przytacza wiersze:

Jakaż to orgia dzika!
Jakiż to chaos mąk! —

i z rozdzierającą naiwnością (chcemy wierzyć, że nieudaną) rozumuje:

„Więc czy orgia, czy chaos mąk? Lecz przecie orgii w tej chwili — w chwili sądu — być nie może, gdyż są już tylko potępieńcy, idący na piekielne męki. Więc owa orgia dzika jest pustym frazesem, mającym może wyrażać orgię mąk?“

Gdzieindziej dopomaga sobie zwykłym kruczkiem, nielicującym zgoła z bezstronnością prawej krytyki. Z poematu *Święty Boże* wyrywa dwa wiersze:

O Boże!
O Mocny!

pomija dwa wiersze następne:

Ty się upajasz wielkością stworzenia,
a pośród nas tu głód! —

i, nie zaznaczywszy nawet, że wogóle istnieją, bezpośrednio dopisuje:

Jak bedłki, tak jarmużu syty ginie lud.

Poczem na podstawie tego pomysłowego fortelu chciałby wmówić w czytelnika, że w tem „dwuznacznem“ przejściu słyszy się: O Boże, mocny jak bedłki. I t. d., i t. d., a zawsze *sans génie et sans esprit.*

I p. Jelenta jeszcze sobie pochlebia, że „sprawia znakomitemu poecie przykrość, ale wie, że mu wymierza sprawiedliwość“! *).

Komitet opiekuńczy warszawskiej szkoły sztuk pięknych, uzyskawszy dla listy swych członków zatwierdzenie władzy właściwej, zajął się podobno niezwłocznie poszukiwaniem odpowiedniego dla nowej instytucyi pomieszczenia, oraz wyborem i zaproszeniem całego grona kierowników artystycznych. Z dwu tych spraw „węgielnych,“ pierwsza jest stosunkowo mniejszej wagi, jako — według wszelkiego prawdopodobieństwa — prowizoryczna tylko. Nie wątpimy bowiem, iż, po jakimś roku czy dwóch obiecującego funkcyonowania, szkoła znajdzie chętnych mecenasów, którzy dopomogą jej do wzniesienia wygodnego gmachu własnego. Zacząć zaś można choćby od nader skromnego, byle dobrze oświetlonego lokalu. Druga sprawa natomiast pierwszorzędne ma znaczenie dla *całego przyszłego rozwoju* instytucyi — i komitet po dwakroć tutaj przed każdą decyzyą zastanowić się winien. Pierwszy komplet kierowników artystycznych nada szkole odrazu pewną wyraźną, taką czy inną, cechę, a ponieważ uzupełnianie dalsze ciała nauczycielskiego odbywać się ma już „na zasadzie opinii rady pedagogicznej,“ czyli tychże pierwszych kierowników artystycznych, — wszelka więc modyfikacya tonu, gdyby okazała się potrzebną, może później bardzo być utrudniona. Od doboru pierwszych kierowników — pisaliśmy już przed kilku miesiącami — zależy przyszłość szkoły, kulturalne jej znaczenie i nieoczekiwany może rozwój. Dlatego, za tę elekcyę podstawową wielka na komitecie opiekuńczym ciąży odpowiedzialność.

Warszawska szkoła sztuk pięknych otrzymała statut bardzo piękny i szeroki. Ma ona nietylko „kształcić artystów,“ lecz wogóle „przyczyniać się do rozwoju artystycznego ludności miejscowej,“ czyli, mówiąc innemi słowy, do podniesienia kultury estetycznej; wolno jej otworzyć szkołę przygotowawczą oraz niedzielne klasy rysunkowe, ogłaszać konkursy, urządzać wystawy publiczne, równie prac uczniowskich, jak i ogólne, kompletować bibliotekę i muzeum, przyjmować wreszcie zamówienia na prace artystyczne i artystyczno-przemysłowe. Sama rozległość i rozliczność tych zadań, ciążących

---

*) „Bezstronność“ i „powagę“ tej, zaiste, ***sui generis*** krytyki podziwiał i wychwalał inny znowu „sumienny krytyk,“ podpisujący się w *Kurj. Warsz.* godłem X czyli niewiadomo co. Czuć w tym trafnym aplauzie, obok zwykłej dobrej wiary *Kurjera*, chwalebny wysiłek p. X-a, aby sprostać Ostrowidzowi, temu wielkiemu rybitwie wszelakich nędz lub mierności i nieutrudzonemu ich wysławiaczowi.

na gronie artystycznych kierowników instytucyi, wskazuje wyraźnie, jakim wyjątkowo szerokim winni oni odpowiadać wymaganiom. Muszą to być nietylko doskonali, pełni talentu i umiejętności w swoim zakresie, lecz nadto *nader kulturalni* artyści, którzy dużo widzieli, dużo przemyśleli, dużo odczuli i wyrobili sobie smak pewny oraz sąd szeroki *). Muszą to być, dalej, ludzie zrównoważeni artystycznie, obcy i sztywno-akademickim ciasnotom, i niemniej ciasnym rozwichrzeniom nowatorskim, nieznający żadnych „kierunków," lecz jedną, niezmienną sztukę, umiejący odczuć i zrozumieć wszystkie *istotne*, chociażby na pozór biegunowo sprzeczne indywidualności twórcze, zarówno pośród mistrzów stawianych za wzór uczniom, jak pośród uczniów samych. Muszą to, wreszcie być prawi, szczerzy, prości, pełni cichego, niekrzykliwego, lecz tem gorętszego zapału, czciciele sztuki, zdolni przykładem własnym wszczepiać w młodzież uczącą się wstręt do wszelkich fanfaronad, pozerstw, kabotynizmów, oraz bezgraniczne, poważne, bezinteresowne oddanie swemu powołaniu.

Wymagania wielkie. Na szczęście atoli, nie brak ludzi mogących godnie im odpowiedzieć. Ze starszego pokolenia — Chełmoński, Malczewski, z następnej generacyi — Dębicki, Pankiewicz, Ślewiński, z dzisiejszych — Pieńkowski, Ruszczyc, Tichy, — oto materyał na wspaniałe grono kierowników, jakiem najpierwsza w świecie akademia sztuki słusznie chlubićby się mogła. Na większość wymienionych artystów komitet sam już zapewne zwrócił uwagę, o niektórych wszakże wzmianka dopiero niniejsza przypomnieniem snadź będzie potrzebnem. Artyści nasi rozrzuceni są po świecie; nadto, najlepsi właśnie unikają zazwyczaj zgiełku reklam dziennikarskich. Skutkiem tego najpoważniejsze imię ujść może niekiedy baczności niedość wytrwałej. Za obowiązek swój uważamy położyć nacisk specyalny na konieczność pozyskania dla szkoły warszawskiej trzech zwłaszcza artystów: Dębickiego, Pankiewicza oraz Tichego. Są to, mimo kapitalności swej, najmniej względnie głośni i najmniej reklamowani z malarzy naszych, a dzięki wyjątkowym właściwościom, jak gdyby stworzeni właśnie na idealnych kierowników młodzieży artystycznej. O Pankiewiczu wie się nieco więcej w Warszawie, skutkiem tego najmniej snadź potrzebne mu wszel-

---

*) Tę potrzebę, tę konieczność wielkiej kulturalności kierowników podkreślilibyśmy zresztą dwa razy przy wymienionem w statucie na pierwszem miejscu zadaniu „kształcenia artystów," fatalną bowiem jest rzeczą, gdy młódź artystyczna opuszcza szkołę z dużym nieraz talentem, z wyrobionem okiem i ręką, ale z zupełnem, przy tem wszystkiem, pod względem kultury, nieokrzesaniem.

kie rekomendacye. Jakim potężnym, szeroko-kulturalnym i ożywczo, nie na uczniów nawet, lecz na kolegów już, oddziaływającym artystą jest Stanisław Dębicki, pisaliśmy już kiedyś okolicznościowo w Chimerze (tom I, str. 179 — 180). Tichego — dla znawców prawdziwych oraz artystów — winny były wylegitymować aż nadto: wystawiane w T. Z. S. P. i u Krywulta rysunki węglowe, oraz udział w wystawie „Sztuki stosowanej;“ o jego zaś wpływach na młodych, wyrabiających się artystów Kraków mógłby wiele powiedzieć. Ponieważ nadto szkoła warszawska nie myśli podobno zamykać się w „olejnictwie,“ lecz pragnie uwzględnić szeroko sztuki graficzne i sztukę stosowaną, — nie od rzeczy będzie przypomnieć, iż trzej wymienieni malarze, w tych nowych u nas dziedzinach, do najlepszych należą znawców i praktyków. Dębicki, Pankiewicz i Tichy — oto winno być jądro przyszłej gromadki artystycznych kierowników szkoły. Uzupełnić grono mogą wspaniale Pieńkowski, Ruszczyć i Ślewiński, zaszczytnie — Chełmoński i Malczewski, — ale tamci trzej pierwsi są nieodzowni, i komitet nie powinien się cofnąć przed zdwojonemi, gwoli pozyskaniu ich, wysilkami.

W dziale rzeźby, trudniej kogoś z całem przekonaniem zalecać. W każdym razie, zdaje nam się, iż mowa być może, tylko o Glicensztajnie, Rygierze lub Szymanowskim.

Wadliwością statutu szkoły jest brak, chociażby między „nieobowiązkowemi“ przedmiotami teoretycznemi, kursu historyi sztuki. Krzepki, jędrny jej wykład mógłby wpłynąć pożądanie na duchową stronę przyszłych artystów i zapobiedz wielu *rapin*'owskim konceptom i nonsensom, wygłaszanym z całą pewnością siebie przed największemi arcydziełami. Tylko któżby ją wykładał? Bo tu ani dyletantyzm malarski czy dziennikarski, ani sucha fachowość uniwersytecka, na nic przydać się nie mogą.

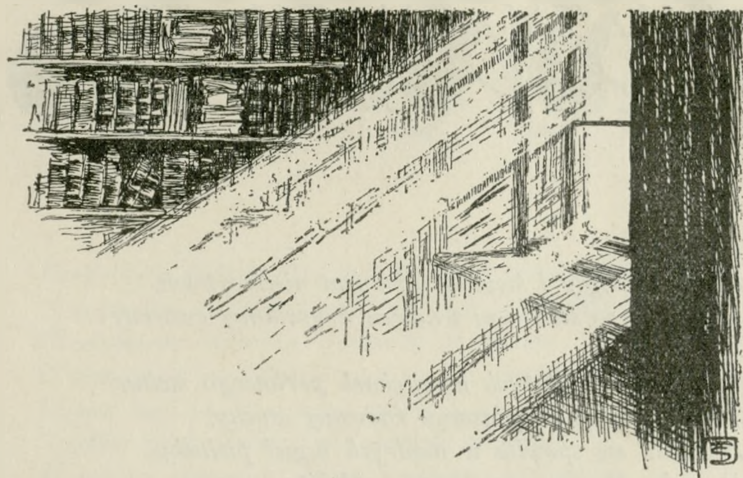
Pp. autorów, zarzucających nam listownie, że pomijamy ich książki w sprawozdaniach *Chimery*, prosimy o zwrócenie się z pretensyą do własnych nakładców, którzy nam egzemplarzy recenzyjnych nie przysłali, z obawy snadź przed okrzyczanemi „egzekucyami“ w pismie naszem. Wogóle, zresztą, pp. nakładcy warszawscy uważają rozsyłanie nowych wydawnictw redakcyom i sprawozdawcom — tylko jako środek korzystnej dla „interesu“ wydawniczego reklamy. „Jeżeli książka i tak idzie, po co tracić na krytyków egzemplarze“ — oto autentyczne jednego z wydawców wyrażenie. Że sprawozdania i oceny, takie czy inne, mają znaczenie *także (!) i dla autora,* nikomu z nich na myśl nie przychodzi

widocznie. A warto może byłoby chociaż o tem pamiętać przy dzisiejszym materyalnym helotyzmie autorskim.

Po ukończeniu tomu V-go Chimery zamykamy sprzedaż pierwszego jej rocznika po cenie prenumeracyjnej. Od chwili ukazania się zeszytu niniejszego, cena liczyć się będzie według tomów: po rb. 3 za tom na miejscu i po rb. 3 kop. 50 z przesyłką pocztową. Tom I sprzedaje się tylko razem z II, III i IV-ym. Pozostałe cztery tomy (II — V) nabywać można pojedyńczo. Poszczególne zeszyty, w miarę zapasu, po cenie oznaczonej na każdym.



Pod słońcem.

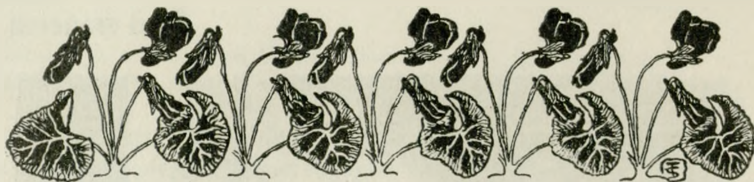


SZCZĘŚCIE WIOSENNE.

O, cudne przebudzenie z zimowej martwoty!
O, szczęsne przebudzenie w zorzy wiosny złotej!
Dawno już taka święta wiosna mi się śniła...
Czemu dopiero teraz budzi mnie jej siła?

Różowy brzask, przebiegłszy sennym nieba stropem,
Wbiega do izby mojej młodych blasków gwarem
I uderza złocistych swych promieni snopem
Powieki me zakrzepłe złym omdlenia czarem...
Tak dziewczyna, w miłości drżącej, niecierpliwej,
Kochanka uśpionego budzi, jego oczy
Uderzając złotemi pasmami warkoczy,
Aby powstał na pieszczot niespodziane dziwy...

Ranek, tęcz i opalów czarodziej misterny,
W powietrzu dziwnie lekkiem, złotem i błękitnem



Przelewa mgły i światła igraniem niechwytnem,
Jakgdyby w szklanem wnętrzu kryształnej cysterny...

W młodych, świeżych uśmiechach perłowego świtu,
W zbudzonem rozpląsaniu radosnej otuchy,
Zbudziła się spowita w modrych mgieł pieluchy
Pogoda, Pani czysta świętego błękitu.
Odblaskiem czoła swego ciche pola złoci,
Rozradowana łaską swej własnej dobroci,
Rześką beztroską swojej swobodnej ochoty,
Szczęśliwą rozrzutnością swej złotej pieszczoty.

Staw, niespokojny malarz nieba i obłoków,
W kołysanie swej fali powab nieba zwabia,
Podstępnem swem udaniem niebiosa podrabia,
I lśnią w dwóch różnych stronach dwie pełne uroków
Ojczyzny snów polotnych i rozpiętych skrzydeł,
Łudząc ptaki igraszką ułud i mamideł,
Że zawisły w przestworzu cichem nieruchome,
W którą ojczyznę lecieć mają nieświadome...

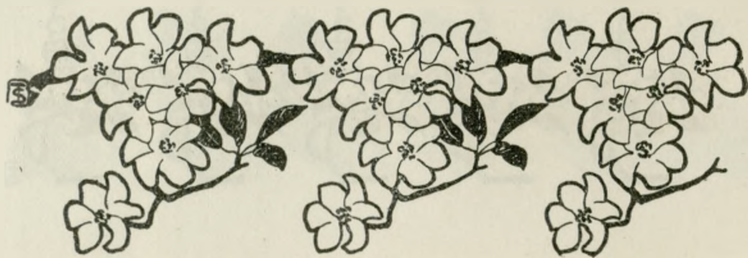
Weselnem powitaniem wiosny lśnią uśmiechy
Dali. Szczęście pozdrawia je w złotej pogodzie...
Pierś pije zdrową siłę ochotnej uciechy,
Nic nie cięży na marzeń tanecznej swobodzie...
Wypoczętym w zimowym śnie gałęziom krzewów,



Bezlistnym jeszcze, lecz już drżącym niecierpliwem
Przeczuciem zapłodnionych żywotem powiewów,
Obudzonym rozkoszną tęsknotą za żywem
Wybujaniem rozkwitu — śni się już przepyszny
Ciężar kwiecia, co wonną śnieżycą odzieży,
Sypkim puchem im wątłe gałązki upierzy...
Drzewa z martwoty swojej wyrwane zacisznej,
Połechtane krążeniem drogich soków nowem,
Bogaty zapas zimy dobywszy z ukrycia
Piją ziemię i rzeźwe powietrze ze zdrowem
Łakomstwem ust zgłodniałych pełnych piersi życia.

Ledwo łodygi drgnęły szmerem krwi roślinnej,
Rodzącemi się dziwy zaniepokojony
Powiew wiatru się ocknął z swej nudy bezczynnej. —
Cudem życia i pierwszem ciepłem rozmarzony,
Rozleniwiały wilgną wonią ziemi młodej,
Trąca krzewy pijące oszołomne dreszcze
Z ócz słońca; chce z nich strząsnąć niezrodzone jeszcze
Pyły i po błękicie rozsiać nieb i wody,
Roztrwonić tysiąc czarem nabrzmiałych kropelek
Woni — z pustą swawolą dziewcząt, trwonicielek
Swej słodkiej, opieszałej, niebacznej urody...

Wiosna zachwytem nieba wkrąg promieniejąca
I śnieniem wód, młodością prześwietlonych słońca —



Z zawrotnym nieprzytomnej szczęśliwości czarem
Idzie, by szczodrej łaski przelewnym nadmiarem,
Wspaniałomyślnym zbytkiem swej darzącej krasy
W oddaniu się miłosnem poobdzielać lasy
Nieruchome, zatchnięte milczeniem snu bladem,
Zaczadzone woniami, sytemi rozkładem
Liści, które korzeniom obietnicę żyznej
Karmi dają, w zapachu ostrym swej zgnilizny...
Idzie rozwiać się płodnym tajemnym posiewem
Po polach tchnących tęgim surowym wyziewem,
Co bije z świeżej tłustej skiby w dniach przednowia
Aromatycznem winem wiosennego zdrowia...

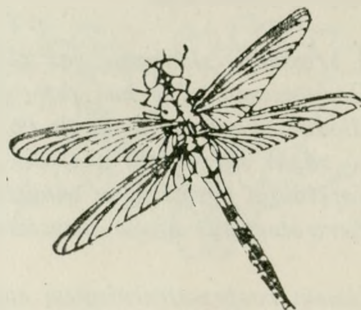
Ciepłem słońca moc twórcza wiosny w bruzdy wchodzi...
Przyroda się cudownie odradza i rodzi...
Zdziwienie me ciekawe, niedowierzające,
Podsłuchuje tajemnic, które ziemia czarna
Dreszczem zapłodnień zwierza zasklepionym ziarna
Duszom, zamyka w nasion serca kiełkujące:
Obiecuje rozkosze deszczu, który z nieba
Spadnie, gdy się pieszczotą słońca znuży niwa,
Karmi powieścią złotą o świętych dniach żniwa
I o świeżym zapachu razowego chleba...

Słucham i piję słońca rozkosz, ziemi wonie,
I cały świat radości dobrej noszę w łonie,

A promienie słoneczne, jak złoty rój pszczelny,
Słodycz wnoszą w me serce, jakby w ula wnętrze...
Miodny skarb serca wonie rozlewa najświętsze,
Co zdane skrzydłom wiatrów, szczęśliwych tułaczy,
Napełniają przestworze marzeniem o dzielnej,
Pierwotnej sile ojców siewców i oraczy...

Złotem rozprzestrzenieniem swych skrzydeł w błękicie,
Pod kryształowym sklepu niebieskiego chramem,
Zwisło nade mną w cichym rozkoszy zachwycie
Szczęście me, zadziwione błogo sobą samem...





POŁUDNIE WŁÓCZĘGI.

A toż ty, serce moje, chyba jakieś dziwne
Czary zaklęć masz w sobie, żeś tam — w lęków borze,
Nie zmartwiało!.. Kto mówił ci, że kłośne zboże
Złotą falą opływa gdzieś zagony żniwne?

Gdy mi się w grzmiących ucztach życia wszystkie stłukły
Kruże w kryształnym kruszcu kunsztownie kowane,
Chciałem paść w sny spoczynku, w zmierzchami owiane
Sny grobu... Czy podszepnął ci to dąb, miedz smukły
Strażnik?.. Bo widzę, żeś ty mnie podeszło cudnie
I na spoczynek dało mi łan i południe!..

Gdy nas z domu wypędził ból w oddal bezbrzeży,
Kędyś w nieznane pola na tułactwo wieczne,
Nie wiedział, że wygania nas w łany słoneczne,
Że cud tak blizko leży cierpienia rubieży...
A żeś mnie tu przywiodło, serce, na te łany,
Miejże sen o południu szczęścia nieprzespany!..

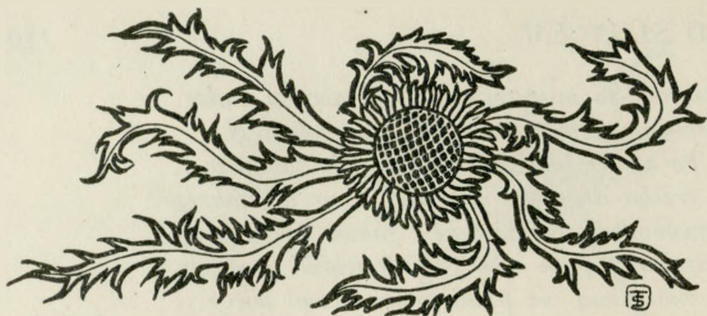
A bogdaj-to mieć wiecznie twą niesytą żądzę
Wędrownego tułactwa szczęśliwej włóczęgi!..
Idę po to, by błądzić, więc już nie zabłądzę...
Nie trzeba dróg, bo zewsząd jawne widnokręgi!
O, swobodo! Kij w rękę i sakwa przez plecy,
Nocą sen w polu albo pod drzwiami gospody,
A rano mkną już ptaki gromadnemi wiecy...
Same nam się kierunki ścielą i pochody!..

Płyną klucze wędrowne! Z niemi droga nasza!
Poco nam drogowskazów, poco innych znaków?
Dobre południe, ptaki! Tam w dal nas zaprasza
Beztroska, dar radosny włóczęgów i ptaków!

Lecz teraz tu spocznijmy na złotym popasie
Południa. Toż ten łan się winem słońca pieni,
To zboże kipi żarem ognia w pełni krasie!
Toż to nadmiar i uczta cudowna płomieni!
O, królewskie bogactwo chwili, gdy godzina
Południa z dzwonu słońca leje się z niebiosów
W prześwięte nabożeństwo dojrzewania kłosów,
A niebo świeci jasne, jak dobra nowina!

Spocznijmy tu!.. Wędrowne niech ustaną stopy...
Zanurzmy się w tym lata ogromnym kielichu,
Wezbranym bujnem zbożem! W tych kłosów zatopy
Paść, tarzać się w gorących wybuchach rozkwitu,
W tej rozkoszy, w tem szczęściu otchłannem dosytu,
W tej słonecznej rozpuście zbytku i przepychu!..

O, szczęśliwy po trzykroć, kto wszystko utraci!..
My, włóczęgi bezdomne, nie mamy nic swego,
A jakżeśmy cudownie, bajecznie bogaci!
Bo stokroć bardziej wino smakuje nie nasze,



A my złodzieje lata i słońca złotego!
To nasz zysk, co ukradkiem... gdy ból nie na straży!
Gdy idąc w drogę biodra sakwami opaszę
Pustemi, wiem: nie stracę nic! żadna mi szkoda!
A Bóg wie, co mi w drodze może się nadarzy!
Bo cały świat to jedna cudowna przygoda!

Pijmy, chłońmy i chłońmy, nim mrok wróci z nocą!
Łan, przesycony słońca natężoną mocą,
Zmysłowem, dzikiem latem płomiennie zakwita...
Wkoło pola cudownie prześciglego żyta
Przepalają się prawie żarem dojrzewania,
A parny upał tryska szałem rozpasania,
Zbytkownem wybujaniem zdrowego nadmiaru...
Lato pławi się w wrzącej, lubieżnej rozkoszy
Omdleń w otwartem polu, gdy huragan skwaru
Płachty płowych płomieni strąca z nieb pustoszy
I rozdrganemi wiry w lawę roztopionych
Niebios, prostopadłemi pociski pożaru
Praży łan zbóż, kąpielą ognia ogłuszonych...

Równie pól i ugorów śpią w słonecznej krasie,
Przy drodze się do słońca śmieje brzoza młoda,
A łopuch i bodiaki, ta łąk szara trzoda,
Skwarem lenistwo swoje pasorzytne pasie...

W dali staw przycichł, lata zdziwiony robotą...
Nawet nie drgnie, by w pracy słońcu nie przeszkodzić,
Co mu wodę raz zmienia w błękit to znów w złoto...
Jeno czasem przez szuwar, co wzrósł, by ogrodzić
Jego brzeg, i ocienia go, jak bujna rzęsa,
Podgląda, jak się szczęście po polach wałęsa...

Tam sad płonie! Jabłonie, grusze... każde drzewo,
Obarczone skier złotych rzęsistą ulewą,
Zwiesza liście zmęczone, pijane i senne...
Sad pod białym ciężarem kwiatów się ugina
I wdycha żądze słońca miłosne, zaplenne,
Po gałęziach owoco-wróżbną biel rozpina,
Kwiatami opowiada bogactwo i dziwa
Gleby, co się pod trawą zieloną ukrywa,
Zdradza soczyste, żyzne ziemi tajemnice...
A ziemia, darnią mając zasłonięte lice,
Kwieciem drzew śni i patrzy w błękity, tęskniąca,
W kwiatach oddając słońcu, co wzięła od słońca...

Oto godzina jasna, kiedy niema cienia,
Co o zmroku wyłazi z za każdego haszcza,
Rozlewa się, rozłazi, rozpełza, rozpłaszcza...
Ale teraz godzina, kiedy niema cienia...
Złote słońce go zewsząd zwycięzko wypiera!
Cień coraz więcej kurczy się, w sobie się zbiera,
Coraz ciaśniejszem kołem drzewa opierścienia
I, wyszukawszy jakąś tajemną szczelinę
Między darnią przypienną, a pnia szarą korą,
Wsiąka cicho pod ziemię, chowa się w głębinę
I ucieka w korzenie drzew, co chłód zeń biorą...

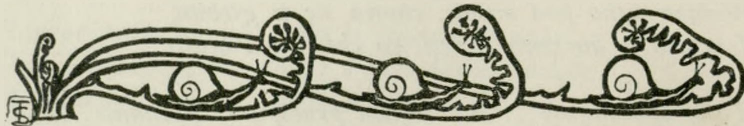
Tutaj spocznijmy... W słońcu prześpijmy południe...
Syćmy się, chłońmy ogień spadający z nieba!

Zapasów lata, słońca, południa nam trzeba,
Bo przyjdzie wieczór mroczny, żar złoty ochłódnie...

Pal, słońce, pal! I blaski swe ciskaj najszybsze,
Aż ból, troska, jak cień ten zniknie, nas się wyprze,
Aby, kiedy nam drogę zajdzie siwa starość,
Dawne groby już miały czas zielenią zarość!
Pal! niech muraw nie depce złość mroków i chłodów!
Po ziołach niech prowadzi ostatni z pochodów!

Teraz jeszcze południe! Nasz zachód nie bliski!
A rozkosz lata chwyta w palące uściski!
Lawiną złotych deszczów szaleją nieb stropy!
Zanurzmy się w tym lata ogromnym kielichu
Wezbranym bujnem zbożem! W tych kłosów zatopy
Paść, tarzać się w gorących wybuchach rozkwitu.
W tej rozkoszy, w tem szczęściu otchłannem dosytu,
W tej słonecznej rozpuście zbytku i przepychu.

O, szczęśliwy potrzykroć, kto wszystko utraci!..
My włóczęgi bezdomne nie mamy nic swego,
A jakżeśmy cudownie, bajecznie bogaci!
Bo stokroć bardziej wino smakuje nie nasze,
A my złodzieje lata i słońca złotego!
To nasz zysk, co ukradkiem... gdy ból nie na straży!
Gdy idąc w drogę biodra sakwami opaszę
Pustemi, wiem: nie stracę nic! żadna mi szkoda!
A Bóg wie, co mi w drodze może się nadarzy!
Nam cały świat to jedna cudowna przygoda!



Leopold Staff.

Dom „pod tonącą gwiazdą.“



yłem acz młodym, lecz dojrzałym już przecie człowiekiem, gdy spełniłem nikczemny swój czyn, nie mam tedy wymówki nawet w nierozsądku młodzieńczym! Słuchaj, ty, dręczycielu mój, który-ś spowiedź tę na mnie wymusił, jak się to stało... Tu w Paryżu zetknął mnie traf, czy los, z młodym arystokratą angielskim. Spotkaliśmy się kiedyś w nocy na pustej ulicy, obaj tak zamyśleni, żeśmy, nie widząc jeden drugiego, na siebie wpadli. Oczy nasze spotkały się, i stanęliśmy zdziwieni, przyglądając się sobie nawzajem. Czytaliśmy myśli jeden drugiego jak w księdze otwartej. Nie mogę objaśnić w krótkich słowach tak, abyś mnie pan zrozumiał, jakim sposobem poznałem, że młody ów człowiek był z tych, których

istnienie zawsze przeczuwałem, nawpół zresztą w nie wierząc. Bądź co bądź, byłem w oka mgnieniu pewny, że to adept wiedzy tajemnej! A on? Poznał zapewne, mocą wyższej swej wiedzy i doświadczenia, a więc w niepojęty mi sposób, że ma przed sobą jednego z tych, którzy marzą, aby zostać wtajemniczonymi! Może się to panu wyda bajką lub majaczeniem, jak ogromnej większości ludzi, ale to jest prawda najszczersza. Patrzyliśmy tedy na siebie, aż Anglik zdecydował się pierwszy. Wyjął spokojnie papierosa z torebki i poprosił mię grzecznie o ogień. W ten sposób zaczęliśmy rozmowę. Zaszliśmy potem do poblizkiej kawiarni, jak gdybyśmy obaj przypadkiem tam właśnie zmierzali, i tam powiedział mi Anglik w toku rozmowy, że szuka człowieka bardzo pewnego, któryby zgodził się do Anglii z nim pojechać, w cichym, odludnym jego zamku z nim zamieszkać i — krótko mówiąc, miałem wrażenie, że proponuje mi jakieś niewyraźne stanowisko w swym domu, coś pośredniego między sekretarzem i kamerdynerem... Ciemny rumieniec oblał mi twarz. Byłem wówczas zupełnie bez zajęcia, w nędzy ostatecznej prawie, i powiedziałem mu to w ciągu rozmowy, — ale służyć za lokaja, to mi nigdy na myśl nie przyszło, i pierwszym mym odruchem było tedy uczucie wstydu i niechęci. Jakże mógł był w ten sposób mnie zrozumieć? On wszakże patrzał na mnie surowo i badawczo. Przebiegła mi przez głowę myśl, że to jest jakaś próba. Chciał mnie zapewne poznać bliżej, przekonać się, czy jestem godny i zdolny stać się wogóle kiedykolwiek sam adeptem. Pokora i abnegacya należały do pierwszych wymagań od „uczniów,“ to wiedziałem, i bez nich niepodobna było osiągnąć nawet pierwszego stopnia. Choć tedy uczucie burzyło się we mnie i buntowało, przyjąłem. Odjechaliśmy do Anglii.

Rojko umilkł. Potem, ocierając czoło potem okryte

i trzęsąc się całem ciałem, dodał z wysiłkiem: — Tam ujrzałem ją... jego siostrę... Edytę.

Zakrył sobie oczy rękoma i westchnął głęboko; po dłuższej chwili zaczął opowiadać dalej:

— Zatrzymałem się w Londynie przez kilka dni, lord Angus odjechał sam na zamek swój, Angus-Manor, w Anglii zachodniej, a ja podążyłem za nim dopiero po załatwieniu w Londynie tego, co mi polecił. Był późny wieczór, gdym powozem (żadnej kolei nie było tam w pobliżu) dojeżdżał do zamku. Noc była czarodziejska, cała ukwiecona srebrnemi gwiazdami; ogromny park ciemniał przede mną, kępy olbrzymich drzew stały po łąkach, nad któremi unosiły się białe opary, a w oddali stare, chmurne, potężne zamczysko piętrzyło się ku niebu. Ze wszystkich jego okien lały się olśniewające potoki światła. Jakieś tchnienie baśni wionęło z całego tego obrazu. Lord Angus, żyjący zawsze w zupełnem prawie odosobnieniu, obchodził, z obowiązku poniekąd, rodzinną jakąś pamiątkę i sprosił całe sąsiedztwo arystokratyczne. Dowiedziałem się o tem, dojechawszy do zamku. Przywiozłem z Londynu dla lorda Angusa stare rękopisy etyopskie i, stosownie do jego życzenia, poniosłem je zaraz do jego biblioteki, dokąd służba wskazała mi drogę. Biblioteka była, jak cały zamek, oświetlona, i rozglądałem się z zajęciem po wielkiej sali, z prawdziwie artystycznym przyozdobionej smakiem. Wisiało tam kilka starych, znakomitych, prawdopodobnie rodzinnych portretów, pędzla Reynoldsa, jak mi się przynajmniej ze stylu wydawało. Jeden z nich, na pierwszy rzut oka, raził mię jak piorunem zdumiewającą swą pięknością. Była to dama w białej sukni i klejnotach ze szmaragdów, opalów i dyamentów. Drogocenne ozdoby te lśniły na jasno kasztanowatych włosach, na pięknych ramionach, na cudnych piersiach. Oczy miała zielonawe, marzące, a brwi ciemne, z niezrównaną wy-

kreślone delikatnością. Byłem drogą bardzo zmęczony i siadłem w wielkim, wygodnym fotelu, w którym zanurzyłem się prawie. Oczy moje tkwiły jeszcze na portrecie, gdy posłyszałem lekkie kroki. Spojrzałem w stronę, zkąd się zbliżały, i osłupiałem wprost ze zdumienia! Dama, którą zachwycałem się na starym obrazie, wchodziła żywa do biblioteki! Miała na sobie koronkową suknię, o ton tylko cieplejszą niż na portrecie, miała te same szmaragdowe klejnoty na jasno kasztanowatych, złotemi promieniami przesianych włosach, miała te same zielonawe, marzące, czarodziejskie oczy, a nad niemi te same, ciemne, niewysłownie pięknie przez naturę zarysowane brwi! Twarz jej wszakże nie była tak radośnie uśmiechnięta jak na obrazie. Wzburzenie jakieś mąciło jej wyraz, a z wilgotnych oczu wyzierał smutek bolesny. Wsparła głowę przez chwilę o gzems wysokiego kominka, jak gdyby chcąc ochłodzić czoło o zimny marmur, ale wnet obejrzała się żywo, usłyszawszy kroki za sobą. Młody mężczyzna, piękny, wysoki, świetny, wszedł do biblioteki. Pobiegła na jego spotkanie. Śmiały wzrok jego pochłaniał wzruszającą w tym bólu piękność; przyciągnął ją do siebie i przycisnął do serca. Usta jego muskały włos jej złotawy. Nie poruszyła się. W mem wszakże sercu ozwało się coś jakby wściekłość szalona; byłbym zdusił tego człowieka. Ale siedziałem nieruchomo w swym fotelu, pogrzebany w głębokim cieniu, siedziałem tam jak skamieniały, niewidzialny kochankom świadek. Dama odchyliła po chwili głowę od piersi mężczyzny i uwolniła się z jego objęć.

— Edyto, — rzekł cicho, — wezwałaś mię tutaj, co chcesz mi powiedzieć?

— Cóż innego, jak to, o czem wiesz dawno, — odpowiedziała, — że cię kocham. Mówię ci to dziś znowu, bo żegnam się tutaj z tobą. Pożegnanie w obecności ty-

lu świadków, tam, na pokojach, a zwłaszcza w obecności mojego brata będzie tak zimne, tak urzędowe! Byłoby mi to nazbyt, nazbyt bolesnem, gdybym się z tobą tutaj bez świadków pożegnać nie mogła, tutaj, gdzie nie jestem zmuszona kryć łzy, powstrzymać westchnienia i ważyć słowo każde!

Sama rzuciła mu się teraz na piersi i zaszlochała. On starał się uspokoić ją wszelkiemi sposobami. Chwilę bez słów trzymali się w objęciu. Potem, gdy w pobliżu ozwał się jakiś szelest, puścili się spłoszeni.

— Jedź z Bogiem! — rzekła, — a napisz mi prędko i prędko wracaj. Pożegnajmy się tutaj. Nie wrócę już do towarzystwa, zamknę się u siebie w pokoju, udając znużenie i chorobę. Nie chcę, po tem pożegnaniu, widzieć cię tam pośród tych obcych... Nie zdołałabym zapanować nad sobą!

Pocałowała go jeszcze raz, poczem rzekła słabo: „Odejdź już!“ i padła na krzesło. Całował jej ręce, klęczał przed nią i dotknął czołem ziemi u jej stóp. Potem powstał szybko i odszedł. Pragnąłem usunąć się także, ale nie było sposobu. Edyta obejrzała się dokoła, jak gdyby ze snu się budząc. Wstała nareszcie, ale zwróciła się ku drzwiom, w pobliżu których stał mój fotel. Gdy była o dwa kroki od niego, spostrzegła mnie. Zatrzymała się jak piorunem rażona. Oczy zabłysły jej gniewem.

— Ktokolwiek jesteś, — rzekla, — czyż ci nie wstyd, szpiegu nikczemny?

Od tej chwili kochałem kobietę tę do szaleństwa. Gniew jej zdruzgotał mnie. Wstałem powoli, nie mogłem przemówić zaraz, ale łzy strumieniami lały mi się z oczu; ona patrzała na mnie ze zdumieniem, gniew jej przygasał.

— Nie jestem winien, — rzekłem nareszcie. — Nie jestem żadnym szpiegiem. Traf sprowadził mnie tutaj. Gdyś pani weszła, chciałem odejść. Ale nim powstać zdołałem,

wszedł ów pan. Niepodobna już było odzywać się. Przez delikatność zostałem tedy nadal w ukryciu, spodziewałem się, że wyjdę niezauważony przez nikogo, a przysięgam na swój honor i na wszystko, co mam świętego na świecie, że nikt nigdy, ani pani, ani ktokolwiek inny, nie byłby się dowiedział, żem widział to, co ostatecznie ani hańbą nie jest, ani grzechem, na co mogliby patrzeć aniołowie! Boże mój — pani — wszak pani kochasz, czyżbyś się tego wstydziła!

— Na Boga żywego, nie, — odpowiedziała ze wzruszeniem namiętnem i podała mi rękę. — Powiedziałeś pan słusznie. Ale wiedz pan, teraz, gdyś stał się w tak dziwny sposób mym powiernikiem, wiedz, że okoliczności nakazują mi przez czas jakiś ukrywać swoją miłość, zwłaszcza przed bratem. Jestem zaręczona z innym, acz kocham tego, którego-ś pan widział przed chwilą. Interesa brata mego nazbyt-by ucierpiały, gdybym nagle zerwała dawną umowę. Nie myśl pan wszakże, iż oszukuję tego, z którym krewni mnie zaręczyli. Wie, że go nie kocham, choć nie wie, że kocham innego. Któż wszakże pan jesteś i jak się tu znalazłeś?

Teraz krwawy rumieniec twarz mi oblał.

— Przyjechałem z bratem pani z Francyi, — wyjąkałem, — o ile jesteś pani, jak przypuszczam, siostrą lorda Angusa. Jestem tedy... ach, co pani na to powiesz, że powiernikiem twym stał się mimowoli... sługa brata twojego!

Edyty wszakże, wbrew memu oczekiwaniu, nie przeraziło to bynajmniej.

— Nie jesteś pan wcale jego sługą, — odrzekła zupełnie spokojnie, — mówił mi o panu, i wiem, żeś pan człowiek niezwykły. Wiem, jakie zamiary brat mój ma co do pana, a ponieważ sama wiele z nim pracuję, więc często z panem spotykać się będę. Dziękuję losom, żeś

pan, nie zaś ktokolwiek z tamtych ludzi na pokojach, o tajemnicy mej się dowiedział, jeśli koniecznie już ktoś musiał stać się jej uczestnikiem. Brat mój tedy przyjdzie tu zapewne również za chwilę? Czy wie, żeś pan już przyjechał? Ach, słyszysz pan, oto idzie. Pokaż pan ten rękopis, który przywiozłeś z Londynu.

Pochyliła się nad księgą.

— Bracie! — zawołała, — cóż to za szacowny starożytny rękopis etyopski: „Taamina Mariam,“ mówi o cudach panny Maryi? A cóż za miniatury! A czy masz klucz gwoli odczytaniu tych legend według tradycyi magów?

Mówiła z pośpiechem gorączkowym, ręce jej się trzęsły, zwracała się ku oknu, z poza którego dochodził teraz słaby turkot kół po bruku podwórca. Edyta zbladła. „Odjeżdża!“ szepnęła. Wiedziałem, kogo ma na myśli.

— Usprawiedliw mnie przed gośćmi, — rzekła głośno. — Jestem chora, czuję się bardzo niedobrze — i wyszła szybko z biblioteki. — —

Rojko oddychał ciężko przez chwilę; potem ciągnął dalej:

— Nie o wszystkiem będę panu tak szczegółowo opowiadał, jak o tem pierwszem z nią spotkaniu. Powiedziałem już panu, że pokochałem ją szalenie. Byłem dziko zazdrosny o jej kochanka, ale i miłość i zazdrość ukryłem w sobie głęboko, i Edyta przypuszczała jedynie, że jestem jej bezgranicznie oddany, aż do poświęceń największych. Co do tego nie myliła się zresztą, byłbym dla niej poświęcił wszystko — oprócz swojej miłości. Żyłem tak przez kilka miesięcy na zamku lorda Angusa. Gdyby nie ta namiętność nieszczęsna, lord Angus byłby z pewnością doprowadził mię z czasem aż do wyżyn wiedzy ezoterycznej, na których sam tak wolno oddychał. Był to człowiek, jakich mało zaiste, prawy adept białej magii, i pewien

jestem, że dzisiaj doszedł już do szczytu prawd transcendentnych; miał wszystkie do tego zdolności, i intuicyę, i analizę, i syntezę. Doprowadził mię aż do progu pojęć zasadniczych. Dalej mi się już nie udało! Był to los mój zawsze i we wszystkiem: aż do progu, ale ani kroku dalej! Lord Angus, nie przeczuwając, co mnie wprawiało w roztargnienie, co skupiało koło siebie wszystkie me myśli i uwagę, i widząc tylko, że się co do mnie omylił, przestał zwolna uważać mię za swego ucznia, i w ten sposób jąłem spadać stopniowo do owego w istocie stanowiska, które taki bunt wewnętrzny we mnie budziło i tę resztkę dumy, która jeszcze mi pozostała, głęboko urażało. Byłbym z pewnością uciekł z owego zamku, gdyby mnie miłość ku Edycie nie była zatrzymała.

Edyta obchodziła się ze mną, bez względu na zapatrywania lorda Angusa, poprostu jak siostra! W niej nie znaleźć było jakichkolwiek przesądów. Była to kobieta pełna taktu, delikatności i dobroci. O jej uczoności nie mówię: znała wszystkie języki starożytnego wschodu, posiadała zdumiewające znawstwo wszystkich systemów filozoficznych, wszystkich herezyj chrześciańskich, i żadna z subtelności buddyzmu nie była jej obca. Przy całej tej uczoności, brak jej było tylko syntezy, aby módz stanąć równie wysoko, jak jej brat. O tem wszystkiem wzmiankuję jednak tylko tak mimochodem i tylko dla tego, aby módz na pochwałę jej powiedzieć, że pomimo wszystkich tych badań i olbrzymiej wiedzy nie miała w sobie ani cienia pedanteryi. Najpiękniejszą jej właściwością była niewymowna tkliwość kobieca, a jedynym błędem to, że dawała się porywać wrażeniom chwili, że działała pod wpływem namiętności, bez rozwagi—i to ją zgubiło! — Ukochany jej, lord Dalton, powrócił, wbrew wszelkiemu oczekiwaniu, już w miesiąc po owem pożegnaniu, którego mimowolnym stałem się świadkiem, do Anglii, i teraz do-

wiedziałem się o nim więcej od samej Edyty. Lord Dalton był, według jej zapatrywania, człowiekiem doskonałym, ale miał fatalną jedną namiętność: był graczem. Dla tego to krewni jej, gdy przed laty starał się o jej rękę, stanowczo oparli się temu związkowi. Z powodu tej namiętności miewał z Edytą od czasu do czasu gwałtowne przejścia, które kończyły się zawsze obietnicą z jego strony, że grać już nie będzie, a z jej strony groźbą, że się od niego odwróci, jeżeli przyrzeczenie raz jeszcze zostanie złamane. Mnie wszakże zwierzała się Edyta, że nie opuści go, nawet gdyby nie wyleczył się z tej słabości, że, przeciwnie, przez całe jego życie chciałaby stać mu przy boku jako obrona i ucieczka. „Walczyć będę o każdy krok ze złym jego demonem,“ powiedziała mi razu jednego, „i nie spocznę, póki nie wyrwę go z jego szponów. Dla tego wszakże muszę z nim żyć, połączona na zawsze, nierozłącznie połączona.“

Ciężko mi opisać, jak bardzo cierpiałem, widząc oczy jej płonące takim zapałem na wspomnienie o lordzie Daltonie, słysząc jej ekstatyczne o nim marzenia. Nienawidziłem go śmiertelnie. Taki był tedy mój żywot w Angus-Manor. Po jakimś czasie, lord Angus, dla różnych spraw, zmuszony był przenieść się na dłużej do Londynu, dokąd, naturalnie, towarzyszyła mu siostra. Ja, z urzędu swego, pojechałem z nimi także. Tam Edyta częściej schodziła się z ukochanym; na zamek Angus-Manor przyjeżdżać mógł lord Dalton bardzo rzadko i to zawsze pod jakimś pozorem, nie taił mu bowiem brat Edyty, że odwiedziny jego nie są bynajmniej pożądane. W Londynie za to bywała Edyta wiele w towarzystwach i wszędzie spotykała się ze swym ukochanym, który, dla starożytnego nazwiska, dla czaru własnej osoby, oraz dla świetnych przymiotów towarzyskich, nader był poszukiwany. Ale, niestety dla biednej Edyty, w tem gwarnem, rozbawionem towa-

rzystwie znajdował lord Dalton zbyt wiele sposobności, aby ulegać swemu zgubnemu nałogowi, i nie było tajemnicą, że uczęszczał do cieszących się złą sławą domów gry, gdzie raz już przedtem przepadła wielka część jego majątku dziedzicznego, a teraz druga znowu, jeszcze znaczniejsza. Pewnego wieczora, podczas licznego zgromadzenia w domu lorda Angusa, byłem świadkiem namiętnej sceny między Edytą i lordem Daltonem. Lord Dalton przez cały wieczór był bardzo roztargniony — i Edyta dała mu znak, aby przeszedł do oranżeryi, w tej chwili zupełnie pustej. W salonie śpiewała znana śpiewaczka włoska jakąś brawurową aryę, i można było mieć pewność, że póki śpiewu nie skończy, nikt z salonu się nie oddali. Siedziałem samotnie w oranżeryi, słuchając także śpiewu z daleka, zależne moje bowiem w domu lorda stanowisko nie pozwalało mi wmieszać się w tłum zaproszonych gości. Gdy Edyta weszła niespodzianie, a wnet za nią niepostrzeżenie wśliznął się lord Dalton, chciałem odejść, ale Edyta skinęła mi, abym został.

— Ewerardzie, — rzekła do lorda Daltona, — pan Rojko, którego ci przedstawiam, cieszy się zupełnem mem zaufaniem, i chcę, aby był świadkiem naszej krótkiej rozmowy. Gdyby kto przypadkiem wszedł, lepiej będzie, jeśli nie znajdzie nas samych we dwoje na osobności. Obecność nasza tutaj nie wyda się tak podejrzaną. Słuchaj tedy, co chcę ci powiedzieć.

Lord Dalton chmurnie spojrzał na mnie, nie rzekł wszakże ani słowa.

— Mów, proszę cię, mów, — odpowiedział tylko.

— Ewerardzie, — rzekła Edyta, — posłyszałam rozmowę twoją z kapitanem Aldrichem, tym rozpasanym człowiekiem, którego obecność sama jest mi już tak nieznośna. Wiesz, że muszę go cierpieć tylko dla tego, że jest blizkim mym krewnym. Ty za to znajdujesz upodobanie

w jego towarzystwie, ponieważ — — a więc, ponieważ jest graczem jak ty.

Lord Dalton powstrzymał się z wysiłkiem, ale wzrok spochmurniał mu jeszcze bardziej.

— Jakąż to słyszałaś rozmowę? — spytał nareszcie.

— Słyszałam, jak-eś mu obiecywał, że wyjdziesz za kwandrans. Wiem, co to znaczy — idziecie do domu gry. Słuchaj tedy: zabraniam ci wychodzić od nas. Tak, zabraniam! Niech raz nakoniec wyjaśni się nasz stosunek! Kocham cię, kocham całą duszą, ale cierpliwość ma jest u kresu! Jeżeli pójdziesz z kapitanem, widziałam cię dziś po raz ostatni! Słyszysz? Po raz ostatni! Zerwę bez wahania wszystkie wiążące nas węzły! Nie przestanę cię kochać, ale na całe życie odsunę się od ciebie!

Ciemny rumieniec oblał twarz lorda Daltona.

— Edyto, — wykrzyknął, — tak, tak mówisz do mnie? Wiedz-że, iż żadnych nie przyjmuję rozkazów! Nie kochasz mnie, inaczej nie przyszłoby ci na myśl upokarzać mnie przed sługą najemnym!

Krzyknąłem głucho, cios był straszny. Edyta, zawsze taka pełna delikatności i taktu, w rozdrażnieniu postąpiła nierozsądnie, naraziła mnie na tak ciężką zniewagę, a kochanka swego nieroztropnie pobudziła przeciwko sobie. Byłbym się na niego rzucił w uniesieniu, ale Edyta spojrzała na mnie błagalnie. Śpiewaczka w salonie skończyła śpiewać, rozległy się oklaski i wywoływania, a zaraz potem kilka osób weszło do oranżeryi, oddzielonej od salonu tylko krótkiem przejściem, w którem wisiało kilka znakomitych obrazów, w wyrafinowany sposób niewidzialnemi oświetlonych lampami. Edyta panowała nad sobą zdumiewająco; zdawało się, że swobodnie rozmawia ze mną i z lordem Daltonem o rzadkiej roślinie, dotychczas mało w Europie znanej, której piękny egzemplarz kwitł właśnie w oranżeryi. Nadchodzący goście przyłączyli się

do rozmowy, i po jakiejś chwili oddaliłem się nieznacznie, jak przystało skromnemu memu stanowisku; zauważyłem wszakże, iż lord Dalton odszedł był jeszcze przede mną.

Mniej więcej za godzinę wezwała mię Edyta do swego pokoju. Pozdejmowała już klejnoty, piękne jej włosy były rozczesane, a czoło białą przewiązane chustką. Twarz miała śmiertelnie bladą, i znać było, że cierpi cieleśnie i dusznie.

— Panie, — rzekła głosem słabym i drżącym, — chciej mi pan przebaczyć, że z mego powodu spotkała cię obraza. Ewerard sam tego niewątpliwie żałuje, i przeprosi pana, jak tylko się nieco uspokoi. Czy przebaczasz mi pan?

Podawała mi cudną swą rękę, którą ucałowałem ze wzruszeniem.

— Jestem znękana śmiertelnie, — mówiła dalej. — Ewerard odszedł z kapitanem. Widzisz pan, że obraża mnie jeszcze głębiej, niż pana obraził. Nie wygląda-ż to, jak gdyby chciał rzec po mej groźbie, że nie dba, czy potargam wszystkie wiążące nas ogniwa?

Otarła łzy, które płynęły jej z oczu.

— Postąpiłam nieroztropnie, — ciągnęła dalej. — Ale naprawię swój błąd. Czy chcesz mi pan ogromną wyrządzić przysługę?

— Każdą, nie pytam jaką! — zawołałem.

— A więc... nie zwracaj pan uwagi na to, co zaszło między panem i lordem Daltonem. Wznieś się ponad zwykły, ludzki sposób widzenia. Wiesz, co o tobie myślę, a to, o co teraz chcę prosić, jest nowym, wielkim, największym dowodem, jak głęboko pana poważam i szacuję.

Wyjęła list z szufladki sekretarzyka i podała mi go.

— Idź pan, — rzekła, — idź i oddaj Ewerardowi sam do rąk własnych ten mój list. Nie jesteś pan tylko posłem, jesteś mym powiernikiem — list jest otwarty, nieza-

pieczętowany, i pozwalam panu przeczytać go. Nie, więcej niż pozwalam, — p r o s z ę pana, abyś go przeczytał. Ale nie tutaj u mnie, w drodze dopiero, i nie mów mi pan ani słowa, co sądzisz o jego treści. Gdy pan list oddasz, wracaj do domu, ale nie przychodź już do mego pokoju. Położę się za chwilę, tak się czuję niedobrze. Jeżeli Ewerard da jaki list od siebie, przyślij mi go pan przez moją pannę służącą, która oczekiwać będzie w prowadzącym tu korytarzu. Gdyby wszakże — czemu uwierzyć nie mogę — Ewerard nie dał panu żadnego listu w odpowiedzi na mój, — w takim razie oddaj pan pannie służącej tę oto gardenię, którą przez cały wieczór we włosach miałam, a która była jego darem. Będę wiedziała, co to oznacza.

Podała mi znowu rękę — i wyszedłem z pokoju znękany, wzburzony, rozbolały. Kochałem ją do szaleństwa — i musiałem milczeć! Kochałem ją bardziej niż duszę swoją, niż życie swe, niż wszystko na świecie, bardziej niż człowiek wierzący — zbawienie własne, — i byłem posłem miłości jej do innego, niegodnego jej łez, jej westchnień, jej cierpienia. Myślałem, że oszaleję — — oh, toć byłem już więcej niż nawpół szalony! — — To snadź jedynem może być usprawiedliwieniem wszystkiego, co dalej się stało...

Pośpieszyłem do niego, a po drodze, pod latarnią, przy migotliwych blaskach płomyka gazowego, przeczytałem jej list.

„Mój przyjacielu," pisała mu, „zawiniłam i proszę, abyś mi wybaczył. Zważ, iż stało się to ze zbytniej troski o twe zbawienie. Nie powinnam była rozkazywać i grozić, trzeba mi było prosić cię — i uprosić. Czynię to teraz. Przebacz mi i wysłuchaj mej propozycyi. Dowiodę ci bezgranicznej miłości swej, poświęcając ci wszystko, wszystko, i swoje dobre imię, i swego brata. Ucieknę

z tobą, jeśli chcesz, jeszcze dzisiejszej nocy. Zamiast grać, śpiesz tedy do mnie. Ale nie, to przecież niepodobna, wiem, że będziesz musiał porobić pewne przygotowania. Napisz mi zatem kilka słów, to tylko: „Nie idę do domu gry, robię przygotowania do naszej ucieczki.“ Jutro rano wyszłabym, nie zwracając niczyjej uwagi. Czekaj z powozem na rogu naszej ulicy. Napisz mi więc kilka tych słów, zwłaszcza to: „nie idę do domu gry,“ a jutro będziem szczęśliwi.“

Doczytawszy te słowa, omdlałem. Padłem przed jego domem. Myśleli, żem pijany i śmieli się. Opamiętałem się wszakże szybko. Zacząłem rozmyślać. Co miałem robić? Nie można było dopuścić, aby doprowadziła zamiar swój do skutku, nietylko dla tego, że serce moje pękało (cóż to mogło obchodzić i ją i kogo innego?), ale dla tego, że w ten sposób szła na zagubę.

— List ten, — rzekłem sobie, — nigdy do rąk jego się nie dostanie!

Ale cóż-em miał począć? Jakież miałem prawo powrócić i rzec jej, że się nie zgadzam na to, co zamierza uczynić? Kim-że byłem? Sługą jej brata! Rwałem sobie włosy na głowie i kaleczyłem twarz paznokciami. Wtem zajechał powóz, sługa jakiś wyskoczył i zadzwonił u bramy. Po chwili z domu wyszedł lord Dalton. Był to widocznie powóz najęty, który mu sługa z polecenia jego sprowadził. Nie było żadnej wąpliwości, jechał do owego domu gry najętym powozem; swego własnego już nie miał. List jej był w mojej ręce, pomięty cały, bo palce zaciskały mi się kurczowo. Lord Dalton poznał mnie i gniew błysnął na jego twarzy.

— Czego pan tu szukasz? — zagrzmiał na mnie. — Czy posłała cię na przeszpiegi pani twoja?

Podniosłem rękę z listem, ale zaciśnięte palce wypowiedziały mi posłuszeństwo, i zamknięta ręka opadła bez-

władnie z powrotem. Usta mi drgały i zęby szczękały, gdym mu rzekł: — Nie na wywiady posłała mię pani moja, nie chce wszakże, abyś pan jechał do domu gry... — więcej wymówić nie zdołałem.

— To wszystko? — spytał i zaśmiał się, poczem, odsunąwszy mię na bok, poszedł ku powozowi. Trzymając już nogę na stopniu, odwrócił się jeszcze ku mnie.

— Co mam jej powiedzieć? — wyjąkałem.

— Że nie przyjmuję rozkazów, — odrzekł chmurnie,— że jestem panem swej woli.

Powóz zaturkotał po bruku, i zrobiło mi się jakby lżej na sercu. Była uratowana! Dzika radość zawichrzyła mi w piersi. Pośpieszyłem do domu.

— Jutro wszystko jej wytłómaczę, — rzekłem do siebie, ujrzawszy na korytarzu pannę służącą, i jak przez sen podałem jej ową — teraz już uwiędłą — białą gardenię.

Gdym się wszakże znalazł w swoim pokoju, ogarnął mnie lęk szalony. Cóż-em to zrobił? Oszukałem ją! Miąłem ten list w ręce, której dotąd otworzyć nie mogłem, tak silnie trzymał kurcz opuchnięte już palce. Nie wiem, jak długo chodziłem po pokoju, płakałem, biłem głową o ściany, tarzałem się po podłodze. Świtało już, gdy wybiegłem z domu. Skierowałem najprostszą drogą do niego. Chciałem mu wyznać wszystko, naprawić swą zdradę. Zadzwoniłem u jego drzwi. Otworzyli mi natychmiast; zdziwiło mię, że jeszcze czuwali, teraz dopiero spostrzegłem się, jaka to niezwykła do odwiedzin godzina. Zapytałem o niego. Był za domem, ale oczekiwali go każdej chwili, a jak zauważyłem z wyrazu twarzy kamerdynera, który mnie znał, oczekiwali z wielkim niepokojem.

— Całą noc był za domem? — spytałem, tak tylko, aby coś powiedzieć; męką mi było milczeć i myśleć o tem, co uczyniłem. — Całą noc był za domem? Poselstwo moje jest tak ważne, pojmujesz pan...

Skinął głową, że pojmuje.

— Był w domu w nocy, — rzekł potem. — Przed świtem wyjechał znowu... Zwierzę się panu, chodzi o pojedynek. Lękam się o niego...

Milczeliśmy obaj czas dłuższy. Był już zupełny ranek, bo na ulicy zaczynał się ruch. We wzburzeniu swem straciłem poczucie czasu. Czekałem może godzinę, może trzy. Wreszcie powóz zatrzymał się przed domem, na schodach dały się słyszeć kroki i kamerdyner pobiegł na spotkanie lorda Daltona. Uradował się wielce, widząc, że pan zdrów i cały, ale lord Dalton blady był i posępny.

— Gotuj wszystko natychmiast do odjazdu, — wykrzyknął, — uciekam z Anglii.

Spostrzegłszy mnie, nie okazał żadnego zdziwienia, tylko boleść wielka wybiła mu się na twarzy.

— Oh, dobry los tu pana sprowadził, — rzekł do mnie, — napiszę list, oddaj go pan Edycie, chciałem powiedzieć, siostrze lorda Angusa.

Siadł i pisał szybko, podczas gdy w obocznym pokoju kamerdyner śpieszne jakieś czynił przygotowania.

— Oto list, — rzekł, skończywszy pisać, — oto list, a oddaj go pan zaraz.

Jak we śnie, zataczając się, wyszedłem z pokoju i powlokłem się ulicami. Nie pamiętałem nawet, żem mu nic nie objaśnił, nic nie naprawił, nic nie wyznał! Patrzałem tylko na jego list. Nie był zapieczętowany, koperta niedbale zalepiona sama się prawie otworzyła — i czytałem: „Edyto, na kolanach cię błagam, odpuść mi! Jestem nędzny, nędzny nieskończenie! O, gdybym był posłuchał twych próśb i rozkazów! Grałem, grałem — ale tego niedość! Podczas gry wszczęła się zwada. W uniesieniu uderzyłem kapitana w twarz. Strzelaliśmy się skutkiem tego, jak tylko rozedniało, — i zastrzeliłem go. Uciekam na jakiś czas do Francyi. Zaklinam cię na Boga żywego, daj mi choć

jednem słówkiem znak, że mnie nie przeklinasz, że wolno mi ufać, że przebaczysz mi z czasem! Przysięgam ci na swój honor, przysięgam ci na zbawienie swej duszy, że nigdy już grać nie będę! Padam przed tobą na kolana! Napisz mi choć jedno jedyne słówko do Paryża pod całem mem nazwiskiem poste restante!"

Nie wiem, jak się dostałem do swojego pokoju, nie wiem, czy-m myślał wogóle, zastanawiał się, walczył ze swem sumieniem, wiem tylko, żem złożył razem listy jego i jej i schował je, że w ten sposób spełniłem zbrodnię czarną, zdradę nędzną, i że ostatnim jestem nikczemnikiem! — —

Rojko nie mógł dalej mówić. Szlochał tak, że zanosił się prawie. Gdy uspokoił się poniekąd, spytałem go: — Nie mógłżeś pan choć z czasem naprawić swego grzechu?

— Nie mogłem i nie chciałem, — odpowiedział. — We dwa dni potem, posłał mnie lord Angus do Szkocyi, i powróciłem na zamek Angus-Manor w miesiąc dopiero. Przyjechałem nazajutrz po weselu Edyty, wyszła za tego, z którym krewni ją zaręczyli. Widziałem ją, ale nie poznałem prawie. Była, w omdlałości swego smutku, może jeszcze piękniejsza niż przedtem, ale to była inna osoba. Zdawało mi się, że już nie żyje. Widziałem ją na wielkim balu, który lord Angus wydał w zamku na jej pożegnanie. Miała znowu na sobie owe szmaragdowe klejnoty swojej prababki, której portret wisiał w bibliotece, widziałem ją taką samą jak wówczas, w pierwszy wieczór, gdym do Angus-Manor przyjechał. Ale teraz była jak bez duszy, i zdało mi się, że ją widzę w trumnie. I to ja byłem jej mordercą... Na drugi dzień wyjechała z małżonkiem swoim dokądś do Niemiec, czy do Włoch, już nie wiem. Ja musiałem położyć się do łóżka — i wzywałem śmierci. W gorączce jeden tylko czułem lęk śmiertelny: że spotka się gdzieś z lordem Daltonem, że wszystko się wyjaśni,

że mię nienawidzieć i przeklinać będzie, że mną wzgardzi! Ale o to trwożyłem się nadaremnie. Z lordem Daltonem Edyta spotkać się już nie mogła. Gdy wyczytał w gazetach, w Paryżu, o jej ślubie — zastrzelił się.

Mróz przebiegł mi po ciele, a oddech zatrzymał się w piersi.

— I pan to przeżyłeś? — zapytałem.

— Przeżyłem więcej, — odpowiedział i zaczął trząść się całem ciałem. Trzymał mnie obu rękoma za ręce i krzyczał prawie do ucha: — Edyta umarła po dwóch latach, chorowała, słabła, konała z żalu powoli! Uciekłem dawno z domu jej brata, kołatałem się, walcząc z nędzą, po Londynie. Usłyszałem przypadkiem o jej chorobie od byłego kamerdynera lorda Daltona. Piechotą doszedłem do zamku Angus-Manor, dowiedziawszy się, że tam umiera, prosiłem na Boga, aby mi dali z nią pomówić. Długo nie chcieli mnie do niej puścić, była już na pograniczu śmierci, w końcu wszakże, na rozpaczliwe błagania, oznajmili jej me pragnienie. Anielsko dobra aż do końca, zadość uczyniła wnet mej prośbie. Czołgałem się na kolanach ku jej łóżku. Wznosiłem do niej ręce jak w modlitwie „Przebaczenia!“ jęczałem, „przebaczenia!“ Nie rozumiała, czego chcę.

— Jestem nędznik! — krzyczałem, gdy mnie z pokoju jako szaleńca wyprowadzić chciano, — jestem nędznik! Zdradziłem cię, pani! Kochałem cię nazbyt — i dla tego zabiłem ciebie i jego! Patrz, patrz, oto dwa listy, które z winy mej, przez zbrodnię mą, nie doszły nigdy jego ani ciebie!

Podałem jej oba te listy. Oczy jej się rozszerzyły, gdy poznała rękę jego i swoją, przeczytała to jego pismo i rumieniec twarz jej przeleciał. Łkanie wydarło jej się z gardła, spojrzała na mnie, jak gdyby chcąc mi coś powiedzieć, a w oczach jej była śmierć!

— Przebaczenia! — było wszystko, co-m zdołał wyjęczeć. Ale Edyta była już w agonii. Nie przemówiła już ani słowa, przycisnęła tylko ten list jego do piersi... No, i tak oto zabiłem i ją! — — —

— Nieszczęśliwy! — krzyknąłem, padając na krzesło w zgrozie niewysłowionej.

— Nie, nie! — zawołał Rojko jakby w szaleństwie, — nie, nie byłem zaraz nieszczęśliwy! Czułem to, o czem panu mówiłem przed chwilą, tę rozkosz popełnionej zbrodni! Dopiero później, dopiero później przyszedł ten lęk i ból niewysłowny! Dopiero wówczas, gdy ten złom skalny na mnie patrzał. Dopiero tam, w tej starej komnacie, gdzie mnie zamknięto szalejącego, gdy ludzie, znalazłszy mię w jakimś epileptycznym ataku na gościńcu koło owego skaliska, miłosiernie ponieśli nędzarza z powrotem pod dach zamku, w którym umarła! Tak, po kilku dniach dopiero, w owym starym sklepionym pokoju, kędy gęste zasłony od stropu spływały, zasłaniając okna, wówczas dopiero, gdy zaczęła mnie prześladować myśl, że je muszę rozsunąć, te zasłony, że kogoś muszę w tym cieniu ich szukać, gdym wiedział wreszcie, k o g o tam szukać muszę, gdym był pewny, że o n a tam stoi, martwa, posiniała, z temi szklanemi oczyma, owieszona starożytnemi temi klejnotami ze szmaragdów i opalów, w których na paradnem łożu przed pogrzebem leżała, z tem groźnem wykrzywieniem śmierci na ustach, gdym wiedział, że tak tam stoi, a za nią miesiąc w pełni dysk biały tworzy, równie blady i martwy jak jej oblicze, a te puste, śniegiem okryte pola szerzą się za nią w sinej, widziadlanej nocy, jasne i głębokie, głębokie jak próżnia i nicość całego świata... wówczas, wówczas dopiero byłem zupełnie nieszczęśliwy!

(Dokończenie nastąpi).

Juliusz Zeyer.



Z „Wysp złotych.“

CZARA.



to czara, Prowansale,
Z bratniej dłoni Katalanów:
Ku wzajemnej spełńmy chwale
Wino złote naszych łanów.

Błogosławiona
Czaro spieniona
Skrą nas ogni twoich wzrusz!
Niech twe strumienie
Budzą natchnienie
I energię silnych dusz.

Starej wolnej tej krainy
Kwiat w nas może ostateczny:
Gdy felibrów znikną syny,
Zginie naród nasz odwieczny.

Błogosławiona
Czaro spieniona — i t. d.

Ludu, który zmartwychwstawa,
Myśmy może kwiat wiośniany:
W nas ojczyzny przyszła sława,
My jej wodze i tarany.

Błogosławiona
Czaro spieniona — i t. d.

Daj nam, daj nadzieję złotą,
Odrodzenia wiosny marę:
Pamięć przyszłych dni z tęsknotą
I niezłomną w jutro wiarę.

Błogosławiona
Czaro spieniona — i t. d.

Daj nam wiedzę niepojętą
Siły Prawdy, Piękna siły:
Daj nam życia rozkosz świętą,
Która z ciemnej drwi mogiły.

Błogosławiona
Czaro spieniona — i t. d.

Daj poezyę — ten blask zorzy:
To, co żyje, pieśni czeka.
Bowiem pieśń — to nektar boży,
Co w boga zmienia człowieka.

Błogosławiona
Czaro spieniona — i t. d.

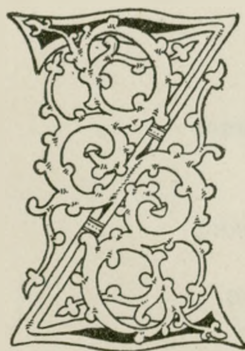
Ku czci ziemi tej kochanej,
Mili nasi sprzymierzeńce,

Wy — nakoniec — Katalany,
Łączcie z nami swoje ręce.

Błogosławiona
Czaro spieniona,
Skrą nas ogni twoich wzrusz!
Niech twe strumienie
Budzą natchnienie
I energię silnych dusz.



KOMUNIA ŚWIĘTYCH.



spuszczonemi wychodzi oczyma
Ze świątyni świętego Trofima —
O godzinie szarzy przedwieczornej,
Kiedy świece gaszono nieszporne.
U wrót — święci wykuci z kamienia,
Błogosławiąc idącą dziewicę,
Od kościoła do domu przedsienia
Słali za nią swe święte źrenice.

Bowiem mądra była, jak niewiele,
Młoda, piękna bardzo, a w kościele
Nikt jej szeptów nie zarzucał grzechu,
Nikt nie widział nigdy jej uśmiechu.
Ale kiedy huczały organy,
Kiedy psalmy śpiewali na chórze:

Czuła, że ją do Raju niebiany
Unosiły na skrzydłach ku górze,

Widząc święci, wykuci z kamienia,
Że ostatnia kościelne sklepienia
Opuszczała i szła poza wrota,
Jak w zaziemiu żyjąca istota:
Więc kamienni święci dobrotliwi,
Ukochali owo dziewczę boże —
I gdy noc się pogodą ożywi,
Rozmawiali o niej skroś przestworze.

— Chciałbym, żeby dziewczę to zostało —
Rzecze święty Jan — mniszeczką białą.
Bo świat — jest to niespokojne morze,
A zaś ciszy ostoja w klasztorze. —
Święty Trofim: — Pewnie, Janie święty,
Lecz mi ona potrzebna w kościele;
Trzeba światła, gdzie mroków odmęty,
A na świecie wzorów jest niewiele. —

Zaś Honorat święty tak im wtrąca:
— Dziś, gdy w nocy błyśnie tarcz miesiąca
Po lagunach i łąkach zieleni,
Zestąpimy, bracia, z tych kamieni...
Bo noc dziś jest Wszystkich Świętych nocą,
Sam Bóg Ojciec święty stół zastawi,
Sam Pan Jezus przyjdzie przed północą
I w Aliscamps świętą mszę odprawi. —

— Bracia! — na to święty Łukasz woła —
Weźmy dziewczę do świętego stoła.
Pójdzie strojna w płaszczyk lazurowy
I w sukience bieluchnej, godowej. —

Rzekli czterej ci święci z kamienia
I jak wicher szybko ulecieli —
I dzieweczki, co szła śród marzenia,
Duszę wzięli — ponieśli — pomknęli!

A nazajutrz, gdy ranna godzina,
Obudziła się ze snu dziewczyna
I o dziwnej uczty prawi cudzie:
— Ja tam we śnie byłam, we śnie, ludzie!
Po powietrzu krążyli anieli,
Stół niebiański woniał w Aliscamps,
Święty Trofim służył do mszy w bieli,
Zaś odprawiał mszę sam Chrystus Pan.

KSIĘŻNICZKA KLEMENCYA.



iegdyś w Prowancyi, w dawne pokolenia,
Był Karol Drugi król, zwany Kulawy,
Gdyż, mówiąc prawdę (błagam pozwolenia),
Idąc, kusztykał w lewy bok to w prawy.
Tak się urodził. Lecz dla jego sławy
Bóg mu dał córę, Klemencyę z imienia,
Cudniejszą stokroć od zorzy promienia.

Drobni w Aix byli nasi królc starzy,
Że tytuł grafa starczyłby im, wnoszę;
Lecz też niewielki ich władzy i straży
Był koszt. Za tanie panowali grosze,
A prości byli, że to baśń potrosze,
I zimą, kiedy wiatr jesiony warzy,
By drzew oszczędzić, z zamku, jak się zdarzy,

Pieszo ci nieraz i bez ceremonii
Wyjdą, by słońca zażyć na ogrodzie.
I wnet gawęda, a Piotr czy Antoni
O żniwach, deszczach gada im, pogodzie:
Tak wiedzą, jak tam dzieje się w narodzie —
I podług kobzy śpiewackiej harmonii
Wspólnem dziedzictwem zarządzali oni.

Małą zaledwie otoczony świtą
Na kamargoskim koniu graf nasz stary
Po Taraskonie, Fréjus — znakomitą
Ciągnął wyprawą: szły groźby i kary,
To znów każdemu umniejszał ciężary,
Niejeden proces przez niego ubito
Starych zwyczajów modłą przyzwoitą.

Ba! wszędzie bywa krzyk, lud ma swe chuci.
Szczęścia ludzkiego nie ważyć na pudy.
Każdemu zda się lepiej, kiedy się odwróci —
A wówczas, jak i dziś, ludzie i ludy,
Byli to chorzy ze szpitalnej budy.
Lecz, gdy na bydło niesforne się rzuci
Wilk — niechaj nikt się z pasterzem nie kłóci.

Czasem Marsylia, Nica, Taraskonie
Na tłuszczu nadmiar skarżą się — i oto,
Setkami łuków uzbroiwszy dłonie:
— Dość więzów! — rykną — precz wreszcie z despotą! —
— Ja wam pokażę — wołał graf, — a co to? —
I jako pasterz karmiciel swe konie
I owce znowu spędzał na wygonie.

Ale choć biedni (czasem kuternogi),
Krolowie nasi mieli córy — kwiecie!

I nigdy wróżki takiej liczby mnogiej
Nie ułowiły serc, jak przez ich siecie.
Klemencya słowem — ta, o której wiecie —
Była promieniem słonecznej śrzeżogi:
Taką jutrzenką ozłoćcie mię bogi!

Owóż francuzki królewicz dziedziczny,
Kiedy o pięknej zasłyszał królewnie,
Wnet uczuł miłość ku tej pannie ślicznej,
I nie spał, póki nie wyznał się rzewnie,
Lecz, że jest gburem, to wykazał pewnie,
Choć taki wielki pan i zagraniczny:
Jak to w mej pieśni czytasz historycznej.

Szybka z Paryża idzie ambasada,
Mknie do Prowancyi koleśnie i konno.
Więc uczta. Później sprawa się układa:
Zaś pozyskawszy zgodę obustronną,
Proszą wysłańcy młodą narzeczoną,
Czy z nimi tajnie pomówić nie rada.
Najstarszy zasię taką rzecz powiada.

— Piękna Klemencyo, gwiazdo Południowa, —
W ten sposób chytry starzec rozpoczyna, —
W różanym kwiecie zwykle cierń się chowa.
Taka jest naszej rozmowy przyczyna,
Od której kraśnieć będziesz jak malina.
Lecz, choć rumieniec wywołają słowa,
Niech rzecz tę mądrze rozważy twa głowa.

Wiesz, że twój ojciec — rzec sobie pozwolę —
Idąc, to w prawo to w lewo się kłoni.
Biada! bo jeśli, jak prawi lud w siole,
Blizko upada jabłko od jabłoni,

Dziecko ma obraz swych ojców na skroni,
A toż nie stanie się brzydkie pacholę
Pięknym cesarzem z koroną na czole.

Ha, cóżby na to rzekł Anglik złowrogi,
Gdyby tak dzieci francuzkiej królowej
Były mańkuty, ślepcy, kuternogi...
Więc by mieć pewność, że twój kształt jest zdrowy,
Książę Walezyusz pragnie — bez odmowy —
Abyś się, zanim wejdziesz w jego progi,
Nam odsłoniła od głowy do nogi! —

— Zuchwalec! — krzyknie ta z chmurą u czoła. —
Franczimand! Nie dziw, że do obelg skory.
Lecz, o Prowancyo, niechaj nikt nie woła,
Że twe księżniczki miały dość pokory,
By znosić kłamstwo, iż są jak potwory.
Czekajcie — wracam do was — bez szat — goła!
Ty wstydzie, okryj mnie skrzydłem anioła. —

Rzecze — i znika iście błyskawica!
Rozwiąże sznury — zdziera szaty zgrabne —
Opada atłas — damaszek — spódnica,
Do nóg jej suknie spływają jedwabne,
I tylko biele zostają powabne:
Tak — w łoże ślubne — przy blasku księżyca —
W ramiona męża wstępuje dziewica.

Cudna Klemencyo! widok twój rozczula!
Idzie — cieniuchną opięta tkaniną,
Biała ją kryje przezrocza koszula,
Pod którą, niby poza pajęczyną,
Od stóp do głowy jej wdzięki się winą...

Wzrok gorejący posłów aż się stula,
Rzekłbyś — pożera narzeczoną króla.

— Gdy z pączków sądzić, powiem ci w zapale,
Miłości cudne zapowiadasz żniwo...
Królewski kąsek. Piękna-ś doskonale! —
Rzecze jej starszy poseł z głową siwą, —
Bez skazy — od stóp do głów — jako żywo.
Skarb to dla króla naszego, ku chwale
Całej francuzkiej naszej ziemi—ale

Czyń, czego żąda od nas narzeczony,
Aby już żadnych nie miał niepokoi,
Niech nam bez chmury żadnej i osłony
Błyśnie ta gwiazda, która wzrok nam dwoi,
Gdyż to w kontrakcie zastrzeżone stoi,
A bacz, że wskutek prośby wyłożonej
On ofiaruje tobie dar — korony! —

Wtedy — z królewskim czarem, o bogowie!
Bez najmniejszego namysłu — wraz — śmiało —
Falą wijące się złotą po głowie
Włosy odrzuca — i tkaninę białą
Zdziera i woła: — Żem była tak małą
I że dla jednej koszuli, posłowie,
Straciłam Francyi tron — niech nikt nie powie! —

W przestrzeń upada tkanina pajęcza
I Arlezyjska Wenus się ukaże,
Jako na szczycie góry jasna tęcza —
A zatopiony w tych czarów jej czarze
Każdyby pragnął jak król mieć ją w darze.
Lecz miłość — piękność, do licha, udręcza!
Jednego łamie, drugiego uwieńcza.

Cny Nostradamus pisze w swym kanonie,
Że lud Prowancyi w dłonie klasnął cały —
I my tak samo przyklaśniemy w dłonie
Tej bohaterskiej Klemencyi wspaniałej,
Bo zła nie czyni, kogo zło nie nęci,
A Walezyuszów ród w Franków koronie
Zakwitł w słonecznem piękna tego łonie.

ROMANIN.

I.



dzierałem się po żwirach na szczyt góry. Z dali
Dochodziły odgłosy motyk kilku drwali,
Co uderzają w głazy, wyrębując kępy,
Wzrastające nad szczerków suchemi ostępy.
Szedłem niby w marzeniu, aż ci w jednej chwili
Ujrzę ponury profil rozdartych Alpilli.
Piargi pod memi nogi staczały się dołem —
Wdzierałem się, aż w końcu przed zamkiem stanąłem,
Wsławionym, opuszczonym zamkiem Romanina!..
O chwało! Uczty dawne! O piękno!.. Ruina...
U szczytu nad przepaścią zwisły dwór miłosny — —
Wszystko znikło — umarło... I tylko żałosny
Żwir ciągle w dół opada. Zasię bluszcz prastary,
Jakgdyby dawny sługa, co dochował wiary,
Broni sam, ile może, od wichru i burzy
I od ręki człowieka — piękności tych wzgórzy.
W niziny schylił czoło stary zamek dumny,
W podziemne kurytarze runęły kolumny,
A wieżyce i blanki, niegdyś pełne grozy,
Zdawna się powaliły w zeschnięte wąwozy,

Lecz bukszpan wiecznie młody, lecz trawy zielenie,
Skalny dąb i jałowiec weszły na sklepienie,
Jako władcy, a róża z lutym rozmarynem,
Jak niegdyś, rozlewają woń nad Romaninem,
Słyszę szept. Z rozwartego wszystkich róż kielicha.
Brzmi imię Stefanety, powtarzane z cicha.
Bo pięćset lat wciąż po niej tęskni smutne kwiecie
I czeka jej powrotu, marząc o Fanecie.
Lecz Faneta minęła jak sen wiosny złoty,
A róża Romaninu zdziczała z tęsknoty.

II.

Zbliżał się wieczór. Ostre, milczące urwiska
Długie cienie rzucały na gruzy zamczyska...
— O Faneto, krzyknąłem, o przecudna pani,
Jeśli są, w tajemniczej, gdzie żyjesz, otchłani,
Dusze, którymby łaska pozwoliła Boga
Zejść na ziemię, co niegdyś była im tak droga;
Jeśli to szczęśliwości twojej nie obraża:
Spraw — niechaj się objawią na słowo pieśniarza! —
Zamilkłem: naraz tchnienie jakoweś radosne,
Słodkie, jakgdyby zapach migdałów na wiosnę,
Poruszyło me włosy, musnąwszy dębiny,
I nagle się zachwiały sieroce ruiny.
I musiałem odwrócić poza siebie oczy,
I ujrzę białą postać: głaz był na uboczy,
Służący za piedestał tej boskiej istocie,
A głowa lśniła blaskiem w przezroczystem złocie.
Więc martwy — oniemiały — na kolana padam —
I mdłe wargi poruszam — i słowa nie gadam,
Lecz ona: — Przyjacielu, radość mię kołysze,
Że mowę ukochaną w Romaninie słyszę.
Bo już pięćset lat mija, jak się gorzko smucę,

Że ślady po Wesołej zamarły Nauce.
Próżno codzień wyglądam, smutna kasztelanka,
Czyli nikt tu nie wejdzie — z wieczora czy ranka,
Nie rżą białe rumaki pod mojemi mury,
Nie śpiewają minstrele ani trubadury...
Nic — nic! A na tarasie huczy mi albadą
Wycie wilków lub sępów krakających stado.
Przeto, gdy widzę, w jakiej zapomnienia pleśni
Dziś igrzyska miłosne — i damy — i pieśni:
Pytam, czyli zamarły Prowanckie równiny
Lub czy niemi owładły dzikie Saracyny? —

Ochłonąwszy z mej pierwszej bojaźni szalonej:
— O kwiecie Romaninu, rzekłem jej wzruszony,
Odkąd różane twoje oblicze śmierć mroczy,
Wiele fal od Marsylii do morza się toczy...
Nie niszczy już Prowancyi szabla Saracyna,
Już nam on nie porywa dziewic ani wina.
Jak za dni twoich słońce od Arles do Wancyi
Złociście promienieje nad czołem Prowancyi...
Lecz chłodny wicher powiał od północnej chmury,
A długie zim szeregi uśnieżyły góry —
I Wesołej Nauki pieśń zastygła żywa,
A na drzewach powiędła zuchwała oliwa.
Jednak z oliwy, którą owiały śnieżyska,
Oto nowemi pędy nowa zieleń tryska.
I znów z powiewem bożym, śród ludzi poklasku,
Godowa Pieśń się budzi w odrodzenia blasku. —

III.

I pani Stefaneta na te słowa moje
Wyciągnie nagle przed się białych ramion dwoje
— A stała jako ludzie modlitwie oddani —

I szepcząc, utkwi oczy w niebieskiej otchłani,
A potem: — Pójdźcie, pójdźcie! — woła jaśniejąca.
I oto stary zamek o zachodzie słońca
Powoli się odradzał, a pyszne komnaty
Lśniły od złotej herbów prowanckich rozświaty.
— Sen-że to czy mnie jakieś opętały czary —
Szeptałem — a tu lekko poprzez land moczary
Biegły na jednej nodze błądzące ogniki,
A Faneta wołała: Duchy — nieboszczyki,
Dworzanie — trubadury, rycerze — minstrele,
Wy, coście szałów boskich śpiewali wesele!
I wy, panie i panny wysokiego rodu,
Coście się upajały miłością za młodu, —
Pójdźcie rychło pozdrawiać, dawnych lat pieśniarze,
Ostatni błysk Prowancyi słońca w nowym żarze...
Łącz się z chwałą wczorajszą, o dzisiejsza chwało!

IV.

I idą dusze zmarłych — i płyną nawałą —
Z mroku Czysca i z Raju promiennego goście...
Lecz bieleją wnet, stając na zwodzonym moście,
I — o dziwo! — człowiecze przyjmują postacie,
Już w rycerskim puklerzu, już w dziewiczej szacie!..

Więc sławni kochankowie, królowe na przedzie.
Tu Bertrand z Allamanon Azalais wiedzie;
Piotr z Chateauneuf, na ustach mając nieustanny
Uśmiech, szedł obok cudnej hrabiny Joanny.
A zaś Gui de Cavaillon, stojąc za nim, ramię
Podawał Hugonecie de Sabran, swej damie.
Dalej w ucho Gwilhelma, Orańskiego księcia,
Rambold z Vacqueiras pochwały śpiewał cud-dziewczęcia,
Twoje, o Beatrice z Montferrat! — I ciebie,

Na czyj głos biegli króle w rycerskiej potrzebie,
Bertrandzie de Born; ciebie pani z Porcairarques,
Ciebie, Dulcyo z Moustier i Alix z Meirarques;
Wasze, Blakasie Wielki, Piotrze Vidal, cienie,
Widziałem, jak szły, dumne, pod zamku sklepienie.
I przechodząc mówiła smętna dusz gromada:
— Jasno czy ciemnowłosa ciżba nasza blada,
Pomarłyśmy, lecz żyje Laura z Awinionu,
Bo miłość uchroniła imię jej od zgonu! —
Alix hrabina de Die rzecze: — Dotąd jeszcze
W mogile — snu miłości przejmują mnie dreszcze. —
Blancheflora de Flassan: — Tam na ziemi błoniach
Słodko jest słuchać ptaków śpiewania, gdy w woniach,
Zielony Maj nadchodzi! — A mnich z Isclod'orów
Prawi: — Życie to jeno błahy sen pozorów. —
Piotr Vidal rzekł: — Że jest coś milszego na świecie
Nad Prowancyę, że niczem — jest miłości kwiecie,
O bracia Południowcy — niech kto inny prawi! —
Wszyscy: — Pamiętaj o nas! Bóg cię błogosławi. —

Potem wszystko się we mgle niby sen rozpłynie —
I powoli ze zmrokiem zszedłem ku dolinie.

PRZEŁ. Antoni Lange. Fryderyk Mistral.





Sandro Botticelli: Z rysunków do BOSKIEJ KOMEDYI (Raj, pieśń 13).

Dęby.



kropne to były czasy, kiedy dęby, stare jak dzieje narodu, miane za bogów ongi, waliły się z łomotem przeraźliwym. Mocarze wiekowi puszczy, wysoko dzierżąc głowy, żyli dostojnie, wspaniale.

Wdzięk potęgi i sławy bił od nich łuną jasną. Teraz, wyzuci z życia, legli nizko. Pokonali setne lata i zginęli. — Dęby są jeszcze dziś na świecie, ale nie takie.

Czasy to były okropne! Ziemia drżała od ich upadu, który echami gromu huczał daleko po boru i leciał w podniebia, jakby pragnąc nakłonić słońce do baczności. — Razy pierwsze uderzały nadaremnie: topór spotykał twardziel dębową i odskakiwał.

Śmiało rzec można: żelazo biło o żelazo. —

Las odpowiadał na każdy zamach jękiem, skargą żałośliwą:

— Wrogi chcą zwojować zakon święty naszego żywota.

Zwyczajnie, ktoś musi opłakać zgon na tym padole płaczu.

Siekiera ostra cięła, zrobiła szczerbę, wpijała się coraz głębiej, otwierała żyły przebogate w soki życia, docierała do serca.

Bór teraz już szlochał, łkał, stękał echami głuchemi. Okrzyki rozpaczy bezsilnej dawały się wyraźnie słyszeć:

— Giniemy!

A słońce letnie, jakby rade klęsce, rzucało z niebios uśmiechy pogody jasnej.

— Rzecz dziwna, wszechświat nie współczuje z naszą niedolą!

Cios ostatni przyszedł, dzielnie ugodził i zwalił z nóg olbrzyma władnego, chlubę puszczy. Upad straszny!..

Trzask wrzał przez chwilę naokoło. I trzask przeraźliwy, i zamęt niezmierny, i huk nadzwyczajny, idący zkądś od trzewiów ziemi, od wnętrza gniazda korzeni dębowych.

— Jakto, nawet i wielgo-dęby upadają?

— Upadają, a ziemia trwa, stoi na miejscu! Po dziejach starych nowe idą, a jedne i drugie giną dla pamięci w otchłaniach wieczności.

Trwoga blada na skrzydłach pierzchliwych pomknęła w knieje najgłębsze, zwiastując klęskę życia. Jeleń i odyniec, rażone strachem, gnały pośpiesznie przez puszcze w susach ogromnych. Lis i borsuk zaszyły się w nory. Ptastwo spłoszone zaniechało pieni i pierzchało na wszystkie strony. Motyle sfrunęły z jednych kwiatów na inne. Nawet ślimaki skurczyły się w skorupach. Mrówki drgnęły. Lęk ogarnął całą rzeczpospolitą żywych, o ile kto mniemał, że i jego zdrowie wisi na łyczku. —

Cisza! Dąb już upadł, leży potężny z konarami zdruzgotanemi, świeci rana, przez którą dech życia uchodzi. Jeszcze tak niedawno bystrzył się w górę, spoglądał w niebo, dzielny szumiał pięknie. Teraz leży i kona w milczeniu. —

Boli nas żywych, przeraża widok sędziwego ojca rodów, co przetrwał dziesięćkroć wieki. Legł dzisiaj i już nie powstanie nigdy. On, król boru, przejrzeniec i powołaniec, burzom dawał bitwy, a zginął! Ha, przecież tylko wielcy giną! Malec marny ciągle jest w zaniku, zbliżonym do niebytu. —

Ta myśl nas nie pocieszy, że na świecie nic nie trwa wiecznie, albo — że w przyrodzie wszystko się zmienia, a nic nie ginie. Kto kocha, ten nie słucha nauk z księgi mądrości.

Pokolenie wielkie dębów przepadło na ziemi, uszło

z życia, niby pył drobny porwany wichrem. Gniazdo ich rodu sławnego zmarniało, puszcza - dąbrowa zielona, setki mil długa i szeroka, zniknęła.

— Wieczny odpoczynek!

Wygrzebano z ziemi resztki nieboszczyków przemożnych, strawiono je ogniem.

Dzisiaj łany zbożowe wesoło szumią tu, gdzie czasu onego wielgo - dęby szumiały.

Albowiem te wieki nastały, które wznoszą ołtarz bóstwu użyteczności.

Skowronki wątłe wzlatują nad niwą, wyczynioną z zapustu, gdzie za czasów dawnych orły i sokoły bujały. — Świat zmalał i w swej małości znajduje wdzięki.

Tysiące panów wielmożnych, bohaterów przesławnych żyły niegdyś na świecie.

Dzisiaj lud, miliony chłopstwa czarnego, grzebie w ziemi jak robacy, modli się, wije wieńce sławy nowej. — Pokora, praca cicha na chleb powszedni, ożywiają świat teraźniejszy. — Tamci składali bogini - ziemi objaty z krwi własnej, ci ją czczą i użyźniają trójpotem. — Śmierć stoi na miedzy obu światów i kojarzy przeszłość świetną z przyszłością nieznaną, równa pana z chamem. —

Pełni żalu, tęsknoty, wołamy do grobów głuchych i niemych; uśmiechamy się do kolebki życia z wiarą i nadzieją. Ale uczucia nasze ścigają marę nieobleczoną w ciało rzeczywistości. Bo przyszłość nie będzie taka, o jakiej marzymy; przeszłość była już raz chwilą bieżącą i nie zadowoliła nikogo z żyjących.

Jeden dąb ocalał, pan rodowity, hetman koronny.

Z postaci, z-cery, z szat jego blask dziejowy bije. Cóż, kiedy ten świadek wydarzeń wielowiekowych musi słuchać tylko jęków dzwonu pogrzebowego, upajać się dźwiękami pieśni o sławie minionej. Piastun podań rodowych odwiecznych, czciciel bóstw zapomnianych w świecie, marząc, wpatrzył się w kwiaty barwne i wonne na mogiłach bratnich. Niczem mu czas bieżący, niczem przyszłość, która nie zdoła wskrzesić dnia wczorajszego.

Troska o kawałek chleba biega wkoło z niepokojem, cnoty kłamane wychodzą na harce, wyścigi próżności mają pole szerokie do popisów. On przywdział pancerz dumy i milczy. Czasem tylko dziwnie smutno szumi sobie samemu... Spróchniał i moc sroga robactwa toczy go wewnątrz. Jakże strasznie być prawnukiem nieśmiertelnie sławnych, a czuć w łonie swojem próchno nicości!..

Życie małe, zgiełkliwe drobnoustrojów pulchnieje, tuczy się, przerabia na swą krew zgniliznę wielkiego. Hołota karlików roi się, mnoży z każdą chwilą i w zapobiegliwości skrzętnej wykrzykuje:

— Przyszłość jest nasza!

Synowie i synowie synów wyrośli w cieniu ojca wielgo-dęba starożytnego.

Los nieodwołalnie skazuje ich wszystkich na zagładę, choć są młodzi wiekiem.

— Dźwigacie na barkach brzemię życia przodków wielkich, a wielcy muszą zginąć! Więc ojczycowie i dziedzicowie dąbrowy znikłej wyglądają tak obco w tym świecie nowożytnym, jak gdyby byli cieniami

rodzaju, który już skonał na ziemi. Nuża życia nieluta odsedniła piętna liczne na ich postaciach starożytnych. Ziemia nie chce, czy nie może ich wyżywić i schną u szczytów. Suchoty choroby z wielkości skazują najprzód głowę na zanik. Wiosna uśmiecha się weselem do wszechżycia, a oni marnieją z głodu. Dęby łkają i płaczą na wiosnę. Połowa ich soków odżywczych obraca się w łzy, w cierpienie. A nikt na świecie nie ma współczucia dla tej niedoli. Oj duszno jest olbrzymom wzrastać na niwce wązkiej, nie mieć pod sobą przestrzeni rozległej, niezbędnej dla krzewienia się rodów wielkich! Tłumy głodomorków wyniosły do godności cnoty poprzestawanie na małem, skromność w zaspokajaniu potrzeb. Spoglądają zawistnie na pragnienie namiętne szerokiego używania i mienią je być grzechem.

Kiedy noc nastaje i gwiazdy przechodzą widzialnie w swych biegach po niebie, drużyna pokrewna dębów rozbitków zwierza się szumem uroczystym i zanosi błaganie:

— Żali się gwiazda jaka nie znajdzie, coby udzieliła siły nam niemocnym?..—Niebiosa milczą na to wezwanie dumnych a słabych, przejętych smutkiem i tęsknicą. Cóż im bowiem odpowiedzieć? Może wytykać błędy stare, wypominać grzechy życia z goryczą serca, któremu współczucie i szlachetność są obce?

— Byliście, dzielni, potężni, sławni, dopóki was bogate soki ziemi okarmiały, — dopóki jeden wasz zjadał strawę miliona niebożaków. Przecież ziemia nikomu z pod stóp się nie usuwa i trzeba stać na niej nogą

silną, aby mieć śmiałość wołania do niebios o pomoc. Oto gwiazdy migocą oczyma złośliwemi, nielitościwie drwią z was, przyrosłych jedynie kłocami ciał do matki ziemi! I wy, tacy bezziemni, chcecie posiąść tutaj panowanie? Nie, ziemia zamyka przed wami bogactwa swego łona! Lećcie do nieba, które się naoścież otwiera dla duchów niespojonych wiecznie z swoją ojczyzną ziemską! Dlaczego, samoluby, pogardzacie dniem dzisiejszym, chociaż jaje przyszłości w nim się zalęgło i już drga życiem?

Ha, wam nie lubuje kolej rzeczy nieuchronna, bierzecie to za niespodziankę dziejową! Wiedzcież, że sława, chluba czasów przeszłych, należy wyłącznie do umarłych ziemi, — żyje tylko w bajce podania, w pieśni! Chwała już zwiędła i hymny na cześć jej, by najpiękniejsze, nie zdołają wywołać z grobów życia czynów przebrzmiałych! Mech skromny, który czerpie siły wzrostu z opoki twardej, ma dla chwili życia bieżącego wartość wyższą, niż dzieła uśpione w mogiłach na wieki wieków. Przodkowie wasi wznieśli się niebotycznie, tak wysoko, że prawo ziemi nie pozwala wzrastać wyżej. Choroba straszna wielkości przeszłej pozostała dla was w dziedzictwie i musicie na nią umierać. Pieśni cudne wieszczów rozpieszczają wasze ucho słowy przesadnemi; a pod stopami macie otchłań czarną grobu, co dyszy chciwością, aby was pożreć. Rzeczywistość spokojnie rozsądna natrząsa się z takich bohaterów i obraca was w śmieszność. Życie nowe mknie naprzód, z obojętnością lodową wywraca ołtarze stare i każdem swojem drgnieniem zadaje wam cios śmier-

telny. Gińcie, marzyciele próżni i próżniaczy, pasorzyty ziemi! — —

Niebo wspaniałe nie może tak przemawiać do dębów. Ono z wysoka patrzy i spraw wieczności nie poświęca dla chwili żądnej chleba. Tylko czerń z padołów ziemskich, tłum chwastów, traw i zielska jest zdolny im urągać. Jakaś pokrzywa, rosnąca w cieniu na poziomach, nie słyszy przecież dźwięków pieśni u szczytów korony dębowej. Marna, nie widzi nigdy niebios w pełni blasku, ni ogląda wdzięku, którym skronie dębu pałają na widok słońca!..

Życie kurczy się dzisiaj, maleje, i po upływie wieków nikt już nie zdoła nawet pojąć, że takie dęby żyły kiedyś na świecie. Podanie prastare stanie się może baśnią o dziwolągach dziwacznych, a pieśń sławy z przed dwudziestu wieków nie obudzi zapału w niczyjem sercu. — O nie, nie!..

Tymczasem ostatni z rodu królów stoją dumni, zakochani w życiu starożytnem. Nie zniżą się, nie nagną, nie zamienią w karłów pracy nowej. Łatwiej jest żyć marnie, niż umierać godnie!.. A tu wykrzykują: — „Przyszłość, przyszłość! Wczoraj już zaszło, a jutro świta!“ — I cóż wiecie o przyszłości? Jak możecie kochać zagadkę, której jednego słowa nikt nie zdoła odczytać? Patrzcie, czas uskrzydlony wartko mknie nad głowami dębów starych, pędzi w wieczność po trupach, jak po moście, a nie śmie im rzucić w oczy: — „Umrzecie na wieki!“ Bo widzi z wieku na wiek ich postaci olbrzymie, słyszy szum koron, który razem z nim leci w morze nieskończoności i prze-

mienia się w wieczność. Kto przeżył wieki, ten ma dzieje swoje; a dzieje przedłużają nić życia w dale innych wieków, i przez to istota śmiertelna staje się bogom podobna. Dwa są rodzaje sławy na nizinach ziemskich: rycerska za chrobrość żywota, kupiecka za użyteczność. Pierwsza jest z ducha, z sił jego wiekuistych — z myśli wielkiej, pragnień nieskończonych, uczuć nieprzebranych. Ona jest ogniem twórczym świata, nasieniem wszelkiej wielkości przyszłej, duszą, która odbywa wcielenia nieśmiertelne w życie doczesne. Rodzi się w natchnieniu, dokonywa cudów i uchodzi z padołów pod gwiazdy, zkąd w dźwiękach pieśni zsyła ziemi wiarę, nadzieję i miłość — śpiewa. — Brzęk złota zwiastuje drugą, poczętą i narodzoną w małżeństwie samolubstwa z pychą, próżności z obłudą, chciwości z bezwstydem.

(UŁOMEK Z NIEUKOŃCZONEGO POEMATU.)

Adolf Dygasiński.



Dziecko z wosku.

(AR BUGEL KOAR. *)

Gdyby byli mieszkańcy Treguieru
Zamykali drzwi swego kościoła,
Nie ochrzczono-by w nim dziecka z wosku,
Nie ochrzczono przy świetle księżyca.

Dnia pewnego pytała piastunka,
Tak pytała pana z Penfeunteun:
— Powiedzcie proszę,
Zkąd powracacie? —

---

*) *Luzel F. M.*, Gwerziou Breiz-Izel (Pieśni ludowe dolnej Bretanii.) Lorient 1868/74. T. I. str. 142. (Według przekładu francuskiego.)

— Powracam z wielkiej ulicy,
Kupiłem suknię z modrego atłasu,
Haftowaną srebrnemi sznurami,
Dla mej jedynaczki, dla mej lubej córy. —
— Gdybyście wiedzieli co mnie jest wiadome,
Nigdy-by ona tej sukni nie kładła,
Nigdy!..
I nie widziały-by jej wasze oczy.
Wasza jedynaczka lepi dziecię z wosku,
Żeby was wyprawić na tamten świat z ziemi,
Lepi dziecko z wosku,
Żeby was wyprawić czemprędzej na cmentarz.
Dziewięć je miesięcy nosiła przy sobie,
Dziewięć je miesięcy nosiła na ciele. —

Kiedy stary ojciec usłyszał te słowa,
Czemprędzej biegł do domu:
— Moja córko, daj mi wszystkie klucze,
Niechaj się zawstydzą ludzkie złe języki. —

Jedynaczka na te słowa
Trzy razy padła na ziemię.
Macocha jej wstać pomogła
I tak powiadała do niej:
— Oddaj ojcu wszystkie klucze,
Niechaj się zawstydzą ludzkie złe języki. —
— Klucz od szafy mi zaginął,
Klucz od skrzyni się połamał;
Klucz od skrzyni się połamał,
Innego nie mam klucza. —

Pan z Penfeunteun, mocno rozgniewany,
Chwycił za topór.

Rozbił skrzynię na sztuki,
Wewnątrz było dziecko z wosku skryte.

Było obwinięte w szmatki,
Przy niem w kiesce sto talarów
Dla świętokradzkiego księdza,
Co ochrzcił woskowe dziecię.

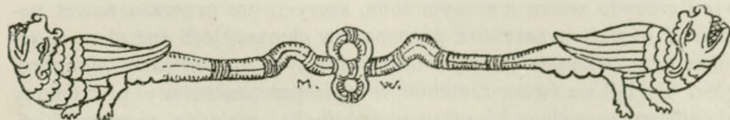
Trzy razy na dzień je myła,
Trzykroć kłuła szpileczkami.
Gdy w nie wbiła szpilkę małą,
Ojciec czuł ukłucie w boku.
Gdy w nie wbiła szpilkę dużą,
Ojciec w sercu czuł ukłucie.
A gdy je nad ogniem grzała,
Ojciec chudł i spadał z ciała...

I powiadał pan z Penfeunteun
Do swej córki niezadługo:
— W niedzielę po wielkiej mszy,
O córko, masz być spalona. —
— Wiem ojcze, będę spalona;
Sama na się drew naniosę.
— Nie, nie będziesz ty drew niosła,
Powiozą ciebie na wozie. —

Dziecię z wosku, jedynaczka,
Kum i kuma razem z niemi,
Wszyscy zostali spaleni
W obliczu wielkiego ludu.

Młody ksiądz został wyklęty,
Głowę jemu odrąbano.
Stary pan z Penfeunteun płakał,
Szarpał z bólu siwe włosy,
Widząc jak mu córka gore,
Jak gorze córka jedyna.

PRZEŁOŻYŁ Edward Porębowicz.



Z psychologii sztuki.

Z bogatego skarbca aforyzmów Nietzschego podajemy cały szereg uwag dotyczących sztuki i twórczości, podajemy oczywiście nie jako katechizm dogmatów i wierzeń dla „współwyznawców,“ czy „towarzyszy,“ nie jako armatę wytoczoną na szaniec, nie jako taran do rozbijania czyichkolwiek zapatrywań i przesądów, lecz jedynie i wyłącznie jako „nuty do myślenia“ dla tych, którzy samodzielnie i dla swego użytku te rzeczy przemyśleć pragną. Dla łakomego samouczka, umiejącego tylko chciwie przyswajać sobie cudze poglądy, znajdzie się tu mało obroku, pedantyczny archiwista ludzkiego ducha, żądający od myśliciela przedewszystkiem systemu, a od jego zapatrywań na sprawy życia i ducha — próby i probierzu tego systemu odejdzie od Nietzschego zawsze rozczarowany. Tem więcej znajdą u niego ci, którzy w książce i cudnych myślach szukają zapłodnienia własnych, chociażby w kierunku najgorętszej opozycyi przeciw swym rodzicielom, którzy znają rozkosz i ból tych wewnętrznych cichych waśni z samym sobą, których nie przeraża nawet paradoks, nawet sprzeczność pozorna czy głębsza, jeśli one niosą w zamian świeży zasiew nowych myśli i nowe rozszerzenie widnokręgów. Pogląd na świat, rzetelnie w sobie przepracowany, przesycony niejednym zawodem i bankructwem ducha, niejedną rozterką i bó-

lem serdecznym, a podtrzymywany zawsze prawdziwym głodem wewnętrznej harmonii, — taki pogląd zdobywa się niełatwo. Kto wie, czy dziś, bardziej niż kiedykolwiek, nie jest on tylko tęsknotą, która, do celu nie wiodąc, pozwala zaledwie, kiedy niekiedy odpocząć znużonemu w cieniu i chłodzie jakiejś wielkiej myśli cudzego geniuszu, co jak ciężka chmura nad nim stanie i, choć piorunami grozi, ożywczego deszczu nie da.

Na jednego z takich wielkich wędrowników i tułaczy samotnych po krętych i ciemnych ścieżkach ludzkiego ducha, na zwiastuna najciemniejszej zmory przyszłości: bezwzględnego nihilizmu wszystkich „lepszych" jednostek; na tego *chorego* człowieka, który tak znienawidził niedołęztwo cierpienia, nieunikniony fałsz i beznadziejną obłudę wszelkiej słabości, wszelkiej miernoty i przeciętności życia, — a tak gorąco, tak namiętnie ukochał wszystko, co jeszcze świeże i niezakłamane, jeszcze zdrowe i bujne, jeszcze dumne i przyszłości pełne;— na tego marzyciela, któremu się zdawało, że „Zarathustrą" odrodzi wyschłe, nihilistyczne dusze dzisiejszych „lepszych," że im niesie mojżeszowe tablice nowego zakonu, zakonu twardego czynu i weselnego tryumfu życia; — na tego poetę, w którego tańcu nawet dyjonizejskim „pęknięcie serca znać;" — na najgłębszego ze wszystkich „dekadentów," — na *Fryderyka Nietzschego* spogląda przeciętny polski samouczek wciąż jeszcze poprzez kurz dziennikarskich rozprawek i poprzez groteskowe cienie najmizerniejszych jego karykatur.

Nie mamy najmniejszego powodu prostować tych sądów, chociażby dla tego, że w tych wszystkich miejscowych admiracyach czy przezwyciężeniach nietzscheanizmu Fryderyk Nietzsche (zarówno duchem, jak i treścią swej nauki) jest całkowicie nieobecny, jako ktoś, co na wezwanie stawić się nie raczył... Nie raczył zaś prawdopodobnie dla tego, że za życia miał dostateczną sposobność do badań nad tem, co jest myślowo rzetelnem i intelektualnie schludnem, wewnętrznie godnem i prawem, a co jest tylko sprytnem... (Pomijamy tu kilka dawniejszych studyów o Nietzschem, bądź co bądź szczerych i poważnych, ale, według nas, niewystarczających, za mało dopuszczających do słowa samego autora, niezawsze szczęśliwych w psychologii indywiduum, a niemal zawsze omotanych nie tą, to inną doktryną.)

Załączone poniżej ustępy zmierzają przedewszystkiem do innego celu, niźli pogłębienie wizerunku ich twórcy, wszakże z drukowanemi w Chimerze „Duszą dostojną" oraz fragmentami z „Zarathustry" dać mogą jaki taki obraz filozofa i poety... Obecnie podajemy — nie fragmenty estetycznego systemu (Nietzsche „systemu" nie

stworzył), nie zarysy filozofii piękna (w tych rzeczach jest Nietzsche najmniej zadowalającym), lecz uwagi psychologa o sztuce i twórczości, uwagi co do następstwa swego luźne, w formie zwarte, aforyzmowe, pozostawiające tyleż miejsca do uwag wtórnych, do konieczności samodzielnego rozwinięcia nieraz tylko szkicowo zanotowanych myśli, ile do najgorętszej opozycyi. Tłómaczowi narzuciło się tu i ówdzie kilka pytań raczej i ubocznych dopisków, niżli komentarzy; niezawsze można je było stłumić, niewszędzie chciało się je skreślać. Tłómacz, który nie potrafi być bezosobowym, zasługuje może na wszelaką naganę, ale w danym wypadku najmniej chyba za to wtrącanie swoich „trzech groszy" do oryginału: wszak tego rodzaju korność w stosunku do cudzych myśli uniemożliwiałaby każde krytyczne studyum o wybitniejszych objawach ludzkiego ducha. Zamierzenia tych dopisków są znacznie skromniejsze: pragną one wywieść czytelnika poza bierność, czyniącą zeń jałowe pole, na którem żadna myśl nie zakiełkuje i nigdy nic nie wyda.



szystko to, czemu instynkt nasz opiera się estetycznie, ustaliły długowieczne doświadczenia ludzkie, jako rzeczy szkodliwe, niebezpieczne, godne nieufności: gwałtownie przemawiający instynkt estetyczny (jak wstręt, np.) zawiera w sobie już pewien sąd. Tym sposobem tkwi poniekąd piękno w ogólnej kategoryi biologicznych wartości pożytku, wpływów dobroczynnych i potęgujących życie: w tem wszakże znaczeniu, że pewna ilość podniet przypominających lub zahaczających bodaj zdala o rzeczy i stany pożądane wzbudza w nas uczucie „piękna," t. j., daje wzmożone poczucie siły. (A więc nietylko rzeczy, lecz i uczucia im towarzyszące, lub ich symbole.)

Tem samem uznajemy piękno i brzydotę za objawy

runkowane, mianowicie stosunkiem do naszych najniższych wartości samozachowawczych. Chcieć budować poza tem pojęcia zasadniczego piękna i brzydoty byłoby bezmyślnem. Piękno oderwane nie egzystuje podobnie jak „dobro“ i „prawda.“ W szczególności idzie tu o warunki samozachowawcze bardzo określonego gatunku człowieka: tak np., człowiek trzody będzie przy zgoła innych rzeczach doświadczał wartościowego uczucia piękna niźli człowiek wyjątkowy. Tak więc, wartości piękna (podobnie jak dobra i prawdy) stwarza „optyka przedniego planu,“ licząca się jedynie z najbliższemi skutkami.

Wszystkie sądy instynktu są krótkowzroczne w stosunku do łańcucha przyczyn; doradzają one tylko, co na razie i przedewszystkiem czynić należy. Rozum jest w istocie swej przyrządem powściągającym natychmiastową reakcyę: wstrzymuje, rozważa, ogarnia łańcuch przyczyn dalej i dłużej.

Oceny piękna i brzydoty są krótkowzroczne *) (mają zawsze rozum przeciwko sobie); lecz jednocześnie w wysokim stopniu przemawiają za sobą, apelując do naszych instynktów, t. j., tam, gdzie nasze „tak“ lub „nie“ pada najszybciej, zanim rozum zdoła przyjść do słowa. Pospolite przytakiwania pięknu budzą i podniecają się wzajemnie: gdy popęd estetyczny staje się czynnym, krystalizuje się wokół pojedyńczego piękna całe mnóstwo innych i zkądinąd pochodzących doskonałości. Przedmiotowym pozostać tu niepodobna, jak nie sposób wykluczyć tej poetyzującej

---

*) Czy nie należałoby tu raczej powiedzieć: pierwsze i bezpośrednie odczucia piękna, „przytakiwania pięknu,“ jak chce dalej Nietzsche? Ocenę uprzedza złożona czynność rozumowa, która może w znacznej mierze oddalić nas od pierwszego wyroku instynktu. Poprzednio zaznaczyliśmy, że w ogólnej filozofii piękna jest Nietzsche najmniej zadowalającym: czy takie pojęcia jak „piękno zasadnicze“ i „zasada piękna,“ odczucie (przytakiwanie pięknu), sąd i ocena nie domagałyby się ścisłych rozgraniczeń? *(Przyp. tłóm.)*.

siły, co swoje wykładniki dołącza i niemi rzecz uzupełnia. (Siła ta jest w rzeczywistości niczem innem, jak sprzężeniem całego szeregu wartościowych ocen piękna.) — Przykład: widok pięknej kobiety...

Tak więc:

1) oceny piękna są krótkowzroczne, ogarniające jedynie najbliższe skutki;

2) przedmiot, który je wywołał, osłaniają czarem, uwarunkowanym asocyacyą różnorodnych ocen piękna, — czarem, który istocie danego przedmiotu jest całkowicie obcym. Rzecz jakąś odczuwać, jako piękną, znaczy z konieczności odczuwać ją fałszywie. — (Dlatego też, mówiąc nawiasowo, małżeństwa z miłości są społecznie najnierozsądniejszym rodzajem małżeństw.)



ztuka działa jako sugestya na mięśnie i zmysły, czynne pierwotnie u naiwnie artystycznego człowieka: przemawia ona zawsze tylko do artystów, zwraca się wyłącznie do tego gatunku ludzi o subtelnej ruchliwości ciała. Pojęcie „laik“ jest w rzeczach sztuki pojęciem chybionem... Głusi nie stanowią, oczywiście, żadnej odmiany dobrze słyszących.

Sztuka działa pobudliwie (tonicznie), wzmaga siłę, zapala ochotę (t. j., poczucie siły), podnieca najsubtelniejsze wspomnienia doznanych upojeń. Jest jakby odrębna pamięć sięgająca wówczas w głąb' po wspomnienia tych stanów, po daleki i lotny świat na poły zapomnianych wrażeń.

Brzydota jako zaprzeczenie sztuki, jako wszystko, co jest wykluczonem z jej dziedziny, jako jej: „Nie!“: — ilekroć

potrąconem bywa chociażby zdaleka zubożenie życia, zanik, niemoc, jałowy zastój i stęchlizna bezwładu, — na to wszystko reaguje człowiek estetyczny swem: „nie!“ Brzydota działa przygnębiająco, jest wyrazem przygnębienia; odbiera siłę, zubaża, dławi. Brzydota sugeruje brzydotę; można to sprawdzić na stanach swego zdrowia: złe poczucie fizyczne wzmaga wyobraźnię w kierunku brzydoty. Myśl czyni wtedy odmienny wybór przedmiotów i zainteresowań. W dziedzinie logiki jest stan blizko spokrewniony z brzydotą: — ociężałość, tępota. Nasuwają się tu i mechaniczne skojarzenia: brzydocie brak wagi, brzydota chroma, brzydota utyka... Biegunowe przeciwieństwo z boską taneczną lekkością...

Stan estetyczny posiada nadmiar środków dla udzielania się, a zarazem krańcową wrażliwość na wszelkiego rodzaju podniety i znaki. Jest on szczytem udzielania się i porozumiewania między ludźmi, źródłem mowy wreszcie. Gdyż wszelka mowa tu się poczyna: zarówno mowa dźwiękowa, jak i mowa gestów oraz spojrzeń. Zjawisko pełniejsze i całkowitsze jest zawsze początkiem: nasze właściwości są wysubtelnione z właściwości pełniejszych. Wszak dziś jeszcze słucha się mięśniami, ba! nieraz czyta się nawet mięśniami.

Każda dojrzała sztuka posiada mnóstwo konwencyj, jako podłoże, — przynajmniej wówczas, gdy jest mową. Konwencya nie jest bynajmniej utrudnieniem, ona jest raczej warunkiem wielkiej sztuki... Każde spotęgowanie życia potęguje zarazem spółudzielającą siłę w człowieku, zarówno jak i moc jego pojętności. Wżywanie się w cudze dusze nie jest początkowo niczem moralnem: „sympatya“ lub to, co zwiemy „altruizmem“, są to tylko wytwory tego psycho-motorycznego spółudzielania, zaliczanego do duchowości *(induction psycho-motrice* według Ch. Féré). — Myśli nie udzielają się nigdy bezpośrednio, tylko ruchy

i mimiczne znaki; odczytujemy je wstecz ku myślom, jakie je wywołały.



ały szereg stanów fizyologicznych, osądzonych pospolicie jako objawy chorobliwe, uważam przeciwnie jako znamiona pełnego i kwitnącego życia. Tymczasem oduczono się jednak mówić o zdrowiu i chorobie jako o przeciwieństwach: rozróżniamy dziś tylko stopniowania zdrowia czy choroby. Co dziś zwie się „zdrowiem,“ przedstawia dla mnie znacznie niższy poziom tego, co wśród korzystniejszych warunków byłoby zdrowem: — jesteśmy dziś wszyscy względnie chorzy... — Artysta należy do silniejszej rasy: co dla nas jest już szkodliwem, co u nas byłoby już chorobą, jest u niego naturą. Przewidujemy łatwy zarzut, że właśnie zubożenie ludzkiej maszyny usposabia do wybujałej wprost zależności od wszelkiego rodzaju sugestyi, jak świadczą o tem nasze histeryczne kobietki.

Jednakże *nadmiar* sił i soków życiowych może tak samo powodować objawy częściowej zależności od halucynacyj zmysłowych i sugestywnego wyrafinowania, jak to czyni zwężenie życia i zubożenie cielesnej natury: podnieta jest tu i tam czem innem uwarunkowana, działanie jest jednakie. Lecz przedewszystkiem *skutek ostateczny* nie jest w obu wypadkach ten sam: całkowity opad wszystkich mdłych natur po ich ekscentrycznościach nerwowych nie ma nic wspólnego ze stanami artysty, który swoich dobrych czasów bynajmniej odpokutowywać nie potrzebuje.

Jest on dość bogatym na to, aby módz być rozrzutnym, nie zubażając samego siebie...

Podobnie jak się dziś tłómaczy „geniusza,“ należałoby może artystyczną siłę sugestywną uważać wogóle za pewną formę newrozy, — nasi artyści są w rzeczywistości zbyt nieraz spokrewnieni z histerycznemi kobietkami!! — Mówi to jednak przeciwko „dziś,“ nie zaś przeciw: „artyście“...

Probierzem stanów wręcz nieartystycznych jest: *przedmiotowość,* zwierciadlana ścisłość w stosunku do życia i jego objawów, bierne zawieszenie woli... (Skandaliczne nieporozumienie Schopenhauera, który uważa sztukę za most ku negacyi życia!) Całkowitem zaprzeczeniem sztuki są wreszcie stany ubożejących i zubożałych w zastoju, opadających i odpadłych od życia: zgoła tych wszystkich, pod których wejrzeniem samo życie cierpi.



tan podniecenia odpowiadający rzeczywistemu *nadmiarowi sił* uwidocznia się najwymowniej w porze tokowania: nowe organy, nowe zdolności, nowe barwy i kształty... Upiększanie jest skutkiem wzmożonej siły, wyrazem zwycięzkiej woli, spotęgowanej zdolności kojarzeń, harmonizowania wszystkich silniejszych pożądań,—jest niechybnie pionowym opadem ciężaru... Logiczne i geometryczne upraszczanie jest skutkiem nagromadzonej siły; i na odwrót, postrzeganie tych uproszczeń budzi i rozszerza poczucie siły. Na szczycie tego rozwoju: wielki styl!

Brzydota znamionuje dekadencyę pewnego typu. Sprzeczności i niedostateczna koordynacya wewnętrznych pożądań wskazuje na brak organizującej siły, mówiąc psychologicznie: „woli.“

Stan ochoty, zwany podnieceniem, jest w wysokim stopniu poczuciem mocy. Zmieniają się wewnętrzne miary czasu i przestrzeni: niezmierne dale bywają wówczas ogarniane i jakby wtedy dopiero uświadamiane; wzrok obejmuje olbrzymie masy i wielkie odległości; następuje wysubtelnienie specyalnego jakby organu dla postrzegania rzeczy i objawów drobnych, a lotnych; potęguje się dywinacya, siła pojętności wobec najlżejszej pomocy, czy podniety z zewnątrz, wobec każdej sugestyi: — jednem słowem zmysłowość „inteligentna.“ Wzbudzona siła przemawia poczuciem władzy w mięśniach, zwinnością, ochotą do ruchu, do tańca, jako lekkość i *presto*; — wreszcie ochotą dowiedzenia siły: jako brawura, awanturniczość, nieustraszoność, dumna obojętność na śmierć czy życie... Wszystkie te szczytowe momenty życia budzą i podniecają się wzajemnie; świat obrazów i wyobrażeń z jednego wystarczy dla wywołania sugestyi drugiego. W ten sposób wrastają w siebie stany, które zkądinąd miałyby poważne powody do unikania wszelkiego spokrewnienia. Naprzykład: ekstaza pobożna i podniecenie płciowe (dwa głębokie stany uczuciowe niejednokrotnie wprost zdumiewająco skojarzone); — okrucieństwo w tragedyi i współczucie (również normalnie skojarzone); wreszcie te uczucia, jakiemi darzy wiosna, taniec, muzyka w czas zalotów, — i owa faustowska „nieskończoność w łonie“...

Artyści, o ile są coś warci, mają i w cielesnem znaczeniu świetne zadatki, jest to zarazem tęgie zwierzę, wybujałe i zmysłowe; — bez pewnej nadwyżki w systemie płciowym trudno wyobrazić sobie nawet Rafaela... Tworzenie muzyki jest również pewnego rodzaju płodzeniem dzie-

ci; powściągliwość pod tym względem jest ekonomią artysty. Bądź co bądź, twórczość ducha kończy się tam, gdzie się zaczyna płodność ciała... Artysta nie powinien rzeczy widzieć, jakiemi one są, lecz pełniej, lecz prościej, lecz silniej! Ku temu zaś powinien mu towarzyszyć w życiu pewien rodzaj nałogowego jakby podniecenia, nieustannej młodości, wiecznej wiosny.



tany warunkujące artystę są bądź co bądź wyjątkowe, z objawami przytem chorobliwemi tak głęboko spowinowacone i zrosłe, że z drugiej strony wydaje się niepodobieństwem być artystą i nie być chorym.

Fizyologiczne stany wyhodowane u artysty niemal do osobowości:

1) *Podniecenie:* spotęgowane poczucie mocy; potrzeba czynienia z rzeczy refleksu własnej pełni i doskonałości.

2) *Nadmierna ostrość* niektórych zmysłów, które są w stanie rozumieć całkowicie odrębną „mowę znaków“ i tworzyć ją dla siebie, (tę samą, która zda się być nieodłączną od niektórych chorób nerwowych); — nadmierna potrzeba udzielania się: chęć wypowiedzenia tego wszystkiego, co umie dawać „znaki“, potrzeba jakby wyzbycia się samego siebie przy pomocy ruchów i gestów, zdolność mówienia o sobie tysiącznemi środkami mowy: stan *wybuchowy.* Stan ten należy sobie wyobrażać jako mus i ślepe parcie do wyzbycia się egzuberancyi wewnętrznego napięcia za pomocą wszelkiego rodzaju pracy mięśniowej i ruchliwości, następnie jako bezwiedną koor-

dynacyę tych ruchów do wewnętrznych zjawisk (obrazów, myśli, pożądań), jako pewnego rodzaju automatyzm całego systemu mięśniowego pod bodźcem z wewnątrz działających potężnych podniet; wreszcie jako niemożność zaniechania reakcyi (przyrząd wstrzymujący został jakgdyby wykluczony.) — Każdemu ruchowi wewnętrznemu towarzyszą zmiany w napięciu naczyniowem, a więc zmiany w zabarwieniu, w temperaturze, w wydzielaniu... Sugestywna siła muzyki, jej *„suggestion mentale."*

3) *Mus naśladowczy.**) Nadmierna pobudliwość, dzięki której każdy dany wzór udziela się zaraźliwie: pewien stan jest według jego „znaków" w lot odgadnięty i przedstawiany... Obraz wynurzający się w świadomości działa natychmiast jako bodziec ruchu na członki; — pewne wykluczenie woli... (Schopenhauer!!), pewna głuchota i ślepota na zewnątrz: obszar dopuszczanych podniet jest mocno ograniczony...

Artystę odróżnia od „laika" (człowieka artystycznie *wrażliwego*) przedewszystkiem to, że gdy ten w *udzielaniu* artystycznego wrażenia dosięga najwyższego stopnia pobudliwości, tamten zdobywa go dopiero przy *odbieraniu* tych wrażeń. W ten sposób przeciwieństwo obu uzdolnień jest nietylko zjawiskiem naturalnem, lecz i pożądanem; każdy z tych stanów ma odwrotną optykę: żądać od artysty, aby ćwiczył się w optyce słuchacza (czytelnika), znaczy wymagać od niego, aby zubożył swą siłę twórczą. Zachodzi tu stosunek obojga płci: nie należy od artysty, który daje i zapładnia, wymagać; aby stał się kobietą, która przyjmuje i poczyna.

Nasza estetyka była dotychczas o tyle babią estetyką, że tylko wrażliwi na sztukę formułowali swe doświad-

---

*) Mowa tu o twórczem, a więc ideowem *naśladowaniu* natury, nie zaś o formalnem *naśladownictwie* jej środków. *(Przyp. tłom.)*

czenia o tem, „co jest piękne.“ W całej filozofii brakuje dotychczas artysty. Jest to, jak widać z powyższego, brak konieczny, gdyż artysta, któryby zaczął siebie rozumieć, wpadłby w nieporozumienie z samym sobą. Nie jego rzeczą jest oglądanie się wstecz po za siebie: on wogóle nie powinien patrzeć lecz dawać. Przynosi to zaszczyt artyście, gdy nie jest zdolnym do krytyki; w przeciwnym razie jest czemś połowicznem, jest „modernistą.“

Ostatnie słowa, wykluczające samokrytycyzm, na którym opiera się nietylko duchowy rozwój, lecz wprost duchowe trwanie, doprowadzają do wniosków zbyt bałamutnych, aby mógły być tu pominięte milczeniem. Artysta, który nie ogląda się poza siebie, ani przedsię nie patrzy, znajdzie się rychło tam, gdzie go mieć pragnie *vox populi*. — Że wspomniana połowiczność nie jest bynajmniej „modernistyczną,“ czyż na to trzeba przytaczać popularne przykłady krytycznych studyów Schillera, wykładów sorbońskich Mickiewicza? Jeśli idzie o analizę własnej twórczości, to chociażby: Poe, tu i ówdzie Dostojewski, wreszcie najgłębszy może psycholog twórczości, wynikającej ztąd wewnętrznej rozterki, oraz rozprzężenia osobowości, taki niemiłosierny analityk swej artystycznej duszy, człowiek tak zgoła nieaktualny i niemodernistyczny, jakim był — Petrarka... Wreszcie po co tu przykłady! W sztuce słowa jednym z najpotężniejszych motorów twórczości jest znajomość ludzkiej duszy, a do tego Sezamu prowadzi tylko stroma i kręta ścieżka samoobserwacyi oraz autoanalizy. Czyżby ona urywać się miała właśnie tam, gdzie się zaczyna najciemniejsza i najgłębsza zagadka? Czyżby duch ludzki miał się zatrzymywać właśnie przed tem tajnem źródłem, z którego sam wytryska i przy którem wiecznie się odmładza?

Porozumiejmy się dobrze! Wszak tu nie może być mowy o świadomem i krytycznem alembikowaniu sztuki w momencie jej tworzenia, gdyż świadomość i krytycyzm *in statu nascendi* jakiegobądź afektu tłumi wprost każde żywsze uderzenie pulsu, wykluczając z góry to pobudzenie, napięcie, podniecenie, które (nietylko według Nietzschego) jest pierwszym i nieodzownym warunkiem wszelkiej sztuki. Tu idzie o analizę dokonywaną *post factum* siłą tych niesłychanie plastycznych wspomnień oraz intuicyjnych odgadnień, jakiemi rozporządza artysta: *o twórcze przedstawienie twórczego sta-*

nu. Jest to *jedyna* ścieżka, po której zbliżyć się można choć trochę do tej tajemnicy. Cokolwiek wiemy o twórczości (a wiemy bardzo niewiele), dowiedzieliśmy się wyłącznie na tej drodze. I jeżeli powyższe fragmenty Nietzschego (mogące pod względem filozoficznym w bardzo wielu miejscach zgoła nie zadowalać i wywoływać najgorętszą opozycyę) jeżeli mają one mimo wszystko tyle przedziwnie głębokich wniknięć w ciemne labirynty twórczości ludzkiego ducha, to dlatego jedynie, że był on twórcą i artystą choć w części uświadomionym.

Sprawy te mogą być w większości wypadków względnie tylko uświadomione, wyłącznie osobnicze, pozbawione wszelkich prób syntezy: mogą być mniej lub więcej jasnem *wyobrażeniem,* jakie ma o sobie artysta.

Jest rzeczą dalszej pracy ludzkiego umysłu stwierdzenie, o ile wspomniane powyżej twórcze przedstawienie twórczości ma wartość ogólną, naukową. I tu dopiero zaczyna się praca filozofa. Jego rzeczą jest dobycie perły intuicyjnej psychologii z mnóstwa przypadkowości artystycznego odtwarzania, wyniesienie jej ponad osobniczość i konkretność, które są niezbędnym żywiołem artysty.

I podobnież: jest rzeczą dalszej pracy ludzkiego umysłu stwierdzenie, o ile te drugie, mniej lub więcej świadome wyobrażenia artysty o sobie są słuszne i ścisłe w stosunku do niego samego. I tu dopiero zaczyna się praca krytyka. Jego rzeczą jest zrozumienie artysty lepiej, niźli on sam siebie rozumieć się zdaje. — —

Nakoniec jedna jeszcze uwaga o charakterze raczej miejscowym. Jest wśród braci artystycznej wielu, z przedziwną apatyą odnoszących się do umysłowej kultury, niebrak i takich, co boją się wprost krytycyzmu i wszelkich pierwiastków intelektualnych, jako stojących na drugim, wrogim twórczości, biegunie. Kwestyonowane tu słowa Nietzschego przychodzą więc w porę dla niejednego, jako niespodziana pomoc filozofii dla rodzimej gnuśności.

Problem artystycznego uświadomienia, samokrytycyzmu, intelektualizmu, jednem słowem, kulturalnego *podłoża* twórczości, sprowadzałby się w najlepszym razie do dwóch krańcowych alternatyw: albo całkowite kulturalne dziewictwo, naiwność słoneczna, z ziemią bezpośrednio zrosła, w jej szepty zasłuchana, na zorze własnej ziemi tylko wrażliwa, naiwność prapastusza: boże ucho i prorocze usta, — albo...

Ale czy możliwą jest dzisiaj bezpośredniość i naiwność taka? w gęstej atmosferze ludzkiej współczesnych stolic? w obcowaniu z „inteligencyą“ miejską, gdzie każda panienka i każdy kelner stara-

ją się dawać przedewszystkiem inteligentnie? w dzisiejszych czasach dziennikarstwa? w epoce samokształcenia się — uchem?.. Czy to, co dziś uchodzi za kulturalną dziewiczość, nie jest pospolitem półdziewictwem, truchlejącem na myśl o brzemienności? czy to, co ma dziś walor naiwności słonecznej, nie jest mniej lub więcej jawną, mniej lub więcej sprytną pozą płytkości? Czy szczyt tych wszystkich wartościowań, owo wyrzeczenie „boża iskra" nie zostało beznadziejnie ośmieszone tem właśnie, że dopatrywano się jej nieomal wyłącznie w każdej nieuleczalnej banalności? Czy to co uchodzi za „tej ziemi sól", nie jest mniej lub więcej świadomem dopasowywaniem się do tych haseł (politycznych, społecznych czy artystycznych), które mają na dziś zdawkową wartość swojskości? Czy obowiązująca swojskość nie jest najczęściej mdłym i konwencyonalnym sentymentalizmem? Czy naszych zórz i zmierzchów nie przysłoniła nam już ta gęsta atmosfera ludzka, te dymy i wyziewy stołeczne? Czy wszelka sielankowość nie ma dziś na sobie rozpaczliwego piętna roboty i wysiłku? Czy pastusze naiwności nie pachną dziś gadulstwem pijaka, klekotem gęsi lub cynizmem kuglarza? Czy inteligencya miejska nie uważa za prorocze tych właśnie ust, które z największą namiętnością schlebiają jej „ideałom"?

I, tkwiąc w tej atmosferze, artysta nie powinien oglądać się poza siebie, ani naprzód okiem wybiegać, nie powinien być zdolnym do krytycyzmu, nie powinien zgoła uświadamiać sobie duchowych wartości; winien tylko dawać i dawać, kojarząc niewolnie swą żywiołową twórczość z tem pół-dziewictwem cywilizacyjnem, na jakie (w braku wewnętrznej kultury) skazuje go niechybnie współczesna atmosfera duchowa!

Dziwna rzecz: nasz romantyzm, sięgający wyobraźnią poza najdalsze gwiazdy, ten romantyzm osławiany następnie w obronie jakoby rozumu, dał nam umysły nieustępujące najwybitniejszym głowom ówczesnej Europy, gdy tymczasem, od rozumu poczynający i wyklinający marzycielstwo, konsekwentny nasz realizm dał nam, bądź co bądź, znacznie mniej takich umysłów. Jeśli te czasy odsunęły nas tak bardzo od reszty świata, winny temu oczywiście w znaczniejszej mierze zgoła inne czynniki; charakterystycznem jest wszakże, gdzie oba te pokolenia szukały twórczego odrodzenia narodowego ducha. Wielka generacya Mickiewiczów, Słowackich, Krasińskich, Norwidów, Ujejskich w zależności od europejskiej myśli (początkowo nawet pod wpływami obcej twórczości) budowała spiżowe podwaliny naszej w dziejach sztuki odrębności, budowała znacznie głębiej niźli wszelkie etniczne i fol-

klorystyczne, zgoła wszelkie czasowe i cielesne odrębności narodu, bo tam gdzie czuwa bezcielesny geniusz każdej rasy, gdzie jest każdego narodu wieczne bytowanie w duchu. Gdy tymczasem następne pokolenie, bodaj że już z Polem na czele, a z dzisiejszym sielankowym realizmem w ogonie, oscylując ustawicznie koło polskiej wsi wniosło do twórczości najmniej tych właśnie cech „narodowej“ odrębności. Tamci z wiru światowych wypadków, z kosmopolitycznych centrów kultury, odbijając we wrażliwych duszach i szerokich umysłach każdą falę europejskiej umysłowości, zapoczątkowali nowożytne dzieje polskiego ducha; dzisiejsi wysyłają anemiczną twórczość miejską — na letnie pomieszkanie.

Nie jest to dowolne zestawienie wielkich ludzi z małymi, czasów bujnego rozkwitu z koniecznym niemal potem zastojem. Niemniejsze piętno od twórczości wyciskają na epokach jej idee kierownicze, oraz te wytyczne dalszego rozwoju, jakie same one z siebie dobyć potrafią.

Gdzieindziej styl np. jest owocem długiej fermentacyi, całych nawarstwień pracy ludzkiego ducha, wynikiem dziejowej ewolucyi, bezwiednem oddziaływaniem idei twórczych jednych sztuk na drugie, powolnem ich przenikaniem we wszystkie pory życia, opanowywaniem powolnem odrębnego ducha i formy, póki na szczycie rozwoju dana kultura nie wyciśnie na wszystkich objawach, jako pieczęci, swego plastycznego znamienia stylu. — U nas szuka się gotowego stylu na wsi... Gdzieindziej poezya rodzi się i odradza na szczytach duchowości, — naszą odmłodzi swoistość i t. p. Wszak to znamionuje kierunek umysłowości? Jeśli nie w głąb' i nie wzwyż: nie w siebie i ku kulturze, to po konkretne, zgruba namacalne pozory odrębności, — po swojskość. Jest więc ona koniecznem logicznem następstwem hasła naiwnej jedynie twórczości, paliatywem na wyschnięcie realistycznej sztuki w murach miejskich, specyfikiem na ten niemożliwy już stan pół-cywilizacyi, pół-oświaty, pół-dziewictwa duchowego u artystów (mających być koniecznie „naiwnymi“), jest pomocą nagłą i na razie, energicznym środkiem przeczyszczającym na dziennikarską kulturę. Jest ona wreszcie ostatniem słowem realizmu, który zrobiwszy ze sobą rachunek spostrzegł może wreszcie, że przy całym konwencyonalnym i ckliwym patryotyzmie stał na szarym poziomie mieszczańskiej pospolitości ogólno europejskiej, realizmu, co w ostatnim swym wysiłku pragnie zachwycić od dołu (od polskiej wsi) to, co w nieświadomym, rasowym zadatku jest zaledwie surową rudą temperamentu, a co rozwój jednostki czy plemienia osiąga właściwie dopiero na szczytach myśli i twórczości:

odrębne piętno odrębnego ducha narodu... Ta krew ofiarna i często niesławna, wylana na ołtarzach twórczości, na pobojowiskach i zwycięskich szańcach myśli, dziedziczy się nie ciałem, lecz duchem, a więc po długiej i uciążliwej wędrówce poprzez wieki narodowej kultury. Na końcu tej pielgrzymki oczekuje na znużonego niekoniecznie dzban staropolskiego miodu, lecz może inna nieco ambrozya: na krańcu tej drogi znajduje on nie swojskość, lecz ludzkość. Więc na owocach późniejszej pracy odbijać się będzie przedewszystkiem charakter przebytej drogi: jej ciernie i osty, zażyte chłody i przebolane zwątpienia. O sile, napięciu i rozległości tych swojskich cech stanowić będą oczywiście nie gościńce, lecz człowiek, jaki przez nie przeszedł. A to samo rozszerza swojskość cech i charakterów w nieskończoność, jak nieskończonym jest twórczy duch ludzki... Polskim może być nawet kosmopolityzm, ba! — polską może być nawet nienawiść polskości.

Dzisiejsza swojskość, naciągana doktrynersko do każdego wybitniejszego objawu współczesnej twórczości, gotowa stać się niebawem nieznośną tyranią dla myśli. W porę przychodzi jej z pomocą niechęć i uprzedzenie do uświadomienia, krytycyzmu, do „połowiczności modernistycznej.“ — I oto otwiera się szeroki i wygodny gościniec cnoty dla każdego, kto pragnie pozostać „wyłącznie artystą,“ „tylko plastykiem,“ „tylko żywiołowcem,“ fijolkiem w swojskiej kapuście, pierwiosnkiem na rodzimym gnoju, zawsze „z Bożej iskry“, zawsze swojsko-naiwnym, zawsze idyotą.



tany, w których oblekamy rzeczy w taką świetność, pełnię i poezyę, że wreszcie stają się one lustrzanem jakby odbiciem naszej własnej pełni i radości życia: popęd płciowy, podniecenie, uczta, wiosna, zwycięztwo nad wrogiem, szyderstwo, szaleństwo odwagi, okrucieństwo, ekstaza religijnego uczucia. Zwłaszcza popęd płciowy, podniecenie i okrucieństwo: te trzy składniki, stanowiące z dawien dawna odświętny

i weselny szał człowieka, — po dziś dzień przeważają u początkującego „artysty.“

I naodwrót: gdy napotykamy rzeczy i zjawiska posiadające w sobie tą świetność i pełnię, wówczas odpowiada nasza cielesna egzystencya pobudzeniem tych sfer, gdzie owe stany uciechy i ochoty mają swe siedlisko. Połączenie tych, bardzo nieraz subtelnych błogostanów i pożądań jest stanem estetycznym; stan ten nawiedza tylko takie natury, które wogóle są zdolne do tej zwyżkowej, udzielającej się, wybujałej pełni krzepkości cielesnej; tu należy szukać koniecznego *primum mobile.* Trzeźwy, zmęczony, wyczerpany, zasuszony (np. uczony) nie może absolutnie nic otrzymać od sztuki, gdyż brak mu tej podstawowej prasiły artystycznej, niezbędnego nadmiaru wewnętrznego bogactwa: kto nie ma nic do rozdania, nic też nie otrzymuje.

— „*Doskonałość.*“—W powyższych stanach (zwłaszcza w miłości płciowej) przejawia się z całą naiwnością to, co najgłębszy instynkt w człowieku uważa za najwyższe, najbardziej pożądane i wartościowe: mianowicie wywyższenie swego typu; stany te mówią zarówno, do jakiego *status* człowiek bezwiednie zmierza. Jest nim doskonałość: niezwykłe rozszerzenie uczucia mocy, wewnętrznego bogactwa, nadmiaru, koniecznej wybujałości poza wszelkie tamy...

Sztuka przypomina stany animalnego vigoru, jest ona w gruncie rzeczy tylko nadmiarem i wytryskiem kwitnącej cielesności w świat obrazów i pożądań, lub z drugiej strony pobudzeniem animalnych funkcyj przez obrazy i pożądaniem spotęgowanego życia, — wzmożeniem, wywyższeniem poczucia sił; sztuka jest bodźcem życia...

O ile brzydota może posiadać tę potęgę? O ile zwycięzka wola artysty udzieli ponadto coś, co opanowywa rzeczy szpetne i groźne, lub o ile podnieci w nas z lekka

ochotę do okrucieństwa (względnie chęć przyczynienia bólu samemu sobie, pogwałcenia własnej natury, dającą wzamian poczucie mocy nad samym sobą).



ESYMIZM W SZTUCE.—Artysta przywiązuje się z czasem do swych środków, dla nich jedynie, mianowicie do tych środków, przez które przebija stan twórczego podniecenia: do krańcowej subtelności barw, wyrazistości linij, odcieni tonu, dobitności tam, gdzie normalnie brak wszelkiej wyrazistości. Wszystko, co silnie wyodrębnione, a zarazem każdy odcień subtelny, o ile przypominają to nadmierne spotęgowanie sił rodzących twórcze podniecenie, działając wstecz, budzą naodwrót to uczucie podniecenia. *Działanie dzieł sztuki polega na pobudzeniu sztuko-twórczego stanu.*

Naistotniejszem w dziełach sztuki jest ich skończoność bytowa, tworzenie doskonałości i pełni. *) Sztuka jest w istocie swej *potwierdzeniem, błogosławieniem, ubóstwieniem bytu*... Co oznacza sztuka pesymistyczna? Czyż to [nie *contradictio?* Tak jest! Schopenhauer myli się, gdy niektóre działy sztuki oddaje w służbę pesymizmu. Tragedya nie uczy pesymizmu. Przedstawianie rzeczy zagadkowych i groźnych jest samo przez się dowodem

---

*) Skończoność *bytowa,* nie zaś formalna, tworzenie doskonałości i pełni *ideowej,* nie modelowej. Uwaga to bodaj niezbyteczna dla tych, co czytają tylko oczyma i gotowi się wczytać w swe upodobania gospodarskie do rzeczy gładkich, wykończonych, wypolerowanych. *(Przyp. tłom.)*

mocy i świetności artysty: one go nie trwożą... *Niema sztuki pesymistycznej!..* Sztuka potwierdza. Hiob potwierdza. — Ale Zola, ale Goncourt'owie?.. Rzeczy, jakie oni przedstawiają są szpetne, to jednak, że je wogóle stwarzają, jest skutkiem ich upodobania do brzydoty... Daremne też wasze słowa! Oszukujecie samych siebie twierdząc inaczej. — Jakże wyzwalającym jest Dostojewski!



O JEST TRAGICZNEM? Niejednokrotnie dotykałem już wielkiego nieporozumienia Arystotelesa, upatrującego w dwóch przygnębiających stanach uczuciowych: w strachu i współczuciu, składników wrażeń artystycznych tragedyi. Gdyby Arystoteles miał słuszność, należałoby spoglądać na tragedyę jako na sztukę wrogą i niebezpieczną dla życia: należałoby przed nią ostrzegać, jako przed czemś ogólnie osławionem i szkodliwem. Sztuka, zresztą, wielki bodziec życia, upojenie życiem, pożądanie pełni życiowej, stałaby tu w usługach ruchu wstecznego jako służebnica pesymizmu, jako wroga ludzkiemu zdrowiu. (Bo, że przez samo pobudzenie tego rodzaju uczuć i myśli, człowiek oczyszcza się z nich, — jak Arystoteles zda się wierzyć, — to jest poprostu nieprawdą. To, co stale wzbudza trwogę, dezorganizuje, osłabia, odbiera otuchę.) Przypuśćmy, że Schopenhauer ma słuszność, że tragedyę należy wywodzić z rezygnacyi, t. j., z łagodnego wyrzeczenia się szczęścia, nadziei, chęci do życia; — wówczas wytworzoną zostałaby sztuka, która samą siebie znosi. Tragedya oznaczałaby proces rozkładowy: instynkt

życia, niosący w instynkcie sztuki zniszczenie samemu sobie... Tragedya byłaby objawem rozkładu.

Teoryę tą można obalić z najzimniejszą krwią: mianowicie zmierzywszy za pomocą dynamometru działanie emocyi tragicznej. Otrzymujemy rezultat, któremu zaprzeczyć może tylko nałogowe zakłamanie systematyka, mianowicie, że tragedya jest bodźcem sił życiowych (jest *tonicum.)* Jeżeli Schopenhauer rozumieć tego nie chciał, jeżeli ogólną depresyę uważał jako skutek tragedyi, jeżeli grekom (którzy ku jego zgorszeniu bynajmniej rezygnować nie zamierzali) daje do zrozumienia, że dosięgli wyżyn światopoglądu: jest to *parti pris,* logika systemu, podrabianie stempli systematyka, fałszerstwo najgorszego gatunku, które Schopenhauer'owi krok za krokiem psuło całą jego filozofię (jemu, który geniusza, sztukę, moralność, religię pogańską, piękno, poznanie, — zgoła wszystko ujmował fałszywie, nieomal z całym wysiłkiem dowolności).


zyliż trzeba jeszcze dowodu, jak wielką jest przeobrażająca siła podniecenia? Oto miłość jest tym dowodem, wszystko, co zwie się miłością we wszelkich mowach i niemotach świata. Upojenie załatwia się tu z realnością w ten sposób, że w świadomości kochającego gasi rzeczową przyczynę, podsuwając na jej miejsce coś zgoła odmiennego:—nagłe rozblaski i całą świetność wszystkich czarownych zwierciadeł Cyrce... Człowiek i zwierzę nie stanowią tu różnicy; tembardziej ro-

zum, uduchowienie, dobroć, czy prawość. Bywa się zwodzonym subtelnie, gdy się jest subtelnym, oszukiwanym zgruba, trywialnie, gdy się jest trywialnym, jednakże miłość (nawet miłość Boga, miłowanie świętych u „wyzwolonych dusz“) jest w swem źródle zawsze jednem i tem samem: jest gorączką, która ma powody, aby się przeistaczać, szałem upojenia, który dobrze czyni okłamując sam siebie. Gdyż bądź co bądź dobroczynnem jest to okłamywanie się w miłości: człowiek zda się przeistoczonym, silniejszym, bogatszym, doskonalszym; — wówczas faktycznie jest się doskonalszym... Sztuka staje się wtedy organiczną wprost funkcyą, tkwi w tym anielskim instynkcie miłości, jako najpotężniejszy bodziec życia. — Tak więc sztuka jest wzniośle celową nawet wówczas, gdy okłamuje... Na tem nie wyczerpuje się jednak bynajmniej jej siła; sztuka nietylko rodzi ułudy, ona czyni stokroć więcej: sztuka zmienia wartości. Bo nietylko samo poczucie tych wartości jest wówczas odmiennem: kochający jest faktycznie więcej wart, jest silniejszy. U zwierząt wywołuje ten stan w czasie tokowania nowe narządy ochronne, nowe rytmy, nowe dźwięki wabiące, nowe podstępy uwodzeń. I u człowieka nie jest inaczej. — Cała jego wewnętrzna gospodarka staje się bogatszą, potężniejszą, bardziej całkowitą, niźli u niekochającego. Człowiek staje się hojnym rozrzutnikiem, stać go wówczas na to! zdobywa się na odwagę, na szaleństwo, staje się osłem wielkoduszności i naiwnej wiary: wierzy znowu — ponieważ w miłość wierzy. I oto wyrastają temu idyocie skrzydła szczęścia u ramion, nowa sprawność, nowe zdolności stają się jego udziałem, — i nawet wrota sztuki otwierają się przed nim same. Oddzielmy od liryki w dźwięku i słowie tę sugestyę wewnętrznej gorączki, cóż pozostanie z poezyi? co z muzyki? A może *l'art pour l'art*, to wirtuozowskie rechotanie zimnych żab, osadzonych na sucho w wyschłem bagnie. Wszystko, co poza tem jest

sztuką, jest poezyą, tę całą *olbrzymią resztę* stwarza miłość...

To „l'art pour l'art“ — (zostawiamy te słowa umyślnie w ich sztucznem cudzoziemskiem brzmieniu stosownie do najoczywistszych intencyj autora) — ta sztuka dla sztuki użytą tu jest zbyt dwuznacznie i wzbudzać może łatwą pochopność do płytkich wniosków. Gdzieindziej tenże Nietzsche nie pozostawia najmniejszej wątpliwości, że zarówno nie dopuszczał istnienia formy bez treści, jak i egzystencyi tak bulwarowo pojętej sztuki dla sztuki. Walka przeciw celowości w sztuce, — mówi w innem miejscu, — jest zawsze tylko walką przeciw podporządkowaniu sztuki pod wymagania moralności, zaściankowych doktryn, i pod wszelkie strawowe pożytki dnia. *L'art pour l'art* znaczy: niech dyabli porwą waszą moralność!.. „Przypuśćmy jednak, — cytujemy dosłownie, — że wszelkie moralne perory i kaznodziejstwa, wszelkie chęci ulepszenia ludzi zostały wykluczone ze sztuki (faktycznie wykluczonemi one mimo wszystko nie są); czyżby wynikało ztąd, że sztuka jest wogóle bez zamierzeń, bez celu, bez sensu, jednem słowem: *l'art pour l'art*, robakiem, który własny ogon kąsa?..“ Tak chce sąd pospolity, ów łatwy oręż walki z każdym objawem sztuki, który nie schlebia moralności dnia, nie jest strawą i obrokiem na użytek codzienny... „Psycholog jednakże pyta: cóż czyni sztuka? czyż ona nie sławi? nie uświetnia? nie czyni wyboru? nie wyciąga i nie dobywa z głębi? A czy tem wszystkiem nie *potęguje* ona lub nie *osłabia* pewnych wartościowań? I czyż to tylko skutek tej sztuki uboczny? jej przypadek niejako? Czyż instynkt artysty może być od tego odłączonym?.. Czy ten najgłębszy instynkt twórcy, wypowiadający się w sztuce, nie ma swych korzeni w tem co jest sensem sztuki: — *w życiu?..*“ Dodajmy natychmiast: w życiu człowieczem, pełnem, szerokiem, jaknajbardziej uświadomionem: nie w grzybowem wegetowaniu zapleśniałych kątów, z ich plechową ckliwie - słodką wonią utajonej zatęchlizny, z ich nieubłaganą i najstraszniejszą tyranią codzienności i nawyku, pragnącą w swoje ramy wtłoczyć świat cały i nakazać sztuce, aby uświetniała te wyłącznie ideały i wartości, do których wyszkolił się już gnuśny duch, — bo wszystko, co poza tem, jest dla niej fikcyą tylko: wieżą z kości słoniowej, sybarytyzmem, zabawką dla zabawki, próżnością dla próżności, formą bez treści, *l'art pour l'art*, zwyrodnieniem i dekadentyzmem!..

Korzenie najgłębszego instynktu artysty, — powtórzmy to raz jeszcze, — tkwią więc w życiu; nie w owych przemijających a zawsze utylitarnych walorach zapleśniałych kątów, lecz w tem, co jest w życiu najistotniejszem, od miejsca i czasu niezależnem: a więc w tężyźnie i bujności bytowej, a więc we wszystkiem, co jest tak wiekuiście, tak niezmiennie ludzkiem, „tak ogromnie" i tak głęboko człowieczem, że w każdej epoce, miejscu i każdej kulturalnej rasie da się, jeśli nie poznać, to odgadnąć i wyczuć: — we wszystkich nieprzemijających, wiecznych, praludzkich głębiach życia i duszy, — oto gdzie tkwią korzenie sztuki dla sztuki! (Oczywiście, o ile to pojęcie niema być koncepcyą nierzetelną, nielogiczną, upustem cudzej żółci, plwociną ubogich duchem na wszystko, co jest z głębszej myśli i szerszego ducha).

Wirtuozowstwo żab jest zawsze tylko rechotaniem i jedynie dla pół-głuchego wydawać się może harmonijną doskonałością. Trzeba mieć lepsze uszy lub pytać innych. Forma jest zdrajcą dla wątłej treści: choć się czasem jak żaba nadmie, jak żaba wnet zarechocze: należy słuchać uważnie! Forma, której duch nie dźwiga, chroma i kuleje w swych fałdach puszystych, — należy jej na pięty bacznie spoglądać... A gdyby się komu przytrafiło usłyszeć harmonijną doskonałość, niech czuwa, słucha i patrzy: jeżeli jest człowiekiem dobrej woli, może choć raz w życiu poczuje na sobie tchnienie tej przedziwnej mocy, co dla każdej treści jej właściwą i niechybnie jedyną formę proroczo znajduje, tchnienie tej „dobrotliwej" potęgi,

która spornych żywiołów gniew spina łańcuchem,
dna morskiego i nieba sięga swoim duchem.

A jeśli ta harmonijna doskonałość, która jest dla uczuć ludzkich tchnieniem zmartwychwstania, zjadaczy chleba w aniołów już nie przemieni, to wszakże w najbardziej skostniałe serce tak nieraz boleśnie zakołata, tak je pamiątkami młodych uczuć wzburzy, tak je wszystką żałością młodzieńczych tęsknot „dobrotliwie" rozkrwawi, — że dalekie echo rozpaczy przyniesie mu może te słowa Kochanowskiego:

Gdzie teraz ono jabłko i on klejnot drogi?!..

A gdy taki mieć będzie nowy czyn w męskiem zamierzeniu, nowe dzieło w rękach twórczych, nowy objaw ducha w cichem za-

myśleniu, pojmie wówczas, że one w chłodnem sercu zrodzone pod złą wróżbą wczesnej śmierci się poczęły. A wtedy tenże głos łabędzi może po raz drugi otworzy mu duszę prośbą do twórczego ducha miłości:

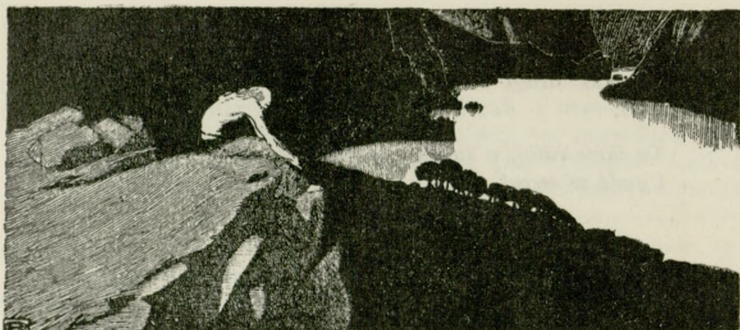
Ty mnie ratuj, a swoją strzałą uzłoconą
Ugodź w serce!..

(*Ciąg dalszy.*)

TŁÓMACZENIE I DOPISKI
Wacława Berenta.

Fryderyk Nietzsche.

Ahaswer.



Oto mię zmroki spowiły w ciszę —
Idzie zaduma z nieznanych zórz.
Na mą bolesną, schyloną głowę
Wali się ciężar przeżytych dni —
A w górze...
A w niezmierzonym błękicie
Jakiś się straszny rozbujał dzwon;
Duszę wytężam i słyszę:
To wieczne skarży się życie.

Otoś mi powstał z wieków pomroki,
Otoś mi powstał wieczny tułaczu.
Przed tobą leci kurzawy słup,
Za tobą w zorzy pali się krzyż.
Od tego krzyża, od tego znaku
Lecisz odziany w kurzawy słup
Po nieskończonym tęsknoty szlaku,
W unicestwienia otwarty grób.

Za tobą w zorzy pali się krzyż,
Tyś się oderwał od jego stóp —
Błędny Ahaswer lecisz przez wieki
W unicestwienia otwarty grób.

Nie zatrzymają cię zacisza chat,
Ani pustynne oazy,
Ani pielgrzymów modlitewny chór,
Ni błogosławne ramiona
Świętego drzewa;
Bo w własnej duszy masz takie zarzewie,
Że go nie zgasi żaden szczęścia zdrój,
Bo masz nad sobą taką gwiazdę błędną,
Co cię promieniem wplątała w swój szlak,
Bo czar twych jezior, smętek szumnych puszcz
I pól twych cisza pod dzwonem niebiosów
Taką ci w duszę wtopiły tęsknotę,
Taki bezbrzeżny żal,
Że już nie spoczniesz, synu człowieczy,
Ale się mgłami otoczysz snów
I gnać je będziesz pustynią ziemi
W unicestwienia grób.

Sto razy wieczny spali cię żar,
Sto razy wstaniesz z popiołu żądz,
I znów cię znęci ułudny czar
Tych samych tęsknot, tych samych żądz.

Myśli znękane rozognisz snem
O kryształowych pałacach,
O cichej śpiącej królewnie,
O seraficznej muzyce harf
Nad szarem niebem niedoli.
Na obolałe członki nędzarza

Wylejesz kubeł cudotwórczej wody,
Która wytryska krynicą
Z opoki wiecznej Nadziei.

A gdy cię złamie udręka
Gdzieś, na samotnych rozstajach,
Gdy cię twa niemoc zatrzyma
W tułaczym biegu,
Wtedy upadniesz złamany
W proch przed znikomym bałwanem,
Który twa ręka szalona
Stawiła w pracy ułudnej,
Aby się ból twój ukorzył
Ofiarnym skłonem,
Aby twa męka zasnęła,
Abyś miał przed czem czołem bić,
Abyś miał przed czem los swój kląć,
Abyś miał przed czem spłonąć żarem
Zdrętwiałej, stygmatycznej wiary,
Abyś mógł w ukochaniu serdecznem
Pogodzić, co jest sprzecznem,
Powiązać, co stargane,
Poświęcić, co kochane.

Życie, ku twym obszarom wyciągam ramiona,
Ku bezbrzeżnym obszarom obiecanej ziemi,
Ku którym wiara szalona
Ściele bajeczne gościńce
Bite słupami złotemi.
O, jak promienną pieszczotą
Miał mię utulić twój przejasny brzeg!
O, któż mi szeptał o świcie
Radosną wieść,
Że kędyś tai się życie

W obsłonach krasy jutrznianej?
Któż mym dziecięcym tęsknotom
Otwierał oczy błękitne
I piąć się kazał przez załomy szczytne
I na zakrętach przystawać i słuchać
Odzewu złocistych trąb?
I cóż wróżyły te światła i cienie,
Któremi chciwie karmił się mój sen,
I świat tych płynnych kształtów, falujących,
Na wpółprzymkniętych oczach malowany,
Marami z tęczy i błękitu ludny,
A cały brzmiący w melodyi przecudnej?

Samotny jestem w świata bezmiarze,
Jakby poza mną nie było nic —
Tylko ma wieczna tęsknica,
Tylko me myśli tułacze,
Gnane w bezsilnej rozterce
Błędnym gościńcem tajemnic.
Nie wiem, gdzie bił mi poczęcia dzwon,
Nie wiem, gdzie życiu dany jest kres;
Lecz wiem, że bytu dyszący prąd
Nigdy już nigdy, nie wróci wstecz,
Ale, przepastnem łożyskiem
Tocząc się w dal,
Roztrąci tamy kamienne,
I wielkiem morzem zahuczy,
I będzie własne fale gnał
W błędnych zawrotach pościgu,
I będzie je ku sobie szczuł,
I będzie grzmiał... i rwał...

Rozfalowało się we mnie to morze,
Co się rozbija o wieczności próg,

Co się kołysze w osadach
Mgławicznych dróg —
Rozfalowało się we mnie to morze.

Wieczności moja, czemżeś ty?
Po twych przepaściach szybuje wzrok
W błędnych koliskach
I zawieszony nad otchłanią
I zapatrzony w głuchy mrok
Zmaga się w walce bezsilnej.
A kiedy wróci z ciemnych dróg,
Już nie poznaje swego słońca,
Ale na świat ten rzuca cień,
W którym radości gaśnie błysk,
A ziemskie rzeczy są odbiciem
Nieodgadnionej tajemnicy,
Jakiemś widmowem, sennem życiem
Rozmigotanem na ciemnościach.
I wtedy dusza pyta siebie,
Gdzie jest tych rzeczy kres i treść,
A coś jej mówi, że to ona
W rzeczach i w sobie utajona
...I wtedy tęskni do siebie.

Wieczności moja, czemżeś ty?
Bezbrzeżnem morzem grzmisz nade mną,
A życia spiżowy dzwon
Nakrył mię ciężką kopułą,
I próżno ranię pierś wrzącą
O niezbłagane obręcze.

Wszystko jest wielką tajemnicą duszy —
Myśl, co się w własnych przegląda głębinach,
Słońc rozpędzonych płonące pożary,

Ziemi rodzącej otworzone łono,
Z którego płynie rzeka stworzeń —
Wszystko pod gwiezdną kopułą —
Pyłek na złotym tańczący promieniu,
Atom ku bratnim ciężący atomom,
Odlotny bocian, co skrzydło złamane
Wlecze po ścierni spustoszałych pól,
Po każdej nocy każdy dzień powrotny,
Każda godzina, co się chyli w grób!..
— Wszystko jest wielką Tajemnicą duszy.

Duszo, ty mówisz językiem z płomieni,
— A jest to nagły zaświatowy błysk —
Gdyby meteor znaczył świetlny smug,
Gdyby się morze rozdarło do dna,
Gdyby się w jednem rozchyleniu powiek
Pomiędzy jawą a snem
Prześlizgnął jakiś wymarzony świat,
Gdyby w przestworzach konająca gwiazda
Wezbrała żarem ostatniego tchu
I całe życie zbiegło się w ten błysk...
— Duszo, ty mówisz językiem z płomieni.

Świętą mi jesteś o, ty, niepojęta,
Na dnie mej duszy śpiąca tajemnico,
Z ust twych dyszących falami wieczności
Płynie ku brzegom ukojenia wiew,
Z ócz twych zamkniętych na światła ulewę
I tylko w własną zapatrzonych treść
— Która jest tobą i w tobie —
Płynie ta święta potęga,
Która na wieki mnie sprzęga
Z tą tajną, z tą niezbadaną treścią
— Która jest tobą i w tobie —

Gdzieś, po za światła ulewą,
Gdzieś, po za planet obrotem,
Po za przestrzeni dławiącym pierścieniem
I po za czasu błędnym kołowrotem,
— Gdzieś po za wszelkiem marzeniem.

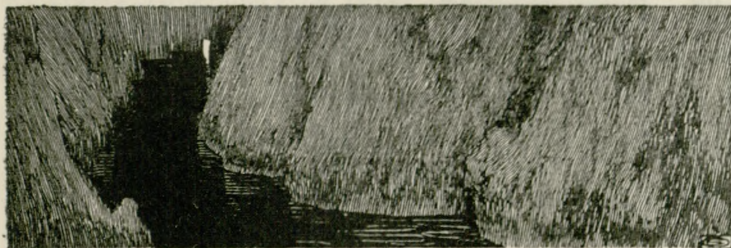
Tęsknię do ciebie — a tak tylko tęskni,
Kogo step kędyś obłąkał daleki,
Gdzieś za ojczyzny porzuconym progiem —
Tęsknię do ciebie i myśli znękane
Jak biały żagiel rozpinam do lotu
W tę nieznajomą drogę,
Zkąd mi dolata twój tajemny wiew,
Który uniesie mię w dal,
Na twe wiecznością przepojone łono,
Abym był tobą i w tobie.

Nad twoją daleką toń,
Nad twój przepastny brzeg
Przyszedłem oczy utopić
— Oczy wiecznego pragnienia.
Stanąłem cichy u brzegu
Z za siódmej przyszedłszy rzeki:
— Tu się dziecinna baśń spełni,
Tu się mój ból ukołysze,
— Tu mój dom.
Z za siódmej przyszedłem rzeki
Nad twoją daleką toń,
Nad uroczysko zaklęte
Szumiących wód.

Tu moje drogi ostatnie,
— Tu mój dom.
Nie pójdę więcej, nie pójdę

Za błędnym życia omamem,
Co na przydrożach się zjawia
Z kuszącą twarzą...
— Tu mam dziedzictwo wieczyste
Kojących łask.

Gwiazd zatopionych tajemnicze runy
Łyskają na mnie z otchłannego dna,
Sny moich tęsknot jawią się widomie
Poprzez ogromy wypiętrzonych wód,
Nie mogę poznać ich twarzy,
Lecz wiem, że są mi obecne,
Że się dziecinna baśń pełni,
Że tu mój dom.



Edward Leszczyński.

WIECZNOŚĆ.

Nastrój — — — — —



mierzch, ciepły, rozlewny zmierzch. Duży, wysoki bezmiernie pokój...

Wszędy natłoczone porcelanowe, wdzięczne figurki pasterek, alchemiczne, straszliwe zaklęcia, dzikie formuły czarnoksięzkie, magiczne trójkąty, stare, o wielkich bronzowych klamrach księgi, wypchane sowy, krzyżackie miecze długie, obosieczne, a ryngrafy pozłociste, nietoperze, zeschłe róże — wspomnienia pierwszych dziecięcych miłości, bezgłose, popsute mandoliny, małe, zielone topielczyki, posępne pułki ołowianych żołnierzy, dyabły, kokotki, długie, wąskie pudełka od rękawiczek kobiecych, klowny ubielone mąką, stare, zgrzytające tabakiery, grające zegary, gorsety, niezgrabne sylwety średniowiecznych potworków z kamienia, monotonne litanie bogów pijanookich, naiwne le-

śne fauny, białe, arystokratycznie smukłe charty, bezpłciowi, zakuci w stal rycerze pobożni, wielkie pąki chryzantem, porcelanowe chińczyki, białe i czarne łabędzie, brudne, zamazane obrazy, wędrowni kramarze, pawie, cyprysy, wierszopisi, okrągłe, pachnące pudełka pudru...

Wśród tego głucha, wiotka postać wąskiego starca, który gra na klawikordzie, starym, żółtym klawikordzie o matowych, zamglonych półtonach — gra jakieś stare, wiolinowe, łzawe bezmiernie, bezmyślne melodye — — — gra wiecznie, nieustannie z nieśmiertelnym, jasnym uśmiechem na białych wargach, w miękkiej zadumie letniego, ciepłego — jak włosy kochanki — wieczoru...

A wielki, dziwaczny tłum wokoło natłoczony słucha wciąż — wytwornie, subtelnie...

WIĘC...



okój — wysoki, wielki... Ściany zwierciadlane. Tłum, dużo ludzi; potwór: TY o wielu twarzach. Czekają... Cisza oczekiwania dzwoni w uszach pogwarem mszalnych sygnaturek... Wszyscy czekają. Wychodzi — On — Człowiek — Ja, któremu wiecznie zimno. Natychmiast oczy wszystkich kierują się w zwierciadlaną głąb'... Patrzą — bacznie — uważnie — pilnie — ze czcią wielką, z nabożeństwem świętem wpatrują się w odbicia postaci człowieka, który wszedł — — — Żrenice ich łowią w lustrach każdy szczegół jego postaci, każdy jej ruch notują w mózgach... Przyszedł — On — człowiek, który już nie może być sobą — — — Chce mówić... mówi... woła... Nikt nie zważa, nikt nie słucha — oczy wszystkich utkwione w tysiącznych odbiciach jego postaci... Mówi...

woła... krzyczy... targa ich za ramiona: Nie... nikt ani drgnie: z hieratycznem przejęciem patrzą — — — zapatrzeni hypnotycznie — — — niepodzielnie w odbicia jego postaci w lustrach... Boi się — tak — tak — tak — głodny jest — tak bardzo... umiera z głodu... Ah — czuje trwogę — taką olbrzymią, nieludzką trwogę... hu-hu-hu-u-uu — — — — — — — — — — — —

Patrzą...

DUSZA.



a: więc wielkie malowidło białych plam TAK i cienie mroczne, tajemnicze, czarne NIE, podkreślające nocnem, upiornem milczeniem hejnały dziewiczej białości TAK.

Ja: więc bezmiar mąk beznogich szybkobiegaczy i te procesye linoskoczków a hecarzy, zakutych w habity mnisze.

Ja: więc małe, pokraczne, nieśmiałe PRZED i zgrzybiała, długa, złośliwa postać ZA, grające w kości o brudny łachman drogi mego życia... i to jest najwyższy pesymizm.

Ja: więc arystokratyczna pogarda gotyckich dzwonnic, ciężkie, skrzydlate smoki, wylatujące w szare godziny z wnętrz ciemnych, spiżowych dzwonów, by zadławić w głębi mrocznych zaułków długie, wijące się krzyki bólu.

Ja: więc milion barw, słońc, rajów, tęcz... a potem wąskie, żółte, błędne, suchotnicze ręce JUŻ.

Ja: więc prastare, dumne, samotne zamczyska, zasłuchane w lot białych łabędzi.

Ja: więc MILCZENIE, które strzela z łuku do ptaków twórczych pragnień przy zwycięzkim, monotonnie tryumfalnym odgłosie tam-tamów i bębenków Wielkich Praw Przyrody.

Ja: więc wielkie, śpiące miasto gotyckich wież, po których wspinają się ku gwiazdom rzeźbione z kamienia potworki.

Ja: więc nagi człowiek i straszna maskarada milionów sobowtórów w czarnych maskach TY.

Ja: więc spiekłe, puste, ostre ściernisko, na którem usnęło zmęczone, chore Przeznaczenie.

Jan Wroczyński.

SONET.

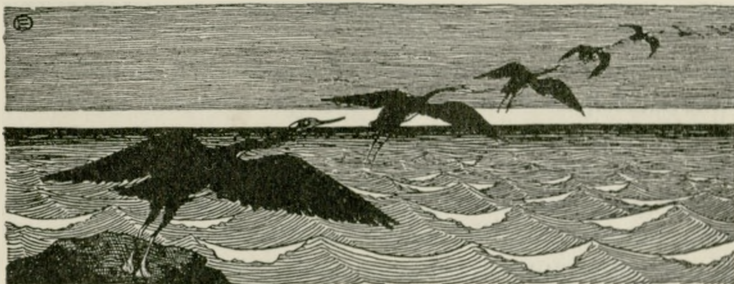
Pytasz, zkąd powstał ból nieutulony,
Co się w me piersi cierniem smutnym wplata?
Z ziemi i z słońca, z morza, z każdej strony,
Z wichru i z jęku, co w niebo kołata.

Z ogromnej, świetlnej lazurów opony,
Z nocy przedistnień, z umarłego lata,
Z tej wiekuistej Przeszłości zamglonej,
Z wiecznego Jutra, z całego wszechświata.

Z nieprzeliczonych mogił, kędy drzemią
Snem nieprzespanym pogrzebane kości;
Z westchnień, lecących daremnie nad ziemią,

I z tego serca: — rozdarte na ćwierci
Szałem rozpaczy, wzgardy i miłości,
Umrzeć nie może, a rwie się do śmierci.

PRZEŁ. Anna Bronisławska. Artur Graf.



PERSEUSZ I ANDROMEDA CZYLI NAJSZCZĘŚLIWSZY Z TROJGA.

I.



jczyzno jednostajna i niezasłużona!

Wyspa samotna, w wydmach żółtawo szarych; pod niebiosami wędrownemi; zresztą, wszędzie morze, gdzie okiem sięgnąć, zamykające wzrok, wołania, i nadzieję, i melancholię.

Morze! z jakiejkolwiek śledzić je strony, choćby całemi godzinami, w jakiejkolwiek zejść je chwili: zawsze to samo, zawsze niezawodne, zawsze samotne, mocarstwo odludności, wielkie dokonywające się dzieje, kataklizm źle strawiony; — jakby stan płynny, w którym je widzimy, był tylko upadkiem! A dni, w których otrząsa się z tego stanu (płynnego)! I te jeszcze niemożliwsze, gdy przybiera tony bolesne, że nie ma do odbicia żadnych lic godnych siebie, że nie ma nikogo! Morze, zawsze morze, bez jednej chwili słabości! Słowem, bynajmniej nie materyał

na przyjaciela. (Oh, doprawdy! wyrzec się tej myśli i nawet nadziei, że — mimo tak dawnego z niem sam na sam — będzie się mogło kiedyś, po zwierzeniach zobopólnych, podzielić jego urazy.)

Ojczyzno jednostajna i niezasłużona!.. Kiedyż to wszystko wreszcie się skończy? — Jakto? więc co do nieskończoności: przestrzeń zmonopolizowana przez samo tylko obojętnie bezgraniczne morze, czas wyrażony przez same tylko niebiosa w obojętnych przepływach pór roku, z wędrówkami ptaków szarych, krzykliwych i oswoić się nie dających! — A w dodatku, cóż rozumiemy z tego wszystkiego, cóż poradzić możemy na całe to nadąsanie bałamutne i niedające się wypowiedzieć? Lepiej chyba umrzeć odrazu, skoro się z urodzenia dostało poczciwe, sentymentalne serce.

Morze tego popołudnia jest sobie nijakie, ciemnozielone, jak okiem sięgnąć; jak okiem sięgnąć, wełnistości niepoliczonych pian, takich białych, to zapalających się, to gasnących, to zapalających się znowu, jak niezliczone stado pławiących się owiec, które to nurkują, to wypływają znowu, i nigdy nie zbliżają się do brzegów, i dają się zaskoczyć nocy. A po nad tem wszystkiem utarczki czterech wichrów, utarczki dla miłości sztuki, dla przyjemności spędzenia tego popołudnia na smaganiu grzebieni pian i rozpryskiwaniu ich w tęczowo skrzące się pyły. Oh! niech tylko przewionie promień słoneczny — i oto na grzbietach fal siedmiobarwna pieszczota, niby świetna dorada, która wypłynęła na chwilę i wnet, głupio nieufna, daje nura.

I na tem koniec. Ojczyzno niezasłużona i jednostajna!

Aż w głąb' zatoczki z dwiema grotami, wyścielonemi puchem edredonowym i bladą morszczyzn słomą, dobiega rozległe, jednostajne morze, zziajane i rozpływające się w strugi. Lecz jego skarga nie może zagłuszyć jęczków,

ostrych, chrapliwych jęczków Andromedy, która, leżąc tu płackiem, z brodą wspartą na ręku i twarzą zwróconą w stronę widnokręgów, śledzi bezwiednie mechanizm fal, fal rodzących się i ginących, jak okiem zasięgnąć. Andromeda jęczy sama nad sobą. Jęczy. Lecz nagle spostrzega się, że jej skargi wtórują skargom morza i wiatru, dwu istot nietowarzyskich, dwu potężnych kumów, którzy jej wcale nie obchodzą. Urywa sucho; poczem szuka naokół, do czegoby się przyczepić. Woła:

— Potworze!

— Malutka?

— No, Potworze!

— Malutka?

— Cóż tam robisz znowu?

Potwór-Smok, siedzący w kucki u wejścia swej groty, z zadem na pół w wodzie, odwraca się, migocąc grzbietem świetniejącym wszystkiemi klejnotami Golkond podmorskich, unosi współczująco powieki ustrzępione różnobarwnemi chrząstkowatemi pasmanteryami, odsłania dwie wielkie wodno-zielone gałki oczne i mówi (głosem człowieka wytwornego, który niejedno przeszedł nieszczęście):

— Toć widzisz, Malutka, rozbijam i szlifuję głaziki do twej procy. Będziemy jeszcze mieli przeloty ptaków przed zachodem słońca.

— Daj spokój, ten hałas mnie boli. I nie chcę już zabijać ptaków, które przelatują. O! niech sobie przelatują, niechaj znowu kraj swój zobaczą! O, stada wędrowne, które przelatujecie, nie widząc mnie, o, hordy fal, wiecznie nabiegających, by umrzeć, nic mi nie przyniósłszy! jakże ja się tu nudzę! Ah, tym razem jestem chora naprawdę... — Potworze?..

— Malutka?

— Powiedz, czemu od jakiegoś czasu nie przynosisz

mi drogich kamieni? Cóżem ci uczyniła, powiedz, mój opiekunie!

Potwór okazale wzrusza ramionami; zaczyna grzebać w piasku po prawej stronie, podnosi kamień, dobywa garść różowych pereł i skrysztalonych anemon, które miał w zapasie na wypadek kaprysu, i składa je pod zgrabnym noskiem Andromedy. Andromeda, wciąż plackiem leżąc i podparta na łokciach, wzdycha, lecz nie rusza się z miejsca.

— A gdybym odrzuciła je cierpko, niewytłómaczenie cierpko?

Potwór zabiera swój skarb i ciska go w odmęty, ku rodzinnym Golkondom podmorskim.

Wtedy Andromeda zaczyna się tarzać w piasku i jęczy, nasuwając włosy na twarz w patetycznym nieładzie:

— O, moje różowe perły, moje skrysztalone anemony! Oh, nie przeżyję tego, nie przeżyję! I to będzie twoja wina! Ah, ty nie wiesz, co to Nieodwołalne!

Ale uspokaja się wnet, i dopełznąwszy do Potwora, układa się w zwykły swój pieszczotliwy sposób pod jego brodą, otaczając mu szyję, lepko-fioletowawą szyję, białemi rękoma.

Potwór wzrusza okazale ramionami i, w niezmiernej dobroci swej, zaczyna wydzielać piżmo we wszystkich punktach, które odczuły przejście tych rączek z ciała, tych rączek kochanego dziecka. Ona wszakże po krótkiej chwili znowu wzdycha.

— O Potworze, o Smoku, mówisz, że mnie kochasz, a nic nie możesz dla mnie uczynić. Widzisz, że ginę z nudów, a nic na to poradzić nie możesz. Takbym cię kochała, gdybyś mógł mnie uzdrowić, zrobić cokolwiek!..

— O szlachetna Andromedo, córo króla Etyopii! Smok wbrew swej woli, biedny potwór, może ci tylko odpowiedzieć tem błędnem kołem: — Uzdrowię cię, dopiero gdy mnie umiłujesz, gdyż miłując, uzdrowisz mnie.

— Zawsze ten sam rebus wyroczny! Ale mówię ci przecież, że kocham cię bardzo!

— Nie czuję tego, i ty też nie czujesz. Ale dajmy temu pokój; jestem wciąż jeszcze tylko biednym potwornym Smokiem, nieszczęsnym Katoblepasem.

— Gdybyś przynajmniej chciał wziąć mnie na grzbiet i przenieść do krajów, gdzie można znaleźć towarzystwo. (Ah! takbym chciała rzucić się w świat!) Przybywszy tam, dałabym ci prawdziwego całuska za fatygę.

— Już ci mówiłem, że to niemożebne. Tu muszą rozstrzygnąć się nasze losy.

— Oh! powiedz, powiedz, co wiesz o nich?

— Nie więcej od ciebie, szlachetna Andromedo rudowłosa.

— Nasze losy! nasze losy! Ależ ja tu starzeję się z dniem każdym! Oh, tak dalej być nie może!

— Chcesz może, to zrobimy małą wycieczkę morską?

— Ah, znam te pańskie małe wycieczki morskie! Czasby już było wymyśleć coś nowego.

Andromeda ciska się znowu plackiem na piasek, rozdrapuje go i rozrywa z obu stron wzdłuż swego prawowicie zgłodniałego łona, poczem rozpoczyna znowu swe jęczki ostre i chrapliwe.

Potwór uważa za stosowne, dla wydrwienia jej utyskiwań romantycznych, przedrzeźniać falsecik tej biednej dzieciny na przełomie, i zaczyna tonem swobodnym:

— *Pyram i Tysbe.* Był pewnego razu...

— Nie! nie! żadnych martwych bajek, albo się zabiję!

— Ależ nareszcie, cóż to znowu takiego? Trzeba się raz otrząsnąć. Idź z wędką na ryby — albo na polowanie, dobieraj rymy, trąb' na muszli w cztery główne strony świata, odnów swój zbiór skorupiaków, albo, wiesz,

ryj symbole na opornych kamieniach (czas przy tem zbiega niepostrzeżenie!)...

— Nie mogę! nie mogę! Do niczego już nie mam ochoty, mówię ci!

— No, no! — Spojrzyj w górę, Malutka! Czy dać ci procę?

Była to od rana trzecia już gromada wędrownych ptaków jesieni; trójkąt ich przelatywał jednozgodnem, rytmicznem drganiem, bez maruderów. Przeleciały — wieczorem będą daleko, daleko...

— Oh! pomknąć tam, gdzie mkną one! Miłować! Miłować!.. — woła biedna Andromeda.

I mały opętaniec jednym skokiem staje na nogach i, wyjąc razem z wichurą, szalonym cwałem znika pośród szarych wydm wyspy.

Potwór uśmiecha się dobrotliwie i wraca do szlifowania głazików. Tak zapewne musiał wygładzać swoje szkła mędrzec Spinoza.



II.



ak ranione zwierzątko, cwałuje Andromeda, cwałuje wiotkim cwałem długonogiej czapli w błotnistej okolicy; rozszalała tem bardziej, że ustawicznie musi odrzucać w tył długie rude swe włosy, które wiatr wlepia jej w oczy i usta. Dokądże pędzi tak, o młodzieństwo! młodzieństwo! przez wiatr i wydmy z tem dzikiem wyciem zranionej istoty?

Andromedo! Andromedo!

W trepach z porostu na nogach doskonale pięknych, z łańcuchem surowych korali na wodorostowe włókno znizanych koło szyi, naga bez zarzutu, naga i nieugięta, wyrosła tak, w cwałach, w wichurze, w słońcach, kąpielach, pod gwiazdami.

Twarz jej i ręce nie są ani mniej ani więcej białe od reszty ciała; cała jej osóbka, z czupryną jedwabisto rudą, spadającą po kolana, ma ten sam ton jasnej gliny palonej.

(Ah, te skoki, te skoki!) Cały jakby z żelaza wykuty, jakby jedna sprężyna, cały ogorzały, ten dzikus dojrzewający, z nogami dziwnie długiemi i misternemi, z biodrami prostemi i dumnemi, szczuplejącemi w stan tuż pod piersią, piersią dziecięcą, pod dwoma przypuszczeniami piersi, tak niedostatecznemi, że dyszenie galopowe zaledwie je podnosi (i kiedyż, i jak miały się wykształcić, w tych ciągłych cwałach pod wiatr, pod słony wiatr pełnego morza i pod zlewy wściekłe lodowatych bałwanów?). I ta długa szyja, i ta mała główka dziecięca, cała błędna w swem rudem runie, z oczyma to przeszywającemi jak oczy ptaków morskich, to zgaszonemi jak wody powszednie. Słowem, klasyczne podlocie. O, te skoki! te skoki! i te pojęki zranionego maleństwa, które żywot ma twardy! Tak wyrosła, mówię wam, naga, nieugięta, opalona, ze swojem rudem runem, w cwałach, w wichrach, w słońcach, w kąpielach, pod gwiazdami.

Ale dokądże tak pędzi, o młodzieństwo! młodzieństwo!

Na samym krańcu wyspy, przylądkowo, oto skała osobliwa; Andromeda wdziera się na nią labiryntem naturalnych przełęczy. Z wąskiej platformy panuje nad wyspą i nad ruchliwą pustynią, która wyspę wyosabnia. Pośrodku tej platformy deszcze wyżłobiły miednicę. Andromeda wybrukowała ją głazikami czarnej kości słoniowej i utrzymuje w niej wodę czystą; to jest jej zwierciadło od ostatniej wiosny i jej jedyna na świecie tajemnica.

Po raz trzeci dzisiaj przychodzi się w niem przejrzeć. Nie uśmiecha się do siebie, dąsa się, usiłuje zgłębić powagę swych oczu, a te oczy nie mogą wyrzec się swej głębokości. Lecz usta! nie może się dość nauwielbiać niewinnego rozkwitu swych ust. Oh! któż zrozumie kiedy jej usta!

— Jak tajemniczo jednak wyglądam!.. — rozmyśla.

A potem przybiera wszelkie możliwe wyrazy twarzy.

— No, i tak, i tak, to zawsze ja, ni mniej ni więcej, jak się komu podoba.

A potem duma, jak bardzo w gruncie rzeczy brak jej dystynkcyi!

Ale wraca do swych oczu. Ah! jej oczy są piękne, wzruszające, i takie jej własne. Nie może się z niemi dość naznajomić; stałaby tak, badając je, aż do ostatnich lśnień dniowych. Ah! cóż im jest, że są ciągle takie nieskończone? Albo czemuż ona nie jest kimś innym, by módz spędzić całe życie na ich śledzeniu, na marzeniu o ich tajemnicy, nie robiąc szmeru najmniejszego!..

Lecz darmo się przegląda. Podobnie jak ona sama, twarz jej wciąż czeka, poważna i daleka.

Więc chwyta za swe rude runo, próbuje dwudziestu kombinacyj uczesania, lecz wszystkie kończą się na rzeczach zbyt ciężkich dla jej małej główki.

A oto nadchodzą obłoki deszczowe, które zmącą jej zwierciadło. Ma tu pod kamieniem wysuszoną skórę rybią, która jej służy za pilnik do paznogci. Siada i obrabia paznogcie. Obłoki nadchodzą, obłoki pękają śród wielkiej wrzawy potopowej. Andromeda stacza się ze skały, i już znowu cwałuje ku morzu, piszcząc wśród ulewy:

Ah! znajdzież się kiedy
Na kuku Andromedy,
Hissaho!
Lek lub co!

Łzy toczą się na jej pierś dziecięcą, taka ta piosnka smutna. A ulewa już daleko, i wicher rozwichrza jej włosy, i wszystko jest wichurą...

Hissaho!
Gdy znikąd osłody,

Cisnę się do wody!
Hissaho!

Ale to mowa o kąpieli tylko, leci poprostu się wykąpać. Zresztą, w chwili gdy ma dać nurka, zawraca. Kąpać się, jeszcze i zawsze! Tak ją znużyły już igraszki z pospolicie pulchnemi siostrami-falami, których skórę i zwyczaje zna aż do przesytu! I oto wyciąga się na plecach w przemokłym piasku, z rękoma skrzyżowanemi, z twarzą zwróconą ku rozpryskującym się bałwanom. Tak będzie o wiele lepiej, — trzeba tylko zaczekać na porządny zwał wodny. Po chwili ruchliwych pogróżek nadbiega trąba spiętrzona i ciska się na nią. Zamknąwszy oczy, Andromeda przyjmuje ją twardo, z długiem zdławionem łkaniem zarzynanej, i skręca się, usiłując wszystkiemi członkami zatrzymać to ruchome lodowate wezgłowie, które spływa, nie zostawiając jej nic w ramionach...

Siada, ogłupiona, ogląda swe mizerne, ociekające ciało, wyskubuje ze swego runa źdźbła wodorostów, które w nie ta zlewa wmieszała.

Poczem ciska się już stanowczo do wody; rozbija fale młyńcem szalonym, zanurza się, wypływa, sapie, przewraca się na wznak; nadbiega nowy szturm bałwanów, i oto mały opętaniec, zrazu potrącany, wywracany, zaczyna podrzucać się na brzuchu, chcąc okraczyć te grzbiety. Chwyta jeden za grzywę i jedzie na nim przez chwilę, z wyciem okrutnem; nadbiega druga fala, zrzuca ją z siodła, ale ona czepia się innej. Zresztą, wszystkie wymykają się z pod niej zbyt szybko, nie umieją czekać. Ale morze, które rozgrzało się śród igraszek, staje się niemożebnem; wtedy Andromeda udaje rozbitka i pozwala się, rozwarkoczona, ponieść na piasek, wypełza po za dościgłość fal i zostaje tam, nieco grzęznąc w ruchomym piasku, na brzuchu.

A oto nad wyspą przechodzi nowa płachta ulewy. Andromeda się nie rusza i, cała jęcząca pod wielkim zgiełkiem potopowym, poddaje się ulewie, skomlącej ulewie, która hula w wąwozie jej pleców i tworzy bańki. Czuje stopniowe pod sobą ustępowanie przemokłego piasku i wije się, by zagrzęznąć głębiej. (O! niech mnie zaleje, niech mnie żywcem pogrzebie!).

Ale obłoki potopowe przechodzą, jak przyszły, zgiełk się oddala, i oto znowu atlantycka samotność wyspy.

Andromeda siada i patrzy na widnokrąg, który się wyjaśnia bez żadnej osobliwości. Co robić? Gdy wiatr dobrze wytarł jej biedne jestestwo, leci i wdziera się znowu, nieco wyczerpana, na skałę przylądkową, gdzie przynajmniej ktoś z pojęciem, jej zwierciadło, na nią czeka.

Ale szkaradny deszcz zmącił czystość jej smętnego lusterka.

Odwraca się, ma wybuchnąć łkaniem, ale oto wielki ptak morski nadlatuje pełnemi żaglami, jakby wprost na wyspę, na skałę, dla niej może! Andromeda rzuca przeciągły pisk przywołujący, opiera się bezwładnie o skałę, z rękoma w krzyż, i zamyka oczy. O! niechaj ptak ten padnie na jej prometeuszową osóbkę, rzuconą tutaj przez bogów, i, uczepiwszy się jej kolan, pocznie dziobem nieubłaganie zbawczym wyrywać palące jądro jej kuku.

Ale czuje lot mijającego ją ptaka; otwiera oczy — ptak już daleko, zajęty myślą o padlinie, o ileż bardziej interesującej niewątpliwie.

Biedna Andromeda, najwidoczniej nie wie, gdzie ująć swe jestestwo, by je wyzwolić od opętania.

Co robić? chyba znowu wpatrywać się w to morze, takie ograniczone, a jednak tak jedynie otwarte nadziei... I nadto, jakże dziecinną jest jej udręka wobec tej, jak okiem zasięgnąć, samotności! Jednym szańcem fal potrafiłoby to morze na śmierć ją nasycić; ale ona, ciałko mi-

zerne, uciszyć i rozgrzać morze! Ah! darmo wyciągałaby ramiona... A zresztą taka jest znużona! Dawniej cwałowała dniami całemi po swem królestwie, teraz bicia serca... Jeszcze jeden z tych wielkich ptaków morskich przelatuje. Takby chciała przyswoić sobie jednego, pieścić go i kołysać! Żaden się na wyspie nie zatrzyma. Trzeba je z procy zabijać, by zobaczyć je zbliska.

Kołysać, być kołysaną, morze nie kołysze dość uprzejmie.

Wiatr opadł, przyszły uciszenia, i widnokrąg gotuje melancholiczną *tabulam rasam* do uroczystych obrzędów zachodu.

Kołysać, być kołysaną!.. I znużona główka Andromedy wypełnia się rytmami macierzyńskiemi, i powraca jej na myśl jedyny rytm ludzki, jaki zna, legenda *Prawdy o sprawie Wszystkości*, święty poemacik, którym Smok, opiekun, kołysał jej dzieciństwo.

„Na początku była Miłość, prawo organizujące, po-„wszechne, nieświadome, nieomylne. I była to, nierozdziel-„na od wzajem zależnych wirów zjawisk, dążność nieskoń-„czona ku Ideałowi.

„Słońce jest dla Ziemi jej kluczem sklepiennym, Zbior-„nikiem, Źródłem.

„Dlatego to poranek i wiosna są szczęściem, dlatego „to zmierzch i jesień są śmiercią. (Lecz, że dla organiza-„cyj wyższych niemasz nic wybredniejszego, jak czuć za-„mieranie, wiedząc, że to na nic, przeto zmierzch i jesień, „dramat słońca i śmierci, są najdoskonalej estetyczne.)

„Bodziec Ideału trwa po wsze czasy, w przestrzeni „nieskończonej, uzewnętrznia się w niezliczonych światach, „które powstają, mają swój rozwój organiczny tak wysoki, „jak na to pozwalają ich żywioły, poczem rozkładają się „dla nowych wykluć laboratoryjnych.

„Nieświadome pierwotne zajmuje się li tylko wstępo-„waniem coraz wyższem, ma ono swe prace osobliwe, któ-„rych pilnuje na jakichś światach żywotniejszych, ważniej-„szych; nic go nie zdoła oderwać od jego snu o jutrze.

„A co do planet, które nie mają dość zasobów, aby, „po przebyciu ewolucyi już dla Nieświadomego pozyskanej, „mogły służyć za laboratoryum Tworowi jutra, — temi się „Nieświadome nie zajmuje; ich drobne ewolucye dokonywa-„ją się nieodzownie skutkiem danego bodźca, jako tyleż je-„dnakich i małoważnych odbić z kliszy raz na zawsze usta-„lonej i arcyznanej.

„I zatem, podobnie jak rozwój nieodzowny człowieka „w łonie matki jest miniaturowem odbiciem całej ewolucyi „ziemskiej, tak ewolucya ziemska jest tylko miniaturowem „odbiciem Wielkiej Ewolucyi Nieświadomej w Czasie.

„Gdzieindziej, gdzieindziej, w przestworzach nieskoń-„czenia, Nieświadome postąpiło dalej. Co za przepychy!

„Ziemia, choćby jeszcze dać miała istoty od Człowieka „wyższe, jest tylko nieróżniącą się niczem i małoważną od-„bitką z kliszy próbnej, terminatorskiej.

„Ale dobra, ze Słońca pochodząca Ziemia jest dla nas „wszystkiem, gdyż mamy pięć zmysłów i wszystko im na „Ziemi odpowiada. O soczystości, cuda kształtów, wonie, „głosy, zdumienia nieogarnione, Miłości! O ty, życie moje!

„Człowiek owadem jest pod niebios progiem; lecz niech „czci swą godność, a sam będzie Bogiem. Jeden spazm „stworzenia wart wszechprzyrodzenia.“

Takto markotnie zawodzi Andromeda w obliczu jeszcze jednego zapadającego wieczoru, i jest w tem tylko słodycz nauczonych lekcyj. Ah!.. wyciąga się i jęczy.

Ah! dokądże przeciągać się i jęczeć będzie?..

I mówi głosem wysokim i wyraźnym pośród atlantyckiego osamotnienia swojej wyspy:

— Tak, ale gdy jakiś szósty zmysł nieznany chce się wykluć, a nic, nic mu nie odpowiada! Ah! — Wszystko ostatecznie sprowadza się do tego, żem taka sama, taka odrębna, i że doprawdy nie wiem, jak to wszystko się skończy.

Gładzi się po ramionach, potem, rozjątrzona, zgrzyta zębami, drapie się i rani delikatnie obryzgiem krzemienia, który pod ręką się znalazł.

— Nie mogę przecież odebrać sobie życia, by przejrzeć, o bogowie?

Płacze.

— Nic, nic! Zanadtom opuszczona! Teraz, choćby przyszli po mnie i zabrali ztąd, zachowam urazę na całe życie, zachowam nazawsze trochę urazy!

III.

eszcze jeden zapadający wieczór, jeszcze jeden zachód, który udaje pięknisia; bilans klasyczny! bilans więcej niż klasyczny!

Andromeda odrzuca w tył swe rude runo i powraca do domu.

Potwór nie wychodzi na jej spotkanie. Cóż to ma znaczyć? Czyżby Potwora nie było? Woła:

— Potworze! Potworze!

Żadnej odpowiedzi. Trąbi w muszlę. Nic. Wraca na urwisko panujące nad wyspą, i trąbi, i woła, mój Boże!.. Nikogo. Wraca do domu.

— Potworze! Potworze!.. — O klęsko! A jeżeli nazawsze dał nura w wodzie, jeżeli odszedł, zostawiając mnie samą pod pozorem, że zbyt go dręczyłam, że mu uniemożliwiałam życie!..

O! wyspa w zapadającym zmroku wydaje się jej

nadzwyczajnie, niemożliwie zgubioną! Rzuca się na piasek przed grotą, jęczy, że chce się dać śmierci, że powinna się była tego spodziewać...

Gdy się podnosi, Potwór jest koło niej, w swym mule powszednim, zajęty przewiercaniem otworów w jednej z tych muszli, z których wyrabia dla niej okaryny.

— Patrzcie, pan tutaj, — mówi. — Myślałam, że pan sobie poszedł.

— Ani mi przez głowę nie przeszło. Póki życia, będę pani strażnikiem bez trwogi ni zarzutu.

— Pan powiada?

— Mówię, że póki życia...

— Dobrze, dobrze, wiadomo.

Milczenie i widnokrąg, widnokrąg znów czyściutko wymieciony na uroczystość zachodu.

— Gdybyśmy tak zagrali w warcaby, — wzdycha Andromeda, widocznie zdenerwowana.

— Grajmy w warcaby.

Szachownica z białych i czarnych mozaik lśni wyinkrustowana u wejścia groty. Ale zaledwie zaczęli partyę, Andromeda, widocznie zdenerwowana, rozrzuca ją.

— Niepodobna; przegrałabym; wciąż jestem gdzieindziej. To nie moja wina. Jestem widocznie zdenerwowana.

Milczenie i widnokrąg. Po wszystkich szaleństwach tego popołudnia, powietrze trwa w uciszeniu i skupia się przed klasycznym odwrotem Słońca.

Słońce!

Tam, u migotliwego horyzontu, kędy oddech wstrzymują syreny,

Rusztowania zachodu wznoszą się coraz wyżej;

Niby latarnie morskie jedne na drugich piętrzą się murowańce teatralne.

Ogniomistrze kończą ostatnie przygotowania.

Serya księżyców złotych rozkwita, niby wyloty trąb uszeregowanych, na których grzmią zastępy heroldów-obwieścicieli.

Rzeźnia gotowa, zasłony się zwijają.

Na posłaniach z dyademów, na żniwach latarni weneckich, na miałach, i na snopach,

Otamowanych kratowaniem z talmigoldu, w wielkim już nieładzie i rozdarciu,

Słońce - Pasza,
Jego Eminencya Czerwona,
W symarze pogromów,
Zstępuje śmiertelnie zwycięskie,
Przez całe minuty, za wrota Szczytne.

A oto legło na boku, całe pożyłkowane piętnami hypokondrycznemi.

Prędko, ktoś pchnął nogą tę pękniętą dynię, i wtedy...

Żegnajcie kosze, już po winobraniu!..

Rzędy trąb się opuszczają, rozpadają się szańce, a z niemi latarnie morskie z karafek pryzmatycznych. Latają cymbałki, dworzanie potykają się w chorągwiach, namioty złożone, wojsko zwija obóz, w panice unosząc ze sobą bazyliki zachodnie, tłocznie, bożyszcza, paki towarów, westalki, biura, ambulanse, estrady towarzystw śpiewaczych, wszystkie przydatki oficyalne.

I wszystko znika w rozpyleniu różano-złotem.

Słowem, wszystko udało się cudownie!..

— Bajeczne! bajeczne! — ślini się z zachwytu Potwór-Milczek i wielkie jego wodniste źrenice promienieją jeszcze ostatniemi odblaskami zachodu.

— Żegnajcie kosze, już po winobraniu! — wzdycha zmierzchowo Andromeda, której rude runo wydaje się bardzo ubogiem, po tych pożarach.

— Już tylko zapalić ognie wieczorne, powieczerzać

i pobłogosławić księżyc, przed pójściem spać, by zbudzić się jutro i rozpocząć nowy dzień podobny.

No, i milczenie, i horyzont gotowy dla cmentarnego księżyca — gdy wtem! O! błogosławieni niech będą bogowie, którzy, właśnie w chwili pożądanej, przysyłają nową osobistość.

Jak rakieta przybywa bohater dyamentowy, na śnieżystym Pegazie o drgających, ubarwionych zachodem skrzydłach, dokładnie odbity w niezmiernem, melancholicznem zwierciedle atlantyku pięknych wieczorów.

Żadnej wątpliwości, to Perseusz.

Andromeda, dławiona drżeniem dziewczęcem, leci schronić się pod brodą Potwora.

A na rzęsach Potwora zwisają grube łzy, jak żyrandole przy balustradach. Mówi głosem dotychczas u niego niesłyszanym:

— Andromedo, szlachetna Andromedo, uspokój się, to Perseusz. To Perseusz, syn Danae z Argos i Jowisza zmienionego w deszcz złoty. On mnie zabije i uwiezie ciebie.

— Ależ nie, nie zabije cię!

— Zabije.

— Nie zabije, jeżeli mnie kocha.

— Nie może cię zabrać, póki mnie nie zabije.

— Ależ nie, porozumiemy się. Można się zawsze porozumieć. Już ja to urządzę.

Andromeda wstała ze zwykłego swego miejsca i patrzy.

— Andromedo, Andromedo! pomyśl o cenie swego ciała jedynego, o cenie swej duszy świeżej! Mezalians spełnić tak łatwo!

Ale czyż ona słyszy! Z twarzą naprzód podaną, z łokciami przy ciele, z palcami wpitemi w biodra, stoi na brzegu, pełna odwagi i kobiecości, jeszcze.

Olśniewający i pełen szyku zbliża się Perseusz, skrzydła jego hipogryfa biją wolniej; — a im jest bliżej, tem bardziej Andromeda czuje się parafianką i nie wie, co zrobić ze swemi rękoma, tak czarującemi.

O kilka metrów od Andromedy, hipogryf, dobrze wystylizowany, staje, zgina kolana na równi fal, utrzymując się przytem na powierzchni różowem skrzydeł drganiem, i Perseusz się kłoni. Andromeda spuszcza głowę. To zatem jej narzeczony! Jakimż będzie dźwięk jego głosu, jego pierwsze słowo?

Lecz on oddala się bez słowa, bierze rozpęd, wzbija się, zaczyna opisywać owale, przelatując przed nią tam i z powrotem, tocząc koniem tuż nad morzem bajecznie zwierciadlanem, coraz bardziej ścieśniając swe orbity ku Andromedzie, jakby dając tej dziewiczce czas do zachwycenia się nim i pożądania. Szczególne widowisko, zaprawdę!..

Tym razem, uśmiechając się do niej, przeleciał tak blisko, że mogłaby go była dotknąć!

Perseusz siedzi jak amazonka, zalotnie skrzyżowawszy nogi w sandałach z bisioru; u łęku siodła wisi zwierciadło; jest bez zarostu, usta jego różowe i uśmiechnięte możnaby; nazwać otwartym granatem, dołek piersiowy ma wylakowany w różę, na każdem z ramion wytatuowane serce przebite strzałą, na muskułach łydek namalowane lilie, nosi monokl ze szmaragdu, liczne pierścienie i naramienniki, u złotego temblaka wisi szpada o rękojeści z masy perłowej.

Perseusz ma na głowie hełm Plutona, czyniący niewidzialnym, ma skrzydła i napiętki Merkurego i boski puklerz Minerwy; u pasa kiwa mu się głowa Gorgony-Meduzy, której sam widok, jako się wie, zamienił w górę olbrzyma Atlasa, a hipogryf jego jest owym Pegazem,

z którego Bellerofon zabił Chimerę. Młody bohater ma minę dyablo pewną swego.

Młody bohater zatrzymuje swego hipogryfa przed Andromedą i, nie przestając się uśmiechać ust granatem otwartym, zaczyna szpadą dyamentową wykonywać młyńce.

Andromeda ani drgnie, bliska płaczu z niepewności i zdająca się oczekiwać już tylko na dźwięk głosu tej osobistości, by poddać się losowi.

Potwór trzyma się cicho na stronie.

Ruchem wdzięcznym Perseusz skręca na miejscu rumaka, który, bez zmącenia lustra wód, klęka przed Andromedą, prezentując bok; młody rycerz wiąże swe ręce w strzemię i, nachylając je przed młodą branką, mówi z szepleniem nieuleczalnie przesadnem:

— Jazda, hop! do Cytery!

Ah, trzebaż ostatecznie z tem skończyć; Andromeda ma już postawić swą szorstką stopę na tem wytwornem strzemieniu i odwraca się tylko, by pożegnać Potwora skinieniem. — Ah! ale ten dał właśnie nurka między nimi i wnet wypływa, w tył sprężony, wysunąwszy dwie groźne łapy, ukazując otchłań fioletowawą paszczy, z której tryska ostrze płomienne! Hipogryf się płoszy, Perseusz cofa się do rozpędu, rzucając fanfarońskie okrzyki. Potwór czeka nań, Perseusz naciera, lecz hamuje się natychmiast.

— O, nie zrobię ci tej przyjemności, nie zabiję cię wobec niej, — krzyczy. — Szczęściem, sprawiedliwi bogowie niejednę mi dali do łuku cięciwę. Ja cię — okamienię!

Gagatek bogów odczepia od pasa głowę Gorgony.

Sławetna głowa, spiłowana u szyi, żyje, lecz życiem stojącem i zatrutem, cała czarna skutkiem wpędzonej wewnątrz apopleksyi; białe przekrwione oczy stoją słupem,

na ustach zastygł okropny, kurczowy uśmiech ścinanej. W całej głowie żadnego ruchu prócz drgań żmijowej czupryny.

Perseusz chwytą ją za tę czuprynę, której niebieskie, żyłkowane złotem węzły tworzą mu nowe pierścienie i bransolety, i zwraca ją ku Smokowi, wołając na Andromedę:

— Hej tam, zamknąć oczy!

Ale o dziwo! czar nie działa.

Czar nie chce działać!

Istotnie, wysiłkiem niesłychanym Gorgona zamknęła swe okamieniające oczy.

Poczciwa Gorgona poznała naszego Potwora. Przypomina sobie czasy bogate i świeżych powiewów pełne, gdy ona i jej dwie siostry sąsiadowały z tym Smokiem, ówcześnie dozorcą ogrodu Hesperyd, cudownego ogrodu Hesperyd, położonego w okolicach Słupów Herkulesowych. Nie, nie, po tysiąc razy nie, starego przyjaciela nie okamieni!

Perseusz z ręką wyciągniętą czeka wciąż, nie domyślając się niczego. Nieco zbyt pociesznym jest kontrast walecznego i mistrzowskiego ruchu z fiaskiem rzeczy, i dzika mała Andromeda nie może powstrzymać pewnego uśmiechu; pewnego uśmiechu, który Perseusz podchwycił! Bohater się dziwi, cóż się stało jego poczciwej głowie Meduzy? I choć hełm, w gruncie rzeczy, czyni go niewidzialnym, nie bez obawy jednak naraża się na spojrzenie w oblicze Gorgony, by się dowiedzieć, co też tam zaszło. Rzecz całkiem prosta, czar osłupiający nie podziałał, bo Gorgona zamknęła oczy...

Perseusz, wściekły, wiesza głowę na miejscu właściwem, z urągliwie zwycięzkim śmiechem dobywa szpady, ujmuje mocniej boski puklerz Minerwy, spina konia (o! pod-

czas gdy właśnie, tam, pełnia księżycowa wstaje nad bajecznem zwierciadłem atlantyckiem!) i wpada na Smoka, biedną, bezskrzydłą masę. Okrąża go olśniewającemi polotami, żga go z lewej strony, żga z prawej, zapędza go wreszcie w zaułek i tam wbija tak cudownie szpadę w sam środek jego czoła, że biedny Smok słania się i konając ma zaledwie czas wyrzężeć:

— Żegnaj, szlachetna Andromedo; kochałem cię, i nie bez przyszłości, gdybyś była chciała; żegnaj; wspominać to będziesz często.

Potwór skonał. Lecz Perseusz, mimo nieuchronność swego zwycięstwa, jest zbyt podniecony i trzeba mu się znęcać nad nieboszczykiem. Więc szpikuje go szramami! więc wyłupia mu oczy! Więc pastwi się nad nim, aż Andromeda wstrzymać go wreszcie musi.

— Dosyć, dosyć, przecież widać, że już nie żyje.

Perseusz zawiesza szpadę na temblaku, odrzuca w bok jasne loki swych włosów, łyka pastylkę i, zsiadając z rumaka, którego szyję głaszcze:

— A teraz, moja piękna!.. — mówi głosem wycedzonym.

Andromeda, wciąż nieruchoma, bez zarzutu i nieugięcie naga, ze swemi czarnemi oczyma mewy, pyta:

— Miłujesz mnie? miłujesz naprawdę?

— Czy miluję? Ależ ubóstwiam? Ależ życie bez pani wydaje mi się nieznośnem! Czy cię kocham, ależ przejrzyj-że się!

I podaje jej zwierciadło, lecz Andromeda, z wyrazem najwyższego zdumienia, odpycha lekko ten przedmiot. On nie zwraca na to uwagi i pospiesza dodać:

— No, naturalnie, trzeba się będzie wypięknić!

Zdejmuje jeden ze swych naszyjników, naszyjnik ze złotych monet (pamiątka ślubna jego matki) i chce go jej

zawiesić na szyi. Ona go odsuwa łagodnie, ale on korzysta z jej ruchu, by ją oburącz w pół uchwycić. Ranne zwierzątko się budzi! Andromeda wydaje krzyk, krzyk mewy podczas największej burzy, krzyk, który się rozlega po wyspie już całkowicie mrocznej.

— Nie tykać mnie!.. O, przepraszam, przepraszam, ale doprawdy, wszystko to stało się tak prędko! Proszę, proszę mnie jeszcze zostawić trochę samą, dać mi pobłądzić w tych miejscach, ostatni raz się pożegnać...

Odwraca się, by jednem spojrzeniem objąć wyspę i swą ukochaną skałę, na którą zstępuje noc, noc poważna — o! poważna na życie! taka poważna i nieuchwytna, że Andromeda odwraca się od niej natychmiast ku temu, który ją właśnie oderwał od przeszłości, ku swej ostatniej stawce. — A oto zaskoczyła go znienacka! Ziewał! Wytworne ziewnięcie, które chciałby zakończyć uśmiechem otwartego granatu.

O, nocy nad wyspą przeszłości! O, Potworze nikczemnie zabity! Potworze bez pogrzebu! Kraje zbyt wykwintne Jutra!.. Andromeda wybucha cała jednym krzykiem:

— Idź pan sobie! idź! Budzisz we mnie ohydę! Wolę mrzeć samotnie, idź pan sobie, zmyliłeś się w adresie!

— Patrzcie-no, cóż to za zwyczaje? Wiedz, moja mała, że mnie podobni nie słyszą dwa razy podobnych rozkazów. I nie tak hodownej znów-eś skóry!

Robi młyńca szpadą dyamentową, wskakuje na siodło i leci w zaczarowaniu wschodzącego miesiąca, nie oglądając się za siebie; słychać, jak grucha tyrolską tkliwą śpiewkę; leci jak meteor, znika w kierunku światów wytwornych i łatwych.

O nocy nad biedną wyspą powszednią!.. Co za marzenie!

Andromeda stoi wciąż ze spuszczoną głową, oszołomiona przed widnokręgiem, magicznym widnokręgiem, który odrzuciła, którego nie mogła nie odrzucić, o bogowie, skoroście to wielkie dali jej serce!..

Idzie do Potwora, który leży ciągle w swym kącie, martwy, fioletowy, zflaczały, biedny, biedny. Wartoż było, zaiste!..

Jak dawniej, wyciąga mu się pod brodą, teraz martwą i którą podnosić musi, i otacza mu szyję ramionkami. Jeszcze ciepły. Ciekawa, unosi mu palcem powiekę, powieka odsłania gałkę przekłutą i opada. Rozsuwa kosmyki jego grzywy i liczy krwawe otwory, które zrobiła szkaradna szpada dyamentowa. I łzy przeszłości i przyszłości, łzy milczenia płyną jej z oczu. Jakże pięknem jednak było jeszcze to życie z nim na wyspie! I przesuwając mu machinalnie rękę po rzęsach, wspomina. Wspomina, jak dobrym był dla niej przyjacielem, skończonym *gentleman*'em, pomysłowym uczonym, poetą wymownym. I serduszko pęka jej w szlochach, i wije się cała pod martwą brodą Potwora, i ściska jego szyję, i zaklina go zapóźno.

— O, biedny, biedny Potworze! Czemużeś mi tego nie powiedział? Nie leżałbyś teraz zabity przez tego obrzydliwego bohatera z operetki. A ja sama wśród nocy! Mielibyśmy jeszcze piękne dni! Musiałeś przecie widzieć, że to było we mnie tylko kryzysem przejściowym, ta omdlałość i ta ciekawość fatalna. O ciekawości trzykroć zgubna! O! zabiłam swego przyjaciela, swego jedynego przyjaciela! swego ojca-karmiciela, swego nauczyciela. Jakiemiż lamentami rozdźwięczę teraz te brzegi nieczułe? Szlachetny Potwór, ostatnie jego słowa były dla mnie: — Żegnaj, Andromedo, kochałem cię, i nie bez przyszłości, gdybyś była chciała! — O, jak rozumiem teraz powagę twej wielkiej duszy! — i twe milczenia, i twe popołudnia, i wszystko! Zapóźno! zapóźno! Ale pewno tak rozkazali bogowie.

O bogowie sprawiedliwości, weźcie pół życia Andromedy, weźcie pół mego życia, a oddajcie mi jego życie, abym go miłowała i służyła mu odtąd wiernie i mile. O bogowie, uczyńcie to dla mnie, wy, którzy czytacie w mem sercu i wiecie, jak bardzo go w gruncie rzeczy kochałam, nawet w zaślepieniu przejściowych bzików dorastania, i że zawsze kochałam tylko jego i kochać go będę zawsze!

I szlachetna Andromeda przesuwa cudny rozkwit swych ust po zawartych powiekach Smoka. I nagle cofa się!

Gdyż oto na te słowa wyroczne, na te pocałunki wskrzeszające, Potwór drgnął, otwiera oczy, płacze w milczeniu i patrzy na nią... A potem mówi:

— Szlachetna Andromedo, dzięki ci. Czasy próby wypełnione. Ożywam i odrodzę się, jak przystało, by cię miłować i by nie było słowa ani chwili dla nazwania twego szczęścia. Ale dowiedz się, kim jestem i jakiem było moje przeznaczenie. Byłem z przeklętej rasy Kadmusa, Furyom oddanej! Głosiłem szyderskość nędzy bytu i boskość nicestwa w gajach Arkadyi. By mnie ukarać, bogowie życia zamienili mnie w Smoka i skazali na dozorowanie, pod tą postacią, skarbów ziemi, póki dziewica nie umiłuje mnie, Potwora, dla mnie samego. Jako Smok trójgłowy długo strzegłem naprzód jabłek złotych w ogrodzie Hesperyd; przyszedł Herkules i zamordował mnie. Potem przeszedłem do Kolchidy, gdzie miało wylądować Złote Runo. Na baranie złotorunym zbliżali się już Fryksus tebański i siostra jego Hella. Wyrocznia dała mi do zrozumienia, że Hella będzie dziewicą obiecaną. Ale utonęła w podróży, dając swe imię cieśninie Hellespontu (dowiedziałem się potem, że nie była bardzo ładna). I przyszli wówczas owi niesłychani Argonauci, jakich się już więcej nie zobaczy! Czasy przewspaniałe! Jazon był ich wodzem, za nim szedł Herkules, i przyjaciel jego Tezeusz,

i Orfeusz, który się przechwalał, że mnie swą lirą zaczaruje (a który miał później skończyć tak tragicznie), i dwaj Bliźniacy, Kastor, poskromiciel koni, i Polluks, zręczny w walce na pięście. Czasy zniknione!.. O, te biwaki i ognie, które rozpalali wieczorami! Zostałem wreszcie zabity przed tem Złotem Runem Świętego Grala, dzięki czarom Medei, płonącej bezrozumną miłością dla okazałego Jazona. I cykle rozpoczęły się nanowo, i poznałem Eteoklesa i Polynika, i zbożną Antygonę, i udoskonalenie broni, kładące kres czasom bohaterskim. A wreszcie, dziwną i gnębiącą Etyopię, i twego ojca, i ciebie szlachetna Andromedo, Andromedo od wszystkich piękniejsza, której zawdzięczam możność uczynienia cię tak szczęśliwą, że nie będzie słowa ni chwili dla nazwania twego szczęścia.

Po tych słowach cudotwórczych, Smok, nie krzyknąwszy nawet: baczność! — przeobraził się w młodziana doskonałej piękności. Wsparty o wejście groty, z zaczarowaniem pełni miesięcznej na ludzkiej swej skórze, mówi oto o przyszłości.

Andromeda nie śmie go poznać i, nieco odwrócona, uśmiecha się w próżnię, z jednem z tych promienień smutku, które następują u niej po niewytłomaczonych wyskokach (bo dusza jej zawsze tak prędko daje się zgnębić).

Ale trzeba żyć przecie i wyżyć to życie, choćby nam ono kazało zdziwieniem wielkie oczy otwierać u każdego drogi zakrętu.

Nazajutrz po tej nocy, rzeczywiście ślubnej, piroga została wydrążona w pniu drzewnym i spuszczona na morze.

Pożeglowali, unikając brzegów usianych kasynami. O podróży ślubna pod słońcem i gwiazdami!

I wylądowali trzeciego dnia w Etyopii, gdzie pano-

wał niepocieszony ojciec Andromedy (proszę sobie wystawić jego radość).



o, no, szanowny panie Amyot de l'Épinal, a toś nas wystrychnął ze swoją bajką! — zawołała księżniczka d'U. E. (nasuwając nieco szalu, gdyż ta przepyszna noc była chłodna). — A ja, com tak inaczej rozrządziła swem sercem w tej awanturze Perseusza i Andromedy! Już nawet nic nie powiem o trawestacyi tego biednego Perseusza. (Daruję to panu ze względu na mistrzostwo mego wizerunku, pochlebionego, rozumie się, na sposób antyczny, w rysach Andromedy). Ale rozwiązanie powieści! Cóż to jest ten Potwór, o którego się dotąd nikt nie troszczył? A potem, szanowny panie Amyot de l'Épinal, podnieś-no trochę oczy ku mapie nieba nocnego. Ta para mgławic, tu, przy *Kasyopei,* nie nazywa-ż się *Perseuszem i Andromedą,* podczas gdy, zupełnie w oddali, owa skrętna smuga gwiazd, o powierzchowności paryasa, jest konstelacyą *Smoka,* wegetującego między *Wielką* i *Małą Niedźwiedzicą,* swemi dwiema niemrawemi kumami?..

— Droga U..., to niczego nie dowodzi. Niebiosa są pogodne i konwencyonalne; tyleżby znaczyło powiedzieć, że oczy pani są poprostu ciemne (nie chciałabyś pani tego). Nie, gdyż, zkądinąd, niech pani spojrzy sama, tam przy *Lirze,* która jest moją konstelacyą, nie *Łabędź*-że to jest konstelacyą Lohengrina i ma kształt krzyża na pamiątkę Parsifala? A jednak przyzna pani, że ja i moja *Lira* nie mamy nic wspólnego z Lohengrinem i Parsifalem?

— To prawda, to parabolicznie prawda. Ale nie sposób nigdy spierać się z panem i nauczyć się czegoś.— No, wracajmy zatem napić się herbaty. Ah! à propos. A sens moralny? Zawsze zapominam o sensie moralnym.

— Oto jest:

Dziewczęta, mej powieści sens jest niezawodny.
Nim wzgardzicie biednym potworem,
Pomyślcie dwakroć nad tym utworem,
Gdzie z trojga najszczęśliwszym być — potwór był godny.

PRZEŁ. Marya Komornicka. Juliusz Laforgue.

Lycoperdon Giganteum.

I.

Pewien obywatel wiejski, po obiedzie codziennym, popił czarnej kawy, rozłożył gazetę codzienną i czytał, co następuje:

> ...„Sztuka i literatura niezdrowiem symbolów, chorobliwością ekstaz i nagiem odsłanianiem roznamiętnienia zabójczo działają na duszę, na wyobraźnię i na ideały, jak trucizna. Ojcowie rodzin powinni wziąć się za ręce i zabronić sztuki, która podkopuje wstyd, etykę i rodzinę. Obywatel, zamiast idealnie trawić, truje się tylko“...

— Wlazł na gruszkę, rwał pietruszkę. Nie miej pan o mnie strachu: już ja i tak dobrze trawię. Chcesz, żebym trawił lepiej? — to już nie wiem, coby to było?..

Postawiwszy to zagadnienie, obywatel znów popił kawy, umieścił oko na innej szpalcie i czytał:

> ...„Mury naszego miasta uszczęśliwił arcysympatyczny i miły gość. Jest nim sędziwy autor wielu natchnionych prawdziwem, gorącem ciepłem studyów, który obecnie, jak to nam z jego biurka wiadomo, zajmuje się przygotowywaniem obywatelskiej pracy p. t. „O bezzasadności przeceniania poezyi i artyzmu kosztem wiedzy i nauki“...

— Też ma nad czem pracować! — mruknął obywatel. — Ko-

chasz tak, panie, naukę, to zostań uczonym, a nie przeszkadzaj innemu, kto woli poezyę. Czemu nie ma być i poezyi, jeżeli dobra? Nie ja, to żona przeczyta i opowie mi... Coś psują się te gazety...

Dalej obywatel myśleć nie mógł, bo do pokoju wtargnęło jakieś indywiduum z wyuzdanie, trująco nagiemi łydkami i z cynicznym okrzykiem:

— A to Mania tatuńciowi wysypała tytoń!

Po tem zwiastowaniu, zanim obywatel, wiejskim obiadem pokojowo usposobiony, powziąć zdążył jakąkolwiek karzącą uchwałę, — bezpośrednio za posiadaczem nagich łydek, przybiegła i sama winowajczyni, z zabójczo grubemi, jak dwa powrósła pszenne, warkoczami, i zaczęła tatuńciowi po rżysku brody różowemi usteczkami namiętnie, kazirodczo grabić. Wskutek czego, tatuńcio względem stron, tak oskarżającej, jak i oskarżonej, zastosował rygor niezwłocznego wydalenia z granic pokoju, a zmiętoszoną temi wypadkami gazetę rozprostował i czytał:

> ...„Trudno w Europie o społeczeństwo, któreby posiadało taki dar obrzydzać sobie własną — z przeproszeniem — miskę i psuć sobie apetyt do koniecznej strawy codziennej. A jednak w tej misie codziennej bywają często kąski wcale smaczne i pożywne. Nie sądźcie, abym w obronie swojskich zacierek zamiast pasztetu, swojskich perkalików zamiast obcej nam wełny — żebym chciał pozbyć się „wyższego gustu.“ Nie, ale poco zaraz wydziwiać? Ty sobie, grymaśniku, znajdź jaki smaczny i pożywny kąsek, zjedz sobie rosołku, ćwikiełki, flaczków — z przeproszeniem — posil się we własnem korytku, a potem możesz sobie i pomarańczkę kupić i nawet sam po nią pojechać. Ale ty zaraz grymasisz: a gdzieindziej tak, a gdzieindziej owak, a to ja wolę nic nie jeść niż swojskie — z przeproszeniem — paskudztwo — mówisz?.. A fe! A to tylko źle wychowanym dzieciom zachciewa się czegoś innego, lepszego! To wam by się chciało w zimie majowego — z przeproszeniem — słonka, kiedy macie ciepły piecyk? A po co to? a na co to?“..

— O, tak mi, panie, pisz, to rozumiem! Flaki? — dobra rzecz!.. Ćwikła — mój klejnot, symbol zdrowia, z kruchym kawałkiem — pi, pi!.. Dobre i swojskie. O takiej mi sztuce pisz, a nie o jakichś tam faramuszkach...

Tu obywatel pochwałę swojskości narkotykiem cudzoziemskim, ale od czasu wojen krzyżowych unarodowionym, zalawszy, cmoknął i czytał:

> ...„Co się tu dziwić chłopu ciemnemu, skoro nawet inteligencya postępuje z cudzą własnością w sposób barbarzyński. Proszę tylko częściej bywać w gabinetach publicznych i przypatrzeć się lustrom, w których się rżnie brylantami, że do właściwego, obywatelskiego użycia są niezdatne“...

— Pięknie jucha stylizuje — rzekł obywatel: — ale czy lustra, czy gabinety, czy brylanty do użycia niezdatne? I to wyrażenie „obywatelskiego użycia“!.. Tak jakby obywatel już zawsze tylko używał. Jak obrodzi, to czemu nie? Na to człek haruje, żeby sobie mógł czasem pozwolić... A przyjdzie grad, powódź, susza, śnieć, zołzy, motylica, żona, kształcenie dzieci... ładne używanie! O tem byś, psiakość, napisał, że obywatelowi nie już używać, ale żyć nieraz trudno... Patrzcie, jaki mi rygorzysta! Na użycie obywateli będzie wymyślał!.. Rżną brylantami.. proszę — też powód do artykułu! Rżną, to niech rżną, to rzecz gospodarza... Zresztą... samiśmy rżnęli po pijanemu i nikogo o to głowa nie bolała, przeciwnie... Jaki mi Cyceron... te — Katon gabinetowy!.. Cóż tam jeszcze?

> ...„Dbałym o dobro publiczne przypominamy, że za trzy niespełna miesiące przypada dwudziestopięcioletni jubileusz sympatycznego naszego specyalisty od dłubania palcem w nosie ogółu, Amfibiusza Ogółoducha, który przez cały przeciąg swego zasłużonego pasma dni nie kaził prawdy marzeniem, i dorobiwszy się znacznej fortuny, nie przestał jednak jej przymnażać, służąc pod sztandarem ogólnego dobra. Komitet jubileuszowy projektuje, aby“...

W tem miejscu obywatel, oczytany tem wszystkiem i chwiejący się zlekka, wyszedł do ogrodu, dla przemijającej, aczkolwiek użytecznej i — powiedzmy nago — niezbędnej potrzeby. Tam gdy ze zmiętą gazetą za klombem smrodyniowym siedział, spojrzy w bok — aż tu coś okrągłego i bielutkiego wygląda z trawy.— Ki dyabeł?.. Kolano Fra... — nie, to, psiakość, purchawka niezawodnie... Tak. Ale urosła szelma!

Jakoż była to dziwnie, niesłychanie ogromna purchawka. Rozmiary jej uderzały jak sensacyjny wypadek, twardzizna jej pełna

była niewytłómaczonej jakiejś sprężystości wewnętrznej, białą wreszcie, jakby w śmietanie ubabraną i okrągłą wypukłość nadzwyczajnej tej istoty chciało się poprostu nakryć bodajby dłońmi: tak była naga, mimo całej swej niewiedzy grzechu.

Obywatel, jako posiadacz większej własności, poczuwając się do dbania o dobro krajowe tudzież o sławę rzeczy swojskich, którym, jak to świeżo był wyczytał, jacyś nieznani grymaśnicy przyganiają,—natychmiast kazał purchawkę zapakować w otręby, i w wielkiem pudle wysłał ją do redakcyi, z następującym listem:

Fetory Wielkie, d. 15 b. m. 1903 r.

Kochany Redaktorze!

Pamiętasz Redaktor, jak-eśmy to przy obchodzie jubileuszowych latek pewnego, dziś już w ziemi spoczywającego węgrzyna, ubolewali nad kiepskiem jeszcze u nas zamiłowaniem krajowych, powiększających narodową sławę, osobliwości. Choć od lat tylu, gazeta wasza, podnosząc i z obywatelskiego oświetlając stanowiska wszystkie zbrodnie, skandale i rarytety, gorąco w tym kierunku działa, przecie dotychczas nie mamy jeszcze własnego *panopticum*, że aż musi je zastępować sama wasza redakcya, zawalona i tak już innemi sprawami publicznego dobra. Posyłam obecnie purchawkę, urodzoną i wychowaną w mojem dominium, Fetory Wielkie. Urosła szelma, co? Zajmijcie się jej losem, bardzo proszę i polecam. Co można, to się dla kraju robi. Nie idzie mi o reklamę, ale kilka słów ciepłych od siebie możecie wydrukować. Przy sposobności, to tam tego ten... Co się też stało z ową, mającą kształt słonia rzodkwią, o której tyle mówiono w swoim czasie? Co porabia olbrzymi kartofel, który wam przed dwoma laty posłał mój sąsiad z Zafajdanówki? Pewno zniszczało to? A szkoda: jedno z drugiem — byłaby już kolekcyjka.

Rękojeść kochanemu Redaktorowi ściskam.

Sobiesław Ćwikła.

P.S. Nagadaj też tam Redaktor swojemu feljetoniście, który, zamiast o pilniejszych potrzebach krajowych pisać, wymyśla na zepsucie obywatelstwa. Nie wiem, czy ten sam, czy może inny — bo kto was tam po piórze rozpozna, wszyscy jednakowo piszecie — uskarża się, że my jedni w Europie najchętniej plujemy — z przeprosze-

niem — do własnej miski: a to, co on sam — a może to i nie on? — o obywatelstwie publikuje, to jak się nazywa? Nie plucież to?.. Że się nieraz, jak obrodzi, do miasta zajrzy i w gabinecie się butelczynie jednej i drugiej zalakowaną i odrutowaną łebetynę, jak to i sam Redaktor wiesz najlepiej, ukręci, to i cóż? Na to człowiek haruje, żeby sobie dwa - trzy razy do roku w zacnej kompanii wesoło (jak obrodzi) mógł pogadać. Ale to jeszcze nie racya, żeby jakiś tam fe - ljetonista społeczne artykuły z tego robił. Jak się coś podobnego jeszcze trafi, bo pomimo całą moją dla Redaktora przyjaźń, dalibóg przestanę was abonować.

Ćwikła.

II.

Zwykłym, ogólno - dziejowym trybem, po okresie legend, podań, bajek czarodziejskich i tym podobnych niewierutności, nastaje epoka czynów notaryalnych, protokułów historycznych, praw, prawd, zadań, celów i dni codziennych. Wyrosłszy z barbarzyńskich przywidzeń, nieokreślonego wrzenia i nierozsądnych zachcianek, które do dziś nas jeszcze u dzieci tak rażą i które za pośrednictwem urządzeń szkolnych usiłujemy z nich wykorzenić, — ludzkość doszła do zrównoważonego, trzeźwego szczęścia, i każdy, byleby był grzeczny, może je, niby placek, po „smacznym i pożywnym kawałku" co dzień krajać i zjadać, nie dziwiąc się i od wszelkich nadzwyczajności będąc zabezpieczonym.

W dziedzinie stosunków zwierzęco - roślinnych, o ile te kojarzą się z ludzkiemi, rzecz ma się wprost odwrotnie. Istota zwierzęco - roślinna, skoro tylko przeszła realnie prawdziwy i historycznie wiarogodny czas wylęgu, potem wegetacyi słonecznej, następnie zdecydowaności swych kształtów, co właśnie było dla niej codziennem, powszedniem szczęściem, — wnet ją porywają w kołowrot swój tramwaje, gazety, przyrządy fotograficzne, reporterzy, jubileusze, samochody, rauty i kanały, to jest, wogóle rzeczy niezwykłe i oszołamiająco czarodziejskie.

Tak było i z purchawką. Jeszcze wczoraj, w dziewiczości nietkniętej, leżała na wydzierżawionem sadownikowi łożu z traw,

a dziś, pudrem z otrąb pokalana, zaczęła okres dziejów nadprzyrodzonych i bajecznych.

Gdy pudło z nią przybyło do redakcyi, odpakowaniem go zajął się naczelny *wywiadowca*, czyli wybadywacz tajemnic osobistych gwoli ich publicznemu ogłaszaniu. Z wyrazem ogólnie przyjętej uprzejmości, rozlanej na jego ciepłych licach, *wywiadywacz* otworzył pudełko, dopomógł purchawce wygrzebać się z otrąb, a gdy już okrągła i biała jej postać wyłoniła się w całej swojej nagości wiejskiej, otrzepał ją grzecznie i rzekł:

— Proszę siadać, pani będzie łaskawa... Czem mogę służyć? Może czarnej kawki? Tomasz!..

— Nie, dziękuję — rzekła purchawka z wysiłkiem. — Nieco wody, jeśli łaska, ale przegnojonej.

— Tomasz! — powtórzył sylf — skocz-no do pana Miłoskrobskiego po jutrzejszy feljeton o sztuce.

Woźny wybiegł szybko, ale wrócił powoli, stąpając noga za nogą, ponieważ niósł naczynie pełne feljetonu, który jeśliby rozlał, musiałby czyścić podłogę własnym nakładem.

— Podaj pani — rzekł *wybadywer*.

— A jakże *toto* pani będzie piła? — zagadnął Tomasz.

— Czy ja wiem? — szepnęła purchawka. — Tak daleko odbiegłam od natury... a raczej odwieziono mnie...

— Głupstwo natura! — wykrzyknął szef *zapytowców*. — Tomasz, skocz-no do gabinetu po narzędzie, co to go się używa przy niestrawnościach, wiesz... Zaostrzy się kanka, wkłuje w naskórek i *fertig*. Żywo!

I znów woźny wybiegł szybko, a wrócił powoli, niosąc z pewnem, widocznem uszanowaniem „glizdopompę," jak ją nazywał. Przy pomocy tego hydrauliczno-sanitarnego, lecz od czasu wojen krzyżowych unarodowionego, wynalazku, zaczęto w purchawkę wpompowywać feljeton, i niebawem treść onegoż udzieliła się jej co do litery. We wnętrzu wieśniaczki, niby w fonografie (od czasu wojen krzyżowych unarodowionym), zaczęły bulgotać, warczeć, seplenić jakieś ciepło-brzmiące słowa i wnet ułożyły się w takie myślowe *recitativo:*

> „Oddawna już uprawianie sztuki i poezyi uważane jest, nawet przez ludzi poważnych, za objaw nieszkodliwy. Co do nas, i my nie jesteśmy przeciwnikami tych dwóch niepoślednich bądź co bądź czynników cywilizacyjnych, ale, z naszego społecznego stanowiska rzecz biorąc, mu-

simy tu zrobić pewne i stanowcze poniekąd zastrzeżenie. Tak samo jak nauka nie powinna być nauką dla nauki, lecz dla wyrobienia sobie stanowiska, tak również i sztuka oraz poezya nie mogą być ani sztuką dla sztuki, ani poezyą dla poezyi, lecz jedynie i tylko dla uzyskania, dzięki im, posady społecznej z bujnie rozwiniętym dochodem. Niestety, przedstawiciele nowej, próżniaczej sztuki dla sztuki, są to ludzie niezdolni do żadnych posad, żyjący swem nędznem życiem, bez pożywnych i smacznych kąsków, obracający się w szeregu mar i wizyj, nie reagujący na żadne objawy życia społecznego, jak taniec, karty, rauty, klęski publiczne i operetka, lecz zajmujący się swojemi dekadentystycznościami i pesymizmem, który jest w poezyi do najwyższego stopnia deprymujący i przygnębiający; zamiast sztuki z okolicznościami bieżącemi związanej, zamiast ideałów zdrowych, smacznych i pożywnych, upędzają się ci wykolejeńcy za czczem, formalnem pięknem wyrazów, zapominając, że nawet żargonem można wyrazić szlachetne idee, zacne serce i prawy charakter. Wobec tego przypominamy ludziom dobrej woli ich obywatelski obowiązek i proponujemy zabronienie poetom używania pesymizmu, wprowadzenie zaś natomiast optymistycznych kierunków. I dopiero wtedy, zamiast nic nie dającej nam i niezrozumiałej sztuki dla sztuki, mielibyśmy sztukę swojską, ciepłą i przyzwoitą, a więc: w malarstwie — serdeczny oleodruk (NB. i tani), w poezyi — wesołą, zagrzewającą do pracy śpiewkę, w muzyce — dziarskiego mazura lub rzewną operę, a w rzeźbie — pełne naturalnego, panoptycznego realizmu postacie wielkich obywateli z wosku.“

— Dobrze mi... — rzekła purchawka po zastrzyknięciu jej tych zapatrywań: — tak mi jakoś serce urosło...

— Pani będzie łaskawa się rozgościć — zachęcał *wywiedca*: — może tu na stole, a może na oknie, bardzo proszę... Jutro zdejmiemy z pani fotografijkę, a później może jubileusik?.. Ale co to pani?..

Purchawka nadzwyczajnie zbladła i naskórek jej powlókł się jakiemiś zielonkowatemi żyłkami.

— Gdzie tu u was... — szepnęła — gdzie tu u was zlew, spluwaczka lub... coś podobnego?..

— Co? Słabo pani? Mam nadzieję, że... Tomasz, zaprowadź panią!

I znów Tomasz wybiegł z purchawką bardzo spiesznie, a wrócił powoli, prowadząc ją noga za nogą, ponieważ była nader osłabiona. Gdy cokolwiek przyszła do siebie, wódz *rozpytywaczów* podjął zawieszony wywiad.

— Cóż, przeszło?.. Więc ten... więc jubileusik?..

— Ach, wątpię — rzekła purchawka głosem cokolwiek raźniejszym: — jestem jeszcze taka młoda... mam dopiero tydzień...

— Głupstwo, proszę drogiej pani. Jutro się napisze, a pojutrze rzecz zrobiona. U mnie warszawiacy ot tu — na końcu pióra, jak żydy...

W tem miejscu właściciel piórnej potęgi obejrzał się starannie naokoło, a choć już nawet woźny wyszedł uprzątać po purchawce feljeton, i byli samowtór, — ostrożnie, na wszelki wypadek dodał:

— Z przeproszeniem, chciałem powiedzieć — kleksy...

— Niech pan nie przeprasza! — zawołała purchawka: — nie lubię żydów.

— Czy podobna? I zkąd pani może znać żydów, nie znając Warszawy?

— Ach, znam... W ogrodzie, na wsi, był sadownik z rodziną... zbierali same owoce, a purchawki gnietli.

— Pani jednak ocalała?

— Bo rosłam w pokrzywach. Żydzi boją się pokrzyw i lubią tylko rzeczy pożywne i zdatne na sprzedaż. A ja... na cóż ja im zdać się mogę?

— Głupstwo, kochana pani. Właśnie. Bo niema rzeczy tak podłych na ziemi, aby nie mogły stać się przydatnemi... to z Szekspira. Ho, ho! A od czegóż reklamka, ogłoszeńka? Cóżbyśmy robili, my, bez ogłoszeń o rzeczach na nic innego, prócz na ogłoszenia, niezdatnych?.. Ciepły artykulik, wzmianka prosta, później rozumowana, serdeczna, i *fertig*. O, druk wiele może! Czy wiesz, dziecko — daruj mi tę poufałość, ale mój wiek, pozycya... — czy wiesz, że, cokolwiek napiszę, wszystko idzie do druku i wszystko się czyta... nawet niektórzy wycinają sobie moje kawałki i chowają! Co?

— Dziwne — rzekła purchawka, nie wiedząc, jak ma się na to zapatrywać.

— Jakto dziwne? Raczej naturalne — krzyknął autor wycinanych kawałków.

— Naturalnie — zgodziła się purchawka, której było wszystko jedno. *Badawista* odczuł ten niedowład zajęcia purchawki i już

miał się zmartwić, gdy nowa fala *badawizmu* podniosła się w nim i zmyła poczynającą się przykrość.

— Tak, naturalnie — rzekł.—Otóż, wracając do rzeczy... o czem to właściwie?.. A jubileusik!.. Tydzień, powiadasz, dziecko, liczysz? Istotnie, to trochę za mało. Ale, możeby dzień jeden przewlec i wycięlibyśmy sobie oktawkę urodzin, hę?.. A propos, czy posiadasz jaki talent — powiedzmy — instrument?

— Nie rozumiem?

— Czy grasz na czemś rzniętem lub dętem?

— Ach, nie, nie gram. Mogę tylko puknąć, gdy mi kto na brzuch nastąpi, a i to nawet niezbyt głośno.

— Szkoda!.. Szkoda!.. Więc może masz jakie zaczęte prace, jakieś swoje notatki, uwagi o czemś, wszystko jedno jakie i o czem, byle to na coś wyglądało?..

— Uwagi?.. Hm, nie wiem... A może?.. Tak... miałabym, i nawet sporo, do powiedzenia o grzybach, liszajach, różnych pasorzytach roślinnych i drzewnych... i o żydach też, wie pan, na tym sadowniku oparte, bo słyszałam, że wszyscy żydzi do siebie podobni, i dość zbadać jednego...

— Purchawko!.. Swoje uwagi o żydach możesz schować, ale co do reszty — wybornie. Zrobimy z tego studyum heraldyczne, da się tytulik, przypuśćmy ten: „O stopniowem zjadaniu tarczy herbowych przez grzybek drzewny i przez liszaje. Próba krytycznego wywiadu.“ Co?

— Tytuł może za szumny?.. Ja tam tak sobie, bezpretensyonalnie, leżąc w pokrzywach... bez wywiadów, bez...

— A któż wie o tem, dziecko ty moje?.. U nas tu w mieście, co się czytelnikowi podda, w to wierzy, bo sam, uważasz, zajęty życiem codziennem, nie ma czasu na sprawdzanie i na ćwiczenie sic w jakichś tam samoistnych opiniach... Więc zgoda na tytulik?

— Ostatecznie, wszystko mi jedno.

— *All right!* Jesteś wielka, moja mała. Jutro zaraz przedstawiam cię na zebraniu u baronostwa Joachimostwa Familiensztternostwa. Poznasz najsympatyczniejszy salon. Bywa tam trochę arystokracyi, trochę literatury, trochę finansów, trochę ambasady... No, a w oczekiwaniu jutra, spocznij sobie tu na wystawie okiennej. Dla rozrywki, masz tu, oglądaj sobie, szczupłe ale własne muzeum codziennego życia. Oto masz: fotografie różnych obywateli miejscowych i obcych, pojedyńczo i w grupach; oto fotografia z zabawy publicznej, z jednej, z drugiej, z dziesiątej... reszta (pięć ósmych) kłosa - olbrzyma ze wsi Majętnice... fotografia dziewczyny z rybim

ogonem, zmarłej niedawno w Minotauryszkach na Litwie, tomik poezyj sympatycznego autora, którego właśnie popieramy... tabela loteryjna... masz, baw się do jutra.

III.

Noc. Jest już ta pora, o której nieścisłością byłoby rzec: późno, a nie można powiedzieć: wcześnie. Ogół obywateli, po wyczerpaniu zatrudnień gabinetowych, dodom wróciwszy, lubym już oddał się wczasom; już i gabinety nawet pozawierały wrzeciądzy swoich otwartość; już latarnik, z długiem jak włócznia gasidłem, bodąc latarnie i pozbawiając je ognia, przemknął zygzakowato od jednej ku drugiej; już mrok, o sobie zwątpiwszy, ustępował kurzliwemu bielidłu zorzy ulicznej... Tylko w redakcyi, która, wedle warunków prospektu, *światła nie gasić* obowiązana jest, palił się gaz i, aczkolwiek słabo, ale wszechnocnie walczył z ogólną miasta ciemnotą.

W gabinecie, w którym leżała purchawka, dyżurem nocnym zawiadował wywiadowca Ranoskrobski, drzemiąc i kiwając się nad stołem od depesz czyli na drutach robionych wiadomości. Drzemał, ale niekiedy budził się na turkot, zbyt nagle wyrwany z milczenia, lub na zbytni onegoż zastój, — budził się, poprawiał sobie pióro za uchem i znów „liczył żydów,“ którem to wyrażeniem matematycy oznaczają pewien objaw równowagi niestałej, występujący przy rozważaniu liczb nieskończonych. Ale i jego wreszcie zmogły wyziewy codziennej, nieustannej gazetliwości, schylił się do *infimum*, tak, że pióro jego z nad ucha zaczęło kłuć blok od notowania depesz, i z tego mizernego punktu oparcia korzystając, zasnął.

Naonczas, ze wszystkich w gabinecie będących kalendarzy: ściennych, ruchomych, do żdzierania, kalendarzy - premiów, kalendarzy wiecznych, biurkowych, informacyjnych, wywiadowczych, wybadaniowościowych, literackich, artystycznych, leczniczych, nieuleczalnych i innych, — powychodziły dni i zaczęły tańczyć jakiś waryacki, niecodzienny balet.

Purchawka, jako należąca do rzadkiej rodziny nieśpiących, czuwała, bo, chociażby nawet była do snu najpodatliwsza, sensacyjność wszakże dziewicy z rybim ogonem, którąby mogła i nieżywego ze snu otrzeźwić, podniecała ją do gapiostwa. Tak czy owak, pur-

chawka, z otwartemi jak najszerzej oczyma, wpatrywała się w bajeczne dla niej widowisko.

Wszystkie dni, pomimo ciągłych, rannych i wieczornych utarczek redakcyi z indywidualizmem, były odziane w odrębność charakteru, zachowania się i wyglądu zewnętrznego.

Poniedziałki — dni wałkoniowate, ociężałe po niedzielnem nad-użyciu, posiniaczone, z powybijanemi zębami, z pooranym nosem, o zapłyniętych trunkiem oczach, i w wysusfalonym przyodziewku roboczym. Gęsto i flegmisto charkały. Niektóre gnębiła czkawka, a jeszcze inne wymiotowały flakami z ćwikłą i z pomarańczą.

— Spadłe z drzewa, gnijące owoce — pomyślała purchawka, odrywając od nich wzrok i gapiąc się dalej.

Wtorki — dni zdecydowanego czynu pożytkowościowego; dźwigały na krzepkich barkach „młot pracy," w tańcu nim groźne czyniąc wywijasy. Naprężone były i naładowane energią do tego stopnia, że niektóre aż pękały z mniejszym lub większym hukiem i fetorkiem. Napięcie to energii było im niezbędne, jako zapas na resztę tygodnia, przy końcu którego znów im ją maszynami rotacyjnemi wtłaczano; maszyny te, ideowcami zwane, prócz energii, jednocześnie, jako podnietę, wstrzykiwały wtorkom zgęszczoną rozkosz w postaci pełnej miski, kilku kobiet uwiedzionych z następstwami, kilku bez następstw, i jednej do założenia rodziny własnej, po nadwyrężeniu cudzych.

— Dziedzice — przemknęło przez myśl wieśniaczki, i na chwilę ogarnęła ją obywatelska wdzięczność ku Ćwikle.

Środy — ciche, średnie pracownice, do środka tygodnia wgniecione, z dwóch boków otłukane, do poniżeń i terań wszelkich przywykłe, pochylone, brzemienne rezygnacyą i włożoną na nie przez społeczeństwo odpowiedzialnością za nierobaczywy stan potomstwa; niektóre wigilijne, z postem, twarz miały chorobliwie mizerną, ale mimo to uśmiechały się, skacząc pod musem batutników.

— Zupełnie jak gruszki, przy owocobraniu otłukane i trzęsione, — rzekła do siebie purchawka.

Czwartki — bezmyślni najmici do ślepego wykonywania rozkazów, nader cenni jako woły robocze, które, prócz orki, jeszcze zmuszone są hodować mięso na ucztę swym najemcom, ale dostają za to podwyżki, sochy nowe i uprząż, a nieraz i klapnięcia pieszczotliwe, na wydajność sił korzystnie wpływające. Tańczyły powoli, pracowicie i bez wdzięku, wtorkom właściwego; pot im przeciekał przez trykoty na zgięciach powypychane i naokoło goleni obwisłe nakształt obwarzanków; łby miały pospuszczane.

— A to znów będą krowy i woły: chodzą tak niemrawo, że tylko patrzeć, jak który nadepnie.

Piątki — dni wstrzemięźliwości rytualnej, suche, brzydkie, chude, rumieniące się na widok mięsa, sztywnie skromne, wstydliwe przesadnie i robiące plotki na sztukę piękną z mięsem nagiem; każdy piątek był zaopatrzony w liść figowy, na znak prześladowania nieprzyzwoitości, w brzytwę do golenia zaobfitych i nieumiarkowanie bujnych włosów, i w nożyce do wycinania miejsc niemoralnych. Tańczyły z rękami skrzyżowanemi na piersiach i ze schowanemi w głąb' nieetycznemi środkami ciała.

— Ależ te piątki są na nic zepsute — znalazła purchawka, gdyż dla niej zepsuć się — znaczyło wyschnąć.

Soboty — przepracowane łachmaniarki, w sukniach wyszarzanych, pomiętych, brudnych, gorączkową nadzieją wypoczęcia i zamożności wstrzymywane od upadku; niektóre, słabsze, znieść pracy tygodniowej niezdolne, w oczekiwaniu jutra niedzielnego, porozpuszczały już włosy, ubiór i obyczajność, i tańczą wściekle, w niedbałych, bezwstydnych pozach, z nieprzytomną biernością ulicznych nierządnic i z jednem, jedynem, czujnem i czynnem pragnieniem zysku.

— Podobne do sadownika i pachciarza: nędzne to, ale chciwie zbiera owoce i nie ceni trawy, ani powabu listka, ani wdzięku purchawek...

Niedziele — kobiety już całkiem rozpustne, do wszelkich mięs rozgrzeszone, społecznym światowościom oddane, do zabaw należące publicznych, prywatnych i ściśle gabinetowych, w dobranem kółku z niewielu, najwyżej dwóch - trzech ogniw złożonem, i przy drzwiach zamkniętych. Postrojone były w jedwabie i koronki, najprzeróżniejszemi woniami skropione i mieniące się od klejnotów. Ich taniec był pozornie bez brykań, bez łamania się w pasach, bez drgawek bioder i bez sięgania sobie paluszkami nóg do czoła; ale postawą, oczyma, ruchem ogółu linij oraz jakiemś takiem milczącem przystaniem na najnieprzystojniejsze zamiary i cele, doprowadzały tancerzów swych do wyłażenia ze skóry czyli z trykotów, i do roztaczania przed niemi najgorętszych mimicznych zakochaności.

— A to znów niby motyle, takie ładne i różnobarwne — szepnęła purchawka, czując w sobie napływ nostalgii za rodzinnym ogrodem... — motyle, gonione przez dziedzicowe dzieci... I niewiadomo, co ładniejsze: czy te motyle do fruwających listków podobne, czy ta dziedzicówna ze słomianemi, kłopotliwie dużemi warkoczami i z bratem o czerwonych, podrapanych łydkach, za nią biegającym. Żeby jeno nie zapędzili się pod kierz i nie zgnietli... Szczęśliwe —

one: sadownikowi nie wolno ich deptać, a pewno i pachciarz ma to zabronione... Czemu sadownicy tak nie lubią purchawek? Pewnie dlatego, że tacy brudni i czarni, a one — białe... Raz, gdy dziedzicównie zdarzyło się upaść tuż przy jej krzaku, widziała białą spódniczkę i bielsze a może tylko żywsze ciało dziewczynki, i porównała je z białością swoją: była bielsza ona, purchawka... Dziedzic, ten na niej umiał się poznać i przysłał do miasta. Czy to lepiej?.. Żal jej wsi, ale tam nie dziś to jutro by ją zdeptali, a tu poznała się z grzecznym panem i wykształconym jakimś... Sławę jej zapowiedział... Cudowności tu można oglądać... A co do owoców... innych, prócz kłosa zniszczonego i dziewczyny z rybim ogonem, nie widać, ale pewno gdzieś być muszą, bo gdzie owoce tam i żydzi, a tych tu pono nie brak, przynajmniej ze słów grzecznego pana to widać... Tylko muszą być dla purchawek lepsi od sadowników: inaczej grzeczny pan nie obiecywałby ich poparcia...

Balet tańczył. Na tle siedmiorakich dni tygodnia odrzynał się kierowniczy sztab dygnitaryatu: baletmistrze, pracobiorcy, tancmajstrzy, batutowcy, dyrygenci, wskaziciele, reżyserzy i obyczajnościowo-pięknościowościowi krytycy.

Role tych najważniejszych w balecie osób odgrywane były przez wszystkie doroczne festyny okolicznościowe, jako to: jubileusze (z mów deklamacyjnością, ze szlachtowaniem stu byków, z ogniem bengalskim, z urostem serc i z notaryalnem uznaniem); składkowe obchody (z truflami, majonezem, „pomarańczami,“ ostrygami i ze złożeniem srebrnej papierośnicy); rocznice (z nawałem powinszowań, całujących warg, opłyniętych dostojeństwem lic, uwłosień posiwiałych pod brzemieniem zasług i gorącego ciepła); imieniny (z laurkami dzieci, z wystawnym obiadem, z dopuszczeniem biednych ciotek, z popisami kuzynków, z win nadużyciem, z tańcami i z potajemnem rzyganiem); oktawy (z tłustemi środkami matron, z prawicami poetów okolicznościowościowych, krytyków społecznościowościowych i wywiadowców pięknościowościowych); kommemoracye czyli przypominki zasług „niezapomnianych“ (z wydaniem dzieł na korzyść wydawców i z fundacyami na chwałę inicyatorów); zebrania kawalerskie (z kawalerkami, z opowiadaniem anegdot nieprawdopodobnie ożywiających, z jałmużniczem potrącaniem historyi oraz literatury, z poezyą pornokryficzną, z pijackiem żądaniem wskazań etycznych i z rzyganiem jawnem); tłumne zbiegowiska (z gnieceniem żeber, z rozdeptywaniem dzieci i nagniotków, z obrywaniem pół i całości, z wyrzucaniem kapeluszy, z puszczaniem i chwytaniem wianków)...

Dni te przewódcze, z dawien dawna zasobnemu i wylewne-

mu poświęcone weselu, ale na trzeźwo pełne godności i uroczystego namaszczenia, teraz, wziąwszy się pod boki, naczelnikowały, każąc dniom codziennym zwijać się i starać, popędzały je, nagliły i stosowały do nich różne imperatywy, do harców i kołowań podniecające.

Muzykę do tego baletu świąteczno - codziennego stanowiło brzęczenie szyb okiennych, turkot uliczny, łomot maszyn rotacyjnych, stukot zegarów i chrapanie dyżur mającego wywiednika, który jednakże budził się czasem i poprawiwszy pióro, z za ucha mu wypadłe, znów brał się do liczenia żydów, ślepy i głuchy na wszelką fantastyczność dziwaczną i niepożywną.

A purchawce, choć purchawki nie sypiają, zdawało się, że śni — tyle to widowisko nocno - ranne miało w sobie stron niewytłómaczonych, ani w porównaniu z cichym bytem wsi, ani nawet przy zestawieniu z życiem miejskiem, przynajmniej z tem, które poznała dotąd, — życiem w takie nadzwyczajności zasobnem, jak dziewica z rybiem przedłużeniem chrząstki ogonowej.

— Rrrrrrrrond! — krzyczeli odświętni wodzirejowie. — *Tour des jours! — A demain! — Travaillez! — Journaillez! — Avancez! — Saluez vos patrons! — Aboyez contre la lune! — Taisez - vous! — A deux pattes!..*

Brzęczały szyby, turkot dolatywał z ulic, huczały maszyny rotacyjne... A niekiedy wszystko cichło. Wówczas wielki redakcyjny czasomierz z wyrachowaną tendencyą i taktem cykał: tek - tak! tek - tak! tek - tak!

Fantasmagorya ta, ku zachwytowi purchawki, trwała w najlepsze, gdy wtem, z przestrzeni zaokiennej rozległ się donośny, rozkazujący gwizd, jeden, drugi, trzeci... dziesiąty... a w gwiździe tym najwyraźniej słychać było wyraz: s - iiiiiii - ła!

I musiało zawierać to gwizdane hasło jakąś potęgę, skoro na wrzask jego ostrego wycia, rozpląsany, rozkołowany balet, nagle, jak gdyby go przekłuto, zamarł, oddał powietrzu redakcyjnemu tchnienie i wrócił do swoich służbowych w kalendarzu przeznaczeń.

Na mieście było już widno. Turkot wzmógł się. Gwizdały fabryki... Purchawka widziała przez okno, jak w zasusfalonych, obwarzankowato zwisających ubraniach szły gromadkami niewyspane, gorączkowo śpieszące się, ze sterczącemi w kieszeniach lub niesionemi blaszankami — czwartki. Szły one w kierunku tkwiących za miastem, jak olbrzymie włócznie, kominów fabrycznych, które dymiły i dymami zagaszały młode, zorzane niebo.

Zbudził się i Ranoskrobski, ziewnął, podszedł do ściany, zdarł z kalendarza *wczoraj* i rzucił je w kosz redakcyjny, jako rzecz na nic już nieprzydatną, prócz chyba na wspominki, oktawy i rocznice.

W miasto wszedł *dzień dzisiejszy*, zastosowany do wszelkich wymagań „społecznej“ sztuki miejskiej. Więc niebo było chwilami całkiem pozbawione pesymizmu, a jeżeli napływały jakie chmurki, to nieliczne i, z najwidoczniejszem zaznaczaniem swych pogodnych dążeń, przybierały układ skromny, bez wyskoków, bez cudacznych symbolów i alegoryj, bez „wypotworniania“ form zwykle używanych, i o kolorycie najbardziej przechodzonym — asfaltowym. Co do słońca — trzymało się ono ściśle wskazań ustopniowanych ciepło-metrów, zdrowych, nie zwyrodniałych jeszcze, z pospolitym, przez wszystkich już przyjętym zasobem rtęci i próżni. Drzewa nawet, gwoli nadaniu im cech uspołecznienia, były przycięte, odrutowane i powleczone szarym kurzem, snadź dla zatarcia barw żywszych, mogących coś wyrażać; natomiast wszystkie były piętnowane, ażeby się im nazawsze odechciało jakichś modernistycznych odświeżań. Takie same piętna powyciskane były na kamienicach, na dniach w kalendarzu i na numerach gazety, a to gwoli trwalszemu urostowi obywatelskich optymizmów.

Takim to dniem porządnym, jakoteż *białością* kawy rannej, ogół, do wielkich, o szerokim oddechu, wzruszeń moralnych usposobiony, czytał:

> ...„*Olbrzymia purchawka*. (Oddech pierwszy, zapowiedni).
> W oknie kantoru *głównego naszego pisma* pomieściliśmy olbrzymich rozmiarów purchawkę — *Lycoperdon giganteum*. (Oddech drugi — budzicielski, trzeci — ciekawościowy, i czwarty — zdumieniowy).
> Wyrosła ona w majętności JW. Ćwikły, Fetory Wielkie. (Oddech piąty—pamięciochłonny, i szósty — swojsko-dumnościowy).
> Purchawka ta wyrosła przed tygodniem w ogrodzie. (Oddech siódmy — genetyczny).
> Tamże można dostać buraków ćwikłowych na *hurt* i na *detal*. (Oddech ósmy — oktawa).

Skoro wzmianki tej doniosłość przeniknęła w obywatelstwo — a przeniknęła szybciej, niźli spożyta, łącznie z zakąskami, kawa podniecająco-zdawczy swój odbywa przebieg,—natychmiast ku redakcyj-

nemu oknu zaczęły się pochody z wyrzucaniem czapek, z urywaniem falban i poł, z gnieceniem i chrzęstem całości spódnic, jakoteż z rozdeptywaniem dzieci. Drąg z mosiądzu, aczkolwiek dętego, wszelako dość stanowczą kładł tamę przed naciskiem rzeszy; inaczej obywatelowi, pilniej wglądającemn w bieg wypadków, trudno byłoby ustrzedz się złowróżbnych przewidywań co do niezbitości szyby okiennej, na której i tak już jakiś ulicznik, z ciżby korzystając, wyrżnął brylantem ten zagadkowy i niewiadomo co oznaczać mający dwumian: „Pukawka Warszawska.“

(Dokończenie.)

Jan Lemański.

GLOSSY.

Rozstrojowcy i zamętowcy. Niezmiernie leniwo odbywa się u nas przewrót w poglądach na twórczość artystystyczną, na literaturę i sztukę. Wprawdzie już nikt nie zastanawia się nad tem dyabelnie trudnem zagadnieniem, poco istnieje poezya i rychło-li zaniknie zupełnie ten szczątkowy zabytek średniowieczny. Wprawdzie trzeba przyznać, iż Brandes nawet u nas zostałby wyśmiany, gdyby znów wyruszył w pole przeciw powieści historycznej. Lecz, że sztuka jest skarbcem najcenniejszych klejnotów kultury ludzkiej, że istotnie może otwierać nowe dale i ukazywać nieznane tajemnice, że może rozpłomieniać i krzepić mdlejące Życie, że może wyszczytniać i koić dusze ludzkie: — o tem po dziś dzień żadnemu człowiekowi „rozsądnemu i poważnemu“ ani się nie śni.

„Stara, dobra szkoła“ w dalszym ciągu gorliwie stosuje sztukę do przemysłu, zalewając strugami mdłej wody kolumny tygodników; grassanci felietonowi w rodzaju A. Gruszeckiego lub W. Gąsiorowskiego pracowicie zapełniają nienasycone odcinki pism codziennych; w prasie warszawskiej obchodzono solennie uroczystość setnego przedstawienia „Wicka i Wacka“; ilość „nawróconych,“ którzy się wyrzekają „dekadentyzmu“ i wszystkich spraw jego, wzrasta powoli, lecz statecznie; a wiecznie czujni reporterzy, którzy, jak żórawie, aby nie usnąć, dzierżą kamień w... ręku, nieustannie ostrzegają wiejskie dwory i miejskie zaułki przed „anarchią, oraz rozkładem w życiu i literaturze.“

Po stronie przeciwnej, dokoła nielicznej garstki idących samopas twórców - samotników, tłoczy się ciżba pstra i wielce różnorodna. Zda się, jakgdyby starożytny Pan ocknął się ze snu i graniem na swej fletni zniewolił ją do pląsów. Przodem idą ludzie o dużych, niekiedy wprost potężnych talentach, lecz niezawsze świadomi dróg swoich i pewni swoich celów. Za nimi przewala się tabor ciurów, arlekinów, strojnych w cudze piórka, snobów, kabotynów, żądnych rozgłosu za każdą cenę, grafomanów, poławiających „nastroje," jak śledzie ciągnące ławą, tudzież erotomanów, którym się zdaje, iż najlepszem przygotowaniem do twórczości jest dokładne wtajemniczenie się we wszystkie *arcana* Venus Vulgivagi. Ścierają się pokątne zawiści i małostkowe ambicyjki; walczy się złośliwostką, a nawet paszkwilem; dziś obwołuje się wodzem swym Wyspiańskiego, jutro przysięga się na imię Kasprowicza, a pojutrze miłuje się Żeromskiego; napełnia się kawiarnie stronniczą wrzawą, od której więdną boskie uszy Pana; wędruje się z „modernistycznemi odczytami o podkładzie wybitnie swojskim" od miasteczka do miasteczka, a gdy się dusza rozkołysze i roześni, marzy się o idealnych *tingel-tanglach*, w których, ku uciesze, tudzież zbudowaniu P. T. gawiedzi, będzie się dymiło na złotej misie ociekające świeżą krwią serce ludzkości.

Poza tem „tworzy się" bez wytchnienia, bez miary i końca. „Nowa sztuka" staje się tak samo przedmiotem handlu, jak wszystko inne. Dla miłego grosza bezcześci się lichemi przekładami arcydzieła obce — (nawet „młodzieńcy z pism codziennych" powołują się już na Baudelaire'a, nawet nasze „panny Rachele" czytują już Poe'go) — i pisze się powieści, w których — o, zgrozo! — nawet psi zaglądają ze wstrętem do wilczych dołów swych sumień, skomląc żałośnie z jurności i tęsknoty. W pościgu za jednodniowym rozgłosem kleci się mozolnie rozmaite jasełka i misterye, zawodzi się fałszywie inkantacye do absolutu, wystawia się dramaty, ziejące przejaskrawioną pstrocizną, albo na zmianę niemal nudniejsze od „Kajetana Oruga," i wydaje się — wydaje pośpiesznie „zbiorki," „tomiki" i „serye" — koniecznie z portretem autora.

O skupieniu się, pogłębieniu, oraz tem duchowem dostojeństwie, które szczeremu twórcy każe przedewszystkiem przestrzegać własnej samodzielności i nie sięgać po nieswoje myśli, czy uczucia, niema mowy. Mniej wybredni, a może jeno więcej naiwni czerpią bez skrupułu ze Słowackiego, tudzież polskich poetów współczesnych. Inni, przebieglejsi i więcej oczytani, „zapożyczają się" do najdrobniejszych szczegółów u mistyków średniowiecznych, u mało u nas znanych poetów romantycznych niemieckich, lub u naj-

nowszych, a więc jeszcze nieznanych, pisarzy francuskich. Nietzsche i Maeterlinck dostarczają pięknych zwrotów, Ibsen wątku do dramatów. W ten sposób w purpurę cudzej chwały przyobleka się własną pustkę i małość.

Do niedawna wyczuwano wszędzie *odeur de la femme*, obecnie nawet nad kuryerkami unosi się *odeur de l'éternité*. Sprośne fauny poufalą się z nieskończonością, baraniogłowe satyry stają na straży świętego Graala i wyciągają plugawe łapy po złote jabłka Hesperyd. Symbole, pełne wielkiej grozy i nieogarnionej tajemnicy, przechodząc z rąk do rąk jarmarcznych przekupniów, wytarły się, jak pieniądz, na którym ongi widniało wyobrażenie Króla - Ducha. Aby osiągnąć pozory oryginalności, rozluźnia się i rozwichrza złotogłowie najszlachetniejszych form poetyckich, mąci się niezdarnie kryształne przezrocza prozy, „wali się pięściami we wrota wieczności,“ wrzeszczy się, zamiast mówić. Dla „szerszych kół czytelników“ ma to do złudzenia naśladować żywiołową bujność, tudzież nieokiełznaną moc twórczego ducha. Atoli przedewszystkiem do twórczości dają się zastosować słowa Goethe'go: *Alles, was unsren Geist befreit, ohne uns Herrschaft über uns selbst zu geben, ist verderblich.*

Co prawda, pewien wybitny pisarz wyświecił niedawno „PANA Wolfganga von Goethe“ publicznie z Warszawy i wysłał go na Olimp między „Hofraty.“ I słusznie mu uczynił. Bowiem ów banita w niepojętem zaślepieniu śmiał „smażyć sobie mózg nad teoryą barw, a swojemi pseudo - klasycznemi, ckliwo - pasterskiemi poglądami na świat Hellady spaczył drogę geniuszu Schillera.“ (Dziwnie wątły geniusz, skoro dał się innemu spaczyć; lecz to drobnostka). Co gorsza, zuchwale hołdował „tak zwanemu klasycyzmowi, to znaczy: duchowi codziennej powszedniości, praktycznego rozumu, praktycznych ideałów i rzeczywistości,“ a zgoła nie przeczuł i nie uczcił „nagiej duszy,“ którą o c z y w i ś c i e wieścił Mickiewicz w *Collège de France*, o której — r z e c z w i a d o m a — marzył Plato, do której n i e w ą t p l i w i e tęsknili Novalis i Słowacki. Zwarty zastęp tych „romantyków“ ze wzruszającą gotowością dopomagał owemu pisarzowi do wyświecenia „Hofrata“ z murów grodzkich.

Przytoczyliśmy ten zabawny epizod na dowód, jak znikomo objawiają się nieraz dążenia do nieznikomości. Z tołstojowskim fanatyzmem odtrąca się precz naukę i nieoględnie zrywa z wielkiemi tradycyami kultury, zapominając, iż „zabójczą i samobójczą jest literatura, gdy przestanie iść naprzód w jednym rzędzie z wiedzą i filozofią.“ (Baudelaire).

Dla nas artysta winien być przedewszystkiem duszą „wiecznie

w sobie pracującą," która tworzy z tą samą przedwieczną koniecznością, z jaką wirują po swych koliskach ognie niebieskie. Wszystko inne jest obojętne i nieistotne, nawet „moralność dzieła sztuki", bo *jedes Kunstwerk hat seine Moral, aber diese Moral hängt von dem ab, der sie sieht* (Hegel). Lecz ta dusza sprzeniewierza się sobie samej, gdy dla poklasku, szczęścia, sławy, lub jakichkolwiek innych pobudek zatrzyma się w pędzie, gdy przestanie: *non fumum ex fulgure, sed ex fumo dare lucem.*

Impotenci uwielbienia. Dążenie do doskonałości jest żywiołem cennym — zawsze, nawet gdy nieświadome, zbłąkane, zwichnięte, — nawet w opłakanych parodyach szczątkowości, zwyrodnienia, lub perwersyjności. Oznacza ono bowiem niezmiennie istnienie w gromadzie lub jednostce ŻYCIA, tego źródła wszelkiej możliwości, zatem i *dobra,* — w przeciwieństwie do MARTWOTY, która jest brakiem wszelkiej możliwości, czyli brakiem możliwości dobra, czyli, zatem, zasadniczem *złem.*

Oznacza ono coś więcej jeszcze: poczucie mniej lub więcej głuche czy bystre ideału; posiadanie w stanie mniej lub więcej szczątkowym czy żywotnym, owej *busoli wewnętrznej,* zwróconej ku magnetycznemu biegunowi Ducha, o której wspomina autor głośnej *Trilby* w swym *Marsyaninie,* busoli, która swych pilnych badaczy wiedzie nieomylnie do mądrości, gnuśnym swym posiadaczom zasnąć nie daje wedle życzeń w roskosznym gaju zadowolonego głupstwa, a rozespanych wodzi jak baśniowy chochoł po naprzemian uciesznych i żałosnych wertepach „komedyi pomyłek". — Do tej ostatniej zaliczają się wszystkie niecierpliwe potykania się w ciemności i Grabcowe awantury, wszelkie także błagi, pozy, obłudy (te „hołdy mimowolne przed cnotą"), utajone bezsilne wściekłości i demonstracyjne tony lekceważeń i zamilczeń... wszelkie, jednem słowem, świerzby, kłucia i konwulsye *fałszywej ambicyi.*

Na mocy powyższego, cennem przeto nazwiemy dążenie do doskonałości, ujawniane przez pewną kategoryę „krytyków" i „przodowników" opinii estetycznej...

Wprawdzie zarzucą nam na samym wstępie bujną co do tej w nich dążności imaginacyę... Zarzut odeprzeć łatwo. Wsłuchajcie się tylko bacznie w ducha naszych koncertów krytycznych... leitmotivem ich (po za ubocznemi tematami natury mniej szlachetnej) ukaże się nieodmiennie, żadnemi waryacyami stłumić się nie dająca, zwycięzka melodya *fałszywej ambicyi.*

Ah, zaiste, ambitna jest nasza krytyka, a ta ambicya znajduje swój pełny wyraz — W POZIE KRYTYCYZMU.

Jak wszelka poza, jest i ta niewolniczem naśladownictwem pewnego *szablonu* idealnego, — w przeciwieństwie do szczerej (że użyjemy tu terminologii Peladan'a) „*autodydakcyi*,“ której przyświeca *autoprototyp* żywy, indywidualny i, w miarę wewnętrznego rozwoju samotwórcy, rozwijający się w piękność, moc, wyrazistość. — Szablon władający wyobraźnią naszych krytyków jest mętną, chaotyczną wizyą *absolutnego ZNAWSTWA*, którą — niechaj im to w braku istotniejszych zasług policzonem będzie za zasługę, — starają się wcielić w siebie, w sobie urzeczywistnić. — Usiłowaniom tym możnaby tylko przyklasnąć, gdyby nie niwecząca ich rdzeń żywotny okoliczność, że skierowane są jedynie ku zdobyciu pozorów onego znawstwa — oraz wiary tłumu w tych ostatnich rzetelność. — Niepomna Sokratesowego na skuteczność blagi przepisu, — a ze znanej maksymy o mozołach sztuki a krótkości życia wyciągnąwszy tylko wniosek cyniczny, — krytyka owa obrała drogę realizacyi w jej mniemaniu najskuteczniejszą, — drogę prostackiego udawania i przejrzystej hypokryzyi. — Zbyt gnuśna, by nawet w przewodniego szablonu spojrzeć głąb' istotną, zanotowała po reportersku jego uchwytne dla niej cechy, — poczem, wedle tego patronu, jak małomiasteczkowy elegant, naśladujący stołecznych bywalców, skroiła sobie swój fason krytyczny...

Chcąc w jednym, górującym rysie streścić ów szyk krytyczny naszej parafii, powiemy, że dostojne to grono żywcem przeniosło do piśmiennictwa modne, podobno, chwianie się na nogach współczesnej „złotej“ młodzieży *). — Zowie się to w gwarze przyzwoitości wszechdoświadczeniem, przesytem, zblazowaniem, — *nil admirari.*

PRECZ Z UWIELBIENIEM! — Oto zasadnicze przykazanie, oto najwyższy przepis dobrego tonu, oto kamień węgielny gmachu głupstwa, gwałtu i znieważeń, wznoszonego dzień za dniem przez mniej lub więcej świadome, jadowite i sprawne pióra.

Zkąd to hasło? — Wyrywa się ono głosem dynamicznych stwierdzeń z szeroko w społeczeństwie rozkrzewionego mniemania, że UWIELBIENIE PONIŻA.

Jakim sposobem ta najwyższa, najczystsza, anielska potęga duszy ludzkiej, ta święta strażniczka najtajniejszych przybytków

---

*) Znamienna ta solidarność *stempla duchowego* wśród różnych kół jednoczesnego społeczeństwa otwiera nieprzejrzane perspektywy, w które jednak zapuszczać się tu nie możemy.

Piękna mogła się w oczach otumanionych okryć hańbą? — Szukając przyczyn tego potwornego zjawiska, trafiamy już nie na jedno, ale na cały system źródeł, źródeł mętnych, nędznych, utworzonych przez ogólne już i chroniczne wyziewy i opady zdziczałego, znieprawionego, „ginącego świata.“

Więc naprzód, oto smok PRÓŻNOŚCI, ten zwyrodniały potomek DUMY; próżność, która jest gnuśnem łakomstwem zaszczytów bez zasługi, tryumfów bez mozołu, i która — wobec fatalnego prędzej czy później fiasca wygodniejszych od szczerego trudu intryg, matactw, manewrów protekcyjnych — przegniwa w złożądną, gorzką, nędzną *zawiść* dla zwycięstwa wartości rzetelnej. — Otóż uwielbienie, będące boską roskoszą serc prawych, zamienia się zazdrosnym w rózgę tortury, zdolną tylko rozwścieklać pożerającego ich węża pożądliwości bezsilnej.

Powtóre, oto zbiorowa atmosfera wielu takich indywidualnych, rannych próżności, wrogich sobie w zasadzie, lecz solidaryzujących się z tajemniczą logiką wobec wspólnego niebezpieczeństwa, odczutego w zjawieniu się ISTOTNEJ WARTOŚCI. — Wzajemne wobec niej krzepienie się lekceważeniem, szyderstwem, tanim dowcipem, wytwarzanie kłamnej suggestyi zbiorowej, która się ma przeciwstawić oczywistej prawdzie.

Potrzecie, tych próżności błahe i przekrętne zapatrywania na punkt widzenia i zadanie krytyki. Zupełna niewiedza jej istotnego posłannictwa, którem jest gruntowanie Królestwa Piękna na ziemi, zwiastowanie tłumom Piękna w dziełach zawartego, zaś ich twórcom — nowych tego Piękna ziarn potęgi, wsianych często bezświadomie w miazgę już świadomą. — Ale aby pojąć niesłychaną, jedynie istotną wagę tego wprost świętego wobec ludzkości *obowiązku krytyka*, trzeba go przedewszystkiem zrozumieć względem siebie, trzeba duszę swą uwolnić od wszelkich rop nałogowego myślenia, czucia, pozy, poddać ją pod wielki, ożywczy wicher bezpośrednich wzruszeń, szczerego odczucia, stać się na piękno wrażliwym, oczy otworzyć na bezmierne jego krainy, *wiedzieć, że krainy te istnieją*. A o tem właśnie nie wiedzą owi „krytycy.“

Obowiązek pozytywny jest dla nich martwą literą. — Obowiązek negatywny — augiaszowy — biorą za całość zadania, — i otumanieni złą wolą i lenistwem, przecudacznili go tak nieprawdopodobnie, że oddane im stajnie oczyszczają z koni, a zapełniają uroczyście nawozem...

Rozległość erudycyi, obowiązującą krytyka, przepojęcili w swych gnuśnych, fuszerujących mózgownicach na komunał, że „niemasz

nic nowego pod słońcem;" — *bezstronność wszechwrażliwości, wszechsympatyi* — na tępość zobojętnienia; — bystrość rozróżnienia — na polowanie, łowienie błędów przez nierzetelnego belfra w ćwiczeniu egzaminowanego; — niezbędność szczytnego punktu objęcia — na ganienie, lekceważenie, podeptanie, gramolenie się w jakibądź sposób, choćby na brzuchu i czworakach, na wierzch zmiętego, znieważonego, spotwarzonego dzieła, — by z tej rzekomej wyniosłości opluć je ględzeniem bez związku, lub przebiegle oślinić wężowemi pochwałami, w których Tartuffe z Apellesowym szewcem kojarzą się w istotnie „modernistyczne" monstrum.— W hołdzie przed istotnem dziełem widzą, znieprawieni egoizmem najczarniejszym: egoizmem ducha, — tylko *danie przewagi nad sobą autorowi*... ostatni wyraz prywaty intelektualnej. — W najlepszym razie, uwielbienia broni im obawa pozoru naiwności... Gminność zawsze lęka się prostoty, parweniusz nie ufa swemu *laisser aller,* obłuda, w trwodze przed rewelacyą szczerego ruchu, zamyka się w błędnem kole, które w końcu ścieśnia się aż do obwodu pętlicy...

Goniąc pozory *znawstwa*, przeoczyli, że jest ono nie szukaniem zła, lecz rozróżnianiem dobra, — aby dobytem z nieprawych sąsiedztw, wyosobnionem od lichoty, otoczonem promienną chwałą, — *radować się, napawać*, w uwielbiającej kontemplacyi, w boskim trudzie docierania aż w głąb' jego zachwycającej tajemnicy. — Usiłując *wydać się* krytykami, przyjęli za hasło i warunek to, co jest absolutną negacyą zasadniczego warunku istotnego krytycyzmu; racyą bytu bowiem, duszą krytyki jest właśnie to *uwielbienie,* które w ślepocie swej przeciwstawiają jej *jako naiwność*...

Poczwarte, — na owo hasło: *„Precz z uwielbieniem"* składa się — przed rozstrzygającem zjawiskiem piękna, na wierzch z intelektualnego zaniedbania wypływająca — *niepewność własnego sądu*, głuche poczucie swego barbarzyństwa. Niewiara w siebie samego budzi niewiarę w przedmiot oceny, — życie kłamne, nałóg hypokryzyi, zabarwiają podejrzeniem kłamu rzeczy najistotniejsze. Oto źródło naszego „sceptycyzmu"....

Wreszcie, popiąte, fałszywy krytyk jest naturalnym wrogiem prawdziwego dzieła Sztuki. Rzeczy ni dusz wyosobnionych niema: każdy zjaw i istota, mocą swej złej lub dobrej woli, przywiera do jednej z dwu potęg, między któremi waha się los świata, potęg, które religia symbolizuje w „Świętych Obcowaniu" i „Synagodze Szatana," — do Światła, — lub ciemności. — Fałszywy krytyk, świadomie lub nie, zawarł przymierze z „Potęgą mroków," i odtąd jej wrogowie stają się fatalnie jego wrogami. — Każde istotne dzieło

sztuki, bodaj najdalsze od jego kręgu życiowego, — przez samą moc swego charakteru promienistego, heroicznego, archanielskiego,—rzuca mu groźne, Lohengrinowe wyzwanie; najczystsze jego promienie sprawiają mu najdziksze tortury, na tej samej zasadzie, na której padliny rozkładają się najszybciej pod słońcem południa; woń jego rajska jest mu trucizną; duch dzieła godzi poprostu w podstawy jego domu, zbudowanego z błota na piasku. Czując się zagrożonym w tem, co uważa za swą racyę bytu, a co jest tylko jego bytu gangreną, — broni się przed pogromem... a broń jego jest nikczemna, — gdyż niema szlachetnej broni przeciw szlachetności. — Chce poniżyć to piękno, które mu jest męką, bo wobec niego ujrzał swe poniżenie, a wygasła w nim ta prostota, która wobec objawienia pada twarzą na ziemię w odradzającej pokorze i woła: „Panie, nie jestem godzien! —“ To by przecie było... naiwne...

* * *

Ale oto — zemsta immanentna rzeczy.

Prawem najwyższej psychologii jest, że SŁOWO STWARZA TO, CO STWIERDZA. — Wola tępości zamienia się w tępość. Ci, co uwielbiać *nie chcieli,* teraz już uwielbiać *nie mogą,* nawet gdy chcą. Bo ich przeszłe, wielokrotne, chroniczne akty złej woli, wewnętrznych pogwałceń i zewnętrznych kłamstw, codzienne ofiary nieczyste na ołtarzu własnej pychy, — wzniosły się stosem, wyprostowały murem zagradzającym przed zapóźnionym ruchem bezpośredniego odczucia, zatarasowały drogę pojmowania. — „To się mści,“ jak mówi Przybyszewski; — cudzołóstwo ducha mści się jak cielesna rozpusta.

Żyjąc w brzydocie przeciwnej naturze, napojeni nią, pogodzeni z nią, brnąc coraz głębiej w pospolitości grubych instynktów i przewrotności mózgowej, duchy te stępiały tak nieuleczalnie na świat istotny drgającego i wciąż nowego piękna, że gdy zeń jaki zapalczywszy promień przedrze się przez ich duchy błotne, wówczas blask ten odczuć są zdolni tylko jako piekące żądło zawiści, lub niepokojem osiego gniazda, lub niechętnem poprostu opędzaniem się przed intruzem, który ich budzi — ich, co chcą „posiadać i spać,“ jak Wagnerowski Fafner.

I nawetby nie wiedzieli (tak zarośli brudem), że to jest blask, promień, i że ich budzi — gdyby nie radosna za ich oknami wrzawa, wrzawa „bezkrytycznych“ ciżb, która nagle pierś im przeszyła intuicyjnym okrzykiem: „Stało się Piękno!“

Wówczas, gniewni jak filister zbudzony w nocy alarmem ulicy, wychodzą na balkony w szlafmycach i szlafrokach i wieszczą tłumowi, śpiewającemu kolędę: „spać! nic się nie stało!"

Ale niekiedy Dobra Nowina ciągnie ulicą świetnie błyszczącym pocztem, fanfarą zagranicznego tryumfu, lub wszelkie zaprzeczenia zwyciężającym majestatem uroczystego Dziwu. Wtedy, chcąc nie chcąc, trzeba przybrać się i wyjść na spotkanie... Nacisk opinii zmusza... Ah, i wówczas dopiero, wobec tej nieuchronności hołdu, ujawnia się w całej opłakanej nędzy wynik długoletniej kultury kłamstwa i duchowego zdziczenia, — zdradza się BEZSILNOŚCIĄ POJĘCIA PIĘKNA, BEZSILNOŚCIĄ UWIELBIENIA, *bo pojąć piękno i uwielbić je — to jedno.*

Wtedy stajemy się świadkami dziwnej komedyi wykrętów, uciekania chyłkiem od obowiązku stwierdzenia cudu. Czytamy „pochlebne wzmianki," odsyłacze do przyszłych i nigdy nie zjawiających się „wyczerpujących" ocen, albo sakramentalne formułki, w rodzaju: „znany całej Europie," albo: „jak wiadomo naszym czytelnikom," albo: „X. X. z właściwym sobie talentem," — poczem „krytyk," w mniemaniu swem uczyniwszy zadość sprawiedliwości, idzie spać.— Na tem się kończy ZWIASTOWANIE PIĘKNA.

O wniknięciu w ducha twórcy i dzieła, o zważeniu jego doniosłości, o zgruntowaniu go jako wyniku, siły działającej i przyczyny; o dobyciu na jaw zawartych w nim możliwości; o jego asymilacyi, przez danie lotu myślom, które zdradza, o najszczerszem jego umysłowem i uczuciowem uświadomieniu — niema mowy. I trudno, aby było inaczej. — Piękno — przecie — oddawna dla tych istot jest martwą literą; dzieło sztuki tylko jednym z wielu sposobów karyery... Cudza zaś karyera nigdy sympatycznie nie pobudza służalców fortuny. — Wszechludzka waga sztuki? — Oddawna przestali rozumieć te słowa, co brzmią ich znieprawionym uszom jak frazes giełdowy... Rozkosz estetyczna? — Ah, tak... odczuwają wybornie „subtelność" cielęciny...*).

Zresztą owa gruba ciemnota oślepia nietylko jednostki złożądne: podlegają jej także istoty poprostu siłą ogólnej suggestyi zaniedbane, obłąkane. W nich także przeszła ze zgniłej atmosfery owa nieuchwytna, a przez Ernesta Hello uświadomiona *pogarda sztuki*, mszcząca się na nich potem niemocą pojmowania... Ci, z przedstawienia np. na scenie naszej „Walkiryi," nie potrafili ze swych głuchych odczuć wyciągnąć ani jednego jasnego słowa analizy, lub

*) *Mundus vult decipi* Jana Lemanskiego.

syntetycznego ujęcia, — i zostawiając nietkniętą sprawę samej „Walkiryi,“ „ogólnie znanej“ przecie, — zapełnili szpalty sprawozdań radami tualetowemi pod adresem dam, — a rozbiór gry Bandrowskiego, tego prawie doskonałego odtwórcy typów Wagnerowskich (który w „Lohengrinie“ zwłaszcza dochodzi do szczytnych, prototypowych niemal bliży), — rozbiór gry tak silnie kontrastującej szlachetnością i wysokim, rzetelnym, świadomym artyzmem z kabotynizmami ogromnej większości tenorów i aktorów wogóle, rozbiór, co się narzucał każdemu prawemu krytykowi z siłą imperatywu moralnego wobec haniebnej postawy prasy, — rozbiór ten został zbyty paru błahemi i nicnieznaczące usterki jedynie podkreślającemi uwagami.

Ale to jest już logika rzeczy. Im mniej kto zdolny odczuć mistrzowstwo, tem śmieszniej wygórowane stawia mu wymagania. Cudza wielkość nieotrąbiona przez sławę zostawia go w niewiedzy, — ujawniona zaś — daje mu prawo do wymysłów — w imię tejże wielkości. — I gdybyż nawet temi — niekiedy wprost ordynarnemi — napaściami, kierowało bodaj najgłuchsze przeczucie nieskończonych horyzontów doskonałości, tęsknota za nigdy dla ułomności ludzkiej niedostępnem *absolutnem* Pięknem! — Ale nie. — Oni własną swą tępość transponują, na mocy prawa objektywizacyi, — na niedostateczność artysty. Dziwią się, że woń subtelna nosa im nie ukręca, jak angielska musztarda, i że Piękno nie wali ich obuchem w głowę... I — zaiste — ze „wzruszeń“ to ostatnie chyba byłoby im dostępnem — — —

Tredecim.

POEZYA.

Jan Lemański: *Bajki*. Warszawa. J. Fiszer.

Występując przed półtora wiekiem przeciwko hybrydyczności bajki po-lafontenowskiej, brał Lessing w obronę „rzeczywistą istotę“ (das wirkliche Wesen) ezopowskiego apologu. Dziś wiemy, iż „rodzaj literacki“ nie jest czemś nieruchomem, stałem, na zawsze obowiązującem, lecz, jako rezultat pewnej sumy warunków, pierwiastków i okoliczności życiowych, oraz, jako wytwór indywidualności, jako inkarnacya danego talentu, ulegać może i musi, przy nowych warunkach i pod nowego talentu mocą twórczą, zasadniczym modyfikacyom i przeobrażeniom. To też, zdając sobie sprawę, jak głęboko zmieniły się w ciągu ostatniego zwłaszcza stulecia stany umy-

słowości i wrażliwości człowieczej, nie dziwimy się wcale, iż bajka starego typu, obca im już i chyba przez nawyknienie z dziecinnych, szkolnych czasów znajdująca oddźwięk w duszach, — wyrodniała zwolna, zanikała w literaturze jako dzieło sztuki, i w ostatnich latach pięćdziesięciu stała się już wyłącznie narzędziem bądź pedagogiki, bądź — co gorzej — taniej humorystyki dziennikarskiej. Na istotę dotychczasowej bajki składały się właściwie trzy pierwiastki: mniej lub więcej górująca nad wszystkiem celowość moralizatorska; jak najzwięźlej (u Ezopa) lub też bardziej malowniczo (jak u Lafontaine'a) opowiedziany fakt *czysto zewnętrzny*, w którym ma się uwidocznić dany morał; wreszcie, w bajce zwierzęcej, traktowanie życia zwierzęcego, bądź nader suche również, bądź bardziej malownicze, lecz zawsze w sensie zmyślenia, fikcyi, schematu, znaku umownego. Człowiek dzisiejszy nie ma przedewszystkiem zaufania do nieomylnych, ogólnych reguł codziennej, utylitarnej moralności; wie, że często są one tylko dziełem umowy lub nawyknienia, że wogóle wartość ich zmienia się, stosownie do horyzontów, że ta sama rzecz może nie być jednako moralną z punktu widzenia osobnika, rodziny, narodu, ludzkości i wreszcie jakiejś sprawiedliwości bezwzględnej, *sub specie aeternitatis*. Człowiek dzisiejszy nie zadowala się, dalej, faktem nagim, czysto zewnętrzną sytuacyą czy zdarzeniem, lecz doszukuje się przedewszystkiem motywów tej zewnętrzności, ukrytego dna faktu, jednem słowem, procesów dusznych, które ten fakt wywołały i które jedynie stanowią o jego jakości istotnej. Dusza — oto ku czemu zwróciła się cała dzisiejsza literatura i sztuka. Czy to przez analizę (kierunek psychologiczny), czy też przez odczucie i ewokacyę (symbolizm), artysta dzisiejszy duszę tylko na jaw wydobyć pragnie, odsłonić najtajniejsze jej zakąty, dać wyraz najgłębszym jej zadrgnieniom. Zewnętrzność staje się tylko kanwą do rozsnuwania tych arabesków życia dusznego. — I nie o *ludzką* jedynie chodzi duszę. Człowiek dzisiejszy opuścił zajmowane od tak dawna stanowisko samolubnie wyłącznego antropocentryzmu. Czy to przesiąkły już we wrażliwość jego teorye nauki współczesnej o jedności gatunków, czy też jego sympatya i współczucie dla wszystkich maluczkich, zależnych, uciśnionych, rozszerzyły się aż na nieme stworzenia, — dość, że dzisiaj nie uważa on już życia zwierzęcego za umowny jeno środek do zamaskowania i alegoryzacyi swego własnego, lecz traktuje duszę zwierzęcą jako coś samo w sobie godnego uwagi, zaciekawia się nią niemniej niż ludzką i, co za tem idzie, spostrzega mniej lub więcej ukryty ich paralelizm. Coraz wyraźniejsze ślady tego głębszego odczuwania natury i przeto poszerzenia się samej duszy od-

czuwającej — czerwoną nicią wiją się przez cały wiek XIX. „Stworzenie jest jedno,“ powiada Balzac w *Przedmowie ogólnej* do *Komedyi ludzkiej;* „Stworzyciel uczynił według jednej modły wszystkie twory organiczne... Społeczeństwo nie różni się od natury.“ Wczucie się w duszę zwierzęcą przyniosło Alfredowi de Vigny jeden z najpiękniejszych jego wierszy:

Seul le silence est grand; tout le reste est faiblesse (La mort du loup),

a Zeyerowi pełne niewypowiedzianej rzewności słowa o „skardze niemoty, która sili się, aby módz przemówić“:

Wie istność niema, że słowo — zbawieniem (Kronika o św. Brandanie).

Leconte de Lisle'owi snuły się, w *Poematach barbarzyńskich*, przeczucia wielkiej epopei duszy w naturze, podobnie jak w *Poematach antycznych* zarysowała mu się epopeja duszy ludzkiej w dziejach. Fragmentami tych marzeń są przedziwne ewokacye duszy zwierzęcej w *Marzeniu jaguara, Słoniach, Śnie kondora, Panterze czarnej, Dżunglach, Inkantacyi wilka,* i t. d. Nareszcie, w psychologicznych i symbolicznych opowieściach zwierzęcych Dygasińskiego i Kiplinga, zmartwychwstaje w nowej postaci odwieczna baśń indyjska, której ślady i echa niewyraźnie nas doszły w Mahabharatach i Panczatantrach; baśń z czasów, gdy człowiek stał tak blizko przyrody, iż poniekąd sam siebie jeszcze z niej nie wyróżniał i przeto odczuwał ją niemniej dobrze, niż siebie samego, z czasów, gdy jak mówi Ezop, zwierzęta miały mowę (ὅτε φωνήεντα ἦν τὰ ζῶα); baśń, która nie była jeszcze zoomorficznem zmyśleniem, alegoryą, maską życia człowieczego, lecz rzeczywistym obrazem duszy zwierzęcej, i która zapadła w letarg z chwilą, gdy człowiek, o pierwszych brzaskach kultury, jął oddalać się od przyrody i „samego siebie tylko w stworzeniu poszukiwać, nic poza ten widok nie ważąc sobie.“ Dziś po stuleciach cywilizacyi, inną drogą, znów do natury powraca. Tak oto

...życia koniec szepce do początku:
Nie stargam cię ja — nie! — ja uwydatnię! (C. Norwid).

*

Bajka, o ile miała istnieć nadal jako dzieło sztuki, musiała odrodzić się i przekształcić odpowiednio do całej tej fali nowego ży-

cia duchowego. Kuszono się też w ostatnich latach niejednokrotnie o jej odnowę, wprowadzano ciekawe i niekiedy zasadnicze modyfikacye, zaczęto np. — obok dawnego przyodziewania charakterów i właściwości *ludzkich* w maski *zwierzęce* — chłostać i wyszydzać, w obrazkach z rzeczywistego życia zwierzęcego, *zwierzęce* przywary w naturze *człowieczej*. Wszystkie te próby wszakże, nie wyłączając najlepszych względnie utworów F. W. v. Oestérena, dążyły raczej do przerobienia czy poprawienia starego typu bajki, aniżeli do stworzenia nowego. Istotnym odnowicielem zanikającego rodzaju literackiego stał się dopiero Lemański. W nim pierwszym, wymienione wyżej duchowe pierwiastki epoki w spójną z jego cechami indywidualnemi zlały się całość. On pierwszy w dzisiejszej dobie jął pisać bajki nie jako specyalista zawodowy, nie według ścisłych lub zmodyfikowanych reguł i tradycyj, nie dla takich lub innych celów przemijających, lecz impulsywnie, bezinteresownie, dla tego tylko, że właśnie w bajce ironicznej pewne sfery czy stany jego duchowości jedynie odpowiedni znajdowały dla siebie wyraz. To wprowadzało bajkę z powrotem w dziedzinę sztuki. Tylko bowiem dzieła, powstające w ten nieodzowny sposób, jako uzewnętrznienie duszy autora, nie zaś tworzone *ad hoc*, ze świadomem czy nieświadomem podporządkowaniem tej duszy jakimś wzorom, regułom czy nawyknieniom, na nazwę dzieł sztuki zasługują.

Cechą charakterystyczną talentu Lemańskiego jest, podobne jak u Baudelaire'a, niezwykłe zjawisko jakiejś refrakcyi twórczej w duszy poety. Jak Baudelaire nie był wcale naturalistą ani pornografem i nie lubował się bynajmniej w brzydotach, ohydach, perwersyach i chorobliwościach, acz malował je tak często, — tak Lemański nie jest bynajmniej humorystą z powołania, który dostrzega w życiu jedynie strony komiczne i z zamiłowaniem poniekąd zabawia się odkrytemi śmiesznościami. Proces tu, równie jak tam, zachodzi zupełnie odwrotny. Lemański jest przedewszystkiem głębokim lirykiem, żarliwym entuzyastą piękna, harmonii, eleuterycznych pragnień i wzlotów duszy, wielkiego rytmicznego potoku życia. Ale ten właśnie instynkt piękna, to sprężenie duszy ku sferom doskonałości, to nienasycone pożądanie czegoś wiecznie żywego, wolnego, świadomego, czegoś nieskończenie lotnego, giętkiego, ruchliwego, czyni go, przy zetknięciu z życiem rzeczywistem, czułkowato, boleśnie wrażliwym na wszystkie śmieszności i groteskowości, na bezmyślność, szablon, automatyzm, niedołęztwo, pozę, zarozumiałość, na objawy jarzmiącej duszę przewagi ciała, na zakusy formy, chcącej zapanować nad treścią, na wszystko, jednem słowem, co ducha wol-

nego w mechaniczną zmienia maryonetkę. Dla tych widomych „zniewag względem piękna i harmonii,“ dla tych dysonansów, dla tych „błędów przeciwko rytmowi i prozodyi bytu“ czuje on tak głęboką nienawiść, taki wstręt, taką pogardę, że intensywność tych uczuć wywiera jakby odwrotne działanie: że wszystkie te skazy i niedoskonałości poczynają go fascynować, przyciągać magnetycznie, zasłaniać mu wszystko przed oczyma, póki ich twórczo z siebie nie wyrzuci, póki nie odda całej ich nędzy, póki z nieubłaganą nie wyszydzi ich złośliwością. Oto geneza ironicznych bajek Lemańskiego. Na zbiorku ich słusznie położono juwenalowskie motto: „*facit indignatio versum,*“ — bo powstały one z patetycznych, zaiste, pokładów duszy, — i powiedzenie Ernesta Hello: „dans le comique, le pathétique est sous-entendu,“ nigdzie lepszego, jak tu, znaleźćby nie mogło zastosowania. To już nie dobroduszność (bonhomie) La Fontaine'a, to nie rozumowa i nieco sucha ironia Lessinga, to nie elegancka, figlarna żartobliwość Krasickiego, — to raczej gorzki, posępny sarkazm Swiftowski, to zimna, bezlitosna *zawziętość* prawie. Takim nieprzejednanym wszakże jest Lemański tylko względem objawów bezduszności, która, będąc brakiem wszelkiego polotu, wszelkiej samodzielności i samotwórczości, odbiera osobnikowi, choćby najbardziej nienagannemu z punktu widzenia codziennej etyki utylitarnej, całą istotną wartość. Jest to jedyny kategoryczny postulat moralny autora, unoszący się zazwyczaj, niby widmo starożytnej ananke, na najdalszych widnokręgach jego bajek i rzucający ztamtąd od czasu do czasu niespodziane oświetlenia na bezpośrednie nauki i sensy akcyi pierwszoplanowej. Ztąd często nieoczekiwana chwiejność lub dwuznaczność tych ostatnich, zbijająca z tropu ludzi, nawykłych do biernego posłuszeństwa zdawkowym formułkom. Po za bezdusznością, autor traktuje wszystko inne z pobłażliwym raczej humorem, niekiedy nawet, np. w *Lilii wodnej*, z wyraźną sympatyą. Łagodny jego uśmiech zda się wtedy mówić: „Miejcie jeno duszę! Z nią możecie iść choćby na bezdroża. Bezduszność jedna jest grzechem przeciwko Duchowi Świętemu — i niemasz dla niej przebaczenia!“

Bajka Lemańskiego jest κατ' ἐξοχὴν bajką o duszy, nie zaś Lafontaine'owską „komedyą“ zdarzeń „w stu różnych aktach.“ Dla Lafontaine'a świat zdarzeń zmysłowych i najbliżej związanych z cielesnością, powierzchownych reakcyj psychicznych jest rzeczą główną. Nie wyszukuje on wprawdzie „pomysłów“ (co Lessing uważał później za *wyłączne* zadanie bajkopisarza), bierze je spokojnie od Ezopów, Fedrów, Awienów czy Pilpayów, ale zajmuje się niemi

przedewszystkiem, rozwija ich szczegóły, układa je w całkowite dramaciki, z ekspozycyą, przejściami i rozwiązaniem. Dla Lemańskiego zewnętrzność jest nieprzebranem morzem symbolów duszy. Wszelkie kombinowanie zdarzeń, wszelkie układanie ich w całości dramatyczne wydaje mu się co najmniej niekoniecznem, bo w najprostszym fakcie, przy głębszem weń zajrzeniu, już duszę odkryć można. Dla tego nietylko nie szuka sam specyalnych zawikłań bajkowych, lecz nawet nie posiłkuje się cudzemi. Zadowala się najprostszem spostrzeżeniem, ujrzaną sytuacyą, luźnem zupełnie sprowadzeniem w gromadę kilku postaci. Zawiązku dramatycznego częstokroć w bajkach jego niemasz wcale, przeważnie nic się w nich nie dzieje, jest tylko dyalog, w ciągu którego zarysowują się jakby jakieś wizyjne, przeświecające z poza zewnętrzności portrety i studya duszy. Lafontaine zwraca przedewszystkiem uwagę na ziemskie, przemijające odmiany i gatunki duszy człowieczej, maluje nam królów, panów, mieszczan, chłopów, uczonych, doktorów, księży, zarozumialców, tchórzów, próżnych, hipokrytów, skąpców, cały szereg zawodów, stanów, powołań, charakterów. Lemańskiemu chodzi o samą duszy istotę, jako pierwiastku eleuterycznego, wolnego, lotnego, świadomego, w przeciwieństwie do pierwiastków cielesnych: bezwładu, musu mechanicznego, ślepoty, które, jarzmiąc ją, są powodem głęboko smutnych w gruncie, lecz od zewnątrz, pod kątem przypadkowości, śmiesznych i cudacznych zjawisk. Dusza to ani ludzka ani zwierzęca, lecz jakaś jedna, przenikająca całą naturę, czasem lepiej uwydatniająca się w cechach ludzkich, czasem w zwierzęcych. Postacie w bajkach Lemańskiego nie są właściwie ani zwierzętami, ani zwierzęcemi maskami ludzi, lecz stworzonemi przezeń porówno z pierwiastków ludzkich i zwierzęcych, nierzeczywistemi właściwie, a jednak dzięki taumaturgicznej mocy talentu głęboko żyjącemi upostaciowaniami duszy. Oto źródło ich kameleonowatości, ich mienienia się w oczach. Przypominają one owe wprost niepokojące rysunki Leonarda, poświęcone zewnętrznym napozór, a właściwie znacznie głębszym analogiom ludzko-zwierzęcym.

Jak widzimy, w bajkach Lemańskiego nic nie jest na dawnem miejscu, zwykłe ustosunkowania straciły wartość, perspektywa zmieniona, horyzonty ku nieznanym rozsunęły się dalom, niewiadomo, gdzie się kończy i gdzie zaczyna rzeczywistość. Jednocześnie wszakże, wszystko ma w nich taką stanowczą *rzeczywistość własną,* tak nieodparcie przekonywającem pulsuje życiem, z taką nieodzownością narzuca się wrażliwości czytelnika, że sama ta potężna ewoka-

cya jużby całego przekształcenia wystarczającem była usprawiedliwieniem. Na magiczną jej moc dwa u najkapitalniejszych jeno twórców w takiej harmonii spotykane składają się pierwiastki: właściwa realistom i zwłaszcza humorystom, a u Lemańskiego znajdująca poniekąd wytłomaczenie we wspomnianej wyżej fascynacyi, zdolność indywidualizowania najdrobniejszych szczegółów, chwytania ich oznak najcharakterystyczniejszych, najkonkretniej wyłącznych,—oraz cechująca liryków syntetyczna wyobraźnia poetycka, wyczuwająca związki ukryte zjawisk i umiejąca jednoczyć wszystko w całość żywą o perspektywach nieskończonych. Pierwiastki te ujawniają się u Lemańskiego odrazu w formie — ścisłej i pierzchliwej zarazem, wyrazistej i falującej. Gwoli owej indywidualizacyi szczegółów, ma on obrazy, porównania, przenośnie, zdolne raz na zawsze wyryć rzecz w pamięci czytelnika, ma niesłychaną nieodzowność wyrażeń (propriété des termes), ma słowa „wszech kolorów i wszech dostojeństw,“ bądź wydobyte z zapomnienia czy z gwar ludowych, bądź — gdy potrzeba było — stworzone. Mimo ogromnej skali tych środków, sięgającej od najtrywialniejszej rzeczywistości po najwyższe szczyty poezyi, nic się w bajkach Lemańskiego nie kłóci, nic nie razi, najnieoczekiwańsze zwroty, słowa, obrazy, dzięki owej intuicyi syntetycznej, przybierają cechę prostoty, łatwości, naturalności, konieczności, wszystko jest na swojem miejscu, wszystko potęguje jeno wrażenie, wszystko zlewa się w styl energiczny, odrębny, dla którego nie znajduję lepszego przyrównania nad znane Gautier'owskie w studyum o poezyi Baudelaire'a: do owych tkanin wschodnich, kędy nici jedwabiu i złota mieszają się z twardą, krzepką przędzą konopną. — Wiersz Lemańskiego winienby stać się przedmiotem studyów dla młodych poetów, zwłaszcza dla żądnych *vers-libre*'yzmu. Jest to właśnie wiersz wolny *(vers polymorphe)* w najszerszem słowa znaczeniu. Olśniewa w nim poprostu bogactwo, swoboda i dźwięczność rytmów — nieuchwytnych, zmiennych, ruchliwych, podążających wiernie za konturem treści, naginających się do każdego odcienia myśli czy uczucia, ówdzie lapidarnie twardych, gdzieindziej szerokich, organowych, indziej jeszcze miękkich, rozełkanych, lub, naodwrót, figlarnym, tanecznym podbiegających krokiem. W prawdziwą jakąś „nieskończoną“ zlewają się one melodyę.

Poetycka, symboliczna bajka Lemańskiego wyszła zeń, jak jak Atene z głowy Zeusa, w pełnym rynsztunku, i w chronologii rodzaju literackiego nowa od niej znaczyć się winna era. Odtąd niedość już obmyśleć anegdotkę i wyprowadzić z niej sens moralny, albo też wynaleźć „dowcipną“ analogię między człowiekiem i zwie-

rzęciem, — odtąd, aby pisać bajki, trzeba przedewszystkiem być — poetą.

Miriam.

POWIEŚĆ.

Adolf Dygasiński: *Gody Życia.* Warszawa. Fiszer. — Adolf Neuwert-Nowaczyński: *Małpie zwierciadło.* Kraków. Drukarnia Uniw. Jagiell. — Rudyard Kipling: *Kim.* Przekład M. G. Warszawa. Bibl. dz. wyb. — Van Faron: *Żywot i myśli Barbary Podfilipskiej.* Warszawa. — Wacław Rogowicz: *Zocha.* Warszawa. Borkowski.

Gody życia, przez Adolfa Dygasińskiego. — Wieszczym akordem, wszechśpiewem bezdennej syntezy, gwiaździstym zbiegiem promieni w jedno wielkie ognisko, w jasną otchłań serca, hejnałem wiekuistej harmonii — drga ten łabędzi śpiew poety. Twórczość jego, wzięta w swym procesie rozwojowym, zdumiewa, jak zresztą wszelki pęd żywiołowy, zoryentowany nieuchronnością swego pochodu. Taką jest historya rzek, którym kapryśny pozornie bieg potoków daje życie, a które, rżnąc się przez ściany górskie i zdobywając równiny, dążą ku morzu nurtem tak szerokim, głębokim, silnym, że nawet wpadłszy w nie, nie giną, lecz całemi milami biegną jeszcze wyodrębnione, nim wody swe z jego wodami zmieszają i zatoną. — Takim wielomilowym pędem duchowego ludzkiego nurtu w oceanie Bezkresu, takim żywiołowym, wieszczym wylotem we wszechżycie są „Gody Życia," zegar słoneczny Kosmosu, ze wskazówką mysi-królikowego skrzydła, cykl skąpanych w nowem natchnieniu mytów wszechświatowych, świeżością zórz arkadyjskich promienny.—W tym szczytowym rozkwicie twórczości autora, pierwotne właściwości jego talentu, niby powszednie kruszce w tyglu alchemika, pod wpływem siły tajemniczej, wykazały boski swój początek i jedność wszechbytową, swą zdolność transmutacyjną i moc magiczną, i spotęgowały się w niniejszym utworze aż do genialności: spostrzeganie stało się kontemplacyą, humor — poczuciem wszechharmonii, ciekawość — dociekaniem praprzyczyn, wątpienie — głębią myślicielską, litość — miłością. — I ta właśnie ostatnia, ta wszystek Byt ogarniająca *Miłość,* stała się owym ogniem filozoficznym cudownej transmutacyi, wieszczym głosem gęśli rapsodowej, siłą żywą syntezy. — Ona to — zgruchotana w torturowem kole cierpień, strachu, rozpaczy; ona — stratowana przez wszystkie biesy niepewności; ona — zaczarowywana przez syreny wiosny i jędze jesieni, — z wielokrotnych zgonów

i odrodzeń wstaje w łagodnym a potężnym tryumfie, ukazując swe niewymowne oblicze Nadziei — Wiecznie-Młodej, stapiającej w hymn nieśmiertelny Bytu chóry wszystkich Przemian. — Zasadnicze autora *miłosierdzie*, idące żywiołowo ku wszelkiej nędzy, maleństwu, bezobronności, ta ewangieliczna sympatya do maluczkich, spotęgowana tutaj aż do wszechmiłości, każe mu dla swej syntezy szukać symbolu wśród najbiedniejszych z biednych i znajduje atom z sercem — Mysikrólika. — Prawo Jedności jest niezachwiane, wszechświat streszcza się w bryzgu rosy. Mysikrólik stanie się mikrokosmem świata czującego, puszcza nad Prądnikiem zawrze Kosmos, w którym się rozegra wielki dramat Dnia i Nocy, Lata i Zimy, Dobra i Zła, Życia i Śmierci, pod niebem wiekuistości, w którem się poczęły i do którego dążą niepowstrzymanie. — Kompozycya tego jedynego w swym rodzaju Poematu Natury jest w ścisłej z nim harmonii, prostolinijna i skupiona, ogniskująca życie w momentach najwyższych jeno, przełomowych. — Przepysznym jest język dzieła, które już przez to samo stačby się winno jedną z klasycznych krynic naszej literatury; język, jak staropolszczyzna, jędrny, giętki, czarem słów odmłodzonych otwierający całe horyzonty świeżości, wydarty kurhanom, chatom i szumom niw, promienny jak „śpiąca królewna,“ zbudzona z ciernistych, odwiecznych snów przez zwyciężający groby geniusz poety.

Małpie zwierciadło, przez Adolfa Neuwert-Nowaczyńskiego.— Skrystalizowanie pierwotnego tworzywa władz twórczych w świadomą i stałą potęgę zależy całkowicie od *wiedzy* i *woli Ideału* w jednostce utalentowanej. — Brak ich grozi rozprzęgnięciem, w najlepszym zaś razie dośmiertnem trwaniem w stanie chaosu. — Niebezpieczeństwo to zdaje się grozić autorowi niniejszych 10-ciu „satyr,“ posiadaczowi, a mówiąc ściślej, niewolnikowi bujnego i osobliwego talentu. Umysł jego jest ciaśniejszy i słabszy od jego temperamentu twórczego; niezdolny do syntezy dość rozległej, aby rozmach tamtego ogarnąć, zoryentować i spotęgować, zdobywa się przeto na zamaskowaną kapitulacyę anarchii duchowej, oraz na jej ulegalnienie, jako rzekomo koniecznego środowiska twórczości niezależnej. — Wynikiem tego pozornie wolnościowego, arystokratycznego, wyniosłego, — w gruncie zaś niewolniczego, burżuazyjnego, taniego, strychulcowego sceptycyzmu jest *zdziczenie duchowe*, pozwalające autorowi, z jednej strony, na niewyrażalną plugawość płaskiego i przejrzystego paszkwilu, z drugiej — na pojęciowy bezład spędzonych w jedną hordę bóstw i bałwanów, idei i komunałów, relikwij i padlin, i na płynącą ztąd niemoc syntezy i kompozycyi. — Chaotyczność ta,

w „Studyach“ tak dotykalnie widoczna, w „Małpiem Zwierciedle“ przejawia się raczej jako przyczyna pierwsza niedostatku tych rzeczy, z których zaledwie jedna („Histeryczny histryon“), długim tchem swej werwy zjadliwej i zuchwałej, nie pozbawionej nawet pewnej szaleńczej poezyi, zasługuje na miano utworu. — Reszta są to raczej embryony i strzępy, rozwichrzone na wietrze wszelakich suggestyj i kaprysów, tradycyj humorystycznych i ech „modernistycznych“ (np. „Bajka o księżniczce i karle,“ „Szambelan Sar“ i t. d.). — Najlichsze z nich jednak nawet noszą na sobie piętno tego niezwykłego talentu, na który się składają: temperament satyryczny chwilami wprost demoniczny, poczucie ironii rzeczy, docierające niekiedy do tych głębin, gdzie śmiech jest zgrzytem zębów, gdzie z paradoksalnego zetknięcia się wyobrażeń tryska mądrość, gdzie szyderstwo występuje jako jeden z błysków światła na niezbadanem w swej całości tajemniczej obliczu Sfinksa. — Pegazem tego dziwno - kształtnego jeźdźca, pół-klowna, pół-Mefista, jest styl silnie indywidualny, wężowo skrętny, hałaśliwy, drażniący, w którym słowa dźwięczą i migocą ostremi błyskami, zgiełkiem i nieprawdopodobną, żonglerską ruchliwością. Język ten przechodzi niekiedy w majaczenie panoptikowe, w „cyrk amerykański“ jakiegoś umysłowego tingel - tanglu, w rozpasanie nowej wieży Babel, we wściekłą gwarę opętańczą. Chwilami aż zbyt międzynarodowym żargonem staje się ta mowa przejaskrawiona surowemi neologizmami, jak np. „dymensya,“ „fantasterya“ i t. d., i t. d.

Kim, przez Rudyarda Kiplinga; przekład M. G. — Siłą autora jest szczerość i intensywność obserwacyi zewnętrznej, — która pod wpływem podniet potężnych, w odniesieniu do szczegółów wyosobnionych i w utworach krótkich, dochodzi nieraz do niebywałej, ostatecznej mocy ekspresyjnej (np. nowele „Fakt“ i „Mały Tumai od słoni“). Umysłowi jego jednak, mającemu niezniszczalne zagięcie kapralskie, brak zarówno głębi jak syntetyczności ideowej lub artystycznej. — To też „Kim,“ jako dzieło sztuki, jest rzeczą poronioną.— Te szeregi luźnych obrazów, mechanicznie w całość związanych i w psychologii swej aż do śmieszności sztywnych, ciasnych, upaństwowionych, — są jedynie „ciekawe“ jako naiwny w swej dobrej wierze dokument stosunków indo-europejskich i, ubocznie, jako miara pojemności mózgowej angielskiego „pozywisty“ w odniesieniu do niesłychanego świata Indyj Tajemniczych. — Przekład poprawny.

Żywot i myśli Barbary Podfilipskiej, napisał Van Faron. — Poniżej granic ludzkiego pojmowania stojąca ramota, w intencyach absurdowo niezbadana, w treści realizująca kompletną nicość, w języ-

ku z gramatyką niezgodna. Cenna jedynie chyba dla badacza miejscowych odmian kretynizmu.

Zocha, przez Wacława Rogowicza. — Bezkrwisty i nędznie sklecony obrazek studencki, opłakany melodramacik młodości zgrzybiałej w pąku, — z pozą „wytrawności“ autorskiej i życiowej, cechującą „realistyczny“ odłam naszej grafomanii.

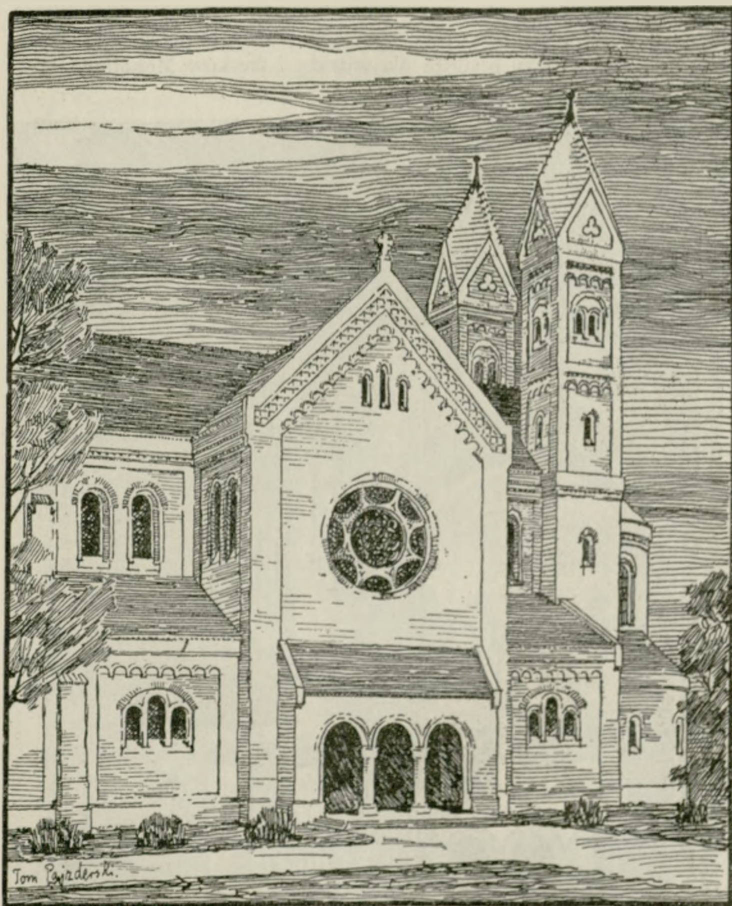
Własт.

SZTUKI PLASTYCZNE.

KOŚCIÓŁ W JUTROSINIE. W dziejach naszej, tak ubogiej dziś, sztuki monumentalnej, jasną kartą będzie ta iście po medycejsku przez ks. Zdzisława Czartoryskiego podjęta i dziś ostatnich już tylko dekoracyj czekająca budowa. Medycejskiemi były tutaj:— gorące i wytrwałe pragnienie wysokiego piękna; — świadczące o wyrobionym smaku zwrócenie się nie do tych artystów, którzy, jak mówi hr. Lanckoroński, „już zwyciężyli w walce o byt,“ lecz do istotnych, kapitalnych talentów; — wreszcie, ufne zawierzenie ich samodzielności twórczej, zamiast zwykłego w takich wypadkach popędu do dyrygowania zamiarami artysty. W ten tylko sposób powstawały i powstawać mogą dzieła rzeczywiście wielkie. Talent i poczucie artystyczne każdego z wykonawców stanowią najlepszą rękojmię, że, nawet przy pracy zbiorowej, żaden dysonans nie zmąci, ogólnej dzieła harmonii.

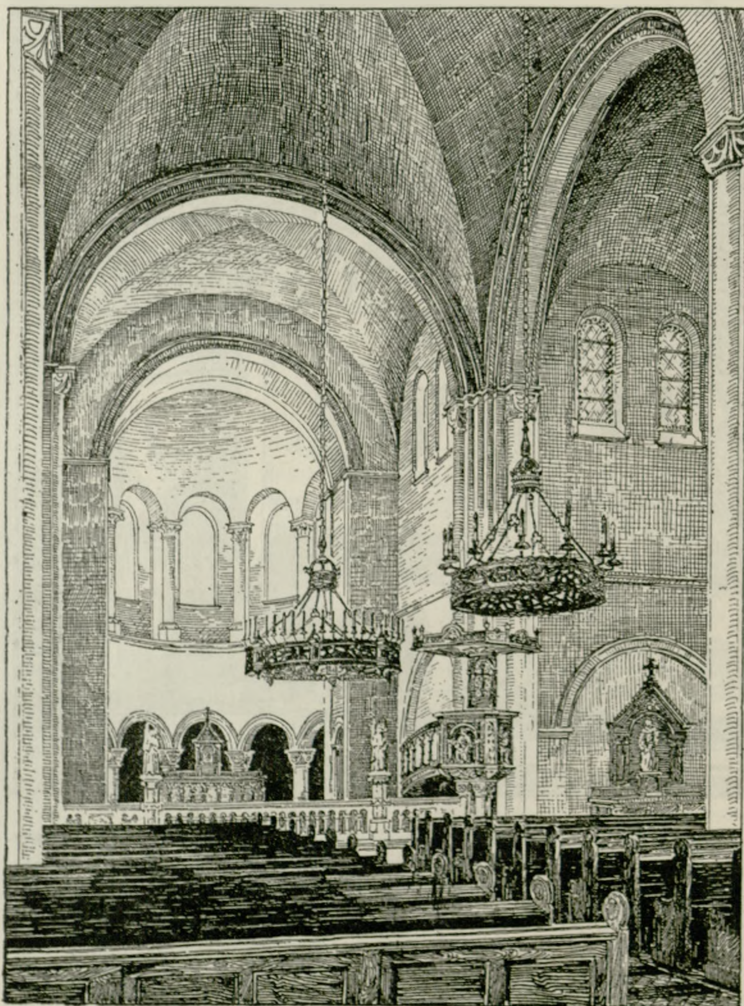


Gdy pojawiły się pierwsze zapowiedzi tej wspaniałej realizacyi monumentalnego piękna, najmniej może, pośród świetnego grona zaproszonych do uczestnictwa w niej artystów, mówiło nazwisko nieznanego u nas jeszcze podówczas, młodego architekta z Charlotten-



burga (dziś już z Warszawy), p. Tomasza Pajzderskiego. Tak dawno już architektura straciła u nas wszelki kontakt z artyzmem i zmieniła się w prostą technikę, tak haniebnie przedstawiały się, bez wyjątku prawie, jej ostatnie pseudo - artystyczne urzeczywistnienia (kilka najnowszych kościołów warszawskich, gmach filharmonii, teatr lwowski i t. d.), taki uderzał w nich brak poczucia masy, linii, stylu, takie wstrętne raziło upodobanie do tanich, bazarowych ozdó-

bek, — że, wyznamy otwarcie, z powątpiewaniem raczej myśleliśmy, jaką też w jutrosińskiem przedsięwzięciu będzie ta podstawa wszystkiego, ta oprawa czy podłoże dla witraży i fresków Mehoffera, Wy-



spiańskiego, Wyczółkowskiego i innych, ta budowa dziewicza, którą wymienieni artyści drogocennemi klejnotami swej twórczości przystroić mieli? Powątpiewanie radosną skończyło się niespodzianką. W p. Pajzderskim pozyskaliśmy nakoniec architekta-*artystę*, a w kościele jutrosińskim pierwsze może od jakich lat pięćdziesięciu, prawdziwe *dzieło sztuki* monumentalnej. Z dołączonych trzech rysunków, każdy czytelnik, nawet najbardziej znieprawiony dzisiejszemi naszemi łataninami stylów i orgiami gipsatur, przekonać się może naocznie, jak troskliwie twórca budowy unika zdawkowych „upiększeń,“ jak wielką ufność pokłada w mocy i szlachetności linij, jak głęboko czuje te ostatnie — i jak wspaniałe, za ich jedynie pomocą, osiąga rezultaty. Stosunkowo niewielka świątynia robi, dzięki prostocie planów ogólnych, należytemu podporządkowaniu im szczegółów, oraz pełnej życia twórczego jednolitości stylowej, imponujące wprost wrażenie. Zdecydowawszy się na styl romański, p. Pajzderski sięgnął do samej jego istoty, wydobył z pod różnych partykularyzmów i przypadkowych naleciałości zasadnicze jego rysy — i na tem niepokalanem tle jął dopiero tworzyć z niezłomną logiką artystyczną. Co do strony zewnętrznej kościoła, wzorował się niewątpliwie po części na przedziwnym tumie w Spirze, tym najpiękniejszym zabytku romańszczyzny w Niemczech, podniósł wszakże niesłychanie wrażenie jedności i mocy przez usunięcie wszelkich kopuł, nad presbiteryum między wieżami czy na przecięciu krzyża, i przez dodanie natomiast, u wejścia głównego, gigantycznej, wysoko nad całym kościołem górującej dzwonnicy. Wewnątrz, uprościł jeszcze i wypotężnił wspaniałe linie łuków sklepiennych i arkad, nie zatrzymując oka po drodze żadnemi szczegółami, lecz oryentując je wprost ku świetlnemu półkolu absydy. Całość straciła przez to trochę na malowniczości, ale zato nabrała cech wielkiej, surowej powagi. — Z drobniejszych szczegółów podnieść musimy: — nader szlachetnie skomponowane, piękniejsze od spirskich w proporcyach i układzie, hełmy wieżowe; — ogromną, a pełną smaku i logiki twórczej, rozmaitość kształtów okiennych; — wreszcie, mniej subtelną może, ale wybornie przystosowaną do surowego raczej piękna świątyni, formę okien kolistych w ścianie czelnej i w szczytach transeptu. Mniej szczęśliwym wydaje nam się nie prostopadły, lecz ukośny układ fryzów okrągło-łukowych na frontonach obu naw, głównej i poprzecznej. — W rysunku wnętrza, zwracamy specyalną znawców uwagę na szczegóły dodatkowe, w harmonizowaniu których z całością budowy p. Pajzderski prawdziwym jest mistrzem. Przepiękne są zwłaszcza oba żyrandole.

Świątynia jutrosińska jest stanowczo najwybitniejszem dziełem w architekturze naszej z ostatniego półwiecza, a i w dziejach stylu romańskiego odrębne, poczesne należy jej się miejsce. Gdy w oknach jej zatęczują przepyszne witraże Mehofferowskie, gdy freski najlepszych przedstawicieli dzisiejszej sztuki polskiej, całego, jak mówi hr. Lanckoroński, „lewego (?) jej skrzydła," rozświecą harmonią ścian płaszczyzny, — jedynym w swoim rodzaju chlubić się będziemy mogli klejnotem.

Z. P.

VARIA.

„SKRZYPEK NIEPOTRZEBNY (le Musicien inutile), nastrajający swoje skrzypki w karczmie, — ale cała ta karczma, już najżarliwiej tańczy bez muzyki, wywróciwszy świece." Taką „legendą" opatrzył akwafortę, którą w odtworzeniu światłodrukowem do niniejszego dodajemy N-ru, sam Cypryan Norwid, w autobiografii, ogłoszonej w lat 26 po jej napisaniu, a w 14 po śmierci autora, i jeszcze roku pańskiego 1897 uznawanej za dokument „bałamutny i pełny chwalby próżnej zarozumiałego człowieka oraz chorobliwego umysłu" *(Wiad. Numizm.-Archeolog.*, Kraków, 1897, № 4).— Nie sam-że on był tym „skrzypkiem niepotrzebnym"? I nie miał-że prawa, mówiąc w tejże autobiografii o swojem urodzeniu „czasu, kiedy w Grecyi umierał Noël Byron," wyrazić się melancholijnie, iż „z tych dwóch spółczesnych zdarzeń, nie wie dotąd, które jest smętniejszem"? Poeta ogromny, rysownik i akwaforcista znakomity i za granicą należycie uznany, dla swego społeczeństwa przeszedł bez śladu, jako „istota chorobliwa i pełna dziwactw," „jako ofiara czasu, temperamentu, szkoły, nie wiem" — powiada J. I. Kraszewski, jako dekadent lub „paralityk duchowy" — powiedzieliby smaczniej ci lub tamci panowie dzisiejsi... Dookoła niego życie, lub raczej to, co wulgarni zwą życiem trybuni, „najżarliwiej tańczyło bez muzyki, wywróciwszy świece."

Znany nam jest jedyny egzemplarz tej o Goyowskim rozmachu akwaforty: w krakowskiem Muzeum Czartoryskich. Płyta została uszkodzona i zniszczona.

CHIMERA.

Ostatnia z bajek.

I.

POWIEW SWOBODNY, który był i jest wszędzie, gdzie się działo i dzieje życie, tak mówi do zatrzymanej myśli:



ie wierzcie, lub nie dowierzajcie, gdy was nauczają, że BAJKA jest literacką formą, przemyślnie ku temu wytworzoną, ażeby prawdy drażliwe, osłoniwszy je dowcipnem postaciowaniem, gładziej przemycać. Taka PRZEMYSŁOWA robota zaczęła się stosunkowo bardzo późno, *) takie literackie BAJKOPISAR-

---

*) Najstarszym w tej mierze pomnikiem jest PRZYPOWIEŚĆ (nie BAJKA) arcydzielnie piękna, wydumana

STWO dopiero po przejściu całej jednej epoki, bo dopiero w okresie Aleksandryjskim, pojawia się. Człowiek

---

śród drzew na górze Garizim przez Jothama (przechowana nam w KSIĘGACH SĘDZIÓW, IX, 8), a która opiewa, iż DRZEWA POSZUKUJĄCE SOBIE MONARCHY, SPOTYKAJĄC ODMOWĘ U DRZEW OWOCOWYCH, KOŃCZĄ NA WYBORZE CIERNIU JAŁOWEGO. — Podobną tejże przypowieści jest owa O ŻOŁĄDKU I CZŁONKACH CIAŁA ODEŃ ZALEŻĄCYCH, którą senat rzymski posyła zbuntowanej PLEBIE, cofniętej za Rzym, na MONTEM SACRUM. Jedna wszakże i druga są raczej wyilustrowaniem postaciowem, uprzystępniającem ludowi treść oderwaną, i przeto — sposobem wyrażenia się. Należałoby one właściwiej policzać do DWU-STOPNIOWYCH mówień Sybilińskich. Z tych potem powstaje DYSTYCH — a z niego, w dalszym ciągu, przy zdegradowaniu tradycyi, przy zatraceniu pojęć o OBRZĘDOWYM TAŃCU i przy trywialności humoru, rodzi się używany do dziś KRAKOWIAK, rym dwustopniowej natury, wierszem jednym określający, jaki udział bierze stworzenie w wyrobie myśli, drugim, jaką jest myśl sama.

Mówienia DWU-STOPNIOWE Sybilińskie i powiedzenia auguralne nie z innego bywają źródła. Kiedy się wyroczniło np.:

Kruków czaty tam i sam przelatują nad równem polem.
Wiele trupa polegnie, nim przyjdzie sojusz... i t. p. —

porozumiewało się pierwej z naturą lotu kruków. Myślę, że niema co nadmieniać, iż dla nas, dziś, często być może związek dwóch części dystychu jakiego niejasnym, zwłaszcza że i spółcześni wyroczniom musieli się nieraz do uczytelniających je kapłanów lub mędrców stopnia wyższego i bliżej wtajemniczonego odnosić. *(Przyp. autora.)*

sobie tego sam przez się nie wyrafinował, że zwierzęta i twory inne mówią, rozmawiają, że język ten myśli powzajemniał, że istotnie jawił się i używał. Owszem, właśnie tak było w rzeczywistości; więc dopiero gdy okres tego z naturą obcowania zawarł się i oddalił, powstała BAJKA, tak, jako po częściowych RAPSODYACH, sporadycznie tam i sam zaśpiewanych, ocaliła się pełna Epopeja.

Do rozmówienia się potrzeba czego? — potrzeba SPÓŁ-POŁOŻENIA, JĘZYKA i UCZUCIA PRAWDY. Spół-położenie człowieka ze zwierzętami i tworami innemi, lubo na rozmaite oddalenia, jednakowoż istniało zawsze i może dziś istnieje. Języki zaś, jakkolwiek się tak bardzo roz-daliły, iż człowiek ROZSĄDNY (SIC!) odmawia własności mówienia zwierzętom i tworom innym, jednakowoż ten ich język, mimo zupełnego zaniechania swojego, istnieje, i podobno, że więcej nieco, niż niektóry ostatecznie zacofany dyalekt języka PAPU *). Co się tycze zaś UCZUCIA PRAWDY,

---

*) Z pozostałości (jakie po zamkniętych epokach zawsze bytują dla utrzymania ciągu rzeczy) z pozostałości, mówię, wnosząc, widzi się, że JĘZYK ZWIERZĄT jest MONOSYLABOWY, MUZYKALNY i EKSKLAMACYJNY. Do wyższej i szerszej gramatycznej formacyi niedochodząc, dawa on SYLABĘ i jej potęgowanie, np. HAM! HAM-HAM! — GDA! GDA-GDA! — i t. p. Podobno jednak w improwizacyach słowika dają się dostrzegać i formacye uczeńsze. Natomiast muzykalność obejmuje całą gramatyczną stronę i rozwój jej. Kura, ostrzegając o niebezpieczeństwie, używa nastroju i tonu nietylko

zdaje mi się, że nie TROSZKĘ, lecz BARDZO zapomina się o tej właściwości Prawdy, iż wszelkie żyjątko uczucie jej posiada, jakkolwiek w stopniu odmiennym. Popróbuj udawać zagniewanie, zamierzając się na psa żartem, a zobaczysz, jak on rozeznawać i podejrzewać będzie. Gdy tymczasem potrąć go najlżej, lecz seryo,— zobaczysz, jak on to przyjmie. Psa się zaś tu cytuje nie jako wyjątek, lecz dla tego, iż przezeń najczytelniej dawa się okazać wniosek nasz. Atoli i najdrobniejszy robaczek inaczej przyjmuje potrącenie kołysaną przez wiatr gałązką, inaczej zaś — podniesioną nań z woli człowieka. Nieodmienny zielony polny pajączek, gdy ma na przeciwne sobie brzegi strumienia nicią przekroczyć nadwodną, przyjmuje, jako oczekiwane, potrącenie wiatru, które go za jego myślą niesie, lecz tenże cofnąłby się przed takiemże samem, wywartem przez

---

dla samych oddalonych kurcząt zrozumiałego — podobnież innym wygłosem zwiastuje pomyślne karmu znalezienie. To, że niezawsze zdołamy przepisać monosylabiczne mówienia jakiego zwierzęcia lub ptaka, nic wcale przeciw istnieniu języka onych nie dowodzi, bo podobnież i z wielu języków wyspiarskich nie możemy abecadłem naszem przepisać wybrzmień, dla określenia których zbywa nam liter.

Ze swojej strony, język ludzki w epoce pierwszej nie znajdował się na tej stopie formalnego s-kościelenia, na jakiej go dziś się ogląda. Nie żeby od jakowego PISKU albo KRZYKU stopniowo rósł (CO JEST GRUBIAŃSKIEM BARBARZYŃSTWEM, ŻADNEGO TROSZKĘ OBUCZONEGO UMYSŁU NIEGODNEM), ale że ten język ludzki występował wtedy pogłównie w swojej doskonałości LIRYCZNEJ i GLOSSOLALIJNEJ. *(Przyp. autora.)*

człowieka wolę i podmuch. Uczucie prawdy w roślinach mniej jest jasne. Czułek prawie tak samo przyjmuje nieumyślne jak umyślne potrącenie.

Skoro więc było i jest SPÓŁ-POŁOŻENIE istot, skoro był i jest JĘZYK (patrz w odsyłaczu), skoro było i jest PRAWDY-UCZUCIE: istnieją zatem główne trzy warunki rozmawiania i porozumiewania się. To też zwierzęta i człowiek rozmawiały, jak rzekło się. Ogromny słoń do dziś jedynie na tym warunku służy i niema dlań wędzidła żelaznego, albowiem mogłoby za słabem okazać się; trzeba więc czegoś silniejszego, to jest, stosownego używania SYLAB śpiewnych i porozumienia się.

— — tak do zatrzymanej myśli mówił POWIEW SWOBODNY, który, że był i jest wszędzie, gdzie się działo i dzieje życie, znać może rzeczy. I dodał jeszcze...



le, odkąd i jak nastąpiło to rozdalenie pomiędzy zwierzętami a człowiekiem, które dziś dwa osobne stawi obozy?.. Jużci, że odtąd, odkąd człowiek samego siebie tylko w stworzeniu poszukiwał, nic poza ten widok nieważąc sobie. Arabski koń innego nie zna wcale zbliżenia się człowieka, tylko ODWIEDZINY — tam zawsze przyszedł ktoś do kogoś

i obaj rozumieją się — owszem, koń arabski podziela nawet interes wzajemnej uprzejmości, bo, gdy jest podochocony, chce dla przyjemności SWOJEJ, ażebyś mu koło uszów strzelił parę razy z pistoletu, co przecież nie jest zwierzęcej jakiej potrzeby wynikiem... Natomiast, skoro przed człowieka, który kupuje sobie konia do zwożenia kamieni lub beczek, przyprowadzą zwierzę i okaźnie postawią, on zaś za pierwszym rzutem oka wyczytuje sobie siłę machiny, to szerokość piersi, to nóg moc obliczając, i dopiero po zrewidowaniu materyału widzi nareszcie zwierzę, a może nigdy stworzenie!..— jużci, że rozdalenie pomiędzy tym człowiekiem a zwierzęciem onem tak jest zupełne, jak zbliżenie kogo innego z koniem arabskim wyżej nadmienionym. Temto zachowaniem się i tą drogą nastąpiło rozdalenie człowieka i stworzeń. Zwierzę odtąd nie SZŁO drogami swemi, jak swobodniejszy ptak, mający swoje szlaki i odloty, interesom jego właściwe; zwierzę odtąd UCIEKAŁO, i szlaki przezeń przebiegane są szlakami ucieczki. I oto jeden z trzech warunków porozumiewania się, to jest, SPÓŁ-POŁOŻENIE istot przestało istnieć — za niem począł się oddalać język zwierząt od glossolalijnych z ludzkim zbliżeń.

Dopiero zaś kiedy takito okres zamykał się i zamykając oddalał, starano się, z jednej strony, przynajmniej dogmatycznie ciąg onegoż utrzymać, tam i ówdzie wydzielając GAJE ŚWIĘTE dla uderzenia siekiery niedostępne — utrzymując ZWIERZĘTA i PTAKI CZCZONE w dworcach świątyń — podobnież i drze-

wa *). Z drugiej zaś strony, na tradycyi minionego dramatycznego stosunku poczęła się dopiero urabiać BAJKA. Kierunki te dwa, lubo z tejże samej wyszłe przyczyny, musiały się względem siebie jątrzącemi znamionować. BAJKA albowiem upowszechniała jawnie, co inni uwyłączniali i zawierali tajemnicą. Wprost przeciwne parcie gdy do starć dochodziło, w takowem ginie BAJKO-TWÓRCA pół-mytyczny, AIZOP. A ginie właśnie tą śmiercią, którą zwykł był rabiać sobie satysfakcyę tłum podniecony, bo zepchnięcie ze skały w przepaść było wyrzuceniem kogo za społeczeństwo, i TARPEJSKA SKAŁA nie jest bynajmniej żadnem rzymskiem wyjątkowem prawem. — „Kmieć, przewożąc bóstwo, utwierdził je na grzbiecie osła (mówi Aizop); temu gdy kadzą i kłaniają się, osieł spyszniał i wierzgać począł. Alić obitym zostaje on przez kmiecia, aby wyjaśnionem okazało się stanowisko BÓSTWA, CZŁOWIEKA i ZWIERZĘCIA.“ Takato BAJKA jużci że za dni, kiedy około tych zadań i wątpliwości namiętniły się umysły, nie zapewniała swemu

---

*) ZOO-LATRIA żadnego uczucia w człowieku względem zwierząt nie rozwinęła i nie rozszerzyła. Ubóstwienie tego lub owego tworu nie stanowiło o całości i naturze stosunku stworzeń. Człowiek i tam siebie poszukiwał. BAŻANT ZŁOCISTY chiński jest podobny do młodego chińczyka, ubranego w przepych jedwabiu i złota; IBIS RELIGIOSA — do starego kapłana egipskiego; nawet konsekracyjny RZYMSKI ORZEŁ podobny jest profilem, zwrotem głowy i spojrzeniem do wszystkich głów konsularnych rzymskich. *(Przyp. autora.)*

autorowi pogodnego wczasu i była zjadliwszą rzeczą, niż to sobie wyobrażać dziś zwykliśmy! Ona wszelako, i może nie inna, najwyraźniej dzieło i działalność Aizopa okazuje.

— — do zatrzymanej myśli, podobno, że jeszcze miał coś mówić SWOBODNY POWIEW... lecz nadlatywał właśnie Anioł, a ten bystrzejszy jest, i oto powiew swobodny pośpieszył iść za grą skrzydeł anielskich. —

II.



anioł leciał ponad siołem, które z obfitej zieloności drzew różnych przeświecało wesołemi oknami domostw. Godzina była południowa; na niedożętych łanach tam i sam w niebieskim cieniu snopów spoczywali żeńce.. Ruchu żadnego nie było, nawet idący drogą żebrak wstrzymał się i na uboczy przyległ. Na całym obszarze widnokręgu niebios jeden tylko maleńki obłok, biały, zawisał...

Kiedy się podnosił anioł kręgiem... kręgiem... brzmiała odeń pieśń naokoło:

„Wy! pokwapcie się, lekkie, składne, jasne motyle, i wy, muszki drobne, złote jak iskry! Wy, ptaszki wesołe, i wy, zwinne polne i leśne zwierzątka... Wszystek ten drobny świat, który jakoby dla kogoś doskonalszego zabawek jest zbiorem, niech się kwapi dziś, gdyż oto, dni temu nieco, najpiękniejsze ze stworzeń, CZŁOWIEK przyszedł na świat!

„Chrzest przyjmie dziś — a teraz śpi, w białe pieluszki owinięty i pogrążony w półcieniu szafirowym jedwabnych kotar — bardzo piękny — nieudawający nic, szczery i zewsząd wdzięczny. Tam w oknie tem, rozigranemi jak bluszcz białemi różami oplecionemi, nowonarodzony mieszka...

„A ktoby powątpiewał, że najpiękniejszem ze stworzeń jest człek niemowlę, ten niechaj je ogląda w domu Ojca naszego — w kościele... Cóż może być wdzięczniejszego, w każdym ruchu i w oglądaniu się na wsze strony za Wszędy-obecnym, nad niemowlę czyniące nabożeństwo swej niewinności..? Ono nie idzie za tłumem, ani do świecących blasków kapłańskiego ubrania wyciąga rączyny — ani do zapalonych świec — bynajmniej. Pełni swoją modlitwę, jaka mu jest tchnięta, i zaiste, że pogłaskanem bywa niewidzialną Boga prawicą.

„Dla tegoto z uweseleniem podaję wam, że jeden więcej błogosławiony, jeden więcej piękny narodził się..."



ak gdy swoją pieśń skończył anioł, nastąpiła na bardzo mało chwila głębokiego uciszenia, poczem jak jednej struny złotej wygłos zabrzmiały słowa drobnych złotych muszek, i owadków tęczowych, i motyli w pyły świetne owianych:

„Piękny — piękny — piękny! jest człowiek dziecię, i niebawem podziwiać go będziemy hasającego po łąkach — rumianego jak zorza — po pas w kwiatach, z rozwianemi złotemi włosy. Gdzie skinie ręką, w której nieść będzie zdradną mgłę gazy, podchwyci motyle zbyt ufnie ssące kwiaty, podchwyci muszki złote, szklanoskrzydłe i tęczowe owadki... A potem, z uśmiechem powodzenia, poprzewierca im szpilkami karki i tak cały kapelusz i pudełka swoje przebitemi i przybitemi ustroi. One okręcać się będą na kruszcowych palach i wspinać na wyprężane nogi z jękiem, którego nie dosłyszy tłuste ucho człowieka, gdy po łowach rzuciwszy się, jak był, na posłanie, głęboko będzie spał, w pięknem odniechceniu tem nadobniejszy...

„I przyjdzie matka, pojrzy, zachwyci się — miękkim palcem odgarnie mu włosy z powiek — chustką wonną obetrze mu czoło. Profesor przebudzonego wychwalać będzie, iż wdzięcznych tyle trudów poniósł — — ale on się nic z tego, ani się nikt z tego nic nie nauczy!.. Tylko człowiek-pacholę rozpocznie próbować przyszłego rzemiosła swego, to jest, ażeby WSZYSTKO

PODSTĘPEM UJĄĆ, ZAMORDOWAC, OBEDRZEĆ I DLA SAMEGO SIEBIE ZUŻYTECZNIĆ!“

„TO JEDNO, OD RANA DO NOCY, CODZIEŃ WZGLĘDEM CAŁEGO STWORZENIA POCZYNAŁ ON PRZEZ WSZYSTKIE WIEKI!..“ — tak dobrzmiało echo słowom maleńkich muszek, tęczowych robaczków i motyli.

„Atoli on jest piękny, i piękna matka jego, i siostra starsza...“ — szczebiotać poczną ptaszki wiewne, miłe i swobodne — „lecz strzeżcie skrzydeł waszych, w których może błyszczeć parę piór — bo pojmają was podstępnem opętaniem sieci i odrąbią skrzydełka wasze, ażeby w szkielecie wyschłym uczepić je dodatnio na kapeluszach i na włosach. Kobiety od nas wszystkich ptaszków są piękniejsze, lecz nie nauczono ich ROZWIJAĆ PIĘKNOŚĆ WŁASNĄ, TYLKO ODZIERAĆ CUDZĄ I BRAĆ NA SIEBIE!.. Strzeżcie się więc...“

Upomnienie takie o baczność na człowieka czyny słysząc na drzewie, wiewiórka, cała w złotym słońca promieniu złota, ześliznęła się nieco niżej i pokornie swą rozpoczęła prozę:

„Powiadają, że umiałybyśmy bawić i rozweselać ludzi, będąc jakoby wcieloną gajów krotochwilą i igraszką, bo nikt tak drzew nie łączy z drzewy, jak skok jeden nasz zwykły, niewysilony... Lecz człowiek uprzejmiej patrzy na zwinność i igraszkę, niżli ocenia pracę i trud. Wystrzegajcie się jego, jakkolwiek jest piękny i wyniosły!.. Gdy my albowiem pracą znojną uzbieramy sobie na zimę jadła i, we wypróch-

niałem drzewie orzech zebrawszy do orzecha, otulimy je mchem najstaranniej, — zaraz bystry i piękny przewie się o tem, zabierze wszystko, on, któremu to jest igraszką jadła i któremu ani koniecznem jest takie jedzenie... I jeszcze z bratem swoim własnym pokłóci się, albo się i pobije, o orzech jeden, i dwóch więcej swojej siostrze nie da!.. Ale on wprawić się musi sercem w rzemiosło zdziercy, okrutnika i syna okrutników po wszystkie czasy."

„Jadło wszystko stracić na zimę jest wielką rzeczą"... — tęskno i słodko dośpiewa ukryty w cieniu mały ptaszek — „lecz nam przemyślny człek, bywało, igłą wykała oczy, ażebyśmy, w ciemnościach pogrążone, śpiewały bujniej..."

„Widziałam go, przez matkę kąpanego, i wiem, jak jest urodziwym," — zadzwoni ze szklanych fal strumienia jasna rybka, — „czoło ma zawsze podniesione, tak, że ogromny nasz wieloryb przy liniach Czoła tego dziecka jest poziomym i płaskim. Zaiste, mądry przeto, bo on z przezroczystego włosa nici uda nić wody bieżącej, i nastroi jej hak żelazny, i robaczka albo robaczka pozór utwierdzi na haku, aby mimo idąca głodna ryba, połykając podstępną śmierć, ginęła."

Wtedy, nad strumienia brzegiem przeżuwający złotą trawę śliczny ciołek, podobny do Apisa poszukiwanego, gładki i połyskliwy, zawoła:

„Zawsze ofiarny stryj wół, który pracuje na ludzi, upomina, że nawet skoro wyciągnie do ciebie człowiek białą swoją rękę, ażeby cię pogłaskać, nie dowierzaj! Bo on uczy się szukać palcami, ile mięsa narosło, ile

tłustości? On rozwiesi w jatkach białe i tuczne trupy, i bawić się będzie wyrzezywaniem we wzory skóry i mięsa, i umai je liśćmi zielonemi. Tamtędy potem pędzić będzie na rzeź sprzedane i z obłędem patrzące bydło.

„Albowiem jego całą rzeczą jest i było, po wszystkie czasy, od rana do nocy tem się zaprzątać jednem, ażeby wszystko podstępem ująć, zamordować, złupić, i ZJEŚĆ, i ZJEŚĆ... i co tylko można, odarłszy, na siebie wdziać, i wszystko sobie przysądzić. Syn, wnuk i prawnuk katów nic innego nie poczuł względem stworzenia! *).

„On to sędziwego wołu, gdy już dlań dość żwawo w polu płużyć nie może, utuczy obmyślnie i zabije — skórę użyć pośpieszy na uchronienie obuwiem stopy swojej od szwanku — mięso zje — kości porznie dla

---

*) Dusza Egipcyanina, przed sądem bogów spowiadając się, mówi: „NIE ODRYWAŁEM SSĄCEGO ZWIERZĘCIA OD MATKI — NIE PŁOSZYŁEM GAZELI Z LEGOWISKA.“ (W Księdze Umarłych).

My wszelako, pod czasy obecne, nawet i względem pogardliwie nazywanej „ŚWINI!“ moglibyśmy mieć historyczne względy. LUDOŻERSTWO albowiem (ANTROPOFAGIA), jakkolwiek powstałe z zaciekłości wojennej, gdy jednakże weszło potem w interes strawy, radykalnie dopiero bywa usuniętem przez wprowadzenie hodownictwa świń w te zakąty, gdzie, różnorodnego i dość posilnego jadła że często zbywa, dłużej się potworna tradycya praktykuje. I Świnia przeto wielkiej cywilizacyjnej sprawie usługiwa! *(Przyp. autora.)*

urobienia z onych fraszek do gry zabawnej po uczcie — z rogu jednego pić będzie złoty miód a w drugi róg zatrąbi! I niemożnem stanie się, ażeby cień śladu pozostał, że tu wół istniał...“

„Nieinną niesie zagładę rodowi owiec!..“ — jęknął nareszcie i baranek, biały, miękki i czysty jak obłok. — „Lubo owca sama porzuca i dawa z ochotą wełny swoje i mleka, lubo dzielić się lubi wszystkiem, co ma, — ale on już od dziecka w strony podstępu, wyzysku i pożerstwa wystosował twardość serca swojego i do ostatniej chrząstki policzy wszystko we zwierzęciu. Wytoczy z niego wnętrzności, wyrobi je i sprzędzie w struny muzyckie, ażeby na nich wygrywać piękne i głębokie akordy — pono na chwałę Boga!..“



asmucił się anioł, ale przemilkł; zatoczył kręgiem, kręgiem, nad poziomem — i, oparłszy skroń na obłoku, wstrzymał się...

A że mówienie zwierząt bardziej muzyckie jest niż słowne, przeto z poruszonych wiewów i z rzuconych w powietrze wybrzmień potęgował się lament pieśni, który wołał jeszcze i szedł daleko, jak fala idzie morska ku niewidzialnym brzegom... Aż oto żebrak, co opodal w łachmanach przyległ był u drogi, porwał się niby ze snu, który mu ciężył jeszcze na powiekach, i gałganami swemi zatrząsł

jak topol sucha w czasie burzy, wołając: „Atoli człowiek ów, od wysoko latającego ptaka do ostatniego małego grzybka pod piaskiem zjadając wszystko i stół sobie obiadny ze świata całego uczyniwszy, NIGDY JEDNAK JESZCZE WSZYSTKICH LUDZI-BRACI NIE NAKARMIŁ!..“ Rzekłszy zaś to, dobywał z torby zeschłych odłamów chleba czarnego i maczając je w kałuży przydrożnej próbował podjeść.



tedy anioł w niebiosach wionął pióry około oczu swoich, i myśliłbym, że łzę uronił, bo jako przez szyby przezrocze bieży nierówno kropla rzucona rosą na okno i tęczuje, tak przez obłok przewiewała błędnie drobna jasność do perełki podobna... Zasmucony był, zakrążył raz jeszcze nad domostwy bielejącemi w zieleni drzew i poleciał...

Tymczasem jednak, pieśń lamentu raz rzuconemi w powietrze wybrzmieniami rozlegała się tętniącą, długą falą, pomagana kłonem to trzcin nadbrzeżnych, to stepowego bujnego kwiecia, szła i szła, różniebrzmienna, różnie podejmowana, cichnąca, silniejsza, lecz taż sama.

I dobiegła do puszcz, gdzie leżał żubr, z monumentalną powagą żujący ziele. Ten indyjski wół, z głową ciężką dużem wiedzeniem rzeczy dawnych,

przerodził się był nieco od dni, w których, z pod Himalaja przyszedłszy z Litwinem, zamieszkał głębokie mateczniki, co dnia dostępniejsze. Atoli pozostał najpoważniejszym z żywych pomnikiem dni pierwszych Europy.

Jego to brwi i ucha gdy dobiegła fala lamentu przez drżenia roślin bujnych, począł w te słowa:

„Człowieka jeszcze DO-MIARKOWANEGO nie zna stworzenie: energia jego sama się z siebie w nim raduje i dowcip sam w sobie szaleje z potęgi własnej. Może on jeszcze nigdy nie JADŁ — może on dopiero POKĄSAŁ wszystko i wyssał? Dla tegoto i nie nakarmia swoich wszystkich!.. Jeżeli rozpustuje w pożerstwie i łupieniu zwierząt, to iż onych także zapomniał albo nie zna wśród opatrznych praw ich ojczyzny. — Bydło jego są to dzieci i wnuki jeńców, drzewa są to niedorąbane wióry! — Ale on dopędzi kresu tej chuci, gdy spotka się pierś w pierś z pomnikiem ojczyzny opatrznej tworów na tej ziemi — gdy się spotka z LASEM-DZIEWICĄ!

On, dziecię potrzeb, nędzy i szaleństwa, nagie, bezchronne, głodne, syn zakopciałych i zatęchłych miast, jałowej lub wycieńczonej gleby i karłowatych drzew... On, przepisujący tą właśnie nędzą swoją prawa bytom!.. I jakże niema być lamentu stworzeń?..“ — A to gdy tchnął żubr powiewowi, co szedł falą w puszczę przez drżenia roślin, zachodziło już dobrze słońce — i zaszło, i była noc.



ręgiem, kręgiem gdy poleciał był anioł, mknęły potem równo i prosto skrzydła jego jak długi promień. Przy księżyca i przy wielkich gwiazd blasku przeleciał szerokie i spokojne jak niebo morze. Jutrznia bieleć kiedy niekiedy poczynała śród szafirowego mroku i wyjaśniały się opodal długie skaliste brzegi, gdy anioł jeszcze zdawał się podwajać lotu pęd, tak, że, jeślibyśmy się na anielski sposób wyrażali, musiał mieć „PILNY BEZ-INTERES.“ Lecz skoro opalowe dopiero, ale już szerokie obłyski zorzy wyświeciły krajobraz, dały się widzieć i rozeznawać podnóża Libanu w ojczyźnie tajemniczych rzeczy Bożych. Było cicho w naturze, i tem ciszej, że na sposób i nastrój moralnego w duszy uciszenia...

Kaplica była, sama z pustelni się robiąca, a ta z groty w skale wyciosanej mocą natury, sztuki i codziennego użytku.—Przed ołtarzem zajęty był rozpoczętem nabożeństwem pustelnik jeden, gdy drugi służył mu w obrzędzie. Zresztą, ława prosta i księga na niej zamknięta i nic więcej.

Anioł zstąpił na próg stojącej otworem kaplicy, bo drzwi nie było wcale, i, wkłoniwszy się w ciąg modlitwy, widać było, że dopiero odpoczywał. Radowały się wyraźnie oczy jego widokiem aby dwóch ludzi,

na których żywocie, mieniu i obyczaju nie było żadnej skazy naznaczonej gwałtem lub krzywdą jakąkolwiek bliźniego, ludzkości i stworzenia!..

Ku temuto więc leciał tak skoro z tak daleka... Ku temuto więc taką trzeba było zadawać sobie podróż oddaloną i poszukiwanie przedsiębrać tak usilne!

Kapłan się obrócił od ołtarza i rzekł: „ORATE FRATRES...“

Nikogo prócz anioła tam nie było, tylko dwa lwy przeszły powoli mimo progu i, otarłszy się biodrami o kamienne odrzwia przy wnijściu, tymże samym powolnym krokiem oddaliły się w stronę cedrów czerniejących ponad parowami.

Tymczasem szło dalej nabożeństwo z bezwzględną starannością i spokojem, a gdy już ku końcowi tak odprawianej Mszy się miało, poniósł anioł rękę ku księdze i, gdy, wedle chaldejskiego obyczaju, skrzydłem NA TRAF otworzył karty, zatrzymały się pióra jego i położyły śród tych wierszy:

„I POSTAWIĘ DLA CIEBIE PRZYMIERZE, DNIA ONEGO, ZE ZWIERZEM POLNYM, I Z PTASTWEM POWIETRZNEM, I Z PŁAZEM ZIEMSKIM, A ŁUK, I MIECZ, I WOJNĘ WYGŁADZĘ Z ZIEMIE: I SPRAWIĘ, ŻE BEZPIECZNIE MIESZKAĆ BĘDĄ.“ (Ozeasz, II, 18).

Cypryan Norwid.



Ze szlaków duszy.

AHASWERA.

Idzie wskroś świata dziewczyna królewskiej krwi.
Oczy ma czarne — a w oczach namiętne skry.
Błądzi po ziemi niepewną stopą — jak w śnie —
I ziemię widzi zmąconą w słonecznej mgle.
Idzie tak blada w czerni powłócznych szat
Od niepamiętnych — odwiecznych, odwiecznych lat.
Idzie do celu swego — gdzieś w dali — ciemnego —
I nie wie dokąd? i nie wie, biedna, dlaczego?
Wciąż idzie naprzód i pyta chmur białych — zkąd?
Czy ją aż z raju gna Ewy słoneczny błąd?
Czy z niebios pana na padół strąciły czarty?
I szydzą z Boga wygnańca duszy rozdartej?
Czy w ciało oblekł się wicher szczytowych skał,
Że pierś jej targa posępny zatraty szal?
Czy ogień piekieł zamieszkał czyste jej łono,
Że z źródeł pije wargą wieczyście spieczoną?
Czy wszechstworzenia białą, chodzącą jest trumną,
Że jej tak bosko, tak sennie, gorzko i dumno?..

Bladej dziewczynie nie gasną w źrenicach skry.
Nie zna znużenia powoli gryzącej rdzy.
Choć idzie z wieków i w wieków dal — nieustannie —
Serce jej płonie, jak słońce wiosny, zarannie.
Młodość nie schodzi z jej blado-płonących lic.
Nic jej nie zwarzy — nie złamie, nie zegnie nic.
Ani wichury i ciemnych dni niepogody —
Ni jad śmiertelny czerwonej wilczej jagody —
Ni ludzi tępe, tchórzliwe i chwiejne serce —
Ni furye pragnień — ni tęsknot szpony-krwiożerce —
Ni grom piekielny z pąsowej w lazurze chmury —
Nic nie pokona, nie złamie królewskiej córy.
Ciało jej ranne — i serce. — Dusza nietknięta.
Błogosławiona? może. A może przeklęta.

I tylko jedna katusza dziewczynie bladej
Grozi złowieszczym sykiem potwora zagłady,
Jedna męczarnia zastaje słabą, bezbronną
Tę lilię wieczną — tę lilię mocną i wonną.
Jedna jedyna — lecz stale w ślad jej biegnąca,
Jak czarna ziemia za świetnym pożarem słońca,
Zwarta z jej sercem jak serca bezprzerwne bicie
I jak czerw drzewny jątrząca jej łono skrycie.
Na dnie kielicha jej duszy, lilii czystej —
Z żądłem w korzeniu drga robak — nudy wieczystej.

Idzie przez ziemię blada dziewczyna — jak w śnie —
Ziemia się chwieje koło niej niby we mgle.
Biegnie do celu swego gdzieś w dali ciemnego
I nie wie dokąd? i nie wie, biedna, dlaczego?
Biegnie tak błędna — i straszne sny jakieś śni,
Bo dyszy ciężko — w powiekach stanęły łzy —
Łzy nieruchome... ach, któż na świecie je zetrze?
Biegnie tak szybko — świstem gra za nią powietrze —

Leci wskroś świata coraz niepewniej i prędzej...
Od widm ucieka półsennych — od własnej nędzy.

Czasem ją w biegu szalonym i pełnym dum
Twardo uderzy szarawych olbrzymów tłum,
Przez opar senny nie dojrzy prawdziwych ludzi.
Każdy urasta w jej oczach i trwogę budzi,
Każdy przechodzień ją trąca — idzie pośpiesznie —
Dziewczyno, senna dziewczyno — ocknij się! we śnie
Zginiesz na świecie żelaza, krwi — i pieniędzy,
Na świecie trzeźwych rozkoszy — i trzeźwej nędzy.

Ona nie słucha. Mknie dalej błędna — i żyje.
Gdzie stąpnie — kwiat się rozchyla — i rodzą żmije.

Czasem w ucieczce tej czy pogoni — kto to wie? —
Blask jej słoneczny zastąpi drogę w dąbrowie —
Rozkołysany w gałęziach chmiel ją oplące
I stroi nagą w liść jasny i grona drżące,
Leśnym zapachem ją poi — i do jej łona
Garnie się mocnym, namiętnym skrętem — a ona
Zamyka oczy, słania się cicha, z uśmiechem,
I cała jest widmem nieba — i cała grzechem!

Czasem do tawern zaleci, zwabiona dziką
Skrzypiec i fletni łkającą, słodką muzyką,
I światłem w oknach, i wirem miłosnym tańca.
Tęsknota szału zrywa się w duszy wygnańca —
Gmach Aladyna dostrzega w tanecznej budzie
I wschodnie orgie w kurzawie, dymie i brudzie.

Wzrok jej wybucha łuną radosnych promieni,
Twarz w słońcu szczęścia jak tęcza pali się, mieni,
Wieńcami kwiatów okręca ciało i skronie —

*Rozpuszcza włosy — porywa tamburyn w dłonie —
Staje się tańcem — a ludzie patrzą zdumieni
Na ten szał kwiatów i śpiewających płomieni.*

*Czasem ją dzieci otoczą gwarnym pierścieniem.
Pytają: „kto ty?“ — ona uśmiecha się: „Nie wiem.
Podobno z gwiazdą spadłam na łąkę, za borem,
I z puchem kwiatów — lipcowym, późnym wieczorem.
Gdy się zbudziłam, woniały w księżycu kwiaty
I wiatr zawodził... dawno to było! przed laty,
Gdy słońce ziemię pieściło, młodą, przecudną,
Gdy tu nie było tak tęskno — straszno i nudno.“*

*Dziewczyna gada — rój dzieci skupiony słucha.
Drżą ciche, jakby muśnięte skrzydłami ducha.*

*Czasem mędrcowie wśród wielkiej cichej narady
Zastąpią drogę lecącej dziewczynie bladej.
„Czy jest Bóg? powiedz.“ Ona w nich topi swe oczy —
Ich dreszcz przebiega... Bóg spojrzał z ciemnych przezroczy
Jej oczu wielkich, ciągnących w głuche otchłanie
Zagadki wiecznej. „A duszy jest zmartwychwstanie?“
Twarz Ahaswery łuną oblewa się świętą:
„Wieczystem życiem ducha mojego przeklęto.“*

*Idzie wskroś świata dziewczyna blada i cicha.
Życie ją kusi — a świat prawdziwy odpycha.
Darmo wyciąga do skarbu szczęścia swe ręce —
Lecą okruchy. Ona je rzuca. Chce więcej.
Darmo wyzłaca świat blaskiem i ogniem poi
Swych snów bajecznych — jak stał w brzydocie, tak stoi.
Ziemia jej nie chce — i ziemi tej nie chce ona —
Więc leci dalej — gardząca i pogardzona.*

KAPRYS.

W masce nagości chadza mój duch,
Pewien, że nikt łatwowierny
Nie da się złapać na szczery ruch,
Że mózg epoki, nie bierny,

Lecz wryty w ziemię czynnie jak kret,
Lub trufel węszące wieprze,
Nagości pozór odrzuci wnet,
By zdobyć pewności lepsze.

Maskę nagości oblekam w dzień,
Naga wędruję po słońcu,
Dziwiąc się czasem, że nawet leń
Kłamstw braku nie dojrzy w końcu,

Że nawet kretyn wytęża mózg,
By zbadać krój dziwnej szaty
I z pod szczypiących intrygi rózg
Wyjść wiedzą ducha bogaty.

Maską cnót — bezwstyd się dla nich stał,
Ubiorem — strój Afrodyty,
Dominem chłodu — miłosny szał,
A śmiech — łzy płaczem ukrytej.

W cichej pokorze kryć się ma pych
Lewiatan — ambicyi gwałty —
Żar serca — chować ironii szych,
A puchów miękkość — bazalty.

☆ ☆ ☆

Tak długo wiodłam w pomyłek las
Przemądrych, sceptycznych braci,
Aż zemsty zdarzeń przypełznął czas
I zwątpień szalejem płaci.

I daltonizmem Nemezys zdrad
Mych zmysłów zmąciła czystość.
Mej samowiedzy zmącony ład!
Gdzie pozór? gdzie rzeczywistość?

Grozą obłędu targane Ja
Błąka się w czuć wieży Babel,
Z straconą wiedzą, czem jest? kto drga
W krwi? w mózgu? Kain czy Abel?

Czy nagi bezwstyd, cyniczny śmiech
Nie chroni lilii przed błotem?
Szyldwachem cnoty czy nie jest grzech?
Łzy szczęścia — śmiertelnym potem?

Żądzą nicości czy nie jest szał?
Wszechżycia — nostalgia trumny?

Czystej dusz spójni — konwulsya ciał?
Pokorą — karku rzut dumny?

W nagim mym stroju może jest kłam,
Nagość ta może trykotem.
Może bezwiednie komedyę gram —
Z kłamstw igram dwużądłym grotem?

W każdem mem drgnieniu prawda i kłam
W chemiczne zlane małżeństwo.
U śmierci chyba powiewnych bram
Śmierć znajdzie tragi-błazeństwo.

Tragi-błazeństwem mój chory byt,
Dziwaczną chimerą dusza —
Łkaniem upiorów ironii zgrzyt,
Nonsensem każda katusza —

A oto wita mnie absurd-szczyt —
Śmiertelna objęła głusza —

* * *

Płomień życia bije mi do głowy
Jak wino,
W czar kołysze, jak powiew dąbrowy
Godziną
Południową, gdy kukułka śpiewa
Gdzieś w dali
I złotawy cień rzucają drzewa
Do fali...

DUMANIE.

Umrzeć czy zabić? oto pytanie.
W uścisku nudy skonać szkielecim —
Czy rwąc na strzępy to marne trwanie
Uciec... Tak, uciec. — Lecz jeśli świecim

Drugiej istocie słońcem żywota?
Jeśli w jej oczach słupieje trwoga?
Jeśli kurczowo chwyta za wrota
I wie... i nie chce wiedzieć, nieboga?

Jeżeli wiemy, że idąc od niej
Korzeń jej życia wleczem za sobą —
Duszę drgającą rzucamy grobom —
Jeśli krew na nas padnie tej zbrodni?

Zbrodni? — Więc kiedy z wysmukłej sosny
Wiatr pasorzytny mech zerwie szary
I mech ten zginie... zginie wśród wiosny —
— Czyliż to drzewo winne jest kary?

Żywą kobietę bluszcz oplótł nocą,
Myśląc, że znalazł marmur kolumny.
Rankiem jej stopy, biegnąc, zgruchocą
Słabej rośliny pnącz bezrozumny.

Budzi się — zrywa, czując spętanie —
Bluszcz przerażony, chwyta jej ręce,
A ona pyta, pół leżąc, w męce:
Umrzeć czy zabić?..

CO JUTRO?

Długo złociło słońce winnicę
Dusz, aż dojrzały pożądań grona,
I krótka chwila — i wychylona
Czara upojeń — i zgasły lice —
I jak bezlistne, jesienne krzewy,
Stoim pod zimną chłostą ulewy.

Jutro? co jutro? — Puhar wypity —
Na ustach gorycz ostatniej piany —
Na piersiach duszność cmentarnej płyty
I w głębiach ducha płomienne rany —

Jeszcze snem nocy letniej powieki
Napół zawarte, ciężkie — — wciąż jeszcze
Gra w drzewach szczęścia akord daleki —

W szkle pustem, w wieńcach zwiędłych szeleszcze
Żółty gad jawy — wpełzł na wezgłowie —
W dwa blade czoła wbił oczy sowie — —

VICI.

Nade mną chwała płomieni i tęczy — — —

Więc mi uległeś — więc przede mną klęczy
Złote bożyszcze — więc uderzył czołem
Smok przed wzgardliwym śmierci archaniołem —
Więc w czarodzieja zaklętej obręczy
Padłeś ugodzon — królewiczu dumny!

Twej duszy chciałem. Twego ciała. Chciałem
I mam cię, żywy cudzie. I chcę więcej.
Chcę mieć twe życie i śmierć. Chcę wziąć w ręce
Twe serce krwawe — jeszcze drżące szałem — — —

A słowo moje już się staje ciałem
I duma, wsparte o wieko twej trumny.

NIEGDYŚ.

Duch mój niegdyś, jak ciche, szafirowe morze,
Leżał pod niebem pragnień twarzą zachwyconą —
Każde drżenie błękitów brał drżeniem w swe łono
I chwałę słońca w złotej odbijał pokorze.

A w dniach łaski, o jasnej, wieczorowej porze,
Gdy w złotem niebie chmury purpurowe płoną,
Zstępował z wysokości, błogosławiąc dzwonom,
Bóg słoneczny — w pragnieniem omdlałe przestworze.

Gasły w popiele zmierzchu krwawe zórz przepychy,
Zastygał świat — jak czoło które śmierć okala —
Szedł złoty zgiełk od roju gwiazd — i poszum zdala —

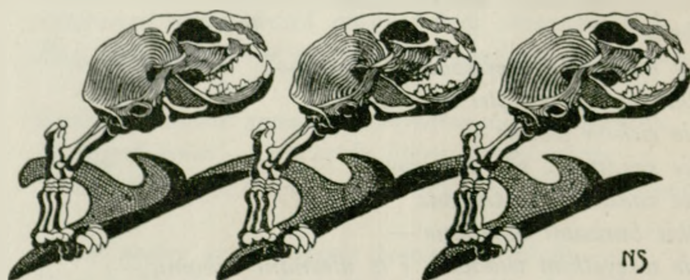
Wiatr nocny targał śpiące powojów kielichy —
Duch z Bogiem w łonie święty spoczywał i cichy,
Jak wielka, ciemna, głucha oceanu fala.

PRZESZŁOŚĆ.

Żadne wspomnienie oczu mych więcej nie znęci.
Dni przeszłe i przeszłe noce,
W gorzkiej zamknięte pamięci
Sromu —
Wszystkie przełkane i przecałowane —
Wszystkie przywołane i niespodziane —
— Opłakane —
Wszystkie czarne i złowieszczo milczące —
I wszystkie szałem świateł śpiewające —
Wszystkie ciche i wonne —
Wszystkie szydercze, złe, sprosne —
Wszystkie zadumane i żałosne
I wszystkie burzami ogromne —
Wszystkie wszystkim wiadome i te nieznane nikomu —
Wszystkie mi oczy palą nikczemnych dreszczów dosytem,
Wszystkie odrzucam dzisiaj z wstydu rozpaczą i zgrzytem,

Wszystkie się pastwią nade mną z psów zagłodzonych sko-
[wytem.

Bo, że mnie dawnym czarem mamić już nie mogą
I żyć mem sercem,
Topią mi pazury w gardło;
Że łódź moja wzgardziła ich trzęsawym lądem,
Przebić chcą jej dno giętkie hakami koralu;
Że je wygnało męstwo z krętych nor mej duszy,
Że się ich odkupione serce me wyparło,
Nad żywą drogą
Kraczą jak nad umarłą
I szydzą Niebios niecofnionym sądem
Wśród głuszy mego żalu — — —



Marya Komornicka.

Z „Opowiadań."

MILCZENIE.



noc majową, miesięczną — kiedy słowiki grały — do gabinetu o. Ignacego weszła jego żona. Twarz jej wyrażała cierpienie, i lampka maleńka drżała w jej ręku. Zbliżywszy się do męża, dotknęła ręką jego ramienia i rzekła szlochając:

— Ojcze, chodźmy do Wierenki!

Nie odwracając głowy, o. Ignacy, po nad okularami, z głębi oczodołów wejrzał na żonę i patrzał na nią długo i bacznie, dopóki nie machnęła niezajętą ręką i nie osunęła się na nizką kanapę.

— Jacyście wy oboje... nielitościwi! — rzekła powoli, z mocnym akcentem na sylabach, i poczciwa, nalana jej twarz skrzywiła się skurczem bólu i zawziętości, jak

gdyby wyrazem twarzy chciała pokazać, jak okrutni są jej mąż i córka.

O. Ignacy uśmiechnął się i wstał. Zamknąwszy księgę, zdjął okulary, włożył je do futerału i zamyślił się. Wielka, czarna broda, dzierzgana srebrnemi nićmi, legła na jego piersi pięknym załamem i powoli podnosiła się w takt głębokiego oddechu.

— No, chodźmy! — rzekł.

Pani Olga wstała szybko i zaczęła prosić żebrzącym, nieśmiałym głosem:

— Tylko nie krzycz na nią, ojcze! Wiesz przecie, jaka ona teraz...

Pokój Wiery znajdował się na facyatce, i wąziuchne drewniane schody gięły się, jęczały pod ciężarem kroków o. Ignacego. Wysoki, dorodny, nachylać musiał głowę, aby nie uderzyć czołem o podłogę górnego piętra, i niechętnie krzywił się, kiedy biały kaftanik żony lekko dotykał jego twarzy. Wiedział, że rozmowa z Wierą żadnego nie wyda rezultatu.

— Pocoście przyszli? — spytała Wiera, podnosząc obnażoną rękę do oczu. Druga ręka leżała na letniej kołdrze i prawie nie odróżniała się od niej — taka była biała, przezroczysta, zimna.

— Wiereńko... — zaczęła matka, lecz załkała i zmilkła.

— Wiero! — rzekł ojciec, usiłując złagodzić swój ostry i twardy głos, — Wiero, powiedz, co ci jest?

Wiera milczała.

— Wiero, czyż matka twoja i ja nie zasługujemy na szczerość? Czyliż nie kochamy cię? I czyż masz kogoś od nas bliższego? Opowiedz nam swe zmartwienie i wierzaj staremu, doświadczonemu ojcu: lżej ci będzie i nam też. Spojrzyj na matkę staruszkę, jak ona cierpi...

— Wiereńko!..

— A mnie... — suchy głos drgnął, jakby się w nim coś załamało, — mnie, myślisz, przyjemnie? Czyliż nie widzę, że cię żre jakaś troska — ale jaka? Ja, twój ojciec, nie znam jej. Czyż tak być powinno?

Wiera milczała. O. Ignacy z niezwykłą ostrożnością pogładził brodę, jak gdyby bojąc się, że palce mimowoli wpiją się w nią, i ciągnął dalej:

— Wbrew mojej chęci pojechałaś do Petersburga — czyżem cię wyklął, — nieusłuchaną? albo — możesz-że powiedzieć, iż nie byłem dla ciebie dobrym? No — czegóż milczysz? Oto masz — ten twój Petersburg!

O. Ignacy zamilkł; zamajaczyło mu coś olbrzymiego, strasznego, granitowego, coś pełnego niewiadomych niebezpieczeństw i obcych, obojętnych ludzi. I tam, samotna, bezbronna, znalazła się jego Wiera, i tam zgubiono ją. Zła nienawiść do strasznego i niezrozumiałego miasta zatliła się w duszy o. Ignacego, a zarazem gniew na córkę, która milczy, uparcie milczy.

— Co tu ma do rzeczy Petersburg? — posępnie odpowiedziała Wiera i zamknęła oczy. — A mnie nic nie jest. Idźcie lepiej spać, późno już.

— Wiereńko! — jękła matka — córuchno, bądź-że szczera ze mną!

— Ach, mamo! — przerwała niecierpliwie Wiera.

O. Ignacy siadł na krześle: zaczął się śmiać.

— A więc — nic? — zapytał ironicznie.

— Ojcze, — rzekła ostro Wiera, unosząc się na łóżku, — wiesz przecie, że kocham ciebie i matkę. Ale... No — tak — trochę mi niedobrze teraz. Minie to. Idźcie lepiej spać, i jam też śpiąca... A jutro, albo kiedykolwiek — porozmawiamy.

O. Ignacy wstał gwałtownie, tak, że krzesło stuknęło o ścianę, i wziął żonę za rękę.

— Chodźmy!

— Wiereńko...

— Chodźmy, mówię ci! — krzyknął o. Ignacy, — jeżeli ona o Bogu już zapomniała, to cóż my dla niej znaczymy?

Prawie przemocą wywlókł panią Olgę. Kiedy schodzili ze schodów, pani Olga, zwalniając kroku, mówiła gniewnym szeptem:

— U-u! To ty, popie, zrobiłeś ją taką. Tę taktykę przejęła od ciebie. I ty będziesz za to odpowiadał. Ach — ja nieszczęsna...

I zaczęła płakać, często mrugając oczyma, nie widząc stopni i tak stawiając nogi, jakgdyby w dole była przepaść, w którą pragnęłaby się stoczyć.

Odtąd o. Ignacy przestał rozmawiać z córką, ale ona jakby nie uważała tego. Jak wpierw, leżała w swoim pokoju, albo też chodziła i często gęsto przecierała oczy dłońmi, jakgdyby były czemś zapruszone. I przygnębiona tem milczeniem dwojga ludzi, choć niegdyś amatorka śmiechu i żartów, nawet żona o. Ignacego cichła i mieszała się, nie wiedząc, co mówić i robić. Czasami Wiera wychodziła na spacer. W tydzień po rozmowie, wyszła wieczorem — jak zazwyczaj. I już nie oglądano jej żywą, gdyż wieczora tego rzuciła się pod pociąg, który w pół przeciął jej ciało.

Chował córkę sam o. Ignacy. Żony w cerkwi nie było, gdyż na wiadomość o śmierci Wiery sparaliżowało ją. Utraciła władzę w nogach, rękach, języku i nieruchomie leżała w napółciemnym pokoju, podczas gdy obok na dzwonnicy huczały dzwony. Słyszała, jak wyszli wszyscy z cerkwi, jak chór śpiewał przed ich domem, i usiłowała podnieść rękę, aby zrobić znak krzyża, ale ręka nie słuchała jej; chciała rzec: żegnaj, Wiero, — lecz język le-

żał w ustach olbrzymi i ciężki. I wyglądała tak spokojnie, że ktoś, spojrzawszy na nią, pomyślałby, iż osoba ta śpi, albo odpoczywa. Tylko oczy miała rozwarte.

W cerkwi na pogrzebie była masa ludzi, znajomych o. Ignacego i nieznajomych; wszyscy zebrani żałowali Wiery, która zginęła tak straszną śmiercią, i usiłowali w ruchach i w intonacyi głosu o. Ignacego doszukać się oznak ciężkiego zmartwienia. Nie lubiono o. Ignacego za to, że był w stosunkach z ludźmi surowy i dumny, nienawidził grzeszników i nie przebaczał im, podczas gdy sam, zazdrosny i chciwy, korzystał z każdej okazyi, żeby wziąć od parafianina coś nad miarę. I każdy chciał widzieć go cierpiącym, złamanym i poczuwającym się do podwójnej winy wobec śmierci córki: najpierw, jako zły ojciec, potem, jako zły kapłan, który nie mógł uchronić swego dziecka od grzechu. I wszyscy wyczekująco patrzyli na niego, a on, czując spojrzenia wparte w jego plecy, usiłował wyprostować te bary szerokie a tęgie i myślał nie o zgasłej córce, lecz o tem, żeby nie spuścić z tonu.

— Twardy pop! — rzekł, wskazując nań, stolarz Karzenow, któremu nie zwrócił dotąd pięciu rubli za ramy.

Tak więc, niezłomny i sztywny, szedł o. Ignacy na cmentarz i taki sam powrócił. I dopiero w drzwiach pokoju żony plecy zgarbiły mu się nieco; ale mogło to pochodzić ztąd, że większa część drzwi na jego wzrost była trochę za nizka. Wszedłszy z blasku, ledwo mógł rozróżnić twarz żony, a kiedy ją dojrzał nareszcie, zdziwił się, że twarz ta jest zupełnie spokojna i w oczach niema łez. I nie było w tych oczach ani oburzenia, ani smutku, — były nieme, milczały tępo, uparcie, jak i całe tłuste, bezwładne ciało, wklapnięte w pierzynę.

— No, cóż, jakże się czujesz? — spytał o. Ignacy.

Lecz usta były nieme; oczy też milczały. O. Ignacy

położył chorej rękę na czole; było zimne, wilgotne, i pani Olga niczem nie dała poznać, że wyczuwa dotknięcie. I kiedy o. Ignacy odjął rękę, patrzało na niego bez mrugnięcia dwoje oczu siwych, przepaścistych, prawie czarnych od rozszerzonych źrenic, i nie było w nich ani smutku, ani gniewu.

— No, trzeba pójść do siebie — rzekł o. Ignacy, któremu zrobiło się raptem zimno i straszno.

Wszedł do salonu, gdzie wszystko było czyste i uporządkowane, jak zawsze; wysokie fotele, ubrane w białe pokrowce, sterczały, jak umarli w całunach; na jednem z okien wisiała druciana klatka, lecz była pusta i z otwartemi drzwiczkami.

— Nastka! — krzyknął o. Ignacy, i głos własny wydał mu się brutalnym; zrobiło mu się nijako, że tak głośno krzyczy w tych cichych pokojach, zaraz po pogrzebie córki. — Nastka! — zawołał ciszej, — gdzie kanarek?

Kucharka, która płakała tak dużo, że nos jej spuchł i poczerwieniał jak burak, odparła gburowato:

— Wiadomo, gdzie. Uciekł.

— Pocoś wypuściła? — groźnie zmarszczył brwi o. Ignacy.

Nastka rozpłakała się i, ocierając twarz brzegami perkalowej chusty na głowie, bąkała przez łzy:

— Duszyczka... panienki... Czyż można było zatrzymywać ją?

I o. Ignacemu wydało się, że złotawy wesoły kanarek, śpiewający zawsze z przegiętym łebkiem, był oczywiście duszą Wiery i że, gdyby nie uciekł, nie możnaby powiedzieć, iż Wiera zmarła.

Rozgniewał się jeszcze bardziej na kucharkę.

— Precz! — krzyknął i, gdy Nastka nie mogła odrazu trafić do drzwi, dodał: — głupie stworzenie!

II.

Od dnia pogrzebu, w małym domku zapanowało milczenie. Nie była to cisza, bo cisza — to tylko niebyt dźwięków; było to milczenie, kiedy ci, co milczą, zda się, mogliby mówić, ale nie chcą. Tak myślał o. Ignacy, ilekroć wchodził do pokoju żony i napotykał przenikliwe wejrzenie, takie ciężkie, jakby całe powietrze zmieniało się w ołów i cisnęło na głowę i plecy. Tak myślał, oglądając nuty córki, w które welgnął, zda się, jej głos, — jej książki i jej portret, duży, farbami malowany portret, który przywiozła ze sobą z Petersburga. Przy oglądaniu portretu, o. Ignacy uformował sobie określony porządek: najpierw patrzał na policzek, oświetlony na portrecie, i wyobrażał sobie na nim zadraśnięcie, które było na martwym policzku Wiery i którego pochodzenia nie mógł zrozumieć. Za każdym razem myślał o przyczynie: jeżeliby to pociąg zawadził, to zmiażdżyłby całą czaszkę, a czaszka zmarłej Wiery była nienaruszona.

Może ktoś nogą zawadził, kiedy podnoszono ciało, albo też niechcący paznokciem?

Lecz strach było myśleć długo o szczegółach śmierci Wiery, i o. Ignacy przenosił wzrok na jej oczy. Były czarne, piękne, z długiemi rzęsami, które rzucały na dół mroczny cień, wskutek czego białka zdawały się szczególnie jasnemi, a oczy wyglądały, jak ujęte w czarną, żałobną ramkę. Dziwny wyraz nadał im nieznany lecz utalentowany artysta: jakby między oczyma i tym, na kogo patrzały, znajdowała się cienka, przezroczysta błonka. Było to trochę zbliżone do czarnego wieka fortepianu, na które cienką, nieznaczną warstewką legł pył letni, łagodząc

blask polerowanego drzewa. I w jakikolwiek sposób o. Ignacy ustawiał portret, oczy nieodstępnie szły za nim, lecz nie mówiły; milczały, i milczenie to było tak wyraźne, że, zdawało się, można je było słyszeć. I powoli o. Ignacy zaczął wyobrażać sobie, że słyszy milczenie.

Każdego ranka, po nabożeństwie, o. Ignacy wchodził do salonu, jednem spojrzeniem obrzucał pustą klatkę i całe znajome umeblowanie pokoju, siadał na fotelu, zamykał oczy i słuchał, jak milczy dom. Było to coś dziwnego. Klatka milczała cichutko, delikatnie, i w milczeniu tem czuć było i smutek, i łzy, i daleki zamarły śmiech. Milczenie żony, złagodzone przez ściany, było tępe, ciężkie jak ołów, i straszne, tak straszne, że nawet w najbardziej upalne dni o. Ignacy czuł zimno. Długie, zimne jak mogiła i zagadkowe jak śmierć było milczenie córki. Jakby samemu sobie nieznośnem się już stało to milczenie i namiętnie pragnęło spłynąć w słowo, lecz coś mocnego i tępego jak maszyna utrzymywało je w nieruchomości i wyciągało jak drut żelazny. I gdzieś na dalekim końcu drut zaczynał drżeć i dźwięczeć, cicho, nieśmiało, żałośliwie. O. Ignacy z lękiem i radością ssał ten rodzący się dźwięk i, wsparłszy ręce o poręcze fotela, wyciągnąwszy głowę naprzód, czekał, aż dźwięk spłynie ku niemu. Ale dźwięk urywał się i umilkał.

— Głupstwo! — gniewnie mówił o. Ignacy i wstawał z fotela, wciąż wyprostowany i wysoki. Przez okno widział zalany słońcem plac, brukowany okrągłemi, równemi kamieniami, i naprzeciwko kamienny mur długiej szopy bez okien. Na rogu stał dorożkarz, podobny do glinianego bałwana, i nie można było pojąć, poco stoi tutaj, kiedy całemi godzinami nie widać było ani jednego przechodnia.

III.

Po za domem, o. Ignacy musiał mówić dużo: ze służbą cerkiewną, z parafianami przy spełnianiu obowiązków i czasem ze znajomymi, u których grywał w preferansa; ale kiedy wracał do domu, zdawało mu się, że cały dzień milczał. Wypływało to ztąd, że z żadnym z ludzi o. Ignacy nie mógł mówić o rzeczy dla niego najgłówniejszej i najważniejszej, o której rozmyślał co noc: dlaczego Wiera umarła?

O. Ignacy nie chciał zrozumieć, że teraz nie można już dowiedzieć się tego, i był pewien, że dowiedzieć się jeszcze zdoła. Każdej nocy — a teraz wszystkie noce spędzał bezsennie — uprzytamniał sobie tę chwilę, kiedy, stojąc z żoną o cichej północy koło łóżka Wiery prosił daremnie: „Powiedz!“ I kiedy we wspomnieniach dochodził do tego słowa, dalsze wypadki wyobrażał sobie inaczej, niż się były wydarzyły. Zamknięte oczy jego, które zachowały w ciemni swej żywy, nieblaknący obraz tej nocy, widziały, jak Wiera unosi się na poduszkach, uśmiecha się i mówi... ale co mówi? I to niewymówione słowo Wiery, które mogło rozwiązać wszystko, wydawało się tak bliskiem, że, gdyby nadstawić ucha i wstrzymać bicie serca, wnet, zda się, usłyszałby je człowiek, — i jednocześnie tak nieskończenie, tak beznadziejnie dalekiem! O. Ignacy wstawał z łóżka, wyciągał przed siebie złożone ręce i, wstrząsając niemi, błagał:

— Wiera!..

I odpowiedzią na to było milczenie.

Raz wieczorem o. Ignacy wszedł do pokoju pani Olgi, u której nie był już blizko tydzień, siadł u wezgłowia

i, odwróciwszy się od jej tępego, ciężkiego wejrzenia, rzekł:

— Matko! chcę pomówić z tobą o Wierze. Słyszysz mię?

Oczy milczały, i o. Ignacy, wzmocniwszy głos, począł mówić surowo, rozkazująco, tak, jak mówił do spowiadających się:

— Wiem, myślisz, żem ja był przyczyną śmierci Wiery. Ale pomyśl, czyżem kochał ją mniej, niż ty? Dziwacznie rozumujesz... Byłem surowym, ale czyż to przeszkadzało jej robić, co chciała? Odrzuciłem godność ojca i pokornie zgiąłem kark, gdy nie zlękła się mego przekleństwa i pojechała... tam. A ty, czyżeś nie prosiła jej, ażeby została, czy nie płakałaś, stara, dopókim ci nie kazał zamilczeć? Czyż to ja urodziłem ją taką bez serca? Czym nie powtarzał jej wciąż o Bogu, o pokorze, o miłości?

O. Ignacy szybko spojrzał w oczy żony i odwrócił się.

— Cóż mogłem zrobić z nią, jeżeli nie chciała wyznać swego zmartwienia? Kazać — kazałem; błagać — błagałem. Cóż? — według twego zdania, powinienem był klęknąć przed pannicą i płakać, jak stara baba? W głowie... zkądże ja mogę wiedzieć, co ona ma w głowie? Okrutna córka, bez serca!

O. Ignacy uderzył pięścią po kolanie.

— Miłości nie miała — otóż to! O mnie niema co mówić, jam przecież... wiadomo... tyran... A ciebie kochała? Ciebie, któraś płakała... i płaszczyła się?

O. Ignacy roześmiał się niemo.

— Ko-ochała! Właśnie na pociechę dla ciebie taką śmierć wybrała. Okrutny, hańbiący zgon... Skonała na piasku, w błocie... jak p-pies, którego w pysk nogami kopią.

Głos o. Ignacego zabrzmiał zcicha i ochryple:

— Wstyd mi! Na ulicę wyjść wstyd! Od ołtarza odejść wstyd! Przed Panem Bogiem wstyd! Okrutna, niegodna córka! W grobie przekląćby cię warto...

Kiedy o. Ignacy spojrzał na żonę, była bez przytomności i ocucono ją zaledwie w kilka godzin. A kiedy oprzytomniała, oczy jej milczały, i niemożna było zmiarkować, czy pamięta, co mówił jej o. Ignacy, czy nie pamięta.

Tejże nocy — była to noc lipcowa, miesięczna, cicha, ciepła, milcząca — o. Ignacy, na palcach, żeby nie usłyszała żona i jej dozorczyni, wszedł po schodach do pokoju Wiery. Okna facyatki nie otwierano wcale od śmierci Wiery, i powietrze było suche, gorące, z lekkim zapachem spalenizny od rozprażonego przez dzień dachu. Czemś niezamieszkałem, opuszczonem wiało od izdebki, gdzie tak długo już nie gościł człowiek i gdzie drewno ścian, meble i inne przedmioty wydawały subtelny zapach powolnie rozkładających się rzeczy. Światło księżyca jasnem pasmem padało na okno i podłogę i, odbiwszy się od skrupulatnie wymytych białych desek, zmierzchowym półblaskiem oświecało kąty; czyste, białe łóżko z dwiema poduszkami, dużą i małą, wydawało się widmowem i powietrznem. O. Ignacy otworzył okno, i do pokoju szeroką strugą wpłynęło świeże powietrze, woniejące kurzem, poblizką rzeką i rozkwitłemi lipami Z oddali ledwie dosłyszalnie dochodził śpiew chóralny: pewno jeżdżono łódkami po rzece i śpiewano. Cicho stąpając bosemi nogami, o. Ignacy, podobny do białego cienia, podszedł do pustego posłania, zgiął kolana i padł twarzą na poduszki, otoczywszy je ramieniem tam, gdzie powinna była się znajdować twarz Wiery. Długo leżał tak; pieśń potężniała coraz bardziej, potem zmilkła, on wciąż leżał, a długie czarne włosy rozsypały mu się po barkach i łóżku.

Księżyc przesunął się na niebie, i w pokoju zrobiło się mroczniej, kiedy o. Ignacy podniósł głowę i zaczął szeptać, kładąc w swój głos całą moc długo tłumionej i długo nieuświadomionej miłości i wsłuchując się we własne słowa, jakby słuchał nie on, ale Wiera.

— Córko moja, Wiero! Rozumiesz, co to znaczy: córka? Córuniu! Serce me, krwi ma, życie moje! Twój stary... stary ojciec już siwy, już słaby...

Barki o. Ignacego drgnęły i cała ogromna postać zakołysała się. Tłumiąc drżenie, o. Ignacy szeptał delikatnie — jak do małego dziecka:

— Staruszek ojciec... prosi cię. Nie, Wiereńko, błaga cię. Płacze. A nigdy jeszcze nie płakał. Twa troska, dziecino, twe cierpienia — są i mojemi. Więcej, niż mojemi.

O. Ignacy pokiwał głową.

— Więcej, Wiereńko. Cóż dla mnie, starego, śmierć? A ty... żebyś ty wiedziała, jakaś ty delikatna, i słaba, i trwożliwa! Pamiętasz, jakeś zakłuła się w paluszek i krew kapnęła, a ty zapłakałaś? Dziecko me! Przecież ty mię kochasz, bardzo kochasz, wiem to. Codzień rano całujesz mię w rękę. Powiedz, powiedz, czego się martwi twa główka, a ja — temi oto rękoma — zdławię twój smutek. Silne jeszcze, Wiero, te ręce.

Włosy o. Ignacego wstrzęsły się.

— Powiedz!

O. Ignacy wpił się oczyma w ścianę i wyciągnął ręce.

— Powiedz!

W pokoju było cicho; z otchłannej oddali przewinął się przeciągły, przerywany sygnał lokomotywy.

O. Ignacy, tocząc wokoło rozszerzonemi oczyma, jakby przed niemi zjawiło się straszne widmo okaleczonego

trupa, wstał powoli z klęczek i fałszywym ruchem podniósł do głowy rękę z rozczapierzonemi, sztywnie wyprężonemi palcami. Odstąpiwszy ku drzwiom, szepnął urwanym głosem:

— Powiedz!

Odpowiedzią było milczenie.

IV.

Następnego dnia, po wczesnym, samotnym obiedzie, o. Ignacy poszedł na cmentarz, po raz pierwszy od śmierci córki. Było gorąco, bezludnie i cicho, jakby ten dzień upalny był tylko oświetloną nocą, lecz o. Ignacy, z przyzwyczajenia, starał się trzymać prosto, surowo patrzał dokoła i myślał, że jest takim samym, jak dawniej; nie zauważał ani nowej i strasznej niemocy w nogach, ani tego, że długa jego broda stała się całkiem biała, jakby ściął ją mróz ostry. Droga na cmentarz biegła przez długą, prostą ulicę, trochę wznoszącą się pod górę; na końcu jej bielał łuk bramy cmentarnej, podobny zdaleka do czarnej, wiecznie rozwartej jamy ust, obramowanej lśniącemi zębami. Grób Wiery znajdował się w głębi cmentarza, gdzie marły dróżki, sypane piaskiem, i o. Ignacy długo musiał błąkać się śród wązkich ścieżyn, zygzakowatą linią snujących się między zielonemi pagórkami, zapomnianemi przez wszystkich i przez wszystkich opuszczonemi. Miejscami natrafiał na schylone, zzieleniałe od lat pomniki, połamane kraty i wielkie, ciężkie głazy, wrosłe w ziemię i dławiące ją z jakąś ponurą, starczą złością. Do jednego z takich głazów przytulała się mogiła Wiery. Była pokryta nową, pożółkłą darniną, ale wokoło niej wszystko było zielone.

Jarzębina wsparła się na klonie, a szeroko rozrosły krzak leszczyny wyciągał nad grobem swe giętkie gałęzie z puszystemi, chropawemi liśćmi. Siadłszy na sąsiedniej mogile i odpocząwszy, o. Ignacy rozejrzał się wkoło, rzucił okiem na pustynne niebo bez obłoków, kędy w zupełnej nieruchomości wisiał rozżarzony krąg słoneczny, — i tutaj dopiero zaczął czuć tę otchłanną, z niczem nie dającą się porównać ciszę, jaka panuje na cmentarzach, kiedy niema wiatru i nie szepczą zmartwiałe liście. I znów o. Ignacemu przyszło do głowy, że to nie cisza, lecz milczenie. Rozlewało się ono do samych ceglanych murów cmentarza, ciężko przepełzało przez nie i zatapiało miasto. I koniec jego dopiero tam — w tych szarych, uparcie i wytrwale milczących oczach.

O. Ignacy poruszył plecami, które dreszcz jął przebiegać, i spuścił oczy w dół, na grób Wiery. Długo patrzał na zżółkłe króciutkie łodyżki trawy, wyrwanej wraz z ziemią zkądś z bezbrzeżnego, pieszczonego wiatrem pola i nie mogącej jeszcze pobratać się z obcą glebą, i nadaremnie próbował wyobrazić sobie, że tam, pod tą trawą, o dwa łokcie od niego, leży Wiera. I blizkość ta zdawała się niepojętą i wlewała mu w duszę zmieszanie i dziwną trwogę. Ta, o której o. Ignacy zwykł był myśleć jako o zaprzepaszczonej na wieki w ciemnych tajnikach nieskończoności, leżała tu, obok... i trudno było zrozumieć, że jednak jej niema i nigdy już nie będzie. I o. Ignacemu zdało się, że jeżeli powie jakieś słowo, które prawie wyczuwał na wargach, albo jeżeli wykona jakiś ruch, Wiera wyjdzie z grobu i stanie tak samo wysoka, piękna, jak dawniej. I nietylko ona wstanie, lecz wstaną wszyscy umarli, tak strasznie dotykalni w swem majestatycznie-zimnem milczeniu.

O. Ignacy zdjął czarny kapelusz o szerokich skrzydłach, rozgarnął faliste włosy i rzekł szeptem:

— Wiero!

Zrobiło mu się nijako, że może go słyszeć ktoś obcy, i stanąwszy na mogile spojrzał powyżej krzyżów. Nikogo nie było, i już głośno powtórzył:

— Wiero!

To był dawny głos o. Ignacego, ostry, nakazujący, i dziwnem się zdało, że z taką mocą wypowiedziane żądanie zostaje bez odpowiedzi.

— Wiero!

Głośno i nakazująco wołał głos, a kiedy milkł, przez chwilę miało się złudę, że w dole dźwięczy niewyraźna odpowiedź. I o. Ignacy, jeszcze raz obejrzawszy się naokoło, odgarnął włosy z ucha i przylgnął niem do ostrej, kolącej darniny.

— Wiero, powiedz!

I z przerażeniem uczuł o. Ignacy, że w ucho jego sączy się coś grobowo-zimnego i mrozi mózg, że Wiera mówi, ale mówi wciąż tem samem długiem milczeniem, Staje się ono coraz trwożniejszem i bardziej przerażającem, i kiedy o. Ignacy z wysiłkiem odrywa od ziemi głowę, bladą jak u trupa, zdaje mu się, że całe powietrze drży i wibruje tętniącem milczeniem, jakby na tem strasznem morzu rozkołysała się dzika burza. Milczenie dusi go; lodowemi falami przewala się przez jego głowę i pręży włosy; rozbija się o jego pierś, jęczącą pod temi razami. Drżąc całem ciałem, rzucając naokoło ostre i raptowne spojrzenia, o. Ignacy powoli podnosi się i długim, mozolnym wysiłkiem usiłuje wyprostować plecy, nadać dumny pozór drżącemu ciału. I to mu się udaje. Z umyślną powolnością o. Ignacy otrząsa z kurzu kolana, kładzie kapelusz, trzykrotnie żegna grób, odchodzi równym, twardym krokiem, ale nie poznaje znajomego cmentarza i gubi drogę.

— Zabłądziłem! — uśmiecha się, stając na rozgałęzieniu ścieżek.

Ale stoi ledwie sekundę i, bez myśli, skręca nalewo, dla tego, że nie można czekać ani stać. Milczenie wypędza. Wstaje ono z zielonych mogił, oddychają niem posępne szare krzyże, cienkiemi, duszącemi potokami zionie ze wszystkich szczelin ziemi, syconej trupami. Coraz to prędszemi stają się kroki o. Ignacego. Ogłuszony, błąka się po tych samych ścieżkach, przeskakuje przez mogiły, zaczepia o kraty, chwyta rękoma za kolące blaszane wianki, rwie się w strzępy miękka sukni jego materya. Tylko jedna myśl o wyjściu została mu w głowie. To tędy, to tamtędy rzuca się i nakoniec biegnie bez hałasu, wysoki, niezwyczajny, w rozwiewającej się sutannie i z płynącemi na wietrze włosami. Gorzej, niż trupa powstałego z grobu, przeląkłby się każdy, napotkawszy tę dziką postać biegnącego, skaczącego, wymachującego rękoma człowieka, ujrzawszy jego wykrzywioną twarz obłędną, usłyszawszy zgłuszony chrap, wychodzący z jego ust otwartych.

W całym pędzie, wybiegł o. Ignacy na placyk, na którego krańcu bielała niewysoka cerkiewka cmentarna. U podwoi na niziuchnej ławce drzemał dziadek, wyglądający na pielgrzyma zdaleka, a koło niego, skacząc sobie do oczu, kłóciły się i łajały dwie zgrzybiałe żebraczki.

Kiedy o. Ignacy podchodził do domu, ciemniało już; w pokoju pani Olgi błyszczało światło. Nie rozbierając się i nie zdejmując kapelusza, zakurzony, oberwany, o. Ignacy szybko wbiegł do żony i padł na kolana.

— Matko... Ola!.. zlituj-że się nade mną! — załkał. — Ja waryuję.

I walił głową o skraj stołu, i łkał burzliwie i z umęczeniem, jak człowiek, który nigdy nie płacze. I podniósł głowę, pewien, że zaraz stanie się cud, i żona zacznie mówić, i zlituje się nad nim.

— Kochana!

Całą ogromną postacią pochylił się ku żonie — i napotkał spojrzenie siwych oczu. Nie było w nich litości, ani gniewu. Być może, iż przebaczyła i żałowała go, ale w oczach nie było ani współczucia, ani przebaczenia. Były nieme, milczały.

. . . .

I milczał cały mroczny, opustoszały dom.



DZWONY NA TRWOGĘ.

I.



szystko się paliło w to lato skwarne i złowieszcze. Paliły się całe miasta, osady i wsie; lasy i pola już ich nie chroniły: las, sam bezbronny, zajmował się pokornie, i ogień czerwoną płachtą pełzał przez wyschłe łąki. W dzień, w gryzącym dymie kryło się ogniste, bezpromienne słońce, a w nocy w rozmaitych częściach nieba buchała niema łuna, kiwała się w milczącym, fantastycznym tańcu, i dziwne, niepewne cienie ludzi i drzew pełzały po ziemi, niby gady nieznane. Psy przestały ujadać gościnnem szczekaniem, zdala wabiącem podróżnika, obiecującem mu dach i miłe przyjęcie; wyły przeciągle a żałośliwie, lub też posępnie milczały, kryjąc się po dołach. I ludzie, jak psy, spoglądali na siebie złemi, przerażonemi oczyma i głośno rozprawiali

o podpaleniach i tajemniczych podpalaczach. W jednej dalekiej wiosce zabito starca, który nie mógł opowiedzieć się, dokąd idzie, a potem kobiety płakały nad trupem i żałowały jego siwej brody, pozlepianej zczerniałą posoką.

W to lato skwarne a złowieszcze mieszkałem w pewnym obywatelskim domu, gdzie było dużo starych i młodych kobiet. W dzień pracowaliśmy, rozmawiali i mało myśleli o pożarach, lecz, gdy zaczynała się noc, lęk nas ogarniał. Właściciel majątku często wyjeżdżał do miasta; wtedy nie sypialiśmy po całych nocach i, szukając podpalacza, chodziliśmy naokoło zabudowań, otaczając je lękliwą pieczą. Przytulaliśmy się do siebie i rozmawiali szeptem, a noc była milcząca, i budynki sterczały ciemnemi, obcemi masami. Wydawały nam się nieznajomemi, jak gdybyśmy ich nigdy przedtem nie oglądali, i strasznie wątłemi — jakby oczekującemi na ogień, jakby dla niego przyszykowanemi. Raz, w szczelinie ściany błysnęło nam coś jasnego. Było to niebo, lecz myśmy myśleli, że to ogień, i kobiety z krzykiem rzuciły się do mnie, wtedy prawie dziecka, błagając o obronę.

...A ja sam z przerażenia przestałem oddychać i nie mogłem ruszyć się z miejsca...

Czasami późno w nocy wstawałem z gorącego, rozmamranego posłania i przez okno wyłaziłem do ogrodu. Był to stary, majestatycznie-ponury ogród, odpowiadający najsilniejszej burzy tylko mrukiem przyciszonym; dołem było w nim ciemno i grobowo-cicho, jakby na dnie przepaści, a górą szedł niewyraźny szmer i szelest, zbliżony do jakiegoś dalekiego poważnego rozgwaru. Kryjąc się przed kimś, następującym mi niemal na pięty, skradającym się za mną i zaglądającym mi przez ramię, przedzierałem się na kraniec ogrodu, gdzie na wysokim wale sterczał płot, a za płotem, daleko hen na dół, biegły pola, bory i tające się w mroku osady. Wysokie, posępnie-milczące lipy rozstę-

powały się przede mną i między ich grubemi czarnemi pniami, przez szczeliny płotu, przez przerwy między liśćmi, widziałem coś strasznego a niezwykłego, coś, co niepokojącą zmorą napełniało mi serce i drobnym dreszczem przebiegało nogi. Widziałem niebo, nie ciemne, spokojne niebo nocne, lecz różowe, jakiego nigdy niema ani w dzień ani w nocy. Potężne lipy stały poważnie, milcząco i, jak ludzie, czekały na coś, a niebo czerwieniało niezwykle, i purpurowemi drgawkami przebiegały przez nie złowrogie odblaski płonącej w dole ziemi. Powoli buchały i płynęły wzwyż kłębiące się kolumny, a w tem, że były takie milczące, podczas gdy w dole wszystko jęczało, takie nieśpieszące się i majestatyczne, podczas gdy dołem wszystko się miotało, — była zagadka i ta sama straszna nienaturalność, co w różowym kolorycie nieba.

Jakby opamiętawszy się, wysokie lipy wszystkie naraz poczynały porozumiewać się wierzchołkami i w takiż raptowny sposób milkły, krzepnąc na długo w posępnem oczekiwaniu. Robiło się cicho, jakby na dnie przepaści. Daleko za sobą czułem nasłuchujący dom, pełny przerażonych ludzi, wokoło mnie czujnie tłoczyły się lipy, a przed nami milcząco kołysało się czerwono-różowe niebo, jakiego nigdy niema ani w dzień, ani w nocy.

I dlatego, że widziałem je nie w całości, lecz tylko przez luki między drzewami, robiło mi się jeszcze straszniej i niezrozumialej.

II.

Była noc, i drzemałem niespokojnie, gdy w ucho wpadł mi nagle tępy, urwany dźwięk, jakgdyby idący z pod podłogi, wpadł i zakrzepł w mózgu, niby okrągły kamień.

Za nim wdarł się drugi, równie krótki i ważki, i głowa stała się ciężką i obolałą, jakby w nią padał gęstemi kroplami roztopiony ołów. Krople wierciły i przepalały mózg; było ich coraz to więcej i niezadługo gęstym deszczem rwanych, gwałtownych dźwięków napełniły mi głowę.

— Bam! Bam! Bam! — rzucał zdaleka ktoś wysoki, mocny — a niecierpliwy.

Otworzyłem oczy i zrozumiałem odrazu, że to dzwon na trwogę i że pali się najbliższa osada Słobodyszcze. W pokoju było ciemno, i okno było zamknięte, lecz na straszne wołanie całe wnętrze, wraz z meblami, obrazami i kwiatami, jakgdyby wyszło na ulicę, i nie czułem ani ścian, ani sufitu.

Nie pamiętam, jakem się ubrał, i nie wiem, dlaczego pobiegłem sam, zamiast z ludźmi. Albo zapomnieli o mnie, albo mnie nie przyszło do głowy, że oni istnieją. Dzwon na trwogę wołał nagląco, głucho, jakgdyby dźwięki padały nie z przezroczystego powietrza, lecz wyrzucała je niezmierzona grubizna ziemi, — i pobiegłem.

Gwiazdy zgasły mi nad głową, przytłumione różowym blaskiem, i w ogrodzie było dziwnie jasno, jak nie bywa nigdy ani w dzień, ani w królewskie noce księżycowe, a gdy podbiegłem do płotu, przez luki spojrzało na mnie coś jaskrawo-czerwonego, burzliwego, rozpacznie szarpiącego się. Wysokie lipy, jakby obryzgane krwią, drżały okrągłemi liśćmi i trwożliwie zaginały je ku sobie, lecz mowy ich nie było słychać pod krótkiemi a silnemi razami rozkołysanego dzwonu. Teraz dźwięki były wyraźne i regularne i pędziły z szaloną szybkością, jak rój rozpalonych kamieni. Nie krążyły w powietrzu, jak gołębie cichego wieczornego dzwonienia, nie rozpływały się w niem pieszczącą falą uroczystego hymnu — leciały prosto, jak groźne zwiastuny klęski, niemające czasu obejrzeć się po za siebie i łyskające rozszerzonemi lękiem oczyma.

— Bam! Bam! Bam! — leciały z niepohamowanym rozpędem, mocne wyprzedzały słabe, a wszystkie razem wpijały się w ziemię i przeszywały niebo.

Tak prosto jak one, biegłem i ja przez wielkie, zorane gleby, niepewnie migocące krwawemi refleksami, jak łuska olbrzymiego czarnego zwierza. Nad mą głową, na strasznej wysokości, miękko leciały pojedyńcze jasne iskry, a przede mną wichrzył się straszliwy pożar wioskowy, gdzie na wspólnym stosie giną domy, zwierzęta i ludzie. Tam, za najwyższą linią czarnych drzew, to okrągłych, to ostrych jak włócznie, zygzakowato wzbijał się oślepiający płomień, wyginał dumnie szyję, jak koń rozszalały, skakał, odrzucał od siebie ogniste strzępy i chciwie schylał się na dół po nową zdobycz. W uszach szumiało mi od szybkiego pędu, serce uderzało szybko i głośno, a wyprzedzając jego uderzenia, w skroń i pierś waliły mię bezładne dźwięki dzwonów na trwogę. I było w nich tyle rozpaczy, jakgdyby nie dzwon miedziany huczał, lecz w przedśmiertnych drgawkach kołatało serce przebolesnej ziemi.

— Bam! Bam! Bam! — wyrzucało z siebie rozpalone płomienisko, i trudno było uwierzyć, że te rozkazujące i rozpaczne krzyki wydaje dzwonnica kościelna — taka maluchna i cienka, taka cicha i spokojna, jak panienka w różowej sukience.

Padałem, opierając się rękoma o grudy zeschłej ziemi, które rozsypywały się w moich rękach; wstawałem i znów biegłem, a naprzeciwko mnie biegł ogień i nawołujące dźwięki alarmu. Słychać już było, jak trzeszczy drzewo, żarte ogniem, i krzyk ludzki różnych odcieni, z dominującemi w nim nutami rozpaczy i strachu. I kiedy cichł wężowy syk ognia, wyraźnie wyodrębniał się przeciągły, jęczący głos: to zawodziły kobiety i ryczało w panicznym strachu bydło. Bagno zatrzymało mię. Szerokie zarosłe bajoro, daleko ciągnące się na prawo i lewo. Wszedłem

w wodę po kolana, potem po pas, lecz bagno ssało mię, i wróciłem na brzeg. Naprzeciwko, całkiem blizko, kłębił się ogień i wyrzucał w niebo chmary złocistych iskier, podobnych do ognistych liści tytanicznego drzewa; w czarnem obramieniu tataraku i sitowia, ognistemi, lśniącemi zwierciadłami błyszczała błotnista woda — a dzwon alarmowy wołał rozpaczliwie w męce śmiertelnej:

— Chodź! Chodź-że!

III.

Biegałem po brzegu, poza mną miotał się czarny mój cień, a gdy nachylałem się nad wodą, wymiarkowując głębokość dna, z czarnej otchłani patrzało na mnie widmo ognistego człowieka, i nie mogłem poznać siebie w wykrzywionych rysach jego twarzy, w rozwichrzonych włosach, jakby wyprężonych na czaszce jakąś straszną siłą.

— Co to, co to jest? Boże! — błagałem, wyciągając ręce.

A dzwony wołały. Dzwon już nie błagał — wył jak człowiek, jęczał, dławił się. Dźwięki traciły swą wyrazistość i waliły się na siebie szybko, bez oddźwięków, mrąc, rodząc się i znów ginąc. I znów nachyliłem się ku wodzie i obok swego odbicia ujrzałem drugie płomienne widmo, wysokie, sztywne i, co zwiększyło mój strach, jednak podobne do człowieka.

— Kto to? — krzyknąłem, oglądając się. Koło ramienia mego stał człowiek i milcząc patrzał na pożar. Twarz jego była blada i mokra, nieprzyschła jeszcze krew lśniła na policzkach, odbijając ogień. Ubrany był

zwyczajnie po chłopsku. Być może, iż znajdował się już tutaj, gdy przybiegłem, wstrzymany, jak i ja, przez bagnisko; być może, przyszedł później — ale nie zauważyłem jego przyjścia i nie wiedziałem, kto on taki.

— Pali się, — rzekł, nie odwracając od ognia oczu. Odbicie płomienne skakało w nich, potęgując jeszcze ich wielkość i szklaność.

— Ktoś ty? Zkąd? — spytałem. — Jesteś krwią zawalany.

Długiemi, chudemi palcami dotknął swego policzka, potem popatrzał na nie i znowu wparł oczy w ogień.

— Pali się, — powtórzył, nie zwracając na mnie uwagi. — Wszystko się pali.

— Nie wiesz, jak się tam dostać? — spytałem, odsuwając się; domyślałem się, że to jeden z waryatów, których tak dużo zrodziło to złowieszcze lato.

— Pali się! — odparł. — Oho-ho-ho! — zawołał i zaczął się śmiać, patrząc na mnie dobrotliwie i kiwając głową. Coraz to częstsze uderzenia dzwonu raptownie ścichły, i głośniej poczęły trzeszczeć płomienie. Ruszały się jak żywe, długie ręce — jakby w znużeniu, wyciągały się ku zmilkłej dzwonnicy. Teraz, zblizka, wydawała się ona wysoką i zamiast różowego miała już czerwone ubranie. U góry ciemnego otworu, gdzie znajdowały się dzwony, zjawił się nieśmiały, spokojny ognik, podobny do płomyka świecy, i bladym promykiem odbił się w ich miedzianych piersiach. I znów roztętnił się dzwon, ziejąc ostatnie, nieprzytomnie-rozpaczne krzyki, a ja znowu jąłem szarpać się na brzegu, a za mną szarpał się mój czarny cień.

— Idę! Idę! — odpowiadałem komuś, wołającemu mię... A wysoki człowiek siedział spokojnie poza mną, objąwszy rękoma kolana, i głośno śpiewał, wtórując dzwonowi:

— Bam!.. Bam!.. Bam!..

— Zwaryowałeś! — krzyczę doń, a on śpiewa wciąż głośniej, radośniej:

— Bam!.. Bam!.. Bam!..

— Zamilcz! — błagałem.

A on uśmiechał się i śpiewał, kiwając głową, i w szklanych jego oczach rozpalał się ogień. Był straszniejszy, niż pożar, ten obłąkaniec, i odwróciwszy się, zacząłem biedz równolegle z brzegiem bajora. Lecz nie zdążyłem zrobić jeszcze kilku kroków, gdy obok mnie bez szelestu wyrosła jego długa sylweta w rozwiewającej się koszuli. Biegł milcząc, jak ja, długiemi, nieznającemi zmęczenia krokami, i milcząc biegły przez zorane pole nasze dwa czarne cienie.

W agonii przedśmiertnej dusił się dzwon i krzyczał, jak człowiek, który nie czeka już pomocy, któremu ostatnia zgasła już nadzieja. I milcząc biegliśmy -- hen, kędyś w mrok, a koło nas szyderczo skakały nasze czarne cienie.

PRZEŁOŻYŁ Jan Wroczyński. L. Andrejew.

Z Pawła Verlaine'a.

GODZINA KOCHANKÓW.

Czerwony księżyc u niebiosów brzega;
Łąka, w tańczących oparów pomroce,
Usypia mglista, a żabka rechoce
Wsród trzcin zielonych, które dreszcz przebiega.

Kwiat wodny stula swe wodne kielichy;
Topole, zwarte w szeregu i sztywne,
Rysują w dali cienie mgliste, dziwne;
W krzakach świetlików rój błąka się cichy.

Puhacz się zbudził i w cichym rozpędzie
Przeszywa ciemność skrzydłem wiosłującem.
Zenit rozbłyska mdłych blasków tysiącem —
Biała zapala się Wenus. — Noc wszędzie.

(POÈMES SATURNIENS).

PO TRZECH LATACH.

Otworzyła się furtka wązka i chwiejąca.
Wszedłem: droga w ogródku tak mi dobrze znana,
Oświetlona łagodnym blaskiem, który zrana
W każdej kropelce rosy krzesze iskrę słońca.

Wodotrysk, tak jak dawniej, ciszę srebrnie zmąca.
Nic się nie odmieniło: malutka altana
Kryta winem, ławeczka trzciną wyplatana,
I stara osiczyna wiecznie się skarżąca.

Róże drżą tak jak pierwej; lilie, tak jak pierwej,
Wielkie, dumne, za wiatrem chylą się bez przerwy.
Zda się, każdego ptaka zna już moja dusza.
I nawet odnalazłem ów posąg Welledy,
Której gips poczerniały zwolna się rozkrusza:
Stoi, choć wątła, w nikłym zapachu rezedy.

(POÈMES SATURNIENS).

ŻAŁOSNY DŹWIĘK ROGU...

Żałosny dźwięk rogu idzie przez knieję
I, zda się, boleścią jęczy sierocą,
U stoku wzgórz kona, zdjęty niemocą,
Aż wiatru błądzący dech go rozwieje.

Duch wilczy w tym głosie płaczem szaleje,
Co wzrasta, gdy zorze zachód ozłocą,
Gdy słońca konanie przed cichą nocą
Zarazem i słodycz i smutek sieje.

I skargę tę niżej tuląc do ziemi,
Śnieg cicho płatkami sypie długiemi
Skroś zorzy zachodniej krwawe purpury;
Westchnieniem jesieni powietrze dyszy —
I słodką jest chwila tej sennej ciszy,
Gdy blade pejzażu drzemią kontury.

(SAGESSE).

PRZEŁOŻYŁA Helena Stattler.



Fragment z KANTORYI
Łukasza della Robbia.

Dolina mroku.



„Wszystko się w życiu mści, i kara przyjść musi za wszystko, choćby nie było winy.“

Z listu przyjaciela.

Nie wiem, kto jesteście wy — ściągający ze mnie wyznania.

W pokurczonych cieniach tej sali, o której domyślam się, że jest trybunałem, — widzę mgławe piętna waszych twarzy i czarne nieruchome postacie.

Nie przemawiam do was, jako sędziów.

Słowa me rzucam w przestrzeń pozbawioną czasu.

Tajemniczość roztacza się nade mną, jak Ocean nad gałązką koralu, który się rozwija według nieznanych sobie praw i pod ciśnieniem ogromu, którego nigdy macką nie obejmie.

W mojej świadomości zatarła się różnica światów, w dyfuzyi ciągłej ducha mojego z Niewiadomem.

Chciejcie darować, że nie trzymam się prostej opowieści. Idę w labiryncie za połyskującą w ciemnościach nicią, jakiekolwiek są jej zagięcia.

Być może, umysł inny wybrałby drogę bezpośrednią, ale ja nie mógłbym kroku postąpić w przepaścistym i ogłuszającym wirze podziemnych lawospadów.

Z mojego dzieciństwa i młodości napisać mógłbym niejedną rozprawę stanowiącą klucz do zagadnień o tworzeniu się przeznaczenia.

Życie moje i cel mój są dla mnie sfinksową zagadką, której ja, drugi Edyp, rozwiązać nie będę się kusił.

Widzę jakby śnieżne wierzchołki gór, niezwiązane między sobą niczem prócz morza mroku, z którego zdają się wyrastać.

Opowiem z monotonią i prostotą chorego dziecka, które chciałoby zasnąć, a lęka się tych strasznych widziadeł w zamurowanej głęboko piwnicy.

Pamiętam się w sypialnym wagonie pędzącego pociągu — lecz cel mej podróży tak się zatarł w umyśle, jakobym go nie znał nigdy.

W mdłem oświetleniu nocnych lamp spoglądałem na bliskie mi istoty. Nie kładłem się lub może wstałem przebudzony.

Staruszka — krewna mej żony — spała przy ścianie na lewo, po przeciwnej stronie moja żona i dziecko. Dalej drzemał nieznajomy mężczyzna otulony w podróżny płaszcz.

Dziecko swe kocham miłością gwałtowną—chcę— aby osiągnął to, na czem ja się osunąłem i z zawrotną szybkością staczam się w dół. I wdzięczny jestem tej

konieczności, która gniotąc marzenia moje uczyniła z istoty prześwietlonej matkę mego syna.

Ciemną, tragiczną rolę w życiu mojem odegrał pewien człowiek, z którym nieostrożnie zawarłem sojusz braterstwa, żłobiąc mu tunel w podziemne tajniki ducha, — i który przez to począł wywierać wpływ demoniczny, uwodząc łatwowierną miłość — —

Pozwólcie, abym tej zasłony nie odchylał, rozwodząc się nad sadyzmem w mistyce, a co nazwaćby można kąpielą ciepłą w krwi aniołów.

Ten opętał ubóstwianą przeze mnie kobietę, do której nie śmiałem się zbliżyć, jak do niedosiężnych gwiazd. Magnetyzując, zasypał lodozwałem, znieprawił w pysze i nicości przeczystą, wspaniałą duszę jej.

W snach ciemnych, gorączkowych, błąkałem się niby wilkołak po tym borze, który szumiał uroczystą sonatą wieczornych modlitw — widząc przez zawieruchę oświetlone okna i tęskną zapatrzoną ku mnie postać.

I oto widziałem się wśród niskich i nieznanych sobie komnat—gdzie z poza okien czerniały gąszcze prawiecznych lip; podłogi wyłożone dywanami, a ściany w makatach i arrasach, okrwawionych ogniem tlącego się kominka.

Meble staroświeckie w stylu cesarstwa, portrety kasztelanów i babek w robronach.

Stałem długo, zapatrzony w młodą prześliczną damę w białej sukni z niebieską szarfą. Jej złowieszcze oczy przerażały mnie — świecąc jakby dwie groty piekieł — i wspomniałem, że ukochana moja miała w swym

rodzie prababkę, która po lasach z pewnym duchownym mordowała schwytane wiejskie dziewczęta.

Na zegarze bronzowym biła godzina wpół do drugiej — i dźwięk ten ocucił mnie — — — — — — ujrzałem rękę moją, która cięła szyję człowieka śpiącego.

Głowa potoczyła się na ramiona, a z otwartych żył trysnęła krew.

W ściśniętej pięści trzymałem mój szeroki hiszpański nóż — na którym oglądać możecie napis: Alvaro Garcia Albacete.

Los dziwnie zdarzył spotkanie dwóch wrogów, niewiedzących o sobie, w półmroku pędzącego pociągu — i ja nie widziałem jego twarzy — aż podnosząc za włosy ściętą głowę.

I nie chcę już trudzić zapytaniem sfinksa, jakim sposobem znaleziono w zaryglonej od wewnątrz komnacie ściętą głowę? tego, co był sam jeden — o mil tysiąc ode mnie.

I jakim sposobem żona moja widziała przez szybę wagonu mego ducha, który z głową krwawiącą nieznanego jej człowieka pędził wśród zamieci śnieżnej?

I na to wszystko zebraliście stanowcze, mnie samego przekonać gotowe dowody,— szczególniej te plamy krwi na poduszkach wagonu i otulony w płaszcz kadłub nieznajomego.

Pociąg zdawał się szybować po powietrzu. W ciszy patrzyłem na rozwarte nieśpiące oczy mej żony — a głos obcy snuł w nas tę opowieść jakby na pustyni Sądu Ostatecznego.

I nie pamiętam już nic.

Ocknąłem się aż tu przed wami.

Zda mi się, że pociąg z zawrotną szybkością leci i z tą salą i ze wszystkiem, co kiedykolwiek poznałem,— i z tem, co mi przeznaczono w najdalszych reinkarnacyach przecierpieć,— — pędzi po stromej pochylni ku miejscowości ciemniejszej, niż ta, z której przybywa.

Tylko białe wierzchołki gór z obojętnością wniebowziętych patrzą na otulone w mgłach doliny.

A wszystko się mści — i kara jak runięcie kopuły kościelnej spaść musi na bezwinnych.

Mądrą mi się wydaje ta myśl i wypisaną jakby z grobowca chaldejskich magów.

Tadeusz Miciński.

Ogród Śmierci.



Z łąk zielonych, z złotego pola
schodzisz w cichy ogród mistyczny:
tam na progu Śmierć biała stoi
w cyprysowym wieńcu na czole.

Stoi biała — i lodowate
nieśmiertelne dłonie wyciąga
do widziadeł, wspomnień, pamiątek...
I do serca swego przyciska

sny daremne, zgasłe pragnienia,
latorośle zwarzone mrozem,
zeschłe, sztywne liście jesienne,
malowane smutną czerwienią;

białe, lekkie ostatnie róże,
co skonały w złotych warkoczach
i na piersiach pobladłych dziewic,
lilie zimnym potem zroszone.

I wyciąga do nas ramiona
marmurowe, tuli do serca,
i tracimy bytu świadomość,
umieramy nazawsze w Śmierci...

Ale śnimy. Jako zielone
algi na dnie fal oceanu,
jak korale bladoróżowe,
śnimy, śnimy w Ogrodzie Śmierci.

I czujemy, jak nad oczyma
zamkniętemi i nad ustami,
nad sercami, co bić przestały,
krąży jeszcze cień pocałunków.

Śnimy, śnimy pieśni gorące
purpurowo-piórych słowików,
i księżyce od słońc jaśniejsze,
złote morza, kwiaty ze światła.

Śnimy rzeczy nie z tego świata,
niezrównane, boskie, przecudne,
sen poetów śnimy ogromny,
lecz umarli, w Ogrodzie Śmierci.

PRZEŁOŻYŁA Anna Bronisławska. Enrico Nencioni.



SPRAWIE ROZSĄDKU ŻYCIOWEGO. Względna skromność, zasadnicza i mądra przezorność w rzeczach erotyzmu, przezorność nawet myślowa, stać się może wielkim rozsądkiem życiowym, nawet dla bogato uposażonych i całkowitych natur. Dotyczy to przedewszystkiem artystów, jest jedną z ich najlepszych mądrości życiowych. Bynajmniej niepodejrzane głosy odzywały się już w tym sensie, że wspomnę tylko Th. Gautier, Flaubert'a, Stendhal'a. Artysta jest bodaj z rodzaju tych, których konieczność skazuje na silną zmysłowość, człowiekiem wogóle zanadto pobudliwym, każdy jego zmysł jest zbyt łatwo dostępnym podniecie, nawet zdaleka dolatującej sugestyi podniecenia. Lecz mimo to, stojąc zwykle pod całkowitą władzą swego zadania życiowego, swego dążenia do mistrzowstwa, jest w rzeczywistości umiarkowanym, jeśli nie całkowicie powściągliwym człowiekiem. Tak mu nakazuje dominujący w jego naturze instynkt: on mu nie pozwala zubażać siebie w ten sposób.

Ostatecznie biorąc, jedna i ta sama siła zużywa się w artystycznej koncepcyi i w akcie płciowym, gdyż wogóle istnieje tylko jedna siła. Tu się zatracać, tu się rozdawać i zaprzepaszczać jest u artysty rzeczą godną pogardy; wskazuje to już nietylko na brak instynktu, lecz na całkowity opad woli, i może być poprostu piętnem dekadencyi. W każdym razie zubaża to jego sztukę do nieobliczonych wprost granic.

Artyści *nie są* ludźmi wielkich namiętności, mimo wszystko, co w siebie i w ludzi wmówić pragną. Dzieje się to dla kilku powodów. Przedewszystkiem, brak im wstydu przed samym sobą (oni żyjąc, przyglądają się sobie, oni czatują, czyhają na samych siebie; ci ludzie są zbyt ciekawi). Następnie, brak im wstydu wobec wielkiej namiętności (oni ją wyzyskują twórczo). Wreszcie, ich wampir, — talent ich, nie pozwala na tę rozrzutność siły, która zwie się namiętnością. Mając talent, jest się i ofiarą swego talentu: człowiek żyje pod wampiryzmem swego talentu.

Nikt nie przezwycięża swej namiętności tem, że ją twórczo przedstawia, lecz naodwrót może ją przedstawić dlatego, że ją w sobie już pokonał. (Goethe poucza wprawdzie inaczej; lecz bodaj że w tym wypadku pragnął on nie rozumieć samego siebie, czyniąc to z powodów — *delicatezzy.)*

Ukrywa się tu znów nietylko pozorna sprzeczność z uwagami wygłoszonemi powyżej: 1) o tak niesłychanie łatwej pobudliwości artystów, i 2) o tem, że miłość („płciowa," akcentowane było najwyraźniej) stanowi najpotężniejszy bodziec życia, niechybnie twórczego w wybujałości swojej. A więc artysta, stanąwszy, dzięki pobudliwości i wrażliwości swojej, tuż, tuż przed owemi wrotami sztuki, „które same otwierają się przed zakochanym," winienby w przezorności mądrej cofać się co rychlej, aby, uchowaj Boże, nie ponieść szwanku na swej fachowości?.. Czy taki „artysta" nie trąciłby mocno przezornym i oszczędnym rzemieślnikiem, który woli powolną lecz pewniejszą drogę „miarki do miarki"? Jest w tem niesmak, który milczeniem przełknąć się nie da. Drugi niesmak tkwi w zbyt już

częstem wynoszeniu artysty ponad wszelkie człowieczeństwo, w tej „osobnej rubryce“ stwarzanej dla niego co krok, nawet w sprawach funkcyj fizyologicznych. Artysta, który nie przeszedł przez wszystkie ognie człowieczeństwa, jest chyba — żałosnym typem dzisiejszego literata, którego mnóstwo drobnych warunków społecznej towarzyskości (a przedewszystkiem jego własna fachowość) odsuwa na pewien dystans od ustawionego stołu życia, jako — łakomego widza. Czy w tej perspektywie i na tem stanowisku zrodzić się może mocne i głębokie odczucie wszystkiego, co ludzkie, jest rzeczą wątpliwą (choć również nie wykluczoną, bo zależną od siły tych tęsknot do życia i od potęgi intuicyjnej, ale żadną miarą od roztropności.)

Czy, zamiast powoływać się na nakazy rozwagi i roztropności, na przezorne imperatywy ostrożnego talentu, nie należałoby raczej wejrzeć w życie i skład duchowy samotników i spróbować zrozumieć, dla czego ci ludzie nie nadają się do pospolitych namiętności, ani do tych, które się pospolicie zwą „wielkiemi“? Czy nie należałoby się powołać na tę fatalną moc wewnętrznego życia, na fascynującą potęgę marzeń, które z objawów zewnętrznego życia czerpią to tylko, co w nich jest z ducha, i póty tylko, póki w nich jest jeszcze coś z ducha? Czy nie należałoby wskazać na tę ślepą siłę, którą niszczy i szczęście osobiste, i siły ludzkie, i nawet ów talent produkcyjny, gwoli wewnętrznej pracy, ciągłemu odmładzaniu i kwitnieniu ducha, ustawicznemu rozrostowi i dojrzewaniu? na to fatum życiowe, pozwalające poświęcać własnemu szczęściu tylko najbłahsze, poziome godziny wyczekiwania na nagłe rozblaski wszystkich czarownych zwierciadeł ducha? — Jeśli przed oczyma marzyciela staną te zwierciadła, wyrwie się niechybnie z ramion kochanki, a uczyni to nie gwoli życiowej mądrości, bez roztropnych wyrachowań artysty, bez wiedzy i woli nawet, gdyż tak mu nakazuje wampir, — nie talentu bynajmniej! — lecz stokroć potężniejszy wampiryzm marzenia, poezyi dla niej samej, pozwalającej mu oglądać cały przepych życia tylko tam w spotęgowanych blaskach zwierciadeł marzenia, całą jego głąb' — tylko na dnie duszy własnej, uświadamiać sobie nawet całą potęgę i niedolę swej miłości dopiero w widmowem jej odbiciu. — I tak oto w miłości tych ludzi tkwi zawsze ziarno tragedyi, są oni fatalni dla swoich kobiet...

Zstąpiwszy znacznie niżej, między bardziej ludzkie sprawy i pospolitsze charaktery, nietrudno zauważyć, że artyści nawet do miłostek bardzo średnio się nadają, czemu nie przeczą bynajmniej rozmaite anakreontyki, które są najczęściej swawolą po niewczasie... Lawirować w gąszczu ludzkim lekko, dumnie a swobodnie umieją

tylko ludzie z wyraźną przewagą instynktu praktycznego. Kto żył choć trochę życiem wewnętrznem, nauczył się na błahe nawet podniety reagować mocniej, głębiej, a przez to samo i powolniej, przynajmniej w stosunku do zewnętrznych bodźców. A to czyni najczęściej niedołęgą w płytkim wirze spraw codziennych, i tworzy to smutne tło, na którem tem jaskrawiej odbija się nieraz ironia pragnień. Ci ludzie nie mają dość lekkości do życiowego tańca, i choć im Bachus tak chętnie dopomaga, pozostają przecie w tyle, jak Sylen na ośle. W samotności piszą za to anakreontyki, lub, co częściej się zdarza, wywierają złe i dokuczliwe zemsty na sobie, na życiu, na kobietach i na ośle swego sentymentu, — bo ci ludzie są nieuleczalnie sentymentalni. Mimo to, a może właśnie dla tego, stają się łatwo cynicznymi; lecz ich cynizm jest już głębszy, boleśniejszy, i płoszy czerstwe, swawolne, a sprośne stado bystrych kozłów i małp zwinnych.

Dalibóg, moraliści mają tu mało powodu do załamywania rąk!.. Żądna miłości Venus, umiejąca być cyniczną heterą w objęciach męża lub moralisty, daje artyście uroczyste święto piękna, wzbudza cześć prawie boską, rozpala bardziej serce i ducha niźli chucie. — Nimfę, — jeśli który z nich na nimfy chętnie zerka, — porywa im najczęściej z przed nosa pierwszy lepszy moralista. — Zaś Dafne?.. — Mitologiczna Dafne stała się oklepaną anegdotą, wyzbyła się nagości i pozwala się jedynie oglądać poprzez dekolt sukni balowej; wiedzie nieśmiertelnie nudny żywot w ckliwych marzeniach banalnych rymopisów i przy ich pomocy pragnie w nas wmówić, że owidyuszowa przemiana odbyć się może w salonie.

Oto jest miłość hygieniczna dla „talentów!“ — Balzac surowo przestrzega utalentowanego młodzieńca przed miłością, natomiast radzi mu serdecznie pisywać listy miłosne. Przyznajmy szczerze: czy ten wampir „talentu“ nie jest najpospoliciej zwykłą ćmą, — ot, trupią główką, symbolizującą, co jest w sercu i życiowych instynktach człowieka? Oni mają już tylko jeden instynkt i zmysł jeden, który jest ich słuchem i wzrokiem, ich sercem i krwią ich żył: „dominujący instynkt talentu,“ co pożarł już człowieka.

O ileż piękniejszymi są ci, których ponosi jeszcze życie i porywa miłość! I o ile głębszymi tamci inni, których życie wewnętrzne tak całkowicie, tak po brzegi wypełnia, że pozwala Afrodytom, Nimfom i Dafnom wszelkim odbić się tylko w jego powierzchni jak w zwierciedle, — i nic ponad to!..

Afrodyte i Dafne są jednak upartemi kobietkami, one rade się przejrzeć i w takiem lustrze. Co ujrzą, gotowo je w miły błąd wprowadzić: — tam w głębi spoczywa zgoła inny obraz! Każdy

z tych marzycieli jest Pigmalionem, który swój ideał kobiety sam tworzy, sam kształci i sam duchem swoim ożywia. A ta jest oblubienicą, której trudno się sprzeniewierzyć, niepodobna złamać wiary bez tej rozterki, co jest przekleństwem życiowej miłości, jej trumną przed ślubnym ołtarzem...



huć i rozkosz tkwi w dionyzyjskiem upojeniu, nie brak ich i w apolińskiem. Wszakże musi być pewna różnica tempa w obu tych stanach... Nadmierny spokój pewnych stanów podniecenia (ściślej mówiąc zwolnienie poczucia czasu i przestrzeni) przejawia się chętnie w wizyach o spokojnych gestach, wśród spokojnych dusz. Styl klasyczny przedstawia ów spokój, uproszczenie i skupienie; najwyższe poczucie potęgi tkwi w typie klasycznym. Ciężkie reagowanie, wielka świadomość, — zupełny brak uczucia walki. — —

Ażeby być klasykiem, należy posiadać wszystkie napozór sprzeczne uzdolnienia i pożądania; winne one jednak chodzić w jednem jarzmie i zjawiać się o właściwej porze, aby umiejętność zażywania literatury, sztuki i polityki potęgować do właściwych wyżyn i subtelności; — (winne się zjawiać *uprzednio*, jako pierwszy bodziec.) Całokształt pewnej kultury (czy też stan ogólny narodu) należy odzwierciedlać w swej najgłębszej i najwnętrzniejszej duszy; i to w czasie rozkwitu tych właściwości, kiedy one nie są jeszcze przebarwione cudzoziemczyzną (lub kiedy są jeszcze w całkowitej zależności od wpływów obcych.) Jednem słowem, należy być nie odruchowym (reaktywnym), lecz syntetyzującym i naprzód wiodącym duchem, mają-

cym w obliczu wszelkich zjawisk swe twarde i zdecydowane „tak!“ — nawet gdy nienawiść w grę wchodzi.

Czy współdziała tu rzeczywiście najwyższa wartość osobista?.. Należałoby może rozważyć, czy nie wchodzą tu w grę przesądy? Czy moralne wyżyny nie są w koniecznej i istotnej sprzeczności z typem klasycznym?.. Czy moralne monstra nie są z konieczności romantykami, zarówno w słowie jak i w czynie? — Ta przewaga jednej cnoty nad drugą (jak u moralnego monstrum) zajmuje zasadniczo wrogie stanowisko wobec klasycznej potęgi, polegającej na równowadze. Przypuściwszy, że na pewnych wysokościach moralnych jest się mimo wszystko klasykiem, można śmiało wnioskować, że z drugiej strony posiada się też i immoralność na odpowiedniej wyżynie. Byłby to może wypadek Szekspira (o ile okazałby się on rzeczywiście lordem Baconem.) — Czy poza przeciwieństwem twórczego i odtwarzającego (czynnego i odruchowego) ducha nie ukrywa się przeciwieństwo klasycznego i romantycznego typu?



RZEMORALIZOWANIE SZTUK. — Sztuka jako wolność od moralnego zacieśnienia i zaściankowej „optyki małego kąta,“ lub jako szyderstwo z nich... Ucieczka na łono natury, gdzie piękno z grozą się łączy... Koncepcya wielkiego człowieka... — Kruche, zbyteczne, luksusowe dusze, które jedno tchnienie już mąci: „piękne dusze“... — Zbudzić i ożywić wyblakłe ideały w całej ich bezlitosnej tężyźnie i brutalności, niby pyszne potwory, jakiemi były w rzeczywistości. — Tryumfująca błogość wszystkich przemoralizowanych ar-

tystów przy psychologicznem wnikaniu w zakłamanie i komedyanctwo wbrew woli. — Fałszywość sztuki. Obnażyć jej istotną immoralność. — Wywlec na światło dzienne zasadnicze potęgi „idealizacyi“ (a więc: zmysłowość, podniecenie, nadmierny animalizm).



SPRAWIE PRZYSZŁOŚCI. PRZECIW ROMANTYCE I WIELKIEJ NAMIĘTNOŚCI. — Do klasycznych upodobań należy nieodłącznie pewien chłód, przejrzystość i tężyzna; logika przedewszystkiem, szczęście w duchowości, „trzy jedności,“ skupienie, nienawiść uczucia, niemieckiego *Gemüth,* *) francuskiego *esprit,* niechęć do wszelkich powikłań,

---

*) To słowo „Gemüth“ w całkowitem brzmieniu niemieckiem zyskało nieprawe obywatelstwo we wszystkich niemal językach. Jako psychologiczne znamię rasy, zgoła nie znajduje ono słownego równoważnika w innych mowach. Pojęcie to mówi o skłonności do smętku, roztęsknień, nastrojowości, połączonych najczęściej z pewną dozą opieszałej woli i cichej rezygnacyi; wszystko to prowadzi do łatwych, w duchową treść niezawsze bogatych dostrojeń się do objawów zewnętrznego życia. Gemüth wyklucza towarzyską żywość, dowcip, wylaną serdeczność: cofa raczej to wszystko na dno cichej melancholii, niegłośnego współczucia i ledwie świadomej ironii względem wszystkiego, co ludzkie. Już to samo przywodzi na myśl dobre wino w przytulnym kącie cichej gospody... Gemüth, w najszlachetniejszem pojęciu, oznacza wysubtelnioną zdolność uduchawiania wszystkiego, dar wyczuwania duszy z rzeczy i zjawisk... Wreszcie, w wulgarnem znaczeniu, zwłaszcza w przymiotnikowej formie, znaczy Gemüth (-lich) tyle co: ujmujący, miły, łatwo dopasowujący się do poziomu lada jakiej inteligencyi. *(Przyp. tłom.)*

chwiejności, rozwałęsania w formie, wszystkich mętnych przeczuć; z drugiej strony, niemniej zdecydowana nienawiść do wszystkiego, co króciutkie, gładkie, ładne i poczciwe. Nie należy igrać z artystycznemi formami; należy życie przekształcać, aby ono swój wyraz i formę znaleźć sobie potem musiało.

Jest pewna wesoła komedya, która nas, cośmy przejrzeli, bawić dopiero zaczyna. Mianowicie uroszczenia współczesnych Herdera, Winkelmana, Goethego, Hegla, iż oni to odkryli ponownie ideał klasyczny. A równocześnie Szekspir!.. I to samo pokolenie wyrzekło się w tak czelny sposób klasycznej szkoły francuzów! jakgdyby najistotniejszych rzeczy nie można było zarówno tu jak i tam się nauczyć... Chciano jednak „natury,“ „naturalności“: — o tępoto! — Zdawało się ludziom, że klasycyzm jest pewnego rodzaju naturalnością.

Należy bez przesądów i bez wszelkich miękkości przemyśleć, na jakiem podłożu wyrosnąć może ideał klasyczny. Stężenie, uproszczenie, wzmocnienie woli nawet w kierunku zła: te rzeczy w tym oto szeregu należą do siebie nieodłącznie. Jednem słowem: logiczno - psychologiczne uproszczenie. Wzgardzenie wszelką drobiazgowością, równie jak wielkiemi zlepkami, oraz wszystkiem, co niepewne.

Romantycy niemieccy protestowali nie przeciw klasycyzmowi, lecz przeciw rozumowi, oświeceniu i smakowi 18 stulecia.

Zmysłowość romantyczno - wagnerowskiej muzyki. Jej przeciwieństwo do klasycznej zmysłowości.

Pożądanie jedności (ponieważ jedność tyranizuje widza i słuchacza,) a zarazem nieudolność tyranizowania ich rzeczą najgłówniejszą: mianowicie zwartością i skupieniem dzieła (przez zaniechanie zbyteczności, rozjaśnianie, skracanie, upraszczanie). Natomiast obezwładnianie słuchacza

i czytelnika wielkiemi masami (Wagner, V. Hugo, Zola, Taine.)



est to kwestya wewnętrznej mocy (zarówno pojedynczego człowieka jak i narodu), gdzie pada jego sąd: „piękne.“ Uczucie pełni wezbranych sił pozwala przyjąć pogodnie i ochotnie wiele takich rzeczy, które zmrozić mogą wątłego ducha. Poczucie siły wyrokuje „piękne“ o rzeczach i stanach, które dla instynktu niemocy są nienawistne i wstrętne. Węch uprzedzający nas, z czem dalibyśmy sobie radę, gdyby oblekłszy się w ciało wystąpiło przed nami jako niebezpieczeństwo, problem lub pokusa, — ten węch szczególny określa nasze estetyczne „tak.“ („To jest piękne“ — jest więc probierzem wewnętrznej mocy.)

Wynika z tego, biorąc rzecz ogólnie, iż zamiłowanie do rzeczy zagadkowych i groźnych jest oznaką siły, podczas gdy smakowanie w ładnem, miłem, gładkiem, znamionuje słabiznę i wątłość ducha. Upodobanie do tragedyi jest właściwością silnych czasów i tęgich charakterów: wymownem *non plus ultra* takiej właśnie epoki jest Boska Komedya. Bohaterskie tylko dusze umieją w tragicznem okrucieństwie mówić do siebie „tak“: są one dosyć twarde na to, aby nawet cierpienie odczuwać jako rozkosz... Przypuśćmy natomiast, że słabi zapragną korzystać ze sztuki, która nie dla nich była stworzoną. Cóż uczynią wówczas, aby tragedyę sobie uprzystępnić i smak w niej znaleźć? Oto postarają się przemycić w nią swe własne *uczuciowe wartości,* jako „tryumf obyczajności“ lub „społecznego ładu“

jako „naukę o marności życia,“ jako „wezwanie do rezygnacyi“ (lub w końcu to na poły medyczne, na poły moralne wyładowanie afektu w sensie Arystotelesa.) Wreszcie, sztuka rzeczy groźnych, o ile pobudza nerwy, może mieć wartość bodźca dla słabych i wyczerpanych. Jest to między innemi powód do dzisiejszego przeceniania muzyki wagnerowskiej.



UDZIE STWORZENI.—Mówiąc, iż dramaturg (lub artysta wogóle) stwarza prawdziwe charaktery, wpadamy w piękne złudzenie i przesadę, dzięki którym święci sztuka zgoła niezamierzone i nadmierne już tryumfy. W rzeczywistości rozumiemy prawdziwych, żywych ludzi bardzo niedostatecznie i uogólniamy nader powierzchownie, przypisując im taki lub inny charakter. Temu zgoła niedoskonałemu naszemu stanowisku wobec człowieka odpowiada i „twórczość“ artysty pod tym względem: robi on równie powierzchowne zarysy człowieka jak powierzchowną jest nasza znajomość ludzi. Zbyt wiele świecidełek i mamideł jest w tych artystycznie stworzonych charakterach; to nie są bynajmniej żywe i cielesne twory natury, lecz coś podobnego do owych namalowanych ludzi, o wiele za chudych: nie należy ich oglądać z blizka. Zwykło się nawet mawiać: charakter pospolitych ludzi przeczy sobie często, stworzony przez dramaturga jest natomiast jakby pierwowzorem, który miała na widoku natura; — lecz i to powiedzenie jest z gruntu fałszywe. Prawdziwy człowiek jest czemś zgoła *koniecznem* (nawet w tak zwanych społecznościach), niezawsze

jednak pojmujemy tę konieczność. Człowiek wymarzony, artystyczne widmo, pragnie uchodzić za coś koniecznego, jednakże wobec tych tylko, którzy i żywego człowieka zdolni są pojąć w surowych, nienaturalnych uproszczeniach psychologicznych. Kilka mocnych, często powtórzonych rysów, na to wiele światła, mnóstwo cienia i półmroków naokół, czyni zadość takim wymaganiom. Jesteśmy łatwo skłonni do uważania widma twórczej wyobraźni za prawdziwego, koniecznego człowieka, gdyż w stosunku do żywych ludzi zadowalamy się stale widmem swej wyobraźni i domysłów, grubą sylwetką, cieniem postaci, całkowicie dowolnym skrótem wzamian za całość.

Że malarz lub rzeźbiarz daje „ideę“ człowieka, jest czczą gawędą i ułudą zmysłów: twierdząc coś podobnego, dajemy się tyranizować oku, gdyż ono z ciała ludzkiego widzi tylko powierzchnię, tylko skórę, a wszakże i wnętrze chociażby tego ciała tylko należy również do idei. Sztuka plastyczna wypisuje charakter ducha na skórze ciała, poezya, posiłkując się ku temuż celowi słowem, rzeźbi charakter w dźwiękach. Punktem wyjścia sztuki jest naturalna *niewiedza* człowieka o swojem wnętrzu (zarówno co do ciała i co do charakteru): sztuka nie jest stworzona dla fizyków i filozofów.

Czemże sztuka może tak bardzo nie zadowalać fizyków i filozofów? — Nad tem warto się dłużej zastanowić... Czy tem, że w opisywaniu danej kategoryi zjawisk duchowych, nawet w dowolnie przez siebie zakreślonych granicach, nie jest dosyć wyczerpującą, ścisłą, nieubłaganą, konsekwentną? że w swym głodzie prawdy nie jest dosyć rzetelną? że to, co podaje tu i ówdzie za swój cel (analiza duszy), jest w rzeczywistości jej środkiem tylko (i to jednym z wielu!), że ostatecznym i prawdziwym jej celem jest osiągnięcie wrażenia, a więc nawet wrażenia prawdy kosztem samej prawdy? że wreszcie swą intuicyą i twórczością wymyka się z pod

wszelkiej kontroli, mimo że aż nazbyt często jest tym kuglarzem, któremu należałoby właśnie jak najczęściej w garść zaglądać?

Ostrożność ta jest aż nadto zrozumiała, słuszną natomiast byłaby tylko wówczas, gdyby sztuka rościła sobie pretensye, aby jej zdobycze w dziedzinie psychologii były bezpośrednio wpisywane do księgi wiedzy ludzkiej. Tymczasem sztuka jest tu znacznie skromniejszą, acz pod innemi względami sięga o wiele wyżej. — Jeśli w danej dziedzinie (charakterystyki psychologicznej) artysta nie jest dla fizyka i filozofa dosyć wyczerpującym, zmudnym i marudnym, to dla tego przedewszystkiem, że stoi pod nieubłaganym nakazem całości swego dzieła, pod nieświadomą tyranią swej twórczej idei, niepozwalającej mu nawet wówczas, gdy na złotą żyłę natrafi, przebywać przy niej dłużej i pilniej. Jeżeli badacz naukowy z całym aparatem dzisiejszych środków pomocniczych zapuszcza się powoli, chwiejnie, ostrożnie i stopniowo w coraz to głębsze światy, — artysta psycholog podobny jest do nurka, co się nieraz na ślepo w ciemne rzuca otchłanie, przynosząc i muł zwyczajny, i robactwo głębin brzydkie, i, w całych kłębach nikczemnych glonów, może ukwiał szlachetny, może perłę na małżowinie, i może te nieznane jeszcze, ślepe twory, co tylko bez światła i tylko pod wielkiem ciśnieniem głębi życie swoje mają...

Żaden z wielkich artystów psychologów nie dawał i dawać nie mógł charakterów ludzkich tak wszechstronnie i całkowicie zaokrąglonych, aby zdołał niemi w zupełności zadowolić analityczny umysł badacza, lecz bodaj żaden z nich nie zamierzał tego uczynić... Wszystkie charaktery ludzkie stwarzane przez artystę stoją oczywiście do życia w stosunku dowolności; jednakże tkwi w nich inna wewnętrzna harmonia i konieczność: logika twórczości, której korzenie tkwią w osobniczej duszy. W stosunku do realności, stworzony charakter ludzki jest więc tylko możliwością, tylko prawdopodobieństwem i zawsze tylko ułomkiem, w stosunku do twórcy jest koniecznością, a w perspektywie jego dzieła nawet całokształtem. I kto wie, czy ta podwójna logika życia i twórczości nie wyciska właśnie na wszystkich rysach „stwarzanych“ charakterów tego piętna problemu, charakteru zagadki, nakazującego wprost pytajnika, który wyzywa niechybną potrzebę odpowiedzi, rodzi konieczność zastanowienia się nad sobą?

Widmowe charaktery stwarzane przez artystę *zmuszają* do wnikania w tysiączne tajemnice duszy, potrącają wszystkie struny wspomnień, ożywiają wszystkie trupy uczuć, dobywają z żywych jeszcze kwiatów uczuć niejedną gąsiennicę fałszu, a z owoców „ży-

ciowych doświadczeń" toczące je robactwo zgnilizny, budzą z uśpienia wszystkie nasze złe i dobre moce: i tak oto „mamidły" oraz „błyskotkami" artystycznego odtwarzania wiodą nas w najciemniejsze tej duszy labirynty... Po odpowiedź? po świadectwo prawdzie? po rozwikłanie „sprzeczności?" W tych ciągłych pytaniach, które w nieskończonym łańcuchu rodzą coraz to nowe, w tem *zmuszaniu* do wgłębiania się w ludzką i własną duszę, wyczerpuje się w zwykłych warunkach zadanie artysty psychologa. Jeśli co nadto ma on do powiedzenia, to chyba jako doktryner, wreszcie jako badacz, lecz ani słowa jako artysta. Dzieło, które nie pozostawia po sobie dłuższego podźwięku poruszonych strun naszej duszy, które milknie bez echa melodyi, rozwiewa się bez kwietnej woni nastroju, kończy się zamkniętym widnokręgiem bez dalekich perspektyw, problemów, zagadek, symbolu, jednem słowem dzieło, które zadowoliłoby fizyka i filozofa, przestaje być tem samem utworem sztuki. — I w tem jest może nierzetelność artysty, jak nierzetelnem jest jego rzemiosło. Sztuka rodzi tylko głód duszy, lecz nigdy go nie zaspokaja (oczywiście, o ile zwraca się do głębszych trochę natur). Nic więc dziwnego, że analitycznego badania duszy ludzkiej zadowolić nie może. Z drugiej jednak strony, t. z. „psychologia uczuć" wiedzą ścisłą bynajmniej nie jest i opiera się tyleż na zbiorowych zewsząd doświadczeniach, ile na wewnętrznem spojrzeniu badacza, na jego „darze" psychologicznej analizy. Tembardziej, niewolno mu lekceważyć takich imion jak La Rochefoucauld, Shakespeare, Chateaubriand, Stendhal, Dostojewski, jeśli nie jako mistrzów, to jako bezdennej skarbnicy zawsze głębokich pytań, wciąż jeszcze żywych zagadnień.

Niewolno i dla tego jeszcze, że, warunki życia uczonego oraz kierunek jego umysłu powodują z konieczności pewne przytłumienie tych pierwiastków uczuciowych współżycia i współdrgania wewnętrznego z cudzemi namiętnościami, które twórczemu artyście dają klucz do serc i charakterów ludzkich. Przedmiotowe grupowanie materyału psychologicznego, węszenie wszędzie tego, co się właściwie w nozdrzach ze sobą przyniosło: woni i odorów klinicznych, pochopność do wtłaczania wszystkich objawów w ramy gotowego systemu, lub zrodzonej w klinice teoryi: — wszystko to nie przemawia bynajmniej za nieomylnością ich analizy, zwłaszcza jeśli idzie o tajemnicę charakterów indywidualnych.

W żadną dziedzinę sztuki nie wkrada się może tyle nieporozumień, ile w tę właśnie dziedzinę twórczą psychologii. — Chociażby, owo pominięte wprzódy milczeniem „czajenie się" i „czyhanie" na

własne i cudze uczucia, owo „wyzyskiwanie“ własnych i cudzych namiętności: wszystkie te czarne piętna artyzmu wydają mi się raczej modnym przesądem, w który dał się uwikłać i Nietzsche. Wprawdzie bractwo z cechu uprawia liczne eksperymenty psychologiczne, skomplikowanym aparatem pozy i patosu gnębi bezlitośnie swe kobiety, wprawdzie każdy właściciel ładnych wąsów uważa się za mistrza kobiecej psyche, każdy osiwiały oszust chełpi się znawstwem ludzkiej natury, wprawdzie niejeden pisarz, wyzyskawszy swą wyobraźnię doszczętnie, gotów popełnić lichwiarski rabunek na żywem jeszcze (!) uczuciu własnego serca: — ale czy to wszystko ma choć cokolwiek wspólnego z takiem zrozumieniem własnych i cudzych uczuć, jakie odbijać się powinno w dziele artystycznem? dziele twórczem?

Te płomykowe wybłyski ukrytych wewnętrznych bodźców cudzej duszy udzielają się naszej nieświadomie i *dlatego* może z tą siłą żywiołową, jaką posiadają wyłącznie wrażenia jeszcze nieuświadomione, jeszcze niedostrzegalne, zaledwie głucho odczute. One *wyłącznie* niosą ze sobą iskrę twórczą, tę pociągającą głąb' zagadki, tę fatalną zaraźliwość dla wrażliwej psychiki artysty (która nie jest nigdy w stanie bezwzględnej równowagi), one wreszcie rodzą ten dziwny objaw „naśladowczego musu“. Nie należy go sobie oczywiście wyobrażać jako sugestyjny automatyzm wyzwolony bezpośrednio widokiem wzoru; jest to zwykły stosunek wrażenia do reakcyi, w danym wypadku do reakcyi twórczej: jej czas i rodzaj jest całkowicie nieobliczalnym. Lecz nawet i wówczas odtwarza ów „mus“ tylko początkowo z surową naiwnością dany wzór, niebawem potęguje się on do stanu wizyjnych wprost skojarzeń, jak u somnambulika, gdzie kilka najprostszych bodźców (w danym wypadku kilka wyczutych i zapamiętanych bodźców cudzej psyche) wystarcza do wywołania wizyjnych obrazów, do odtwarzania całych scen i szmatów nowego życia z jakąś ślepą lecz bezwzględną logiką konieczności. Co było początkowo „musem naśladowczym“, staje się w ten sposób niemniej żywiołowym popędem twórczym, który na surową kanwę naśladownictwa rzuca barwny obraz nowego życia. Kanwa pierwotna zostaje nim całkowicie przysłoniętą. Przy pewnem napięciu i trwałości doprowadza ten stan do przepołowienia osobistości: na widza, o zwykłej normalnej psychice, widza zdumionego, który patrzy, pyta i bada (a więc mimo wszystko głównemi ruchami kieruje), oraz na twórczego aktora, co poruszony sprężyną nowej duszy gra z całą potęgą żywiołowego rozmachu... I tu dopiero zaczyna się analiza!

„Czajenie się“ i „czyhanie“ na siebie i ludzi, „wyzyskiwanie“ własnych i cudzych namiętności (jednem słowem, cały ten aparat zewnętrznej optyki i natychmiastowej reakcyi, zaczynającej odrazu od najwyższych stanów psychologicznego uświadomienia: od analizy) jest, jako poza demonicznego psychologizmu, wprawdzie modną, lecz całkowicie chybioną grą, gdyż świadczącą wprost przeciwnie o najrzetelniejszym braku wszelkich danych do odczucia i zrozumienia ludzkiej duszy.

„Czajenie się“, „czyhanie“... i t. d., a zwłaszcza wyzyskiwanie cudzych bólów i namiętności, może być galwanizowaniem stępiałej wrażliwości i opieszałej wyobraźni, łaknącem widoku bólu tam właśnie, gdzie samoistna treść ludzka najbardziej pociąga: u tych jeszcze własnych, jeszcze świeżych, jeszcze niezakłamanych, a więc najbardziej bezbronnych natur, — łaknącem takiego bólu na to tylko, aby tą krwią gołębią podnieść zgrzybiałego ducha i raz jeszcze ocknąć sumienie.

„Czajenie się“, „czyhanie“... i t. d., może być wreszcie pospolitem natręctwem zbieracza „wzorków“, niecierpliwością jego kliszy fotograficznej, spreparowanej na krótko i wyłącznie na kalejdoskopowe bezmyślności dnia: na „obrazki w słońcu“ i banalności w cieniu.

Wszystko, co jest prawdziwą, co jest twórczą psychologią, zjawia się znacznie później niźli pierwsze na-poły nieświadome i niekrytyczne wrażenia, zjawia się na innej, zwykle niespodzianej i nieobliczonej wprost drodze; przychodzi tem później, „im głębszą jest studnia, im dłużej kamień pada, zaczem dna dosięgnie“; nawiedza tem pewniej, im większym jest cudowny dar początkowych złudzeń, ta uparta i wbrew wszelkiej lepszej wiedzy ustawicznie odmładzająca się naiwność w stosunku do życia, ta niezniszczalna młodzieńczość duszy, która, nie wykluczając największej głębi myśli, pozostanie zawsze węgielnym kamieniem wszelkiej sztuki.

Można prześliznąć się przez życie przezornie i mądrze jak wąż, a przynieść w zdobyczy zimną i pustą duszę gadů. Można przejść przez ciernie zawodów niedołężnie i boleśnie jak niezdarne dziecko, a przynieść ze sobą, prócz poranionych stóp i dłoni, największą mądrość życia, bo jego *spotęgowanie*: sto dusz i sto światów w krwawych nieraz piersiach!

Psychologia mistrzów jest zemstą bogów na życiu i ludziach... Psychologia „talentów“ jest może odwetem zawiedzionych idealistów, zemstą na dawnych ołtarzach i na samym sobie.



DUCHOWIENIE SZTUKI. Sztuka podnosi głowę, ilekroć wpływ religii się zmniejsza. Podejmuje ona mnóstwo zrodzonych przez religię uczuć i nastrojów i staje się przez to głębszą, bardziej uduchowioną; dźwiga i podnosi na duszy, wznieca zapał i oddanie się, czego wprzódy dokonaćby nie zdołała. Gdy wzbierające powoli bogactwo uczuć religijnych wzrośnie do potężnego prądu, zrywa wówczas swe tamy, zdobywając w ten sposób nowe dziedziny i światy. Wzrastając, wiedza zachwiała jednak dogmatami religii i tchnęła wszędy głębokie zwątpienie: uczucie wyparte przez oświatę ze sfery religijnej przerzuca się na sztukę, gdzieniegdzie na politykę, tu i ówdzie nawet na naukę. Ilekroć w dążeniach ludzkich postrzegamy wyższe, ponure zabarwienie, można podejrzewać, że tkwi w nich jako pozostałość coś z mrocznych cieni świątyń, coś z woni kadzielnych i widmowych lęków.



DZMYSŁOWIENIE WYŻSZEJ SZTUKI. Nasze uszy, dzięki ustawicznemu ćwiczeniu intelektu przez współczesny rozwój muzyki, stają się coraz to bardziej intelektualnemi. Znosimy dziś daleko większą siłę tonu, znacznie więcej „hałasu“, niżli nasi przodkowie, ponieważ jesteśmy o wiele lepiej wyćwiczeni w dosłuchiwaniu się we wszystkiem zamie-

rzeń twórcy. W rzeczywistości, zmysły nasze tępieją powoli, dzięki ustawicznemu doszukiwaniu się tego, „co znaczy“ zamiast tego, „co jest“; przejawia się to stępienie między innemi w bezwarunkowem panowaniu temperatury tonów. Do wyjątków należą dziś uszy, które są w stanie czynić subtelniejsze rozróżnienia, naprzykład między *cis* i *des*. Pod tym względem uszy nasze zgrubiały niewątpliwie. Następnie, zdobywa sobie muzyka wrogie zmysłom wprzódy, brzydkie strony świata; jej zakres i potęga rozszerzyły się przez to zdumiewająco, zwłaszcza jeśli idzie o danie wyrazu rzeczom wzniosłym, groźnym i tajemniczym: — muzyka spółczesna udziela głosu rzeczom i zjawiskom, które wprzódy były całkowicie nieme. Podobnież i wielu malarzy uczyniło oko intelektualnem, wychodząc daleko poza te granice, jakie zakreślało dawniejsze wyłączne rozkoszowanie się barwą i kształtem. I tutaj rozszerzyła się sztuka na dziedziny i zjawiska uważane wprzódy za brzydkie. — Jakaż jest konsekwencya tego wszystkiego? Im bardziej myślącemi stają się oko i ucho, tem pewniej zbliżamy się do granicy, gdzie one zmysłowemi już być przestają, gdzie rozkosz artystyczna przeniesioną zostaje do mózgu, zmysły stają się tępe i słabe, symbol zastępuje byt — i oto na tej drodze zbliżamy się z takąż pewnością do barbarzyństwa jak na każdej innej. Tymczasem pocieszamy się jeszcze: świat jest szpetniejszy niźli kiedykolwiek, lecz *oznacza* on najpiękniejsze światy. W miarę wszakże jak się rozwiewać i ulatniać pocznie ta ambrowa woń znaczenia, coraz rzadszymi będą ci, którzy ją jeszcze odczuć zdołają: pozostali zatrzymają się wreszcie przy nagiej brzydocie i spróbują zażywać ją bezpośrednio, co im się oczywiście nigdy udać nie może. W Niemczech naprzykład, daje się spostrzegać dwojaki prąd kultury muzycznej: z jednej strony, garstka wykwintnych z coraz to wyższemi, wybredniejszemi wymaganiami, wsłuchująca się coraz to sub-

telniej we wszelkie znaczenia, — z drugiej, olbrzymia większość, która z roku na rok staje się mniej zdolną do pojmowania rzeczy ważkich a znaczących, nawet w formie zmysłowej brzydoty, i wreszcie sięga z coraz większą lubością po to, co samo przez się jest brzydkie i wstrętne, to jest, po wszystko nisko zmysłowe w muzyce.

To uduchowienie sztuki aż po za granice zmysłowości odbywa się więc przedewszystkiem na drodze przeładowania, przeciążenia symbolu z zewnątrz, to jest, ze strony widzów i słuchaczów, dzięki stosunkowi współczesności do dzisiejszej sztuki. Sprzyja mu przedewszystkiem dzisiejsza niezdolność do tego umiaru artystycznej rozkoszy, umiejącego smakować zarówno w obrazie symbolu jak w jego perspektywach duchowych, zarówno w zmysłowo cielesnej wizyi jak w przeczuciach i dalach myślowych.

Z drugiej strony, czy ta ambrowa woń marzenia może się ulotnić całkowicie? Czy to uduchowienie sztuki, pociągające za sobą jej odzmysłowienie, może się odbywać w nieskończoność, czy samo pojęcie symbolu nie zakreśla tu pewnych granic? Symbol nie pociąga za sobą czynności chłodno-refleksyjnej, syntetyzującej, która od zmysłowej strony zjawiska prowadzi wprost do abstrakcyi. Czyni to raczej alegorya, która w rękach artysty jest zawsze czemś chłodnem, dziełu sztuki z zewnątrz narzuconem, zwracającem się niemal wyłącznie do pamięci i erudycyi. W braku pospolitych konwencyj, zarówno plastycznej jak i duchowej natury, alegorya staje się zimnym trupem. Symbol ma *własne* życie, jest bezpośredniem wcieleniem i zobrazowaniem własnych myśli artysty, uderza przedewszystkiem w wyobrażeniowo-uczuciowe struny widza i słuchacza; zrodzony z obrazu i uczucia, pociąga za sobą symbol i w najwyższe czynności ducha kładzie coś z obrazów, uczuć i wizyj, a tem samem rodzi nie refleksye, nie pochopność do abstrakcyi, lecz niejasne przeczucia, odgadnienia: odczucia tego, co się kryje w dalekiej, czasem nieskończonej perspektywie symbolicznego obrazu. Przy pewnej długowieczności sztuki symbolicznej, i do symbolu wkraść się może pewien chłód intelektualny, i on zacznie apelować do pamięci i erudycyi słuchaczy, przyczem pierwotny, emocyonalny i wizyjny jego charakter skostnieje w konwencyi i stanie się wreszcie dostępnym tylko dla szczupłej garstki, która jedynie na drodze rozumowej po-

trafi wykrzesać zeń życie. O coś podobnego zda się pomawiać Nietzsche symbolistykę dzisiejszej muzyki dramatycznej, która „jest wtedy tylko możliwą, gdy muzyka *wyrobiła* już sobie wielką mnogość symbolicznych środków przez pieśń, operę i tysiączne próby malarstwa tonów.“



szyscy posiadamy dziś sumienie *pracowitego wieku:* nie pozwala nam to poświęcać sztuce najlepszych godzin rannych, chociażby to była sztuka najwyższa i najbardziej tego godna. Sztuka uchodzi dziś za rzecz wytchnienia i rozrywki: poświęcamy jej resztki naszego czasu i sił naszych. Jest to, niestety, stan ogólny, który zasadniczo zmienia stosunek sztuki do życia. Ilekroć zwraca się ona do nas, żądając pewnej ofiary czasu i sił naszych, ma przeciw sobie sumienie ludzi pracowitych i czynnych; pozostają jej niemal wyłącznie próżniacy i ospali, którzy już z natury swej nie mogą mieć nic wspólnego ze sztuką, a wszelkie jej wymagania uważają za pretensyonalne uroszczenia. Wróżyłoby to koniec sztuki: ten brak powietrza i swobodnego oddechu. Lecz oto wielka sztuka próbuje w pewnem zgrubieniu i zdrobnieniu zastosować się do dzisiejszej atmosfery, która jest właściwem środowiskiem tylko dla małej sztuki: sztuki wytchnienia i radosnych rozrywek. Nawet artyści wielkiej sztuki obiecują dziś wytchnienie i rozrywkę, i oni zwracają się do znużonych, i oni proszą już tylko o wieczorne godziny pracowitego dnia, — zupełnie tak samo, jak ci artyści, których jedynym celem jest rozrywka i zabawa, jedynem marzeniem zwycięztwo nad chmurną troską

zmęczonego czoła. Jakichże środków i podstępów używają ich wielcy towarzysze? Oto mają w kołczanach swoich najgwałtowniejsze środki podniecające, wobec których nawpół-umarły wzdrygnąć się jeszcze musi; posiadają oszołomienia, otumanienia, wstrząsy tragiczne i łzawe skurcze, któremi odnoszą zwycięstwo ponad znużeniem, darząc zmęczonego spóźnionym przelewem nadmiernej żywotności, olśniewającemi zachwyty i nadludzkiemi przerażeniami. Czy należy może gromić wielką sztukę za te niebezpieczne jej środki: operę, tragedyę i muzykę spółczesną? czy należy może odwrócić się od tej podstępnej grzesznicy dzisiejszej?.. Dalibóg, nie! — i ona wolałaby stokrotnie żyć w czystem środowisku i porannej ciszy, i zamiast szukać zmęczonych, zwracać się do wyczekujących, niezużytych, siłą tryskających, porankowych dusz swoich widzów i słuchaczy. Dziękujmy jej raczej, że woli żyć tak, jak dziś jedynie żyć może, niźli całkiem nas opuścić. Lecz przyznajmy i to jeszcze: jeśli nastaną czasy, które wprowadzą znów do życia radosną, pełną, świąteczną uciechę, wówczas ta dzisiejsza, ta nasza sztuka na nic się tym czasom nie przyda.

Powiedzmy dokładniej: *środki*, używane przez dzisiejszą sztukę zmienić się mogą, i z biegiem czasu zmienić się nawet muszą, bo każda epoka i jej atmosfera kulturalna będą zawsze wyciskały swe piętno na sztuce. Wszakże owoc i istota tej sztuki, jej właściwe twórcze dno, pozostaną, bez względu na szatę zewnętrzną. Przeminie tylko ta „sztuka", pod której szatą nie ukrywają się wspomniane już tylokrotnie trwałe, niezmienne i wiekuiste pierwiastki życia i duszy, zginie wszystko, co nie jest prawdziwie i głęboko twórcze. Środki w czasie i przestrzeni zmieniać się będą ustawicznie, a te dzisiejsze zmienić się muszą niekoniecznie dla tego, że staną się zbyt przerażającemi dla arkadyjskich czytelników przyszłości, lecz może wprost naodwrót, że raczej nudzić będą. Dla przykładu wspomnijmy niektóre powieści Stendhala i Balzaca. Ich zewnętrz-

ny, fabularny aparat jest chyba niemniej przeładowany romantycznemi „okropnościami“. Stendhalowski np. „Klasztor Kartuzów“ jest dzięki temu miejscami wprost uciążliwy do czytania (bynajmniej nie dla tego, że straszny); a czyż ta powieść nie żyje wciąż jeszcze, mimo swej zawiło-romantycznej, sztyletowo-drabinowej fabuły, która nas raczej nuży niż przeraża?.. Środki sztuki zamierają i więdną z konieczności jako narząd, co swoją czynność i przeznaczenie wypełnił: stają się obumarłą skorupą owocu, którą trzeba przegryźć, aby się dostać do zawsze żywego ziarna i nasienia przyszłości.

Ostatecznie, wycieczka Nietzschego zwraca się głównie przeciw operze i muzyce dzisiejszej, a więc znowu przeciw Wagnerowi. Współczesnej tragedyi we właściwem jej znaczeniu nie mamy. Widma, zbrodnie i wszelkie grozy tragedyi Szekspirowskiej nie mają ze współczesnością nic wspólnego, a jeśli jako *środki* straciły w znacznej mierze swą moc „przerażeń“, to dla tego, że i te *środki* z czasem powiędły... Należy więc być bardzo ostrożnym w potępianiu środków sztuki, które są tylko cegiełkami budowy zewnętrznej; — tem ostrożniejszym, że gotowiśmy się znaleźć tuż obok tych, co polecają zawsze i wszędzie letnią wodę mierności.

Jeżeli można mówić poważnie o wyłącznych „przerażeniach“ i „wstrząsach“ dzisiejszych utworów, to chyba w tem tylko znaczeniu, że w dzisiejszej sztuce słowa uderza dziwna dysharmonia między „małemi“ namiętnościami szarego bytu, a „kurczowem“ reagowaniem na nie. Nie należy wszakże zapominać, że właśnie ta szarość zewnętrznego życia pozwala namiętnościom wnikać głęboko i tkwić uparcie, a niemożność wyładowania ich w czynie tak łatwo je wyolbrzymia w myśli, w słowie, w geście, i ryjąc po ciemnych głębiach duszy, tak łatwo całą naturę dzisiejszych ludzi wzburza, że słaby zkądinąd bodziec wystarcza do wywołania zgoła nieproporcyonalnych odruchów (wypotwornianie doli i niedoli miłości, święcenie prawdziwych orgij wyrzutów sumienia i t. p.). Wszak tych ludzi wyróżnia od ich przodków znacznie większe uświadomienie wartości życiowych i najdrobniejszych procesów wewnętrznych, a zarazem brak woli jako skutek automatyzmu pracy, nawyknień i całego bytowania. „Wiek nerwowy“ nie jest tylko łatwym celem dla moralistów, on faktycznie stwarza tych „rozczochranych“, „rozwichrzonych“, „roztarganych wewnętrznie“, stwarza zaś nietylko jako pastwę i żer dla zdrowych a przebiegłych bestyj. Przez usta tych nieszczęśliwych wyrywa się nieraz beznadziejny krzyk dzisiejszej duszy, wywołany sumą ohyd współczesnego życia, które w trzeźwą, spokojną i solidną naturę wsiąkają biernie jako koniecz-

ność i na dnie nieporuszonej duszy układają się solidnie jako nieświadoma już obłuda. Wszak dosyć spojrzeć bez uprzedzenia na przeróżnych „immoralistów“, aby ujrzeć to, co wprost na dłoni leży: że właściwie nadczułość i rozbolałość serdeczna tak nieraz twardo z nich mówi, że dla tych immoralistów moralność nie jest dosyć moralną. Czy tacy nie muszą być „roztargani“ wewnętrznie? Oni, co wszystko tak doskonale czują, tak doskonale nieraz wiedzą... zda się na to tylko, aby przy całkowitym braku woli grząść podobnie jak wszyscy inni we wszelakich fałszach i brudach życia?

Czy taki stan dusz może się nie odbijać na sztuce? Czy nie będzie on z konieczności wyciskał na jej środkach pewnego piętna: tych właśnie „przerażeń i wstrząsów“?

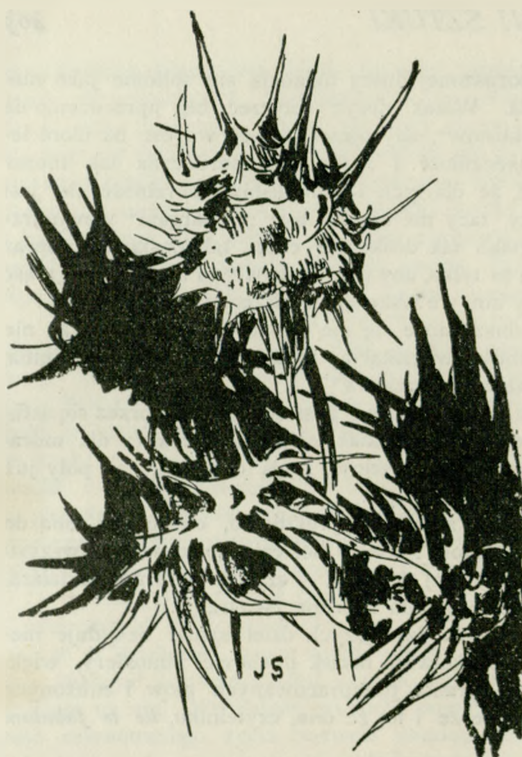
Oczywiście, że krzyk głośny i gest obfity same przez się sztuki nigdy nie uszlachetniaja, są jednak jej piętnem czasu; dla moralisty piętnem smutnem, dla przyszłości zgoła obojętną, na poły już obumarłą skorupą, i tylko skorupą.

O długowieczności ziarna zawyrokuje to, co ono ze sobą do skorupy zabrało: czy głęboki i trwały ból człowieka, wraz ze wszystkiem, co ból z duszy ludzkiej dobywa, — czy też tylko robaka fałszu, który prędzej ziarno stoczy, nim skorupa zwietrzeje.

Tak więc o środkach dzisiejszych dzieł sztuki decyduje nietylko większy niźli kiedykolwiek nacisk duchowej atmosfery, większa niźli kiedykolwiek tyrania przepracowanych głów i znużonych serc, ale w znacznej mierze i to, że one, czytelniku, *de te fabulam narrant!*

A jeżeli mimo wszystko i ci przepracowani, a garnący się do sztuki, i ci jej twórcy (nie wyłączając Nietzschego, który bynajmniej nie przemawia w jutrzenkowej ciszy i do porankowych dusz), — jeżeli oni wszyscy tak świadomie tęsknią do spokoju, który jest piętnem każdego arcydzieła: do dumnego spokoju uświadomionego życia, do cichej, prawie niemej potęgi rzeczy wiekuistych, — to czyż ta tęsknota jest rzeczywiście przeczuciem arkadyjskich czasów dla ludzkiego ducha i jego sztuki? Czy nie jest ona raczej—znowuż tylko uświadomionym bólem, który każe nieraz nam dzisiejszym przekreślać samych siebie? znowuż tylko uświadomionemi niedostatkami, temi „oczyma, przez które człowiek ogląda ideał“?

TŁÓMACZENIE I DOPISKI
Wacława Berenta. Fryderyk Nietzsche.


JS

Przypływ.

Ty może przejdziesz, jak mijają fale,
W grę żywiołową rzucane odwiecznie.
Czyliż ma każda perły i korale
Ławicom skalnym zostawiać koniecznie
I miotań swoich słonecznym przepychem
Kałuże barwić na wybrzeżu cichem?

Nie jest-że wolą Siły w głębiach skrytej,
Co niezliczoność fal rodzi bez końca,
Niezamącone jednej z nich błękity
Wichrom powierzać i szaleństwom słońca
I, zanim przejdzie próg wieczności nowej,
W jej rozpętaniu śnić sen purpurowy?

A dusza twoja czyliż nie jest właśnie
Takim królewskim snem ciemnej wieczności?
Dziś równa niebu blaskiem — jutro zgaśnie,
Nim się na brzegach żywota rozgości —
I, jako fale, niknąc, wracające,
Tem się uświęci, że odbiła słońce!

Delfinom złotym, orłom oceanu.
Będzie rozchwianą od wichrów kołyską,
I mewom błędnym w groźny czas orkanu
W puchu tęczowych grzyw da przytulisko,
A skrzydła gorzką tak pogryzie pianą,
Że już na zawsze razem z nią zostaną.

Ha! Lecą ptaki — białe widma burzy!
Na wodach zwiewne wykwitają mlecze.
Nie tobie falo w głąb' skalnych przedmurzy
Uciekać! Tysiąc innych fal uciecze,
A ty zostaniesz, ty mocna i jedna,
Z chmur mewy zgarniać i delfiny ze dna!

Ty może przejdziesz, jak mijają fale,
W grę żywiołową rzucane odwiecznie.
Czyliż ma każda perły lub korale
Ławicom skalnym zostawiać koniecznie
I miotań swoich słonecznym przepychem
Kałuże barwić na wybrzeżu cichem?

Michał C. Bielecki.

Dusza i ciało.

I.

Podlatuj, duszo moja, ku wyżynnym świtom!
Bądź zwiastującą słońce tęczą burz; jeziorem,
w którem księżyc swój srebrny kąpie włos wieczorem,
bądź zwierciadłem stęsknionym gwiazdom i błękitom!

ukochaj orły — górna ich bowiem kołyska!
i świt kochaj, co słońca pożogę roznieci,
ukochaj zmierzch, bo gwiazdy przygasłe rozświeci,
piorun kochaj, choć niszczy — bo potęgą błyska!

i dusze te ukochaj, co, z ziemskości sideł
wyrwawszy się, płomienną wichurą swych skrzydeł
w przepaść strącają nocne z piedestałów bogi!
Lecz biada ci, zaiste, na zawrotnym szlaku
jeśli słońcu spojrzawszy w twarz, zadrżysz od trwogi:
ja w proch mą własną stopą zdepczę cię —
robaku!

II.

Rozkosznie nagie ciało blask mi ciepły pieści,
a zaś duszę — tęsknotą skrzydlatego gońca —
w błękitną nieskończoność wysłałem — do słońca,
wsłuchany, jaką z wyżyn pieśń mi wyszeleści...

Pocałunki ogniste na mą pierś nikczemną
rzuca słońce, na które dusza moja padła,
naga — w świetle niezmiernem z trwogi drżąc — wybladła,
w bolesnym wstydzie tęskniąc za otchłanią ciemną...

I nagle — że na głowę mi słońca pożoga
nie spadła! — usłyszałem stąpanie — i trwoga
wstrząsnęła mną — tak kroczy niezwalczony potwór!
Było, jakby ogromne pękły gdzieś wrzeciądze
i olbrzym druzgocący wypadł przez ich otwór —
i słyszałem kroczącą lwiemi kroki — — żądzę!!!

Campanella.

O słonecznej cud-królewnie
i o rybaku — baśń.

Cud-królewna złotowłosa, piękna jak zorza,
Siedzi w słońcu na tarasach nad brzegiem morza.

Włosów swoich zwój grający, warkocz harfiany,
Opuściła na topiele, na srebrne piany,

I tak siedzi zasłuchana w słoneczną ciszę,
A warkocze jej grające fala kołysze.

Modre oczy cud-królewny, dwa Boże gońce,
Wyleciały na niebiosa, na złote słońce,

Wyleciały jak orlice śmiałemi loty,
Utonęły w tarczy słońca, w jasności złotej. —

Biały żagiel, skrzydło śnieżne, błysnął w oddali...
Łódź rybacza mknęła chyżo po modrej fali.

Szybowała z ciepłym wiatrem jak lotna mewa
Do królewny, której warkocz na fali śpiewa.

I zapytał młody rybak ze swojej łodzi:
„Ktoś ty, Pani zadumana w słońca powodzi?

„Ktoś ty, Pani krasą lica podobna róży,
„Która patrząc w oko słońcu płatków nie mruży?

„Otom rozwiał na wsze wiatry żagle tęskniące,
„Szukający oczu jasnych wpatrzonych w słońce...

„Umęczone moje serce i żagle moje, —
„Zaż przy twoich stopach, Pani, tęskność ukoję?“

Cud-królewna z swego brzegu odrzekła smutnie,
A głos dzwonił nad wodami jak złote lutnie:

„Nie rozumiem ciebie, Panie, ciemne twe słowa,
„Noc wieczysta lice twoje przede mną chowa.

„Mrok tajemnic mię otacza, groza bez końca!
„Tęsknię jeno a wyglądam, nie widzę słońca!

„Ślepe oczy ślę na błękit skargą daremną,
„A szumiące wielkie morze płacze nade mną...“

I powracał na głębiny żagiel, ptak biały,
A warkocze cud-królewny na falach grały.

Bronisława Ostrowska.

Myśl.

Myśl nieba nie dosięgnie — rozbije się, wstrzyma
Na złotym kręgu słońca, jak tarczy olbrzyma,

— Ale może w przetworów zawiśnie ogromie
Jako gwiazdy dalekiej tajemnicze płomię.

Myśl wieczności nie zgłębi — lodowate mroki
Wyrzucą ją ze siebie, jak topielca zwłoki.

— Ale może z otchłani, co jej grobem będzie,
Pierwej kotew swej łodzi straconą dobędzie.

Stanisław Wyrzykowski.

Poeta.

W chwili, gdy siebie samego objąć chciał geniusz natury,
Ciebie zrodził, poeto! Od niego wywodzisz swój ród.
W sercu twem zamknął żywioły; twej myśli potężny dał rzut,
Większym cię czyniąc władyką, niż ci, których zdobią purpury.

Wiecznie ten sam, choć odmienny, — jak obłok rzucony
[w lazury,
Błędne ścigasz gwiaździce, choć wiesz, że daremny to trud;
Znów, — niby leśne źródliska, napój rzeźwiący i chłód
Wiecznym dajesz wędrowcom, co znają przepaście i góry.

W głąb', jako morze bogatą, — we własną duszę wpatrzony,
Jesteś nurkiem i tonią — taki już cudny twój los.
Połów swój ludziom oddajesz, nie bacząc, co z nim uczynią.

W złoto-li perłę oprawią, porzucą-li skarb nieceniony —
Wielki bogaczu! ty wiesz, że zawsze jest pełen twój trzos.
Wiesz, że rozrzutne twe serce jest Boga jedyną świątynią.

Maryan Zbrowski.

Dom „pod tonącą gwiazdą.“



ojko padł ciężko z powrotem na łóżko, piana wystąpiła mu na usta, wykrzywione, drgające, z których dobywał się potworny, nieludzki ryk jak gdyby konającego zwierzęcia. Nawykłem w szpitalu do wielu rzeczy, ale tego widoku znieść nie zdołałem, włosy zjeżyły mi się na głowie, trząsłem się całem ciałem, i przyszło mi na myśl niewyraźne wspomnienie, żem kiedyś w Czechach słyszał kobietę z ludu, mówiącą: „strachy mnie obłażą...“ I mnie teraz obłaziły strachy. Przemagając się gwałtem, udzieliłem choremu najpilniejszej pomocy, a gdy się tak dalece opamiętał, że przestał jęczeć i krzyczeć i nieruchomie leżał na łóżku, uciekłem, jak ścigany przez widma, z domu „pod tonącą gwiazdą.“

Przemogłem się po godzinnem mniej więcej bieganiu

bez celu po ulicach — był to rezultat wszystkich różnorodnych, gwałtownych, wstrząsających wrażeń tego dnia — i wróciłem do Rojka, aby przy nim noc spędzić. Nie mogłem go przecież zostawić bez dozoru, a oprócz pani Celestyny, mającej już zbyt wiele zajęcia z Wirginią i spółmieszkankami swemi, nie było nikogo w domu; zajmująca się zazwyczaj skromnem gospodarstwem Rojka jakaś małomówna, nawpółgłupowata kobieta z pierwszego piętra przydać się mogła zaledwie o tyle, o ile trzeba było zamieść, posłać łóżko i przynieść wody lub węgli. Zostałem tedy sam u Rojka — i, wbrew wszelkim oczekiwaniom, chory spędził noc tę bardzo spokojnie. Leżał w letargicznem jakiemś obezwładnieniu, a pod rano w sen zapadł ciężki. Sam nie zdołałem oka zmrużyć ani na chwilę. Ciągle te „strachy mnie obłaziły,“ a największym z nich było to, żem zaczynał jakoś nazbyt jasno pojmować ową „rozkosz, wynikającą ze świadomości popełnionej zbrodni“! Miałem chwilami uczucie, że pragnąłbym jej doznać, że zazdroszczę zbrodniarzom. Było to jak błyskawica nagła nad otchłaniami i bezdennemi wodami, błyskawica odsłaniająca ich ukryte, groźne, ale przewspaniałe, śmiertelnie nęcące czary i cuda. Wówczas chwytałem się za głowę, jak gdyby bojąc się o resztkę swego rozumu. A potem, gdym te myśli odpędzał od siebie i zażegnywał, wydawało mi się, że widzę oczy lorda Angusa, adepta wiedzy tajemnej, patrzące na mnie i jak gdyby rozpoznające we mnie jednego z tych, którzy pragną „wtajemniczenia“! Dawne marzenia i tęsknoty, aby poznać się z kimś, coby mnie przeprowadził przez tajemniczy próg, za którym leży świat nieznany, jęły burzliwie roić mi się w duszy. Nie były to zatem próżne marzenia, tacy ludzie żyli, można było zetknąć się z nimi na odludnych ulicach, można było odgadnąć ich, wejść z nimi w sojusz!! — W głowie mi się kręciło, a gdym patrzał przez okno na starą, odwiecz-

ną noc, odmłodzoną białemi gwiazdami, miałem sam duszę pełną gwiazd; w ciemności mrowiły mi się przed oczyma długie karawany ciągnących przez bezbrzeżne przestworza duchów i tworów nadludzkich, aniołów i larw, geniuszów i potworów; wszyscy przywoływali mnie skinieniami, wszyscy jakby witali między sobą; w głębi bezmiernej zadrgała, zdało się, olbrzymia, mglista, przezrocza a jednak nieprzenikniona zasłona, kryjąca prawdy najwyższe, i serce burzliwą, szaloną zabiło mi nadzieją, że kiedyś zdołam unieść choć skraj jej skraju! Pół stulecia przeżyłem i przemarzyłem w tę krótką noc!..

Rano pobiegłem do domu, rzuciłem się na łóżko, znużony śmiertelnie, i w głęboką, tępą zapadłem niepamięć...

Dwa dni chorowałem i dopiero pod wieczór tego drugiego dnia zdołałem podnieść się i pójść do domu „pod tonącą gwiazdą“. Wstąpiłem naprzód do Wirginii. Była już prawie zdrowa, choć rany trzeba było jeszcze przewiązać; za to na duchu upadła bardzo.

— Dałam mu wiedzieć przez chłopaka od szewca na dole, — rzekła, — że mu przebaczam i że go proszę, aby przyszedł. Potem posłałam mu większą część tych pieniędzy od pana. Pieniądze przyjął i obiecał, że wpadnie do mnie, — ale nie przyszedł. Arsenek, chłopak od szewca, widział go dziś po południu na skwerze za kościołem Notre-Dame; siedział pod drzewem z młodą kobietą. Ach, panie, jakażem ja nieszczęśliwa!

Umilkła i pogrążyła się w zadumie. Siedziała ze spuszczonemi oczyma, nie wiedziała, co do niej mówię, o co ją pytam, odpowiadała krótko, z roztargnieniem, byle co. Opuściłem ją w tem smętnem znużeniu, którego nie ukrywała, i zaszedłem do „klatki obłąkanych.“ Tam był spokój zupełny. Antonia zaplatała sobie włosy i z uśmiechem zadowolenia przeglądała się w swem lusterku, biedna margrabina kołysała skraj swej kołdry, a pani Celestyna

przygotowywała jakiś pokarm. Miły, pełny rezygnacyi jej uśmiech wywarł na mnie wpływ dobroczynny poprostu; jej spokój i rzeźkość przy pracy podziałały na mnie kojąco. Ta kobieta miała siłę i odwagę do walki, która zowie się życiem. Porozmawialiśmy chwilę cicho o „naszych pacyentach" — i poszedłem do Rojka.

I tam znalazłem tym razem wszystko dobrze, przynajmniej względnie. Był wprawdzie niezmiernie osłabiony, ale straszliwe wzburzenie minęło; skarżył się tylko, że ma wszystkie członki jakby zbite i połamane. Powiedział mi, że wydaje mu się prawdziwą rozkoszą leżeć bez ruchu, jak zwalone drzewo. Żaden z nas nie zrobił najlżejszej wzmianki o niedawnej okropnej scenie, o strasznych jego wspomnieniach i spowiedzi przerażającej. Ja też byłem jak „zbity" i nie miałem ochoty do rozmowy. Wyjąłem z kieszeni kupioną po drodzę gazetę i zacząłem z niej coś czytać głośno. Ale nic nie zajmowało ani mnie, ani Rojka — i rzuciłem dziennik na ziemię.

— Jeżeli chcesz mi pan coś przeczytać, — rzekł Rojko, — w takim razie otwórz, proszę, dolną szufladę sekretarzyka. Jest tam zielono oklejona teka, a w niej trocha zapisanych papierów. Śród nich znajdziesz pan kopię małego arcydziełka de Quincey'a: „Lewana i trzy najświętsze matki boleści." Umiem ten utwór prawie na pamięć, ale posłuchałbym chętnie, gdybyś mi go pan chciał przeczytać.

We wskazanem miejscu znalazłem rękopis i zacząłem czytać głośno. Z początku, tylko dla tego, że Rojko o to prosił, wkrótce wszakże treść tak mnie zajęła, że zapomniałem o wszystkiem, prócz tego, co czytałem. Podaję tu wolny przekład, który sporządziłem sobie kiedyś później, bo utwór ten nie przestał już nigdy zajmować mnie głęboko. Oczarował mnie, w poważnem słowa znaczeniu, odrazu w ciągu pierwszego tego czytania.

Lewana i matki bólu.

Częstokroć w Oksfordzie widywałem we śnie Lewanę. Poznawałem ją po rzymskich jej symbolach. Któż to jest Lewana? Czytelniku, który nie masz zbyt wiele czasu na zdobywanie wielkiej uczoności, nie rozgniewasz się zapewne, jeśli ci to powiem. Lewana była to bogini rzymska, która spełniała przy nowonarodzonem dziecięciu pierwszą posługę uszlachetniającej łaskawości, obrazując w postępowaniu swem wielkość, która człowiekowi wszędzie jest właściwą, oraz dobrotliwość mocy niewidzialnych, które i w świecie pogańskim zstępują niekiedy, aby mu być podporą. W samej chwili narodzin, zaledwie niemowlę po raz pierwszy odetchnęło powietrzem smutnej naszej planety, kładziono je na ziemi. Wnet potem wszakże, aby tak wzniosłe stworzenie nie czołgało się w prochu dłużej nad okamgnienie, ojciec, w zastępstwie bogini Lewany, albo jaki blizki krewny, w zastępstwie ojca, podnosił dziecię w górę, nakazywał mu, aby z wysoka obejrzało się dokoła, jako król całego tego świata, i zwracał czoło jego ku gwiazdom, mówiąc w sercu, być może: „Patrzcie, oto coś większego niż wy!"

Symboliczny ten obrządek wyobrażał obowiązki Lewany. I tajemnicza ta pani, która nigdy przed nikim nie odsłoniła twarzy (wyjąwszy mnie, we śnie) i zawsze działała przez zastępców, otrzymała nazwisko od słowa łacińskiego (które dotąd jest słowem włoskiem): levare, podnosić w górę.

Oto jest wyjaśnienie nazwiska Lewany. Ztąd poszło, że wielu uważało Lewanę za opiekuńczą moc, czuwającą nad wychowaniem dzieci. Ona, która przy narodzeniu niemowlęcia znieść nie mogła nawet udanego, obrazowego poniżenia istoty oddanej pod czcigodną jej opiekę, zdołałaźby ścierpieć istotne poniżenie dziecka, wynikające

z nierozwijania wrodzonych mu zdolności? Czuwa tedy nad wychowaniem człowieka. — — Przez wychowanie Lewany rozumieć wszakże należy nie nędzną ową maszynerye, poruszającą się przy pomocy elementarzy i gramatyk, lecz potężny system zogniskowanych sił, ukryty w głębokiem łonie życia ludzkiego, który, przez namiętność, walkę, pokusę, energię odporną, oddziaływa nieustannie na dzieci, nie zatrzymując się ani we dnie ani w nocy, podobnie jak nie zatrzymuje się ani na okamgnienie samo potężne koło tych dni i nocy, których chwile, niby niezmordowane, migające w przelocie szprychy wiecznie się obracają. Jeżeli wszakże przez takie pomocnice dokonywa Lewana dzieła swego, jakąż głęboką musi mieć cześć dla oddziaływania bólu! Ale ty, czytelniku, myślisz zapewne, że dzieci wogóle nie podlegają takiemu bólowi jak mój? Nie chcę twierdzić, że powszechnie są doń zdolne. Ale jest więcej, niż przeczuwacie, takich, które umierają z żalu. Opowiem wam zwykły przypadek. Przepisy szkoły w Eton wymagają, aby chłopiec spędził tam lat dwanaście. Wychodzi ztamtąd w ośmnastym roku życia, wstępuje tedy w szóstym. Dzieci, oderwane w tym wieku od matek i sióstr, często bardzo umierają. Mówię tylko to, co wiem. Choroby ich żaden wykaz nie nazwie żalem — a jednak jest n i m ona. Żal tego rodzaju i w tym wieku zabił dzieci więcej, niż kiedykolwiek liczono jego ofiar. Dla tegoto Lewana styka się często z mocami, które wstrząsają ludzkiem sercem; dla tego także ukochała tak namiętnie ból.

„Te panie,“ szeptałem cicho do siebie, patrząc na pomocnice, z któremi rozmawiała Lewana, „są to Boleści, a jest ich trzy, jako są trzy Gracye, które pięknem zdobią życie człowieka; trzy również są Parki, które tkają ciemne arrasy życia ludzkiego na tajemniczych swoich krosnach, zawsze w barwach poczęści żałobnych, a nie-

kiedy, gniewnie, tragicznym szkarłatem i czernią; trzy również są Furye, które, na wołanie, przychodzą z drugiej strony grobu mścić winy spełnione po tej stronie; a niegdyś trzy tylko były również Muzy, które dostrajały harfę, trąbę i lutnię do wielkich nawrotów namiętnej twórczości ludzkiej. To zaś są Boleści, które znam wszystkie trzy.“ Ostatnie słowa mówię teraz, w Oksfordzie mawiałem: „z których jedną znam, a dwie pozostałe poznam aż nadto pewnie.“ Bo już w wiośnie mojej młodości widywałem (mglisto rysujące się na ciemnem tle mych snów) niewyraźne kontury tych sióstr straszliwych. Te siostry — jakże mam je nazwać? Jeżeli powiem poprostu „Boleści,“ nazwa mogłaby łatwo zostać źle zrozumianą, ktoś mógłby pomyśleć, że mowa o boleści osobistej, o poszczególnych wypadkach boleści, podczas gdy ja potrzebuję terminu wyrażającego potężne abstrakcye, które wcielają się we wszystkie indywidualne cierpienia serca ludzkiego, i staram się przedstawić je w uosobieniach, to jest, odziane w ludzkie właściwości życia i obdarzone funkcyami przypominającemi ciało. Nazwijmy je tedy „Matkami boleści.“ Znam je doskonale i przewędrowałem wszystkie ich królestwa. Trzy są to siostry z jednej tajemniczej rodziny; drogi ich rozbiegają się daleko od siebie, ale państwo ich nie ma kresu. Widywałem je zatem często, jak rozmawiały z Lewaną; niekiedy rozmawiały o mnie. Więc one mówią? Oh, bynajmniej! Potężne widziadła, jak one, gardzą niedoskonałościami mowy. Mogą wydawać głosy przez narządy człowieka, kiedy mieszkają w ludzkich sercach, ale między sobą nie znają ani głosu, ani dźwięku; wieczne milczenie panuje w ich królestwach. Nie mówiły, gdy rozmawiały z Lewaną, nie szeptały, nie śpiewały, choć nieraz mi się zdawało, że mogłyby były śpiewać, bo często na ziemi słyszałem tajemnice ich rozwiązywane na harfie i tamburynie, na cymbałkach i organach. Jak Bóg,

któremu służą, wyjawiają one życzenia swe nie dźwiękami, które giną, nie słowami, które błądzą i zawodzą, lecz znakami na niebie, przewrotami na ziemi, falowaniami ukrytych rzek, znakami heraldycznemi, rysującemi się na tłach ciemności, i hieroglifami wyrytemi na błonach mózgowych. O n e wirowały bezładnie, j a m liczył ich kroki, O n e telegrafowały z oddali, j a m odczytywał ich sygnały. O n e spiskowały, m o j e oko w zwierciadłach ciemności śledziło ich knowania. I c h były symbole, słowa są m o j e.

Czem są te siostry? Co robią? Opiszę ich postać i obecność, jeżeli postacią nazwać można to, co ciągle rozpływało się w konturach, albo jeżeli obecnością było wieczne wyrywanie się na przód lub znowu wieczne cofanie się między cienie.

Najstarsza z trzech sióstr zwie się *Mater Lachrymarum*, Matka łez. Ona to dzień i noc wyrzeka i szaleje, przywołując znikłe oblicza. Stała w Ramie, kędy słychać było głos biadający, — głos Racheli opłakującej dzieci swe i odrzucającej wszelką pociechę. Stała w Betlehem, onej nocy, gdy miecz Heroda pustoszył kolebki Niewiniątek, gdy wstrzymane zostały na wieki drobne kroczki, których dreptanie, posłyszane na górze w dziecinnych pokojach, budziło w kochającem sercu domowych owe bicia radosne, niepozostające bez echa nawet w niebiosach. Oczy jej są to słodkie, to przenikliwe, to namiętne, to senne, na przemiany; często wznoszą się ku obłokom, często wyzywają niebo. Na głowie nosi dyadem. A ze wspomnień dziecięcych wiedziałem, że może z wiatrami ulatać daleko, gdy usłyszy szlochy litanij lub grzmot organów, albo gdy ujrzy procesyę chmur letnich. Ta siostra, najstarsza, nosi u pasa klucze, mocniejsze od papieskich, otwierające każdą chatę i każdy pałac. Siedziała, wiem to napewno, przez całe przeszłoroczne lato u łoża ślepego żebraka, tego samego,

z którym tak często i tak chętnie gwarzyłem, i którego ośmioletnia, zbożna córka, o słonecznej twarzyczce, oparła się pokusom zabaw i wiejskiego wesela i wędrowała całemi dniami po pylnych gościńcach z nieszczęsnym ojcem swoim. Za to zesłał jej Bóg wielką nagrodę. W wiosennej porze roku, gdy jeszcze jej własna wiosna kwitła najbujniej, powołał ja z powrotem do siebie. Ale ślepy ojciec ciągle ją opłakuje; zawsze jeszcze śni mu się o północy, że mała rączka, która go prowadzała, spoczywa dotąd w jego ręce, i zawsze budzi się w ciemnościach, które teraz nową, głębszą stały się dlań ciemnością. Taż sama Mater Lachrymarum siedziała przez całą zimę czterdziestego piątego roku w łożnicy jednego z królów i wyczarowywała mu przed oczyma córkę (niemniej zbożną i kochającą), która odeszła do Boga niemniej przedwcześnie i nagle, i zostawiła po sobie ciemność niemniej głęboką. Za pomocą kluczy swych, wślizguje się Matka łez, widmowy gość nieproszony, w komnaty bezsennych mężów, bezsennych kobiet, bezsennych dzieci, od Gangesu do Nilu, od Nilu do Mississippi. A ponieważ jest pierworodna w swym rodzie i ma królestwo najrozleglejsze, uczcimy ją tytułem „Madonny.“

Druga siostra zowie się *Mater Suspiriorum*, Matka westchnień. Ona nigdy nie stąpa po obłokach, nie ulatuje daleko z wichrami. Nie nosi żadnego dyademu. Oczy jej, gdyby można je było dojrzeć, nie byłyby ani słodkie, ani przenikliwe; żaden człowiek nie zdołałby odczytać w nich jej dziejów; znalazłby tylko bezładne mnóstwo zamierających snów i szczątków zapomnianego szału. Ale ona nie podnosi nigdy oczu; głowa jej osłonięta podartym zawojem, zwisa zawsze na piersi, chyli się zawsze ku ziemi. Nie płacze. Nie jęczy. Wzdycha tylko co jakiś czas niedosłyszalnie. Siostra jej, Madonna, bywa częstokroć gwałtowna, rozszalała, miota się z zapalczywością najwyż-

szą przeciwko niebu i żąda zwrotu swych ukochanych. Matka westchnień nie krzyczy, nie wyzywa, nie śni nawet o buntowniczych aspiracyach. Jest pokorna aż do nikczemności. Ma łagodność istot beznadziejnych, szemra niekiedy, ale tylko we śnie. Szepcze, ale tylko do siebie o zmroku. Podnosi głos niekiedy, ale tylko w odludziach równie posępnych jak ona, na ruinach miast, gdy słońce odeszło na odpoczynek. Ta siostra odwiedza paryasów, galerników, wygnańców wymazanych z księgi pamięci, zgnębionych pokutników, wpatrzonych wiecznie w samotny grób, wydający im się zwalonym ołtarzem jakiejś dawnej krwawej ofiary, na którym żadne już objaty, ani ubłagalne i przebaczenia żądne, ani wywołane chęcią zadośćuczynienia, nic pomódz nie mogą. Niewolnik, spoglądający w południe z bojaźliwym wyrzutem na słońce zwrotnikowe i jedną ręką wskazujący na ziemię, tę wspólną naszą matkę, a dla niego macochę, drugą zaś na biblię, dla niego zamkniętą i zapieczętowaną; — kobieta, siedząca w ciemnościach, bez miłości, która mogłaby zbawić jej głowę, bez nadziei, któraby rozjaśniła jej samotność, cierpiąca, ponieważ zrodzone z niebios popędy, które budzą w niej zarodek świętych tkliwości, zdeptane zostały przez konieczności społeczne, i płoną teraz mdło, i dogorywają niby lampy grobowe w starożytności; — mniszka, ograbiona z niepowrotnej wiosny życia przez złych krewnych, których Bóg osądzi; — wszyscy więźniowie w ciemnicach; wszyscy zdradzeni i wszyscy odrzuceni; wszyscy wywołani ze społeczeństwa przez prawa tradycyjne; wszystkie dzieci klątwy dziedzicznej, — wszyscy Matkę westchnień za nieodstępną mają towarzyszkę. I ona nosi klucz; ale mało go potrzebuje. Bo królestwo jej jest przedewszystkiem pośród namiotów Sema i śród bezdomnych włóczęgów pod wszystkiemi niebami. — — —

Ale trzecia siostra, która zarazem jest najmłodszą

— — — cicho! szeptem jedynie mówmy o niej. Królestwo jej nie jest wielkie, inaczej plemię nasze dawnoby nie istniało; ale w państwie tem wszystka władza do niej należy. Głowa jej, uwieżona jak głowa Cybeli, wystrzela prawie po za dościgłość wzroku. Nie zwisa ona nigdy; i oczy jej, wzniesione tak wysoko, mogłyby być niewidoczne przez oddalenie. Ale, będąc, czem są, nie mogą być niewidoczne. Przez potrójną krepę, która osłania jej głowę, bucha dzikie światło płomienistej nędzy, nie gasnące nigdy, rankiem ani wieczorem, o południu ani o północy, podczas przypływu ani podczas odpływu. Ona bluźnierczo wyzywa Boga. Ona jest matką lunatyzmów i rodzicielką myśli samobójczych. Korzenie jej potęgi leżą głęboko; ale plemię, którem rządzi, jest nader nieliczne. Bo zbliżać się ona może tylko do tych, którym najwewnętrzniejsze konwulsye wywróciły ode dna głąb' natury, do tych, których serce drży, a mózg zatacza się śród sprzysiężenia burz wewnętrznych i zewnętrznych. Madonna posuwa się niepewnym krokiem, szybko lub zwolna, ale zawsze z wdziękiem tragicznym. Matka westchnień przemyka się trwożnie i ukradkiem. Ale najmłodsza siostra nieobliczalnemi zbliża się ruchami, tygrysim spada skokiem. Nie nosi ona żadnego klucza, bo, chociaż rzadko zjawia się między ludźmi, wysadza siłą drzwi, w które wogóle wolno jej wstąpić. A imię jej jest *Mater Tenebrarum* — Matka ciemności.

To były tedy *Semnai Theai* czyli Wzniosłe Boginie, to były Eumenidy czyli miłościwe Panie (z trwożnie pojednawczem pochlebstwem zwane tak w starożytności), które nawiedzały me sny w Oksfordzie. Madonna mówiła. Mówiła tajemniczą swą ręką. Dotykając mej głowy, zagadnęła Matkę westchnień, a to, co mówiła, przełożone ze znaków, których nikt (z wyjątkiem we śnie) odczytać nie zdoła, brzmiało, jak następuje: „Patrz! oto ten, którego-m już

w dziecinnych jego latach poświęciła ołtarzom swoim. Oto ten, którego zdawna wybrałam za kochanka; zaprowadziłam go na błędne drogi, uwiodłam go, ukradłam niebu młode jego serce i swojem je uczyniłam. Przeze mnie stał się bałwochwalcą; pod moim wpływem, z upragnieniem namiętnem, ubóstwił robaka ziemnego i do robaczliwego modlił się grobu. Świętym był mu grób; miłą ciemność jego, świętą jego zgnilizna. Przygotowałam dla ciebie tego młodego bałwochwalcę, droga, szlachetna siostro westchnień! Weź go teraz ty, przyciśnij do serca i przygotuj dla naszej straszliwej siostry. A ty“ — dodała, zwracając się do *Mater Tenebrarum*, — „ty, siostro zła, która wiedziesz na pokuszenie i nienawidzisz, weź go od niej. Bacz, aby berło twe ciężko spoczęło na jego głowie. Nie ścierp, aby kobieta ze swą tkliwością zbliżyła się doń w jego ciemnościach. Odpędź odeń każdą słabość nadziei, spal każdą słodycz miłości, wysusz zdrój jego łez, przeklnij go tak, jak tylko ty przeklinać umiesz! W ten sposób, wyjdzie z ognia doskonałym; w ten sposób ujrzy rzeczy, których nie powinnoby się widzieć, ujrzy widowiska, które są ohydą, pozna tajemnice, których wysłowić niepodobna. W ten sposób, czytać będzie mógł prawdy starożytne, prawdy smutne, prawdy wielkie, prawdy straszliwe. W ten sposób, zmartwychwstanie, zanim umrze, i spełni się posłannictwo, które nam Bóg powierzył — mianowicie, aby udręczać serce jego, dopóki zdolności jego ducha w pełni się nie rozwiną.“ — — —

Doczytawszy, spojrzałem na Rojka. Siedział na łóżku, nieruchomie utkwiwszy we mnie oczy. Wyraz jego spojrzenia był zagadkowy.

— Dręczyły mnie te trzy siostry, — rzekł. — Czy nie zdumiewa to pana, że de Quincey mógł tak pisać, jakby znał mnie i moje losy. Czytałem owe smutne prawdy, serce moje było w owym ogniu, ale zdolności mego du-

cha żadnej z tych mąk nie odniosły korzyści. Teraz dokoła mnie mrok, mrok, mrok... o, Mater tenebrarum! Cały-m już twój! Przegrałem, padłem, zginąłem...

Oczy miał jakby szklane, rękoma rzucał błędnie dokoła siebie, jakgdyby padając istotnie i chcąc uchwycić się czegoś. Z westchnieniem tak ciężkiem, jak wówczas w kościele św. Juliana, gdy pierwszy raz go ujrzałem, w głębokie zapadł omdlenie.

Od tego dnia nie opuszczałem już prawie Rojka; wiedziałem, że śmierć jego jest blizka. Właściwie mówiąc, zamieszkałem u niego. Nie wiem, czy wiedział o tem; był zupełnie apatyczny, nie mówił nic, patrzał tylko przed siebie w tępem jakiemś osłupieniu. Ja sam prawie nie żyłem, atmosfera tego domu, pełna boleści i tajemnicy, ciężyła mi nie do wypowiedzenia. Zdawało mi się nieustannie, że widzę mrowiące się w niej cienie, postacie, widziadła. Zwłaszcza trzy opisane przez de Quincey'a siostry straszyły mnie z każdego ciemnego kąta, a niekiedy miałem wrażenie, że Matka ciemności kładzie mi na skroniach groźne swe ręce. Przerażała mnie zielona zasłona w przedpokoju, za którą niepotrzebne walały się sprzęty: tam, dla mej wyobraźni, kryła się zawsze Mater tenebrarum — — —

Pewnego rana zapukała do drzwi pani Celestyna. Otworzywszy, w ogromnym znalazłem ją niepokoju.

— Panie, — szeptała, — na Boga, pójdź pan ze mną! Myślę, że stało się wielkie nieszczęście.

Pobiegłem za nią niezwłocznie. Na korytarzu pani Celestyna ciągnęła dalej:

— Przez cały dzień wczorajszy widziałam Wirginię raz tylko, wczesnym rankiem. Była zapłakana, blada, i robiła wrażenie istoty nad miarę nieszczęśliwej. Na pytanie moje, co się stało, odpowiedziała, że życie nieznośnym stało jej się ciężarem. Ów wojskowy nie przyszedł już i kazał jej powiedzieć w grubiański sposób, że wogóle już

nie przyjdzie. Pobiegła do niego, zbił ją na ulicy, zrobiło się z tego widowisko dla gawiedzi. Na moje namowy, aby pogodziła się z losem, odpowiadała tylko gniewnemi spojrzeniami. Zamknęła drzwi przede mną. Zaczęłam pukać, przeczucie jakieś nie dawało mi spokoju. Odtąd pukałam już trzy razy, nikt się nie odzywa, nikt nie widział Wirginii. Boję się, że popełniła samobójstwo.

Staliśmy już przede drzwiami, pani Celestyna zapukała znowu kilkakrotnie, a w końcu, zaniepokojona, jęła bić we drzwi pięściami. Przemawiałem do Wirginii z poza drzwi, aby się przynajmniej odezwała. Nie było żadnej odpowiedzi. Tymczasem, na hałas, jaki robiliśmy, jęli się zbiegać sąsiedzi i jeden z nich zawołał:

— Niema wątpliwości, że popełniła samobójstwo! Patrzcie, dziurka od klucza zatkana jakimś gałgankiem! Tak robią wszyscy, którzy chcą udusić się czadem węglowym!

Przez chwilę była martwa cisza po tych słowach, wnet potem wszakże zgiełk powstał ogromny, i zanim się spodziałem, drzwi mieszkania Wirginii zostały wysadzone. Mocny zapach gazu i czadu, wydobywający się z pokoju i napełniający korytarz, przekonał nas w okamgnieniu, że sąsiad ów miał słuszność. Zabrzęczały okna, rozbite przez pierwszych, którzy ich dopadli, i po chwili rozglądaliśmy się po pokoju. Dwie żelazne fajerki, napełnione popiołem i nawpół spalonemi węglami, objaśniły nas, w jaki sposób Wirginia śmierć sobie zadała. Leżała uduszona na łóżku; tuż obok na stoliku stała fotografia owego wojskowego, uwieńczona kwiatami; koło fotografii leżało serce woskowe, przebite wielką szpilką, a na stole widniały wypisane kredą splecione inicyały L. i W.

Po pierwszych okamgnieniach przerażenia i zgrozy, towarzyszących zawsze śmierci, podczas gdy nadaremnie próbowałem przywołać Wirginię do życia, zaczęli się nie-

którzy wyśmiewać z sentymentalizmu tej podstarzałej już kobiety. Ja wszakże z panią Celestyną nie śmieliśmy się; tragiczna ta śmieszność wzruszała nas raczej.

Zanim zamknięto drzwi i posłano po komisarza policyi, obejrzałem się mimowoli po pokoju. Oczy me zabłądziły ku oknu; klatka, w której śpiewało zawsze małe ptaszę, była otwarta i próżna, Wirginia przed odebraniem sobie życia, darowała mu wolność. Miałem wrażenie, jakgdyby ucha mego dobiegł piękny akord, cichy, przeciągły, jakieś słodkie zadrgnienie strun pośród wrzawy brutalnych głosów dnia powszedniego. Przypomniałem sobie małego śpiewaka; sennie, marząco mignął mi w wyobraźni, zdało mi się, że widzę go lecącego do świątyni zadumanych borów, kędy fiołki leśne w cieniu nad strugą łagodnie pachną, i nie wiem, przez jakie powiązanie obrazów przyszedł mi zaraz potem na myśl brat nieszczęsnej Wirginii, ów brat zmarły młodo, tam daleko, w tej starożytnej, smętku pełnej ziemi bretońskiej, kędy podziś u praodwiecznych morza brzegów druidyczne dęby szumią głęboko... Biedna Wirginia! Nie powróci już zatem nigdy do kraju swego dzieciństwa i niewinności, nie uklęknie pokutnie nad grobem tego czystego, bezgrzesznego młodziana, który ją, tarzającą się w nierządzie i kale, kochał tak tkliwie! Czy nie poniosło może maluchne śpiewne ptaszę ostatniego pozdrowienia tej, mimo całą nędzę i upadek, wrażliwej jeszcze duszy tam daleko, nad zieloną mogiłę młodego seminarzysty? — —

Wróciłem do Rojka. Hałas i krzyki w domu dochodziły poniekąd aż do jego pokoju; nie pytał o nic, ale powiedział, tak ot, bez związku z czemkolwiek, jakby sam do siebie:

— Śmierć weszła do domu.

Przez cały ten dzień był bardzo słaby i robił wrażenie zupełnego somnambulika. Nie tknął jadła, nie za-

żądał kropli wody. Chwilami miał na twarzy tę samą osłupiałość, co wówczas, gdym go spotkał na wybrzeżu i gdy mi powiedział „że oni z nim znowu po długim czasie mówili.“

Czułem przez cały dzień niewyraźny jakiś niepokój, potem jęła ogarniać mnie senność. Wyrwały mnie z półdrzemki liczne kroki na korytarzu i pomieszane głosy. Odgadłem łatwo przyczynę i wyszedłem przede drzwi: przyszli po zwłoki biednej Wirginii, które miano odnieść do Morgi. „Żegnaj, biedaczko!“ szepnąłem i powróciłem do pokoju. Zapanowała zupełna cisza i w izdebce, i w domu. Zdawało mi się, że Rojko śpi twardo, i sam po krótkiej chwili zasnąłem również głęboko. Nagle zabrzmiał mi w uszach śmiech tak straszliwy, taki przenikający, taki — rzekłbym — nieziemski, że nigdy nic podobnego nie słyszałem. Krew zastygła mi w żyłach, a mróz przebiegł ciało. Wytrzeszczonemi oczyma rozglądałem się dokoła w ciemnym już pokoju, zbierając rozpierzchłe jeszcze i niewyraźne myśli. Był to Rojko, on to śmiał się tak obłąkańczo. Przyskoczyłem do niego. Chwyciłem go za rękę.

— Co pana skłania do takiej wesołości? — spytałem zdumiony i poruszony.

Trząsł się jeszcze długo od śmiechu.

— Zaśmiej się także, przyjacielu, — rzekł wreszcie. — Wiedz, że po długiej dobie znowu byłem ich świadom. Widziałem i słyszałem...

Zaśmiał się znowu, acz z mniejszem już obłąkaniem, a gdy się uciszył, ciągnął dalej:

— Tam gdzieś, w tem ciemnem przestworzu, na jednej z tych gwiazd, ku którym z taką bezbrzeżną spoglądamy tęsknotą, widziałem umierające stworzenie, stworzenie w rodzaju człowieka, a umierające, jako ja tu umie-

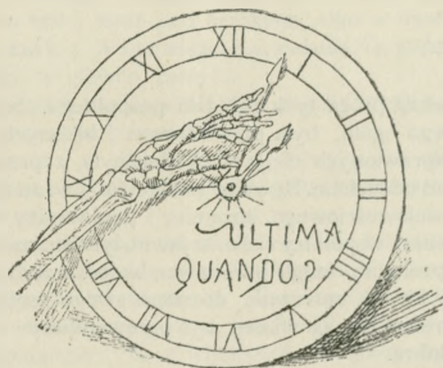
ram... I ten umierający nie był zupełnie opuszczony. Ktoś był przy nim, jako pan jesteś przy mnie, ktoś go pocieszał, jako pan mnie pocieszasz niekiedy... Zda się, że wiele i długo cierpiał tam na tej gwieździe, tak spokojnie i pogodnie świecącej śród naszych nocy! Przyjaciel ów podniósł opadającą głowę umierającego i rzekł mu: „Odchodzisz, i nareszcie twój żal i ból, twoje wszystkie cierpienia skończą się! Wyzwolenie cię czeka. Nie zapadniesz w nicość i mrok. Wznieś oczy tam ku tym gwiazdom jaśniejącym. Na jednej z nich zrodzisz się znowu. Tam nie zaznasz już łez i westchnień, i to będzie twoją nagrodą!“ I ten przyjaciel-pocieszyciel podniósł rękę i wskazał gwiazdę zielonawego blasku, wędrującą w szacie gloryi cichej przez nieskończone przestworza z wiernym druhem swym, bladym księżycem, i poznałem w tej gwieździe, o ironio bogów, poznałem w tej gwieździe — naszą ziemię!

Rojko wybuchnął znowu obłąkanym śmiechem, jakiego przedtem nigdy u niego nie słyszałem, a śmiech ten ku przerażeniu memu, zmienił się w rzężenie agonii, i zanosząc się tym nieludzkim, kurczowym, demonicznym ryhotem, nawpół nim uduszony, Rojko skonał w mojem objęciu! — Puściłem jego trupa, który nagle ociężał straszliwie, i cały drżący z przerażenia i współczucia, więcej wszakże z przerażenia, uciekłem z pokoju, nie zamknąwszy nawet za sobą drzwi, jak sobie teraz dokładnie przypominam. O piętro niżej, niedaleko drzwi nieboszczki Wirginii, zatrzymałem się na chwilę, aby odetchnąć. Przypominam sobie teraz, również zupełnie dokładnie, żem tam poczuł dym i zakasłał. Ale nie zwróciłem na to uwagi i nie zastanawiałem się, zkąd dym pochodzi. Wszystko, co widziałem, słyszałem, czułem, było jak za mgłą i we wszystko mieszała się groza tego śmiechu, którego odgłos brzmiał mi ciągle w uszach, myśli, pamięci. Odetchnąłem

chwilę i uciekłem dalej. Jak bez zmysłów, biegałem po ulicach, potrącałem ludzi, po dziesięćkroć narażałem się na wpadnięcie pod konie i powozy. Na któremś wybrzeżu zatrzymałem się, zapatrzyłem w szumiącą wodę i odzyskałem wreszcie trochę rozwagi. Wracałem powoli ku domowi „pod tonącą gwiazdą.“ Było już późno, i zdumiał mnie, na sąsiednich ulicach, zawsze tak pustych, ruch o tej godzinie stanowczo już niezwykły! Ludzie zbiegali się zewsząd. Fala ich unosiła mnie. Skręciłem na rogu w znaną ulicę. Dom „pod tonącą gwiazdą“ stał przede mną straszliwie oświetlony. Górne jego piętra paliły się płomieniem. Płomienie buchały ze wszystkich okien, z okien Rojka, z okien Wirginii, z okien „klatki obłąkanych.“ Stałem jak w słup obrócony. Tłum przycisnął mnie do jakiejś ściany i musiałem stać jak przykuty, nie mogąc przebić się przez mnóstwo ludzi, stłoczonych przede mną. Patrzałem tępo na szerzący się ogień i zdawało mi się, że śnię. Słyszałem naokół opowiadania; ktoś objaśniał z całą stanowczością, że w tym płonącym domu odebrała sobie życie gazem węglowym jakaś kobieta. Gdy po jej śmierci ludzie wpadli do pokoju, nikt podobno nie zauważył, że już się tam rzeczy zatliły. W nocy, długo tlący się ogień wybuchł gwałtownie i z niesłychaną rozszerzył się szybkością. Niepodobna już było dostać się na wyższe piętro, gdzie podobno udusiły się trzy staruszki. Gdy przyjechała straż ogniowa z drabinami, ta część domu była już pono cała w ogniu. Także jakiś mężczyzna chory spalił się tam podobno, a jeżeli ktoś był przy nim podówczas, zginął również niewątpliwie...

Słuchałem jak w śnie tego wszystkiego. Nie mogłem odwrócić oczu ani na chwilę od buchających dziko płomieni, i zdało mi się, że w zawalającem się oknie Rojka widzę trzy olbrzymie cienie, tajemnicze, otulone zawojami czarnego dymu, owe trzy odwieczne prządki,

owe trzy „matki boleści“... A ponad całym zgiełkiem ludzi, ponad łoskotem pracujących maszyn pożarnych, ponad dzikiem wyciem wichru i pożaru, brzmiał mi ciągle jeszcze straszliwy, grozy pełny, szalony, demoniczny śmiech tego nieszczęśliwego, konającego człowieka...



PRZEŁOŻYŁ Miriam. Juliusz Zeyer.

IV.

Purchawka, prócz tych oględzin pospolitego, zewnętrznie na rzecz patrzącego ogółu, była przedmiotem i bliższych, poufalszych wywiadów, zaprawionych ciepłym, serdecznym, z przewodu pokarmowego idącym oddechem. Bywalcy redakcyjni, siwi ze znawstwa społeczno - pięknościowościowego, stronnicy i poplecznicy zaufańsi, protektorzy, mecenasi, wspólnicy cisi oraz jawni, tytułem nadzwyczajnego, dodatkowego premium, mogli purchawkę badać, wypytywać, roztrząsać, dotykać i klepać, stosownie do stanu swego osobistego rozciekawienia, któremu jednak winien był przewodniczyć cel ogólnego, społecznego dobra.

Niektórzy z gości, o skromniejszym popędzie wywiadowczym, a więc i o słabszej idei ogólnej, przypatrywali się jeno purchawce, lub zadawszy jej kilka niezbędnych, utartych pytań o ubiegły, obecny i przyszły stan wszechświata, mieli dosyć; inni, szczegółowsi, bardziej ogółowi chcący służyć i już znacznym pocztem zasług względem niego położonych wytrawni, badali ją ze ścisłością większą, zadając jej pytania natury tak osobistej, do głębi sięgającej, że aż nieprzyzwoicie o tem mówić.

— Co pani sądzi o wpływie sztuki na społeczeństwo? — badał feljetonista Miłoskrobski.

— O wpływie sztuki?.. — namyślała się purchawka. — O wpływie sztuki nie mogę sądzić, ale feljeton o sztuce...

— A, feljeton?.. no cóż? — drgnął ciekawie badacz.

— Zrazu rusza... ale potem...

— Cóż potem? no, no..?

— Pan daruje, ale tak trudno mi mówić.

— W imię dobra ogółu, powiedz pani.

— Niech już lepiej woźny panu to opowie — rzekła purchawka całkiem zawstydzona.

Feljetonista, z ogniem w oczach, wybiegł indagować Tomasza, ale już nie wrócił.

Jego miejsce zajął najzasłużeńszy pono i najruchliwszy członek redakcyi, pan Ogółoduch. Ale ten postąpił z purchawką jeszcze osobiściej.

— Co pani sądzi o szczęściu? — spytał między innemi, patrząc z pod oka na jej białe wypukłości.

— Czy ja wiem? — rzekła zmęczonym głosem wieśniaczka: — może... być na wsi i leżeć pod krzakiem, albo w trawie zielonej...

— Hm, hm?.. A obowiązki? a zadania? a potrzeby społeczne?.. Oj, pstro w główce, pstro!..

— Ach, dobry panie, ja tak mało mam potrzeb społecznych... ani męża nie mam, ani owoców, ani...

— Ale masz — tu Ogółoduch zniżył głos do szeptu, — masz taką białość, która... która jest potrzebą ogólną i warto ją spotrzebować...

To mówiąc, tak jakoś znienacka i ogólnie schwycił purchawkę za białość, że aż z oburzenia, wstydu i strachu krzyknęła i zemdlała.

W redakcyi zrobił się zamęt. Wszyscy dyskretni poplecznicy, którzy powychodzili byli z pokoju, przybiegli, a w ich liczbie Tomasz, najprzytomniejszy, bo z feljetonem. Feljeton był tym razem niedzielny, silniej działający, i w jakiejś butelce z nalepioną etykietą: ***strach na wróble, przeszkadzające korzystać ze smacznych i pożywnych owoców.*** Prócz feljetonu, Tomasz dźwigał (i wlókł częściowo) ów przyrząd hydrauliczny, którego już skutków zdrowotnych doświadczał król Ryszard Lwie-Serce, za czasów oblężniczych niestrawności pod Jerozolimą.

Skrzętne zastosowanie tych dwóch unarodowionych środków (stracha na wróble i enemy Lwiego-Serca) wróciło purchawce przytomność i trochę sił życiowych, ale, niestety, zaufanie jej ku opiekunom, jak barwa zmiętoszonego motyla, uległo starciu.

Nawet najbliższy jej tu „grzeczny pan,“ któremu zawdzięczała wydobycie z paki i otrzepanie z otrąb, nie mógł jej utraconej wiary w ogół przywrócić. Ważne jakieś obowiązki trzymały go na

mieście, i w wypadkach wyżej opisanych udziału nie brał. Gdy wrócił, i purchawka z płaczem opowiedziała mu wszystko — i wyczerpujące nudy pytań i owo targnięcie się na jej białość, — wzruszył tylko ramionami i rzekł:

— Głupstwo barwa! Grunt — ciepło i serca bicie ku ogólnemu dobru. Ot, wiesz co?.. ale zgadnij?.. Familiensternostwo, na moje trzy słowa, urządzają dla ciebie specyalny raut, spe - cy - al - ny!.. Cóż ty na to?

— Ach takbym już chciała być na wsi... Raut?.. Nie, nie pójdę.

— Pójdziesz — rzekł twardo rautoman. A gdy purchawka, niemile tą twardością zdziwiona, milczała, dodał: — Przedewszystkiem ogół.

— Ogół? Mam dość tego ogółu. Nie pójdę.

— Pójdziesz, albo cię zgniotę. Raut — aut!

I sylf podniósł groźnie kułak.

Biedna purchawka, ujrzawszy ten symbol zależności, a głównie dotknięta szorstkim tonem, który nagle z pod ogólnych ciepłostek jej grzecznego opiekuna zionął, jakoby z piwnicy, gdzie się nagromadzone dobro ogólne przechowuje, — biedna purchawka upadła na duchu i szepnęła z poddaniem:

— To już niech będzie... ten raut.

— *Fertig!* — zawołał zwycięzca. — *Avancez! Saluez vos patrons!..* Idziemy.

V.

Wieczorem, w godzinach rautowych przyjęć, wszechmożny rozprowadzacz kleksów szedł z purchawką i pilnie baczył, żeby jej, teraz już jako dobro ogólne, nie przejechano lub nie zakleksowano błotem. Gdy obzierała się, czy gdzie nie zoczy sadowników, ku którym po trosze było jej tęskno, tłómaczył, że w mieście ich niema, a jeżeli są, to chodzą jak sami dziedzice, albo i lepiej.

— Dlaczego? — spytała. — Czy tu tak dużo owoców?.. Nigdzie ich nie widzę.

— Dziecko! Owoców nie widzisz, bo wszystkie idą na sprzedaż. Tu nic darmo na bruk nie spada, nawet śmiecie i stare od-

padki, nawet stara, zużyta poezya z kleksami... Gdy kleks... nie — sadownik twój nasprzedaje tego, wówczas goli brodę, obcina poły i jest obywatelem.

— Połowicznym? — spytała naiwnie i mimowoli.

— Patrzaj, to nieźle powiedziane... byłoby w innych warunkach. Połowiczny, bo bez połowy pół. Nieźle... w oderwaniu, w innych warunkach... Tylko, proszę cię, takich dowcipów drugi raz nie powtarzaj! Połowiczny, czy nie połowiczny — jest całym dziedzicem i *fertig*.

— Dziwne...

— Jakto dziwne? A spryt? a zabiegłość? a ruchliwość? a obrót kapitałów?.. to nie dziedzictwo? i nie piękne dziedzictwo?

— Naturalnie — poprawiła się purchawka przez uległość i małe w tych rzeczach rozumienie.

— Taki naprzykład Familienstern Joachim... Myślisz, że on nie pięknie trzęsie, już nie gruszkami, jak twój sadownik, ale samymi dziedzicami, właścicielami grubych, spróchniałych drzew genealogicznych?.. tak trzęsie, że wszystkie owoce spadają na jego podwórko.

— I leżą tam? To dlatego nie widać ich na ulicy?

— Dziecko? Gdyby owoce leżały, toby zgniły. Tu właśnie przychodzi obrót kapitałów. Owoce te, odleżalsze, składa się na ołtarzu publicznego dobra, co w zamian sowicie się opłaca, ponieważ daje Familiensternowi możność życia w wielkiej harmonii ze społeczeństwem: a to mu potrzebne dla zdrowia, bo jest bardzo sercowy i nie mógłby wyżyć bez uznania wszystkich jubilatów, genealogów i godowców...

— Godowców?.. Któż to jest?

— Kiedy mi przerywasz... A tak mi się zaokrągliła charakterystyka, że tylko składać i na maszynę... Godowcy to są filantropowie, którzy, przez nadmiar spożytych owoców za zabawami przepadając, z drugiej strony nie chcą, by przepadł ogół, i dlatego połączyli taktownie jedno drugiem i zajmują się urządzaniem godów, jubileuszów, uroczystości dla dobra ogółu. Sam Familienstern jest po części godowcem, bo i on dba o zabawę ogółu ideowo, dając liczne u siebie koncerty i rauty. Ale jak wszyscy ludzie z poświęceniem, żyje, co do własnej osoby, umiarkowanie, prawie ascetycznie. Czy wiesz, że chodząc tak koło owoców, sam na swoją potrzebę ich nie używa... Melony tylko lubi pasyami, to jego słabostka, a i któż bez niej? I patrz, co za dziwny ten ogół: cały bez wyjątku łakotny, za użyciem goniący i pełen zdrożności, a nikomu, nawet

swemu dobroczyńcy, ich nie wybacza! Za ten smak do melonów, czy wiesz, jak nazywają Familiensterna?.. Me-lo-no-ma-nem!

— Dziwne — rzekła purchawka.

— Jakto dziwne?.. Nie — rzeczywiście to jest dziwne.

Tak rozmawiając, weszli w gościnne progi miłośnika melonów i trafili na chwilę, kiedy właśnie co tylko został jeden taki melon spożyty, tak, że jeszcze woń tego egzotycznego, ale od czasu wypraw krzyżowych na Jerozolimę unarodowionego owocu zalatywała i mieszała się z dogasającym wtórem do jakiejś też co tylko skończonej melodyi. Śpiewak, O md'Leon Mellone (potomek króla Ryszarda z nieprawego serca — doszeptywał na ucho gospodarz, przedstawiając go: — urodzony w Irlandyi, kształcony we Włoszech!) — odśpiewał był cudną, pełną gorącego ciepła dumkę angielską o niejakim Robin-Hood'zie, który ze swymi *merrymen*'ami, czyli optymistami *(as they were called)*, tak optymistycznie i sprytnie zajmował się bandytyzmem, że zasłużył sobie na względy i uznanie samego króla Ryszarda Lwie-Serce. Odśpiewawszy pieśń, Mellone, teraz na wszystkie strony błyskał gorsem i dziękował za brawa i różne inne oznaki rozrzewnień. Wtórzysta, ociągając się ze wstaniem od melodykonu, jedną rękę miał zajętą przebieraniem w czarnych, jak atrament, i zestroszonych, nakształt jarmużu, włosach, lub też skubał nią wąsy, na jego bladą twarz, niby kleksy, chlapnięte; drugiej zaś ręki palcami gmerał w klawiszach, oddając pierwszeństwo czarno-melancholijnym... W salonie zapanował jakiś smętek eklesiastyczny, jakaś nieukojność Robin'owskich pragnień, bezowocność nasycenia wszelkim owocem, chociażby to był melon najsłodszy, i znikomość najtrwalszej przyjaźni z królami...

Wejście nowego, a poniekąd głównego dziś gościa, purchawki, wraz z jej opiekunem, przerwało ten nastrój sercowy. Gospodarz oddał lokajowi spodek z melonem, wstał i przywitał purchawkę nader ciepło i serdecznie, jako dobrą znajomą. Następnie, wszem wobec ją przedstawiwszy, oprowadzał, zaznajamiając kolejno z najpiękniejszemi ozdobami swego salonu.

Było tu trochę arystokracyi, trochę finansów, trochę ambasady, trochę literatury i trochę sztuki. Większość była w smokingach, czyli w kurteczkach bez pół, połowicznie a nawet i ćwierci organizmu nie przyodziewających.

Arystokratom przedstawiona była purchawka wszystkim: i baronowi Akcyonaszowi, i trzem głowom trzech pokoleń Jubileuszów, i hrabinie Oktawie, i hrabiemu Festynowi, i Rocznicy Zwykłej, i Rocznicy Przestępnej, i wszystkim innym bez wyjątku, ponieważ ary-

stokracya, złotu podobna, czy w mniejszej, czy w większej ilości — zawsze ma swoją wartość sprzedażną.

Inaczej z finansami. Tu ma salonowe znaczenie tylko grubość, tłustość lub żarłoczność, posunięta do najdalszych, prawem dozwolonych granic. Dlatego, bliżej klepnąć purchawkę mogli tylko niektórzy, jak Bauch, Fett, Hajfisz, Dywidenda i Kajman.

Co do ambasady, to ze względów polityki międzynarodowej, niedyplomatycznie byłoby kogoś pominąć. Więc też gospodarz, z grzecznym i równomiernie ciepłym wyrazem, rzucał purchawce wszystkie ich po cudzoziemsku brzmiące i obcopoddańcze, ale z dawien - dawna w serdeczności narodowej obsiedlone nazwiska: Persstern, Hondurasberg, Honolilien, Palestynat, Heim, Stein i Berdyczew.

Trochę literatury purchawka już znała: z Ranoskrobskim spędziła noc, Miłoskrobskiego feljeton dotąd jej się, jako pełne przykrego wstydu wspomnienie, odbijał; Ranoskrobski naskrobał o niej wzmiankę i poza tem, sennością trapiony, nie miał pochopu do czulszych wywiadów i był jej miły; Miłoskrobski zaś, najwidoczniej wskutek zeznań Tomasza, patrzał na nią złem okiem, tylko jednem i tylko z góry. Co do innych, albo przelotnie widzianych, albo zgoła obcych literatów, poetów i artystów, byli przedstawieni jej panowie: Doremiskrobski, Mikrobski, Skrobski, Kropski, Pski, Pskel, Pskot, Psik i Piski.

Nie licząc O md'Leona Mellone, jego wtórzysty o włosach jak jarmuż, imitatora międzynarodowych pieśni dziadowskich, ur Weselyi'ego, czecha kształconego na Węgrzech, oraz panów Swojera i Rypindra, wykonawców opery narodowej „Upiór Wojewody“ (w kawałkach), — najgłówniejszym sztuki popisowej okazicielem był specyalnie uproszony Amfitryniusz Wołoduch.

Ten ostatni, rozpatrywany jako zjawisko społeczne, był okrągławy, nieduży i czerstwy, a z taką tych cech równomiernotą, która nie dając mu dźwigać „młotka pracy“ na własnych barach, wkładała mu na nie — zali nie cięższe? — posłannictwo kierowania trzonkiem ku najśrednicowszym, najowocniejszym pożytkom; z oczu wyzierała mu rozsądna, bez palączki i łapcapesu pobudliwa jarość: nie był jak ci łakomi, co, dobra ogólnego się dorwawszy, chodzą ze czkaniem albo i gorzej, i nie był jak owi, którzy z dóbr wyzuci, na czczościach cieńczeją: żył pożywnie lecz bez grymasów, przeto — nawet dziś — kiedy wszystkie stopnie wywiednictwa przeszedłszy, miał objąć posadę starszego uwiednika i już siwiał, — nawet dziś, jak mówiono, o ile mu regulamin i rozwaga nakazywały trzonka ru-

szać, nawet i dziś nieruszona część dóbr społecznych wyciągała ku niemu klucze od najosobistszego wywiadu.

Na purchawkę spojrzał uważnie, badając, jakąby z niej mógł mieć owocność? Ale przyzwyczajony działać z taktem i z zastanowieniem, na razie nic nie rzekł, zlekka tylko jej białej skórki dotknął, a tak w miarę, tak dobrze i subtelnie, że przypomniał jej motyla, ogród... I wpadła w nastrój jakiś taki dziwnie oddawczy: coś ją popychało do Wołoducha i szeptało: powierz mu biel naskórka i wszystko, on to oszacuje w miarę, jak nikt, do dna sięgnie a nie przeceni... odnajdziesz siebie...

— Co pani woli? — zagadnął gospodarz: — czy pieśni dziadowskie, czy kawałek opery, czy też odrazu przystąpimy do łaskawie zapowiedzianej nam przez pana Wołoducha improwizacyi?

— Wybierz to ostatnie — szepnął jej do ucha opiekun: — dasz dowód smaku i zasłużysz się wpływowej osobistości.

— To niech już będzie ta impro...

— Impro... Bardzo dobrze! — zawołał gospodarz i splecionemi dłońmi wyłogów smokinga dotykając, połowicznie zgięty, podszedł do improwizatora i, z miłą suggestyjnością zgodę onegoż wymodliwszy, dał znak gościom do zajęcia miejsc najwygodniejszych, do ocukrzenia świeżo nalanej kawy i do przerwania rozmów.

VI.

Na grzbiet berżerki pulchną i bez kostek rękę położywszy i głaszcząc aksamit, jakoby to był karczek uwodzonej damy, improwizator tak zaczął:

Poezya blada
Piękności szuka,
Lecz nie posiada:
Użyć — to sztuka!

— Brawo! brawo! — odezwały się liczne głosy, odrazu wzięte.

— Co za spryt wysłowienia! Jaki wdzięk francuski!

— *Lecz nie posiada,* słyszałeś pan?.. c'est parfait!

— Pst, panowie, proszę nie przerywać: das kommt später... — prosił gospodarz, zwracając się do ambasadorów.

— Pst, pst!..

Poezya kradnie
Piękno jak zbrodzień:
A my się ładnie
Bawimy codzień.

— *Nota bene* wenn man kann — szepnął otyły Fett (finanse) do Hajfisza (item).

Powszednia *blaga*
Sił nie wymaga
I daje święte
Dolce far niente.

— O nas mowa — rzekł literat Skrobski do ucha Kropskiemu. Obaj panowie zadarli głów i wyprostowali się. Toż samo porozumiawcze zdanie zostało wymienione pomiędzy poetami Pskim a Psikiem i Mikrobskim a Piskim, przyczem dwaj ostatni panowie, prócz zadarcia głów, łyknęli jeszcze kawy. Tylko siedzący z boku literat Siewka pomyślał, że jemu nie tak znów łatwo jest i bezpiecznie wyjmować codzień glisty z jamy ustnej Kajmana.

O nad - etyczna
Słodkości tycia,
Tyś to wytyczna
Naszego życia!

— To jest powiedziane mocno — rzekł półgłosem Festyn, arystokrata, do hrabiny Rocznicy Przestępnej.

— Oui, c'est trop fort — odmruknęła Rocznica.

— Muss einer nach Karlsbad — pomyślał Bauch (finansista) zupełnie cicho.

Kto dmie z tej dudki,
Jest weselutki
I zdrów jak rydz: je
Wszystkie prymicye.

— O nas mowa — rzekli znów do siebie literaci, poeci i ar-

tyści: Doremikrobski, Kropski, Pski, Pskel, Pskot, Psik i Piski, przyczem zadarli głów i popili kaw.

— No, no, no — to jest chybnięte — rzekł Dywidenda do Kajmana: — zawsze tam z tych prymicyj zostanie coś i dla nas do podziału, he, he, he...

Kajman w odpowiedzi rozwarł usta, błysnął w czerstwości twarzy białkami wielkich zębów, kłapnął niemi i rzekł:

— Hmm!

Poezya chora
Nas nie omami.
Per bacco! fora
z pesymizmami!

— Wie pani hrabina, jabym każdego pesymistę piętnował — zauważył Szeląg, bardzo wytarty w świecie pedagog, do hrabiny Oktawy, której dzieci uczył optymizmu.

— Pourquoi faire? — zdziwiła się hrabina.

Gdy życie tętni,
On najnamiętniej
Śni o dusz kulcie...
A niech zje ból cię!

— O, niech ich ból trzaśnie, niech ich napiętnuje — mówił dalej zawzięty pedagog. — Słyszała pani hrabina: *on najnamiętniej śni o dusz kulcie* — toż to najoczywistsza ruja i porubstwo!

— Ruja? qu'est-ce?

— Ruja to, z przeproszeniem pani hrabiny, konkubinat, a porubstwo, według słownika wileńskiego, to zdrada małżeńska. Pojmuje pani hrabina, że rozszerzanie takich tendencyj wprost gubi młodzież i prowadzi społeczeństwo do konkubinatu.

— Pst! pst! — prosił gospodarz.

Gdyby się skrzepłym
Dusz kultem żyło,
Cobym ja z ciepłem
Robił? co z siłą?

Do psa się chmurzyć!
Hej — życie więdnie:

Dbajmy, jak użyć
W bród a oględnie!

Łzy? płacze?.. Ach, nie!
Niech mi zapachnie
Pończoszką, tiulem,
To się rozczulę.

W głąb' sięgać chwatszy!..
O, niech popatrzy
Taki ciemięga,
Jak się to sięga!

Tu zgromadzeniem, nie wyłączając poważnego Szeląga, wstrząsnął jeden dreszcz, i wszyscy, jak na komendę, mlasnęli językami i przełknęli ślinę. Literat Skrobski i poeta Piski zaczęli na nutę operetkową przywtarzać sobie: *Jak się to sięga,* co słysząc O md'Leon Mellone, choć nie rozumiał słów, też zawtórował i zamlaskał, a to znów pociągnęło do wtóru wtórzystę; przykład ten zaraził Kajmana, cieszącego się soczystym barytonem, Akcyonasza, Baucha i Dywidendę... Zanucił i hrabia Festyn, i najmłodszy z Jubileuszów, i Honolulien ambasador, i Heim... Tylko, że względu na dobry ton, milczała hrabina Oktawa, i milczał Hajfisz, z powodów ichtyologicznych.

Nawet sam deklamator, nadzwyczajnie podniecony, gdy wrzawa nieco ucichła, z gorącem ciepłem w oczach recytował dalej:

Hej, pod poziomy
Sięgać aż do den,
Gasić oskomy
Na starą modę,

Kryć ślad kopytek
W pozór gołębi:
To mi pożytek,
To mi szczyt głębi!

— *Szczyt głębi* — nonsens — mruknął Sternik do milczącego Hajfisza, swego pana.

Rafał z Urbino

Najgłębszy z mistrzy,
Oszukaniną
Żył, jak filistrzy.

W dzień konfitury
Słodził (miał popyt),
A w noc do góry
Zadzierał kopyt.

Śpieszmy więc bystrze
„Żyć" całą chęcią,
„Życia" my mistrze
Minorum gentium.

Niech raz się utrą,
Te prawdy cztery:
Jedz, pij, gwałć, jutro
Wyciągniesz giry!

— Tfu, brzydkie słowo — splunął Bauch w siebie, po cichu. Sypnęły się oklaski.

— Przyjmij pan moje zupełne uszanowanie — rzekł wzruszony ambasador Honolulien. A i wszyscy starali się jakkolwiek wyrazić dank improwizatorowi, który, pulchną, bez kostek, rączką batyst wyjąwszy, ocierał czoło, aureolą siwych włosów okolone.

VII.

Purchawka nie zdawała sobie sprawy z wrażeń. Było jej niedobrze i tęskno do wsi.

— Co pani sądzi o sztuce? — zagadnął najbliższy sąsiad Sternik.

— Nie wiem — odparła cokolwiek opryskliwie: — może to swoboda odejść, gdzie się podoba...

— Modernizm!.. Pani dawno w Warszawie?

— Od wczoraj.

— I już zarażona!.. Pozwolę sobie zwrócić pani uwagę, że

sztuka nie może być takiem sobie lawirowaniem, sztuka musi mieć kierunek... sztuka musi być podporządkowana ogólnym, społecznym przepisom...

Purchawka zdobyła się na tyle sił, że kiwnęła na swego opiekuna.

— Proszę mnie wyprowadzić — szepnęła mu do ucha: — mdli mnie.

I wyszli do niewielkiego buduaru, którego samotność i cisza zaraz ją wytrzeźwiły.

— No cóż, jakże znajdujesz raut?

— Nie... Lepsza wieś. Zdaje mi się, że tu za dużo tej sztuki... I tacy tu wszyscy czarni. Tylko ten pan od impro... ma białe włosy i bardzo mi się podobał... taki miły w zetknięciu...

W tej chwili doleciały ich tony skocznych narzekań jakiegoś bardzo skrzywdzonego mazura.

— „Upiór Wojewody,“ opera swojska — chodź, nie wypada się odosabniać.

— Ach, proszę, błagam... zostaw mnie tu...

— Oj ty, purchawko — rzekł niechętnie opiekun i wyszedł.

Pupilka, zostawszy sama, odetchnęła z tak nieumiarkowanem zadowoleniem, na jakie tylko jej na próżniaczych odłogach wyrosła istota mogła się zdobyć. Samolubnie i cicho przeglądała sobie jakieś album z fotografiami: było tam trochę arystokracyi, trochę finansów, trochę literatury i dużo ambasadorów. Zatopiona w tem zajęciu, nagle poczuła coś jakby szelest motyla i woń owocowego drzewa.

— Nie przeszkadzam? — szepnął żarliwie Amfitryniusz.

— Ach!

— Pani dawno pisuje w historyi?.. Mówił mi opiekun...

— Tak, nic wielkiego... trochę uwag...

— A uważa też pani na swoją białość? W sąsiedztwie atramentu tak łatwo o kleksa.

— Czy ja wiem?..

— A gdzie pani nocuje?

— Na wystawie.

— Tem bardziej. A szkoda byłoby... Takie to wszystko pani ma bielutkie... takie bielutkie... Można pogłaskać?.. Tak... Czy ma też pani już ustalone zapatrywanie swoje na *szczęście?*

— Ja sądzę, że... przepraszam, pan mnie tak ścisnął?.. sądzę, że szczęściem jest leżeć na słońcu, pić soki ziemne, kąpać się w deszczach, pachnieć... Pan ma taki miły zapach owocowy...

— Owocowy?.. owocny raczej: jestem dużo zajęty chodzeniem koło owoców... tak. Hm... zapach, jako szczęście? Możebym się i zgodził na to określenie, ale to dla mnie za mało... Dodajmy więc: i myśleć o ogóle... niechże się pani nie lęka... no... tak. To, co pani powiedziała o leżeniu i piciu, to jest szczęście, ale indywidualne, pasorzytne...

— A jakież jeszcze może być leżenie?

— Społeczne, wytwórcze — leżenie, w którem się jedno podporządkowywa drugiemu, mocniejszemu... i z tego powstaje wytwórczość i twórczość, która jest sztuką... No, nie bój się, przybliż do mnie tę swoją sztukę białą... wypukłą...

— Moja wypukłość jest sztuką?.. Więc i ja jestem... ach!

— O tak, jest sztuką twoja białość taka biała, taka... ale nie twoją sztuką, tylko tych, którzy jej pożądają... Ja tak bardzo pożądam twojej białości... o, nie broń się... nie broń mi... twojej wypukłej białości... tak bardzo pożądam... pożądam twojej wypukłości... plastyki... plas... pla... pl... p...

Rozmowa umilkła, i nagle w buduarze dał się słyszeć jakiś huk, coś jak upadek doniczki z kwiatami, jak pęknięcie baloniku, piłki, struny skrzypcowej.

Do pokoju wpadło kilka osób i oczom ich przedstawił się wprost nieprzyzwoity widok. Purchawka bardzo blada, miejscami aż zielonawa, leżała na stoliku i wyglądała tak, jakby ktoś na nią nadepnął, albo ją przebódł. Czerwony Amfitryniusz nakładał binokle i był tak niepoważnie ożywiony, jak Archimedes, kiedy z łaźni wybieżał, krzycząc *heureka!*

Zapanowało kłopotliwe milczenie, którego nikt nie śmiał przerywać. W ostatnich szeregach widzów ktoś zaintonował półgłosem:

Niech-no popatrzy,
Jak się to sięga...

Zerwało się parę śmiechów.

— Przyjmij pan moje zupełne powinszowanie — rzekł głośno ambasador Honolulien.

Wołoduch, utrwaliwszy nakoniec binokle, rzekł, zwracając się do opiekuna purchawki:

— Pani zemdlała... cuciłem...

Opiekun spojrzał badawczo na Wołoducha i wolno powiedział:

— Tak, i u nas w redakcyi był ten wypadek... Ale tam jest

Tomasz i wszystko, co potrzeba, przytem redakcya lokal publiczny... Tu zaś, panie Wołoduch, to... to — prywata!

Rzekłszy to wolnym i twardym głosem, spojrzał w binokle Amfitryniuszowi, zabrał nieprzytomną purchawkę i wyszedł.

Na ruch i turkot powozu ocknęła się.

— Ja nie chcę... — szepnęła jakby w gorączce. — ... Ach, uciec ztąd... daleko od ogółu, od sztuki, od sławy...

Opiekun nachylił się, bezradny, zły na siebie za niedozór i niewiedzący, czem ukoić jej szept bólu i skargi.

— Zdeptana!..

— No, no, dziecko... Przyjedziemy zaraz... napijesz się feljetonu...

— Ach, nie chcę, nie chcę — rzuciła się purchawka i mimo osłabienia ledwie nie wyskoczyła z powozu. — Dajcie mi umrzeć!..

— Dziecko!.. nie mów o śmierci. Jeżeli chcesz, zawiozę cię na wieś, posadzimy cię w ogrodzie...

— Ach, tak!..

Gdy przyjechali do redakcyi, opiekun włożył purchawkę do dużego wazonu od oleandra (egzotycznej ale od czasu wojen samnickich unarodowionej rośliny), i mimo wzdragań się, próśb i zaklęć, polał ją feljetonem, ponieważ wierzył w feljeton, jako w uniwersalny środek od wszelkich chorób społecznych, a więc i od dolegliwości osobniczych.

Purchawce zrobiło się gorzej. Schła i murszała w oczach. W nocy gorączka urosła i wystąpiły halucynacye. Opiekunowi, który czuwał przy niej, układając swoje artykuły codzienne, szeptała, że widzi jakąś polanę, niby łąkę, pełną zieleni, w mokradłach i topielach — niedostępną... Nikt tam nie może się wedrzeć i zdeptać jej, a ona obcuje tylko ze słońcem, bieleje coraz bardziej i staje się tak przejrzystą, że znika w przestrzeni, i że już tam nikomu na żadne pytania może nie odpowiadać... I nikt nie może jej białości zbrudzić... A ona z wonnym wiatrem, niby tchnienie umarłych ajerów, polatuje nad łąkami...

Nad ranem nie żyła.

Jan Lemański.

GLOSSY.

Jubileusze, rocznice, plebiscyty, ankiety, konkursy. *(Dokończenie. Patrz zesz. 13 i 14).* — Ogłoszenie ankiety czy konkursu wymaga bądź co bądź pewnej pomysłowości, pewnej zdolności organizatorskiej, pewnej choćby tylko zręczności myślenia, pewnego zdecydowania wreszcie względem utworów czy poglądów nowych jeszcze i przez nic nie uświęconych. Przy proklamowaniu rocznic, jubileuszów, obchodów pamiątkowych — pomysłów dostarcza bezinteresownie i przeobficie chronologia najprostsza; materyałów — encyklopedye, słowniki biograficzne, podręczniki dziejów sztuki czy literatury; zamiast myślenia wystarczają komunały i zdawkowości pseudo-uczuciowe; niema nakoniec żadnej obawy potknięcia się, ile że chodzi o „fakta dokonane,“ o rzeczy „przesądzone,“ „uznane“ i po sto razy omówione. Dodajmy do tego satysfakcyę protektorską, pozór idealizmu i znawstwa, zasługę inicyatywy, rozgłos dla czasopisma i sto innych względów pomniejszych, a pojmiemy dziennikarską ochoczość do inaugurowania „obchodów uroczystych,“ przestaną nas dziwić te niepoliczone przypomnienia zasług, projekty uczczeń, pamiątkowe rozrzewnienia, od których roi się wprost w naszej prasie, i które powierzchownie lub zdala patrzącego złudzić mogą gruntownie, zasadniczo. Niezmierna, dominująca większość tych wylewów „czci, uznania, wdzięczności“ ma za przedmiot poetów i artystów. Przeglądając spisy rzeczy w dziennikach i tygodnikach za kilka lat ostatnich, możnaby dojść

do wniosku, że okrzyczana za wyłącznie praktyczną epoka nasza przewyższa, pod względem zapału dla literatury i sztuki, najbardziej renesansowe, najbardziej medycejskie doby. I doszli do takich konkluzyj „trzeźwi“ badacze, łamiący ręce nad „przeestetyzowaniem“ społeczeństwa — ale, niestety, świadczy to tylko o „trzeźwości“ i głębokości ich badań. Dość bowiem przejść od tytułów i nagłówków wymienionych w indeksach do samej treści wzmianek, artykułów, numerów specyalnych i nawet książek poświęcanych jubilatom czy kommemoratom, aby się przekonać, że istotne zajęcie sztuką oraz szczery eutuzyazm dla twórców grają najmniejszą rolę w tych hałaśliwych scenizacyach, że hołd pozornie bezinteresowny jest tylko płaszczem, w który drapują się, mniej lub więcej otwarcie, najnieoczekiwańsze sploty i kombinacye interesów osobistych czy społecznych, że mniemane gromadne porywy uwielbienia i miłości są, w gruncie rzeczy, jałowym, czczym, więcej, trującym falsyfikatem.

Czem jest właściwie, z istoty swojej, przed- czy pośmiertny jubileusz wielkiego twórcy, obchodzony przez społeczeństwo całe? kiedy jedynie godzien jest tej nazwy? kiedy jedynie ma wartość rzeczywistą i nieprzemijającą, na dalekie siew rzucającą przyszłości? — wskazuje poniekąd sama słowa etymologia. Apoteoza to radosna, słoneczna, żywiołowa, kształtująca się zdawna bez woli i wiedzy niczyjej w łonie społeczeństwa — i dopiero — gdy godzina nadejdzie, gdy duch twórcy ogarnie, przepoi już wszystkie duchy i nowe w nich rozpali życie, gdy ekstaza odrodzenia wnętrznego sięgnie szczytów, gdy pomieszane uczucia czci, miłości, uwielbienia, zapału rzucą odrodzonych na kolana, na twarz, przed rodzicem nowego, przyszłego ich istnienia — olbrzymim, wulkanicznym strzelająca w niebo wybuchem. Nie wypłata to żadna za zasługi, nie żaden rozrachunek wdzięczności, nie żadne skwitowanie należności przez dary, obchody, przemowy, hołdy, wieńców stosy. Uczucie to czegoś, co nie jest do opłacenia, za co nietylko dziś, lecz i jutra dalekie wywdzięczyć się nie zdołają, uczucie, że wszystkie pokłony, uczczenia, dowody uznania są względem Niego czemś śmiesznie, dziecinnie, zawstydzająco małem i niewystarczającem, uczucie, że wiedzie się go na kapitole, lecz chciałoby się wieść gdzieś pod niebo, na szczyty najwyższe, na słońce samo, zkądby w chwałe królował wiekuistej. Zapatrzenie się takie wyłączne, takie absolutne w tego Jedynego, tego Wybranego, że wszystko inne ginie z oczu, uchodzi w cień, nie istnieje: wszystkie interesy społeczne (toć On jest najwyższym, ostatecznym, jedynym interesem społecznym: nowem, przyszłem duchowem życiem narodu!); wszystkie względy i cele osobiste, egoizmy, ambicye, sławy, zarobki,

spory, różnice przekonań; wszystkie Jego nawet ziemskie strony i ludzkie ułomności. Niezdolność to myślenia o czemkolwiek prócz olbrzymiej, przejasnej, taborowo objawiającej się postaci ducha; niepamięć absolutna wszystkiego, co naokół, czy nawet w samym człowieku wielbionym, nie jest tą jaśnią duchową; utożsamienie człowieczej, cielesnej istoty z tkwiącym w niej boskim ducha pierwiastkiem, wczucie się takie, wkochanie, wtopienie w ten pierwiastek, że nagle olśniewająco ma się go w sobie, jest się nim i w nim; podniesienie, uduchowienie, przemienienie wszystkich hołd niosących w ogniu duchowym Wielbionego — i szał radości najwyższej, upojenie potęgą i życiem nowem, jubilacya podniebna, adoracya bezgraniczna, niewysłowna, tłumiąca na raz wszystkie zgiełki drgającym płaszczem zdyszanego milczenia, jednocząca na chwilę, która jest wiecznością, wszystkie dusze, tyle dusz, w uroczystem, niezapomnianem wniebowzięciu.

Nie sen to złudny wyobraźni. Bywały takie słoneczne Święta Ducha i bywać mogą. Sami pomnimy taką jedną wiosnę w życiu: przy sprowadzeniu zwłok Mickiewicza. A zakwitła ona tak bujnie nie dla tego, iżby on tylko był jedynym, i największym, i sam tylko uczczeń najwyższych godnym (bo nie byli odeń mniejsi ani Słowacki, ani Krasiński, ani Norwid, bo na tych wyżniach ducha hierarchij ni pierwszeństw niema), jeno dla tego, że poczucie tchniętych przezeń pierwiastków żywota miało czas aż po najdalsze rozlać się warstwy i sfery, że zapał społeczeństwa miał czas dojrzeć, spotęgować się, w pąk wezbrać wspaniały, i wreszcie, onej chwili pamiętnej, w dawno niewidzianego, olśniewającego czaru kwiat się rozwinąć. Tam nie było jednego słowa kłamnego, jednego gestu teatralnego, jednego uczucia udanego. Tam nie trzeba było naganek ni agitacyj dziennikarskich, tam nie było inicyatorów-protektorów, tam nie było miejsca dla żadnych celów społecznych czy osobistych, tam wszystkie przeszłości i przyszłości w jednej skupiły się godzinie, tam korne, wielbiące słowa z ust mówców niby krople stopionego padały uczucia, tam wieńce z trwożną, wstydliwą czcią sypały się z rąk niosących, tam wszystko zgasło, znikło, świat cały przestał istnieć: został tylko jeden punkt magnetyczny, ta trumna idąca wysoko, przykuwająca do siebie wszystkie oczy, serca, duchy, i organowym, rozmodlonym, do łkań podobnym witana tłumu pogwarem... Szedł wiew olbrzymi. Lud nie wypłacał się poecie, lecz jednoczył się z nim w przeświętej, nadziemskiej komunii. Stos ducha płonął podniebnie — a u szczytu jego już bił skrzydły tajemniczy feniks nowych zapałów, nowych twórczości, nowych żywotów. Był cu-

downy dzień żniw i siewów jednocześnie, winobrań purpurowych i wiosennych kiełkowań rosistych...

Ale chwile takich wielkich ducha podniesień są nader rzadkie. W ciężkiej glebie społeczeństw ziarno twórczych natchnień setki lat nieraz leżeć musi, zanim zakiełkuje i plon przyniesie. Nasza — podobno gorączkowo naprzód (?) idąca — epoka na cierpliwe oczekiwanie nowego przypływu zgodzić się nie umiała. Majestatyczna scenerya i wstrząsające wrażenia takich godzin ekstazy zbyt przydatnemi się wydawały do różnych celów „pożytecznych,“ a wpływy prasy na społeczeństwo — zbyt niezawodnemi, aby nie próbowano wskrzesić, wywołać sztucznie tych samych stanów duchowych. Pierwszych kilka prób odbrzmiało jeszcze pewnemi echami ostatniej, niedawnej rzeczywistości; zaczęto zatem powtarzać je coraz częściej — i wtedy rzecz wzniosła z zastraszającą szybkością stoczyła się na samo dno karykatury. Psychologia i wzajemne ustosunkowanie trzech stron biorących udział w uroczystości: jubilata, inicyatorów i ogółu, parodyjnie się wykrzywiły. Na pierwszy plan wysunęli się inicyatorzy, protektorzy, reprezentanci klas czy warstw społeczeństwa, znawcy urzędowi, dziennikarze, wszyscy, jednem słowem, maszyniści zamierzonego przedstawienia. Czują się oni panami sytuacyi: urządzą obchód albo go nie urządzą. A urządzając go — jeśli to odpowiada ich interesom i celom osobistym czy społecznym — uważają się nadto za łaskawców, za dobrodziejów względem jubilata i społeczeństwa zarówno. Toć bez nich społeczeństwo nie miałoby sposobności wykazać swych idealnych aspiracyj, swych uczuć czci, miłości, wdzięczności, — a jubilat — nie byłby jubilatem. Zawalają też chełpliwie, bezwstydnie swemi opiekuńczemi osobami wszystkie pierwsze miejsca, zaznaczają z naciskiem i notują z rozrzewniająco wzajemną troskliwością wszystkie swe zasługi, słowa, ruchy, mowy, artykuły i t. p. przyczynki uroczystościowe, traktują swego „pupila“ z przyjazną familiarnością, okazują co chwila, jak bardzo są z nim za pan brat, miotają się, hałasują, aż wreszcie, w tym wirze i zgiełku, poświętna — zdawałoby się — postać tego, który ma być uczczonym, znika prawie za plecami stłoczonych impresaryów. Ani śladu szlachetnej bezimienności w hołdach, ani śladu kornego lub przynajmniej przystojnego usuwania się przed tym, który nibyto osią jest całego obchodu, ani śladu tego mimowolnego dystansu, jaki cześć prawdziwa sama wytwarza wokół swego przedmiotu. Orgia dorobkiewiczowskiej próżności, wtykającej i tu — podobnie jak na głazy budowanych świątyń — gdzie się da, swoje nazwisko, aby wiedziano, co kto dla jubilata uczynił i komu tenże

ma być wdzięcznym. Jubilat, w całej tej komedyi czy farsie, jest manekinem, któremu wolno tylko kłaniać się i dziękować, sympatyczną figurką, którą się okazuje ludowi ze wszystkiemi szczegółami życia codziennego (co jada, co ma na ścianach w salonie etc. etc.); o tem wszakże, co stanowi jego istotę, o duchu jego, który jest lub będzie treścią żywotną całych pokoleń, nic się prawie — mimo mnóstwa popsowanego papieru — nie słyszy. Zebrawszy niepoliczone mowy, artykuły, specyalne numery czasopism, broszury i książki, wywołane przez którybądź z jubileuszów ostatniej doby, nie wydobędziemy z nich zazwyczaj żadnej treści nowej, świadczącej o żarliwszem wgłębianiu się w twórczość wieńczonego poety czy artysty, o dążeniu do osiągnięcia jakiegoś duchowego z nim wspólnictwa. Puste frazesy, wytarte komunały, powtarzane po raz setny oceny — oto plon cały. Nic, coby rozświecało bezgranicznie zarysy duchowego jego oblicza, nic, coby uświadamiało „wsiane przezeń nieświadomie ziarna potęgi,“ nic, coby odsłaniało nowe, ukryte dotąd tworzenia jego strony. Z wnętrza nic — co najwyżej śmieszne małpowanie zewnętrznych jego cech i oznak: jego stylu, jego zwrotów, obrazów, przenośni, jego choćby maniery. Podczas jubileuszu pośmiertnego Wiktora Hugo, dzieniki francuzkie przez parę tygodni „najpospolitsze rzeczy malowały farbami zapożyczonemi z jego palety“ (E. Belial). U nas, podczas uroczystości Sienkiewiczowskich, styl gazet „czynił się“ podobnież „ogromnie“... niewłasny. Do niedawna atoli miano przynajmniej tę przyzwoitość, że w artykułach i wydawnictwach jubileuszowych mówiono tylko o jubilacie, nie brano go zupełnie otwarcie za *à propos* tylko do załatwienia spraw innych. W ostatnich czasach, artykuły jubileuszowe i wspomnieniowe jęły — naprzód tu i ówdzie — zaczynać się od takich zwrotów: „W epoce wybujałego modernizmu warto przypomnieć sobie śpiewaka... i t. d..“ Wydawać się to mogło z początku prostem *lapsus calami* niezdającego sobie ze słów sprawy skryby dziennikarskiego. W innej bowiem epoce niewarto byłoby zatem przypominać go sobie? Czas pokazał, że były to tylko pierwsze symptomata mającej wybuchnąć epidemii. Bo weźmy do ręki № zbiorowy Tyg. Ilustrowanego poświęcony M. Konopnickiej. Tam już nie byle kto, nie jacyś bezimienni „odwierszenicy,“ lecz znany krytyk, uczony gramatyk, cnotliwy humorysta, szwajcarski profesor, słynna powieściopisarka, sami *representative men* według ogólnego mniemania, nie znajdują do powiedzenia o jubilatce nic prócz najbardziej zdawkowych banalności, a natomiast w niezwykle zaindyczony sposób załatwiają rachunki z „rozkochanymi w sobie mistyfikatorami namiętności,“

z „importem modernizmu mistycznego,“ z „talentami obalającemi najświętsze wierzeń ołtarze,“ z „samozwańczemi wierszydłami, szumnemi i górnemi, hucznemi i pustemi,“ z „wypożyczonemi od Mallarmé'go (niestety, nie od Mallarmé'go!) białemi pawiami,“ jednem słowem, z widmami jakichś szkół czy kierunków „modernistycznych.“ I nie koniec na tem. Rozgłośny powieściopisarz, sam jubilat niedawny, tąż drogą idzie. Dla Konopnickiej ma tylko miękkie, ogólnikowe, uczuciowe lub retoryczne frazesy, które po sto razy już słyszeliśmy i czytali — i które przeto nic nie mówią. Natomiast potępienie w czambuł całej nowej literatury, z Kasprowiczem, Wyspiańskim i Żeromskim na czele, pisane jest z taką zapalczywością, z taką intensywną niechęcią, że wycieczki tej niepodobna uważać za epizod, za *repoussoir* jedynie, lecz trzeba w niej widzieć punkt ciężkości całego artykułu i właściwy jego powstania powód. I mimowoli pytamy: był-że to jubileusz Konopnickiej, czy też rocznica urągowisk pod adresem nowej literatury? byłoż-to uczczenie wielkiej poetki czy też zażarte zwalczanie przeszłością teraźniejszości lub, jeśli kto woli, teraźniejszością przyszłości? Nie mamy potrzeby spierać się o słuszność tej walki, dzieła mówią za siebie; chodziło nam tylko o okazanie, jakie coraz drugorzędniejsze stanowisko dostawało się w jubileuszu — jubilatowi. Aż wreszcie, w najświeższym, bieżącym wypadku, usunięto go poniekąd zupełnie na stronę, wziąwszy jeno jego nazwisko za chorągiewkę, mającą przynęcać ludzi i nakłaniać do datków na jakąś „pożyteczną“ instytucyę. Jubileusze i rocznice, które kiedyś były uroczystościami ducha, zeszły zwolna do roli — składek, zabaw i loteryj fantowych na cele dobroczynne.

I stosunek ogółu do tych obchodów zmienił się zasadniczo. Impresaryowie ich zbyt często żądali od społeczeństwa zapałów i uniesień, zbyt często galwanizowali je sztucznie kampaniami dziennikarskiemi — i zwolna musiał nastąpić osłab, a w końcu zanik entuzyazmów zupełny. Dziś już niema śladu samorzutnych porywów w tym kierunku; dziś, jeśli się co robi, to pod naleganiem, to *pro honore domus*, to przez obowiązek. to w sensie wypłacenia się jubilatowi i skwitowania z nim rachunków. Punkt ostatni, ta szczególna buchalterya wdzięczności, świadczy o zatraconem zupełnie poczuciu wartości niczem nieopłacalnych dóbr duchowych. Mimo przysłowiowych u nas idealizmów, jest to faktem niezaprzeczonym, a raz stwierdziwszy jego istnienie, nie możemy się już dziwić ani małostkowemu stosunkowaniu liczby i wartości darów dla różnych jubilatów „odpowiednio do ich zasługi;“ ani symulowaniu ofiar,

t. j., składaniu ich *z myślą*, komu też, na jaki cel jubilat je przeznaczy, i *z wymaganiem*, aby to uczynił (dyskusya, czy *powinien* to zrobić, przedostała się, podczas jednego z ostatnich jubileuszów, nawet na szpalty dzienników); ani, wreszcie, bacznemu pilnowaniu, czy jubilat jest dostatecznie wdzięczny (!) społeczeństwu za uznanie i hojność. Dziwić się trudno, bo są to ostatnie ogniwa żelaznego następstw nieuchronnych łańcucha. Odwrócić się tylko można z niesmakiem od śmiesznej i smutnej zarazem karykatury owych wielkich uniesień i porywów, których obraz naszkicowaliśmy powyżej.

Odwrócićby się tak winni wszyscy ci, którymby w przyszłości proponowano uczczenie jubileuszowe. Toć szczery tylko poryw i prawdziwe, gorące uczucie pociągaćby ich mogły, nigdy zaś naganki forsowne, opieki protekcyonalne, inscenizacye sztuczne, jakich dzisiaj jedynie spodziewać się mogą. Niestety, miłość własna zaślepia, i wbrew oczywistości zdawać im się będzie, że oni jedni rozbili mur okolnej bezduszności, że po tylu teatralnych udaniach znowu zapał zbudzili prawdziwy; i przyjmą ofiarowany im obchód uroczysty, i będą wdzięczni tym, którzy ich za narzędzie do swych celów wezmą, i będą odpowiadali wzruszonemi improwizacyami na napuszenie - banalne impresaryów przemowy; i wyjdą z tych uroczystości jak gdyby obniżeni i pomniejszeni zarówno przez familiarne ze strony inicyatorów czy protektorów traktowanie i przez własne bezwiedne kompromisy; i w społeczeństwie, skutkiem jeszcze jednego kłamstwa na zimno, jeszcze się bardziej coś popsuje; — i wszystko to, co mówiliśmy, będzie na długo jeszcze grochem na ścianę.

Snadź nie na zawsze, bo i zło, i fałsz, i nędza — kres swój mają.

Tredecim.

POWIEŚĆ.

Wacław Berent: *Próchno*. Warszawa. Gebetner i Wolff. — T. T. Jeż: *Miłość w opałach*. Warszawa. Bibl. dz. wyb. — Ant. Fogazzaro: *Mały światek nowożytny*. Tamże. — Fr. Herczeg: *Gyurkovicsowie*. Tamże. — Jerzy Bogurad: *Pro Christo*. Tamże. — Fr. Reinsztein: *Humoreski*. Tamże. — E. A. Poe: *Morderstwo na rue Morgue*. Lwów, Warszawa. Wende i S-ka. — Antoni Miecznik: *Na odajach stepowych*. Warszawa. Warsz. Tow. Artystyczno-Wydawnicze. — Teresa Jadwiga: *Dworzanin Królewicza Jakóba*. Warszawa. Sadowski. — Ignat Herrman: *Ojciec Kondelik i narzeczony Wejwara*. Przekład P. Laskowskiego. Bibl. Dz. Wyb.— Wanda Grot-Bęczkowska: *W szponach*. Tamże. — K. Laskowski: *Dla zabicia czasu*. Warszawa. Sadowski. — Ks. B. Maryański. *Ester*. Warszawa. Bibl. dz. wyb. — *Finlandya*. Podług Brausewettera, opracowała Gabryela Plewińska. Tamże.—H. St. Pytliński: *Koledzy*. Warszawa. Mieczyński. — Jan Barszczewski: *W kastelu*. Warszawa. Skł. gł. Borkowski. — Cecylia Walewska: *Bez duszy*. Warszawa. T. Paprocki. — Matylda Serao: *W biurze telegra-*

ficznem. Warszawa. Bibl. Dz. Wyb. — L. Jahołkowska-Koszutska: *Z teki wrażeń*. Warszawa. Borkowski. — A. Suszczyńska: *Przekonana*. Petersburg. Grendyszyński. — Kazimierz Witte: *Szkice z pamięci*. Warszawa. Centnerszwer. —Paź: *Obrazki*. Kijów. Idzikowski. — Światopełk Czech: *Jastrząb contra Hordliczka*. Przekład P. Laskowskiego. Warszawa.— Hajota: *Ostatnia Butelka*. Warszawa. Bibl. Dz. Wyb.— Kazimierz Wojcicki: *Żeglarze*. Warszawa. Lisowska. — G. Orlicz-Garlikowska: *Nie-komedyantka*. Warszawa. Fiszer.

Próchno, przez Wacława Berenta. — Próchno! „*Już się ma pod koniec starożytnemu światu — wszystko, co w nim żyło, psuje się, rozprzęga i szaleje*“—[1])... Nie, jeszcze nie szaleje: psuje się dopiero i rozprzęga; trzyma się resztami rdzewiejących spoideł, hypokryzyą tego, co było ongi wiarą, komedyą tego, co było ongi życiem, oblewaniem trupów perfumami słabszemi od strasznej, straszniejszej jeszcze w tem połączeniu infekcyi. — Wmawia w siebie równowagę i skuteczność półśrodków, tych ostatnich motorów zatraty. — Wrogie, odwiecznie nurtujące go siły, święcą dyskretny tryumf wigilijny ostatecznych rozpasań; wlecze się potwornie długa doba przedednia, Gehenny zorganizowanej, systematycznej aż do pedantyzmu; zrealizowania się na ziemi jakby najgłębszych kręgów „Inferna,“ kędy w zewnętrznych lodach kona i skonać nie może skuty dajmon ludzkości, — doba industryalizmu, reklamy i prostytucyi. — Tryumfuje satanizm mierności jadowitej, ta skrajna konsekwencya rozżartych ambicyj samolubnych, dławiąca wszelką szczerość, ogień, bezpośredniość geniuszu człowieczego; tryumfuje piekielna trójca Błędu, Egoizmu, Ohydy, na tym padole niemej rozpaczy, kędy „ludzkie namiętności dawniej będące życia i pracy ramieniem i młotem,“ — „dzisiaj od biurka, od maszyny przeklęte i gdzieś głęboko, głęboko pod ziemią ukryte, aby życiu nie przeszkadzały,“ „stać się musiały w potępieniu gnuśne jadowite, trujące,“ — i zbrodnią jedynie, cynizmem, rozpaczą wybuchające — gdy wybuchną „bólu krzykiem po nocy“ [2]).

Próchno! tego złowieszczego momentu wszechdziejów załamanie się w duszach osobniczych; odczucie jego zgrozy bieżącej i przeczucie konsekwencyj jutrzejszych; *przeżycie z góry*, tragiczny symptomat i prognostyk, *uświadomienie* w duszy artystycznej, w tej najdalej ku bezmiarom wysuniętej placówce ludzkiej, w tej najwyższej *samorzutnej* samowiedzy świata, w tej przeznaczeniowo gnuśną gromadę zawsze wyprzedzającej, czujnej, jutrem i w jutrze całem jestestwem żyjącej, w tej duszy Kasandrowej, której szalejącemu bó-

---

[1]) Krasiński, *Irydion*.

[2]) Berent, *Próchno*.

lem jasnowidztwu tępość niewolników chwili nie zdolna dać nigdy wiary; w tym, współczesnego piekła martwoty, „żywych i kołaczących maszyn, oraz martwych i niemych ludzi,“ „bólu krzyku po nocy“ [1]).

Próchno! ostatni moment wielkiej epopei wszechdziejowej, procesu analizy historycznej. Dobieganie do dna, do tajemniczego punktu dokonanego bezwładu, rozpadu, śmierci; ostatnie rozsuwanie się tkanek trupa, przemienienie Życia w mierzwę pod nowe niwy, nowe życie. — *Życie Nowe!* — Nie onoż jest tą „siłą fatalną,“ gniotącą rzężące piersi świata? Nie onoż tym szalonym, w masce śmierci, jeźdźcem, zapędzającym ku niezgruntowanej przepaści obłąkane trwogą bezsilnego nałogu trwania, zgrzybiałe widmo dni minionych? — Nie jegoż to wiekuiście młodą, tyraniczną, wszechpotężną Wolą drga konwulsyjnie to tragiczne Próchno? — Jakaż inna moc, jeśli nie Życia samego, zdolnąby była wywołać to rozszalałe wrzenie, buchać z niego tą ostrą, brutalną wonią płodnej wszechnasieniem, zoranej świeżo ziemi przedwiosennej? — O chwilo wyroczna rozkładu! o krucza godzino Śmierci i Zmartwychwstań, śmiertelnych porodów, godzino *Próchna!*

Tym to, grozą niemal starogrecki przewyższającym tragizmem tętni u każdego pulsu epicki dramat Berenta, to „szatańskie zwierciadło“ współczesności, to krwawe świadectwo żywotnego ponad wszystko męczeństwa Sztuki i Artysty w szponach materyalnej przemocy i moralnej zarazy, ziejącej ze zwyrodniałych społeczeństw, nie zaś (jak to, „kota ogonem wykręcając,“ usiłują przedstawić rozmaici gazeciarscy „fachowcy“ paszkwilowi) obraz rzekomego dekadentyzmu indywidualnego artystów. — Więcej jeszcze: zdawałoby się, że cała prostota, samorzutność, prawość natury człowieczej, w tłumie pogardzona lub zgwałcona, w pierś artysty przeszła, utaiła się, jak boski ogień ze znieważonych kościołów w katakumbowe głębie, — i w tej jedynej gościnnej piersi wydaje śmiertelną walkę dżumie występku i znikczemnienia, atakującej ich świadomość, walkę instynktu Prawdy przeciw obłędowi Rzeczywistości; że na ten punkt prawie wyłącznie przeniósł się w całej swej wyrazistości i grozie odwieczny bój Anioła ze smokiem, Dnia z nocą, Dobra ze złem; że się w nim, w artyście, syntetyzuje i rozstrzyga naprzód ta najwyższej wagi sprawa, którą ostatecznie i w myśl tej pierwotnej, zasadniczej kampanii rozegra kiedyś gromada „gnuśna i leniwa“.... Pod przerażającym naporem tych wszechświatowych zapasów giną jednostki...

---

[1]) Tamże.

giną Borowscy, Jelscy, Müllerzy... Bohater ginie, lecz idea zwycięża: i to jest istota wszelkiego tragizmu. Zwycięża idea Życia prawdziwego, Życia Koniecznego, Życia Nowego.

Próżnobyśmy w „*Próchnie*" szukali tego tchnienia historyozoficznego, które tak niezmiernie rozwidnokrężają pokrewne mu poniekąd dzieła Krasińskiego. Jest to zrozumiałe: te ostatnie są raczej orlim lotem wieszczego ducha, zadumą jasnowidzącą wobec pierwszych symptomatów kryzysu; — w „Próchnie" kryzys wystąpił już w całej ostrości wypełnień. — Tam prorok czyta w księdze przyszłości oddalonej; tu odrodzeniem śmiertelnie chory człowiek pasuje się z wyprorokowanym Losem. — To też pamięć dziejowa w nim znikła, rozwiana jak daleki sen przez straszliwą, całe jestestwo zdobywającą teraźniejszość. Tu mózg wpił się z drapieżnością topielca w swe własne mary. Tu czujność syntetyczna twórcy objawia się silnem objęciem, zgęszczeniem, zobrazowaniem typowem, niezmiennem, nieskończonej wielości zjawisk współczesnych, dobyciem z nich ich Myśli jedynej. — Powszechność, wiekuistość tego niepowtarzalnego aktu tworzenia tkwi nie w rozległości perspektyw, lecz w głębi zawrotnej; nie w locie ptaka, lecz we wstąpieniu do otchłani; nie w odkryciu nieskończonego łańcucha zdarzeń, którego to jest właściwie tylko jednem ogniwem, lecz w bezwzględnem znurtowaniu chwili danej, w obnażeniu zogniskowanej w niej Wiekuistości. — Ztąd płyną pozory *aktualne*, na które, jako na najpowierzchowniejsze, czyli jedynie dla nich dostępne, rzucają się rozżarte paszcze dziennikarskiej hypokryzyi potwarczej, by tryumfalnie potrząsać potem wyszarpanemi ze zwartej, wszechludzkiej całości dzieła, i na swój sposób przegryzionemi, w kałużach prostackiej złej woli wytarzanemi strzępami... rzekomego pijactwa, cynizmu, nierządu „modernistów"...

Owo pozahistoryczne skupienie się w sobie, zapomnienie w momencie, który jednak jest tylko momentem, dalecy jesteśmy, jak to ze słów naszych wypływa, autorowi poczytywać za winę. — Kto wie jednak, czy nie ono warunkuje poczęści jedyną wadliwość tego znakomitego utworu, mianowicie jego zakończenie. — Dla jednolitości tragicznej dzieła, dla pełnej jego *momentowości,* poświęcona została szersza, Życia samego, jednolitość i rozciągłość. I logika Życia, nieznającego ostateczności, gdyż jest bez granic, zemściła się na dziele, rysując jego doskonałość tam właśnie, gdzie ta doskonałość miała być osiągnięta zadaniem mu kłamu. Niema klęsk tak powszechnych, by nad pogromem nie dumała utajona gdzieś Nadzieja; niema nocy tak czarnej, by jej żadna nie przebiła gwiaz-

da, ani próchna tak zupełnego, by w niem nie kryło się życie. Przeciwnie: im zupełniejsza klęska, śmierć, noc, tem bliższa Nadzieja, Życie, Zorza; i przed sądem Ostatecznym zwiastują Antychrysta. — A taką jest prawdziwie natchnionej twórczości prorocza potęga, że oto, samorzutnie, nad tem piekłem beznadziejnem „Próchna" zjawił się Świt. — Lecz twórca, zaskoczony niespodzianą jasnością, nie objął niesłychanych jego znaczeń i policzył go do fosforyzacyj cmentarnych... Wskutek tego złudzenia, żelazna, *konieczna* konsekwencya całości prowadzi do *możliwego* tylko końca; dramat *powszechny* urywa się *indywidualną* katastrofą; moment filozoficzny zwęża się do psychologii; tragiczny pęd zjawisk tonie w piasku, zamiast ujście swe znaleźć w morzu. Nad wyjącą gehenną nizin brak „Próchnu" koniecznej perspektywy niebios; perspektywy, którąby nie osłabiła bynajmniej grozy dramatu, lecz przeciwnie nadałaby mu dopiero najgłębsze, jedynie tragiczne znaczenie: wiekuistej solidarności wszechbytu, — *niezbędności* Śmierci dla Życia.

Wyznajmy jednak, że ta wadliwość nawet, wynik konfliktu niedostatecznych pomyśleń z żywiołową intuicyą twórcy, świadczy o potędze tej ostatniej i niezmierzonych *możliwościach,* gdy rozszerzone widnokręgi świadomości pozwolą jej na lot bezwzględnie wolny i mowę absolutnie przeczuciom odpowiadającą.

Pod względem t. z. formy, W. Berent jest pełnym, głębokim i świadomym artystą; artystą wypowiadającym się w jedynie rzetelnej formie, t. j., w tej, którą sam stworzył, którą jego pęd twórczy sam z siebie, sam sobą wyłonił; którą wymogła na nim istota jego natchnień. Cechuje ją rasowa, falsyfikatom niepodlegająca „wolna konieczność," ślub bezwzględnej *swobody,* ruchliwości, przelewności, *ze ścisłością,* odpowiedniością, podatnością. — Takim jest styl „Próchna," różnorodny a jednolity jak ten chaos, który wyraża; hartowny, giętki, z piętnem żarów, w których go przetopiono, wykuto; bogaty już nie w całą klawiaturę, lecz w całej orkiestry przepych brzmienia, symfoniczności i potęgi. Jest to obrazowanie linią powściągliwą i suggestywną, skupiającą się w ostrej aż wyrazistości, to rozpływającą się w akwafortowe ciemnie i narzucającą gwałtem wspomnienie Goyi; to znów migotliwe, drażniące, oślepiające roziskrzenie barw, świateł; jest to poczucie bryłowatości tak mocne, dar konturu i ekspresyi tak niesłychany, że wizye te wydzierają się z kart książki, wcielają się w plastyczne przed okiem halucynacye. — Jest to także cudowny instrument na usługi wprost zatrważającej bystrości psychologicznej, intuicyi intensywnej aż do duchowiedzwa, i instynktu wprost genialnego tego, co francuzi zowią szczegółem charakte-

rystycznym, a co uwypukla jeszcze doskonałe ustosunkowanie planów perspektywicznych. — Są to, zresztą, wyodrębniające się tylko w analizie cechy. W dziele samem wykwitają bujnością rozgałęzień jednopiennych, — wielolicem lecz jednogłowem „zwielokrotnieniem“ twórczego ducha. — Budowa dzieła, genealogicznie, wywodzi się od Skandynawów i Przybyszewskiego; lecz szkielet, rusztowanie ich dzieł, ginące pod przepychem lianowym liryzmu, zostało u Berenta przekształcone, rozwinięte, do właściwego mu *dramatycznego epizmu* przystosowane. — Tak, jak ją w tem ostatniem wydoskonaleniu widzimy, jest to POWIEŚĆ WYZWOLONA, z konwenansu nic nieznaczącej ciągłości i płaskiego gawędziarstwa oczyszczona, z poniżenia, w które ją zepchnął handel „romansów i powieści“ wzniesiona na wyże sztuki, jako jedna z niezbędnych już form Eposu; — uświadomiona w swych nieskończonych środkach wypowiedzenia, w giętkiej rozciągłości swych ram, w swym charakterze syntetycznym. — Zamiast ciągnąć się długim swędliwym knotem łojówek, — wybucha ona wielkiemi, po przestworze rozstawionemi gwiazdami światła, połączonemi i przestwór ten zamykającemi silnem, dookolnem promieniowaniem; zamiast nękać tradycyjną u nas paplaniną, gardzi wszystkiem dowolnem, sięga po miazgę treści i skupia się w węzłach szpiku, wszystko pośrednie zawierających, w *niezbędnem.*

„Specyaliści“ w rodzaju p. T. J. Choińskiego, smutni właściciele „pięciu (tylko!) rozumnych klepek,“ upatrują w tej jędrnej budowie „bigos twórczości *amatorskiej*“ (!!!?). Z tą samą bystrością krytyczną ubolewają nad *niewyrazistością* typów Próchna, — i pragną osłabić historyczne wprost dla naszej twórczości znaczenie tego dzieła, widząc w niem wciąż tylko „ferment niewyklarowany“ „nowych kierunków“... Wybór politowania trudny: nad gnuśną, zimną, leniwą umysłowością „specyalisty,“ czy też nad jego prostacką... nazwijmy to „fachowością.“

Miłość w opałach, przez T. T. Jeża. — Wierna, lecz nienajpochlebniejsza odbitka twórczej indywidualności autora. — Brak dostatecznego ogniska ideowego — i odpowiadający mu brak struktury. Jest to raczej szkic obyczajowo-dziejowy, niż powieść. — Projektowana została szerzej, następnie zwężona, wskutek czego, na śpiesznej drodze do miłego końca, pogubione zostały najistotniejsze promienie akcyi. Natomiast na plan pierwszy, niszcząc równomierność budowy, występuje i rozmieszcza się szeroko opis monarszych zalotów. — Sylweta Leopolda, korowanego nędzarza, opętańca wszechzawiści, wypadła wypukło, choć niejednokrotnie podmalowana karykaturalnością zbyt tanią i jeszcze tańszym konceptem z kategoryi

„męskich.“ Język, jak zwykle, rdzennie polski, lecz nieraz grzesznie niedbały; sumienność opisu inwentarzowa; charakterystyczna pedagogiczność wtrąceń refleksyjnych.

Mały światek nowożytny, przez Ant. Fogazzaro, — przekład Korzeniowskiej. — Jedna z mniej lichych powieści autora, co jednak nie kwalifikowałoby jej do wcielenia w naszą i tak zaśmieconą literaturę przekładową. Autor, niewolnik stronniczego pseudo-idealizmu, zdaje się tu wyzwalać, usamoistniać. Przemiana ta jednak dokonywa się bojaźliwie i nikło, z piętnem burżuazyjnej pigmejowości w rozmiarach i głębi tła, zjawisk i procesów odrodczych. — Tłómaczenie nędzne, robota martwa, pośpieszna, niedokładna — maszynowa.

Gyurkovicsowie, przez Fr. Herczeg'a, tłómaczyła B. Jaroszewska. — Trzytomowe gawędzenie „bywalca“ o innych bywalcach światka zwanego „towarzystwem,“ z zaletami prostoty, humoru, bystrości, niekiedy finezyi samorodnej, i pewnej czardaszowej werwy, nie wychodzącej zresztą po za obręb „przyzwoitości“ i przeciętności, co razem tłómaczy wspomniane w przedmowie „powodzenie“ tych gawęd i „robienie kasy“ na scenie. — *Z* kolei — owem „powodzeniem“ objaśnić można stopniowe w 2 dalszych tomach stępienie cięłości satyrycznej i zblaknięcie quasi romantycznego rozmachu fantazyi, cechujących tom pierwszy, oraz zastąpienie ich coraz nieszkodliwszą, „sympatyczniejszą“ dobrodusznością. Są to charakterystyczne owoce traktatu z Fortuną i wolnej z nią wymiany laisser-faire'yzmu na dobra doczesne. — Przekład staranny, lepszy od wyboru przełożonej książki.

Pro Christo, przez Jerzego Bogurada. — Panoramy Styki na papierze. Bezskuteczne zasłanianie swej twórczej nicości ogromem tematu, którego wyzyskiwanie w ten sposób jest najcięższą zniewagą, gdyż, nie budząc silnej reakcyi oburzenia, poniża nieuchwytnie, gorszy bezkarnie. Niedołęstwo obrazowania absolutne. Język płaski i pretensyonalny. Opłakany melodramat, parodyujący najgłębsze Misterya Bytu.

Humoreski, przez Fr. Reinszteina. — Pseudo-humorystyczne śmiecie brukowe, rozprowadzające pewną nikłą suggestyę Twain'a w mdłej wodzie pół-udanej filisterskiej dobroduszności. Chude w treści, sztywne i jednostajne w ruchu słów, i jak wszystkie nieudane koncepty, — niesmaczne i budzące spleen.

Morderstwo na rue Morgue, przez Edgara Allana Poe'go, przełożył W. Szukiewicz. — Tłómaczenie niniejsze jest jednym z tych nieprawdopodobnych występków przeciw Geniuszowi i Sztuce, które swą

bezkarną możliwość zawdzięczają równie nieprawdobnej ciemnocie naszych sfer wydawniczych i czytających. — Język tłómacza jest zespołem najgrubszego nieuctwa, prostackiej niedbałości i tępego lenistwa. — Plącze się on beztroskliwie w arabeskowych zwojach stylu Poe'go, nie kłopocząc się o ich znaczenie, ani nawet o składnię; błędy gramatyczne jeżą się na każdej niemal stronicy; ohydne neologizmy plugawią okres po okresie; treść oryginału osłabia dobór słów wytartych, wodnistych, odbarwionych; ustępy trudniejsze znamionuje jakaś bezprzytomność tłómaczenia dosłownego, z którego wykwitają nieprzebite mroki absurdu. — Niezmierny duch Poe'go z wandalizmu tej roboty bezwstydnej i świętokradzkiej wyszedł okaleczony i obrabowany z najświetniejszych swych blasków, i świeci po przez nią jak słońce przez mierzwę.

Na odajach stepowych, przez Miecznika. — Niewyzyskane tworzywo powieści, z rudą talentu, niedbale przez autora wyzyskaną, przeto dotychczas nieobliczalną. — Nawet „fabuła,“ będąca celem książki, rozwija się słabo, bezsilnie w chwilach dramatycznych, i rozprzęga się dowolnie. Zadatkami lepszej niż licha teraźniejszość przyszłości mogłyby być zalety: niewymuszona prostota, szczerość ekspresyi — i pewna wrażliwość na przyrodę, odbijająca dość jaskrawie od psychologicznego niedołęstwa.

Dworzanin Królewicza Jakóba, przez Teresę Jadwigę.—Wszelkie *prawdziwe dzieło sztuki* jest nierozerwalnym ślubem ducha z substancyą, idei z kształtem. — Nieobecność jednego z tych zasadniczych pierwiastków skazuje dany utwór na estetyczną nicość; zaś bezsilny w ekspresyi kształtowej idealizm tyleż wart co bezduszny artyzm formy. — Do pierwszej z tych dwu kategoryj dzieł poronionych należy niniejsza książka, w której cenne zalety udzielającego się zapału i pewna szlachetna poezya hartu — błąkają się nieucieleśnione ponad niedołęstwem czy niedbalstwem uplastycznień. — Usprawiedliwieniem tego kapitalnego błędu nie może być poświęcenie książki młodzieży: postulaty literatury dziecięcej są identyczne z postulatami każdej innej twórczości — tego nawet u nas dowodzić już nie trzeba.

Ojciec Kondelik i narzeczony Wejwara, przez I. Herrmann'a, przełożył z czeskiego P. Laskowski. — Rozwałkowany do objętości trzech tomów „wykrawek z życia“ mieszczańskiego, tej parodyi patryarchalności. Holenderszczyzna nie bez talentu (np. język świeży, bystrość postrzegania, dyalog charaterystyczny, zacięcie humorystyczne); lecz przytem beznadziejne rozmiłowanie, rozmlaskanie się w trywialnych komfortach, łakomstwach, figielkach, płas-

kościach ślimaczych istnień, bez żadnej, by najlżejszej pokusy lotu, mocy, ni satyry, z jedną tylko ambicyą: stwarzania pociesznych „kawałów.“ Dławiąca ciasnota widnokręgów i — co gorsza — haniebnie naturalna zgoda na tę właśnie ciasnotę. — Przekład, rzecz prosta, zbyteczny.

W szponach, przez Wandę Grot-Bęczkowską.—Cnotliwie filisterska, zmysłowo-idealna, buduarowo-sypialna, „różowo-błękitna“ woda.

Dla zabicia czasu, przez Kazimierza Laskowskiego. — „Humoreski“ w stylu „Kolców;“ płaskie, nudne i mocno sobą ucieszone koncepty reporterskie. — Cel wyrażony w tytule doskonale dopięty.

Ester, przez ks. B. Marjańskiego. — Trzytomowe liche rozwodnienie epizodu biblijnego, ozdobione zdawkową i martwą erudycyą.

Finlandya w oświetleniu literackiem, podług Brausewettera opracowała G. Plewińska. — „Oświetlenie,“ łojówki dobywające z ciemności rupiecie kątów, lecz zostawiające w mroku główne linie duchowe tego kraju. — Z wyjątkiem może krajobrazu, szkic wstępny jest marną bibliograficzną ramotą; „zbiór utworów“ zaś — kupą finlandzkich śmieci. — Niepojmowalne są pobudki przekładu i wydawnictwa tej nędzy wyjątkowej.

Koledzy, przez H. St. Pytlińskiego. — „Z gruntu poczciwe“ powieścidło, opisujące rozwlekle ustalenie się sercowe trzech studentów, zindywidualizowanych wyraźnie, lecz szablonowo; „wykrawek z życia“ duszy, społeczeństwa i przyrody, nie wychodzący po za powszedniość, pełny najlepszych lecz nieuskutecznionych intencyj. — Charakterystyczny brak pozy i altruistyczne *ciepło*, każące przypuszczać istnienie gorętszego wnętrza, lecz krążące w powieści systemem rur dość pospolitym.

W Kastelu, przez Jana Barszczewskiego.—Efemerydy nie bez pewnych zdolności, lecz skazane na zniknięcie wraz z kurzawą podobnych, gorszych lub lepszych, „kartek ulotnych,“ pisanych na kolanie z dziennikarską (miejscami reporterską) pobieżną werwą i „wszechstronnością.“ — „Pot-pourri“ felietonów przerozmaitej treści i dwie nowele, z których lepsza p. t. „Bryła.“

Bez duszy, przez Cecylię Walewską. — Tytuł niniejszej „fantazyi powieściowej“ jest jej najzwięźlejszem określeniem i możnaby na niem poprzestać, gdyby nie *wystawowość* okazu, który jest kwintesencyą *warszawszczyzny*. — Na podatnym gruncie wielomówności damskiej rozrosła się ona bujnie „estetyzmem“ szwalni, „dreszczowością“ piernatów, „demonicznością“ tucznych indyk, „mistycyzmem“ strachów na wróble, „poezyą“ fajerwerków, „użyciem“ utrzymanek mniej więcej legalnych i „dramatycznością“ sztuk „ludowych.“ —

Zawrotna elukubracya na temat „zbudzenia się serca“ w „kobieciepołsągu,“ do której odsyłamy żądnych informacyi bliższej.

W biurze telegraficznem, przez Matyldę Serao. — Jedno z niezliczonych zagranicznych rupieci, które w tłómaczeniach powiększają domorosłe śmietnisko.

Z teki wrażeń, przez L. Jahołkowską-Koszutską. — Autorka zamiast nękać „realizmem,“ czyha z „autoanalizą,“ zaczerpniętą z „Bez Dogmatu“ i „Znużonych dusz“ przez mózg „dwa razy większy od kurzego.“ — Snobizm z przed lat kilku (echa jego tułają się dotąd jeszcze), który obowiązywał wtedy „ofiary przerafinowania“ do samokrytycznego dłubania w nosie i „rozbierania kwestyj“ mniej więcej „palących.“ — Po za tem werwa pensyonarska siląca się na styl „męski,“ — złośliwość kobiety - zawsze - rywalki, sentymentalizm. — Tu i owdzie rozwiewające się wśród banalności tekstu zaczątki szczerych uczuć. — Niemile rażą z warszawska spieszczone wyrazy jak np. „tonik,“ „chlewek,“ „bydełko,“ oraz częste zapożyczanie się wyobraźni u konfekcyi damskiej.

Przekonana, przez A. Suszczyńską. — Bezecna banalność łączy się w tej ramocie z hańbą zgniłego języka. — Świat oglądany z five o'clock'owej kanapy, zdobny poezyą „oka“ i „drażniących“ „kostyumów.“ — Tragedya sroki.

Szkice z pamięci, przez Kazimierza Witte'go. — Mazanie ślimaka śluzem po piasku.

Obrazki, przez Pazia. — Autor zdaje się nie mieć najlżejszego pojęcia, czem jest tworzenie i do czego obowiązuje. Nie posiada też w tym kierunku intuicyi, a dobra wola jest niedostateczną. Najlepszy pomysł nie okupi artystycznego niedołęstwa, przeciwnie nawet, tem wyraźniej je zaznaczy.

Jastrząb contra Hordliczka, przez Św. Czecha. — Powiastka pełna dyskretnego wdzięku i zadumy nostalgicznej. Miarę przekładu daje tytuł, w którym tłómacz, mało się troszcząc o swe braki słownikowe, nazwisko *Hrdliczka* (synogarlica) spolszczył wedle znanego mu zapewne szyldu z Placu Teatralnego.

Ostatnia butelka, przez Hajotę. — Typowy okaz przeciętnej miejscowej „kobiecości“ twórczej: gnuśny bezwład umysłu i ducha, i ztąd płynąca ciasnota horyzontów pojęciowych i wrażennych, która nawet Afrykę przerobi na odpowiedni sobie kojec; — niewola u rytmu twórczości męskiej, objawiająca się pseudo-„realizmem“ i pseudo - „humorem,“ skrajnie niesmacznym, niekiedy aż plugawym. — Fantazya naciągana, pełna afektacyi, oraz suggestyi kuchni, pralni, garderoby i t. p. — idealizm odcinków brukowych. — Po za

tem — o niedocieczona zagadko! — ślady niewątpliwe talentu (pewna intuicya, niekiedy nawet siła, np. w opisie orgii,) lecz w stanie skażenia, rozkładu, zżarcia przez wpływy wszelakich banalności, nieuctw, demoralizacyj estetycznych, — a przedewszystkiem przez własny autorki brak świadomości i woli Ideału.

Żeglarze, przez Kazimierza Wójcickiego. — Nic z tworzeniem ni sztuką wspólnego nie mające elukubracye, zbyteczna sentymentalna gadanina pseudo-poetyczna, budząca politowanie skrajnem niedołęstwem oraz odrażającą pozą genialności.

Nie-komedyantka, przez H. Orlicz-Garlikowską. — Nędzna, papuzio-zewnętrzna parafraza Reymontowej „Komedyantki,“ z nikłą niby-antytezą niby-myśli przewodniej i charakterystyczną atmosferą warszawskich gyneceów intelektualnych. Pływanie roskoszne po sadzawce „upajających“ samozadowoleń i zdradzanie swej łabędziowości kapitolińską wrzawą.

Własт.

SZTUKI PLASTYCZNE.

OPIEKA NAD ZABYTKAMI SZTUKI modną była przed jakimś rokiem. Co chwila czytało się lub słyszało — gorzkie wyrzuty i nawoływania z powodu wandalsko niszczonych przez ludzi lub przez zaniedbanie idących w ruinę pomników architektury kościelnej i świeckiej; rozprawy i spory na temat restauracyi czy odnawiania tychże; ostrzeżenia przed zalewającemi tandetą kościoły nasze fabrykami i handlami niemieckiemi; protesty artystów i lubowników sztuki przeciwko witrażom niemieckim w katedrze wawelskiej; alarmy z powodu wykupujących tak rzadkie już u nas dzieła sztuki dawnej cudzoziemskich agentów i handlarzy starożytności; pomysły zakładania muzeów prowincyonalnych (Płock, Łomża, Lublin, Sandomierz, Radom), oraz towarzystw opieki nad zabytkami sztuki; entuzyastyczne, wreszcie, wiadomości o nielicznych pożądanych, istotnie artystycznych w dziedzinie tej przedsięwzięciach i rezultatach. Można było mniemać, że, po długich dobach opieszałości i martwoty, zbudził się nareszcie ruch żywy, płodny i nieobliczalnemi brzemienny następstwami. Niestety, jak powiadamy, była to moda tylko, i jako taka trwała krótko. Wszystko wstrzymało się, zmilkło, przygasło, właśnie w chwili, gdy fakta pierwszorzędnego znaczenia zdawały się wymagać zabrania głosu, położenia kategorycznego nacisku, roztrząśnięcia ścisłego podstawowych, samą istoty sztuki zatrącają-

cych postulatów. Mówiąc to, mamy przedewszystkiem na myśli dochodzące zewsząd wieści o odebraniu wielkiemu artyście Józefowi Mehofferowi oddanej mu przed półtoraroczem, na podstawie szczegółowych szkiców i kartonów, polichromii wewnętrznej w katedrze płockiej, — oraz pojawienie się dwóch broszur: hr. Karola Lanckorońskiego i prof. Józefa Mehoffera, z powodu prowadzonych w katedrze wawelskiej robót restauracyjnych. Kwestyi katedry płockiej nie chcemy dzisiaj poruszać. Nie wierzymy dotąd w obiegające pogłoski, ufamy niezłomnie, że było to tylko chwilowe nieporozumienie, że wszelkie względy osobiste czy niezgody w poglądach na szczegóły artystyczne ustąpią, w sferach decydujących, przed szczerem, gorącem pragnieniem podniesienia i uzupełnienia pięknie odbudowanego gmachu wielką, monumentalną dekoracyą wewnętrzną, która jak imponującą, jak jedynąby była, świadczy zachwyt ogólny przed wystawionemi na ostatniej ekspozycyi „Sztuki“ krakowskiej polichromicznemi naturalnej wielkości kartonami. — Koniecznem natomiast i nader pilnem wydaje nam się choćby najzwięźlejsze rozpatrzenie wymienionych broszurek i wyprowadzenie wniosków kategorycznych o zawartym w nich kontrowersie. Koniecznem — bo nie o byle co tam chodzi, nie o jakiś fakt poszczególny, choćby tak ważny, jak odnowa katedry wawelskiej, lecz o najbardziej zasadnicze kwestye sztuki, talentu i znawstwa, o kamienie węgielne, na których wspiera się cały gmach kultury artystycznej. Pilnem — bo pisemko hr. Lanckorońskiego, „pchane“ wszelkiemi sposobami, dołączane gratis do czasopism w dziesiątkach tysięcy egzemplarzy, otoczone zresztą aureolą hrabstwa i wiedeńskiego znawstwa, zdołało już wywołać skutki fatalne, którym nie mogły zapobiedz doskonałe, głębokie, konsekwentne, ale „nielansowane“ tak wytrwale *Uwagi o sztuce* Mehoffera. Czasopisma, zwłaszcza te, które dołączały dla czytelników swych wywody hr. L., miały obowiązek, po ukazaniu się odpowiedzi Mehoffera, rozpatrzyć szczegółowo lub przynajmniej dokładnie streścić zawarte w niej przeciw - dowody. Uchyliwszy się od tego, upoważniły do dwóch, co najmniej, przypuszczeń: że zasadnicze kwestye sztuki są im zupełnie obojętne, i że wspomniane wyżej nawoływania o opiekę nad losem zabytków artystycznych czczym, zdawkowym były frazesem.

Hr. Lanckoroński jawi się bardzo wyraziście, w swem „*Nieco* o nowych robotach w katedrze na Wawelu,“ jako dość częsty dzisiaj typ formułkowego znawcy - archeologa, uznającego tylko sztukę, która „przetrwała wieki,“ albo przynajmntej „zwyciężyła już w walce o byt,“ ale zaskoczonego niespodzianem *en vogue* nowych in-

dywidualności i kierunków i — przez lęk przed zarzutem ciasnoty czy pedantyzmu — udającego, że je rozumie i podziwia — z zastrzeżeniami. Właściwie, znawca taki *udaje* również — choć tym razem bezwiednie, pod nieodpartą suggestyą patyny czasów i ogólnego zdania — zrozumienie i admiracyę względem uznawanej przez się, „wyjętej oddawna z dyskusyi“ sztuki czasów minionych. Rozumie on i admiruje nie talenty i dzieła, lecz nazwiska uznane i daty chronologiczne. Uwielbia *całego* Fra Angelica, *całego* Velasqueza, *całego* Dürera, nie zna u tych „wielkich mistrzów“ nic mniej godnego uwagi, nie widzi pomiędzy nimi żadnych zasadniczych różnic, przeciwieństw, „zbyt silnych podkreślań własnej indywidualności.“ Gorzej, podziwia jednako Puvis de Chavannes'a i opata Woltera z Beuronu, Burne-Jones'a i Flandrina lub Overbecka. Podziwia *całą* przeszłość, nie dostrzega w niej przełomów, odskoków, rewolucyj, śmiałości i nawet „barbarzyństw.“ Wszystko zasnuwa mu się tam jakąś błogą, jednostajną szarzyzną „doskonałości,“ od której gwałtownie odskakują dopiero „pełne silnego talentu,“ ale „na szczęście“ odrzucane dzięki „zwycięztwu zdrowego rozsądku“ „eksperymenty“ dzisiejszych „jeszcze w rozwoju będących“ kierunków. I oto gotowe przenaiwne wyznanie, że „różnica między lewem skrzydłem (!?) najnowszego malarstwa a malarstwem wszystkich dawniejszych epok wydaje się być większą, niż różnica malarstwa tych epok między sobą.“ Mimowoli przychodzi na myśl wyborne określenie z dawniejszych Mehofferowskich *Uwag o sztuce i jej stosunku do natury* (1897), że „tak zwani znawcy, to są ludzie, którzy się dosyć zajmowali sztuką, nie mając jednak na tyle duszy artystycznej, aby potrafili objąć wszystkie drogi, któremi dusza ta chodzi.“ Mogą oni dużo wiedzieć, mogą nawet, „przez ciągłe stykanie się z dziełami wszystkich epok i wszystkich narodów,“ wyrobić w sobie jakiś powierzchowny smak antykwarsko-bibelociarski, — że wszakże brak im zupełnie głębszej wrażliwości, instynktu, poczucia sztuki, więc, uznając na wiarę cały już zinwentarzowany w historyach czy podręcznikach dorobek artystyczny, stają bezradnie przed każdem nowem dziełem samoistnego talentu. Przepowiadają sobie stare, częstokroć zupełnie słuszne zasady estetyczne i próbują zwalczać niemi nowatorstwa „młodych apelesów i fidyaszów,“ niezdolni dostrzedz, że te ostatnie, pod nowym kątem widzenia, stwierdzają właśnie raz jeszcze i w całej rozciągłości najwewnętrzniejszą owych zasad istotę. Jaki przerażający galimatyas powstać może z powiązania takich niezaprzeczalnych postulatów z najniedołężniejszemi, najfałszywszemi ich przystosowaniami, — świadczy epokowo *Nieco etc.* hr. Lancko-

rońskiego. Oto kilka zestawień, decydujących o całości. *Teorya:* patyna czasu godzi rzeczy nawet niezgodne (np. gotyckie katedry francuzkie z dodatkami w stylu Ludwików XV i XVI). *Praktyka:* patyna ta bezsilną będzie względem malowideł „pierwszorzędnych talentów" dzisiejszych na murach katedry wawelskiej (dodajmy, że i bez tych malowideł bardzo różnostylowej). *Teorya:* niwelacyjne doktryny t. zw. czystości i jedności stylu przy odnowach starych zabytków, zamiast zdrowej twórczości artystycznej, prowadzą do czczych, mniej więcej udatnych imitacyj rzeczy z innego wieku. *Praktyka:* trzeba godzić tradycye dawnych mistrzów z właściwym każdemu temperamentem i z uczuciami własnej epoki, malarze zaś dzisiejsi są zdolni, ale nie umieją dostroić swej duszy i kolorów swej palety do atmosfery murów katedry krakowskiej. *Teorya:* nie trzeba ścierać ze starego gmachu śladów życia, zostawionych przez wieki minione. *Praktyka:* trzeba katedrę krakowską tylko chronić od ruiny, ale strzedz się wszystkiego, coby na niej pozostawić mogło ślad życia dzisiejszej epoki. *Teorya:* „połowiczne zrozumienie (czy nie odczucie?) dawnych epok i ich zabytków prowadzi do uszkodzenia, zupełne zaś do prawdziwego konserwowania zabytków." *Praktyka:* „wymaga się od kierownika restauracyi starego gmachu przedewszystkiem wielkiego uszanowania (więc: zrozumienia lub, lepiej, odczucia, czy też tylko „uszanowania"?) przeszłości i wielkiego wyrzeczenia się siebie (w takim razie, wyrzeczenia się i swych subjektywnych ostatecznie zrozumień czy odczuć, zbiernienia się zupełnego!). DUŻE ARTYSTYCZNE ZDOLNOŚCI NAJCZĘŚCIEJ MOGĄ BYĆ SZKODLIWE..." — I otośmy nakoniec u jądra rzeczy. Wszystkie piękne ogólniki teoretyczne, powtarzane za Ruskinem, czy kimkolwiek innym, były sobie ogólnikami, z któremi rzeczywiste, własne przekonania hr. L. nic nie mają wspólnego. Jedyną normą, jedynym postulatem, przy restauracyi zabytków dawnej sztuki, jest dla niego tradycya, — ale źle zrozumiana, martwa, polegająca na przeżuwaniu form starych. Świadczą o tem nietylko wyrażenia broszurki, lecz i ofiarowane przez autora do katedry wawelskiej bezduszne pastisze: sarkofag Jadwigi i pomnik Oleśnickiego. Talent prawdziwy, który, z natury swej, jedynie zdolen jest odczuć twórczo ducha przeszłości, i który, biorąc natchnienie z form i wyrazów jej życia, tworzy formy nowe, dzisiejsze, będące tej przeszłości żywym dalszym ciągiem, — bawi się, według hr. L., w „eksperymenty." Tak, jakby wszystkie wielkie twory mistrzów przeszłości powstawały odrazu, z założenia, z całą pewnością i świadomością, jako arcydzieła; tak, jakby tam także nie było niepewności, wahań się i prób;

tak, jakby *każde* wielkie dzieło twórcze „eksperymentem“ nie było i być nie musiało. Że hr. L. nie ma dość głęboko wrażliwej duszy, aby módz odczuć tę ciągłość ducha i życia w monumentalnych dziełach „pierwszorzędnych talentów“ dzisiejszych (o, jakże to ostatnie wyrażenie brzmi teraz nieszczerze! jakże snobizmem pachnie!); że, z drugiej strony, nie mają one jedynem dlań kryteryum będącego uświęcenia wieków, — więc „doświadczenia“ te wydają mu się niebezpiecznemi, świadczącemi o braku poszanowania dla starych zabytków. Precz zatem z restauracyami i odnowami! Podtrzymywać tylko i chronić od ruiny. Albo lepiej jeszcze — precz z talentem, precz z dużemi zdolnościami artystycznemi, które najczęściej mogą być szkodliwe, i niech żyją pokorna mierność, trwożliwa bezpłciowość, ślepe naśladownictwa i łataniny, szablon tchórzliwy i powierzchowny.—Pozytywne zarzuty przeciwko malowidłom w katedrze wawelskiej? Wszystko to, co razi hr. Lanckorońskiego u dzisiejszych „pierwszorzędnych talentów,“ wszystkie dziwactwa, gesty zbyt naturalistyczne, kolory „nader jaskrawe,“ „zbyt silne podkreślanie własnej indywidualności,“ przypomnieć mu możemy u najuznańszych mistrzów przeszłości. — Jesteśmy też pewni, że gdyby żył w którymkolwiek z wieków minionych, oponowałby i agitował przeciwko Orcagnom, Michałom Aniołom, Botticellim i t. d. tak samo, jak dziś oponuje i agituje przeciwko Mehofferom i Wyspiańskim, a gdyby miał podobną jak dziś aureolę znawcy, „kunstrata,“ i połączone z nią wpływy, pozbawiłby historyę sztuki niejednego z owych dzieł wielkich, które dzisiaj sam podobno uwielbia czy łaskawie uznaje. Cóż robić? Są już takie hamulce przy tryumfalnym wozie sztuki. Nikt chyba wszakże z taką, jak hr. L., otwartością nie podniósł do dogmatu, do zasady — „szkodliwości talentu“ przy restauracych zabytków artystycznych. W nielubiącej wszelkich niezwykłości, do jakich i talent należy, epoce naszej, enuncyacye takie chętny natychmiast znajdują posłuch — i mieliśmy sposobność przekonać się osobiście, że zwolennicy pozbawionych tego „szkodliwego“ pierwiastku fabrykatów monachijskich, düsseldorfskich czy monasterskich śmielej znów dziś podnoszą głowy i głosy. Nowy zalew lichot i ohyd wdzięczna potomność będzie mogła przypisać naszemu „europejskiemu“ znawcy. Spokojna, lecz stanowcza, pełna gorącości dusznej, krzepkości myślowej i erudycyi bogatej, odpowiedź J. Mehoffera, którą *Ver sacrum* wiedeńskie zamieściło w przekładzie (1903, № 14),— energiczne, i nienader pochlebne pod aresem hr. L., znalazła za granicą echo. U nas tylko cicho o niej, a pomiędzy artystami — o dziwo! — nawet nieprzychylnie. Za delikatna — powiadają. Nie krzy-

kiem, nie brutalnością zwycięża się w sporach takich, lecz pełnią treści, a tej u Mehoffera starczyłoby na cztery nowe „Nieco“ 'hr. Lanckorońskiego.

Z. P.

KSIĄŻKI NADESŁANE.

POEZYA. — G. d'Annunzio. *Le laudi.* Milano. Fr. Treves. — K. Balmont. *Budiem kak solnce.* Moskwa. „Skorpion“ — Iw. Bunin. *Listopad. Stichotworenia.* Moskwa. „Skorpion.“ — D-moll. *Święto słońca.* Lwów. Księg. Polska. — K. Gliński. *Poezye.* Warszawa. Bibl. Dz. Wyb — B. Hertz. *Bajki.* Kraków. —Homer. *Iliada. (Pomór - Gniew).* Tekst grecki L. Sternbacha, przekład J. Słowackiego, ilustracye St. Wyspiańskiego. Kraków. Nakł. H. Altenberga (Lwów). — E. Janowska. *Z wydartych kart.* Warszawa. J. Fiszer. — M. Konopnicka. *Obrazki. — Pieśni i piosnki.—Z mojej księgi.* (Poezyj w nowym układzie tom III, IV i V). Warszawa. Geb. i Wolff. — P. Leppin. *Glocken die im Dunkeln rufen.* Mit Bildern von H. Steiner. Köln. Schafstein et Co. — J. Mirski. *Tajemnice.* Lwów. Księg. Polska. — A. Mogilnicki. *Z jasnych dni.* Łódź. Skł. gł. u Wegnera i Rychlińskiego. — J. Nawrocki. *Strofy.* Lwów. Księg. Polska. — B. Ostrowska (Edma Mierz). *Opale.* Warszawa. J. Fiszer. — A. Puszkin (tłóm. Leo Belmont). *Eugeniusz Oniegin.* Kraków. Gebethner i S-ka. — *Siewiernyje cwiety* na 1901, 1902 i 1903 goda, sobrannyje Knihoizdatielstwom „Skorpion.“ Moskwa. Trzy tomy. — L. Staff. *Dzień duszy.* Lwów. Księg. Polska. — C. Stattlerowa, oraz Hel., Klem. i Mar. Stattlerówny. *Poezye.* Warszawa. Gebethner i Wolff. — P. Stefan. *Der Heimatsucher.* Linz. O — ö. Verlagsgesellschaft. — Z. A. Tyszki. *Poezye.* Skł. gł. u J. Fiszera. — J. Wiśniowski. *Poezye.* II. Lwów. Tow. Wydawn. — Fr. Zabłocki. *Pisma.* (Ody, pasterki, satyry, wiersze rozmaite, pamflety polityczne wierszem i prozą, przekłady i naśladowania, urywki różnych komedyj). Zebrał i wydał dr. B. Erzepki. Poznań. — Wł. Zalewski. *Skrzydła wichrowe.* Warszawa. Gebethner i Wolff.

POWIEŚĆ. — W. Berent. *Próchno.* Warszawa. Gebethner i Wolff. — W. Berent. *Fachowiec.* Warszawa. Gebethner i Wolff. — B. Biernacki. *Biuraliści.* Warszawa. Bibl. Dz. Wyb. — E. Bogdanowicz. *Pan Zagłoba i Dyogenes.* Warszawa. Bibl. Dz. Wyb. — P. Bourget. *Po szczeblach.* Warszawa. Bibl. Dz. Wyb. — Bret - Harte. *Ostatnie nowele.* Warszawa. Bibl Dz. Wyb. — F. Brodowski. *Chwile.* Warszawa. Gebethner i Wolff. — H. Caine. *Izrael.* Warszawa. Cohn. — F. Chwalibóg. *Humoreski.* Lwów. Tow. Wydawn. — Conan Doyle. *Pies Baskerville'ów.* 2 części. Warszawa. Bibl. Dz. Wyb. — G. Daniłowski. *Dwa głosy.* Warszawa. Gebethner i Wolff. — M. Domańska. *Cicha moc.* Warszawa. Bibl. Dz. Wyb. — A. Fogazzaro. *Mały światek nowożytny.* 2 części. Warszawa. Bibl. Dzieł Wybor. — H. Orlicz-Garlikowska. *Nie Komedyantka.* Warszawa. J. Fiszer. — S. Gacki. *Rozdźwięki.* Warszawa. Jan Fiszer. — E. Gebhart. *Przy dźwięku dzwonów.* Warszawa. Bibl. Dzieł Wyb. — A. Gide. *L'immoraliste.* Paris. Mercure de France — K. Gliński. *Pan Filip z Konopi.* Warszawa. Gebethner i Wolff. — K. Gliński. *W Babinie.* Warszawa. Gebethner i Wolff. — W. Gomulicki. *Miecz i Łokieć.* Warszawa. Gebethner i Wolff. — Hajota. *Ostatnia butelka.* 3 części. Warszawa. Bibl. Dz. Wyb. — K. Hamsun. *Pan.* Moskwa. „Skorpion.“ — K. Hamsun. *Siesta.* Moskwa. „Skorpion.“ — K. Hamsun. *Drama żiźni.* Moskwa. „Skorpion.“ — I. Herrmann. *Ojciec Kondelik i narzeczony Wejwara.* Warszawa. Bibl. Dz. Wyb. — Ire ad sol. *Głód życia.* Warszawa. Skł. gł. w Księg. Naukowej. — K. Irzykowski. *Pałuba.* Lwów. Księg. Polska. — E. Jeleńska. *Z miłości.* Warszawa. Gebethner i Wolff. — T. T. Jeż. *Miłość w opałach.* 2 części. Warszawa.

Bibl. Dz. Wyb. — M. Jokai. *Czarna krew.* Warszawa. Bibl. Dz. Wyb. — A. Kielland. *Kapitan Worse.* Warszawa. Bibl. Dz. Wyb. — M. Komornicka. *Biesy.* Warszawa. Nakład Chimery. — A. Krzyżanowski. *Ogniwa.* Warszawa. K. Idzikowski. — Aleksandra Łapińska, *Z ludzkich dróg.* Warszawa. E. Wende i S-ka. — M. Manteuffel. *Statyści.* Warszawa. Bibl. Dz. Wyb. — A. Miecznik. *Na odajach stepowych.* Warszawa. Skł. gł. u J. Fiszera. — A. Miecznik. *Historya o królewiczu Milanie.* Warszawa. Jan Fiszer. — A. Miecznik. *Cztery dni.* Warszawa. Bibl. Dz. Wyb. — D. Mereżkowskij. *Lubow' silnieje smierti.* Moskwa. „Skorpion.“ — W. Morris. *Wieści z nikąd.* Lwów. H. Altenberg. — Multatuli. *Maks Havelaar.* Warszawa. Bibl. Dz. Wyb. — A. Niemojewski. *Listopad.* Łódź. Rychliński i Wegner. — *Nowele amerykańskie.* Warszawa. Bibl Dz. Wyb. — J. Ohr. *Miliony.* Warszawa. Bibl. Dz. Wyb. — E. Orzeszkowa. *Mirtala.* Warszawa. Gebethner i Wolff. — E. Orzeszkowa. *Czciciel potęgi.* Warszawa. Gebethner i Wolff. — E. Orzeszkowa. *Anastazya.* Warszawa. Gebethner i Wolff. — E. Orzeszkowa. *Przędze.* Warszawa. Gebethner i Wolff. — Ostoja. *Nad morzem.* Warszawa. Bibl. Dz. Wyb. — J. Peladan. *Citové zasviecení* Praha. Symposion. — J. Piasecki. *Walka.* Warszawa. Bibl. Dz. Wyb. — E. A. Poe. *Morderstwo na rue Morgue* Lwów. Księg. Polska. — M. Prévost. *Listy do Frani.* Warszawa. Gebethner i Wolff. — W. Przeradzka. *Fragment.* Warszawa. F. Przeradzki. — F. Reinstein. *Humoreski.* Warszawa. Bibl. Dz. Wyb. — Wł. St. Reymont. *Komurasaki.* Warszawa. Nakł. Chimery. — B. Jaksa-Ronikier. *Promienna toń.* Warszawa. Bibl. Dz. Wyb. — E. Rod. *Daremne wysiłki.* Warszawa. Bibl. Dz. Wyb. — George Sand. *Ostatnia z Aldinich.* Warszawa. Bibl. Dz. Wyb. — M. Schwob (przekł Miriama). *Krucyata dziecięca.* Warszawa. Nakł. Chimery. — H. Sienkiewicz. *Za chlebem.* Warszawa. Gebethner i Wolff. — W. Sieroszewski. *Brzask.* Warszawa. Nakład. autora. — Teresa Jadwiga. *Dworzanin królewicza Jakóba.* Warszawa. Sadowski. — J. Terpiłowska. *Przystań.* Warszawa. Gebethner i Wolff. — K. Tetmajer. *Na skalnem Podhalu.* Warszawa. Gebethner i Wolff. — Vera. *Jedna dla wielu.* Łódź. Rychliński i Wegner. — C. Walewska. *Historya dzieci.* Warszawa. Bibl. Dz. Wyb. — W. Weresajew. *Na Bezdrożu.* Lwów. H. Altenberg. — J. Weyssenhoff. *Za błękitami.* Warszawa. Gebethner i Wolff. — J. Weyssenhoff. *Zaręczyny Jana Bełzkiego.* Warszawa. Gebethner i Wolff. — K. Wóycicki. *Żeglarze.* Warszawa. J. Lisowska. — G. Zapolska-Janowska. *Jak tęcza.* Lwów. Księg. Polska. — H. Zbierzchowski. *Przed wschodem słońca.* Lwów. H. Altenberg. — J. Zeyer (przekł. Miriama). *Król Kofetua.* Warszawa. Nakł. Chimery. — J. Żuławski. *Na srebrnym globie.* Lwów. Towarz. wydawnicze.

TEATR. — G. d'Annunzio. *Sny pór roku.* Lwów. Altenberg. — Björnstjerne Björnson. *Laboremus.* Lwów. H. Altenberg. — R. Bracco. *Pietro Caruso.* Lwów. H. Altenberg. — Euripides. *Cyklop.* (Przekł. J. Kasprowicza). Lwów. H. Altenberg. — M. Gorkij. *Na dnie.* Monachium. J. Marchlewski. — Fr. Grillparzer. *Biada kłamcy.* Lwów. H. Altenberg. — Heijermanns Herman jr. *Nadzieja.* Lwów. H. Altenberg. — H. Ibsen. *Rycerze północy.* Lwów. H. Altenberg. — C. Jellenta. *Kraswa.* Z cyklu „Mity.“ Kraków. Nakł. autora. — Z. Kawecki. *Dramat Kaliny.* Lwów. H. Altenberg. — J. A. Kisielewski. *Sonata.* Lwów. Tow. wydawn. — J. A. Kisielewski. *W sieci.* Lwów. Tow. wydawn. — M. Maeterlinck. *Intruz.* Lwów. H. Altenberg, — M. Maeterlinck. *Ślepcy.* Lwów. H. Altenberg. — P. Ch. de Marivaux. *Igraszki trafu i miłości.* Lwów. H. Altenberg. — A. Miecznik. *Mistrz Twardowski.* Bytu ludzkiego misteryum. Warszawa. J. Fiszer. — A. Schnitzler. *Zielonyj papugaj.* Moskwa. „Skorpion.“ — R. Wagner. (Przeł. T. Mianowski). *Walkirya.* Lwów. Księg. Polska. — Hr. de Villiers de l'Isle Adam (przekł. Miriama). *Axel.* Warszawa. Nakł. Chimery.

STUDYA LITERACKIE I ESTETYCZNE. — A. Brückner. *Z dziejów języka polskiego.* Lwów. Tow. wydawn. — *Charakterystyki literackie.* (*Stefan Żeromski* — przez T. Gałeckiego; *Stanisław Przybyszewski* — przez Z. Bytkowskiego). Lwów. H.

Altenberg. – P. Chmielowski. *Najnowsze prądy w poezyi naszej.* Lwów. H. Altenberg. — P. Chmielowski. *Dramat polski doby najnowszej.* Lwów. H. Altenberg. — P. Chmielowski. *Stylistyka polska wraz z nauką kompozycyi pisarskiej.* Warszawa. Gebethner i Wolff. — P. Chmielowski. *Dzieje krytyki literackiej w Polsce.* Warszawa. Gebethner i Wolff. — E. Gaubert. *La poésie tchèque contemporaine.* Paris. Bibl. Intern. d'édition. — A. Gide. *Prétextes. Réflexions sur quelques points de Littérature et de Morale.* Paris. Mercure de France. – Wł. Jabłonowski. *Emil Zola.* Warszawa. Sennewald. – Dr. J. Karasek. *Czeszka literatura u novije doba.* Novy Sad. Brat. M. Popowicz. — J. Kurnatowski. *Nietzsche.* Łódź. Rychliński i Wegner. — G. Landsberg. *Dołoj Haupmanna!* Moskwa. „Skorpion." – N. Lerner. *A. S. Puszkin. Trudy i dni.* Moskwa. „Skorpion." — I. Matuszewski. *Twórczość i twórcy.* Warszawa. Gebethner i Wolff. — M. Muttermilch. *Piewca niedoli. Wacław Sieroszewski.* Kraków. Skł. gł. u Gebethnera i S-ki. — Dr. G. Piotrowski. *Zola i naturalizm.* Lwów. H. Altenberg. – W. Presser. *Stanisław Przybyszewski.* Lwów. Księg. Polska. — *Piśma Puszkina i k Puszkinu.* Nowyje matieriały sobrannyje knihoizdatielstwom „Skorpion." Moskwa. – M. Rygier. *Maria Konopnicka nel suo Giubileo.* Roma. Nuova Antologia. — J. A. Święcicki. *Historya literatury powszechnej.* Tom. V. *Literatura perska. Część 2:* tom VI, 2 części, oraz tom VII, część 1-sza: *Literatura żydowska.* Warszawa. Bibl. Dz Wyb. — St. Witkiewicz. *Dziwny człowiek.* Lwów. Tow. wydawn. – K. F. Wize. *W godzinie myśli.* O istocie sztuki. Wydanie 2-gie. Kraków. Nakł. autora.

SZTUKI PLASTYCZNE. — Barlach—M. Wawrzeniecki. *Zasady rysunku i kompozycyi (układu) postaci ludzkiej.* Warszawa. B. Wierzbicki. — A. Basler, P. Jaudon, St. Gierszyński, Ch. Morice, A. Fontainas, M. Reja, V. Josz etc.: *Boleslas Biegas Sculpteur.* Paris. La Plume. — *L'exposition internationale des arts décoratifs modernes à Turin 1902.* Directeur A. Koch. Texte par G. Fuchs et F. H. Newberg. Darmstadt. A. Koch. — *Teka grona Konserwatorów Galicyi Zachodniej.* Tom 1-szy. Kraków. Nakł. Grona Konserwatorów Galicyi Zachodniej.

NAUKI FILOZOFICZNE. – H. Bergson. *Śmiech.* Lwów. H. Altenberg. — F. Laudowicz. *Wesen und Ursprung der Lehre von der Praexistenz der Seelen-Wanderung in der griechischen Philosophie.* Berlin. Selbstverlag des Verfassers.—Fr. Nietzsche (przekł. St. Wyrzykowskiego). *Dusza dostojna.* Warszawa. Nakł. Chimery.— J. Simmel. *Zagadnienia filozofii dziejów.* Przegl. filoz. Warszawa.—W. Windelband. *Platon.* Przegl. filoz. Warszawa.

HISTORYA. — Sz. Askenazy. *Wczasy historyczne.* Warszawa. Gebethner i Wolff. — A. Białkowski. *Pamiętniki starego żołnierza (1806—1814).* Warszawa. Gebethner i Wolff. — A. Bonnefon. *Sprzymierzeniec Napoleona, Fryderyk August, Król Saski i W. Książe Warszawski.* Warszawa. Bibl. Dz. Wyb. — Ph. B. Callimachi *Vita et mores Gregorii Sanocei.* Cracoviae. Sumpt. Univ. Jagellon. — *Szlakiem legionów. Z pamiętników Dez. Chłapowkiego. II. Wojna 1830—1831.* Warszawa. Gebethner i Wolff. — *Codex diplomaticus universitatis studii generalis Cracoviensis. Pars Quinta ab anno 1549 usque ad annum 1605.* Cracoviae. Sumpt. Univ. Jagell. — J. Fijałek. *Polonia apud Italos scholastica. Saeculum XV.* .Fasciculus I. Cracoviae. Sumpt. Univ. Jagell. — J. F. Gajsler. *Dzieje Węgier w zarysie.* Tom III. Warszawa. Skł. gł. u E. Wendego. — Dr. M. Gumplowicz. *Początki religii żydowskiej w Polsce.* Warszawa. Wende i S-ka. — T. Korzon. *Historya nowożytna.* Tom II-gi. Od 1649 do 1788 roku. Warszawa. Gebethner i Wolff. — Prez. Krüger. *Pamiętniki.* 2 części. Warszawa. Bibl. Dz. Wyb. — Kaz. Morawski. *Historya uniwersytetu jagiellońskiego. Średnie wieki i odrodzenie. Ze wstępem o uniwersytecie Kazimierza Wielkiego.* 2 tomy. Kraków. Z drukarni Uniw. Jagiell. — A. Sorel. *Sprawa wschodnia w XVIII wieku.* Wyd. nowe. Lwów. H. Altenberg. — Ludwik

Szczaniecki. *Dziennik.* Warszawa. Skł. gł. u Wendego i S-ki. — Jan. de Wet. *Trzy lata wojny o niepodległość.* 2 części. Warszawa. Bibl. Dz. Wyb.

NAUKI SPOŁECZNE. — G.d'Avenel. *Mechanizm życia współczesnego.* Lwów. H. Altenberg. — Dr. Z. Balicki. *Parlamentaryzm. Zarys socyologiczny.* 2 tomy. Lwów. H. Altenberg. — J. Dallemagne. *Zbrodnia w świetle teoryj współczesnych.* Lwów. H. Altenberg. — J. W. Draper. *Dzieje stosunku wiary do rozumu.* Wyd. trzecie. Kraków. Nakł. drukarni narodowej. — M. Kowalewski. *Zarys początków i rozwoju rodziny i własności.* Warszawa. Skł. gł. w Księg. Naukowej. — G. Le Bon. *Psychologia tłumu.* Lwów. H. Altenberg. — J. Olszewski. *Biurokracya.* Lwów. Księg. Polska. — S. Posner. *Nad otchłanią.* Część I-sza. Warszawa. Księg. Naukowa. — A. Mosso. *Fizyczne wychowanie młodzieży.* Lwów. H. Altenberg. — *Z psychologii i fizyologii wychowania* (rozprawy C. Andrea, B. Błażka, A. Szycówny, J. Cohna, K. Twardowskiego, E. Piaseckiego, L. Hirschlaffa). Lwów. H. Altenberg.

NAUKI PRZYRODNICZE. — Dr. E. Aveling. *Teorya Darwina.* Warszawa. Skł. gł. w Księg. Naukowej. — Albertus de Brudzewo. *Super Theoricas Novas Planetarum.* Ed. L. A. Birkenmajer. Cracoviae. Sumpt. Univ. Jagell. — Dr. M. Ernst. *O przyrodzie planet.* Lwów. H. Altenberg. — St. Kramsztyk. *Wiadomości początkowe z fizyki.* Warszawa. Wende i S-ka. — E. Lebon. *Krótki zarys dziejów astronomii.* Warszawa. Wende i S-ka. — Dr. J. Nusbaum. *Z zagadek życia. Szkice i odczyty z dziedziny biologii.* Lwów. H. Altenberg. — Dr. J. Nusbaum. *Z zagadnień biologii i filozofii przyrody.* Lwów. H. Altenberg. — Dr. St. Orłowski. *Suggestya i hypnotyzm.* Warszawa. Bibl. Dz. Wyb. — J. Rostafiński. *Symbola ad historiam naturalem medii aevi.* Partes duae. Cracoviae. Sumpt. Univ. Jagell. — Dr. L. Sonderegger. *Podstawy ochrony zdrowia.* 3 części. Warszawa. Bibl. Dz. Wyb.

NAUKI ANTROPOLOGICZNE. — A. Brückner. *Starożytna Litwa. Ludy i Bogi. Szkice historyczne i mitologiczne.* Warszawa. Nakł. Księg. Naukowej. — J. Karłowicz. *O człowieku pierwotnym siedm odczytów.* Lwów. Tow. wydawn.

VARIA. — A. Bellessort. *Społeczeństwo japońskie.* 2 części. Warszawa. Bibl. Dz. Wyb. — M. Wawrzeniecki. *Poszukiwania archeologiczne w Królestwie Polskiem.* Kraków. Nakł. Akad. Umiejętności. — R. Zmorski. *Podania i Baśni ludu.* Warszawa. Bibl. Dz. Wyborowych.

VARIA.

PIĘĆDZIESIĄTA ROCZNICA śmierci Hoene-Wrońskiego wywołała w gazetach naszych i zagranicznych cały szereg wzmianek i artykułów, niestety, niewiele lepiej poinformowanych, zarówno co do nauki wielkiego filozofa i co do jego życia, niż ongi przeróżne *Pszczółki krakowskie, Zbieracze literaccy i Pustelnicy z ulicy Picadilly.* Wyjątkiem w znacznym stopniu jest rozprawa d-ra Ottona Bryka w *Gnosis* wiedeńskiej. W jednym z najbliższych zeszytów rozpatrzymy bliżej to nowe — i dość jałowe — żniwo. Tymczasem, by czemś rzeczowem zaznaczyć rocznicę, podajemy prawdziwą nakoniec datę urodzin Wrońskiego, którą jest SIERPIEŃ 1776 roku (chrzest 28 tego miesiąca), nie zaś jak błędnie dotąd podawano 1778-go lub (u niektórych) 1775-go. Udowodnimy to gdzieindziej dokumentami.

CHIMERA.

Od redakcyi.

PO PÓŁTORAROCZU.

Podobnie jak po pierwszym roczniku, tak i teraz, zamykając tom VI-ty wydawnictwa, za zbyteczne uważamy wydawanie jakichś nowych zapowiedzi czy obietnic. Przez te, pełne nieopisanych trudności, pierwsze lata, staliśmy tak twardo i niezłomnie przy wyłożonych w prospekcie wstępnym zasadach, że te miały czas wyryć się w pamięci naszych czytelników, i że nie potrzebujemy nanowo legitymować się, kim jesteśmy i czego chcemy. Nie zamierzamy też zachęcać lub zapraszać nowych abonentów. Nie dla zysków pismo wydajemy, ani dla przekonywania kogobądź. Powiedzieliśmy — i dotrzymali — że CHIMERA będzie świątynią szczerego, zbożnego, gorącego kultu dla sztuki do wyżyn dążącej absolutnych. Zaproszenia do takiego przybytku byłyby śmieszne. On jest dla pragnących jedynie, dla szukających, dla tych, w których wiekuiste nie wygasły tęsknoty. Intrate omnes ardentes. *Jeżeli tych żarliwych do podtrzymania świątyni będzie za mało, jeśli wyczerpią się siły jednostki, która dobrowolnie wzięła na barki wszystkie ciężary materyal-*

ne i organizacyjne, — świątynia runie w gruzy — nie z winy tych, co ją budowali...

Ale ślad po niej pozostanie. Pozostałby i dziś nawet, gdybyśmy po tym VI-ym tomie CHIMERY pracę już przerwać postanowili. I tu — wobec sprytnego bagatelizowania przez prasę naszych usiłowań, albo też wobec upartych insynuacyj, iż jesteśmy jakąś ciasną, samolubną i niezrozumiałą kapliczką „modernistów“ — czas nareszcie i miejsce policzyć, cośmy dotąd zrobili i jakie owoce dotychczasowa nasza przyniosła działalność.

Wbrew zwyczajowi rozpoczynana od krzykliwych haseł, programów, negacyj przeszłości, oraz grzmiących „jedynie zbawczych“ teoryj, — daliśmy w tych pierwszych latach ogromną przewagę STRONIE TWÓRCZEJ, aby przedewszystkiem, okazać dowodnie, z czem przychodzimy i w imię czego walczyć chcemy. I twierdzimy spokojnie, iż w przeciągu tego krótkiego czasu, na tych kilku tysiącach stronnic, daliśmy tyle dzieł szczerego, głębokiego natchnienia, tyle kapitalnych tworów ducha ludzkiego, że żadne czasopismo, nietylko u nas, lecz i zagranicą, w przeciągu dwakroć i nawet trzykroć dłuższego czasu, takiem żniwem się nie pochlubi. Nie znaliśmy „starych i młodych,“ nie znaliśmy szkół i kierunków, nie znaliśmy ciasnych doktryn i formuł. Niezmordowanie poszukując najwyższych objawów piękna, najwyższych porywów ducha, wędrowaliśmy — nie za przewodem, rzecz prosta, urzędowych historyj literatury czy sztuki, ani też za przemijającemi zacietrzewieniami krzykliwych nowatorów — po wszystkich czasach i krajach — i to, co do chwili ostatniej zawarliśmy w CHIMERZE, acz zaledwie cząstką jest małą plonów zebranych w tej pielgrzymce, czyni już jednak sześć wydanych jej tomów skarbnicą, z której nietylko dziś, lecz i jutro, i dalekie pojutrza czerpać będą.

W dziale literatury krajowej — rozbiliśmy pierwsi, i na zawsze już, zda się, mgły zupełnej, hańbiącej społeczeństwo

niepamięci względem Cypryana Norwida (moglibyśmy rzec prawie, iż obdarzyliśmy piśmiennictwo polskie kolosalną jego postacią); odszukaliśmy jeden z najpiękniejszych waryantów do Króla - Ducha *Słowackiego; przechowaliśmy ostatnie spiżowe słowa Dygasińskiego; pozyskaliśmy prawie wszystkie natchnione hymny Kasprowicza, oraz utwory wysokiej piękności St. Brzozowskiego, Langego, Micińskiego, Przybyszewskiego, Reymonta, Staffa, Wyrzykowskiego; byliśmy owem miejscem cudu, na którem olśniewająco objawił się Berent; odsłoniliśmy w całej świetności pierwszorzędne talenty Komornickiej, Lemańskiego, Leśmiana, J. Wroczyńskiego, Zawistowskiej; z nowych najmłodszych pisarzy żadna zdolność wybitna nie uszła naszej uwagi i, naodwrót, żadna rzecz błaha, zdawkowa nie przedostała się na karty CHIMERY.*

Z literatur obcych zamieściliśmy — w artystycznych, polskim równoważnikiem oryginału będących przekładach Berenta, Bromsławskiej, Kasprowicza, Komornickiej, Langego, Miriama, Porębowicza, Przybyszewskiego, Stattlerówny, J. Wroczyńskiego, Wyrzykowskiego, Zawistowskiej — cały szereg wybitnych, częstokroć arcydzielnych utworów znakomitych pisarzy, dzisiejszych i dawniejszych, po większej części zupełnie u nas nieznanych, a którzy niejednokrotnie znanymi oddawna byćby mogli i powinni. Tak, piśmiennictwo angielskie, w tych sześciu tomach, reprezentują Coleridge, Emerson i Keats; belgijskie — van Arenbergh, Eekhoud, Giraud, Rodenbach; duńskie — Andersen i Jacobsen; francuzkie — Banville, Baudelaire, Gide, Hello, Huysmans, Laforgue, Rachilde, Schwob, Verlaine i Villiers de l'Isle Adam; hiszpańskie — Campoamor; niemieckie — Grabbe, Nietzsche, Schlaf; prowansalskie — Mistral; literatury słowiańskie — Andrejew, Balmont, Brzezina, Garszyn, Stefanyk, Zeyer; włoską — d'Annunzio, Graf, Nencioni, Pascoli. — Dając taki dobór autorów, z każ-

dego autora — tylko jego wybrane, najlepsze rzeczy, i to w tłómaczeniach, jakie kiedyś *miewała nasza literatura, ale jakie w ostatnich czasach zanikły prawie w zalewie „zdrad“ niewysłownych, — uważamy, iż zbogaciliśmy piśmiennictwo krajowe, zawiązali nanowo węzły z wielkim wszechświatowym ruchem duchowym, węzły, tak silne ongi w świetnych naszych epokach, a w dobie spółczesnej rozluźnione zupełnie. Robiono nam zarzut, wybornie malujący dzikie zapatrywania dzisiejsze na przekłady, iż zawiele drukujemy rzeczy „obcych.“ Przedewszystkiem, rzecz doskonała w doskonałym przekładzie nie jest ani swoja ani obca: jest doskonała — a to wystarczy. Powtóre, dość spojrzeć na spis powyższy, by się przekonać, że pracowaliśmy nietylko za siebie, ale i za poprzedników.*

W dziale sztuk plastycznych — przypomnieliśmy starych mistrzów (Botticellego, Dürera, Łukasza della Robbia, wreszcie nieznanego majstra szkoły cechowej krakowskiej z XV w.); zaznajomiliśmy czytelników z wybranemi dziełami zapomnianych u nas na rzecz Saszy Schneidra lub Anny Costenoble, istotnie wielkich przedstawicieli bądź sztuki europejskiej XIX wieku (A. Beardsley'a, Bilka, Burne-Jones'a, de Groux, Khnopffa, Gustawa Moreau, F. Ropsa, Valloton'a), bądź drzeworytu japońskiego (Hiroshige'a, Hokusai'a, Korina, Kuniyoshi'ego, Utamara, Yosai'a); z artystów swojskich, wreszcie, przedstawiliśmy, bądź w rysunkach, bądź w autolitografiach, bądź w reprodukcyach z obrazów, Dębickiego, A. Gierymskiego, Krzyżanowskiego, Mehoffera, Norwida, Okunia, Stanisławskiego, Tichego, Wawrzenieckiego, Wyspiańskiego. Pragnąc, aby nietylko dzieło samo, lecz i jego odtworzenie miało cechę artyzmu, usuwaliśmy, o ile się dało, używane u nas wyłącznie klisze siatkowe (autotypie) i zastępowali je bądź cynkotypicznem, wiernem fac-simile, *bądź światłodrukiem, litografią i heliograwiurą. Zabiegaliśmy gorliwie około rozwoju odsuniętych*

przez wyłączne „olejnictwo“ na plan ostatni sztuk graficznych (drzeworytu artystycznego, autolitografii, akwaforty etc.). Powiedzieć wreszcie możemy, iż powołaliśmy na nowo do życia zapomniany oddawna rysunek książkowo-zdobniczy (Buchschmuck) i przez sharmonizowanie stylowe pierwiastków wydawnictwa (szczegółowo dobranych rodzajów druku, matowego papieru, odpowiedniego formatu, inicyałów, ozdób, okładek rysowanych, opraw nowego typu, ram do plansz dodatkowych) zapoczątkowaliśmy — jak owocnie, świadczą dzisiejsze wystawy księgarskie! — ten do ostatnich czasów zaniedbany w kraju zakres sztuki stosowanej.

Dla TEORYI I ANALIZY zachowaliśmy w tych sześciu tomach CHIMERY tyle tylko miejsca, ile do roztrząśnięcia zasadniczych kwestyj lub najbardziej palących spraw było trzeba. Unikając zdawkowych frazesów, oraz aktualny jedynie walor mających objawów, sprowadzając każdy ropatrywany stosunek czy pojęcie z zakresu literatury i sztuki do podstawowych linij, sięgając jak najzwięźlej, ale do głębi każdego poruszanego zagadnienia, — zdołaliśmy jednak przez ten czas krótki, w całym szeregu artykułów, gloss, wstępów ogólnych do sprawozdań krytycznych, zastanowić się: nad stosunkiem społeczeństwa do sztuki, nad charakterem powieści dzisiejszej, nad rzeczywistemi zadaniami krytyki, nad koniecznemi postulatami teatru, nad obłudą t. zw. „nadscen,“ nad muzyką dzisiejszą, nad zadaniami filharmonii, nad zasadami krytyki sztuk plastycznych, nad istotą sztuki stosowanej, nad kolekcyonerstwem dzieł sztuki, nad dolą kształcących się artystów, nad wartością ankiet i konkursów w rzeczach sztuki, nad psychologią dzisiejszego ruchu artystycznego, nad znaczeniem i potrzebami szkoły sztuk pięknych w Warszawie, i t. d. A wszędzie — uważając, iż łatwo jest krytykować po fakcie, a choć trudniej, ale za to korzystniej doradzić z góry — kładliśmy nacisk na stronę dodatnią, budowniczą, stawialiśmy postu-

laty, wskazywali potrzeby, roztrząsali możliwości — i nieraz bezpośrednie tej metody widzieliśmy z radością owoce. Nawet w sprawozdaniach i recenzyach baczyliśmy pilnie, aby ważkie tylko słowa padały, aby cechy omawianych dzieł i duchowe postacie ich twórców zarysowywały się wyraziście, aby rozbiór godnego uwagi utworu uwydatniał jego związki z epoką i z najgłębszemi, niezmiennemi podstawami sztuki, aby analiza faktu była zarazem roztrząśnięciem pewnego zagadnienia, nie na dziś tylko mającem znaczenie. Ani jedno słowo nie było u nas, dla jakichkolwiek względów czy powodów, rzucone na wiatr — i dla tego, raz jeszcze, twierdzimy spokojnie, że karty CHIMERY nawet po latach nic ze swej nie utracą wartości.

Jeżeli chodzi o rezultaty bezpośrednie, o wpływy CHIMERY nie na dalekie jutro, lecz na chwilę bieżącą, to dziś już z cichą a głęboką radością stwierdzić je możemy. Zarysowała się już wyraźnie linia graniczna między literaturą jako sztuką a tendencyjną lub czysto rozrywkową produkcyą pisarską; między istotnie twórczem malarstwem i rzeźbą a bezmyślnem kopiowaniem z natury, anegdotyczną rodzajowością i wirtuozyą kabotyńską; między artystami gorąco i wyłącznie sztuce oddanymi a ludźmi, niekiedy wielkich nawet zdolności, którzy twórczość uważają za stopień jeno do sławy, powodzenia, dobrobytu, roli trybuńskiej lub innych celów ubocznych; między cacającemi się z sobą pseudo-indywidualnościami a naturami istotnie krzepkiemi, samodzielnemi, świadomemi, że jeno najwyższy ich wykwit i sprężenie ma wagę istotną, nieprzemijającą; między tymi, co w sztuce widzą sługę swych żądz czy kaprysów, a tymi, co sztukę czczą, dla niej na Jakubowe drą się drabiny, dla niej spalają się za żywa. Z całego szeregu potężnych dzieł twórczych, które zamieściliśmy w CHIMERZE, jakieś mocne, żywiące powiało, zda się, tchnienie, bo oto podnoszą się kwiaty wielkich talentów, które więdły w zatęchłej atmosferze, bo oto nowe

kiełkują i tryskają rośliny, niekiedy od pierwszej chwili zdumiewające jędrnością i podrywem wzwyż niepohamowanym. Ci, co, ze zdumiewającą płytkością, życie przeciwstawiają sztuce, próbowali zarzucać CHIMERZE *nieruchomość, martwotę, wstecznictwo i t. p. A tymczasem ona to nowy, przyszły żywot ducha tworzy, z niej on, nie zaś z oddanych dzisiejszości trybun i akropolów, pójdzie...*

Po tem wyliczeniu rzeczy dotychczas dokonanych, i zwłaszcza po twierdzeniu końcowem, większość kolegów po piórze nie oszczędzi nam, naturalnie, taniego: laus propria... *Z góry możemy odpowiedzieć: iż podobne, z „mądrości narodów" zaczerpnięte repliki dobre są między naiwnemi dziećmi; że mamy zupełną świadomość, czego chcemy i co robimy; że o tem, co robimy, bardziej niż szan. kolegom sądzić nam wolno, jeśli nie dla czego innego, to poprostu dla lepszej znajomości przedmiotu; że, wreszcie, sami, co zrobiliśmy, podkreślamy, bo nikt nam tego nie podkreśli. Z wyjątkiem kilku ludzi, których sympatye dla usiłowań naszych cenić umiemy, cała prasa krajowa miała i ma dla* CHIMERY *albo niczem niemotywowane zarzuty i wyszarzane komunały o wieżach z kości słoniowej, wrogościach względem życia, przeszczepianiach cudzych idei (czyich-to, jeśli łaska?), niezrozumiałościach, rozwichrzonych modernizmach czy zastygłych klasycyzmach (bo przedziwnie się krzyżują te admonicye!), — albo też wielkie, wytrwałe, celowe, metodyczne milczenie.*

Jedno i drugie jest nam obojętne. Pośród tej wrzawy, czy tego milczenia, póki nam sił i środków starczy, iść będziem niezłomnie swoją drogą.

ZENON PRZESMYCKI (MIRIAM).

ADMINISTRACYA „CHIMERY,“

otwierając przedpłatę na rok 1904 (tomy VII — X czyli zeszyty 19 — 30) ma zaszczyt przypomnieć jej warunki:

CENA	w Warszawie	z przes. poczt.	za granicą
roczna	9 rb.	12 rb.	35 fr. 27 mar. 33 kor.
półroczna	5 rb.	6 rb. 50 kop.	20 fr. 15 mar. 18 kor.
kwartalna	3 rb.	3 rb. 50 kop.	11 fr. 8 mar. 10 kor.

Przedpłata na WYDANIE WYTWORNE przyjmuje się tylko roczna: w Warszawie rb. 30, z przes poczt. rb. 35, za granicą 95 fr., 75 mar., 90 kor.

ZESZYTY POJEDYNCZE po cenie oznaczonej na każdym.

TOMY POPRZEDNIE CHIMERY (I — VI) są jeszcze do nabycia po rb. 3, z przes. poczt. po rb. 3 kop. 50.

TOM I-szy sprzedaje się tylko w komplecie z II, III i IV-ym.

ZESZYTY POJEDYNCZE — tylko 3, 4/5, 6, 7/8, 9, 10/12, 13, 14, 15, 16, 17 i 18 — po cenie oznaczonej na każdym.

NUMERÓW OKAZOWYCH się nie wysyła. PROSPEKT wstępny na żądanie.

Propozycye ZNIŻEK CENY lub też GRATISOWYCH EGZEMPLARZY nie mogą być uwzlędniane, z powodu KOSZTOWNOŚCI WYDAWNICTWA.

ADMINISTRACYA ma zaszczyt prosić szan. abonentów:

1) *o dokładne i czytelne adresy;*
2) *o wczesne odnawianie przedpłaty;*
3) *o przysyłanie prenumeraty ŚCIŚLE WEDŁUG NORM wyżej wymienionych;*
4) *o popieranie pisma w kołach, DLA KTÓRYCH MOZE ONO BYĆ ODPOWIEDNIEM.*





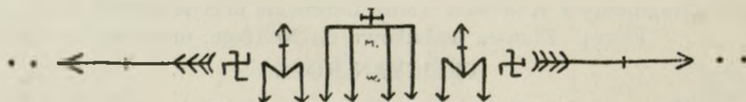
R. PAULUSSEN. BURNE JONES.



SPIS RZECZY,

UŁOŻONY ALFABETYCZNIE WEDŁUG NAZWISK AUTORÓW.

(TOM VI. — 1902.)





INDEKS ALFABETYCZNY UTWORÓW DRUKOWANYCH W TOMACH V-YM i VI-YM CHIMERY, UŁOŻONY WEDŁUG TYTUŁÓW LUB SŁÓW POCZĄTKOWYCH.





